

JEDNOCZĄCA MOC

JAMES LUCENO

Przekład

ANDRZEJ SYRZYCKI

Pamięci mojego towarzysza Toma Pierce'a,

który rozumiał, że pogodzenie się ze śmiercią

nie jest równoznaczne z rezygnacją z dalszego życia.

Był prawdziwym wojownikiem do końca.

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Nom Anor były egzekutor (Yuuzhanin)
Wedge Antilles generał (mężczyzna)
Nas Choka wojenny mistrz (Yuuzhanin)
Kyp Durrton mistrz Jedi (mężczyzna)
Jagged Fel pilot (mężczyzna)
Harrar kapłan (Yuuzhanin)
Traest Kre'fey admirał (Bothanin)
Cal Omas przywódca Galaktycznego Sojuszu (mężczyzna)
Onimi Zhańbiony (Yuuzhanin)
IDanni Quee badaczka (kobieta)
Shimrra najwyższy lord (Yuuzhanin)
Luke Skywalker mistrz Jedi (mężczyzna)
Mara Jade Skywalker mistrzyni Jedi (kobieta)
Han Solo kapitan „Sokoła Millennium” (mężczyzna)
Jacen Solo rycerz Jedi (mężczyzna)
Jaina Solo rycerz Jedi (kobieta)
Leia Organa Solo księżniczka i była dyplomatka (kobieta)

I-PO DRUGIEJSTRONIE GWIAZD

ROZDZIAŁ 1

Planeta Selvaris, bladozielona na tle oślepiająco jasnych punkcików gwiazd i okrążana tylko przez jeden malutki księżyc, sprawiała wrażenie najbardziej osamotnionego ze wszystkich ciał niebieskich. Upłynęło niemal pięć lat od wybuchu wojny, która przyniosła zagładę pokojowo usposobionym mieszkańcom wielu światów, przerwanie głównych nadprzestrzennych szlaków, a nawet upadek i okupację samej Coruscant, ale fakt, że niepozorna planeta mogła nabrać tak dużego znaczenia, chyba najlepiej świadczył, jak straszliwy cień rzucali Yuuzhan Vongowie na galaktykę.

Materialnym dowodem tego znaczenia był obóz dla jeńców wojennych, założony w głębi gęstej dżungli porastającej brzegi niedużego południowego kontynentu Selvarisa. Kompleks więzienny składał się z drewnianych baraków i podobnych do uli organicznych konstrukcji Yuuzhan Vongów, zwanych grashalami. Całość otoczono murami z koralu yorik i wyposażono w strażnicze wieże, które wyglądały, jakby wyrosły z akwamarynowego oceanu albo pozostały po kapryśnym odpływie. Za wysokim, chropowatym murem ciągnął się teren pozbawiony roślinności, którą wykarczowano albo zamieniono w popiół strzałami z broni plazmowej. Z piaszczystego gruntu wyrastały tylko sztywne źdźbła wysokiej do kolan yuuzhańskiej trawy. Teren ciągnął się aż do zielonej ściany pierwszych wielkich drzew. Ich wachlarzowate liście, poruszane nieustannymi podmuchami przesyconego solą powietrza, łopotały i trzaskały niczym wojenne proporce.

Teren między obozem dla jeńców a ujściem toczącej słonawę wody krętej rzeki, która wpadała w końcu do oceanu, porastała gęsta dżungla. Obfitowała zarówno w miejscową florę, jak i egzotyczne okazy wyhodowane dzięki bioinżynierii Yuuzhan Vongów. Te drugie miały wkrótce opanować całą powierzchnię Selvarisa, jak działo się na niezliczonych innych planetach.

Na przestronnym więziennym dziedzińcu spoczywały dwa zwęglone ładowniki yorik-trema, dochodzące do siebie po nieco wcześniejszych utarczkach z nieprzyjaciółmi w

głębinach przestworzy. Obok nich, powłócząc nogami, przechodziła grupa istot ludzkich, łysogłowych Bithów i rogatych Gotalów. Więźniowie nieśli trzy ciała owinięte w płótno.

Yuuzhański strażnik, oparty plecami o kadłub jednego z koralowych pojazdów, przyglądał się obojętnie, jak wycieńczeni jeńcy dźwigają zwłoki zmarłych towarzyszy.

- Pospieszcie się! - ponaglił ostro. - Maw luur nie lubi, kiedy ktoś każe mu czekać.

Więźni w obozie jeńcy daremnie nalegali, żeby pozwolono im pozbywać się ciał zmarłych kolegów zgodnie ze zwyczajami panującymi na ich macierzystych planetach, ale pełniący posługę w pobliskiej świątyni yuuzhańscy kapłani kategorycznie zabronili kopania grobów czy rozpalania pogrzebowych stosów. Wszystkie materiały organiczne miały być poddawane przetwarzaniu. Zmarłych musiano więc albo zostawiać na pastwę panoszących się na powierzchni Selvarisa stad padlinożerców, albo rzucać yuuzhańskiemu organizmowi, zwanemu maw luurem. Podróżujący niegdyś po galaktyce więźniowie twierdzili, że to bękart zrodzony ze związku zgniataarki odpadów i Sarlacca.

Strażnik był wysoki i miał długie kończyny, a jego twarz odznaczała się ukośnie ściętym wysokim czołem i sinymi workami pod oczami. Blask obu słońc planety nadawał jego skórze czerwonawe zabarwienie, a nieznośny upał przyczynił się do tego, że wojownik był chudy jak szczapa. Tatuaze i blizny na twarzy świadczyły, że jest oficerem, ale brakowało zniekształceń i implantów, mógł więc mieć najwyżej stopień podporucznika. Przytrzymywane pierścieniem z czarnego koralu długie włosy opadały z boku jego głowy poniżej ramienia, a tunikę munduru przewiązywał cienki skórzany rzemień. Owinięta wokół umięśnionego prawego przedramienia broń była przeznaczona do tłumienia rozruchów pośród więźniów i wyglądała jak gruby pęd śmiercionośnego pnącza.

Podporucznika S'yita wyróżniało spośród innych Yuuzhan Vongów także to, że znał basie, chociaż nie władał nim równie płynnie jak jego dowódca. Słyszac wezwanie do pośpiechu, tragarze zwłok na chwilę przystanęli.

- Wolimy, żeby ich kości obzarty do czysta padlinożerne zwierzęta, niżby mieli się stać karmą dla waszego zjadacza odpadków -burknął najniższy mężczyzna.

- Jeżeli chcesz uszczęśliwić swojego maw luura, sam wskocz do jego jamy - dodał drugi.

- Powiedz mu to, Commenorze - zachęcił stojący obok niego Gotal.

Więźniowie nie mieli koszul, a ich ogorzałe ciała pokrywała warstewka potu. Wszyscy ważyli o wiele mniej, niż kiedy przetransportowano ich na powierzchnię Selvarisa dwa

standardowe miesiące wcześniej, po tym jak schwytano ich podczas nieudanej próby oswobodzenia Gyndiny. Ci, którzy nosili spodnie, obcięli nogawki na wysokości kolan, a z obuwia zostawili właściwie tylko podeszwy, żeby nie pokaleczyć stóp o chropowatą powierzchnię gruntu albo o kolce porastających teren za murem falujących senalaków.

S'yito zareagował na ich zuchwalstwo pogardliwym prychnięciem i machnął lewą ręką, żeby odpędzić chmurę owadów, które roiły się bez przerwy wokół jego głowy.

Niski mężczyzna parsknął chrapliwym śmiechem.

- Zawsze się tak dzieje, kiedy używasz krwi do malowania ciała, S'yito - odezwał się cierpko.

Yuuzhanin zastanowił się chwilę, co może oznaczać jego uwaga.

- Owady to nie problem - odezwał się w końcu. - Chodzi o to, że to nie są yuuzhańskie owady. - Z niewiarygodną szybkością machnął ręką i uwięził jakiegoś owada w zaciśniętej dłoni. - To znaczy, na razie.

Przekształcanie planety Selvaris dobiegło już końca na wschodniej półkuli i podobno ogarniało resztę jej powierzchni w tempie dwustu kilometrów na miejscową dobę. Wytworzona dzięki yuuzhańskiej bioinżynierii roślinność zdążyła wprawdzie opanować kilka gęsto zaludnionych ośrodków, ale miało upłynąć jeszcze kilka miesięcy, zanim proces przemiany botanicznej dobiegnie końca.

Dopóki tak się nie stanie, cała powierzchnia Selvarisa miała służyć za więzienie. Od czasu założenia obozu nie zezwolono na opuszczenie planety żadnemu mieszkańcowi, a wszystkie nieprzyjacielskie ośrodki komunikacyjne zostały zdemontowane. Zakazano posługiwania się wszelkimi mechanizmami i urządzeniami. W dowód życzliwości roboty i androidy spalono podczas publicznej ceremonii w ofiarnych dołach. Uwolnione od konieczności polegania na mechanizmach inteligentne istoty mogły wreszcie dostrzec prawdziwą naturę wszechświata, powołanego do życia przez YunYuuzhana w akcie bezinteresownego poświęcenia i utrzymywanego przez podległe mu bóstwa, do których yuuzhański Stwórca miał zaufanie.

- Może po prostu powinniście spróbować przekształcić nasze owady - zasugerowała jedna z istot człekokształtnych.

- Zaczynij od groźby, że powyrywasz im skrzydełka - doradził niski mężczyzna.

S'yito otworzył dłoń i pokazał owada. Trzymał go ostrożnie za skrzydełka między kciukiem a palcem wskazującym, jeszcze żywego-

- To właśnie dlatego przegrywacie tę wojnę i dlatego współzycie z wami jest niemożliwe - zaczęła. - Wydaje się wam, że zadajemy ból dla sportu, podczas gdy w rzeczywistości robimy to, żeby okazać szacunek bogom. - Wyciągnął ku nim rękę ze schwytanym owadem. - Wyobraźcie sobie, że jesteście na miejscu tego owada. Posłuszeństwo prowadzi do wolności, nieposłuszeństwo do niesławy. - Nadspodziewanie szybko rozgniół owada o wyprężoną pierś. - Żadnej pośredniej możliwości. Albo jesteście Yuuzhanami, albo nie żyjecie.

Zanim któryś z więźniów zdążył odpowiedzieć, z otworu drzwiowego najbliższego baraku wyszedł jakiś mężczyzna i zmrużył oczy przed palącymi promieniami słońca. Krępy i brodaty, nosił brudny mundur z widoczną dumą.

- Commenor, Antar, Clak'dor... dość tych pogaduszek - burknął, zamiast imion więźniów wymieniając nazwy planet, z których pochodzili. - Wykonajcie do końca zadanie i zameldujcie się u mnie.

Niski mężczyzna zaszalutował.

- Już idziemy, panie kapitanie - powiedział.

- To Page, mam rację? - zainteresował się Gotal. - Słyszałem o nim wiele dobrego.

- Wszystko, co o nim słyszałeś, to święta prawda - potwierdził jeden z Bithów. - Jeżeli jednak kiedykolwiek mamy odwrócić koleje tej wojny, będziemy potrzebowali dziesięciu tysięcy takich jak on.

Kiedy więźniowie ruszyli w dalszą drogę, S'yito odwrócił się i spojrzał na kapitana Juddera Page'a, który jakiś czas wytrzymał pełne podziwu spojrzenie yuuzhańskiego podporucznika, zanim odwrócił się i wszedł do drewnianego baraku. S'yito pomyślał, że tragarz zwłok miał rację. Wojownicy pokroju Page'a potrafili znaleźć korzystne wyjście nawet z najbardziej beznadziejnej sytuacji.

W ciągu całej długiej wojny Yuuzhan Vongowie na ogół zwyciężali, ale płacili za zwycięstwa wysoką cenę. Najlepszym dowodem tego był fakt, że obóz dla jeńców trzeba było założyć na powierzchni planety. W normalnych okolicznościach za miejsce odosobnienia posłużyłby któryś okręt. Na obecnym etapie wojny jednak, kiedy walki toczyły się na wielu frontach, wszystkie zdolne do służby okręty były potrzebne do walki z nieprzyjaciółmi o opanowanie nowych planet, do patrolowania podbitych systemów, do obrony mglistych peryferii inwazyjnych korytarzy albo ochrony Yuuzhan'tara - Uświęconego Centrum, na którego powierzchni od ponadstandardowego roku rezydował najwyższy lord Shimrra.

W innych okolicznościach nie trzeba byłoby otaczać obozu wysokim murem, wznosić strażniczych wież ani kierować do służby wartowniczej pełnego oddziału wojowników, używanych do pilnowania tak ważnych więźniów, jak istoty różnych ras zgromadzone na powierzchni Selvarisa. Na początku wojny zakuwano jeńców w organiczne kajdany, unieruchamiano ich w kulach żeluzboru albo po prostu implantowano im bryłki koralu, dzięki którym stawali się niewolnikami dhuryama, rozkazującego im mózgu. Na obecnym etapie odczuwało się jednak brak żywych kajdan, szybko krzepnącej galarety i ziaren niewolniczego koralu, a dhuryamy widywało się naprawdę rzadko.

Gdyby S'yito był dowódcą obozu, Page i inni podobni do niego więźniowie zostaliby dawno straceni. Yuuzhański podporucznik uważał, że jego dowódcy zdecydowali się na zbyt wiele kompromisów. Drewniane baraki, metody pozbywania się zwłok, wyżywienie... Bez względu na rasę jeńców, ich żołądki po prostu nie radziły sobie z żywnością Yuuzhan Vongów. Tylu więźniów umarło z powodu ran odniesionych podczas walk albo z wycieńczenia, że wreszcie dowódca obozu musiał wyrazić zgodę, żeby dostarczono im wyżywienie z pobliskiej osady. W tym celu jej mieszkańcy łowili ryby i inne stworzenia prosto z morza, a także zbierali owoce w gęstej dżungli. Obawiając się, że mieszkańcy osady mogliby tworzyć komórki ruchu oporu, Yuuzhanie strzegli jej jeszcze pilniej niż samego obozu.

Pośród yuuzhańskich wojowników chodziły słuchy, że na powierzchni Selvarisa nigdy nie mieszkali inteligentni tubylcy. Miejscowi osadnicy rzeczywiście wyglądali jak istoty, które tutaj wylądowały i ktoś je zostawił na łasce losu albo uciekły skądś i tu się ukrywały.

Takie właśnie wrażenie sprawiał inteligentny osobnik, któremu pozwolono przywozić do obozu tygodniowe racje żywności.

Porośnięta puszystą sierścią koloru dymu niska istota poruszała się wprawdzie wyprostowana na dwóch silnie umięśnionych nogach, ale była przy tym obdarzona ogonem i wszystko wskazywało na to, że umie się nim posługiwać. W szczupłej twarzy błyszczała para oczu, a między nimi sterczał dziób, wygięty ku dołowi i częściowo przesłaniający obwisłe wąsy. Otwory w chrząstkowatej substancji dzioba nadawały mu wygląd podobny do fletu. Istota ciągnęła furgon na dwóch koralowych kołach, wyladowany koszykami, naczyniami i uszytymi z samodziału pękatymi workami.

- Żywność dla więźniów! - zawołała, kiedy stanęła przed wyhodowaną z kości frontową bramą.

S'yito podszedł do muru i zaczekał, aż czterech strażników zdejmie przykrywkę z koszyków i rozplącze rzemienie, którymi przewiązano worki z żywnością. Wciągnął w nozdrza woń unoszącą się z jednego z otwartych worków.

- Czy wszystko przyrządzono zgodnie z rozkazami dowódcy? - zapytał w basicu dostarczyciela żywności.

Istota kiwnęła głową. S'yito zauważył, że włoski idealnie białej sierści na jej głowie wyraźnie się zjeżyły, i doszedł do wniosku, że to z przerażenia.

- Umyte i odkażone, o Przerazający - oznajmiła istota. - Osobno mięso, ziarna i owoce.

Taki tytuł przysługiwał właściwie tylko dowódcom i najwyższym stopniem oficerom, ale S'yito postanowił nie wyprowadzać z błędu dostarczyciela żywności.

- Czy zostało także pobłogosławione? - zapytał szorstko.

- Przybywam tu prosto ze świątyni.

Podporucznik spojrział na ślady kół, które zniknęły w głębi dżungli. Pragnąc zapewnić garnizonowi miejsce modlitw, kapłani umieścili posąg Yun-Yammki, zwanego Uśmiercicielem, w grashalu wyhodowanym specjalnie po to, aby służył za świątynię. W pobliżu niej stały grashale dowódcy i podobne do baraków grashale młodszych oficerów.

S'yito zbliżył twarz z płaskim nosem do otwartego kosza.

- Ryba? - zapytał.

- Coś w tym rodzaju, o Przerazający - odparła istota. Podporucznik pokazał na stosik włochatych i pokrytych skorupą kul.

- A to? - zapytał.

- Owoce rosnące na gałęziach najwyższych drzew w dżungli - odparł dostarczyciel. - Mają pożywny miąższ, a w środku coś w rodzaju mleka.

- Rozłup jeden - zażądał S'yito.

Istota wcisnęła zakrzywiony palec głęboko w spojenie skorupy owocu i ją otworzyła. Młodszy oficer nabrał palcem trochę różowawego miąższu i włożył go do szerokich ust.

- Za dobre dla nich - oznajmił, kiedy miąższ rozpuścił się na jego przebitym przez kolec języku. - Przypuszczam jednak, że niezbędne.

Wielu strażników nie mogło się pogodzić z tym, że żołądki więźniów nie dają sobie rady z trawieniem żywności Yuuzhan Vongów. Podejrzewali, że rzekoma niestrawność to tylko wymówka - jeszcze jeden element nieustannej rywalizacji pod względem siły woli między

więźniami a ich ciemiężcami.

Dostarczyciel żywności rozcapierzył palce i modlitewnym gestem umieścił je na piersi tuż poniżej miejsca, gdzie znajdowało się serce.

- Yun-Yuuzhan jest łaskawy, o Przeróżający - powiedział. - Zapewnia prawdziwą wiarę nawet swoim wrogom.

S'yito spiorunował go spojrzeniem.

- A co ty możesz wiedzieć o Yun-Yuuzhanie? - warknął groźnie.

- Przyjąłem prawdę - odparł dostawca. - Dopiero przybycie Yuuzhan Vongów otworzyło mi oczy na fakt istnienia bogów. Dzięki ich łasce prawdę poznają nawet wasi więźniowie.

S'yito pokręcił energicznie głową.

- Tych więźniów nie da się nawrócić - zawyrokował. - Dla nich wojna już się skończyła. Mimo to wcześniej czy później wszyscy uklęką przed obliczem YunYuuzhana. - Gestem dał sygnał pozostałym strażnikom. - Przepuścić dostarczyciela żywności - rozkazał.

W największym ze wzniesionych przez więźniów drewnianych baraków nie było do roboty właściwie nic oprócz opiekowania się chorymi i umierającymi kolegami. Wymizerowani jeńcy spędzali dni na rozmowach, hazardowych grach i oczekiwaniu z utęsknieniem na następny posiłek. Od czasu do czasu posępną, dokuczliwą ciszę przerywał chrapliwy kaszel albo wybuch śmiechu. Yuuzhan Vongowie nie kazali więźniom pracować w wylęgarniach villipów ani gdziekolwiek indziej czy to na terenie obozu, czy też poza jego koralowym murem, a do tej pory przesłuchaniu poddano tylko najwyższych stopniem oficerów.

Jeńcy byli istotami najróżniejszych ras. Większość dostała się do niewoli w przestworzach Bilbringi, ale inni pochodzili z odległych planet w rodzaju Yag'Dhula, Antara Cztery czy Ord Mantell. Wszyscy nosili podarte szczątki lotniczych kombinezonów pilotów gwiezdnych myśliwców albo mundurów polowych, a ich poznaczone bliznami i wychudzone ciała - bezwłose czy porośnięte sierścią, sflaczałe lub umięśnione - pokrywała gruba warstwa brudu i potu. Wszystkich łączyła jednak znajomość basica i - co najważniejsze -zawzięta nienawiść do Yuuzhan Vongów. Nie zabito ich od razu, co oznaczało, że oszczędzono ich, aby złożyć w ofierze, prawdopodobnie z okazji zakończenia przekształcania powierzchni Selvarisa albo dla przebłagania bogów przed spodziewaną decydującą walką z siłami zbrojnymi Galaktycznego Sojuszu.

- Żarcie idzie! - wykrzyknął w pewnej chwili mężczyzna czuwający w otworze

drzwiowym największego baraku.

Kilku jeńców wzniosło radosne okrzyki, a każdy, kto miał dość sił, zerwał się na nogi. Utworzyli kolejkę, dając w ten sposób dowód, że nadal panuje pośród nich dyscyplina. Paru więźniów wybiegło z baraku z szeroko otwartymi oczami i śliną ciekącą z kącików ust na samą myśl o jedzeniu. Zamierzali pomóc rozładowywać furgon i wnieść ciężary do środka.

Twi'lek z amputowanym lekku zmierzył spojrzeniem niedużego dostawcę żywności, ale nie przestał mu pomagać dźwigać worków i garnków.

- Jesteś Rynem - odezwał się w pewnej chwili.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodzi ci to jeść tego, co przywiozłem - odparła istota.

W pomarańczowych oczach więźnia z Rylotha pojawiły się błyski.

- Najlepsze żarcie, jakie jadłem w życiu, było przyrządzone przez Rynów - powiedział. -
Wiele lat temu natknąłem się na kilku twoich ziomków w Odległych Rubieżach...

- Baa... ność! - rozległ się nagle okrzyk któregoś z więźniów.

Na widok dwóch umundurowanych oficerów, którzy kierowali się w stronę baraku, wszyscy wyprężyli się jak struny. Jeńcy odpruli naszywki, które mogłyby zdradzić ich wojskowe stopnie, i właściwie przestali przywiązywać do nich jakąkolwiek wagę, ale nadal uznawali zwierzchnictwo dwóch oficerów: kapitana Juddera Page'a i majora Pasha Crackena.

Obaj wojskowi pochodzili z ważnych planet - Page z Corulaga, a Cracken z Contruuma, i mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj byli potomkami znamienitych rodów i obaj kształcili się w Imperialnej Akademii, zanim przeszli na stronę Sojuszu Rebeliantów podczas galaktycznej wojny domowej. Dość niepozornie wyglądający Page powołał do życia oddział zwany Komandosami Katania, a Cracken - wciąż jeszcze uwodzicielsko przystojny i znakomicie umięśniony mimo średniego wieku - dowodził Pułkiem Myśliwców Crackena. Obaj władali mową Yuuzhan Vongów równie płynnie jak podporucznik S'yito basicem.

- Zróbcie miejsce dla majora i kapitana na czele kolejki! - rozkazał ten sam mężczyzna, który oznajmił więźniom pojawienie się dowódców.

Obaj starsi stopniem oficerowie odmówili przyjęcia tego zaszczytu.

- Zjemy, kiedy wszyscy zaspokoją głód - oznajmił Page, przemawiając w imieniu swoim i Crackena.

- Prosimy, niech panowie zajmą miejsca na początku - nalegało kilku więźniów.

Page i Cracken wymienili zrezygnowane spojrzenia i pokiwali głowami. Major przyjął

wyrzeźbioną przez jednego jeńca drewnianą misę, stanął na czele kolejki i wyciągnął naczynie w stronę Ryna, który mieszał gęstą papkę w dużym koralowym garze.

- Dziękujemy, że przywozisz nam jedzenie - zagadnął go Cracken. Miał bladezielone oczy, a jego ognistorude włosy były przetykane pasemkami siwizny, co nadawało większą wyrazistość arystokratycznym rysom.

Ryn obdarzył go przekornym uśmiechem, pogрузił chochlę głęboko w papce i pochylił się nad garem. Ledwo zauważalnym gestem dał do zrozumienia, że jeżeli Cracken chce dostać coś do jedzenia, także ma się pochylić. Kiedy lewe ucho oficera znalazło się obok ust Ryna, istota szepnęła:

- Ryn jeden-jeden-pięć z Vorteksa.

Cracken nie okazał zaskoczenia. Dowiedział się o istnieniu syndykatu Rynów zaledwie dwa miesiące wcześniej podczas odprawy na Kałamarze, który po upadku Coruscant stał się siedzibą władz Galaktycznego Sojuszu. Do syndykatu należeli nie tylko Rynowie, ale także inne wyzute z ojczyzn istoty. Wszystkie prowadziły szeroko zakrojoną działalność szpiegowską, wykorzystując przetarte przez rycerzy Jedi tajne międzygwiazdne i nadprzestrzenne szlaki, żeby zapewnić większe bezpieczeństwo agentom zajmującym się zbieraniem i przekazywaniem cennych informacji.

- Masz coś dla nas? - zapytał szeptem Cracken, kiedy Ryn nakładał chochlą papkę do jego misy.

Spojrzenie Ryna przestało się koncentrować na zawartości garnka i spoczęło na pooranej zmarszczkami twarzy oficera.

- Proszę zachować ostrożność podczas jedzenia, panie majorze - odezwała się istota cicho, żeby tylko Cracken ją usłyszał. - I spodziewać się niespodzianki.

Cracken wyprostował się i przekazał informację Page'owi, który szeptem poinformował stojącego za nim Bitha. Podawana ukradkiem z ust do ust wiadomość dotarła w końcu do ostatniego z mniej więcej stu czekających w kolejce więźniów.

W tym czasie Cracken, Page i kilku innych podeszło ze swoimi naczyniami do topornego stołu. Kucnęli przy nim i zaczęli ostrożnie wkładać palcami do ust papkę, spoglądając jeden na drugiego ze starannie ukrywanym oczekiwaniem.

Trzech innych więźniów stanęło w otworze drzwiowym, żeby obserwować yuuzhańskich strażników. Yuuzhan Vongowie nie zainstalowali w barakach villipów ani innych

urządzeń podsłuchowych, ale wojownicy pokroju S'yita, którzy okazywali jeńcom większe niż inni zainteresowanie, często bez ostrzeżenia wpadali do baraków, aby przeprowadzić przeszukanie czy rewizję osobistą.

Devaronianin naprzeciwko Page'a nagle się zakrztusił. Symulując atak kaszlu, ostrożnie wyjął z szerokiej, groźnie wyglądającej jamy ustnej jakiś przedmiot i dyskretnie go obejrzał.

Towarzysze patrzyli na niego pełni oczekiwania.

- To tylko chrząstka - wyjaśnił wreszcie Devaronianin, unosząc głowę, w której błyszczały rozczarowane paciorkowate oczy. - A przynajmniej tak mi się wydaje.

Więźniowie zaczęli znów jeść, ale kiedy dotarli do dna drewnianych mis, dał się wyczuć wyraźny wzrost napięcia.

W pewnej chwili Cracken nadgryzł coś twardego, ryzykując złamanie zęba. Przyłożył lewą dłoń do ust i językiem wypchnął to do zwiniętej ręki. Czując na sobie spojrzenia wszystkich, otworzył dłoń i od razu rozpoznał dziwny przedmiot. Nie wypuszczając go z palców, położył na blacie stołu i przesunął w prawo. Kiedy cofnął rękę, w mgnieniu oka przedmiot zniknął pod prawą dłonią Page'a.

- Holopłytką - stwierdził cicho kapitan, nawet nie patrząc na niezwykle przedmiot. - Jednorazowego użytku, bo tylko raz wyświetli zarejestrowaną informację. Musimy się pospieszyć.

Cracken kiwnął brodą w stronę rogatego Devaronianina.

- Znajdź Clak'dora, Garbana i resztę tej ekipy - rozkazał. - I sprowadź ich tu jak najszybciej.

Devaronianin wstał i pospiesznie wyszedł z baraku. Page przesunął dłonią po zarośniętej twarzy.

- Musimy znaleźć miejsce, w którym moglibyśmy wyświetlić tę informację - powiedział.
- Nie możemy ryzykować i robić tego na oczach Vongów.

Cracken zastanowił się chwilę i w końcu odwrócił się do długobrodego Bothanina.

- Kim jest ten gość, który ma talię kart do sabaka? - zapytał. Po sierści istoty przemknęły lekkie fale.

- To Coruscant, panie majorze - odparł cicho Bothanin.

- Powiedz mu, że będzie nam potrzebny.

Bothanin kiwnął głową, wstał i ruszył do drzwi. Wiadomość szybko rozniosła się po

baraku. Więźniowie zaczęli głośno rozmawiać, żeby nikt nie podsłuchał rozkazów dowódców, którzy zostali przy stole. Wreszcie Ryn uderzył chochlą o koralowy garnek i kilku jeńców zaczęło rozdawać owoce. Rzucali je jak piłki, a koledzy łapali.

Page odwrócił się do więźniów stojących przy otworze drzwiowym baraku.

- Co słyhać na dziedzińcu? - zapytał.

- Idzie do nas ten Coruscant, panie kapitanie - zameldował jeden z wartowników. -

Towarzyszy mu grupa Clak'dorów.

- A Yuuzhańscy strażnicy?

- Nie zwracają na nich uwagi.

Coruscant, wysoki jasnowłosy mężczyzna, wszedł do baraku, wyszczerzył zęby w uśmiechu i rozłożył niczym wachlarz talię kart do sabaka, które wyciął z prostokątnych kawałków skóry.

- Czy dobrze słyszałem, że kogoś tu interesuje rozegranie kilku partii? - zapytał.

Page gestem zasygnalizował jeńcom, żeby utworzyli krąg pośrodku baraku i zaczęli rozmawiać jeszcze głośniejsze. Strażnicy Yuuzhan Vongów zdążyli przywyknąć do hałasu i gestykulacji, a nawet przepychanek towarzyszących czasami grze w karty, więc Page zdecydował, że wszystko powinno wyglądać jak najbardziej naturalnie. Kilkunastu więźniów zaintonowało jakąś piosenkę, a pozostali opowiadali głośno kawały, zastanawiali się nad szansami poszczególnych graczy i robili zakłady.

Do środka kręgu rzekomo podnieconych kibiców, w którym Page i Cracken czekali z holopłytką, przecisnął się jakiś hazardzista rasy ludzkiej, a z nim trzech Bithów i Jenet.

Coruscant rozdał karty.

Człekokształtni i bardzo inteligentni Bithowie byli wybitnymi myślicielami i utalentowanymi artystami, którzy umieli zapamiętywać i analizować niewiarygodne ilości informacji. Towarzyszący im niski, podobny do gryzonia Jenet był za to obdarzony nieprawdopodobnie dobrą pamięcią.

Kiedy Page uznał, że żadna wiadomość ani obraz nie wydostaną się na zewnątrz kręgu, przykucnął, jakby zamierzał przyłączyć się do sabaka.

- Będziemy mieli tylko jedną szansę - zapowiedział, zwracając się do Jeneta. - Jesteś pewien, że dasz sobie radę?

Mysi pyszczek istoty zadrgał z rozbawienia, a Jenet zwrócił czerwone oczy na twarz

kapitana.

- Przecież właśnie dlatego nas pan wybrał, prawda? - zapytał. Page kiwnął głową.

- W takim razie zaczynamy - postanowił.

Z najwyższą ostrożnością położył niewielką płytkę na drewnianej podłodze i włączył urządzenie, lekko naciskając prawym palcem wskazującym. Z płytki wystrzelił w górę odwrócony stożek błękitnego światła. Pojawiło się w nim kilka skomplikowanych matematycznych równań, których Page nie potrafiłby zrozumieć, a tym bardziej zapamiętać czy rozwiązać. Cyfry i symbole zniknęły równie szybko, jak się pojawiły.

Chwilę później holopłytką wydała cichy świst i zaczęła się rozpuszczać.

Page otworzył usta, żeby zapytać Bithów i Jeneta, czy zapamiętali równanie, ale w tej samej chwili na progu baraku pojawił się S'yito w towarzystwie trzech innych strażników. Yuuzhan Vongowie wyjęli z pochew sztylety coufee i rozprostowali wężowate amphistaffy, gotowe w razie potrzeby zadać cios ofierze, ukąsić ją albo opluć śmiercionośnym jadem. Roztrącili więźniów i przepchnęli się do środka kręgu.

- Natychmiast przerwijcie to, czym się zajmujecie! - ryknął podporucznik.

Thum jeńców powoli się rozstąpił i uciszył. Coruscant i rzekomi gracze w sabaka cofnęli się przezornie poza zasięg amphistaffów.

- W czym problem, panie poruczniku? - zapytał Page po yuuzhańsku.

- Odkąd to oddajecie się hazardowym grom w czasie przeznaczonym na posiłek? - zapytał S'yito.

- Założyliśmy się o to, kto dostanie dokładkę. Yuuzhanin spiorunował go spojrzeniem.

- Nie żartuj sobie ze mnie, człowieku - ostrzegł. Page wzruszył demonstracyjnie ramionami.

- Na tym polega moja praca, S'yito - powiedział. Strażnik postąpił krok w jego stronę.

-Natychmiast przerwijcie grę... i to śpiewanie - zażądał. -W przeciwnym razie usuniemy wam te części organizmów, które są za to odpowiedzialne.

Wszyscy Yuuzhan Vongowie odwrócili się i wyszli z baraku.

- Ten gość zupełnie nie ma poczucia humoru - zauważył Coruscant, kiedy uznał, że strażnicy go nie usłyszą.

Stojący w pobliżu Page'a i Crackena więźniowie skierowali spojrzenia na obu oficerów.

- Te dane muszą dotrzeć do władz Sojuszu - oznajmił starszy stopniem oficer.

Młodszy kiwnął głową.

- Kiedy je wysłamy? - zapytał. Cracken zacisnął usta w wąską linię.

- Najlepiej w porze modlitw - zdecydował.

R O Z D Z I A Ł 2

Zanim srebrny android protokolarny, który należał kiedyś - choć krótko - do majora Crackena, uległ zniszczeniu na oczach wszystkich, płonąc na ofiarnym stosie w jamie nieopodal frontowej bramy obozu, ocenił prawdopodobieństwo pomyślnej ucieczki z Selvarisa w przybliżeniu na jeden do miliona. Android nie miał jednak pojęcia o istnieniu syndykatu Rynów ani o planach, jakie tajna organizacja zaczęła wcielać w życie, zanim jeszcze na powierzchni planety zasiano pierwsze koralowe ziarna.

Cracken, Page i pozostali wiedzieli także, że nadzieja krzewi się nawet w najmroczniejszych miejscach. Yuuzhan Vongowie mogli ich torturować albo zabić, ale na terenie obozu nie było nikogo, kto nie zaryzykowałby życia, żeby pozostali mieli szansę przeżyć i kontynuować walkę.

Do świtu pozostawała godzina. Cracken, Page, trzech Bithów i Je-net kucnęli obok wlotu tunelu, wydrążonego przez więźniów rękami, pazurami i wszelkimi narzędziami, jakie udało się im wystrugać albo ukraść podczas kopania ofiarnego dołu. To właśnie w nim kilkadziesiąt robotów i androidów zamieniono w żużel podczas zarządzanej przez obozowych kapłanów rytualnej ceremonii.

Nikt spośród więźniów w baraku już nie spał, niektórzy całą noc nie zmrużyli oka. Spoglądając w milczeniu z pogniecionej trawiastej podściółki, która służyła im za prycze, żalowali, że nie mogą głośno życzyć powodzenia czterem kolegom podejmującym się zadania, które wydawało się z góry skazane na niepowodzenie. Obok otworu drzwiowego stali na straży dwaj jeńcy. Dziedziniec spowijała rzadka mgła, a powietrze było na szczęście dosyć chłodne. Zza obozowego muru dobiegały szczebioty pierwszych budzących się ptaków i coraz głośniejsze porykiwania żyjących w dżungli zwierząt.

- Chcacie, żebym wyjaśnił wam jeszcze raz, na czym polega wasze zadanie? - zapytał szeptem Cracken.

- Nie, panie majorze - odparli równocześnie wszyscy czterej uciekinierzy.

Major pokiwał z powagą głową.

- Niech więc Moc będzie z wami wszystkimi - dorzucił Page w imieniu swoim i pozostałych jeńców.

Niewielki wlot tunelu zasłaniała pryzca Crackena, a maskowały go zamieszkiwane przez roje owadów palmowe liście. Za ruchomą kratą ginął w absolutnej ciemności długi szyb, wydrążony rękami samych więźniów. Zaczęli go kopać pierwsi jeńcy, którzy trafili do obozu na powierzchni Selvarisa, a powiększały go i wydłużały w ciągu wielu następnych miesięcy kolejne grupy schwytanych więźniów. Nierzadko postęp mierzyło się w centymetrach, na przykład wówczas, kiedy kopacze natrafili na przeszkodę w postaci splątanych twardych korzeni, zapuszczonych przez mur z koralu yorik w piaszczystym gruncie. W końcu jednak udało się poprowadzić tunel pod obozowym murem i stumetrowym terenem porośniętym trawami senalak. Zakończono go tuż za pierwszą linią drzew dżungli.

Wymizerowany Jenet wysmarował sierść na twarzy węglem drzewnym i pierwszy zanurkował w głąb otworu. Kiedy w tunelu zniknęli także trzej Bithowie, otwór wlotowy ponownie zamaskowano i zastawiono pryzcą Crackena.

W tunelu zapanowała absolutna ciemność.

Nominalny przywódca uciekinierów Jenet dostał się do niewoli na powierzchni Bilbringi podczas nieudanego ataku na posterunek Yuuzhan Vongów. Inni schwytani wówczas jeńcy wiedzieli, że nazywa się Thorsh, chociaż na jego rodzinnym Garbanie do imienia dołączono by listę osiągnięć i przewinień. Thorsh był wyspecjalizowanym zwiadowcą. Przenikał już do wielu obozowisk i grashali Yuuzhan Vongów na Duro, Gyndinie i innych planetach, więc w ciasnych i mrocznych miejscach czuł się niemal jak w domu. Tunel wydrążony pod powierzchnią Selvarisa wydawał mu się dziwnie przytulny i znajomy. Bithowie, wyżsi od niego, czuli się tutaj trochę gorzej. Byli świetnie rozwinięci fizycznie, a pod względem pamięci i zmysłu węchu mogliby rywalizować z samym Thorszem.

Uciekinierzy nie potrafiliby powiedzieć, ile minut czołgali się w milczeniu, zanim dotarli do pierwszego z kilku ciasnych zakrętów. W miejscu, w którym natrafiono na amorficzną masę korzeni muru z koralu yorik, tunel skręcał pod kątem prostym w prawo. Thorsh domyślił się, że do pokonania została im już tylko porośnięta senalakami spora płaszczyzna wiodąca do pierwszych drzew dżungli.

Był zbyt doświadczonym zwiadowcą, żeby pozwolić sobie na osłabienie czujności, ale nie na wiele mu się to przydało.

Stwierdził, że po upływie miejscowego tygodnia od wykopania tego odcinka korzenie senalaków przebiły sklepienie kiepsko oszalowanego tunelu. Przekonał się, że są równie cierniste jak same łodygi yuuzhańskiej trawy, rosnącej na powierzchni i sięgającej mniej więcej do wysokości kolan.

Przez następnych kilkadziesiąt metrów po prostu nie dało się ich uniknąć.

Kolce rozdzierały na strzępy resztki kombinezonów i mundurów, noszone przez uciekinierów od czasu, kiedy ich schwytano, i zostawiały na ich plecach głębokie krwawiące bruzdy.

Przy każdym spotkaniu z kolcem Thorsh kłął pod nosem; za to powściągliwi jak zwykle w okazywaniu emocji Bithowie znosili ból w całkowitym milczeniu.

Pełna udreki wędrówka skończyła się, kiedy dno tunelu zaczęło się wznosić. Zbiegowie odgadli, że są już blisko przeciwległego krańca pola senalaków. Niebawem wyłonili się na skarpie, na której rosło ogromne drzewo. Jego gruby pień przypominał do złudzenia poskręcane drzewa z planety Dagobah, choć należało do zupełnie innego gatunku. Od obozowego muru, który widniał mniej więcej sto metrów za plecami więźniów, promieniowała słaba zielonkawa poświata. Na najbliższej wieży pełniło służbę dwóch zaspanych strażników z amphistaffami wyprężonymi niczym włócznie, a na sąsiedniej wieży można było dostrzec trzeciego wartownika. Yuuzhan Vongowie wolni od służby na terenie obozu z pewnością modlili się w świątyni.

Dźwięki ich śpiewu, niosące się przez dżunglę wraz z podmuchami słonawego wiatru, nieprzyjemnie kontrastowały z coraz głośniejszym szczebiotem ptaków i brzęczeniem owadów. Pośród koron drzew wciąż jeszcze snuły się widmowe pasma mgiełki.

Jeden z Bithów zbliżył się do Thorsha i wskazał szczupłym palcem na zachód.

- Tam - powiedział.

Jenet wciągnął kilka razy powietrze w nozdrza i kiwnął głową.

- Tam - potwierdził szeptem.

Ruszyli w dalszą drogę. Sięgające dotąd do kostek błoto przemieniło się w mokradła. Wkrótce wszyscy czterej brodzili po pas w czarnej wodzie. Zdążyli przejść mniej więcej pół kilometra, kiedy w dżungli odezwał się alarm. Nie przypominał wcale zawodzenia syren ani ochryplego beczenia klaksonów instalowanych na pokładach gwiazdnych okrętów, ale brzmiał

jak dolatujące ze wszystkich stron coraz głośniejsze brzęczenie.

- Chrząszcze strażnicze - stwierdził chrapliwie jeden z Bithów.

Te podobne do darnioskoczków niewielkie owady reagowały na pojawienie się intruzów albo niebezpieczeństwa szybkim uderzaniem o siebie ząbkowanych skrzydełek. Stworzenia nie pochodziły z Selvarisa ani z żadnej innej planety w galaktyce.

Wbijając głębiej zakończone szponami stopy w gęsty organiczny muł, Thorsh przyspieszył i gestami przynaglił Bithów, żeby dotrzymywali mu kroku.

- Szybko!

Uciekinierzy mogli się już nie obawiać, że ktokolwiek zauważy ich ucieczkę. Odgarniając pianę z powierzchni czarnej mętnej wody, potykali się o korzenie roślin, nie zwracając uwagi, że resztki mundurów zostają na porośniętych kolcami gałęziach drzew czy chropowatej korze poskręcanych lian. Z każdą chwilą brzęczenie strażniczych chrząszczy stawało się coraz głośniejsze, a skupione promienie z kryształów lambent rozcinały półmrok i raz po raz krzyżowały się nad ich głową.

Zza ich pleców, od strony obozowego muru, dobiegło zajadłe szczekanie yuuzhańskich jaszczuropsów gończych, bissopów. Chwilę później w powietrze wzniósł się podobny do rybitwy yuuzhański pojazd atmosferyczny, zwany tsik vai - coś pośredniego między koralowym skoczkiem a kanonierką.

Kiedy uciekinierzy usłyszeli dobiegający z góry donośny skowyt, dali nura w mętą wodę, żeby nikt ich nie zauważył. Thorsh, ociekając wodą i łapczywie chwytając powietrze, wynurzył się po jakiejś minucie. Ujądanie bissopów było teraz głośniejsze, a w przesyconym wilgocią powietrzu dał się słyszeć także odgłos szybkich kroków i gniewne okrzyki.

Świątynia pewnie opustoszała, a Yuuzhanie tworzyli oddziały pościgowe.

Jenet wyprostował się w wodzie i jeszcze raz przynaglił towarzyszy do pośpiechu.

Ślizgając się i potykając, z wysiłkiem przedzierali się przez gęszcz roślinności, aż w końcu dotarli do wschodniego brzegu szerokiego ujścia rzeki. Nad horyzont wychynął rąbek gwiazdy Selvarisa. Przez gałęzie przedarły się długie, poziome smugi różowego blasku i zabarwiły rozplywającą się szybko mgiełkę.

W pewnej chwili jeden z Bithów, spiesząc w stronę wody, ugrzązł po pas w wilgotnym piachu.

Wyciągnęli go trzej pozostali więźniowie, ale zabrało im to dużo czasu. O wiele za dużo.

W powietrzu pojawił się znów koralowy skoczek. Jego pilot ostrzelał ognistymi pociskami ujście rzeki i skraj dżungli. Nad koronami drzew rozkwitły jaskrawe kule, a w powietrzu wzbiły się tysiące spłoszonych ptaków.

- Kapitan Page nie twierdził, że to będzie spacer - odezwał się Thorsh.

- Ani że się nie zamoczymy - dodał Bith, ten, którego wyciągali z przesiąkniętego wodą piasku.

Jenet zmarszczył długi nos i skierował bystre oczy na przeciwny brzeg rzeki.

- Już niedaleko - zawyrokował w końcu. Wskazał widoczną pośrodku rzeki wielką wyspę, na której gnieździły się tysiące ptaków. - Tam!

Weszli do słonawej wody i zaczęli płynąć najszybciej, jak umieli. W końcu od tego zależało ich życie. Poranne niebo było czarne od setek spłoszonych ptaków. Pilot koralowego skoczka zawrócił i wznowił ostrzał ujścia rzeki. Zestrzelone ptaki, spadając do spokojnej wody, wzburzyły jej powierzchnię i zabarwiły ją na czerwono.

W końcu Thorsh i pozostali wygramolili się na wąską plażę wyspy. Od razu poderwali się do biegu w stronę linii cherlawych drzewek i ciemnych krzewów, tylko od czasu do czasu przystając, żeby zorientować się w terenie. Organy powonienia Bithów mieściły się między równoległymi fałdami skóry na policzkach, ale to wrażliwy węch Jeneta skierował wszystkich prosto do miejsca, w którym kilka miesięcy wcześniej Rynowie ukryli dwa wysłużone grawicykle i zamaskowali je płachtami numerycznego brezentu.

Pojazdy, składające się właściwie tylko z silnika i ramy, miały ukośnie ścięte dzioby i uniesione wysoko rękojeści kierownicy. Brakowało w nich ochronnych sieci, a owiewki były niekompletne. Grawicykle skonstruowano jako pojazdy jednoosobowe, ale na długich siodełkach mógł zmieścić się także pasażer... pod warunkiem że będzie na tyle szalony, aby się na to zdecydować.

A raczej pod warunkiem, że nie będzie miał wyboru.

Thorsh wskoczył na siodełko bardziej zardzewiałego pojazdu i włączył zapłon. Repulsorowy silnik obudził się do życia jakby niechętnie. Chwilę się krztusił, ale w końcu zaczął pracować równym rytmem.

- Mamy transport - oznajmił zwięźle.

Jeden z Bithów zajął miejsce na długim siodełku za plecami Jeneta, a niższy z dwóch pozostałych spojrzął powątpiewająco na siodełko drugiego grawicykla.

- Współrzędne punktu docelowego powinny już być wpisane do pamięci nawigacyjnego komputera! - krzyknął Thorsh na tyle głośno, żeby Bithowie usłyszeli go poprzez warkot obu repulsorowych silników.

- Właśnie w tej chwili pokazują się na ekranie! - odkrzyknął pilot drugiego pojazdu.

Trzeci Bith miał wyraźne opory przed wskoczeniem na siodełko grawicykla, ale kiedy nisko nad koronami drzew pojawił się koralowy skoczek, którego pilot wypatrywał uciekinierów, błyskawicznie się zdecydował.

Thorsh zaczekał, aż yuuzhański pojazd zniknie.

- Lepiej się rozdzielimy - zaproponował. - Spotkamy się dopiero w punkcie docelowym.

- Ostatni, który przyleci... - zaczął jego pasażer, ale nie dokończył zdania, bo bithański pilot zwiększył dopływ energii do przepustnicy.

- Miejmy nadzieję, że zjawimy się tam równocześnie - powiedział.

- Właściwie to już koniec partii - odezwał się C-3PO do Hana Solo. - Proponuję, żeby poddał pan resztę figur. Lepiej zrezygnować z dalszej gry niż ryzykować kompromitację.

- Poddać? - Han wycelował kciuk w złocistego androida protokolarnego i spojrzał na żonę. - Wydaje mu się, że z kim rozmawia?

Leia Organa Solo oderwała piwne oczy od stolika z planszą do gry w dejarika i przeniosła spojrzenie na męża.

- Muszę przyznać, że twoja sytuacja wygląda naprawdę niewesoło - stwierdziła.

C-3PO przyznał jej rację.

- Obawiam się, że nie może pan wygrać, kapitanie Solo - dodał.

Han podrapał się machinalnie po brodzie, ale nie oderwał spojrzenia od planszy.

- Nie pierwszy raz ktoś mi to mówi - powiedział.

Wszyscy troje siedzieli w dziobowej ładowni „Sokoła Millenium” wokół okrągłego stołu do gry w dejarika. Stolik był w rzeczywistości projektorem hologramów, a plansza do gry wyglądała jak koncentryczne złote i zielone kręgi. W obecnej chwili widniało na niej sześć figur przedstawiających holopotwory - niektóre rodem prosto z legend, inne istniejące w rzeczywistości, o niemożliwych do wymówienia nazwach.

W okratowanej części pokładu pomieszczenia przycupnęło dwoje ochroniarzy Leii rasy Noghri, Cakhmaim i Meewalha. Zwinne dwunożne istoty miały bezwłosą szarą skórę i wyraźnie widoczne pręgi czaszkowe. Wyglądały jak dzikie drapieżniki, ale Leia wiedziała, że są jej

bezgranicznie oddane. W ciągu długiej wojny przeciwko Yuuzhan Vongom kilkoro Nogrich oddało życie, żeby ocalić kobietę, którą ciągle jeszcze nazywali Lady Vader.

- Chyba nie chce pan powiedzieć, że naprawdę zastanawia się nad następnym ruchem? - zapytał Threepio.

Han spojrzał na niego spode łba.

- A jak ci się wydaje, co robię, patrząc w gwiazdy? - burknął gniewnie. -Ale, kapitanie Solo...

- Ostrzegam, nie ponaglaj mnie!

- Doprawdy, C-3PO - wtrąciła się Leia tonem udawanego zatroskania. - Musisz mu dać czas do zastanowienia.

-Ale, księżniczko Leio, czas na następny ruch niemal dobiegł końca.

Leia wzruszyła ramionami.

- Wiesz, jaki on jest - powiedziała.

- Tak, księżniczko, wiem, jaki on jest - powtórzył jak echo android.

Han spiorunował oboje spojrzeniem.

- Co to ma być, zawody w przedrzeźnianiu? C-3PO aż się wzdrygnął.

- Ależ skąd - zaczął. - Ja tylko...

- Pamiętaj - przerwał Han, ponownie mierząc w niego palcem. - Gra nie jest zakończona, dopóki Hutt nie zapiszczy.

Threepio przeniósł spojrzenie na księżniczkę, jakby szukał u niej wyjaśnienia.

- Hutt zapiszczy? - zapytał.

Han oparł przeciętą blizną brodę w zagłębieniu między palcem wskazującym a kciukiem prawej dłoni i wpatrzył się w planszę. Na początku gry stracił mocarnego kintańskiego skoczka, który padł łupem jadowitego pomarszczonego ślimaka k'lor jego przeciwnika, a później musiał się rozstać ze szczypcorękim ng'okiem, przebitym dzidą socorrańskiego monnoka androida.

W należącym do Hana kwadrancie planszy pozostały już tylko niezdarny i garbaty mantelliański sawip oraz ghhhk o cielsku podobnym do wielkiej bulwy. Tymczasem jego złocisty przeciwnik wciąż jeszcze mógł się poszczycić nie tylko pazurorękim grimtas-shem o pysku jak trąbka i czworonogim ostrozębym houjiksem, ale także dwoma czekającymi w odwodzie tęczowoskórymi alderaanskimi molatorami. Jeżeli Han szybko czegoś nie wymyśli, C-3PO pośle na środek planszy grimtassha i wygra partię.

Nagle przyszło olśnienie.

Spomiędzy zaciśniętych warg Hana wydobył się złowieszczy chichot, a w oczach pojawiły się szelmowskie błyski.

Leia popatrzyła na męża, zanim przeniosła spojrzenie na protokolarnego androida.

- O-o, Threepio - zaczęła. - Nie podoba mi się ten chichot. Han obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

- Od kiedy? - zapytał.

- Zupełnie się z panią zgadzam, księżniczko - odparł zaniepokojony nie na żarty C-3PO.
- Ale naprawdę nie wyobrażam sobie, co mój przeciwnik mógłby zrobić w takiej sytuacji.

Han przycisnął kilka kontrolnych guzików zainstalowanych w krawędzi blatu stołu. Podczas gdy Leia i C-3PO wpatrywali się intensywnie w planszę, mocarny mantolliński savrip Hana zrobił krok w lewo, chwycił ghhhka - jego drugą figurę - i nie przejmując się głośnymi wrzaskami, uniósł go wysoko nad głowę.

Gdyby Threepio miał oczy zamiast fotoreceptorów, na pewno by zamrugał.

- Ale... ale... zaatakował pan swoją figurę! - wyjąkał, wpatrzony w przeciwnika. - Kapitanie Solo, jeżeli to jakaś sztuczka, żeby wyprowadzić mnie z równowagi albo wzbudzić moje współczucie...

- Zachowaj swoje współczucie dla kogoś, kto będzie go potrzebował - przerwał mu Han.
- Podoba ci się czy nie, ale właśnie tak wygląda mój następny ruch.

C-3PO obserwował, jak rzekomo podstępnie napadnięty, piszczący ghhhk skręca się i wije w uścisku szponów savripa.

- Nadzwyczaj denerwujące stworzenie - zauważył. - Ale co wygrana, to wygrana.

Wyciągnął metalową rękę do kontrolnego panelu i polecił, żeby jego grimtassh przeszedł na środek planszy. Zanim jednak stworzenie o ryjku jak trąbka tam dotarło, savrip Hana ścisnął ghhhka tak mocno, że holokrople cennego oleju skórniego zaczęły skapywać na holoplanszę i w mgnieniu oka utworzyły na niej holokałużę. Zmuszony do wykonania ruchu grimtassh Threepia szedł dalej, ale pośliznął się w kałuży oleju ghhhka i runął na grzbiet, a jego trójgraniasty łeb grzmotnął o holoplanszę z taką siłą, że zaczął się rozmywać.

- Ha! - wykrzyknął Han. Zatarł energicznie dłonie, jakby oczekiwał na odpowiedź przeciwnika. - I kto teraz przegrywa?

- Och, Threepio - odezwała się współczująco Leia, przesłaniając dłonią uśmiechnięte

usta.

C-3PO nie odrywał fotoreceptorów od holoplanszy, a w jego głosie dało się słyszeć niedowierzanie.

- Co takiego? Co takiego? Czy to dozwolone? - zapytał, unosząc głowę znad stolika. - Księżniczko Leio, taki ruch nie może być zgodny z regulaminem!

Han pochylił się ku niemu i ściągnął brwi.

- Pokaż mi, gdzie jest taki punkt regulaminu - zażądał.

-Naginanie przepisów regulaminu to jedno, ale to... to... - C-3PO się zająknął. - To jaskrawe pogwałcenie nie tylko reguł, ale przede wszystkim etyki gry! W najlepszym razie pański ruch był podejrzany, a w najgorszym szelmowski!

- Doskonale dobrane określenie, Threepio - pochwaliła księżniczka.

Han usiadł prosto, założył ręce za głowę, zaplótł palce i zagwizdał szyderczą melodyjkę.

- Proponuję, żebyśmy pozwolili księżniczce Leii rozstrzygnąć ten spór - odezwał się protokolarny android.

Han skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego.

- Widać z tego, że nie lubisz przegrywać - zauważył.

- Nie lubię przegrywać? - zachnął się C-3PO. - Ależ ja nigdy...

- Przyznaj to, a będę cię traktował łagodnie do końca gry - przerwał Solo.

Threepio pozwolił sobie na okazanie najwyższego oburzenia, na jakie pozwalało mu protokolarne oprogramowanie.

- Zapewniam pana, że nie muszę odnosić zwycięstw we wszystkich partiach - powiedział. - W przeciwieństwie do mnie pan...

Han roześmiał się głośno i zaskoczony android urwał w pół zdania.

- Threepio, powiem ci jeszcze raz to samo, co mówiłem tysiące razy - oznajmił Solo. - Zawsze musisz być gotów na niespodzianki.

- Jest pan zarozumiały - stwierdził Threepio. Cakhmaim i Meewalha wymienili chrapliwym tonem uwagi i wybuchnęli gardłowym śmiechem, a C-3PO uniósł ręce w geście rezygnacji. - Och, niech wam będzie!

Nagle z konsoli systemu łączności w przeciwległym krańcu ładowni wydobył się ostrzegawczy sygnał. Oboje Noghri zerwali się na nogi, a Leia wstała z otaczającej stółki wyściełanej ławy i pierwsza podbiegła do wyświetlacza komunikatora.

Han obserwował ją ze swojego miejsca, nie wstając.

- Niespodzianka? - zapytał, kiedy żona odwróciła się tyłem do wyświetlacza.

Księżniczka pokręciła głową.

- To ten sygnał, na który czekaliśmy - oznajmiła.

Han zerwał się od stołu i pospieszył za Leią do sterburtowego korytarza. Wychodząc z ładowni, o mało się nie przewrócił o parę wysokich butów, które sam zostawił na progu. Kiedy zaczynał karierę jako przemytnik, „Sokół Millenium” był jego jedynym domem, a obecnie, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, wysłużony frachtowiec znów stał się jedynym domem, nie tylko dla niego, ale także dla Leii. Wszędzie, czy to w kabinach, czy to w dziobowej ładowni, poniewierały się jego przedmioty osobistego użytku, jakby czekały, aż je pozbiera i położy na swoim miejscu. Podobnie wyglądała mesa, którą stanowczo należało posprzątać, a może także okadzić dymem i zdezynfekować. Całe mocno podniszczone wnętrze statku z przypadkową zbieraniną wtryskiwaczy i przyspawanych naprędce części zapasowych zaczynało wyglądać jak wnętrze domu, przytulnego i ukochanego, ale od zbyt dawna zaniedbywanego.

Han zatrzymał się z poślizgiem przed łącznikiem prowadzącym do sterowni i odwrócił się do obojga Noghrich.

- Cakhmaimie, idź do dolnej wieżyczki działka i tym razem pamiętaj, żeby wodzić lufą za celem, nawet jeżeli to wbrew twojej naturze - polecił. - Meewalho, będę cię potrzebował tutaj, żebyś pomogła naszym pakunkom dostać się bezpiecznie na pokład.

W sterowni, przyprawiającej o klaustrofobię i wypełnionej mnóstwem mrugających przyrządów, Leia już przypinała się do fotela drugiego pilota. Kiedy skończyła, zaczęła włączać systemy rozruchowe frachtowca i wyświetlacze przyrządów na pulpitych konsol. Han skoczył na fotel pilota, przypiął się jedną ręką, a drugą zaczął pstrykać dźwigienkami przełączników nad głową.

- Możemy ich już zlokalizować? - zapytał.

- Wciąż jeszcze są w ruchu - odparła Leia. - Ale mogę ich namierzyć.

Han pochylił głowę, żeby przyjrzeć się ekranowi jednego z monitorów.

- Wpisz ich współrzędne do pamięci namiarowego komputera - powiedział. - I włącz zasilanie zestawu topograficznych czujników.

Leia obróciła się z fotelem do stanowiska komunikatora i zaczęła przebierać palcami po kontrolnych klawiaturach.

- Możesz startować - odezwała się po chwili.

Wyrwane z błogiej bezczynności repulsory frachtowca klasy YT—1300 obudziły się do życia. Solo zacisnął palce na rękojeści dźwigni drążka sterowniczego i wystartował z miejsca spoczynku - dna jednego z kraterów na pogrążonej w mroku powierzchni małego księżycy Selvarisa. Przekazał energię do jednostek napędu podświetlnego i obrał kurs omijający zdeformowaną kulę. Chwilę później w iluminatorach ukazała się zielono-niebiesko-biała kula planety.

Han obserwował żonę kątem oka.

- Pamiętasz, żeby polegać nie tylko na wzroku? - zapytał. Leia zamknęła na chwilę oczy.

- Jesteśmy bezpieczni - stwierdziła.

Han uśmiechnął się do siebie. Yuuzhan Vongów nie dawało się wykryć za pośrednictwem Mocy, ale Leia nigdy nie miała problemu z wyczuwaniem kłopotów.

- Po prostu nie chcę, aby ktoś mnie oskarżył, że wykonuję następne niedozwolone posunięcie - powiedział.

Leia obrzuciła go spojrzeniem.

- Najwyżej zuchwałe, tak? - zapytała.

Solo nie przestawał ukradkiem obserwować żony. W ciągu kilku ostatnich niełatwych lat jej twarz nie straciła nic ze szlachetnego piękna. Leia miała skórę równie nieskazitelną jak wówczas, kiedy Han pierwszy raz ją zobaczył... w więziennej celi. Jej długie włosy zachowały połysk, a oczy głęboki, kojąco ciepły wyraz.

Po śmierci Chewiego oboje przeżyli kilka trudnych miesięcy, żona jednak przeczekała jego załamanie, a wszędzie, niezależnie od niebezpieczeństw, na jakie się narażali - przeważnie za przyczyną Hana - czuli się doskonale w swoim towarzystwie. Han uważał, że każda wyprawa i każde ryzyko mają uzasadnienie. Nie chciał przebywać nigdzie indziej, niż był... czyli u boku ukochanej towarzyszkii życia.

Wmawiał sobie, że to śmieszna myśl, ale nie mógł zaprzeczyć, że prawdziwa.

Jakby czytając w myślach męża, Leia obróciła się w jego stronę, uniosła głowę i obrzuciła go powątpiewającym spojrzeniem.

- Jesteś w dobrym humorze jak na kogoś, kto wyrusza na niebezpieczną wyprawę ratunkową - stwierdziła.

Solo zdecydował się rozproszyć jej niepokój.

- To dlatego że wygrana z Threepiem w dejarika uczyniła ze mnie zupełnie innego człowieka - powiedział.

Księżniczka przekrzywiła głowę.

- Mam nadzieję, że niezupełnie innego. - Położyła rękę na dłoni Hana spoczywającej na rękojeści dźwigni drążka, a drugą musnęła bliznę na jego brodzie. - Trzydzieści lat trwało, zanim przyzwyczaiłam się do starego.

- Ja też - oznajmił Han, nagle poważniejąc.

W dyszach wylotowych jednostek napędowych „Sokoła Millenium” ukazał się oślepiający błysk. Frachtowiec zatoczył łuk i skierował się w stronę opromienionej blaskiem dwóch słońc powierzchni Selvarisa.

R O Z D Z I A Ł 3

Thorsh pilotował lecący zygzakami pojazd nisko pochylony, ledwo dosięgając wygiętych ku górze rękojeści kierownicy grawicykla. Przelatywał między skupiskami młodych drzew i roślinności Yuuzhan Vongów, pod pędami winorośli i nad grubymi pniami zwałonych drzew. Gdzie mógł, starał się śmigać jak najniżej nad porośniętą paprociami powierzchnią gruntu. Nie chodziło mu tylko o bezpieczeństwo. Chciał także oszczędzić wymizerowanemu pasażerowi spotkania z kolczastymi winoroślami i ostrymi gałązkami, a także z rojami złośliwych żądłomuch czy innych krwiopijców.

Jego starania nie zawsze jednak odnosiły pożądaný skutek.

- Kiedy się zamieniamy miejscami?! - zapytał w pewnej chwili Bith, bardzo głośno, żeby przekrzyczeć wycie repulsora.

Thorsh zorientował się, że pasażer żartuje, i postanowił odpowiedzieć w podobnym duchu.

- Trzymaj ręce wzdłuż boków i nie stawaj na siodełku!

Gdyby wziąć pod uwagę tylko różnicę ich wzrostu, to Bith powinien kierować grawicyklem, a Thorsh kulić się za jego plecami i zaciskać palce na wsporniku długiego siodełka. Jenet był jednak bardziej doświadczonym pilotem, bo latał grawicyklami podczas wypraw zwiadowczych, ilekroć nie miał do dyspozycji żadnego śmigacza. Wprawdzie jego wielkie

klinowate stopy nie pasowały do podpórek, no i musiał wyciągać ręce na całą długość, aby ścisnąć kierownicę, ale jego wrażliwe oczy z nawiązką równoważyły te niedociągnięcia anatomiczne... nawet jeżeli łzawiły, jak w tej chwili.

Thorsh starał się lecieć nad gęsto zalesionymi obszarami ogromnej wyspy. Wybierał trasę wiodącą między gałęziami najwyższych drzew, które wprawdzie splatały się nad jego głową, ale zapewniały mu osłonę. Silnik grawicykla pracował równomiernie z wyjątkiem chwil, kiedy trzeba było przechylać maszynę, żeby skrócić w prawo, bo wówczas z jakiegoś powodu krztusił się i przerywał. Ze wschodu i z tyłu napływał odgłos silnika drugiego pojazdu, którego pilot także starał się obierać kurs między gęstymi zaroślami. Więźniowie radziliby sobie lepiej, gdyby mogli lecieć nad samym ujściem rzeki, ale pozbawieni osłony gałęzi drzew łatwo padliby łupem pokładowej broni koralowych skoczków. Pilot jednego już dwukrotnie przelatywał nad ich głowa mi, posyłając na oślep kule ognistej plazmy w nadziei, że będzie miał szczęście i trafi uciekinierów.

W porannym powietrzu unosił się gęsty dym z płonącej roślinności.

W pewnej chwili grawicykl wypadł spomiędzy zarośli na pozbawioną drzew równinę. Pokrywał ją biały, lekko różowawy słony piasek, na którym spędzały noce stada brodzących w wodach Selvarisa długonogich ptaków. Pragnąc znaleźć kryjówkę, zanim na niebie pojawi się ponownie koralowy skoczek, Thorsh pokręcił rękojeścią dźwigni przepustnicy i skierował grawicykl w bok, w stronę najbliższego skupiska drzew.

Ledwo zdążył się między nimi schronić, usłyszał dziwny odgłos. W pierwszej chwili pomyślał, że do pościgu przyłączył się następny skoczek, dźwięk brzmiał jednak inaczej... nie słysząc w nim było złowieszczonego syku, jaki wydawały yuuzhańskie pojazdy podczas lotu.

Thorsh wyczuł, że jego pasażer prostuje się na siedelku, jakby chciał rzucić wyzwanie niebezpieczeństwu zagrażającemu od strony mijanych drzew.

- Czy to jest to, co mi się wydaje? - zapytał.

- Wkrótce się przekonamy! - odrzyknął Thorsh.

Ponownie pokręcił rękojeścią dźwigni przepustnicy. Kiedy o niekompletną owiewkę zahaczył podmuch wiatru, rozległ się głośny skowyt, a z oczu pilota znów popłynęły łzy. Okazało się, że jego starania poszły na marne. Urządzenia odpowiedzialne za dziwny hałas przeleciały nad jego głową. Zagłuszyły odgłos pracy silnika grawicykla, a potem go wyprzedziły.

- Lav peq! - wrzasnął Bith.

Thorsh słyszał już tę nazwę. W języku Yuuzhan Vongów oznaczała sieciożuki. Były to nienasycone i bezlitosne krewniaki uskrzydłonych insektów, które postawiły na nogi obozowych strażników. Lav peq potrafiły splatać sieci między drzewami, krzewami i wszelkimi roślinami o gałęziach pokrytych chropowatą korą. Na ogół nadlatywały w kilku falach. Pierwsza przytwierdzała do drzew nici osnowy, a pozostałe, żywiąc się korą i inną tkanką organiczną, żeby mieć z czego snuć własne nitki, uzupełniały tkaninę wątkiem i kończyły koronkową robotę. Dobrze spleciona sieć potrafiła uwikłać albo przynajmniej spowolnić obiekt rozmiarów człowieka. Same nitki były zdradziecko lepkie, chociaż nie unieruchamiały przedmiotów równie skutecznie jak nieprzyjacielski żel blorash.

Przecucie Bitha przerodziło się w ponurą rzeczywistość, kiedy grawicykl przelatywał przez pierwszą falę roju sieciożuków. W ciągu zaledwie kilku sekund o ukośnie ścięty przód osłony silnika roztrzaskało się setki chrząszczy. Thorsh wyłuskał kilka z sierści na czole i odrzucił na bok. Widział przed sobą tysiące innych lav peq, które przedzierały się przez baldachim liści i spadały w głąb dżungli niczym kulki gradu. Zgrzytnął zębami i opuścił głowę. Na szczęście nici, chociaż dosyć wytrzymałe, nie stanowiły przeszkody dla umiejętnie pilotowanego grawicykla.

Pięćdziesiąt metrów przed nim powstawała pierwsza siatka. Na jej widok Jenet skrzywił się, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ciśniej spleciona niż te, które widywał na powierzchniach innych planet, była częściowo przesłonięta przez drzewa. Dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że miejscowy gatunek sieciożuków musi mieć szczególne właściwości. Połowa roju leciała poziomo na różnych wysokościach, a druga śmigła z góry na dół i z dołu do góry. W wyniku ich pracy tworzyła się plecionka niczym gęsta kurtyna, która mogła - na ile Thorsh się zorientował - uwięzić grawicykl równie łatwo jak pajęczyna nocną ćmę. Wyciągnął nogi do tyłu i rozpląszczył się na obudowie silnika. Siedzący za nim Bith pisnął z przerażenia, ale postanowił pójść w ślady pilota i przytulił się do jego pleców.

Thorsh przekręcił rękojeść przepustnicy do oporu i skierował grawicykl w miejsce, gdzie rosło stosunkowo niewiele drzew. Lecąc z prędkością przekraczającą dwieście kilometrów na standardową godzinę, pojazd rozerwał pierwsze nitki plecionki i wdarł się w drugą kurtynę. Każda następna darła się z odgłosem brzmiącym jak wrzask. Lecące w straży tylnej sieciożuki zderzały się z osłoną silnika niczym miękkie żywe pociski, a bithański pasażer raz po raz krzyczał z bólu. W pewnej chwili grawicykl się zakołysał, a repulsorowy silnik wydał ostry

skowyt na znak protestu. Thorsh próbował odzyskać panowanie nad maszyną szarpaną z boku na bok przez lepkie nici. Wreszcie postanowił zaryzykować i zwiększył pułap lotu, zaraz jednak na własnej skórze przekonał się, że to nie był dobry pomysł. W najwyższych partiach dżungli czyhało na nich jeszcze groźniejsze niebezpieczeństwo: między rosnącymi wysoko gałęziami drzew gnieździły się roje krwiożerczych igłoowadów.

Wyciskając z przeciążonego silnika resztki energii, starał się nie zwalniać prędkości lotu i w końcu przedarł się przez ostatnią organiczną plecionkę. Lepkie nici, gotując się na osłonie przegrzanego repulsora, wydzielały kłęby gryzącego dymu. Thorsh zakasłał kilka razy, żeby się pozbyć nici z gardła, i zgarnął następnę, które przesłaniały mu oczy.

Unieruchomił grawicykl w powietrzu tylko na tak długo, żeby oczyścić wyloty dysz i osłonę wentylatora. Spojrzał do tyłu i zauważył, że jego klnący pasażer wygląda, jakby miał na głowie długą białą perukę. Sięgnął prawą ręką do pokrętła dźwigni przepustnicy, a przez głośny świergot ptaków przedarł się pełen bólu wrzask. Chwilę później usłyszał znajomy ryk i zobaczył drugi grawicykl, ale leciał nim tylko pilot.

- Spadł, kiedy przelatywaliśmy przez te siatki! - krzyknął Bith, starając się przekrzyczeć warkot krztuszącego się silnika swojej maszyny. Pokręcił rękojeścią dźwigni przepustnicy i zmniejszył do minimum prędkość obrotową. - Wracam po niego!

Thorsh wypluł jeszcze kilka nici i obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Nie bądź idiotą - warknął przez zaciśnięte zęby.

- Na pewno jeszcze żyje...

- Liczy się, że ty żyjesz - uciał Jenet. Kiwnął głową, wskazując na zachód. - Tam. Ujście rzeki. Ruszaj w drogę - rozkazał.

Zakręcił ostro w miejscu i ponownie skierował grawicykl między drzewa tak gwałtownie, że siedzący za jego plecami Bith musiał mocno chwycić szczątki bluzy jego lotniczego munduru. W pewnej chwili przedarli się przez gęstą dżunglę porastającą brzeg ujścia rzeki i znaleźli w pełnym blasku obu słońce Selvarisa. Usiłując wycisnąć jeszcze większą prędkość z szybko słabnącego silnika, Thorsh zatoczył łagodny łuk i skierował maszyną nad słonawą wodę, którą ściekające z drzew substancje organiczne barwiły na czarno. Jakiś czas lecieli z największą możliwą prędkością na wysokości zaledwie kilku metrów nad spokojną powierzchnią rzeki. Od czasu do czasu mijali ujścia wijących się strumieni, niosących wpływającą spod powierzchni planety idealnie czystą wodę, pełną ryb o jaskrawo ubarwionych

łuskach.

Nagle od strony brzegu, który pozostał za ich plecami, napłynęło szczekanie i warczenie psów bissop. Thorsh domyślił się, że nieprzyjacielskie ogary galopują przez bagna i przeskakują nad kępami ostrej jak brzytwa yuuzhańskiej trawy. Chrapliwym powarkiwaniom towarzyszyły wojenne okrzyki Yuuzhan Vongów biegnących za stadem bissopów. Jenet skręcił w samą porę, żeby uniknąć roju ogłuszających chrząszczy i brzytwożuków, które niespodziewanie wyleciały spomiędzy drzew. Dzięki jego nagłemu manewrowi niektóre żywe pociski minęły grawicykl o centymetry i wbiły się w przeciwległy brzeg rzeki.

Zwabione niezwykłym zamieszczeniem ławice ostrozębych wodnych drapieźników, o żebrowanych grzbietach i zębatych ogonach, zaczęły wyskakiwać z wody, żeby pożreć yuuzhańskie pociski. Z zagrzybionych dziupli uschłych drzew wyleciały potwory o ogromnych, szerokich skrzydłach i pikując, chwytają te żuki, których nie upolowały drapieżne ryby. Thorsh ściągnął rękę kierownicy i zaczął szybko zwiększać pułap lotu. Zauważył, że przy ujściu rzeki powierzchnia wody jest bardziej wzburzona w miejscu, w którym fale oceanu wdzierają się w głąb bagnistego lądu. Dostrzegł też na akwamarynowej toni setki porośniętych zielonymi krzewami małych wysepek o białych, niemal pionowych skalnych brzegach. Z daleka wyglądały jak wieże. Na horyzoncie wystawał z wody stożkowaty czynny wulkan, z którego krateru wydobywały się kłęby dymu. W miejscu, gdzie do oceanu wpadała spływająca po zboczu rzeka lawy, nad powierzchnią wody unosiła się chmura oparów.

Thorsh uniósł głowę i omiół spojrzeniem niebo w poszukiwaniu koralowych skoczków. Zauważył, że równoległe do niego, w odległości mniej więcej kilometra na wschód leci drugi grawicykl. Kiedy znaleźli się nad oceanem, piloci obu maszyn jeszcze bardziej zwiększyli wysokość, żeby nie zahaczyć o wzburzone fale, i skierowali się w stronę wąskiego przesmyku oddzielającego najbliższe wyspy od brzegu.

- Uważaj! - zawołał w pewnej chwili Bith prosto do prawego ucha Jeneta. Wyciągnął długą rękę i pokazał ciemny punkcik, widoczny w oddali na zachodnim niebie.

Thorsh spojrzał w tamtym kierunku, kiwnął głową i zmeł w ustach przekleństwo.

Yuuzhan Vongowie nazywali to tsik vai. Podobny do rybitwy yuuzhański statek był atmosferycznym patrolowcem. Jego pilot mógł powiększać górną część pojazdu i nadawać jej jaskrawoczerwoną barwę jako znak dla pozostałych pilotów, że wypatrzył tych, których szuka. Napędzany przez wrażliwego na siłę ciężenia dovin basala groźny potwór miał przezroczystą

kabinę, elastyczne skrzydła i odpowiedniki skrzeli, które wydawały skowyt podczas lotu.

Thorsh chwycił mocniej rękojeści kierownicy i napał na urządzenia sterownicze, żeby skierować grawicykl w stronę najbliższej wyspy. Zamierzał zbliżyć się do białych zboczy tak blisko, jak się da.

Pilot yuuzhańskiego tsik vai najwyraźniej nie przejął się jego manewrem. Zapikował w stronę niewielkiego łupu i wypuścił kilka cienkich nici chwytnych.

Thorsh obniżył pułap lotu jeszcze bardziej i zaczął lecieć nisko nad wzburzoną powierzchnią oceanu. W pewnej chwili raptownie skręcił i lecąc metr nad grzywaczami fal, z największą możliwą prędkością skierował grawicykl w kierunku cieśniny oddzielającej go od najbliższej wyspy. Pilot patrolowca Yuuzhan Vongów także zmniejszył wysokość i przygotował się do następnej próby schwytania zbiegów, gdy nagle coś go zatrzymało.

Zdezorientowani Jenet i Bith zauważyli, że tsik vai zbacza z kursu, traci skrzydło i koziółkuje w locie. Domyślili się, że pilot stracił kontrolę nad pojazdem. Yuuzhański patrolowiec z głośnym pluskiem zderzył się z powierzchnią oceanu, odbił się dwukrotnie od wzburzonych fal, a w końcu zanurkował dziobem i zatonął. Jednocześnie na wschodzie, ledwo widoczny pod jaskrawe słońca, zaczął się zniżać z prędkością poddźwiękową duży obiekt, pomalowany matowym czarnym lakierem.

Thorsh doszedł do wniosku, że to pewnie jeszcze jeden statek Yuuzhan Vongów, którego pilot zdecydował się zestrzelić ziomka, żeby samemu się pochwalić zniszczeniem grawicykla i schwytaniem uciekinierów.

Przesłał energię do silniczków hamowniczych, wytracił część prędkości i obrócił maszynę w powietrzu. Miał nadzieję, że ucieknie tajemniczemu statkowi, zanim jego pilot go namierzy. Podświadomie czekał, aż poszybują ku niemu pierwsze ogniste kule. Kiedy się nie doczekał, obejrzał się przez ramię w samą porę, żeby zobaczyć nadlatujący z bezchmurnego nieba stary frachtowiec w kształcie dysku z dziobem przypominającym szczęki. Kiedy pilot statku zatoczył krąg nad jego grawicyklem, Thorsh poczuł falę żaru i usłyszał świdrujący w uszach basowy dźwięk. Chwilę później z luf dolnych działek statku pomknęły w kierunku trójki koralowych skoczków jaskrawozielone błyski energii.

Pilot frachtowca powitał uciekinierów kołysaniem statku z burty na burtę, po czym zatoczył łagodny łuk i skierował się na południe.

- Wygląda na to, że i my powinniśmy tam lecieć! - oznajmił Jenet.

- I że inni mają jeszcze gorsze kłopoty niż my! - odkrzyknął Bith.

Kilka celnych błysków z górnej wieżyczki frachtowca trafiło w dziób lecącego na czele koralowego skoczka, który zagotował się i runął do wody.

Piloci dwóch pozostałych yuuzhańskich myśliwców nadal jednak posyłali ku frachtowcowi ogniste kule plazmy. Jeden z nieprzyjacielskich pilotów, prawdopodobnie rozczarowany, że nie może pokonać ochronnych pól statku, wziął na cel grawicykl pilotowany przez samotnego Bitha. Trafiona pojedynczą płonąca kulą maszyna zniknęła bez śladu pod wzburzoną powierzchnią oceanu.

Thorsh zacisnął szczęki i skierował grawicykl nad głębszą wodę. Kiedy maszyna zaczęła muskać białe grzywy pięciometrowych fal, spod powierzchni oceanu wychynął ogromny kształt.

- Cakhmaim wyrasta na znakomitego strzelca - odezwał się Han głośno, żeby żona go usłyszała mimo hałaśliwej pracy czterolufowych działek. - Przypomnij mi, żebyś dał mi podwyżkę... albo awans.

Leia obróciła się z fotelem drugiego pilota i spojrzała na męża.

- Ochroniarzowi? Na kogo, może na naczelnego kamerdynera? - zapytała.

Han wyobraził sobie Noghriego w oficjalnej liberii, jak podaje posiłki w dziobowej kabinie „Sokoła”. Skrzywił się i parsknął krótkim śmiechem.

- Może powinniśmy poczekać, jak poradzi sobie z pozostałymi skoczkami - powiedział.

Pilot frachtowca klasy YT-1300 zakończył łagodny łuk, po którym oba słońca Selvarisa znalazły się po stronie sterburty. Prosto na kursie na tle błękitnego nieba sterczał czynny wulkan, a w dole wznosiła się zwieńczona zieloną czapą roślinności niewielka wyspa o pionowych białych ścianach. Wyłaniała się z akwamarynowego oceanu, który ciągnął się jak okiem sięgnąć po horyzont.

Za rufą „Sokoła” nadal leciały jak przyklejone dwa skoczki. Ich piloci ostrzeliwali frachtowiec i wiernie powtarzali wszystkie skomplikowane manewry i uniki, ale na razie ochronne pola spisywały się bez zarzutu.

Han ścisnął rękojeść dźwigni drążka sterowniczego i spojrzał na ekran monitora urządzenia namiarowego, ale zobaczył na nim tylko jedną pulsującą plamkę.

- Gdzie podział się drugi grawicykl? - zapytał.

- Straciliśmy go - odparła księżniczka.

Han pochylił się w stronę iluminatora, przeszukując wzrokiem wzburzoną powierzchnię

oceanu.

- Jak mogliśmy go stracić... - zaczął.

- Chciałam powiedzieć, że już po nim - przerwała Leia. - Zestrzelił go pilot jednego z tamtych koralowych skoczków.

W oczach Hana pojawiły się mordercze błyski.

- A to łajdak - zaczął. - Który?

Zanim Leia zdążyła odpowiedzieć, obok sterowni przeleciały dwie ogniste kule plazmy. Płonęły jaskrawo niczym meteory i prawie otarły się o sterburtową żuchwę.

- A czy to ma jakieś znaczenie? - zapytała księżniczka. Han pokręcił głową.

- A gdzie pierwszy grawicykl? - zapytał.

Żona przyjrzała się punkcikowi na ekranie monitora i wydała polecenie wyświetlenia mapy z czujnika terenu, który pokazywał okolicę, począwszy od ujścia rzeki, a skończywszy na czynnym wulkanie. Postukała w ekran czubkiem lewego palca wskazującego.

- Po drugiej stronie tamtej wyspy - oznajmiła.

- Ścigają go jakieś skoczki? - zainteresował się Solo.

Nagle donośna eksplozja za rufą statku zakołysała nim z burty na burtę.

- Wszystko wskazuje na to, że to my jesteśmy głównym celem - oznajmiła księżniczka. - Dokładnie jak lubisz.

Han zmrużył oczy.

- Możesz iść o zakład, że tak - powiedział.

Zdecydowany odciągnąć uwagę prześladowców od uciekinierów, zaczął raptownie zwiększać pułap lotu „Sokoła”. Kiedy pokonał mniej więcej połowę odległości od gwiazd, równie niespodziewanie wprowadził frachtowiec w przyprawiający o mdłości korkociąg. W pewnej chwili wyrównał pułap lotu, po czym wykonał pół pętli i pół beczki, żeby uzyskać stuosiemdziesięciostopniową zmianę kierunku. Kiedy zobaczył prosto na kursie oba koralowe skoczki, popatrzył na żonę i szelmowsko się uśmiechnął.

- I kto tu teraz wydaje rozkazy? - zapytał. Księżniczka wypuściła powoli powietrze z płuc.

- Czy kiedykolwiek ktoś miał jakieś wątpliwości? - zapytała. Han skupił uwagę na obu nieprzyjacielskich myśliwcach. W ciągu

ostatnich lat wojny yuuzhańscy piloci, którzy się znaleźli w beznadziejnych sytuacjach,

nie wykazywali już tak powszechnych samobójczych skłonności jak w pierwszym okresie działań zbrojnych. Prawdopodobnie otrzymali taki rozkaz od samego najwyższego lorda Shimrry albo po prostu kogoś, kto zdołał ich przekonać, że w podobnych okolicznościach uznanie wyższości przeciwnika bywa rozsądniejsze niż odwaga. Piloci obu skoczków doszli chyba do wniosku, że lepiej będzie uciec niż podejmować walkę z pilotem frachtowca, którego nie pokonały kule plazmy. Han nie zadowolił się jednak wysłaniem obu Yuuzhan do domu. Nie mógł zapomnieć, że jeden z nich odpowiada za śmierć kierującego nieuzbrojonym grawicyklem pilota, dla którego uratowania przeleciał połowę galaktyki. Włączył mikrofon hełmofonu.

- Posłuchaj, Cakhmaimie - zaczął. - Będę kierował stąd ogniem dolnych działek. Zapędzimy ich na Ścieżkę Wypląty i pozbędziemy się raz na zawsze.

Ścieżką Wypląty nazywał Han obszar, w którym nakładały się pola ostrzału obu czterolufowych działek „Sokoła”. W awaryjnych sytuacjach mógł kierować ich ogniem ze sterowni, ale obecny przypadek tego nie wymagał. Co więcej, pragnął dać Cakhmaimowi szansę doskonalenia techniki strzelania. Oboje Solo powinni tylko pilotować frachtowiec w taki sposób, żeby strzały z obu działek skrzyżowały się w pożądanym miejscu.

Sądząc po tym, jak piloci koralowych skoczków zareagowali na niespodziewany zawrót bojowy „Sokoła”, Han niemal mógłby uwierzyć, że nieprzyjaciele usłyszeli, co powiedział do Noghriego. Pilot pierwszego skoczka - bardziej pokiereszowanego, pokrytego zwęglonymi plamami i głębokimi kraterami po trafieniach na kadłubie -jeszcze bardziej przyspieszył, zostawił skrzydłowego i zboczył z kursu pod ostrym kątem. Pilot mniejszego i szybszego myśliwca był chyba bardziej doświadczony, bo nagle zwolnił, prawdopodobnie w nadziei, że prześladowca przeleci przed dziobem jego skoczka i wystawi się na ogień strzałów.

Han doszedł do wniosku, że to właśnie ten Yuuzhanin zestrzelił grawicykl z samotnym Bithem, postanowił więc, że to on pierwszy narazi się na ogień „Sokoła”.

Leia także się tego domyśliła i od razu wpisała parametry kursu na przechwycenie.

Nieprzyjacielski pilot zorientował się, że go przechytrzone, i zaczął wykonywać rozpaczliwe uniki. Raz po raz wchodził na linię ognia działek frachtowca, ale równie szybko z niej schodził. W końcu jednak pilot „Sokoła” zajął dogodną pozycję do strzału i w manewrach nieprzyjaciela pojawiła się panika. Han zaprogramował dolne działko w taki sposób, żeby dawało ognia seriami po trzy strzały. Nawet po wielu latach wojny taka technika prowadzenia ognia wciąż jeszcze wywodziła w pole dovin basale starszych i prawdopodobnie głępszych skoczków.

Yuuzhański myśliwiec szybko wytworzył grawitacyjne anomalie, które pochłonęły energię pierwszej i drugiej laserowej błyskawicy, ale trzecia dotarła do celu i wyrwała ogromną bryłę koralu yorik z wachlarzowatego ogona myśliwca. Han trącił lekko rękojeść dźwigni drążka sterowniczego, żeby nieprzyjacielski skoczek pozostał na Ścieżce Wypłaty, i lewym kciukiem przycisnął spust zdalnie sterowanego mechanizmu celowniczego dolnego działka. Nieprzerwane serie strzałów z obu czterolufowych działek ostrugały koralowy kadłub do połowy początkowej objętości. Chwilę później skoczek się rozpadł i we wszystkie strony poszybowały rozżarzone bryły koralu yorik.

- To za zestrzelenie pilota grawicykla - mruknął ponuro Solo i zwrócił uwagę na drugi koralowy skoczek, którego pilot wykonywał szaleńcze uniki na tle bezchmurnego nieba, rozpaczliwie starając się uniknąć podobnego losu.

Przeleciawszy „Sokołem” przez szczątki pierwszego skoczka, Han przyspieszył i zaczął ostrzeliwać z góry drugi myśliwiec Yuuzhan Vongów. Kiedy czworokąt celowniczy zapłonął czerwonym blaskiem, a w sterowni rozległ się ciągły sygnał namierzenia celu, ponownie odezwały się oba czterolufowe działka. Ostrzeliwały nieprzyjaciela serią po serii, aż zniknął w chmurze koralowego pyłu i rozżarzonych do białości gazów.

Oboje Solo wznieśli radosne okrzyki, po czym Han zbliżył usta do mikrofonu hełmofonu.

- Niezły strzał, Cakhmaimie - pochwalił Noghriego. - Dwa zero dla porządných gości.

Księżniczka popatrzyła uważnie na męża.

- Zadowolony? - zapytała w końcu.

Zamiast odpowiedzi Han odepchnął rękojeść dźwigni drążka sterowniczego i zaczął czekać, aż „Sokół” osiągnie pułap dziesięciu metrów nad powierzchnią wzburzonego oceanu.

- Gdzie nasz pilot grawicykla? - odezwał się w końcu.

Leia miała gotową odpowiedź.

- Jeżeli zmienisz wektor lotu o sześćdziesiąt stopni, znajdziesz go prosto przed dziobem „Sokoła” - oznajmiła.

Han dokonał poprawki kursu i zobaczył, że pilot grawicykla leci na niewielkiej wysokości nad powierzchnią wody. Na siodełku zobaczył dwóch bardzo różniących się od siebie uciekinierów. Ich maszynę ścigało ledwie widoczne pod powierzchnią ogromne oliwkowoszare stworzenie, za którym ciągnęło się coś w rodzaju długiego ogona.

Han otworzył usta ze zdumienia.

- Co to takiego? - zapytała Leia.

- Threepio, chodź tu! - zawołał Han, nie odrywając oczu od podwodnego stwora.

C-3PO, lekko się chwiejąc, wszedł do sterowni i zacisnął złociste dłonie na oparciu fotela nawigatora. Nie zamierzał stracić równowagi, co zdarzało mu się zbyt często.

Solo wyciągnął rękę w stronę iluminatora, żeby pokazać, o co mu chodzi.

- Co... to... jest? - spytał, wyraźnie akcentując każde słowo.

- O rety - zaczął protokolarny android. - Wydaje mi się, że to coś w rodzaju żywej łodzi podwodnej Yuuzhan Vongów. Yuuzhanie określają ją mianem vangaaka. Słowo pochodzi od czasownika „zanurzyć się”, ale w tym przypadku czasownik został zmodyfikowany, żeby mógł oznaczać...

- Daruj sobie ten wykład yuuzhańskiego języka - przerwał Solo. - Po prostu powiedz mi, jak to zabić!

- No cóż, chyba powinien pan wziąć na cel tę spłaszczoną wypukłość, wyraźnie widoczną na powierzchni grzbietu - odparł android.

- Strzał prosto w łeb - domyślił się Solo.

- Właśnie, strzał prosto w łeb - powtórzył Threepio.

- Hanie - wtrąciła Leia. - W naszą stronę lecą cztery następne koralowe skoczki.

Solo przesunął rękę na jedną z dźwigni na kontrolnej konsolce i „Sokół” przyspieszył.

- Nie mamy ani chwili do stracenia - stwierdził ponuro. - Threepio, powiedz, żeby Meewalha włączyła zasilanie mechanizmu ręcznego opuszczania rampy ładowniczej. Będę tam za chwilę.

Leia przyglądała się, jak mąż rozpina kłamy ochronnej uprząży.

- Wnioskuje z tego, że nie zamierzasz lądować - powiedziała. Han pocałował ją w policzek i wstał.

- Nie, jeżeli nie zostanę do tego zmuszony - stwierdził ponuro.

Pilot grawicykla starał się utrzymać maszynę na wysokości ośmiu metrów, żeby pozostawać poza zasięgiem kłapiących szczęk yuuzhańskiego vangaaka, który o mało go nie pożał, kiedy wynurzył się na powierzchnię wody.

Gdyby yuuzhańscy tropiciele i ich warczące bestie nie czekali na niego na bagnistym

brzegu, Thorsh może zdecydowałby się zawrócić w stronę lądu. Najgorsze, że cztery punkciki na północnym niebie były prawie na pewno koralowymi skoczkami. Ich piloci lecieli najszybciej jak mogli, żeby pomóc dwójce kolegów, których zawzięcie ścigał pilot frachtowca klasy YT-1300. Jenet zdecydował się skierować myśliwiec nad otwarty ocean, w stronę wulkanu, wokół którego wysokość fal sięgała dziesięciu metrów.

Obaj uciekinierzy czuli na poranionych twarzach i dłoniach ukłucia słonego wodnego pyłu. Ścigający ich vangaak szybko zmniejszał odległość, ale widocznie nie dysponował odpowiednikami torped, bo nie kierował ich w stronę grawicykla. W pewnej chwili Thorsh usłyszał radosny okrzyk Bitha:

- Vangaak zniknął! Zanurzył się i przestał nas ścigać!

Thorsh nie miał pojęcia, czy się cieszyć, czy może niepokoić, ale kres jego rozterkom położył sam vangaak. Oliwkowoszary trójkąt wyskoczył spod powierzchni wzburzonego oceanu przed grawicyklem, wypuścił strumienie wody z otworów grzbietowych i szeroko otworzył pełną zębów ogromną paszczę.

Jenet zmusił wysłużoną maszynę, żeby dała z siebie wszystko, na co ją stać. Zaczął nabierać wysokości, ale nie dość szybko, żeby umknąć koszmarnemu potworowi. W pewnej chwili usłyszał wrzask przerażenia i poczuł, że jakaś siła ściąga z jego pleców resztki bluzy lotniczego kombinezonu. Uwolniony od ciężaru grawicykl zaczął się wznosić szybciej, ale zarazem stracił na prędkości. Zdezorientowany Thorsh obejrzał się przez ramię. Zobaczył swojego pasażera między zębami vangaaka. Bith miał usta szeroko otwarte w bezgłośnym krzyku i pozbawione wyrazu czarne oczy, a w garści wciąż jeszcze ścisnął kurczowo strzępy jego lotniczej bluzy. Nie było jednak czasu na gniew ani rozpacz, bo repulsorowy silnik grawicykla ponownie obudził się do życia. Thorsh skręcił w bok i oddalił się od potwora, ale jego maszyna zaczęła tracić wysokość.

Chwilę później ogłuszył go donośny ryk. Niespełna piętnaście metrów od niego pojawił się czarny frachtowiec klasy YT-1300. Leciał nisko, niemal ocierając się spodem kadłuba o szczyty największych fal. Piloci czterech koralowych skoczków otworzyli ogień z dużej odległości, a ich kule plazmy zaczęły ryć parujące bruzdy w białych grzywaczach.

Ze sterburtowego ramienia cumowniczego wysłużonego frachtowca zwiślała opuszczona rampa ładownicza i Thorsh od razu zrozumiał, co ma zrobić. Pilot statku chciał, żeby uciekinier zbliżył się do burty frachtowca i wleciał do środka przez wąski otwór. Jenet skrzywił się z

rezygnacją. Nie był pewien, czy podoła temu wyzwaniu. Dobrze znał możliwości grawicykla i - co jeszcze ważniejsze - swoje rozpaczliwe położenie. Do lecącego powoli frachtowca zbliżały się szybko cztery koralowe skoczki, a chociaż potworna bestia na razie się zanurzyła, to w każdej chwili mogła znów wyskoczyć spod powierzchni oceanu. Thorsh nie miał wielkich szans, żeby dotrzeć w porę do burty statku. Frachtowiec był wprawdzie wyposażony w potężne pola ochronne, które wytwarzał wojskowy generator, ale pilot musiał raz po raz dokonywać drobnych korekt położenia w pionie i poziomie, które jeszcze bardziej zmniejszały szanse Thorsha przelecenia przez niewielki otwór włazu statku.

W końcu jednak z twarzy Jeneta zniknęła rezygnacja, a jej miejsce zajęło skupienie.

Tylko on jeden pozostał przy życiu spośród osób, którym powierzono zadanie przekazania zapisanej w pamięci holopłytki niezwykle ważnej informacji. Musiał dać z siebie wszystko; musiał wykonać zadanie. Zaciśnął dłonie na kierownicy grawicykla i skierował maszynę ku azyłowi matowocznego kadłuba statku.

Han przykucnął u szczytu opuszczonej rampy i zerknął w dół, na kotłujące się najwyżej dwadzieścia metrów niżej spienione fale. Przez otwór włazu razem ze słonym wodnym pyłem wpadały podmuchy wiatru, który rozwiewał włosy Hana i nieustannie zmuszał go do mrużenia oczu.

- Kapitanie Solo - odezwał się stojący w głównym korytarzu See-Threepio. - Księżniczka Leia kazała panu powiedzieć, że do frachtowca zbliża się grawicykl. Wszystko wskazuje na to, że jego pilot ma nadzieję dostać się na pokład „Sokoła Millenium” i liczy na to, że nie odniesie poważnych obrażeń ani nie poświęci życia podczas tej próby.

Oślupiały Han spojrzał z niedowierzaniem na złocistego androida.

- Poświęci życie? - powtórzył jak echo.

- Ma znikome szanse dostania się na pokład w jednym kawałku - wyjaśnił C-3PO. - Byłoby inaczej, gdyby pilotował raketowy skuter, ale grawicykle słyną z tego, że są bardzo kapryśne i z najbliższe-go powodu zmieniają trajektorię lotu.

Solo pokiwał ponuro głową. Kiedyś sam uczestniczył w wyścigach grawicykli, wiedział więc, że C-3PO się nie myli. Ciekaw był, czy w podobnej sytuacji sam dokonałby tej sztuki.

- Schodzę! - zdecydował w pewnej chwili. Threepio pochylił złocistą głowę.

- Słucham pana? - zapytał.

Han wskazał na siebie i na dolną część pochylni.

- Idą na dół rampy! - wykrzyknął na tyle głośno, żeby Threepio go usłyszał.

- Proszę pana, jestem pełen złych przeczuć... - zaczął android, ale wycie wichury zagłuszyło resztę jego odpowiedzi.

Pełznąąc na czworakach, Han dotarł do stóp rampy, skąd mógł słyszeć, jak o spód wieżyczki dolnego działka „Sokoła” rozbijają się grzywacze najwyższych fal. Po sekundzie usłyszał charakterystyczny warkot. Uniósł głowę i zobaczył, że grawicykl powoli zbliża się do rampy. W pewnej chwili jego pilot, Jenet, oderwał prawą dłoń od kierownicy i na krótko uniósł rękę, żeby mu pomachać. Solo dostrzegł, że nawet przy tak nieznacznym ruchu grawicykl się zakołysał. Doszedł do wniosku, że Jenet absolutnie nie może sobie pozwolić na oderwanie od kierownicy także drugiej ręki... tym bardziej że repulsory „Sokoła” powiększały chaos panujący na powierzchni oceanu.

Zastanowił się nad wyjściem z sytuacji. Po chwili odwrócił się do Threepia.

- Powiedz Leii, że przechodzimy do planu B! - wrzasnął.

Zdezorientowany android uniósł metalowe ręce na wysokość złocistej głowy.

- Kapitanie Solo, na sam dźwięk pańskich słów wpadam w przerażenie!

Han wymierzył w niego wskazujący palec.

- Idź i powiedz to Leii, Threepio! - rozkazał. - Na pewno zrozumie, o co chodzi.

- Plan B? - zapytała zdezorientowana księżniczka.

- Zareagowałem dokładnie tak samo, proszę pani - wyjaśnił C-3PO urażonym tonem - Ale czy kiedykolwiek ktoś mnie słucha, jeśli daję wyraz niepokoju?

- Nie martw się, Threepio - próbowała go uspokoić Leia. - Na pewno Han wie, co robi.

- Pani słowa nie uśmierzają mojego zdenerwowania, księżniczko - stwierdził protokolarny android.

Leia odwróciła się z powrotem do konsoly i omiotła spojrzeniem pulpity z przyrządami. Zachodziła w głowę, co też może oznaczać plan B. O co może chodzić mojemu mężowi? - pomyślała. Skupiła myśli wyłącznie na nim i uśmiechnęła się, bo nagle zrozumiała.

Naturalnie...

Nie odrywając spojrzenia od wyświetlaczy przyrządów, zaczęła przestawiać dźwigniki przełączników. Kiedy skończyła, rozsiadła się wygodniej na fotelu drugiego pilota i pogrążyła w zadumie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, doszła w końcu do wniosku, że to się uda... chociaż będzie oznaczało konieczność obrócenia frachtowca wokół pionowej osi. Cóż, pozostaje

tylko mieć nadzieję, że silniczki hamujące nie odmówią posłuszeństwa i statek nie runie do wody.

Spojrzała przez ramię na Threepia, który z najwyższym niepokojem śledził jej wszystkie ruchy.

- Powiedz Hanowi, że wszystko gotowe - poleciła.

- O rety - odezwał się android, ale odwrócił się i wyszedł ze sterowni. - O rety.

-

Piloci czterech koralowych skoczków szybko zmniejszali odległość dzielącą ich od czarnego frachtowca. Wystrzeliwane przez nich plazmowe pociski łądowały w spienionej wodzie między statkiem a grawicyklem. Kiedy jedna z ognistych kul pograżyła się w morskiej toni niespełna dziesięć metrów od pojazdu, Thorsh odruchowo skulił się na siodełku. Spod powierzchni oceanu strzelił wysoko w powietrze gejzer wrzącej wody i przegrzanej pary, której podmuch wprawił grawicykl w kołysanie.

Mimo to pilot frachtowca utrzymał statek na kursie, a artylerzysta górnego działka, ostrzeliwując nieprzyjaciół seriami laserowych błyskawic, nie pozwalał się im zbliżyć na odległość celnego strzału. U stóp opuszczonej rampy kulił się jakiś mężczyzna. Obejmując lewą ręką teleskopowo składany element hydraulicznego siłownika, prawą dłonią wykonywał gesty, które na wielu planetach sugerowałyby, że uważa rozmówcę za osobnika niespełna rozumu. W obecnej sytuacji jednak te gesty oznaczały coś wręcz przeciwnego... chociaż nie dałoby się zaprzeczyć, że tylko szalenie mógłby się na to zdecydować.

Na samą myśl o tym, co proponuje mu pilot frachtowca, Thorsh przełknął z wysiłkiem ślinę.

W pewnej chwili mężczyzna wyprostował się, odwrócił i pospieszył w górę rampy.

Thorsh zwolnił trochę i zajął pozycję za rufą statku. Chwilę potem przez wysilony warkot silnika jego grawicykla przebił się hałas pracujących silniczków hamujących i repulsorów frachtowca.

A jeszcze później frachtowiec, nie tracąc nic z prędkości, obrócił się wokół pionowej osi o dziewięćdziesiąt stopni na sterburtę, dzięki czemu rampa ładownicza znalazła się niemal dokładnie przed rozkołysanym grawicyklem.

- Wlatuj! - przynaglił Han, chociaż Jenet nie mógł go usłyszeć. - Teraz!

Siedział w sterowni na fotelu pilota i zaciskał dłonie na drążku sterowniczym. W tym

czasie Leia, muskając palcami rękojeść dźwigni przepustnicy silniczków manewrowych, pomyślnie zakończyła obrót statku o dziewięćdziesiąt stopni. Han leciał bokiem i mógł widzieć cztery koralowe skoczki, które jeszcze przed sekundą znajdowały się za rufą „Sokoła”. Widział także grawicykl, kołyszący się z boku na bok w odległości zaledwie piętnastu metrów od stępnego końca sterburtowego ramienia cumowniczego. Chcąc zmniejszyć prawdopodobieństwo, że Jenet wleci za szybko i roztrzaska głowę o jakąś przegrodę albo kadłub nad rampą, zrównał czołową składową prędkości „Sokoła” z prędkością lotu grawicykla.

- Przyspiesza! - zameldowała w pewnej chwili księżniczka.

- Threepio, Meewalho! - krzyknął Han, oglądając się przez ramię. - Nasz gość wlatuje na pokład!

W prawej połówce iluminatora zobaczył Jeneta, który raptownie przyspieszył i skierował grawicykl w stronę wąskiego wjazdu „Sokoła”.

Han odwrócił się do żony.

- Teraz! - powiedział.

Księżniczka umiejętnie przekazała energię do silniczków utrzymujących statek w położeniu poziomym i pozwoliła, żeby kadłub zrobił resztę obrotu w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. W następnej chwili echo przyniosło z korytarza stłumione łaskoty i trzaski.

Po każdym donośnym brzdęk i łup Han zamykał oczy i kulił się na fotelu pilota. Machinalnie oceniał możliwe uszkodzenia, ale w myśli trzymał kciuki w nadziei, że Jenet jednak wyjdzie zwycięsko ze spotkania z metalową grodzia ramienia cumowniczego frachtowca.

Zaczekał, aż na pulpicie zapłonie czerwone światelko sygnalizujące zamknięcie rampy i uszczelnienie wejściowego wjazdu, po czym szarpnął ku sobie rękojeść dźwigni drążka sterowniczego. „Sokół” śmignął świecą w niebo i przeleciał między ognistymi kulami, którymi razili go bez przerwy piloci koralowych skoczków. Operator czterolufowego działka odpowiedział seriami jaskrawozielonego spójnego światła, wyraźnie odcinającego się od wzburzonej powierzchni oceanu.

- Kapitanie Solo, nasz gość żyje! - wykrzyknął C-3PO dramatycznym tonem. - Wszyscy przeżyliśmy!

Han powoli wypuścił powietrze z płuc i rozsiadł się wygodniej na fotelu pilota, nie odrywając zaciśniętych palców od rękojeści dźwigni drążka sterowniczego. Kiedy „Sokół”,

kołysząc się z burty na burtę, przelatywał nad szczytem czynnego wulkanu, widoczni daleko za rufą piloci nieprzyjacielskich myśliwców już chyba zrezygnowali z dalszego pościgu. Solo śmignął przez gęste kłęby dymu i wulkanicznego popiołu, który przesłonił bijącą z dysz wylotowych oślepiająco jasną błękitną poświatę. Kiedy frachtowiec przekraczał połowę prędkości światła, na progu sterowni pojawił się oszołomiony Jenet. Jednym obnażonym ramieniem obejmował Meewalhę, a drugim Threepia.

- Musisz mieć bardzo wytrzymałą czaszkę - odezwał się na jego widok Solo.

Lei a uśmiechnęła się lekko i spojrzała na męża.

- Nie tylko on ma twardą głowę - stwierdziła.

Han zerknął na nią z udawaną pretensją i kiwnął głową w stronę Noghrianki.

- Zaprowadź naszego gościa do dziobowej kabiny i zatroszcz się o wszystko, czego może potrzebować - powiedział.

- Przyniosę pakiet medyczny - zaproponowała Leia, wstając z fotela drugiego pilota. Zdjęła hełmofon i położyła go na pulpicie kontrolnej konsoly, po czym ponownie spojrzała na męża. - Widzę, że jednak ci się udało - dodała.

- Nam się udało - uściślił Solo i wyciągnął ku niej obie ręce. - Najwyraźniej nie jesteś za stara na takie rzeczy.

- Jestem pewna, że ty też nie spowaźniałeś - odcięła się żartobliwie księżniczka.

Han przyjrzał się jej z uwagą.

- A co, ty spowaźniałaś? - zapytał.

Żona pogładziła go po policzku.

- Stanowisz poważne zagrożenie nie tylko dla siebie, ale także dla wszystkich w swoim otoczeniu - westchnęła. - Ale i tak cię Kocham, Hanie.

Solo uśmiechnął się szeroko i zaczął czekać, aż żona wyjdzie ze sterowni.

R O Z D Z I A Ł 4

W liściastej altance, jedynym miejscu zapewniającym trochę cienia na obozowym dziedzińcu, siedział Malik Carr. Yuuzhańskiego komendanta obozu wachlowało dwóch jaszczuropolodopodobnych Chazrachów z ziarnami niewolniczego koralu wystającymi z czoła.

Wyjątkowo wysoki i szczuplejszy niż większość ziomków Carr miał na sobie szeroką jak spódnica przepaskę biodrową barwy wyschniętej kości, a na głowie ozdobioną zawilim wzorem opaskę, której końce wplótł w długie włosy, aż utworzył się sięgający pasa warkocz. Twarz i pierś Carra zdobiły tatuaże i blizny dokumentujące jego pełen chwały okres służby jako wojownika, ale najświeższe pozwalały wszystkim odgadnąć, że kiedyś pełnił o wiele bardziej odpowiedzialną funkcję. Mimo że obecnie był tylko komendantem, obozowi strażnicy darzyli go niezmiennym szacunkiem, jakby w dowód wdzięczności za niezachwianą lojalność okazywaną kaście wojowników i YunYammce, bogowi wojny.

Nie starając się nawet ukrywać gniewu, podporucznik S'yito podszedł szybko do altanki i zasalutował, uderzając się skrzyżowanymi pięściami w barki.

- Panie komendancie, więźniowie się budzą - zameldował.

Carr przeniósł spojrzenie na środek obozowego dziedzińca, gdzie major Cracken, kapitan Page i prawie pięćdziesięciu innych oficerów klęczało z rękami skrępowanymi na plecach. Wszyscy byli przywiązani do wbitych w piaszczysty grunt drewnianych pali. Niektórzy mrugali, żeby się ocknąć, inni kręcili głowami, a jeszcze inni starali się zwilżyć językiem zeschnięte i spękane wargi. Oba słońca Selvarisa znajdowały się niemal w zenicie i nad oślepiająco jasnym piaskiem unosiły się drżące fale nieznośnego żaru. Na okrywających kościste ciała więźniów łachmanach widniały plamy potu, którego krople spływały także po ich nieogolonych twarzach lub zmierzwionej sierści.

Carr wstał, wyszedł na lejący się z nieba żar i ruszył przez dziedziniec w towarzystwie S'yita i dwunastu wojowników. Stanął przed Crackenem i Page'em i ujął się pod boki. Po chwili dołączył do niego kapłan usmarowany od stóp do głów zakrzepłą czarną krwią. Carr milczał, dopóki się nie upewnił, że obaj więźniowie oprzytomnieli na tyle, że uświadamiają sobie swoje położenie.

- Mam nadzieję, że drzemka przyniosła wam ulgę - zaczął w końcu. - Spójrzcie jednak, jak długo spalicie. - Uniósł twarz ku niebu i przyłożył dłoń do ukośnie ściętego czoła. - Już prawie południe!

Spuścił głowę, zaplótł palce rąk za plecami i zaczął się przechadzać przed szeregiem klęczących jeńców.

- Kiedy nasze chrząszcze strażnicze podniosły alarm, że niektórzy spośród was znaleźli się poza obozowym murem, do wszystkich baraków nakazałem wpuścić czujślimaki, które

wydzielają usypiający gaz. Obudzenie się po czymś takim nigdy nie jest przyjemnym przeżyciem. Bóle głowy, nudności, podrażniona śluzówka nozdrzy... Pocięsam się tylko na myśl, że wszyscy mieliście kolorowe sny.

Zawrócił, przystanął przed brodatym Page'em i zdecydował się okazać część trawiącego go gniewu.

- Nadejdzie jednak czas, kiedy nawet w snach nie znajdziecie ukojenia - warknął. - Będziecie wspominać z rozrzewnieniem okres spędzony w tym obozie.

Kiedy jeszcze przed świtem dowiedział się o ucieczce więźniów, w pierwszej chwili chciał owinąć szyję tkunem i ukłuciem pazura nakłonić żywą garotę, żeby odebrała mu życie. Po niepowodzeniach w przestworzach Fondora, do jakich dopuścił ponad trzy standardowe lata wcześniej, został zdegradowany i mianowany komendantem obozu dla jeńców wojennych na odległym krańcu inwazyjnego korytarza. Najgorsze jednak, że na odległym Yuuzhan'tarze osoby, które wówczas dorównywały mu znaczeniem -jak Nas Choka, kapłan Harrar czy choćby Nom Anor - awansowały i zostały mianowane członkami dworu najwyższego lorda Shimrry.

Na myśl o tym, że mógłby popaść w jeszcze większą niełaskę, Carr znenawidził sam siebie. Nie był pewien, czy zniesie taką hańbę. W końcu jednak doszedł do wniosku, że jeżeli rozegra to sprytnie, może jeszcze obrócić porażkę na swoją korzyść. Nie powinien dopuścić, żeby wojenny mistrz Nas Choka dowiedział się o ucieczce jeńców, a w ostateczności może przedstawić ją jako element starannie przemyślanego planu, którego celem miało być uzyskanie informacji o komórkach miejscowego ruchu oporu. Dzięki temu uda mu się wreszcie wyrwać z więzienia, na jakie skazało go przeznaczenie. Pocięszając się tą nadzieją, z prawdziwą ulgą powitał wiadomość, że zarządzony za uciekinierami pościg zakończył się częściowym powodzeniem. Dwóch jeńców zginęło, a trzeci został schwytany... Czwartemu jednak udało się uciec z powierzchni planety na pokładzie nieprzyjacielskiej kanonierki.

Carr odwrócił się do S'yita.

- Sprowadzić schwytanego więźnia! - rozkazał.

Podporucznik i dwaj inni wojownicy zsalutowali, odwrócili się i pobiegli do frontowej bramy obozu. Pojawili się po chwili, ciągnąc niemal nagiego Bitha, który sądząc z wyglądu, padł ofiarą sieci tkanej przez lav peq. Carra ogarnęła euforia, kiedy zobaczył wyraz osłupienia i przerażenia na twarzach Page'a, Crackena i pozostałych więźniów... mimo że zaraz pojawiły się na nich wściekłość i nienawiść do strażników, którzy bez ceregieli rzucili jeńca twarzą na piasek.

Carr stanął nad Bithem. Podrapana bezwłosa głowa uciekiniera krwawiła, a ręce i nogi były skrępowane organicznymi kajdankami.

- Udało się nam schwytać żywego tylko tego jednego. Trzej inni zginęli... - Carr świadomie zawiesił głos, żeby zarejestrować, jakie wrażenie wywarło jego kłamstwo na twarzach pozostałych jeńców. - No cóż - podjął po chwili. - Wielka szkoda, prawda? Tyle wysiłku i taki mizerny skutek. Mimo to muszę przyznać, że ich ucieczka wywarła na mnie pewne wrażenie. Świetnie wydrążony i oszalowany tunel, starannie zamaskowane maszyny latające... o mało nie zapomniałem, jakimi tchórzami jesteście, skoro w ogóle pozwoliliście się nam wziąć do niewoli.

Pochwycił wściekle spojrzenie Page'a i odwrócił się do krępego kapitana.

- Na wasz widok zbiera mi się na mdłości - odezwał się tonem najwyższej pogardy. - Zapraszamy do udziału w bitwach żony, towarzyski życia i potomków, ale wolicie się poddawać, zamiast walczyć do ostatka. Pokonani, nie okazujecie ani odrobiny wstydu. Czasami zresztą walczyacie dalej, ale bez większego przekonania. - Gestem pokazał leżącego Bitha. - Przynajmniej ten udowodnił, że wciąż jeszcze go stać na odrobinę odwagi.

Zaczął się znów przechadzać przed szeregiem więźniów.

- Przyznaję jednak, że wasza ucieczka rozbudziła moją ciekawość - ciągnął obojętnym tonem. - Na ile znam istoty rasy Bith, ten osobnik prawdopodobnie mógł przeżyć w dżungli, żywiąc się jagodami i owocami, jakie pozwalam sprowadzać do waszych baraków. Pytanie: dlaczego wolał okazać nieposłuszeństwo i narazić życie wszystkich pozostałych? Jediną logiczną odpowiedzią jest to, że wszyscy zawiązaliście spisek, żeby pomóc im w ucieczce. Najprawdopodobniej chodziło o przekazanie jakiejś ważnej wiadomości. Czyżby taki był cel ucieczki?

Machnął lekceważąco ręką.

- Wkrótce do tego powrócimy - zapowiedział. - Tymczasem należy przykładowo ukarać wszystkich, którzy ponoszą prawdziwą odpowiedzialność. - Popatrzył gniewnie na Crackena i Page'a, po czym przeniósł spojrzenie na S'yita. - Podporuczniku, wydaj rozkaz, żeby wojownicy stanęli w dwóch szeregach. Niżsi w jednym, wyżsi w drugim.

Podwładny powtórzył rozkaz po yuuzhańsku i wojownicy posłusznie go wykonali.

- A teraz - ciągnął Carr - niech niżsi zabijają wyższych.

S'yito zasalutował i z posępnym wyrazem twarzy przekazał rozkaz wojownikom.

Skazani na śmierć nie zaprotestowali i nie zamierzali się bronić, kiedy ginęli od ciosów

coufee albo amphistaffów. Po kolei padali na powierzchnię gruntu, a czarna krew rozlewała się po piasku. Z otworów i szczelin w murze z koralu yorik wypełzły podobne do jęzorów ngdiny, żeby zlizać wszystko, co nie wsiąkło w porowatą glebę.

Carr zaczekał, aż stworzenia uporają się z oczyszczeniem gruntu, po czym podszedł do Bitha i uklęknął przy nim na jedno kolano.

- Wykazałeś się tak wielką odwagą, że z prawdziwym bólem musiałbym skazać cię na haniebną śmierć - odezwał się. - W ostatnich chwilach życia mógłbyś się okryć jeszcze większą sławą, gdybyś zechciał mi wyjawić, dlaczego próbowaliście uciec. Nie zmuszaj mnie, żebym siłą wyciągnął z ciebie prawdę.

- Wal śmiało, Clak'dorze! - odezwał się Pash Cracken. - Powiedz mu, co wiesz!

- Wykonywał tylko rozkazy - dodał Page, wbijając spojrzenie w Carr'a. - Jeżeli chcecie kogoś ukarać, nam wymierzcie karę.

Carr wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W swoim czasie, kapitanie, w swoim czasie - powiedział. - Podejrzewam, że gdybyście wiedzieli to, co usiłuję wyciągnąć z tego zbiega, sami podjęlibyście próbę ucieczki.

Wstał, odwrócił się i podszedł do altany. Schylił się i wyjął spod siedzenia tkuna, którego tego ranka miał ochotę zacisnąć wokół swojej szyi, po czym wrócił do Bitha. Owinął grube, długie stworzenie wokół cienkiej szyi zbiega.

- Nazywa się tkun - oznajmił na użytek pozostałych więźniów. - Zazwyczaj jest łagodny, ale kiedy się go sprowokuje, okazuje niezadowolenie, owijając się wokół przedmiotu, na którym spoczywa. Pozwólcie, że wam to zademonstruję...

Zawiesił głos i dźgnął tkuna pazurem wskazującego palca prawej ręki.

Page i pozostali zaczęli przeklinać i miotać się w nadziei, że uwolnią się z więzów.

Leżący na piasku Bith rozpaczliwie usiłował zaczerpnąć powietrza. Carr przyglądał się mu z obojętnym wyrazem twarzy.

- Niestety, kiedy tkun dławi ofiarę, nie da się go nakłonić do zwolnienia uścisku. Trzeba go zabić - stwierdził, ponownie klękając obok jeńca. - Powiedz mi, dlaczego tak desperacko starałeś się uciec z tego wspaniałego miejsca, jakie dla was przygotowaliśmy? Wyrecytuj informację, którą miałeś przekazać.

Bith odwrócił się na bok, wsparł na łokciu, uniósł głowę i plunął na Yuuzhanina.

- Mogłem się tego spodziewać - stwierdził Carr, ocierając twarz. Ponownie dźgnął tkuna,

który zacisnął się jeszcze mocniej wokół szyi nieszczęśnika. Czarne oczy w twarzy Bitha mało nie wyszły z orbit, a pomarszczona twarz i czaszka przybrały siną barwę. - Z przyjemnością zabiję tkuna, jeżeli tylko wyjawisz mi, co chcę wiedzieć.

Bith poczołgał się chwilę po piasku, ale zaraz opadł niczym wyjęta z wody ryba.

Carr dźgnął tkuna trzeci raz.

Z gardła Bitha wydobył się charkot, a potem istota zaczęła recytować serie liczb i wzory. Zaciekawiony komendant pochylił się i zbliżył ucho do ust ofiary. Słuchał jakiś czas i w końcu spojrzał w górę na kapłana.

- Co to ma być? - zapytał.

- Na pewno jakieś obliczenia - odparł zapytany. - Prawdopodobnie matematyczne równanie.

- To jest to, o co ci chodzi! - wykrzyknął Page. - Powiedział ci! Zabij to przekłete stworzenie, zanim będzie za późno!

Carr zacisnął poznaczone bliznami wargi.

- Tak, rzeczywiście coś mi wyjawił - przyznał niechętnie. - Ale co?

Bith powtórzył liczby i wzory.

- Czy to jakiś kod? - zapytał go Carr. - Posłuchaj rady swoich dowódców. Zostałeś już bohaterem. Nie musisz nadal dowodzić swojego poświęcenia!

Z twarzy i czaszki Bitha zniknął wszelki kolor, a spomiędzy pomarszczonych warg wydarło się przeciągłe rżenie.

Carr pokręcił powoli głową, jakby ogarnął go smutek. Wyciągnął z pasa przytrzymującego przepaskę coufee i pogрузzył je w ciele tkuna. Stworzenie wyprężyło się i zdechło, a komendant wstał i spojrzał na Page'a.

- Wygląda na to, że wasz towarzysz zabrał tajemnicę do grobu - stwierdził ponuro.

Page odwzajemnił mu się morderczym spojrzeniem, na co yuuzhański komendant tylko wzruszył ramionami i odwrócił się do S'yita.

- Zaprowadzić więźniów do ofiarnego dołu, w którym spłonęły ich piekielne maszyny - rozkazał. - Wypełnić dół po brzegi i dopilnować, żeby jeńcy zostali w nim do jutra w południe. Niech słońca Selvarisa zdecydują, którzy zasługują na przedłużenie życia.

Na dziedziniec wysypał się cały oddział yuuzhańskich strażników. Carr zaczekał w cieniu, aż odwiążą więźniów od pali i postawią na nogi. Podążył w ślad za procesją przez

obozowe wrota do jamy, w której spopielono dziesiątki automatów.

- Podporuczniku, nie ma wątpliwości, że podczas tej ucieczki nasi zbiegowie korzystali z pomocy kogoś spoza obozu - powiedział. - Weź oddział wojowników i zabij wszystkich mieszkańców sąsiednich osad.

S'yito zasalutował i pobiegł z powrotem do obozu. Kapitan Page oznajmił, że pierwszy chce wejść na przerzucony na drugą stronę ofiarnego dołu drewniany pomost.

- Za chwilę, kapitanie - odparł Carr, stając na krawędzi jamy. - Proponuję ci ostatnią szansę: możesz spędzić tę noc na posłaniu z gałązek i liści zamiast na stosie szczątków waszych bluźnierstw.

- Wolałbym umrzeć - prychnął Page z niesmakiem. Komendant pokiwał melancholijnie głową.

- Czekaj cię to niedługo tak czy owak - zapowiedział.

Page wskoczył bez słowa do mrocznego dołu, a Carr odwrócił się i ruszył w kierunku osobistego grashala.

A więc to jakiś kod, pomyślał ponuro.

Mógł się tego spodziewać. Ciekawe tylko, czego by się dowiedział, gdyby potrafił go złamać. Spojrzał w oślepiająco jasne niebo, zastanawiając się, dokąd mógł polecieć statek z jedynym ocalałym uciekinierem na pokładzie.

R O Z D Z I A Ł 5

W sterowni „Sokoła Millenium” zawyła alarmowa syrena informująca o zbliżaniu się jakiegoś obiektu. Donośny dźwięk rozpraszał uwagę Hana, zmniejszył więc jego natężenie, a Leia postanowiła się upewnić, że frachtowiec ominie powód alarmu.

- Zjawisko sejsmiczne? - zainteresował się Solo.

Leia pokręciła głową.

- Hapańskie pulsująco-grawitacyjne miny interdyscyjne - oznajmiła. - Najnowszy wynalazek.

Oświetlone blaskiem gwiazd ładunki wybuchowe za zaokrąglonym iluminatorem „Sokoła” wyglądały jak asteroidy. Pokładowe skanery frachtowca miały jednak na ten temat inne

zdanie, co potwierdzało początkowe przecucia obojga Solo. Za pasem skalnych brył widać było skąpaną w blasku słońca brązowo-błękitną planetę, wokół której krążyły sztuczne satelity i dwa spore księżyce.

- Wygląda na to, że w dzisiejszych czasach nie można być zanadto ostrożnym - mruknął Han.

- Zwłaszcza jeżeli się jest tak blisko Perlemańskiego Szlaku Handlowego - dodała jego żona.

Han wskazał unoszącą się w przestworzach orbitalną stację, składającą się z kulistych modułów i wielu doków.

- Stocznie - poinformował.

- Wyglądają na opuszczone - zauważyła księżniczka.

- Przypuszczam, że celowo - stwierdził Solo.

Lecąc zygzakami przez pole minowe, zbliżyli się do powierzchni planety. Kiedy frachtowiec znajdował się mniej więcej w połowie odległości między księżycami, z głośnika komunikatora rozległ się głos:

- „Sokole Millenium”, tu Kontrola Lotów Contruuma. Pozwólcie, że pierwsi powitamy was w imieniu generała Crackena i członków jego sztabu.

Contruum było ojczyzną Airena Crackena i jego równie sławnego syna Pasha. Planeta miała doskonale rozwinięte hutnictwo i nieduże stocznie umożliwiające budowę gwiazdnych statków. Niektórzy uważali, że jest najbardziej podobną do światów Jądra galaktyki planetą usytuowaną z daleka od Jądra. Przypominała pod tym względem Eriadu, chociaż miała znacznie mniej spustoszone środowisko naturalne. Z pewnością po tej stronie Środkowych Rubieży nie dałoby się znaleźć żadnej planety, która mogłaby się z nią równać. Na prawdziwy cud zakrawało, że do tej pory umknęła uwagi Yuuzhan Vongów. Cały czas szczerze wspomagała Galaktyczny Sojusz w toczonej przez niego wojnie, co mogło przyczynić się do jej zguby, ale zarazem czyniło z niej wzór poświęcenia i odwagi.

- Proszę państwa, generał Cracken chciałby się dowiedzieć, czy udało się wam odzyskać chociaż część zgubionych przez nas pakunków - zagadnął operator Kontroli Lotów Contruuma.

Leia zbliżyła usta do mikrofonu komunikatora.

- Proszę przekazać generałowi, że wracamy tylko zjedną z czterech paczek, które mieliśmy zabrać - powiedziała. - Dwie zostały bezpowrotnie stracone i mamy powody uważać,

że jedna wróciła do miejsca, z którego została wysłana.

- Przykro nam to słyszeć, księżniczko - usłyszała w odpowiedzi.

- Witamy w klubie - dodał Solo.

- „Sokół Millennium” ma zgodę na wlot do systemu - poinformował operator. - A może chciałby pan, kapitanie, żebyśmy was ściągnęli?

- Wolelibyśmy poradzić sobie sami, jeżeli nie robi wam to różnicy - odparł Han.

- Naturalnie, że nie, panie kapitanie - stwierdził operator. - Przekazujemy do pamięci pańskiego komputera nawigacyjnego współrzędne trajektorii lotu i parametry lądowiska.

Han i Leia obserwowali, jak dane pojawiają się na ekranie. Księżniczka powiększyła mapę trasy lotu.

- Same liczby - oznajmiła.

- W tych czasach nigdy nie dość ostrożności - odparł Han. Dokonał nieznacznej poprawki trajektorii lotu „Sokoła”. Jeżeli

nie liczyć kilku niegroźnie wyglądających statków, leniwie krążących po stacjonarnej orbicie planety, w miejscowych przestworzach nie było widać żadnej jednostki. Zamiast jednak lecieć prosto w kierunku gęsto zaludnionego, równikowego pasa planety, Han skierował frachtowiec w stronę krążącego po najciaśniejszej orbicie księżycy Contruuma, który wyglądał jak srebrzysta kula, opasana górskimi łańcuchami i poznaczona kraterami po trafieniach meteorytów.

- Największy krater, odrobinę po stronie sterburty - stwierdziła Leia.

Han trącił rękojeść dźwigni drążka sterowniczego.

- Mam - powiedział.

Nic nie wskazywało na to, żeby właśnie ten krater był miejscem lądowania, nic także nie dowodziło, że znajduje się tu baza wojskowa. Han zaczął wytracać wysokość i skierował dziób „Sokoła” w stronę bliższej, wschodniej krawędzi krateru.

Leia pokręciła głową z podziwem.

- Mogłabym przysiąc, że jest pusty - oznajmiła.

- To holoprojekcja maskująca magnetyczne pole, które ma zapobiegać ucieczce atmosfery - wyjaśnił Han. - Od dłuższego czasu nikt się nie posługuje podobnymi technikami.

Księżniczka pokiwała ze smutkiem głową.

- Bo od dawna nie było takiej potrzeby - przypomniała.

„Sokół” przeleciał przez coś, co wyglądało jak skaliste dno krateru, do znajdującej się pod nim sztucznie wydrążonej olbrzymiej groty i spoczął na sześciobocznej platformie ładowniczej, pokrytej trochę zatartymi symbolami i cyframi. Wnętrze ukrytej bazy tętniło życiem. Zaparkowany w pobliżu transportowiec nosił nazwę „Dwanaście Ton”, taką samą jak żyjące na powierzchni Contruuma zwierzę pociągowe. Han przypomniał sobie, że w opustoszałych obecnie gwiazdnych stoczniach projektowano kiedyś i konstruowano smukłe niszczyciele, którym nadawano przeważnie górnolotne nazwy, na przykład „Wstrzemięźliwość”, „Roztropność” czy „Sprawiedliwość”...

Wyłączenie wszystkich pokładowych systemów i podzespołów zajęło mu kilka minut. Leia poprosiła Cakhmaima i Meewalhę, żeby zostali na pokładzie w towarzystwie Threepia, który potraktował to niemal jak osobistą zniewagę. W końcu oboje Solo i ocalony Jenet skierowali się do wyjściowego wjazdu. U szczytu rampy ładowniczej Han przystanął na chwilę, żeby ocenić nieznaczące uszkodzenia wyrządzone przez grawicykl, którego szczątki wyrzucono za burtę jeszcze w przestworzach Selvarisa, zanim „Sokół Millennium” dokonał skoku do nadprzestrzeni.

Na platformie ładowniczej czekała na nich eskorta w postaci funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa, sanitariuszy i medycznego androida. Towarzyszyła im krzepka, śniadoskóra młoda kobieta, która oznajmiła, że jest adiutantką generała Crackena. Sanitariusz od razu otoczyli Thorsha. Delikatnie obmacywali kończyny, klatkę piersiową i oglądali głowę podobną do lwiego łba.

- Wyglądasz, jakby cię wleczono przez cierniste chaszczki - odezwał się w końcu jeden z nich.

Thorsh prychnął pogardliwie przez nos.

- Raczej mnie przez nie przegoniono - powiedział. - Ale dzięki, że to dostrzeegliście.

- Zrobiliśmy dla niego, co się dało - stwierdziła Leia.

Ten sam sanitariusz obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem.

- Każdy lekarz na polu walki byłby dumny, gdyby udało mu się zrobić przynajmniej tyle dla swoich pacjentów - powiedział.

Medyczny android skończył badanie i wydał serię melodyjnych dźwięków.

- Wymizerowany, ale poza tym zdrowy - oznajmił niskim tonem.

Pani major Ummar, adiutantką Crackena, skwitowała jego uwagę kiwnięciem głowy.

- Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy udać się prosto do sali odpraw - oznajmiła.

Han odwrócił się do Jeneta i uśmiechnął z przymusem.

- Dobra robota, Thorsh - powiedział. - Przy okazji postawimy ci obiad.

Uciekinier wzruszył ramionami.

- Wszyscy mamy swoje role do odegrania - oznajmił. - Idę tam, dokąd mnie posyłają i robię to, co mi każą.

- A wszyscy pozostali na tym korzystają- dokończyła księżniczka, kładąc rękę na kolczastym ramieniu Jeneta. - Nie mam najmniejszego pojęcia, jaką przynosisz informację, ale to musi być coś bardzo ważnego.

Thorsh ponownie wzruszył ramionami.

- Sam chciałbym to wiedzieć - powiedział.

Han doszedł do wniosku, że Jenet nie chce wyjawić treści komunikatu bynajmniej nie z powodu troski o bezpieczeństwo. Po prostu naprawdę nie wiedział, jaką wiadomość zarejestrowali funkcjonariusze wywiadu w pamięciowej pułapce jego mózgu.

Oboje Solo nie uszli daleko, kiedy obok nich wylądował śmigacz. Na ławce za rodiańskim kierowcą repulsorowego pojazdu siedzieli generał Wedge Antilles i mistrz Jedi Kenth Hamner.

- Wedge! - wykrzyknęła Leia mile zaskoczona.

Przystojny ciemnowłosy mężczyzna wyskoczył z kabiny śmigacza. Leia objęła go i uściskała, a Han wylewnie potrząsnął jego wyciągniętą prawicą.

Wedge uwolnił się z objęć Leii i przeniósł spojrzenie na jej męża.

- Witaj, szefie - powiedział.

Obaj mężczyźni znali się niemal od trzydziestu lat, od czasu bitwy o Yavin, kiedy Antilles towarzyszył Luke'owi Skywalkerowi podczas ataku na Gwiazdę Śmierci. W przestworzach Endora odegrał bardzo ważną rolę w zniszczeniu Drugiej Gwiazdy Śmierci, a w początkowym okresie Nowej Republiki wyróżnił się podczas niezliczonych operacji jako dowódca Eskadry Łotrów, a także innych jednostek bojowych. Podobnie jak wielu weteranów galaktycznej wojny domowej, on i jego żona Iella zrezygnowali z emerytury, żeby wziąć udział w wojnie z Yuuzhan Vongami. Podczas walk o Borleias Wedge powołał do życia tajną grupę oporu, zwaną Wtajemniczonymi, której członkowie - a wśród nich Han, Leia, Luke i wielu

innych - postanowili wykorzystać niektóre taktyki, jakie Sojusz Rebeliantów stosował podczas wojny przeciwko Imperium.

Han zawsze lubił Antillesa, a odkąd Jaina okazywała coraz większe zainteresowanie jego siostrzeńcowi, Jaggedowi Felowi, zanosilo się na to, że rodziny Solo i Antillesów będą spokrewnione.

- Miło cię znów widzieć, Wedge - przemówił Han. - Masz jakieś wieści z góry?

- Tylko to, że admirał Sow jest wdzięczny za to, co zrobiliście z Leią.

- Dobrze wiedzieć, że wciąż jeszcze jesteśmy w tym samym zespole. - Han mrugnął porozumiewawczo do Antillesa i odwrócił się do jego towarzysza, ubranego w uszyty z samodiała brązowy płaszcz Jedi. - Już zdążyłeś się przyzwyczaić do nowego wyglądu? - zapytał.

Kenth skwitował jego uwagę lekkim uśmiechem.

- Cóż, to oficjalny strój - wyjaśnił. - Dowód solidarności rycerzy Jedi z wojskowymi Galaktycznego Sojuszu.

- Czasy się zmieniają - mruknął filozoficznie Solo.

- W rzeczy samej.

- Kenth, masz jakieś wieści od Luke'a? - przerwała im Leia z niepokojem.

- Nie, nic. Księżniczka ściągnęła brwi.

- Upłynęły już ponad dwa miesiące - przypomniała. Hamner pokiwał głową.

- Nie ma także żadnej wieści od Corrana czy Tahiri - powiedział. Leia przyglądała mu się w milczeniu kilka sekund.

- Jak myślisz, co mogło się stać? - zapytała. Rycerz Jedi zacisnął wargi i powoli pokręcił głową.

- Musimy zakładać, że wciąż jeszcze znajdują się gdzieś w Nieznanych Rejonach - odparł cicho. - Wiedzielibyśmy, gdyby przydarzyło się im coś złego.

Kiedy Han uświadomił sobie, że to „my” oznacza także jego żonę, aż się zachłysnął. Od czasu upadku Coruscant rycerze Jedi - podobnie jak Leia - ćwiczyli umiejętność stapania w jedno myśli, uczuć i intuicji, żeby przesyłać je na większe odległości.

- Zastanawiamy się, czy nie wysłać ekipy poszukiwawczej - dodał Kenth po chwili.

Podobnie jak Han i Wedge, wysoki i przystojny Jedi był Korelianinem, chociaż w przeciwieństwie do nich pochodził z bardzo zamożnej rodziny. Solo zawsze uważał, że ten rycerz

Jedi - podobnie jak Keyan Farlander i Kyle Katarn - nie ma nic przeciwko braniu udziału w operacjach wojskowych. Rok wcześniej Kenth został mianowany członkiem powołanej do życia przez Cala Omasa nowej Rady Jedi, w której skład weszli także mistrzowie Luke Skywalker, Kyp Durrone, Cilghal i Tresina Lobi oraz rycerz Jedi, Barabelka Saba Sebatyne.

Kiedy Luke wyruszał na poszukiwania żyjącej planety, Zonamy Sekot, w towarzystwie Mary i jeszcze kilkorga osób, powierzył Kenthowi dowództwo nad pozostałymi Jedi. Od tamtej pory Hamner starał się podczas nieobecności mistrza Skywalkera koordynować poczynania innych rycerzy. Mimo to - podobnie jak w przypadku wojskowych Sojuszu - jego wysiłki pokrzyżował nieoczekiwany sukces Yuuzhan Vongów, którzy pozbawili galaktykę możliwości korzystania z HoloNetu, od niepamiętnych czasów podstawowego systemu utrzymywania łączności i przesyłania informacji między planetami.

- Jeżeli zamierzasz przeszukać Nieznane Rejony, lepiej zorganizuj naprawdę liczną ekipę - odezwał się Solo.

Kenth nie uznał jego uwagi za zabawną.

- Udało się nam uzyskać współrzędne miejsca, z którego Luke i Mara wysłali do nas ostatnią wiadomość za pośrednictwem przekaźnika na powierzchni Esfandii - powiedział.

- No i? - przynagliła go księżniczka.

- Od kilku tygodni nieustannie przesyłamy wiadomości do punktu o tamtych współrzędnych, ale bez odpowiedzi - stwierdził rycerz Jedi.

Yuuzhan Vongowie zniszczyli stację przekaźnikową na Generisie i Esfandia była jedyną placówką nadawczo-odbiorczą, zdolną przekazywać informacje do przestworzy Chissów i Nieznanych Rejonów galaktyki. Dwa miesiące wcześniej na Esfandii stoczono z Yuuzhan Vongami zaciętą bitwę. W jej wyniku nieprzyjaciółom nie udało się zniszczyć przekaźnika... głównie dzięki siłom zbrojnym resztek Imperium pod dowództwem wielkiego admirała Gilada Pellaeona, a także dzięki pomocy uzdolnionej załogi „Sokoła Millenium”.

- Może Zonama Sekot postanowiła przeskoczyć w inne miejsce - zasugerował Solo. - Pamiętajcie, że właśnie z tego słynie.

Kenth pokręcił głową, jakby nie chciał się wypowiadać na ten temat.

- Nie tylko z tego - stwierdził wymijająco.

Leia wbiła w niego piwne oczy.

- Czy Zonama Sekot mogła wrócić do znanych przestworzy? - zapytała.

- Możemy mieć taką nadzieję - odparł Hamner.

Wszyscy czworo umilkli na długo. W końcu Wedge obrzucił Hana ukradkowym spojrzeniem i wzruszył ramionami. Kiedy pasażerowie zajęli miejsca w kabinie śmigacza, siedzący na przednim siedzeniu Antilles odwrócił się do małżonków Solo.

- Opowiedzcie, co wydarzyło się na powierzchni Selvarisa - poprosił.

- Niewiele jest do opowiadania - odparł Han. - Uciekinierzy nas wezwali, poleciliśmy po nich i zdołaliśmy jednego wziąć na pokład.

Wedge przeniósł spojrzenie na Leię, jakby się spodziewał, że usłyszy od niej więcej szczegółów.

Księżniczka zamrugła i niepewnie się uśmiechnęła.

- Wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak powiedział - stwierdziła. - To nie było nic trudnego.

Han pochylił się do Antillesa, jakby zamierzał wyciągnąć od niego poufną informację.

- O co w tym wszystkim chodzi, Wedge? - zapytał. - Nie musimy znać powodu, dla którego mielibyśmy ratować kogoś z opalów, ale dlaczego właśnie z powierzchni Selvarisa? Większość osób nie potrafiłaby nawet odszukać tej planety w gwiazdnym atlasie.

Antilles spoważniał.

- Siedzę w tym po same uszy, Hanie - przyznał ponuro. Solo zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

- Niedługo sam się dowiesz - odparł Korelianin. - Generał Cracken poprosił, żebyś wziął udział w odprawie.

Kiedy Leia i trzech Kordianie dotarli do szybu turbowind, nie zastali tam już sanitariuszy eskortujących Thorsha. Jenet i członkowie zespołu medycznego zjechali trzy poziomy niżej, a księżniczka i jej towarzysze udali się na sam dół szybu. Wyszli z kabiny na zabezpieczonym piętrze, na którym dwaj funkcjonariusze Wywiadu wskazali im drogę do dusznego pokoju. Han spodziewał się, że zobaczy spotykaną na ogół przy takich okazjach mieszanię wywiadowców i szpiegów oraz ustawione pośrodku pojedyncze krzesło dla przesłuchiwanej osoby, ale to pomieszczenie przypominało bardziej salę egzaminacyjną.

Jedyną obecną funkcjonariuszką Wywiadu była Bhindi Drayson, którą Han, Leia i Wedge znali z Borleias i z innych kampanii przeciwko Yuuzhan Vongom. Ta szczupła kobieta o wyrazistych rysach była córką jednego z poprzednich dyrektorów Wywiadu, Draysona. Cieszyła

się opinią doświadczonego taktyka i jakieś dwa lata wcześniej brała udział w wyprawie, podczas której piloci Eskadry Łotrów przeniknęli na powierzchnię okupowanej przez Yuuzhan Vongów Coruscant. Obecnie towarzyszyli jej tylko czerwony robot astromechaniczny typu R2 i jakiś Givin.

Givin - wyposażona w egzoszkielec człekokształna istota - miał walcowate kończyny, wielkie trójkątne oczodoły i ogromne usta, dzięki którym na jego twarzy malował się wyraz nieustannego niezadowolenia czy wręcz przerażenia. Givinowie cieszyli się opinią niezwykłych istot. Nie tylko byli zdolni do życia w próżni otwartych przestworzy, ale także potrafili wykonywać skomplikowane manewry w nadprzestrzeni, nie korzystając z pomocy nawigacyjnych komputerów. Byli równie wytrawnymi konstruktorami gwiazdnych statków jak Verpinowie czy Durosianie i z upodobaniem oddawali się obliczaniu prawdopodobieństw czy rozwiązywaniu skomplikowanych problemów matematycznych. Ogólnie uważano, że jeżeli sens życia da się kiedykolwiek przedstawić w postaci matematycznego równania, Givinowie pierwsi podadzą jego rozwiązanie.

Zanim ktokolwiek zdążył ich przedstawić, do sali odpraw wprowadzono Thorsha. Wymizerowany Jenet powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych osób.

- Jestem gotów w każdej chwili - powiedział cicho.

Naprzeciwko uciekiniera usiadł Givin, a obok niego zajął miejsce astromechaniczny robot. Thorsh zamknął oczy i zaczął mówić. Powtarzał informacje zapamiętane jeszcze na Selvarisie, te same, które się ukazały w wyświetlanym przez holograficzną płytkę stożku światła. Monotonnym tonem, bez najmniejszej przerwy recytował skomplikowane i zupełnie niezrozumiałe ciągi wzorów i liczb. Nikt w sali odpraw się nie poruszył, nikt nie przeszkadzał zadawaniem zbędnych pytań. Kiedy Thorsh skończył, ciężko westchnął i otworzył oczy.

- Cieszę się, że w końcu to z siebie wyrzuciłem - powiedział.

Givin pokiwał poznaczoną bliznami głową.

- Żadna istota o miękkim ciele nie potrafiłaby stworzyć tak wyrafinowanego dzieła - oznajmił z dumą. - W zakodowaniu informacji zawartej w tym przesłaniu rozpoznaję umysł i rękę innego Givina.

- Mam go poprosić, żeby powtórzył jakiś fragment? - zapytała Bhindi Drayson.

Givin pokręcił głową.

- To nie będzie konieczne - powiedział. Uspokojona funkcjonariuszka Wywiadu kiwnęła

głową.

- Chyba to na razie wszystko - oznajmiła. Zdezorientowany Han powiódł spojrzeniem po zebranych.

- Wszystko? - zapytał. - Koniec odprawy?

Wedge wskazał głową na Givina i towarzyszącego mu astromechanicznego robota.

- Reszta zależy już teraz tylko od nich.

Zaledwie Leia i Han zdążyli znaleźć miejsca w mesie bazy, pojawiła się major Ummar z informacją, że generał Cracken jest gotów rozpocząć właściwą odprawę.

- To tyle, jeżeli chodziło o zjedzenie porządnego posiłku - stwierdził Solo.

Księżniczka westchnęła.

- Powiem Threepiowi, żeby nam coś później przyrządził do jedzenia - obiecała.

- To doskonały sposób, żeby odebrać człowiekowi resztkę apetytu - mruknął jej mąż.

Ośrodek taktyczny bazy okazał się amfiteatralną salą wypełnioną tłumem analityków Wywiadu, oficerów z pokładów różnych okrętów i dowódców dywizjonów gwiazdnych myśliwców. Adiutantka Crackena poprowadziła Hana i Leię w dół po przykrytych dywanem szerokich schodach i wskazała im fotele w pierwszym rzędzie. Miejsca na podium zajmowali właśnie Wedge i trzech pułkownicy - dwaj Bothanie i Sullustanin.

Na mównicę wszedł siedemdziesięcioletni Airen Cracken. Prowadzone przez niego odprawy i zdobyte informacje o charakterze szpiegowskim nadały ostateczny kształt Sojuszowi Rebeliantów podczas galaktycznej wojny domowej.

- Po pierwsze, chciałbym podziękować wszystkim za przybycie, chociaż zorganizowałem tę odprawę praktycznie bez uprzedzenia - zaczął generał. - Gdybym miał więcej czasu, przekazałbym wam tę informację podczas jutrzejszej odprawy, ale jesteśmy pozbawieni HoloNetu, a zatem musimy wysłać kurierów bez chwili zwłoki, jeżeli chcemy wspólnie wykonać to zadanie.

Pstryknął przełącznikiem na ukośnym pulpicie mównicy i po lewej stronie ukazał się holograficzny wizerunek niezidentyfikowanego sektora galaktyki. Posługując się laserowym wskaźnikiem, generał wskazał usytuowany w górnym prawym kwadrancie gwiazdny system, który zajął cały obraz, zaledwie czerwony promień wskaźnika spoczął na węźle umożliwiającym powiększanie fragmentu hologramu.

- To system Tantary - ciągnął Cracken. - Usytuowany między Bilbringi a Jądrem

galaktyki. Najważniejsze gwiazdy nazywają się Centis Major i Renaanta, a najbliższa zamieszkała planeta, okupowana w tej chwili przez Yuuzhan Vongów, nosi nazwę Selvaris.

Generał kiwnął głową w stronę obojga Solo, zwracając na nich uwagę pozostałych uczestników odprawy.

- Han Solo i księżniczka Leia właśnie wrócili z Selvarisa - podjął po chwili. - Zabrali stamtąd więźnia, któremu udało się uciec z założonego na powierzchni tej planety obozu dla jeńców wojennych. Dowiedzieliśmy się, że wśród przetrzymywanych tam więźniów znajdują się kapitan Judder Page z Corulaga i mój syn, major Pash Cracken.

Po sali przetoczył się szmer zdumienia. Han odwrócił się do żony.

- Jak to możliwe, że nikt nam o tym nie powiedział? - zapytał, prawie nie otwierając ust i tak cicho, żeby tylko ona go usłyszała.

-Pssst... - uciszyła go łagodnie księżniczka. - Przynajmniej wysłuchaj do końca, co Airen ma do powiedzenia, zanim zaczniesz kogokolwiek obwiniać.

- Niech będzie - mruknął Han. - Ale tylko ten raz.

- Działająca na powierzchni Selvarisa komórka ruchu oporu zdobyła ważną informację i przekazała ją kapitanowi Page'owi i mojemu synowi, którzy są w tej chwili najwyższymi stopniem oficerami Sojuszu w tym obozie - ciągnął Cracken. - Informację zakodowano w postaci skomplikowanego wzoru matematycznego, kazano zapamiętać ocalonemu przez nas Jenetowi i odszyfrowano zaledwie dwie godziny temu. Dzięki temu poznaliśmy szczegóły operacji, jaką zamierza przedsięwziąć Brygada Pokoju. Chcą przetransportować na Coruscant kilkuset przedstawicieli Sojuszu i wysokich stopniem oficerów. Są oni przetrzymywani nie tylko na powierzchni Selvarisa, ale także w prawie dwudziestu innych obozach rozsianych po obrzeżach inwazyjnego korytarza Yuuzhan Vongów. Wiemy już, kiedy więźniowie będą zabierani z poszczególnych obozów i jakim szlakiem polecą członkowie Brygady Pokoju na Coruscant. Na razie nie jesteśmy pewni, dlaczego Yuuzhan Vongowie transportują równocześnie tyle osób, ale mamy pewne uzasadnione podejrzenia.

- Wedge miał rację, kiedy mówił, że siedzi w tym po same uszy -szepnął Solo. - Niektórzy z oficerów, o których wspominał Cracken, mogli zostać schwytani podczas próby wyzwolenia Bilbringi.

Na mównicę wszedł generał Antilles i podjął wątek przemówienia Crackena.

- Szpiedzy Sojuszu prowadzący działalność pośród członków Brygady Pokoju już

wcześniej poinformowali dowództwo na Kałamarze, że w ciągu najbliższego standardowego tygodnia Yuuzhan Vongowie planują zorganizować na powierzchni Coruscant niezwykle uroczystą ceremonię religijną. Nie znamy celu urządzenia tej uroczystości, ale może to być zamiar uczczenia rocznicy jakiegoś historycznego wydarzenia albo chęć zapobieżenia wzbierającej fali niezadowolenia, jaka ostatnio przetacza się po Coruscant. Rzeczywisty cel nie ma zresztą większego znaczenia. Ważne jest, że więźniowie mają zostać przetransportowani na Coruscant, żeby ich złożyć w ofierze podczas tej ceremonii.

Po amfiteatrze ponownie przetoczył się szmer głosów. Leia postanowiła nie zwracać na nie uwagi. Wolą w skupieniu przeanalizować tragiczną informację.

Niemal od samego początku wojny grupa odszczepieńców zwanych Brygadą Pokoju zajmowała się transportem wszystkiego, począwszy od hibernowanych amphistaffów, a skończywszy na więźniach, których Yuuzhan Vongowie zamierzali złożyć w ofierze. Do Brygady Pokoju należały istoty różnych ras, które zrobiłyby wszystko, byle tylko zdobyć kredyty i móc poruszać się swobodnie po całej galaktyce. Ostatnio jednak przestawało się opłacać należenie do Brygady Pokoju. Ci, których nie wytropili i nie zabili funkcjonariusze Sojuszu albo osoby dochowujące wierności poprzedniej władzy, coraz częściej ginęli z rąk samych Yuuzhan Vongów. Co więcej, bez względu na przyszłe losy wojny, członkowie Brygady Pokoju stali na straconej pozycji. Wcześniej czy później nieprzyjaciele musieli zrezygnować z ich usług, a przywódcy i wojskowi Sojuszu uznali ich za sprzedawczyków. Dla członków Brygady nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Żyli z dnia na dzień, a jedynym celem ich życia były kredyty, dreszcz emocji albo możliwość zdobycia następnych działek przyprawy.

- Wszyscy zebrani wiedzą, że na ofiarnych stosach Yuuzhan Vongów straciły życie niezliczone tysiące obywateli galaktyki - ciągnął Wedge. - Nie możemy dopuścić, żeby na Coruscant dotarł konwój z tymi właśnie więźniami. Zawsze, jeśli to tylko było możliwe, staraliśmy się ratować z opresji naszych obywateli, traktując to jako bezwzględny obowiązek. Bywało, że nasze starania kończyły się porażką z powodu błędnych informacji albo przewagi sił zbrojnych przeciwników. Prawdopodobnie niektórzy spośród was zadają sobie pytanie, dlaczego tak bardzo zależy nam na przechwyceniu tego właśnie konwoju. Odpowiedź jest bardzo prosta: wielu z tych więźniów, a zalicza ją się do nich także kapitan Page i major Cracken, jest nam niezbędnych do przekonania tych władców planet i sektorów galaktyki, którzy dobrowolnie zamierzają się opowiedzieć po stronie Yuuzhan Vongów. Co więcej, musimy także pomyśleć o

zapewnieniu bezpieczeństwa naszym agentom i szpiegom prowadzącym działalność w szeregach samej Brygady Pokoju. Należy ich niezwłocznie ewakuować, bo przekazując nam informacje o tym konwoju, ujawnili się, narażając życie. A w dodatku musimy zorganizować całą operację ratunkową bez możliwości koordynowania naszych poczynań za pośrednictwem HoloNetu.

Urwał i zaczął, aż w amfiteatrze znów zapadnie cisza.

- Selvaris jest ostatnim przystankiem, zanim jednostki konwoju dokonają skoku do nadprzestrzeni i wyłonią się w przestworzach Coruscant - podjął w końcu. - Oznacza to, że musimy poczekać z rozpoczęciem akcji, aż zabiorą więźniów z obozu na powierzchni tej planety. Pamiętając o poważnych stratach, jakie poniosła Brygada Pokoju rok temu podczas walk w przestworzach Ilezji i Duro, mamy prawo przypuszczać, że konwój zostanie wzmocniony i eskortowany przez okręty floty Yuuzhan Vongów. Admirałowie Sow i Kre'fey postanowili desygnować do udziału w tym zadaniu Eskadry Czarnego Księżyca, Bułatów, Bliźniaczych Słońc, a także kilka innych eskadr gwiazdnych myśliwców. Ich piloci zapewnią wsparcie naszym kanonierkom i osłonę transportowcom, na których pokładach znajdą schronienie uwolnieni więźniowie. Kapitan Solo i księżniczka Leia zgodzili się na ochotnika przekazać nam do tego celu „Sokoła Millennium”.

Leia otworzyła szeroko oczy i spojrzała na męża.

- Kiedy się na to zgodziłeś? - zapytała cicho.

- Ja, uhm... wspomniałem coś niecoś Wedge'owi na ten temat -mruknął wymijająco Han.

- Nawet nie miałeś pojęcia, jaki cel będzie miała ta wyprawa!

Han uśmiechnął się z przymusem.

- Prawdę mówiąc, powiedziałem mu, że może na nas liczyć bez względu na to, co wymyślą jego przełożeni - wyjaśnił w końcu.

Księżniczka głęboko odetchnęła i znów przeniosła spojrzenie na podium. Z narastającym niepokojem obserwowała postępowanie męża, który zgadzał się na udział w każdej niebezpiecznej wyprawie, jaką podejmowali wojskowi Galaktycznego Sojuszu. Zachowywał się, jakby sukcesy w Gromadzie Koornacht i w przestworzach Bakury czy Esfandii umacniały jego wiarę we własne siły albo stanowiły rozgrzewkę przed ostateczną walną bitwą, podczas której zamierzał w pojedynkę pokonać wszystkich Yuuzhan Vongów... no, może przy współudziale żony.

W rzeczywistości za udział w wojnie oboje zapłacili wysoką cenę, począwszy od śmierci Chewiego, a kończąc na tragicznych wydarzeniach w przestworzach Myrkra, gdzie śmierć poniósł ich młodszy syn Anakin, starszy Jacen dostał się do yuuzhańskiej niewoli, a jedyna córka Jaina przekuła rozpacz po ich stracie w miecz zemsty, który zaprowadził ją na skraj ciemnej strony i o mało nie przyczynił się do jej śmierci.

Leia wiedziała w głębi serca, że są z Hanem bliźsi sobie niż kiedykolwiek. Liczne wyprawy, podczas których zbyt często ocierali się o śmierć, wyczerpywały jednak ich siły. Czasami księżniczka żałowała, że nie może zebrać rozproszonych członków rodziny i wysłać ich w odległy zakątek galaktyki, do którego nie dotarła jeszcze wojenna zawierucha. Nawet gdyby jednak istniała jakaś szansa znalezienia takiego zakątka, Han na pewno nie zechciałby zrezygnować z udziału w kolejnych wyprawach... zwłaszcza obecnie, kiedy HoloNet nie działał, a uzdolnieni piloci bardzo szybkich statków byli w wielkiej cenie.

Oznaczało to, że zanim Leia i Han znajdą taką bezpieczną przystań i uznają ją za własną - lub zanim nastanie trwały pokój w galaktyce - będą musieli brać udział w wojnie do gorzkiego końca.

Księżniczka ocknęła się z zadumy, kiedy Wedge kończył swoje wystąpienie.

- Zdecydowaliśmy się na tę wyprawę z jeszcze jednego, niemniej ważnego powodu. Jesteśmy przekonani, że gdyby udało się uwolnić tak liczną grupę więźniów, Yuuzhan Vongowie nie znajdą szybko innych, równie znakomitych jeńców, których mogliby złożyć w ofierze, więc ich religijna ceremonia albo się nie odbędzie, albo straci na znaczeniu. - Antilles powiódł przenikliwym spojrzeniem po amfiteatralnej sali. - A każdy cierń, jaki wbijemy głęboko w bok Shimrry, jeszcze bardziej zdestabilizuje Coruscant i zapewni nam wytchnienie. Dzięki temu odbudujemy nasze siły zbrojne i będziemy mogli zapewnić ochronę tym planetom, których do tej pory nie zdołał podbić nasz nieprzyjaciel.

ROZDZIAŁ 6

Na Yuuzhan'tarze padał deszcz owadów. Splugawiona przez wojnę i przeistoczona przez Yuuzhan Vongów planeta, która niegdyś nazywała się Coruscant i była tętniącą życiem stolicą galaktyki, wyglądała jak zaniedbany i zdziczały ogród. Pieniąca się na powierzchni pozornie

przypadkowa mieszanina paproci, iglastych drzew i innych roślin maskowała wzniesienia, które jeszcze dwa lata wcześniej wyglądały jak sztuczne łańcuchy górskie. Na dnach kanionów, rozdzielających kiedyś kilometrowej wysokości megakonstrukcje, zalegała mgła, z której wyłaniała się zielona roślinność. W dołach i jamach powstałych po upadku potężnych gmachów i orbitalnych platform utworzyły się jeziora i stawy. Wylewała się z nich mętna woda, regularnie uzupełniana dzięki deszczom, które nie przestawały padać z purpurowego nieba.

Niektórzy uważali, że dzięki zdobyciu Yuuzhan'tara, czyli „Kolebki bogów”, planeta ożyła i odzyskała utraconą świetność. Jej orbita została zmieniona - skierowana bardziej ku słońcu, trzy księżyce oddalone i zawrócone, a czwarty rozpylony, żeby powstał spleciony pierścień, czyli stworzony z nadprzyrodzonego światła pomost, po którym bogowie mogli się przechadzać i z upodobaniem oddawać medytacjom.

A mimo to owady spadały gęsto na zamieszkaną przez najwyższego lorda Shimrę tęczowoskrzydły światostatek, zwany Cytadelą... na jego świętą górę, wyrastającą z kolebki z koralu yoriki górującą nad miejscem, które niegdyś było najludniejszą i najważniejszą dzielnicą stolicy galaktyki. Nieubłagany deszcz owadów brzmiał, jakby tysiąc perkusistów wygrywało różne rytmy.

Śmierdziożuki rozbijały się o kopułę Sali Zgromadzeń i zaśmiecały majestatyczne pomosty organiczne, łączące ją z innymi świętymi miejscami. Plaga zrodziła się po przeciwnej stronie Yuuzhan'tara z powodu pomyłki Mózgu Świata, który pozwolił, żeby owady mnożyły się bez opamiętania. Śmierć tych stworzeń należało złożyć na karb kolejnej pomyłki dhuryama. Powietrze wokół Cytadeli cuchnęło, a powierzchnia gruntu była śliska od rozgniecionych owadów.

W wielkiej sali panowała przygnębiająca atmosfera. Miejsce, w którym gromadzili się najważniejsi dostojnicy i przedstawiciele kast Yuuzhan Vongów, miało zakrzywiony sufit wspierający się na rzeźbionych kolumnach z prastarych kości. Przez czworo wrót w najszerszej ścianie mogli wchodzić najwyżsi stopniem przedstawiciele wszystkich yuuzhańskich kast. Pomieszczenie zwężało się naprzeciwko głównych wrót, gdzie znajdował się wspierany przez pęki polipów hau pulsujący szkarłatny tron najwyższego lorda Yuuzhan Vongów. Dovin basale odpowiedzialne za wytwarzanie ciężenia powodowały, że miało się wrażenie wchodzenia pod stromą górę, a siła ciężenia rosła tym bardziej, im bliżej ktoś podchodził do spiczastego tronu Shimrę.

A mimo to w wielkiej sali panowała ponura cisza.

Tłum klęczących kapłanów, wojowników, mistrzów przemian i intendentów czekał w napięciu, aż najwyższy władca rozpocznie przemówienie. Pełną zadumy ciszę mącił tylko stuk spadających na dach owadów, a także szelest szczątków zgarnianych sprzed wejść i wrzucanych do rozdziawionych paszcz kilkunastu maw luurów...

- Na pewno zadajecie sobie pytanie, gdzie zrobiliśmy błąd - odezwał się w końcu Shimrra. - Zastanawiacie się, czy winę ponoszą nasze oczyszczenia, poświęcenia czy podboje. Czy jesteśmy wystawiani na próbę przez naszych bogów, czy wręcz przeciwnie, zostaliśmy przez nich opuszczeni? Czy Shimrra jest wciąż jeszcze naszym przewodnikiem, czy może stał się dla nas ciężarem? Dręczy was niepewność, macie problemy z równowagą, razi was nieład. Obawiacie się, że wszyscy staliśmy się Zhańbionymi w oczach bogów... odtrąconymi, wzgardzonymi i skazanymi na wygnanie z powodu naszej pychy i niezdolności do odniesienia zwycięstwa.

Shimrra urwał i potoczył spojrzeniem po ogromnej sali.

- Czy sądzicie, że brak zaufania do mnie i wypowiedane szeptem wątpliwości przynoszą korzyść naszej szlachetnej sprawie? Jeżeli ja was słyszę, co muszą myśleć o was bogowie, którzy spoglądają na każdego spośród was i wszystko słyszą? Powiem wam, co nasi bogowie mówią między sobą: „Stracili zaufanie do tego, którego posadziliśmy na polipowym tronie. A jeżeli przestali ufać najwyższemu lordowi, którego im daliśmy, żeby sprawował nad nimi władzę, na pewno nie ufają także nam”.

To jest powód, dla którego bogowie nawiedzają plagami Yuuzhan'tara i dopuszczają do porażek swoich dzieci... nie mnie zamierzają skarcić, to wam pragną wykazać, w którym miejscu zawiedliście ich zaufanie.

Shimrra miał na sobie ponure czarno-szare ceremonialne szaty, sporządzone ze spreparowanej skóry i zakonserwowanego ciała pierwszego najwyższego lorda Yuuzhan Vongów. Ogromną głowę władcy zdobiły liczne blizny, a fragmenty twarzy przekształcono w taki sposób, żeby upodobnić go do wizerunku bogów. Oczy zostały rozszerzone, usta wyprostowane, czoło wydłużone, płatki uszu rozciągnięte, a broda zwężona i podobnie jak sama Sala Zgromadzeń kończył się spiczasto. W oczodołach płonęły implanty mqaq'it, które potrafiły zmieniać barwę w zależności od nastroju najwyższego lorda. Palce ogromnej prawej dłoni zaciskały się na szczytującym jadowe kły amphistaffie, zwanym Berłem Władzy. U stóp tronu z

korala yorik siedział Zhańbiony - powiernik Shimrry, Onimi. Pokraczny karzeł pełnił funkcję pośrednią między ulubieńcem a głosicielem niewygodnych prawd, których nie ośmielali się wypowiadać poddani najwyższego władcy.

Dzięki rozległej sieci podsłuchujących roślin i szpiegów najwyższy lord dowiedział się, że niektórzy jego przeciwnicy szerzą plotki, jakoby przestał się cieszyć łaskami bogów. Podobne twierdzenia, choć niegroźne, kryły w sobie głęboką ironię, bo Shimrra już dawno przestał wierzyć w jakąkolwiek potęgę poza tą, którą dysponował jako najwyższy władca Yuuzhan Vongów.

Mimo to istniały niezaprzeczalne powody do obaw, że bogowie naprawdę przestali go darzyć swoimi łaskami. Do najważniejszych tego objawów należały powolne tempo podboju tej galaktyki, plaga świerzbienia, która zaczęła się, kiedy tylko postawił stopy na powierzchni Yuuzhan'tara, wciąż jeszcze niesłabnący ruch heretyków, katastrofalna porażka w przestworzach Ebaqa Dziewięć, zdrada kapłanki Ngaaluh, zamach na jego życie... Dość powszechnie sądzono, że za wszystkie te porażki odpowiadają bogowie, którzy chcieli ostrzec Shimrrę, bo stał się zbyt dumny i pewny siebie.

On, który uznał tę galaktykę za wybrane miejsce dla bląkających się od dawna bezdomnych Yuuzhan Vongów!

Pragnąc udobruchać zaniepokojonych przywódców kast, najwyższy lord wyraził zgodę, aby jego przemówienia i oświadczenia były analizowane przez cztery wieszczkiprorokinie, po jednej z każdej kasty oddającej cześć innemu ważnemu bogowi. Yuuzhanki, ubrane na czarno niczym czarownice, siedziały w pobliżu jego tronu, a wygłaszane przez nie opinie były najczęściej sprzeczne. Jeżeli nie liczyć prób wywierania wpływu na decyzje Shimrry, nie ośmielały się sprzeciwiać jego woli. Na ogół wystarczało im zanoszenie modłów do różnych bogów w nadziei, że spojrzą potem na Yuuzhan'tara bardziej łaskawym okiem.

- Budzicie we mnie obrzydzenie - zwrócił się Shimrra do zgromadzonych dostojników. - Sądźcie, że z moich ust padają same bluźnierstwa. Wzdragacie się i płaszczycie, bo wiecie, że mówię samą prawdę, a moje słowa przenikają was aż do szpiku kości. Postąpilibyście słuszniej, gdybyście odcięli więcej części swojego ciała w imię pokuty i na dowód oddania. Nawet jednak gdybyście złożyli życie w ofierze, wasze poświęcenie nie znajdzie uznania. - Przeniósł spojrzenie na Onimiego. - Wydaje się wam, że jak ten Zhańbiony, mówię do was zagadkami.

Przyczyną deformacji ciała Onimiego nie były błędy popełnione przy porodzie, ale fakt,

że nie znalazł uznania bogów. Był niegdyś mistrzem przemian, ale obecnie stał się zaledwie pokracznym błaznem. Miał jedno oko umieszczone niżej niż drugie, a pomiędzy wywiniętych warg wystawał samotny żółty kieł. Jedna strona czaszki Onimiego była rozdęta, jakby wszczepiony przez mistrza przemian guz vaa nie znalazł dla siebie właściwego miejsca. Jego długie i chude kończyny nieustannie dygotały, zupełnie jakby był marionetką pociągana za sznurki przez bogów.

Zniecierpliwiony Shimrra parsknął gniewnie.

- Zbliżcie się do mnie, Vonie Shulu z domeny Shul i Melaanie Narze z domeny Nar - rozkazał.

Obaj konsulowie - intendenci średniego szczebla - podczołgali się na kolanach kilka metrów bliżej.

- Zastanawiałem się nad skargami, jakie złożyliście jeden na drugiego - zagrział Shimrra i nakazał, żeby dovin basal jego tronu zwiększył siłę ciężenia, co zmusiło konsulów do padnięcia plackiem na twarz. - Rozkazuję, żebyście o nich zapomnieli. Odtąd macie poświęcać całą podsycającą wasz gniew energię służbie dla wspólnej sprawy. Każdy z was twierdzi, że podobnie jak inne żalosne przejawy rywalizacji między różnymi domenami wasze problemy z drugim konsulem zaczęły się tu, na powierzchni Yuuzhan'tara. Oświadczam wam jednak, że tak tylko się wam wydaje. Wiem, że korzenie tego sporu sięgają naszej długiej podróży przez między-galaktyczne przestworza i że wasze problemy ujawniły się dopiero po wylądowaniu na powierzchni Yuuzhan'tara. Nie ponosicie jednak za to całej winy.

Kiedy nie można było walczyć na wojnie, jedni zwracali się przeciwko drugim. Poświęcaliście się nawzajem, rywalizując o względy mojego poprzednika, Quoreala. Dochodziło do tego, że zastawialiście na siebie nawzajem pułapki, zapominając o naszych bogach. Traciliście cierpliwość i zamartwialiście się w obawie, że bogowie nas opuścili... bo nasz od dawna oczekiwany dom jakoś nie chciał się wam ukazać. Od tamtej pory cały czas tak postępujecie. Prefekt Da'Gara i domeny Praetorite... ich bluźniercza działalność zapewniła im tylko lodowe groby na mizernych szczątkach czegoś, co było kiedyś planetą Helska Cztery, tak odległą od Yuuzhan'tara, że równie dobrze mogłaby się znajdować w galaktyce, którą zostawiliśmy za sobą. Nie kto inny jak sam wojenny mistrz Czulkang Lah ośmielił się mi nie uwierzyć, kiedy oświadczyłem, że obiecana galaktyka znajduje się w zasięgu ręki. I co go za to spotkało? Zginął podczas bitwy, podobnie jak jego syn, który pałał do Jeedai taką nienawiścią, że pozwolił się

wciągnąć do walki, w której nie mógł okazać się zwycięzcą.

Shimrra nie zwracał uwagi na nerwowe pomruki grupki wojowników, zakutych w ceremonialne pancerze krabów vonduun. Skierował za to przeszywające spojrzenie na niewysokiego, ale szlachetnej postawy wojennego mistrza Nasa Chokę, który miał rzadką brodę i zaczesane do tyłu wiotkie, proste czarne włosy. Swoją tytuł dostał po śmierci Tsavonga Laha, ale chociaż odniósł wiele zwycięstw w przestworzach Huttów, nie cieszył się powszechnym szacunkiem podwładnych.

- Jeśli będziesz się uczył na błędach poprzedników, wojenny mistrzu, możesz być spokojny o swoją przyszłość - zwrócił się do niego Shimrra. - Jeżeli jednak mnie zawiedziesz, jak kiedyś domena Lah, dam ci taką nauczkę, że przyszli wojenni mistrzowie będą musieli dobrze się zastanowić, zanim przyjmą ten zaszczyt.

Nas Choka pochylił głowę i zasalutował, uderzając się skrzyżowanymi pięściami w ramiona.

Dopiero wówczas najwyższy lord zgromił spojrzeniem zirytowanych wojowników.

- Wielu spośród was chciałoby obwinie prefekta Noma Anora za to, co się stało w przestworzach Ebaqa Dziewięć z powodu dezinformacji, której padł ofiarą - ciągnął gniewnie. - Był okres, kiedy sam go o to obwiniałem. Prawdziwą winę ponosi jednak Tsavong Lah, bo pozwolił się wywieść w pole naszym przeciwnikom. Łudził się, że zginie zaszczytną śmiercią, ale ja twierdzę, że tylko przysporzył wszystkim wstydu.

Wielu wojowników spuściło wzrok i zaczęło niepewnie kręcić się w miejscu.

W końcu spojrzenie Shimrry odnalazło arcykapłana Jąkana w czerwonej szacie i ubranego na zielono arcyprefekta Drathula.

- Znam jeszcze innych, których mógłbym ukarać, żeby przypomnieć im o obowiązkach - podjął po chwili. - Postanowiłem jednak zachować swój gniew na inną okazję.

Tronowy dovin basal uniósł poduszkę z siedzącym na nim najwyższym lordem. Shimrra spłynął do otaczającego tron kwietnego kręgu i zsunął się z poduszki. Stojąc po kostki w płatkach, uniósł wysoko Berło Władzy z długimi kłami.

- Wszystko da się naprawić dzięki zbliżającej się ofierze - zagrzemiał. - Musimy jednak mieć się na baczności przed osobami, które chciałyby zakłócić naszą ceremonię.

- Heretycy, o Czcigodny Lordzie - podpowiedział kapłan.

Shimrra wykonał zamaszty gest drugą ręką, jakby odrzucał od siebie niewidzialnych

wrogów.

- Wcale nie mam na myśli heretyków - wyjaśnił. - To zwykle szkodniki... śmierdziożuki, które możemy w każdej chwili wytępić. Naszą ceremonię mogłyby jednak zakłócić osoby, które nie dały się nawrócić... które przeżyły bombardowanie planety i przemianę jej powierzchni, a teraz cichaczem przemykają się między nami. Chodzi mi także o niewolników zbiegłych z pokładu okaleczonego nasionostatku, którym Mózg Świata przyleciał na powierzchnię Yuuzhan'tara. Nie mogę również zapominać o kalających naszą świętą ziemię bojownikach ruchu oporu, a także, co oczywiste, o Jeedai.

Jakby na zawołanie Onimi zerwał się na krzywe nogi i dołączył do Shimrry wewnątrz kręgu z płatków. Zaśpiewał:

*Zhańbieni są jak śmierdzące żuki na ścianie,
Przynajmniej Shimrra ma takie o nich mniemanie;
Powyżej uszu ma tylko Jeedai niezmiennie,
Kolczastych i ostrych jak senalaków ciernie.*

Kiedy Shimrra się odwrócił, Onimi skłonił się przed nim z całym wdziękiem, na jaki było go stać.

- O Wielki Gwiezdny Lordzie, jeżeli Moc tych Jeedai jest tylko dodatkową umiejętnością, dlaczego nasi mistrzowie przemian nie stworzyli dotąd godnych im przeciwników? Czy nie powinni do tego użyć członków kasty wojowników? - zapytał.

Najwyższy lord zmarszczył brwi i wymierzył wskazujący palec lewej ręki w ulubieńca.

- Zdradzasz moje tajemnice, Onimi - warknął. - Ale niech i tak będzie. - Odwrócił się do ubranych w białe szaty mistrzów przemian o rękach jak macki. - Nie trzymajmy wszystkich w napięciu. Pokażcie, co udało się wam osiągnąć - polecił.

Jeden z nieskazitelnie ubranych mistrzów przemian zerwał się na nogi i prawie wybiegł z ogromnej Sali Zgromadzeń. Niebawem przez wrota zarezerwowane dla kapłanów i wojowników wkroczyło dziesięciu Yuuzhan Vongów. Niżsi nawet niż Nas Choka, byli uzbrojeni w zaniepokojone amphistaffy i zastrzone coufee. Z ich usmarowanych zakrzepłą czarną krwią krzepkich ciał sterczały szpony Stenga.

Nowo przybyli Yuuzhanie w niczym nie przypominali specjalnie hodowanych wojowników, zwanych myśliwymi, którzy cieszyli się przywilejem noszenia fotoczułych mimetycznych oponczy Nuun. Wyglądali niepokojąco inaczej. Cztery wieszczki pierwsze

wyraziły swoje oburzenie.

- Co to za bluźnierstwa?

- Uzbrojeni jak wojownicy, ale ubrani jak słudzy bogów!

- Który mistrz przemian za to odpowiada?

Podsakując i fikając niezgrabne koziołki, Onimi podszedł bliżej, stanął przed nimi i popatrzył z wyższością.

Dążąc do tego, byśmy Mocy się nie bali,

Mistrzowie przemian rozkaz Shimrry wykonali;

Ci wyglądają kiepsko na pierwszy rzut oka,

Ale pożyją dłużej niż wielki Nas Choka.

Jedna z wieszczek podjęła nieudaną próbę schwytania Onimiego, a pozostałe dalej wygłaszały ponure przepowiednie. Shimrra uciszył wiedźmy władczym gestem.

- Za stworzenie tych wojowników odpowiadam tylko ja - powiedział. - To z mojego rozkazu zostali powołani do życia. To nasi Jeedai. Mają obowiązek strzec życia najwyższego władcy, a także wyszukiwać i eliminować najgroźniejszych przeciwników. Będą latali koralowymi skoczkami o najnowszej konstrukcji, z zaawansowanymi systemami uzbrojenia i możliwością podróżowania bez niczyjej asysty przez mroczne przestworza. - Urwał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. - Nadaję im nazwę uśmiercicieli na cześć Yun-Yammki... na wypadek, gdyby nasz bóg nie miał ochoty zadawać się z kapłanami.

- Wyglądają jak Zhańbieni!

Shimrra odwrócił się błyskawicznie w stronę wojownika, który ośmielił się wygłosić tę niestosowną uwagę.

- Zhańbieni, powiadasz? - warknął gniewnie. - Powstali z mojego rozkazu, najwyższy dowódca Chaanie... z polecenia samych bogów. Gdyby bogowie nie mieli w nich upodobania, czy ci wojownicy nie nosiliby oznak pariasów?

Najwyższy dowódca Chaan nie rezygnował.

- To Zhańbieni ukształtowani w taki sposób, żeby wyglądali jak ci, w których bogowie mają upodobanie, najwyższy lordzie - powiedział. - Ich ukryte deformacje oznaczają, że zasługują na pogardę. Czy zażądam zbyt wiele, jeżeli poproszę, żeby pokazali, na co ich stać?

Shimrra wyszczerzył zęby w diabolicznym uśmiechu.

- Zostaniesz przeklęty na własną prośbę, najwyższy dowódco - zaczął. - Wyznacz

dziesięciu swoich podwładnych, stańcie wszyscy do walki z moimi kapłanamiwojownikami i udowodnijcie, czy potraficie im dorównać.

- O Zatrważający Shimrro... - zaczął Chaan.

- Wątpliwości wylatują z twoich ust niczym tsik vai, dowódco -uciał najwyższy władca.
- Jeżeli uznasz, że nie masz racji, odwołaj swoje słowa albo wykonaj mój rozkaz i stań do walki z tymi wojownikami!

Chaan grzotnął się pięściami w barki i kazał wstać dziesięciu podwładnym. Od razu obudziły się do życia ich coufee, pancerze, trójzęby i amphistaffy. Wojownicykapłani stanęli w szeregu, ale tylko dwóch wystąpiło do walki z oddziałem Chaana.

- Dwóch przeciwko jedenastu? - zapytał zdezorientowany Chaan. - Co za tani chwyt! Tak czy owak, okryją się niesławą.

Shimrro podszedł do tronu i polecił dovin basalowi, żeby go na nim posadził.

- A zatem z radością zobaczymy, jak ich poniżysz - zezwolił łaskawie. - Choćby dlatego, aby udowodnić naszym mistrzom przemian, że ich starania zakończyły się niepowodzeniem. Poszatkuj ich, dowódco, jakbyś przygotowywał posiłek dla bogów!

Oficer dziarsko zasalutował.

Kiwnięciem głowy dał znak i jego dziesięciu wojowników przystąpiło do ataku. Dwie grupy po czterech przeszły w prawo i w lewo, żeby zająć przeciwników z boków, a pozostali dwaj przypuścili szturm z przodu, aby odwrócić uwagę uśmiercicieli od kolegów. Wojownicy-kapłani zareagowali tak szybko, że nikt nie zauważył, kiedy się poruszyli. Odwrócili się i stanęli w taki sposób, że prawie stykali się plecami, po czym, z bronią w obu rękach, stawili czoło wojownikom atakującym ich z przodu i z boków.

Amphistaffy podwładnych Chaana skierowały się ku niemal obnażonym ciałom, ale wymierzone ciosy nie dotarły do celu. Coufee dźgały i cięły, lecz z ciała uśmiercicieli popłynęło tylko trochę krwi, która od razu krzepła. Wkrótce też okazało się, że broń w rękach wojowników-kapłanów jest równie udoskonalona jak władający nią niscy, ale doskonale umięśnieni Yuuzhanie. W mgnieniu oka hodowane w specjalnych warunkach amphistaffy odgryzły łby swoim pospolitym krewniakom i zaatakowały podwładnych Chaana z siłą zdolną sparaliżować ich ciała nawet mimo pancerzy z krabów vonduun. Obaj uśmierciciele - Jeedai Shimrro - wyskoczyli wysoko w powietrze, wywinęli w locie salto, wylądowali za plecami przeciwników i zaatakowali ich od tyłu. Broń w ich rękach poruszała się tak szybko, że

wyglądała jak rozmazane plamy, a we wszystkie strony tryskały strumienie czarnej krwi. Podwładni Chaana jeden po drugim padali na koralową posadzkę.

Najwyżsi stopniem przedstawiciele wszystkich kast spoglądali z mieszaniną zdumienia i przerażenia na to, co się dzieje. W ogromnej sali zapadła głucha cisza. Już przedtem Shimrra był dość potężny bez królewskiej gwardii. Obecnie nie zdołałaby go obalić żadna domena, chcąc pozbawić go władzy.

Walka skończyła się niemal równie szybko, jak się zaczęła. Na posadzce leżało dziesięciu wojowników i Chaan. Jedni dogorywali, krwawiąc, inni już nie żyli, a dwaj wojownicy-kapłani trzymali od niechcienia zakrwawione, cienkie amphistaffy, zupełnie nieporuszeni tym, czego dokonali.

Mistrz przemian, który wprowadził grupą do wielkiej sali, zrobił krok w stronę uśmiercicieli. Pochwalił ich, a potem przemówił do Shimrry:

- Organizmy naszych wyższych wojowników odrzucają implanty - zaczął rzeczowym tonem. - Szybsze tempo przemiany materii niższych Yuuzhan jest lepiej dostosowane do tempa przemian komórkowych implantowanych organizmów.

Onimi podbiegł do jednego z nieżywych podwładnych Chaana i kopnął go lekko pod żebro.

Imponujące widowisko,

Trupów wokół bez liku,

Ale jak sobie poradzą,

Mając Jeedai za przeciwników?

Shimrra kiwnął głową w stronę mistrzyni przemian Qelah Kwaad.

- Pokaż mu - rozkazał.

Niewielu członków jej kasty wyglądało równie przerażająco jak ona, ale przedmiot, który trzymała we wszystkich ośmiu makowatych palcach prawej dłoni, zrobił znacznie większe wrażenie niż jej nakrycie głowy z wijącymi się jak węże wypustkami i kopulasto sklepiona czaszka.

- To broń Jeedai] - wykrzyknął jeden z wojowników.

- Kolejne świętokradztwo! - stwierdził drugi.

- Powstrzymajcie swoje języki albo pożegnacie się z nimi - skarcił ich Shimrra. - To energetyczne ostrze należało kiedyś do Jeedai, który zabił wielu naszych ziomków podczas walki

w Studni Mózgu Świata. To ten sam, którego wielu spośród was darzy szacunkiem. Nazywał się Ganner. Powinniście traktować tę broń nie jak bluźnierstwo, ale jak świętą relikwię potęgi tamtego wojownika.

- Mistrzynie przemian Kwaad uległa sprofanowaniu! - oznajmiła jedna z wieszczek.

- Jeżeli macie jej za złe, że zawarła znajomość z wytworem martwej techniki - zaczął spokojnie najwyższy lord - powinniście potępić także inne wynalazki stworzone przez nią i jej uczennice. A powstały one, aby wywieść w pole nieprzyjacielskie ciemne bomby, pozorowane dovin basale czy urządzenia zakłócające działanie naszych yammosków. Może potępicie także magabuty kany, które pochłonęły zainstalowane w głębinach przestworzy nieprzyjacielskie urządzenia telekomunikacyjne? Dzięki temu mogliśmy podbić więcej planet w ciągu klekketa, niż zdobyliśmy od czasu mojego pojawienia się na Odległych Rubieżach. - Gestem wskazał świetlny miecz w dłoni Qelah Kwaad. - To ostrze czerpie energię dzięki jednemu z naszych skupiających światło kryształów, zwanych lambentami. Możecie uważać, że zostało dzięki temu uświęcone.

Jego przemowa wystarczyła, żeby wszyscy w sali umilkli.

Shimrra ponownie kiwnął głową w stronę Yuuzhanki.

- Rozpocznij pokaz, mistrzyni przemian - rozkazał.

Qelah Kwaad podeszła do jednego z uśmiercicieli, zapaliła energetyczną klingę, uniosła ją na wysokość ramienia i zamachnęła się, żeby fioletowe ostrze przecięło na ukos pierś wojownika-kapłana.

W wielkiej sali rozszedł się śwąd przypalanego ciała.

Shimrra zwrócił się w stronę dowódców oddziałów wojowników.

- Popatrzcie! Niewielkie oparzenie w wyniku cięcia, po którym każdy z was leżałby w dwóch kawałkach na posadzce - zauważył.

- Wyglądają bardziej jak kraby vonduun niż jak Yuuzhan Vongowie - mruknął arcykapłan Jakan.

Shimrra zawrzał gniewem.

- Jak kraby vonduun, dovin basale, yammoski czy wojownicy... - warknął. - Czy właśnie tobie muszę przypominać, że wszyscy zrodziliśmy się z tego samego nasienia?

Nom Anor był wzrostu trochę wyższego niż przeciętny człowiek, a swoje oszpecenie zawdzięczał zarówno ceremoniom, jak i własnym rękom. Miał fałszywe oko, zdolne do plucia

toksycznym jadem. Wodząc dokoła drugim okiem, czekał niespokojnie przed wejściem do osobistego apartamentu lorda Shimrry w okrągłej koronie świętej góry. Po jednej stronie podobnej do błony kurtyny stali sztywno wyprężeni trzej posępni uśmierciciele, a po drugiej dwaj kapłani. Ci ostatni okadzali Noma Anora oparami aromatycznego dymu, wydobywającego się z gruczołu zapachowego na grzbiecie świetnie wypasionego, ale płochliwego thamassha.

Od czasu powrotu z powierzchni Zonamy Sekot Nom Anor nie został ani razu wezwany na prywatną audiencję do najwyższego lorda, nie był więc pewien, czego się spodziewać.

W pewnej chwili membrana załśniła i rozdzieliła się, ukazując Onimiego, który gestem zaprosił Noma Anora do środka.

- Proszę wejść... prefekcie - odezwał się ulubieniec Shimrry lekceważącym tonem.

Nom Anor precyzyjnie przeszedł obok niego i wszedł do okrągłej, przestronnej komnaty, pośrodku której stał okrągły podest. Najwyższy lord siedział na nim na fotelu, któremu - pomimo wysokiego oparcia - daleko było do przepychu oficjalnego tronu. Wokół podestu biegła wypełniona krwią fosa, a po jednej stronie schody z koralu yorik o kunsztownie rzeźbionej poręczy wznosiły się spiralnie pod sklepienie komnaty. Nom Anor wiedział, że to pomieszczenie jest opancerzonym modułem światostatku i wewnętrznym sanktuarium lorda Shimrry. Podobnie jak Studnia Mózgu Świata, w razie konieczności mogło zostać odłączone od Cytadeli i wystrzelone w głąbiny przestworzy.

- Nie zastanawiałeś się, kiedy my trzej znów się spotkamy? - zagadnął cicho Onimi, kiedy Nom Anor przeciskał się obok niego.

Prefekt zignorował jego pytanie, podszedł do podwyższenia i przyklęknął nad zewnętrznym brzegiem cuchnącej fosy. Z wewnętrznej kieszeni zielonej szaty wyjął świetlny miecz, który niedawno wzbudził tyle kontrowersji w Sali Zgromadzeń.

- O Straszliwy Lordzie, poleciłeś, żeby ci to przekazać - zaczął. Trzymał głowę spuszczoną, kiedy Shimrra wyjmował broń spomiędzy jego palców, ale gdy usłyszał charakterystyczny pomruk i syk zapalanej energetycznej klingi miecza, uniósł głowę przerażony.

Ten odgłos działającej broni obudził w nim wspomnienia. Rok wcześniej w Studni Mózgu Świata Jacen Solo i Vergere przyłożyli do jego szyi podobne ostrze, zanim uciekli z powierzchni Yuuzhan'tara. Od tamtej pory Nom Anor często się zastanawiał, jak mogłoby się potoczyć jego życie, gdyby oboje Jedi zgodzili się go zabrać ze sobą. Był źródłem bezcennych informacji, więc może nie zostałby skazany na śmierć przez władców tak zwanego

Galaktycznego Sojuszu. Może po wielu tygodniach przesłuchań pozwolono by mu włożyć maskującego ooglitha i zesłano na powierzchnię jakiejś zapomnianej przez wszystkich planety Odległych Rubieży, gdzie mógłby w spokoju spędzić resztę życia.

W ogromnej prawej dłoni Shimrry rękojeść broni Jeedai wyglądała niepozornie niczym ofiarna świeczka, ale przecinająca powietrze klinga nie przestawała buczeć i pomrukiwać.

- Odpowiedz mi szczerze, prefekcie, czy wierzysz w istnienie bogów? - zapytał najwyższy lord, zbliżając szpic fioletowej klingi do szyi Noma Anora. - Pamiętaj, szczerze.

Poprzednik arcyprefekta Drathula, Yoog Skell, który zginął z ręki Noma Anora, przestrzegał go kiedyś, żeby nigdy nie kłamał najwyższemu lordowi. Nom Anor przełknął ślinę i odchrząknął.

- O Czcigodny Lordzie, ja... pozostaję otwarty na wszystkie wierzenia - odparł cicho.

- Pewnie wtedy, jeżeli ci to przynosi jakąkolwiek korzyść - dodał Shimrra.

- Kieruję się przykładem kapłanów, lordzie - oznajmił Nom Anor.

Shimrra wbił spojrzenie płonących czerwienią implantów w pojedyncze oko rozmówcy.

- Sugerujesz, prefekcie, że postępowanie naszych kapłanów nie wypływa z dobroci ich serc? - zapytał.

- Lordzie, poznałem wiele serc, ale tylko nieliczne dawały dowody dobroci.

- Sprytny jesteś - stwierdził z namysłem najwyższy władca. - To określenie nasuwa się każdemu, kto cię zna albo się z tobą zetknął... Właśnie sprytny.

Ku wielkiej uldze Noma Anora Shimrra wyłączył energetyczną klingę broni Jeedai.

W innych okolicznościach jego podwładny prawdopodobnie pozostałby Prorokiem heretyków, chyba żeby podjął próbę zastąpienia Shimrry na polipowym tronie. Już kiedyś stanął przed takim wyborem w Nieznanych Rejonach galaktyki - jakie to wymowne! - ale doszedł do wniosku, że lepiej mu się opłaca stać u boku Shimrry niż na czele tłumu wyrzutków ze społeczności Yuuzhan Vongów.

- Powiedz mi, co taka osoba jak ty sądzi o szeptanych plotkach krążących pośród najwyższych dostojników - zażądał Shimrra, prostując się na niewyszukanym siedzisku. - Na pewno słyszałeś, że kiedy postanowiłem usunąć Quoreala z tronu, obwołać się następnym najwyższym lordem i oświadczyć, iż ta galaktyka zostanie naszym domem, moje decyzje rozgniewały bogów.

Nom Anor zaryzykował i usiadł na posadzce przed fosą ze skrzyżowanymi nogami.

Stojący po przeciwległej stronie podwyższenia Onimi obserwował go z zachwytem, wyraźnie widocznym na zdeformowanej twarzy.

- Czy mogę mówić zupełnie szczerze, lordzie? - zapytał Nom Anor.

- To lepiej niż gdybyś miał tylko udawać szczerłość - odezwał się powiernik najwyższego lorda.

Shimrra odwrócił się i spiorunował go spojrzeniem. Zaraz przeniósł je z powrotem na Noma Anora i bez słowa kiwnął ogromną głową.

- Moim zdaniem wielu najdostojniejszych członków kast nie potrafi pojąć, iż podejmowane przez ciebie decyzje to hołd składany naszym bogom - zaczął prefekt. - Były to decyzje nie mniej śmiałe niż ta, na którą zdecydował się Yun-Yuuzhan, kiedy postanowił się poświęcić, aby powstał nasz wszechświat.

Shimrra pochylił się w stronę rozmówcy.

- Zaimponowałaś mi, prefekcie - oznajmił. - Możesz mówić dalej.

Nomowi Anorowi zaczęła wracać pewność siebie.

- Wielu spośród nas pogodziło się z faktem, że błędzenie całych pokoleń w nicości międzygalaktycznych przestworzy było tylko próbą siły naszej wiary. Jak sam powiedziałaś, podczas tej próby zawiedliśmy z kretesem. Kłócąc się między sobą i oddając cześć fałszywym bóstwom, osłabiliśmy ściany własnego domu.

Shimrra z powagą pokiwał wielką głową.

- Każda grupa pozbawiona opozycji rozpada się nieuchronnie albo przeradza w tyranie - powiedział. - Czasami dzieje się jedno i drugie.

- Ale ty, o Straszliwy Lordzie, rozpoznałaś w naszej żmudnej podróży to, czym naprawdę była... konsekwencję naszych poprzednich porażek - ciągnął Nom Anor. - Od razu zrozumiałaś, że nasi mistrzowie przemian szybko zbliżają się do granic tradycyjnej wiary i że w gruncie rzeczy nie umieją naprawiać naszych niszczących światostatków. Pojąłaś, że kapłani nie są w stanie wyciągnąć naszego społeczeństwa z przepaści, w jakiej się pogrzyzło. Wojownicy, pozbawieni wojen, nie mieli wyboru i musieli się zwracać jedni przeciwko drugim. Ginęliśmy w pustce międzygalaktycznych przestworzy, lordzie Shimrra, i gdybyś nie obalił Cjuoreala i nie wytepił jego bojaźliwych wyznawców, wszyscy Yuuzhan Vongowie mogliby znaleźć w niej swoje groby.

Shimrra milczał, patrząc groźnie na Noma Anora.

- Widzę, prefekcie, że naprawdę jesteś niebezpieczną osobą - oznajmił w końcu, przenosząc spojrzenie na Onimiego. - Ale jak mój pupil dobrze wie, uwielbiam niebezpieczeństwa. - Zawiesił głos, jakby się nad czymś zastanawiał. - Uzupełnię twoją edukację na temat bogów - podjął po chwili. - Problem nie w tym, czy naprawdę istnieją, ale czy wciąż jeszcze są nam potrzebni. Ich upadek rozpoczął się podczas długiej wędrówki, kiedy nie pospieszili nam na pomoc. Jak niewątpliwie się przekonałeś, prefekcie, nie można zapewnić sobie lojalności sług, jeżeli się ich zaniedbuje. Uważam więc, że wina leży po stronie bogów. Cóż im zostanie, jeżeli pozbawimy ich krwawych ofiar i przestaniemy zanosić do nich prośby i modlitwy? Może naprawdę nas stworzyli, ale to my utrzymujemy ich dzięki naszym religijnym praktykom. W tej chwili muszą się czuć opuszczeni, bo role się odwróciły. Gniewają się na nas, bo sobie uświadomili, że ich czas dobiegł końca. Muszą teraz przekazać całą władzę w ręce Shimrry i pogodzić się z nastaniem nowego ładu.

Ponownie zapalił energetyczną klingę świetlnego miecza Jeedai i jakby dla podkreślenia wagi swoich słów zaczął nią wymachiwać w powietrzu.

- To będzie wielka wojna, prefekcie - dodał w końcu. - Yuuzhan Vongowie przeciwko bogom.

Nom Anor z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Wojna, o Czcigodny Lordzie? - zapytał osłupiały.

- A tak! Inaczej nie można, bo bogowie zazdrośnie strzegą swojej potęgi! - wykrzyknął Shimrra. - Na pewno dobrze to rozumiesz, prefekcie. Czy zgodziłbyś się potulnie pogodzić z porażką, czy wolałbyś podjąć walkę do ostatka, żeby zachować swoją władzę? Czy chciałbyś zrezygnować z rozkazywania wszystkim swoim konsulom, którzy teraz ci podlegają? Czy nie zamordowałbyś nawet samego arcyprefekta Drathula, gdyby to było konieczne dla zachowania władzy?

- Podjąłbym tę walkę, o Straszliwy Lordzie - przyznał Nom Anor trochę bardziej stanowczo, niż zamierzał.

- Niczego innego się po tobie nie spodziewałem - zapewnił Shimrra. - Wiąże się z tym jednak pewien problem. Nie wolno nam zapominać, że otaczają nas prawdziwi wyznawcy, którzy być może stanowią większe zagrożenie dla przyszłości Yuuzhan Vongów niż sami bogowie.

Nom Anor uśmiechnął się w duchu.

- Bogowie mają swoje miejsce w naszej społeczności, lordzie - przypomniał.

- W rzeczy samej, w rzeczy samej - przyznał Shimrra. - Religijne rytuały dają zajęcie kapłanom i intendentom. Nie pozwalają też, żeby mistrzowie przemian stali się zbyt ambitni. Hamują zapędy wojowników i nie dają robotnikom porzucić systemu kast. Najważniejsze jednak, że powstrzymują Zhańbionych przed jawnym buntem. Oznacza to, że jeżeli mam przekształcić tę planetę, muszę się mieć na baczności.

Słowa najwyższego lorda umocniły przeświadczenie Noma Anora, że wiara jest szaleństwem i najłatwiej jest manipulować gorliwymi wyznawcami.

- Muszę się mieć na baczności - powtórzył Shimrra jakby do siebie. - Kiedy wiara jest zagrożona, a społeczny ład pęka w szwach, słabi nie szukają wyjaśnień. Pragną mieć pewność i kogoś, na kogo mogą zwalić winę. - Roześmiał się cicho. - Ale niepotrzebnie mówię ci to, co sam dobrze wiesz, prefekcie. Przypomnij sobie, jakich cudów dokonałeś pośród Zhańbionych, którzy zostali wyznawcami herezji nie tylko na Yuuzhan'tarze, ale także na innych podbitych przez nas planetach. Czy pytają o wyjaśnienia? Nic podobnego! Domagają się mojej krwi!

Nom Anor ze wszystkich sił starał się opanować, ale mimo to zaczął dygotać.

- Widzę, że moje uwagi cię przeraziły, prefekcie - stwierdził najwyższy władca. - A może przypuszczasz, że graniczą z herezją podobną do tej, jaką Prorok raczył swoich ślepych wyznawców? Czy zaliczyłybyś mnie do grona osób pokroju naszej Mezhan Kwaad i Nen Yim, czy też raczej do takich jak Shedao Shaia z jego pożałowania godnym uwielbieniem Objęcia Bólu?

- Nie bardzo się znam na tych sprawach, o Straszliwy Lordzie - przyznał Nom Anor.

- To oczywiste.

Prefektowi nie spodobał się ton głosu Shimrra. Najwyższy lord słynął z tego, że szybko wpadał w gniew i jeszcze szybciej zarządzał egzekucje. Kiedyś rozkazał zabić mistrza przemian Ch'Ganga Hoola z powodu jego rzekomej nieudolności w opiekowaniu się Mózgiem Świata i dopuszczenia do plagi świerzbienia. Skazał także na śmierć komandora Ekh'ma Vala za odkrycie żywej planety, Zonamy Sekot... a ściślej za to, że odkrył ją na nowo. Nom Anor także został kiedyś skazany na śmierć z powodu łatwowierności, jakiej dopuścił się w przestworzach Ebaqa Dziewięć.

Od tamtej pory spełniły się jego sny o potędze i sławie, ale jaki los może go spotkać, jeżeli Shimrra postanowi zachować prawdę o istnieniu Zonamy Sekot w ścisłej tajemnicy? Na pewno wyda rozkaz zabicia Noma Anora... podobnie jak kiedyś Nom Anor zabił Nen Yim i

kapłana Harrara, żeby nie wyjawili jego tajemnicy.

Tymczasem Shimrra przyglądał się w milczeniu świetlistej klindze broni Jeedai.

- Oryginalna broń, prawda? - zapytał w końcu. - Wymaga, żeby władająca nią osoba podeszła blisko przeciwnika i stoczyła z nim walkę wręcz. Gdyby nie ich błędne poglądy, Jeedai mogliby zasługiwać na nasz szacunek. Kto wie, może zresztą znajdzie się jakiś sposób wcielenia ich doktryn do naszej religii? Musimy jednak być przezorni, nie wolno nam powtarzać błędów naszych poprzedników. Czy nie powinniśmy się zastanowić, co zrobić, żeby podbić serca i umysły istot władających tą galaktyką? - Przeniósł spojrzenie na Noma Anora. - Czy prawdą jest, prefekcie, że ci Jeedai nie zostali nigdy pokonani?

Nom Anor starał się przypomnieć sobie wszystko, co słyszał o Czystce Jedi. Zastanawiał się przy tym, co zabicie Shimrry mogłoby oznaczać dla Yuuzhan Vongów. Mordując Imperatora Palpatine'a, Sojusz Rebeliantów rozpoczął trwającą dziesiątki lat erę zamętu, utarczek z władcami mniejszych czy większych planet i zupełnie niepotrzebnego wojowania z istotami odmiennych ras...

Z zamyślenia wyrwały go słowa najwyższego lorda.

- Opowiedz mi o tym młodym Jeedai, który nauczył się Prawdziwej Drogi tylko po to, żeby ją zdradzić - zażądał Shimrra.

- Nazywał się Jacen Solo.

Władca Yuuzhan Vongów znał te imię i nazwisko.

- To ten sam, który zwabił Tsavonga Laha w pułapkę, żeby go zabić - przypomniał sobie. - Obwiniałem wtedy mistrzów przemian za brak nadzoru nad Mózgiem Świata, ale zaczynam podejrzewać, że do pewnego stopnia jest za to odpowiedzialny ten Jeedai. Ilekroć nawiązuję kontakt z Mózgiem Świata, wyczuwam jego opór, jego błędne ukierunkowanie. Muszę pouczyć go, jakbym karmił nieposłuszne dziecko... dziecko z kasty wojowników, przez pomyłkę wychowywane w kolebce kapłanów.

Shimrra urwał i zaczął obracać w dłoniach rękojeść świetlnego miecza.

-A ta ich Moc... - podjął po chwili. - Podobno heretycy twierdzą, że to pozostałość oddechu Yun-Yuuzhana.

Nom Anor przypomniał sobie, że takiego właśnie określenia używał, kiedy przemawiał do swoich wyznawców.

- Nie przypisywałbym Mocy specjalnego znaczenia, o Czcigodny Lordzie - powiedział. -

To po prostu potęga, z której Jedi nauczyli się czerpać ponad dwadzieścia pokoleń temu. Robili to jednak nie tylko Jedi. Nauczyli się ją wykorzystywać także Sithowie i prawdopodobnie to oni byli odpowiedzialni za Czystkę Jedi, która miała miejsce, kiedy my... kiedy ty - poprawił się pospiesznie - finalizowałeś swoje plany podboju tej galaktyki.

Shimrra zaplótł ręce na piersi.

- Arcykapłan Jakan wspominał mi coś o tych Sithach - powiedział. - Czy oni teraz się ukrywają?

Nom Anor pokręcił głową.

- Ze smutkiem przyznaję, że ich płomień przestał płonąć w tej galaktyce, o Straszliwy Lordzie - oznajmił ponuro. - Heretycy twierdzą, że Jedi zawierają w sobie wszystkie cechy bogów, w rzeczywistości jednak nie są oni bez skazy. Można ich przechytryć, a nawet pokonać. Zdarzało się, że bywali chwytni i zabijani, a czasem prawie udawało się ich wykorzystywać do naszych celów.

- Wiem, sam tego dowiodłeś na powierzchni Zonamy Sekot. - Shimrra sposepniał. - Z prawdziwą radością położyłbym kres knowaniom naszych nieprzyjaciół, zanim moje plany zniweczy to planetarne wcielenie gniewu bogów. - Wbił pałające oczy w Noma Anora. - Czy jesteśmy bezpieczni, prefekcie?

Nom Anor zebrał się na odwagę.

- Jeżeli będziemy mieli szczęście, Straszliwy Lordzie, Zonama Sekot jest w tej chwili martwą planetą - zaczął. - W najgorszym razie nie ma pojęcia, gdzie się sama znajduje, a więc tym bardziej nie może wiedzieć, gdzie nas znaleźć.

R O Z D Z I A Ł 7

Luke i Mara Jade Skywalker stali w trapezoidalnym otworze wejściowym jaskini wykutej w skalistym zboczu góry. Grota była ich domem i schronieniem na powierzchni Zonamy Sekot od okresu, który oceniali na trzy standardowe tygodnie. Mogli się tego tylko domyślać na podstawie biologicznych zegarów własnych organizmów, bo odkąd żyjąca planeta niespodziewanie wskoczyła do nadprzestrzeni, długość doby cały czas się zmieniała. Wahala się od piętnastu do czterdziestu godzin i było tak, dopóki władający Zonama umysł nie przyszedł do

siebie po przeżytych wstrząsach.

Średni Zasięg bez przerwy nękał tropikalne ulewy, gnane podmuchami porywistego wiatru, który łamał pnie bora jak zapalki, wyrwał je z korzeniami, a w najlepszym razie ogołacał czerwone gałęzie i konary z kulistych liści. Niebo wyglądało jak ogromna srebrzysta misa pokryta kłębiącymi się burzowymi chmurami, które piętrzyły się wysoko ze wszystkich stron. Niektóre miały barwę purpurową, inne czarną, a na ich tle nieustannie przemykały oślepiająco jasne zygzyki błyskawic. Od nagich pionowych skał, podziurawionych jaskiniami, nieustannie odbijało się echo grzmotów. Skądś, jakby spod powierzchni gruntu, wydobywał się przedziwny jęk. Brzmiało to, jakby jakiś olbrzym dmuchał w wąską szczelinę ogromnego pojemnika. Wielu twierdziło, że ten dźwięk wydaje wicher dmuchający w trzystumetrowej wysokości łopaty planetarnej jednostki napędu nadświetlnego Zonamy Sekot.

W pewnej chwili pęd wstępującego powietrza poderwał z dna kanionu trzy płyty materiału konstrukcyjnego, zwanego laminą, i przerzucił je ponad krawędzią wąwozu.

- To miejsce się rozpada - stwierdziła Mara.

Luke kiwnął głową, ale zachował milczenie. Obejmował prawą ręką plecy żony, a ona przyciskała policzek do miękkiej tkaniny jego ciemnego płaszcza. Podmuchy wichru rozwiewały jej złocisto rude włosy, a kosmyki smagały ją po twarzy i ustach.

Po lewej stronie mistrza Jedi stał R2-D2, z wysuniętą dla utrzymania równowagi trzecią kończyną. Mały robot astromechaniczny wydawał co jakiś czas serie smętnych pisków i świergotów, a światełko sygnalizujące jego stan zmieniło barwę z czerwonej na niebieską.

Luke położył lewą dłoń na półkulistej kopułce robota.

- Nie martw się, Artoo - powiedział. - Wcześniej czy później będziemy to mieli za sobą.

R2-D2 obrócił na mistrza Jedi główny fotoreceptor i zaświergotał, jakby wstąpiła w niego nowa nadzieja. Mara parsknęła śmiechem.

- Co za gość - stwierdziła. - Zawsze ma ciepłe słowo dla ulubieńców, małych dzieci i robotów.

Jaskinia w zboczu góry miała ściany wyłożone starannie dopasowanymi kamieniami. Składała się z dwóch niewielkich komnat, a mieściła się na środkowym poziomie kanionu z naturalnymi skalnymi występami w zboczach. Obszerne groty w litej skale przeciwległego zbocza kanionu także podzielono na setki indywidualnych pomieszczeń mieszkalnych, ale wiele łączących oba zbocza wiszących pomostów z winorośli i płyt laminy po prostu zniknęło.

Zniknęła także większość podciąganych na krążkach platform, wykorzystywanych przez Ferroan do transportu pionowego. Dwa kilometry niżej płynęła wstęga wzburzonej błotnistej wody, przegrodzona w kilku miejscach pniami powalonych bora i innymi szczątkami.

Podobne warunki miały panować na terenie całego Średniego Zasięgu, bo tak nazywano równikowy rejon planety. Ferroanie osiedlili się w tych okolicach ponad siedemdziesiąt lat wcześniej, kiedy Zonama Sekot przebywała po przeciwnej stronie płaszczyzny galaktyki, na Odległych Rubieżach znanych przestworzy.

- Idzie do nas Corran - poinformował rzeczowo Luke.

Mara wyśliznęła się z jego objęć i podeszła do krawędzi otworu. Wychyliła się i przytrzymując jedną ręką długie włosy, powiodła spojrzeniem po okolicy.

- Gdzie? - zapytała niegłośnie, żeby nie usłyszał jej nikt prócz męża. - Nigdzie nie widzę...

Urwała, bo zobaczyła głowę gościa nad drewnianymi szczeblami drabiny, po której można było się wspiąć na ich poziom. Przemoczony do szpiku kości Corran podtrzymywał jedną ręką kołnierz kurtki, żeby woda nie spływała na szyję. Strumyczki ściekały po jego poranej bruzdami twarzy, wąsach i siwiejącej brodzie. Korelianin związał mokre włosy w krótki kucyk z tyłu głowy. Kiedy zauważył Marę, uśmiechnął się i szybko wszedł do jaskini. Wolną ręką otarł krople deszczu z czoła.

- Nad doliną widziano powietrzny statek Jacena i Saby! - zawołał, starając się przekrzyczeć wycie wichury. - Powinni się tu pojawić lada chwila.

Luke wyszedł na zewnątrz, żeby zerknąć na zawieszoną nad kanionem platformę ładowniczą.

- Może będą potrzebowali naszej pomocy - powiedział. - Lepiej tam chodźmy, żeby ich powitać. - Przeniósł spojrzenie na R2-D2, który nie przestawał niespokojnie popiskiwać. - Zostań tu, Artoo - polecił. - Zaraz wrócimy.

Wszyscy pospiesznie zeszli po drabinie. Luke i Mara spędzili na powierzchni Zonamy Sekot niemal trzy miesiące, ale Corran przyleciał zaledwie przed trzema tygodniami w towarzystwie Tahiri Veili i trojga agentów Yuuzhan Vongów. Dwoje z tej trójki już nie żyło, a trzeci podobno uciekł z powierzchni żyjącej planety, ale przedtem dopuścił się aktu nikczemnego sabotażu, po którym Zonama Sekot musiała się ratować, wskakując na oślep do nadprzestrzeni.

Mara pierwsza stanęła na krawędzi miotanego wiatrem pomostu umożliwiającego wstęp

na platformę ładowniczą i znieruchomiła.

- Czy to bezpieczne? - zapytała.

Luke zmierzył spojrzeniem rozkołysaną kładkę.

- Wytrzyma - oznajmił w końcu.

Corran zmarszczył brwi.

- Mógłbyś wyjaśnić, dlaczego jesteś tego pewien? - zapytał.

Mistrz Jedi precyzyjnie przemieścił się obok niego, stanął na kołyszącej się kładce i dwukrotnie podskoczył w miejscu.

- Widzisz? - odparł lakonicznie.

Mara spojrzała na rycerza Jedi.

- Możesz wierzyć, jeżeli ci to mówi dzieciak z Tatooine... - Nie dokończyła i pospieszyła za mężem.

Korelianin wskoczył zaledwie kilka sekund po nich na kwadratową platformę, która wspierała się na zakotwiczonych w zboczach kanionu grubych balach. Z głębi doliny leciał ku nim pojazd, który z tej odległości wyglądał jak balon. Miotany we wszystkie strony podmuchami wichury, miał owalną drewnianą gondolę z umieszczoną na rufie kabiną.

- Ale nimi rzuca - odezwał się Corran.

- Miałaś rację - stwierdziła Mara, przenosząc spojrzenie na męża. - Nie dadzą rady wylądować.

- Dadzą, dadzą- uspokoił ją Skywalker. - Moc wieje im w plecy.

Nie przejmując się zacinającymi prawie poziomo strugami deszczu, skupił uwagę na nadlatującym powietrznym statku. Dzięki Mocy wyczuwał, że przyłączyli się do niego Mara i Horn. Uświadomił sobie, że jak niewiarygodnej energii muszą korzystać Jacen i Saba, żeby powietrzny statek nie poleciał tam, dokąd zamierzały go porwać podmuchy huraganu, i poczuł przyływ otuchy. Młodzi Jedi nie walczyli z siłami przyrody, ale współpracując z nimi, wykorzystywali wicher, która kierowała powietrzny statek w stronę platformy ładowniczej.

Gdyby ktokolwiek uprzedził planetę o zasadzce zastawionej przez troje agentów Yuuzhan Vongów, może Sekot skierowałaby Zonamę przez nadprzestrzeń w taki sposób, żeby zapewnić jej bezpieczny koniec podróży. Planeta wykonała jednak skok pod wpływem odruchu, ale to wystarczyło, żeby zapobiec planowanemu zniszczeniu wszelkich form życia na jej powierzchni.

Kiedy Zonama Sekot wyskoczyła pierwszy raz, jej stan był jeszcze gorszy niż obecnie. Luke przypomniał sobie, jak długo wpatrywał się w nieznane gwiazdy na nocnym niebie i jak o świcie poraziło go ogromne słońce, które wychyło nad horyzont niczym supernowa. Świeciło zbyt intensywnym blaskiem, żeby się w nie wpatrywać, i grzało tak potężnie, że ogromne połacie tamiasi stały w ogniu. Po sejsmicznych wstrząsach utworzyły się na płaskowyżach głębokie zygzakowate szczeliny, a spod spękanej powierzchni gruntu wielka siła wypchnęła gigantyczne skalne płyty. Pożary tamiasi zasnuły przesycone żarem powietrze gryzącym dymem, niosącym drobiny węgla drzewnego i popiołu.

Sekot musiała się bronić przed zabójczymi promieniami słońca, w którego objęcia została wyrzucona z nadprzestrzeni, pobrała więc wilgoć z płaszcza planety i utworzyła z niej grubą zasłonę chmur. Nie mogła jednak nic poradzić na już wyrządzone szkody. Na powierzchni planety zaczynało brakować powietrza, którym dałoby się oddychać, a plazmowe rdzenie jednostek napędu nadświatłnego zachowywały się jak zwariowane. Dopiero później, kiedy Luke zaczął się obawiać najgorszego dla mieszkańców kulących się w jaskiniach i głębinach kanionów - gdzie powietrze było trochę chłodniejsze, chociaż nie mniej rozrzedzone - Zonama zdecydowała się na dokonanie kolejnego skoku.

Nikt nie miał pojęcia, czy to z powodu kolejnego nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, czy też może z rozkazu samej Sekot, ale ulewy nie przestały smagać powierzchni żywej planety.

Kierowany siłą woli pięciorga Jedi powietrzny statek obniżył pułap lotu i opadł wdzięcznie na platformę ładowniczą. Luke, Mara i Corran przywiązali gondolę do cumowniczych listew w kształcie klinów, jeszcze zanim z niewielkiej kabiny wyłonili się Jacen i Saba.

- Witajcie w domu - odezwał się mistrz Jedi. Poklepał siostrzeńca po plecach i porwał go w objęcia.

Jacen zaczesywał do tyłu brązowe włosy, które opadały mu niemal na plecy, ale nieco wcześniej zdecydował się zgolić brodę. Miał na sobie płaszcz sztywny od zaschniętego błota. W przeciwieństwie do niego Saba była ubrana tylko w wążiutką przepaskę, a jej czarna gadzia skóra połyskiwała od wilgoci.

- Dygoczesz - stwierdziła Mara, obejmując Jacena i ściskając.

-Nic mi nie jest.

- Akurat. - Mistrzynie Jedi kiwnęła głową w stronę otworu jaskini w skalnym zboczu. -

Chodźmy do środka. Mamy tam rozpalone ognisko.

Ociekający wodą Jedi weszli przez trapezoidalny otwór przy akompaniamencie szczebiotu wyraźnie ożywionego R2-D2. Pośrodku jaskini płonęło ognisko, z którego dym uchodził na zewnątrz przez naturalny komin skalny. Pod jedną ścianą leżały przeniesione z pokładu „Cienia Jade” pręty jarzeniowe, śpiwory, przybory, narzędzia i racje żywnościowe.

- Które z was jest głodne? - zapytała Mara, kiedy młodzi Jedi trochę się rozgrzali.

- Głodne? Jestem po prostu wygłodniały - odparł młody Solo.

Barabelka Jedi kiwnęła głową.

- Ona także - oznajmiła.

Mara powiodła spojrzeniem po twarzach starszych.

- Ktoś jeszcze chce jeść? - zapytała. Corran wzruszył ramionami.

- Nie odmówię domowego posiłku - powiedział.

Luke zdjął mokry płaszcz i powiesił go u sklepienia w pobliżu ogniska, po czym rozsiadł się naprzeciwko obojga młodych Jedi.

- Opowiedzcie nam o wszystkim - poprosił.

Saba kiwnęła jajowatą głową w stronę Jacena na znak, że odstępuje mu ten zaszczyt.

- Na południu planety panują jeszcze gorsze warunki niż tu - zaczął młody Solo. - Tampasi spłonęły tak doszczętnie, że nic z nich nie pozostało. Szlaki są niemożliwe do przebycia, a rzeki zbyt wezbrane, żeby dało się przepłynąć. Prawie wszystkie bora są pozbawione liści, a dzikie zwierzęta zapadły w zimowy sen. Większość Ferroan dotarła w porę do miejsc, które mogły zapewnić im schronienie, ale setki nie przeżyło. Owell, Darak, Rowel i pozostali, kiedy tylko mogli, przeszukiwali okolicę w nadziei, że uda im się odnaleźć tych, którzy ocaleli, ale nikogo nie spotkali. Brak także wiadomości o Jentarich, bo nikt nie był w stanie do nich dotrzeć.

Jentari były to cybernetyczne organizmy, wyhodowane przez pierwszych władających planetą nadzorców i łączników z Sekot, zwanych Magistrami. To właśnie Jentari projektowali i tworzyli słynące kiedyś w galaktyce zonamskie żywe gwiazdne statki.

- Zdaniem niektórych Ferroan południowa półkula została udręczona do tego samego stopnia jak wówczas, kiedy zaatakowali Przybysze z Dali - ciągnął Jacen.

Saba kiwnęła głową.

- Ona rzadko widywała podobne spustoszenia na powierzchni jakiegokolwiek zamieszkanego planety - dodała.

Ferroanie mianem Przybyszów z Dali określali Yuuzhan Vongów, którzy odkryli planetę i nawiązali z nią kontakt bojowy mniej więcej pięćdziesiąt lat wcześniej, kiedy pierwszy raz badali galaktykę i zastanawiali się, jak najszybciej ją opanować.

- Daleki Zasięg po prostu się topi - ciągnął młody Solo. - Miejsce, w którym wylądowali kiedyś Obi-Wan i Anakin, oderwało się od lodowego szelfu i dryfuje po Morzu Północnym. - Urwał i zastanowił się chwilę. - Chyba powinienem być powiedzieć, że po Morzu Południowym, bo Zonama Sekot znajduje się teraz w pozycji odwróconej.

Mara przeszkodziła im w rozmowie, podając misy ze słodzonym owocami rogirboln pożywnym gulaszem, który oboje młodzi Jedi pochłonęli w mgnieniu oka.

- Czy dowiedzieliście się czegoś o „Mężobójcy”? - zapytał Luke, kiedy siostrzeniec odstawił naczynie na bok.

Młody Solo pokręcił ze smutkiem głową.

- Zniknął - powiedział. - Jego załoga nie dała rady, a może nie zdążyła wskoczyć do nadprzestrzeni z Zonamą Sekot.

Zapadła ponura cisza, którą przerywało tylko trzaskanie drew w ognisku. Odkąd „Cień Jade” opuścił przestworza Szczątków, towarzyszyła mu imperialna fregata pod dowództwem pani komandor Arien Yage, którą Jedi traktowali raczej jak bliską osobę niż towarzyszkę broni.

- Mam więcej niepomyślnych wiadomości - stwierdził młody Solo. - Niektórzy Ferroanie obwiniają nas o to, co się wydarzyło.

Mara gniewnie zacisnęła wargi.

- Luke uprzedzał Sekot, że Yuuzhan Vongowie mogą wrócić - przypomniała.

Mistrz Jedi pokręcił głową.

- To w tej chwili nie ma znaczenia - powiedział. - Ferroanie prawdopodobnie uważają, że skoro zaledwie troje Yuuzhan Vongów zdołało rozdrapać rany sprzed pięćdziesięciu laty, Sekot czeka zagłada, jeżeli stanie z nimi do walki.

- Właśnie tak myślą Ferroanie - przyznała Saba, ukazując długie, ostre zęby.

Jacen westchnął.

- Darak przypomniała mi, że w przeszłości obcy przybysze mogli pozostawać na powierzchni Zonamy Sekot tylko sześćdziesiąt dni - powiedział. - I że dla nas ten okres dobiega końca.

Luke przyjrzał się swoim dłoniom i z namysłem pokiwał głową.

- W jednej chwili poszły na marne długie tygodnie przekonywania Sekot i Ferroan o słuszności wzięcia udziału w tej wojnie... -Umilkł, uniósł głowę i spojrzął na oboje młodych Jedi. - Czy któreś z was widziało Jabithę? ~ zapytał.

- Ani razu od dnia, kiedy powierzchnia Zonamy stanęła w ogniu - odparła Barabelka.

Jabitha była aktualną magister Zonamy, trzecią w historii tej planety. Przyjmowała postać istoty ludzkiej i występowała jako łączniczka Sekot z zamieszkującymi jej powierzchnię inteligentnymi osobami. Kiedy planeta wyłoniła się pierwszy raz z nadprzestrzeni, Jabitha pojawiła się tylko na krótko i uprzedziła, że Sekot rozpaczliwie stara się przelecieć w inne miejsce, a ona powróci, kiedy nadarzy się następna okazja. Luke i pozostali Jedi byli przy tym, kiedy Jabitha się ukazała, i od razu poznali, że przemawiająca do nich osoba jest jedynie myślową projekcją Sekot. Potwierdziło się to trochę później, kiedy pogrążone w hipnotycznym śnie ciało Jabithy znaleziono w miejscu, w którym zazwyczaj mieszkała.

- Musimy zacząć od początku - oznajmiła jak zawsze stanowczo mistrzyni Jedi.

Luke spojrzął na żonę.

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie porozmawiamy z Sekot - zauważył.

W tej samej chwili po drugiej stronie ogniska pojawił się cień, który stopniowo przybrał postać wysokiej ciemnowłosej kobiety o jasnoblękitnej skórze i szeroko rozstawionych oczach. Kobieta była ubrana w czarną szatę ozdobioną zielonymi medalionami, od których odbijały się błyski płomieni.

- To Jabitha - zawołał Luke, zrywając się od ogniska.

- Mniej więcej - dodała cicho Mara, stając obok męża.

- Sekot pragnie was zapewnić, że Zonama przeżyje - zaczęła bez wstępu myślowa projekcja Sekot. - Jednak aby przetrwała, będzie trzeba dokonać znacznych zmian obecnej orbity i prędkości wirowania Zonamy, więc najlepiej, żeby na razie wszyscy pozostali w bezpiecznych kryjówkach.

Luke odetchnął z ulgą, ale zaraz okazało się, że trochę za wcześnie.

- Powierzono mi także obowiązek poinformowania was, że Sekot musi mieć trochę czasu, aby ocenić możliwe konsekwencje powrotu Zonamy do znanego rejonu przestworzy - ciągnęła projekcja pani Magister. - Jest nadzorczynią Żyjącej Mocy w sensie zdefiniowanym przez Potencjum, więc dalsze istnienie Zonamy Sekot jest niezmiernie istotne.

Luke i Mara wymienili pełne rozczarowania spojrzenia. Jeszcze w czasach Starej

Republiki, zanim władza dostała się w ręce Imperatora Palpatine'a, niedoszli Jedi powołali do życia zakon znany pod nazwą Potencjum. Wierzyli w Moc, która nie dzieliła się na jasną i ciemną stronę. Kiedy pod ich opieką Zonama osiągnęła samoświadomość, Sekot uznała doktrynę Potencjum za jedyną prawdę.

Luke spuścił głowę. A więc musimy zaczynać wszystko od początku, pomyślał ponuro. Dokładnie tak, jak przepowiedziała moja żona. Tym razem nasze zadanie może jednak okazać się nieporównanie trudniejsze, bo wszystko wskazuje na to, że Sekot nie chce mieć nic wspólnego z tą wojną. Ponad pustkę otwartych przestworzy i narażanie się na niebezpieczeństwa, jakie tam czyhają na planety, przedkłada pobyt w sanktuarium, co mógłby jej zapewnić gazowy gigant w rodzaju Mobusa.

- Sekot orientuje się mniej więcej, gdzie w tej chwili się znajdujemy - ciągnęła Jabitha. - Zonama Sekot prawdopodobnie już raz mijiała w niewielkiej odległości ten gwiazdny system podczas Przelotów ze znanych przestworzy.

Mistrz Jedi popatrzył na R2-D2, który stał cicho pod przeciwległą ścianą.

- Poinformuj Sekot, że Artoo może jej pomóc obliczyć współrzędne obecnego miejsca - powiedział do Jabithy. - Przedtem jednak musimy zobaczyć gwiazdy.

Jakby dla podkreślenia wagi jego słów, astromechaniczny robot cicho zaświergotał.

- Powiem to Sekot - oznajmiła Jabitha i zniknęła.

Mara usiadła przy ognisku obok męża.

- Głos należał do Jabithy, ale wszystko wskazuje na to, że usłyszeliśmy opinię samej Sekot - powiedziała.

- To możliwe - przyznał Luke.

Jedi nie zdążyli otrząsnąć się z zadumy, kiedy w otworze wejściowym jaskini ktoś się pojawił.

- Danni! - wykrzyknął Luke, odwracając się w jej stronę.

Ociekające wodą jasne włosy młodej badaczki zwisały smętnie, ale w zielonych oczach błyszczało podniecenie.

- Tekli i Tahiri... - zaczęła Danni i urwała, żeby zaczerpnąć powietrza.

Mara zerwała się od ogniska.

- Co się stało? - zapytała.

Danni odwróciła się i wskazała za siebie, jakby chciała przedstawić kogoś, kto jej

towarzyszy.

- Są teraz z nim - podjęła. - No, z tym kapłanem Yuuzhan Vongów, który nazywa się Harrar. - Zamrugła i powiodła spojrzeniem po twarzach Jedi. - Harrar żyje.

ROZDZIAŁ 8

Pełen odrazy do samego siebie, co ostatnio często mu się zdarzało, Malik Carr powrócił myślami do chwili, kiedy w początkowym okresie inwazji pojawił się na planecie Obroa-Skai. Wziął tam udział w spotkaniu z dostojnikami, do których grona zaliczali się komandor Tla, taktyk Raff, kapłan Harrar i Nom Anor. Dwaj ostatni, dochowując wierności Yun-Harli, bogini Zwodzicielce, wpadli na pomysł, żeby jedna z jej kapłanek oddała się w ręce przedstawicieli Nowej Republiki, przeniknęła w szeregi Jeedai i zamordowała możliwie najwięcej spośród nich. Carr miał wtedy poważne zastrzeżenia co do tego planu, ale mimo to wyraził zgodę na jego realizację, po części z powodu słów, które usłyszał od Harrara.

„Jeżeli nasz plan zakończy się powodzeniem - powiedział mu wtedy kapłan - otrzymasz awans do stopnia najwyższego dowódcy i dostaniesz własny gwiazdny okręt, na którego pokładzie wyruszysz do walki przeciwko naszym nowym wrogom, ja zaś będę mógł zasiadać po prawej ręce najwyższego lorda Shimrry na powierzchni przemienionego Yuuzhan'tara...”

Później Elan została zabita, Harrar zesłany na Odległe Rubieże, a niespodziewany atak na nieprzyjacielskie gwiazdne stocznie w przestworzach Fondora zakończył się katastrofą. Odpowiedzialność za to ponosił Nom Anor, ale całą winą za klęskę obarczono Malika Carra i Nasa Chokę. Mimo to od tamtej pory Nas Choka awansował do stopnia wojennego mistrza, Harrar został arcykapłanem, a Nom Anor - wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, zdrowemu rozsądkowi i opinii wielu osób - doszedł do godności prefekta Yuuzhan'tara.

A on, Malik Carr?

Stracił godność i został zdegradowany do stopnia komendanta obozu dla jeńców wojennych, a obecnie był zaledwie pasażerem na pokładzie okrętu pod dowództwem wojownika, któremu kiedyś wydawał rozkazy.

- Postaraj się zrozumieć jedno, Maliku Carr - pouczał go komandor Bhu Fath, siedząc na wysokim fotelu dowodzenia okrętu „Święty Stos”. - Najważniejsi są dla nas więźniowie.

Najwyższy lord Shimrra przywiązuje do nich o wiele większą wagę niż do artefaktów i posążków transportowanych na Yuuzhan'tara na pokładach okrętów tego konwoju.

Carr, wyprężony na baczność w zielonkawym półmroku komnaty dowodzenia, starał się nie okazywać żadnych emocji. Nie mógł jednak zapomnieć, że zaledwie kilka dni wcześniej na powierzchni Selvarisa udusiło się w ofiarnej jamie ponad pięćdziesięciu więźniów, nad którymi powierzono mu władzę.

Kiedy Fath skończył przemówienie, Carr zasalutował, uderzając się pięściami w barki.

- Zrozumiałem, komandorze - powiedział. - Najważniejsi są więźniowie.

Konwój składał się z trzynastu jednostek. Większość stanowiła własność Brygady Pokoju, ale jej frachtowce eskortowało pięć okrętów Yuuzhan Vongów. Oba największe wyposażono w stada koralowych skoczków. Konwojowi nie towarzyszył okręt z yammoskiem na pokładzie, co byłoby czymś niesłychanym w początkowym okresie wojny. Najgorsze jednak, że okręt Fatha był połączony z kadłubem frachtowca Brygady Pokoju za pomocą pępowiny oqa w celu przyspieszenia transferu więźniów z Selvarisa na pokład „Świętego Stosu”. Inni jeńcy wojenni, zabrani wcześniej z odległych planet, mieli pozostawać na pokładach frachtowców Brygady Pokoju, dopóki cały konwój nie wyląduje na powierzchni Yuuzhan'tara.

- Komandorze - zagadnął Carr, szykując się do opuszczenia komnaty dowodzenia. - Jesteś pewien, że najemnicy z Brygady Pokoju dobrze rozumieją nasze priorytety? Podczas rozmów z niektórymi odniosłem wrażenie, że liczy się dla nich tylko przemycana z kopalń Ilezji przyprawa, którą ustawicznie szpikują swoje organizmy.

Fath prychnął pogardliwie. Był wyjątkowo wysoki i silnie umięśniony, ale nie cieszył się takim szacunkiem, na jaki zasługiwałby ktoś inny podobnej postury.

- W obecnych czasach musimy zawierać przymierza z łajdakami i złoczyńcami - odezwał się utyskującym tonem. - Nasze okręty bratają się z wyraźnego polecenia najwyższego lorda Shimrry, ale taka sytuacja nie potrwa długo. Po roku, najwyżej dwóch latach będziemy dysponowali tyloma nowymi wojownikami i okrętami, że przestaniemy korzystać z usług Brygady Pokoju czy innych rzekomych sprzymierzeńców. Zapewnił mnie o tym osobiście wojenny mistrz Nas Choka.

Carr musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, żeby nie okazać gniewu, jaki ogarnął go po tych słowach. To przecież on był mentorem Nasa Choki na początku wojny i to on pozwolił, żeby ceremonia podwyższenia odbyła się na pokładzie dowodzonego przez niego okrętu.

Zastanawiał się, czy w obecnej chwili Nas Choka zaszczyliłby go chociaż jednym spojrzeniem... zwłaszcza gdyby się dowiedział o ucieczce więźnia z obozu na powierzchni Selvarisa. Sama możliwość takiego rozwoju sytuacji przydawała znaczenia obecnemu zadaniu. Choć jeden niefortunny incydent na pewno skazałby go na kolejną degradację.

Carr postanowił jednak, że do tego nie dopuści. Wolałby owinać tkuna wokół szyi niż znosić kolejną hańbę.

Nie ukrywając niepokoju, pokręcił głową. Planeta Selvaris wciąż jeszcze była widoczna za przezroczystą osłoną komnaty dowodzenia, ale powoli zostawała za rufą. Wkrótce jednostki konwoju miały osiągnąć wystarczające przyspieszenie, żeby wskoczyć do mrocznych przestworzy i wyłonić się z nich dopiero w pobliżu Yuuzhan'tara.

Carr zasalutował Fathowi jeszcze raz i zaczął wycofywać się z komnaty. Kiedy znalazł się obok membrany wjazdu, do dowódcy odwrócił się nagle obsługujący chór villipów młodszy oficer łącznościowiec.

-Komandorze, wykryto nieprzyjacielskie jednostki! - zameldował. - Zbliżają się do nas!

Fath wyprostował się, jakby chciał wstać z fotela dowodzenia.

- Co takiego? - zapytał.

- To okręty i eskadry gwiazdnych myśliwców - wyjaśnił podporucznik.

Carr odwrócił się w stronę przezroczystej bańki komnaty dowodzenia. Zza niewielkiego księżycy Selvarisa wylaniało się kilkanaście okrętów, a na kursie lotu konwoju następne jednostki wyskakiwały z nicości, którą nieprzyjaciele nazywali nadprzestrzenią. Carr mógłby przysiąc, że słyszy bitewne okrzyki, wznoszone przez pilotów gwiazdnych maszyn.

- To... zasadzka - odezwał się Fath z niedowierzaniem.

Do komnaty dowodzenia wpadł krępy najemnik z Brygady Pokoju.

- Powiedziano nam, że ten szlak jest bezpieczny! - wybuchnął z urazą. - Jakim cudem Sojusz dowiedział się o naszych planach?

Fath odwrócił się do niego i zapominając o zamknięciu ust, spojrzął na mężczyznę.

- To... to niemożliwe - bąknął cicho.

Członek Brygady Pokoju prychnął szyderczo i pokazał na przezroczystą bańkę stanowiącą sklepienie komnaty.

- Popatrz sam, komandorze - powiedział. - Jeżeli szybko czegoś nie zrobisz, za chwilę

staniemy się kosmicznym pyłem!

Fath zerwał się z fotela dowodzenia i pospieszył do taktycznej niszy, w której roje wirujących w powietrzu ognistych robaczków zajmowały pozycje, mające odzwierciedlić sytuację jednostek na przyszłym polu walki. Z powodu braku yammoska, który mógłby wydawać im rozkazy, robaczki mogły najwyżej pokazywać rozmieszczenie poszczególnych obiektów w przestworzach, nie były jednak w stanie przekazywać informacji o ich uzbrojeniu czy wektorze ataku. Carr poświęcił chwilę, żeby wziąć się w garść, bo od razu odgadł, co się stało.

Zbiegły więzień i matematyczne równanie wyjawione przez schwytanego uciekiniera, które musiało zawierać jakąś zakodowaną informację...

- Komandorze Fath - odezwał się bez zastanowienia. - Proszę rozkazać, żeby villipy rozpowszechniły wiadomość o naszej sytuacji. Proszę rozmieścić dovin basale w taki sposób, żeby chroniły nasze okręty. Proszę także polecić dowódcom jednostek Brygady Pokoju, żeby zajęli pozycje obronne, a my w tym czasie uwolnimy roje skoczków.

Podwładny Fatha spojrzał w napięciu na dowódcę, czekając na potwierdzenie polecenia. Komandor z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Tak, tak, naturalnie - powiedział. - Rób, co mówi... byle szybko.

Najemnik z Brygady Pokoju zmrużył oczy i spojrzał z aprobatą na Malika Carra.

- Dzięki bogom, że ktoś tu ma jeszcze głowę na karku - stwierdził.

Carr spiorunował go spojrzeniem.

- To operacja ratunkowa - przypomniał gniewnie. - Przestań zrzędzić i dopilnuj, żeby pozostali moi więźniowie trafili bezpiecznie na pokład „Świętego Stosu”, a kiedy pępowina oqa zostanie wciągnięta, daj rozkaz swoim podwładnym, żeby zajęli stanowiska ogniowe.

Szczerząc zęby w uśmiechu, mężczyzna uniósł rękę i przyłożył do skroni czubki wyciągniętych palców.

- Sie robi... - powiedział - ...panie komandorze.

Carr rozkoszował się kilka sekund brzmieniem tego tytułu, ale zaraz odwrócił się do Fatha.

- Jesteś pewien, że dasz sobie z tym radę? - zapytał.

Niezdecydowany dowódca spuścił głowę.

- Otrzymałem to zadanie tylko dzięki przypadkowi, najwyższy dowódco - powiedział. - To twoja specjalność, nie moja.

Carr podszedł do niego, tym razem nie kryjąc wściekłości.

- Bhu Fathu! - wykrzyknął. - Ten tytuł należy się tobie, chyba że popełnisz jakieś głupstwo, a wtedy go postradasz!

Fath spojrział na niego i kiwnął głową.

- Natychmiast wydaj rozkaz, żeby okręty z więźniami na pokładzie wskoczyły do mrocznych przestworzy - zażądał Carr. - Nie możemy dopuścić, żeby nadal pozostawały na polu przyszłej bitwy.

Fath wytrzeszczył oczy.

- Mamy się zhańbić niesławną ucieczką? - zapytał.

Carr chwycił go za opończę dowodzenia.

- Priorytety, komandorze - przypomniał z naciskiem. - Najwyższy lord Shimrra będzie miał o tobie lepsze mniemanie, jeżeli ocalisz więźniów, niż gdybyś miał się wykazać zapalem do walki. - Puścił połę płaszcza. - Doświadczenie uczy, że zawsze należy odróżniać roztropność od gorliwości.

Fath odwrócił się do podwładnych i przekazał rozkaz.

- A teraz wyślij do walki koralowe skoczki - polecił Carr.

Tym razem podwładni komandora nie czekali w napięciu na potwierdzenie rozkazu.

Fath zbladł tak bardzo, że jego upstrzona chwalebnyimi bliznami twarz przybrała popielatą barwę.

-Ale przecież nie mamy yammoska... - zaczął niepewnie. Carr przerwał mu władczym machnięciem ręki.

- Jeżeli do tej pory kierujący ruchami skoczków piloci nie nauczyli się walczyć z wrogami za pomocą kapturów świadomości na głowach, już nigdy się tego nie nauczą- syknął lodowatym tonem. - Zapłatą za ich ignorancję będzie haniebna śmierć. - Gestem polecił, żeby Fath podszedł do chóru villipów. - Powiedz im to - zażądał. - Porusz ich serca. Natchnij wolą do walki!

Komandor ponownie przełknął z wysiłkiem ślinę i kiwnął głową.

- Zrobię to - powiedział. - A ty? Gdzie będziesz?

Carr przekrzywił głowę.

- Już zapomniałeś? - zapytał. - Poleciłeś mi, żebym zatroszczył się o więźniów.

Fath wyprostował się na całą wysokość.

- Rzeczywiście - przyznał ponuro.

Carr podszedł i położył dłonie na jego szerokich ramionach.

- Dowodzenie to próba potęgi naszej woli - zaczął. - Nie trać wiary w YunYammkę. Wznies się ponad bitewną zawieruchę. Gdybyś jednak nie miał innego wyjścia, będziesz wiedział, gdzie mnie znaleźć.

Fath grzmotnął pięściami w przeciwległe ramiona i wykonał gest ushrok, świadczący o wdzięczności i oddaniu.

- Belek tiu, najwyższy dowódco! - wykrzyknął.

Nieprzyjaciele zrobili użytek z laserowych działek i wyrzutni protonowych torped. W przestworzach pojawiły się błyski pierwszych strzałów. Carr obrócił się na pięcie i pospiesznie opuścił komnatę dowodzenia „Świętego Stosu”. Tego dnia miał zamiar oczyścić się ze wszystkich zarzutów... albo zginąć.

Dwanaście zaprawionych w bojach myśliwców typu X-wing Eskadry Bliźniaczych Słońc wyłoniło się z kryjówki. Miały naładowane do pełna lasery w czubkach skrzydeł i płyty zablokowane w pozycji bojowej. Konwój złożony z należących do Brygady Pokoju frachtowców w kształcie straków i eskortujących je okrętów ciągnął się długą linią, która przebiegała obok księżycy Selvarisa i kończyła się niemal przy samej powierzchni planety. Kilka statków miało zainstalowane turbolasery i inne dalekosiężne systemy uzbrojenia, ale większość sprawiała wrażenie przypadkowej zbieraniny cywilnych jednostek. W porównaniu z nimi trzy eskortujące konwój, studwudziestometrowe okręty Yuuzhan Vongów były olbrzymami. Wyglądały jak groty strzał z czerwonawocznego koralu yorik, najeżonego gniazdami dovin basali i otworami plujących plazmą kraterów. Dwa inne, o wiele większe okręty miały jajowaty kształt i były odpowiednikami lotniskowców. Wyglądały na równie dobrze uzbrojone, a przy ich kadłubach barwy kości wisiały przyłączone niczym małże kiście koralowych skoczków.

Siedząc za sterami „Bliźniaczej Jedyńki”, Jaina Solo leciała na czele szyku trzech eskadr gwiazdnych myśliwców. Nie odrywając osłoniętych rękawicami dłoni od rękojeści drążka X-winga, włączyła brodą umieszczony w hełmie mikrofon komunikatora.

- Uwaga, piloci wszystkich eskadr, zająć pozycje za maszynami dowódców i przełączyć pokładowe komunikatory na nasłuch na częstotliwościach bojowych - rozkazała. - Dowódco Eskadry Bułatów, jak mnie zrozumiałeś?

- Zrozumiałem cię, „Bliźniacza Jedyńko” - odezwał się pułkownik Ijix Harona.

- Dowódco Żółtych Taanabów, jak mnie zrozumiałeś?

Z głośnika komunikatora wydobył się głos Wesa Jansona.

- Głośno i wyraźnie, „Bliźniacza Jedyńko”.

Czujniki pokazywały błękitne i żółte ukośne linie na ekranach monitorów w kabinach X-wingów.

- Dowódco Bułatów, przydzielam twojej eskadrze lotniskowiec numer jeden - poleciała młoda Solo. - Dowódco Taanabów, zajmiecie się lecącymi na czele konwoju kanonierkami. Bliźniacze Słońca zatroszczą się o lotniskowiec, połączony pępowiną z frachtowcem Brygady Pokoju. Atakiem na pozostałe jednostki konwoju zajmą się piloci Tuzina, Czarnego Księżyca i Awangardy.

Eskadra Bliźniaczych Słońc, nazwana tak przez Luke’a Skywalkera na pamiątkę okrążanej przez dwa słońca rodzinnej planty Tatooine, składała się z myśliwców typu X-wing klasy T-65A2 i XJ3. Piloci Eskadry Bułatów pod dowództwem Ijixa Harony latali na śmigłych A-wingach w kształcie klinów, piloci Czarnego Księżyca mieli do dyspozycji E-wingi, a ochotnicy z Eskadry Asów Taanaba siedzieli za sterami tęponosych żółtych myśliwców z czarnymi pasami na kadłubie. Piloci Tuzina tworzyli eskadrę powołaną do życia przez Kypa Durrona, a piloci Awangardy - przez Jaggeda Fela i jego chissańskich towarzyszy broni.

Na bokach białego kadłuba maszyny Jaina wciąż jeszcze widniały niewyraźne ślady namalowanych przed rokiem sylwetek upolowanych voxynów - służących do wykrywania i mordowania Jedi bestii wyhodowanych dzięki bioinżynierii Yuuzhan Vongów. Po prawej stronie jej X-winga leciały gwiazdne myśliwce i uzbrojone transportowce, które zaledwie kilka sekund wcześniej wyłoniły się z nadprzestrzeni. Młoda Solo przełączyła komunikator na kanał dowodzenia.

- Jesteście tam, Kypie, pułkowniku Fel i kapitanie Saz? - zapytała.

- Potwierdzam, pani pułkownik - usłyszała odpowiedź Saza.

- Przycupnąłem na twoim prawym ramieniu - odparł Kyp Durron. Gwiazdy nowe na kadłubie jego myśliwca typu X-wing były równie spłowiałe i zatarte jak voxyny „Bliźniaczej Jedyńki”. Miło cię widzieć, powitał Jainę, posługując się Mocą.

Jaina podziękowała za to pozazmysłowe powitanie i poczuła, że Kyp przyłącza się do myślowięzi łączącej ją z Lowbaccą i Alemą Rar. Wookie i Twi’lekanka pilotowali myśliwce oznaczone jako „Bliźniacza Piątka” i „Dziewiątka”. Spajająca ich myślowięź była potężna,

choć daleko jej było do więzi, jaka łączyła Jainę z jej bliźniakiem Jacenem Solo, nawet wtedy, kiedy dzieliła ich odległość wielu lat świetlnych.

- Gdzie jest Jag... pułkownik Fel? - zapytała. - Myślałam, że Chissowie także wezmą udział w tej walce.

- Eskadra Awangarda otrzymała rozkaz pozostania na Kałamarze - wyjaśnił Kyp. - Szykuje się tam coś ważnego. - Kazał powiedzieć, że cię kocha, dodał w myśli mistrz Jedi.

Wiadomość zaskoczyła Jainę do tego stopnia, że na jej twarzy pojawiły się rumieńce. Uwaga Kypa nie mogła jednak się pojawić w bardziej odpowiedniej chwili.

- Bliźniacze Słońca, Bułaty i Żółte Asy, zacie swoje zadania - powiedziała stanowczo przybyłym wcześniej na pole walki towarzyszącej broni. - Dowódco Czarnych Księżyców, nie krępuj się prosić o pomoc, jeżeli kanonierki stawiają wam zbyt silny opór.

Saz wybuchnął śmiechem.

- Dzięki za zaufanie, pani pułkownik - powiedział.

Zainstalowany w gnieździe za owiewką kabiny X-winga Jaina astromechaniczny robot R2-B3 Cappie przekazał wiadomość do kabiny myśliwca. Młoda Solo przeczytała tłumaczenie na ekranie monitora i ponownie włączyła broń mikrofon komunikatora.

- Uwaga, wszyscy piloci - zaczęła. - Czujniki wskazują zwiększone natężenie emisji z generatorów jednostek napędu nadświetlnego frachtowców Brygady Pokoju.

- Zrozumiałem, „Bliźniacza Jedyńko” - odparł Harona. - Przygotowują się, żeby wskoczyć do nadprzestrzeni.

Jaina zwiększyła dopływ energii do jednostek napędowych myśliwca.

- Nie odlecają stąd bez naszej zgody - zapowiedziała. - Wszystkie klucze, zajmijcie pozycje, żeby ich przechwycić i uniemożliwić ten manewr. Brać na cel jednostki napędu nadświetlnego i generatory ochronnych pól. Starannie mierzyć. Nie mamy pojęcia, gdzie są przetrzymywani więźniowie, a nie chcemy ich zabić ani zranić.

Przyglądała się, jak jednostki Brygady Pokoju łamią szyk. Lecące na czele frachtowce skręciły na boki, a trzymające się dotąd pośrodku statki starały się ukryć za tarczą satelity planety. Piloci kilku kluczy Tuzina Kypa i Czarnego Księżyca przyspieszyli, żeby przeciąć trajektorię lotu nieprzyjacielskich statków.

Jaina przyciągnęła rękojęść dźwigni drążka sterowniczego ku sobie i zatoczyła ostry łuk. Gdyby leciała w atmosferze, taki manewr prawdopodobnie wyparłby jej powietrze z płuc, ale

dzięki włączeniu inercyjnych kompensatorów poczuła się, jakby opadała łagodnym lotem ślizgowym. Z pokładów okrętów eskortujących konwój poszybowwały laserowe błyskawice i płonące pociski, które wbiły się w szyk jej gwiazdnych maszyn. Jaina zauważyła, że dwa X-wingi znikają w kulach ognistych eksplozji. Piloci Tuzina Kypa rozdzielili się na cztery trójki i osłaniani przez wspólne pola siłowe przyspieszyli w nadziei, że przechwycą odlatujące frachtowce.

Okazało się jednak, że niektóre frachtowce Brygady Pokoju są szybsze, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Kiedy z dysz wylotowych ich jednostek napędowych wytrysnął oślepiający blask, statki skręciły w stronę Rubieży i zaczęły się szybko oddalać z pola walki. Piloci Eskadr Czarnego Księżyca i Bułatów ostrzelali ich kadłuby i dysze seriami laserowych błyskawic, ale puścili się w pościg zbyt późno.

- Widzę, jak znika pierwszy... drugi... trzeci frachtowiec Brygady Pokoju - zameldował Harona, kiedy trzy nieprzyjacielskie jednostki wskakiwały do nadprzestrzeni. - Czy mamy ich ścigać?

- Zaprzeczam - odezwała się szybko Jaina. Zgodnie z rozkazem mieli uratować tylu więźniów, ilu się da, a nie ścigać nieprzyjaciół do przestworzy Coruscant. - Postarajcie się tylko, żeby nikt inny nie prześliznął się obok was.

Piloci Tuzina Kypa przyspieszyli, żeby uniemożliwić ucieczkę pozostałym jednostkom konwoju. Kiedy to było konieczne, posyłali pociski udarowe i protonowe torpedy, żeby umykające frachtowce się nie rozproszyły. Po ich strzałach chronione przez słabe pola, niezgrabne statki stopowały w przestworzach, a jeden został na dobre unieruchomiony.

O wiele szybciej zareagowały jednak załogi yuuzhańskich odpowiedników lotniskowców.

W pewnej chwili z głośnika komunikatora Jainya rozległ się donośny głos pułkownika Harony.

- Wypuścili koralowe skoczki!

Jaina skręciła na sterburtę w samą porę, żeby zobaczyć, jak nieprzyjacielskie myśliwce odrywają się od spodu kadłubów macierzystych okrętów i otaczają chmurą pozostałe frachtowce i kanonierki Yuuzhan Vongów. Zwinne i śmiertelnie niebezpieczne nieprzyjacielskie myśliwce wyglądały jak perłowoczerwone kliny z koralu yorik. Młoda Solo pomyślała, że ich widok mrozi krew w żyłach... ale nie jej, bo przyzwyczyła się już do taktyki walki yuuzhańskich pilotów.

Wiedziała z doświadczenia, że nie powinna lekceważyć żywotności skoczków ani niezłomnej woli walki ich pilotów.

Opanowała radosne uniesienie i ponownie zespoliła myśli z pozostałymi Jedi. Wyczuła, że Lowbacca, Alema i Kyp potwierdzają gotowość.

- Uwaga, piloci Klucza Pierwszego - powiedziała. - Położyć się na kurs jeden-zero-jeden względem ekliptyki i przestawić lasery na nieregularny ogień. Pamiętajcie o systemach bezpieczeństwa i katapultach, jeżeli dovin basale wciągną pola ochronne waszych maszyn.

Korzystając z Mocy, Lowbacca i Alema przelotnie dotknęli jej umysłu swoimi myślami. Dowodzone przez nich klucze, po cztery maszyny w każdym, zmieniły wektory lotu zgodnie z jej rozkazem i zanurkowały w kierunku lotniskowca złączonego pępowiną z frachtowcem Brygady Pokoju.

Po klęsce sił zbrojnych Tsavonga Laha w systemie Ebaqa Dziewięć i prawie po roku od ciężko okupionych zwycięstw Yuuzhan Vongów w przestworzach Szczątków, Gromady Koornacht i innych, wojna powinna była dawno dobiec końca. Dowodzący siłami zbrojnymi Galaktycznego Sojuszu Sow, Kre'fey, Brand, Keyan Farlander, Bel Iblis i inni byli pewni, że zadali Yuuzhanom śmiertelny cios, a przyszłe utarczki ograniczą się głównie do eliminowania niedobitków. Okazało się jednak, że mistrzowie przemian Yuuzhan Vongów cały czas opracowywali nowe sposoby przywrócenia równowagi na polach przyszłych bitew. Udało się im zniwelować przewagę, jaką zapewniały Sojuszowi zmienna częstotliwość laserowych strzałów, urządzenia zakłócające działanie yammosków, pozorowane dovin basale, ciemne bomby i inne nowości.

Później zaś Yuuzhan Vongowie posunęli się jeszcze dalej: wypuścili w przestworza hordy dovin basali zaprojektowanych w taki sposób, żeby pochłaniały stacje przekaźnikowe HoloNetu jak galaktyka długa i szeroka. Wojskowi Sojuszu starali się wprawdzie przywrócić łączność, umieszczając aparaturę nadawczo-odbiorczą na pokładach okrętów stacjonujących w głębinach przestworzy, ale mimo to w ręce nieprzyjaciół wpadały kolejne planety, podbijane albo ulegające bez walki. W końcu doszło do katastrofalnej w skutkach próby oswojzenia planety Bilbringi przez połączone siły zbrojne Sojuszu i Szczątków Imperium.

Tytuł Zwodzicielki znalazł się ponownie w rękach najwyższego lorda Shimrry, a Jaina musiała się zadowolić określeniem Miecz Jedi. Została tak nazwana na Kałamarze podczas ceremonii pasowania na rycerza, które poprzedziło zmagania w przestworzach Ebaqa Dziewięć.

- Starajcie się, żeby każdy strzał docierał do celu - przypomniała. - Oszczędzajcie protonowe torpedy i rakiety udarowe na odpowiedniki lotniskowców.

Organiczny rękaw cumowniczy nadal łączył ogromny okręt Yuuzhan Vongów z frachtowcem Brygady Pokoju. W przestworzach oddzielających pilotów Bliźniaczych Słońc od obu jednostek roily się chmury koralowych skoczków.

- Rozpocząć atak wzdłuż linii jednostek konwoju - rozkazała młoda Solo.

Kiedy z laserów w skrzydłach gwiazdnych myśliwców poszybowały serie zielonych błyskawic spójnego światła, na ekranach monitorów pojawiły się zakłócenia. Wytwarzane przez koralowe skoczki grawitacyjne anomalie pochłonęły energię większości strzałów, ale kilka przedarło się przez obronę nieprzyjaciół i dotarło do celu. W przestworzach pojawiły się kule ognistych eksplozji, a we wszystkie strony poszybowały, wirując w locie, nieregularne bryły koralu yorik.

Po zakończeniu pierwszego ataku Jaina przyspieszyła, zatoczyła ciasny łuk, zawróciła i ponownie rzuciła się w wir walki. Z podobnych do wulkanicznych kraterów wyrzutni koralowych skoczków poszybowały ku niej kule przegrzanej plazmy, by zaraz przelecieć niczym ogniste meteory obok owiewki jej kabiny. Lecąc zygzakami, młoda Jedi minęła skupiska nieprzyjacielskich myśliwców i odpowiedziała na ostrzał ogniem laserowych działek. Pilot jednego skoczka zszedł wprawdzie z linii jej starannie mierzonych błyskawic, ale myśliwiec drugiego zaskoczyła ciągłym ogniem i rozpyliła na atomy.

Jeszcze bardziej przyspieszyła i w towarzystwie skrzydłowego rzuciła się w pościg za tym, który zszedł z linii jej ognia. Pilot napędzanej przez dovin basala chropowatej bryły koralu yorik śmignął świecą w niebo, zatoczył pętlę i zaczął obniżać pułap lotu. Cały czas strzelał do nich ze wszystkiego, czym dysponował. „Bliźniacza Trójka” skręciła raptownie na bakburtę, ale wykonała manewr nie dość szybko. Dovin basal koralowego skoczka wessał ochronne pola jej maszyny w tym samym ułamku sekundy, w którym doścignęły ją dwie płonące kule plazmy. Przeciążone pola siłowe X-winga zanikły i maszyna rozpadła się na kawałki.

Mimo wielu doświadczeń i uczestnictwa w licznych bitwach Jaina nie przyzwyczaiała się do śmierci towarzyszy broni. Na obecnym etapie działań zbrojnych, kiedy każdy weteran, który tylko mógł, dowodził własną eskadrą gwiazdnych maszyn, piloci, którzy otrzymali przydział do Bliźniaczych Słońc, byli praktycznie jej rówieśnikami, więc śmierć każdego rozdzierała jej serce.

Jaina poczuła impuls gniewu, który zaraz minął, rozpląnawszy się w Moc. Z

niewiarygodnym spokojem zmieniła wektor lotu i rozpoczęła ostrzał koralowego skoczka. Zauważyła, że jego organiczne systemy obronne borykają się z innymi problemami. Dwa precyzyjnie mierzone strzały obezwładniły nieprzyjacielski myśliwiec, a trzeci uśmiercił go na dobre. Z kadłuba strzeliły opalizujące chmury rozpylonego koralu, a skoczek zniknął w płonącej zaledwie kilka sekund ognistej kuli.

Jaina zmieniła kurs, żeby ją wyminąć, i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu następnych celów.

Dzięki nowym taktykom i systemom uzbrojenia, wymyślanym cały czas przez Yuuzhan Vongów, szanse obu stron na polu walki znów się wyrównały. Walki pilotów gwiazdnych myśliwców stawały się równie zacięte jak w początkowym okresie działań zbrojnych, zanim wymyślono skuteczniejsze sposoby toczenia takich pojedynków. Ilekroć piloci koralowych skoczków stawali do walki bez wsparcia yammosków, siły zbrojne Sojuszu miały nad nimi nieznaczną przewagę, ale od pewnego czasu yuuzhańscy piloci zdobyli większą władzę nad swoimi organicznymi myśliwcami niż do tej pory, więc przechytrzenie ich czy wymanewrowanie nie było takie proste.

Jaina postanowiła zignorować wskazania pokładowego dalmierza i wspomaganych przez komputer urządzeń celowniczych. Uznała, że zacznie polegać na Mocy, żeby naprowadzała ją na kolejne cele. W kanale łączności krzyżowały się nieustannie okrzyki i meldunki z pola bitwy.

- Nie damy rady przetrzeć szlaku dla naszych transportowców, dopóki wokół lotniskowców będą się roily chmury koralowych skoczków - uprzedzał Harona pilotów Eskadry Bułatów. - Trzeci Klucz, musicie wyeliminować z walki grzbietową wyrzutnię kul plazmy. Klucz Drugi, postarajcie się odciągnąć pilotów tych skoczków.

- Staramy się, dowódcu Bułatów, ale nie chcą chwycić naszej przynęty - usłyszał w odpowiedzi.

- Zrozumiałem - odparł Harona. - W takim razie musimy podjąć z nimi walkę.

Jaina zorientowała się, że taka sama sytuacja panuje wokół drugiego lotniskowca, połączonego pępowiną z frachtowcem Brygady Pokoju. Piloci koralowych skoczków byli zdecydowani ochraniać większą jednostkę za wszelką cenę, przynajmniej dopóki się nie odłączy od statku Brygady Pokoju. W pewnej chwili piloci Drugiego Klucza Bliźniaczych Słońc dali ognia, a ich strzały rozdarły na strzępy wypukłość koralowego krateru, który osłaniał napędzającego wielki okręt dovin basala.

Jaina i pozostali przy życiu piloci jej eskadry zacieśnili szyk i rzucili się do ataku. Ostrzeliwani przez lasery X-wingów piloci koralowych skoczków zareagowali, idąc w rozsypkę. Tylko jeden - zapewne dowódca, bo leciał na czele roju yuuzhańskich myśliwców - postanowił wzgardzić tchórzliwą taktyką walki swoich ziomków i podjąć walkę z Jainą Solo. Reszta roju zrezygnowała z osłaniania lotniskowca.

- „Bliźniacza Jedynko”, pojedynczy skoczek koło twojego prawego skrzydła - ostrzegła ją w pewnej chwili Alema.

- Dzięki, „Dziewiątko”.

Pragnąc uniknąć spotkania z rojem ognistych pocisków, młoda Solo obróciła maszynę w locie i zmieniła wektor lotu, a atakujący ją nieprzyjacielski dowódca puścił się za nią. Skrzydłowi obojga zostali z tyłu, zbyt zajęci utrzymywaniem pozycji w szyku i powtarzaniem manewrów przełożonych, żeby prowadzić ogień. W pewnej chwili pilot skoczka utworzył grawitacyjną anomalię przed nosem jej maszyny, ale Jaina w ułamku sekundy zmieniła trajektorię lotu. Pilotowany przez nią X-wing zakolysał się, lecz po chwili uspokoił. Jaina przycisnęła kciukiem spust wszystkich laserów i zaczęła posyłać błyskawice w głąb grawitacyjnej dziury. Dovin basale łąpczywie pochłonęły energię jej strzałów, ale na mgnienie oka pozostawiły koralowy skoczek bez ochrony. Jaina niczego innego nie potrzebowała. Dała ognia ze sterburtowych laserów i zaczęła bezlitośnie ostrzeliwać yuuzhański myśliwiec, którego kadłub przełamał się mniej więcej pośrodku. Ze szczeliny buchnęły długie warkoczce opalizującego dymu, a ułamek sekundy później cały skoczek zniknął w oślepiającej kuli ognia.

Klucze Drugi i Trzeci także mogły się poszczycić podobnymi sukcesami. Rezygnując z przestrzegania dyscypliny, piloci koralowych skoczków starali się jak najszybciej oddalić od odpowiednika drugiego lotniskowca, ale wykonując uniki, raz po raz przecinali linie posyłanych ku nim śmiertelnych strzałów.

Tymczasem lecący na czele konwoju pierwszy lotniskowiec obrócił się spodem do góry. Po obu jego stronach piloci Tuzina Kypa i Czarnego Księżyca zataczali kręgi wokół frachtowców Brygady Pokoju, o zupełnie zniszczonych stanowiskach artyleryjskich. Dopiero wówczas na polu walki mogły pojawić się kanonierki i transportowce Sojuszu, żeby zabrać uwolnionych więźniów.

Jaina rozkazała, żeby piloci Kluczy Pierwszego i Trzeciego otoczyli odpowiednik lotniskowca z wyciągniętym organicznym rękawem cumowniczym. Poleciała, żeby Lowbacca i

Klucz Drugi zostali z tyłu i powstrzymywali wszystkie jednostki, których piloci zamierzaliby przelecieć obok lotniskowca.

W pewnej chwili usłyszała głos Durrona.

- Właśnie się dowiedziałem, że agenci Sojuszu uszkodzili jednostki napędu nadświetlnego na pokładach wszystkich obiektów z wyjątkiem jednego frachtowca - zameldował.

- Już nam nie umkną.

- To wspaniała wiadomość - przyznała Jaina.

- Za chwilę usłyszysz jeszcze lepszą - dodał mistrz Jedi. - Są tu także twoi rodzice.

- Tak, wyczuwam ich. - Jaina się uśmiechnęła.

Skierowała spojrzenie na świetlisty punkcik na ekranie monitora, który mógł oznaczać tylko „Sokoła Millenium”. Wysłuzony frachtowiec kierował się w jej stronę.

Nie widziała się z rodzicami od wielu tygodni. Dopiero poprzedniego dnia się dowiedziała, że to dzięki nim zdobyto informację o konwoju, a oni sami zgłosili się na ochotnika do udziału w tej akcji ratunkowej.

Jakoś jej to nie zaskoczyło.

Wysłała im pozdrowienia poprzez Moc. Pomyślała, że jej matka powinna odgadnąć, kto je nadał.

Wkrótce zobaczyła „Sokoła” na własne oczy. Jej rodzice manewrowali frachtowcem tak zręcznie, jakby pilotowali myśliwiec typu X- albo Y-wing. Z wieżyczek obu czterolufowych działek sypały się nieustannie błyski strzałów i rozpylały na atomy koralowe skoczki, których piloci mieli nieszczęście znaleźć się na kursie statku. Za rufą „Sokoła” leciał najeżony lufami systemów uzbrojenia smukły patrolowiec Galaktycznego Sojuszu. Kiedy obie jednostki zbliżyły się do kadłuba drugiego lotniskowca, z pokładu patrolowca wystrzelono harpun, który trafił w dziób frachtowca Brygady Pokoju połączonego z kadłubem ogromnego okrętu Yuuzhan Vongów.

- Harpun porażający - odezwał się pilot „Bliźniaczej Czwórki”. - Podobny do gigantycznej strzykawki wypełnionej gazem usypiającym. Kiedy nasi ludzie wedrą się na pokład frachtowca, powinni zastać wszystkich najemników z Brygady Pokoju śpiących smacznie jak niemowlęta.

ROZDZIAŁ 9

Han i Leia przeszli przez służę unieruchomionego frachtowca i znaleźli się w ogromnej ładowni. Kroczył za nimi C-3PO, powłócząc złocistymi nogami. Oboje Solo mieli na twarzach przezroczyste maski do oddychania. Wszędzie wokół widzieli nieprzytomnych członków Brygady Pokoju różnych ras, rozciągniętych na płytach pokładu albo leżących nieruchomo pod ścianami czy grodziami. W ładowni przebywały także trzy drużyny elitarnego oddziału komandosów. To ich koledzy z pokładu patrolowca trafili frachtowiec harpunem, a oni pierwsi wdarli się na pokład statku.

Komandosy mieli na sobie mimetyczne kombinezony ochronne i czarne hełmy z przyciemnianymi osłonami twarzy. Każdy żołnierz był uzbrojony w blasterowy karabin i dwumetrowe wibroostrze, wszyscy mieli także bandolierę z oślepiającymi granatami i termicznymi detonatorami oraz sprzęt umożliwiający przeżycie w najtrudniejszych sytuacjach. Członkowie elitarnego oddziału komandosów specjalizowali się w niebezpiecznych akcjach, jak na przykład przenikanie na teren obozu czy jednostki nieprzyjaciół. Tę formację powołano do życia stosunkowo niedawno. Większość komandosów przebywających w ładowni odbyła kilkumiesięczne przeszkolenie, podczas którego zaznajomiono ich z wnętrzami schwytych okrętów Yuuzhan Vongów. Han był pewien, że do tej pory inne oddziały elitarnych komandosów zdążyły przedostać się do niżej położonych pokładów frachtowca. Trzej żołnierze skuwali właśnie kajdankami nieprzytomnych najemników z Brygady Pokoju.

Kiedy oboje Solo ocenili sytuację w ładowni, w dziobowej przegrodzie otworzył się właz, przez który wszedł Klatoinianin. Zanim zielonoskóry osobnik człekokształtny o twarzy podobnej do psiego pyska zdążył unieść zakończone pazurami ręce na znak, że się poddaje, w jego stronę skierowały się lufy dwudziestu blasterowych karabinów.

- Nazywam się Hoby - powiedział Klatoinianin. Han zauważył, że na grubej szyi ma zawieszoną maskę do oddychania. - To ja uszkodziłem jednostkę napędu nadświetlnego tego frachtowca. Grupa Niespodzianka! - wykrzyknął hasło. - Grupa Niespodzianka!

Dowodzący oddziałem komandosów mężczyzna w stopniu pułkownika rozkazał podwładnym opuścić broń.

- Następnym razem podawaj umówione hasło, zanim wejdiesz do zabezpieczonego pomieszczenia - warknął gniewnie. - Masz szczęście, że cię nie zabiliśmy!

Hobyo trochę się odprężył.

- Nie znajdziecie żadnych więźniów na pokładzie tego frachtowca - powiedział. - Wszystkim kazano przejść do wnętrza lotniskowca Yuuzhan Vongów.

- Którędy? - zapytał zwięźle dowódca oddziału komandosów. Klatooinianin wskazał na bakburtę.

- Pępowina jest dołączona do ściany sąsiedniej ładowni - odparł. Pułkownik zostawił w ładowni kilku podwładnych, żeby zajęli

się przytomniejącymi najemnikami z Brygady Pokoju. Pozostałym polecił, żeby przeszli szerokim korytarzem do przyległej ładowni.

Han upewnił się, że stężenie usypiającego gazu osłabło na tyle, że można bezpiecznie oddychać, i zdjął maskę, ale od razu się zakrztusił.

- Co, u licha, tu przewozili? - zapytał, przyciskając dłoń do ust. - Zgniłe jaja?

Leia odetchnęła powietrzem w ładowni i natychmiast z powrotem nałożyła maskę.

- Czy to zapach gazu usypiającego? - zapytała.

Hobyo pokręcił głową.

- Ten smród wydobywa się z rękawa cumowniczego Vongów - powiedział. - Obieg powietrza roznosi tę woń po całym wnętrzu frachtowca. Wcześniej czy później się do niego przyzwyczaiacie.

- Mów za siebie - burknął Solo, wskazując brodą przejście do sąsiedniej ładowni. - Idziesz?

- Kiedy tylko zidentyfikuję członków Brygady Pokoju. Han kiwnął głową i popatrzył na See-Threepia.

- Idziemy, Złota Sztabo - powiedział.

Protokolarny android wyglądał na zaskoczonego tą propozycją.

- Kapitanie Solo, czy nie byłoby najlepiej, gdybym poczekał na pokładzie „Sokoła Millenium”? - zapytał.

- Cakhmaim i Meewalha potrafią się zatroszczyć o „Sokoła” - odparł Han. - A my możemy cię potrzebować jako tłumacza.

- Tłumacza? - zachnął się android. - Ależ kapitanie Solo, nie potrafię płynnie władać językiem Yuuzhan Vongów! Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze staram się zrozumieć tryb łączący warunkowy...

Han wykrzywił się, jakby wypił coś kwaśnego.

- Nigdy dotąd nie mieliśmy żadnych kłopotów ze zrozumieniem ciebie, Threepio - powiedział. - Ruszaj w drogę.

Oboje Solo weszli pierwsi do bakturtowej ładowni. Han od razu zwrócił uwagę na wylot organicznego rękawa cumowniczego. Podbiegł do niego, ale zatrzymał się metr przed otworem, odwrócił i oparł się barkiem o ścianę ładowni.

Spojrzał na żonę.

- Nie chciałybyś tego oglądać - uprzedził, kiedy Leia podeszła bliżej.

Księżniczka spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem. Han miał szeroko otwarte oczy i kręcił głową z boku na bok.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- Pamiętasz, kiedy przebywaliśmy na powierzchni Dantooine, a ja zachorowałem na balmorrańską grypę? - zapytał. - No cóż, to wygląda... - urwał i wskazał kciukiem wylot pępowiny - ..przypuszczam, że tak musiało wówczas wyglądać wnętrze mojego nosa.

Leia uśmiechnęła się powątpiewająco i przeszła obok niego.

- Na pewno nie wygląda tak źle, jak... - zaczęła.

Spojrzała w głąb otworu i zamarła.

C-3PO podszedł do niej i ujął się pod boki.

-Ależ to... membrana oqa! - powiedział. - Słowo pochodzi od trąby zwierzęcia pociągowego Yuuzhan Vongów. Dno tej rury określa się czasem mianem bakteryjnej maty, a ściekająca ze sklepienia lepka ciecz zawiera bakterie, dzięki którym powstała sama rura!

Han przeniósł spojrzenie na żonę.

- A mówiłem, że się przyda - zauważył.

C-3PO zniknął w otworze organicznego rękawa cumowniczego i rozchlapując kałuże lepkiej cieczy, zaczął brnąć w głąb pępowiny. Od czasu do czasu napływał jego coraz cichszy głos.

- Ależ tak, to maleńkie białe pajęczaki, podobne trochę do tych, które czasami zamieszkują wnętrza wulkanicznych otworów wentylacyjnych...

Han wpatrywał się w twarz żony.

- Nie cierpię bakteryjnych mat! - odezwał się w końcu. - Nie istnieje jakaś inna droga?

- To mało prawdopodobne, Hanie - odparła księżniczka.

Solo zacisnął wargi.

- No dobrze, idź pierwsza - stwierdził z rezygnacją. - Tylko niczego nie dotykaj - dodał po chwili.

Starając się nie patrzeć na ociekające lepką cieczą ściany i przyciskając ręce do boków, pokonali stumetrową odległość w rekordowo krótkim czasie. Kiedy wyłonili się wewnątrz lotniskowca Yuuzhan Vongów, Leia miała nogi unurzane po kolana w paskudnie cuchnącej mazi.

Widząc dziury ziejące w podobnych do membran grodziach i tęczówkowo zamykanych portalach, orientowali się, którzy przeszli żołnierze z elitarnego oddziału komandosów. Bioluminescencyjne porosty wydzielały mdłą zielonkawą poświatę, dzięki której widzieli wijące się korytarze. W miejscach, w których się krzyżowały, z łagodnie pulsujących ścian i pasm łączącej je tkanki ściekała podejrzana ciecz. Powietrze było bogate w tlen, ale wyczuwało się gryzący, ostry zapach. Przeszli przez otwór w rozdartej membranie i znaleźli się w przestronnej ładowni o posadzce z koralu yorik, która wyglądała, jakby sporządzono ją z pomarańczowego ferrobetonu.

Leia zapaliła klingę świetlnego miecza.

Od strony dziobu napływały wojenne okrzyki, którym towarzyszyły odgłosy ognia z blasterowych karabinów i głucho łomoty uderzeń amphistaffów.

- Wygląda na to, że gaz usypiający nie działa na organizmy Yuuzhan Vongów - stwierdziła Leia.

- Ta-a, wielka szkoda - mruknął Han.

Puścili się biegiem w stronę miejsca toczącej się walki. Kiedy skręcili za ostatni róg, zobaczyli przyjaciół i wrogów leżących razem na koralowym pokładzie w kałużach czerwonej i czarnej krwi, którą łapczywie pochłaniały podobne do jeziorów stworzenia. Han powalił strzałem z biodra jakiegoś Yuuzhanina ze sztyletami coufee w obu dłoniach, a Leia jednym ciosem miecza odcięła nogi innemu wojownikowi, który skoczył w jej stronę. Na widok pola bitwy C-3PO chwycił się rękami za głowę i zaczął gorzko biadolić.

Oboje Solo podążyli na dziób za walczącymi komandosami. Żołnierze, trzymając broń na wysokości ramion, omiatali z boku na bok lufami karabinów każde opanowane pomieszczenie. Niektórzy pokonywali kolejne odcinki żabimi skokami, po czym dawali znaki pozostałym, że droga jest bezpieczna. Od czasu do czasu długimi seriami strzałów zabijali

amphistaffy albo kierowali ogień w szczeliny pancerzy z kraba vonduun, żeby usmażyć odsłonięte miejsca ciał yuuzhańskich wojowników. Wrogowie, uzbrojeni czy bezbroni, w pancerzach czy bez, walczyli do ostatka. Rzucali się do ataku, jakby woleli zginąć niż się poddać, nawet kiedy istniała taka szansa.

Przechodząc nad rozciągniętymi ciałami, Han, Leia i komandosi dotarli do następnego skrzyżowania organicznych korytarzy. Kiedy drużynowy się zastanawiał, w którą stronę odnogę, dogonił ich Hoby.

- Więźniowie są przetrzymywani na górnym pokładzie w ładowni za komnatą dowodzenia - poinformował. Precisnął się między komandosami aż do skrzyżowania i wskazał właściwą odnogę. - Tędy.

Stromo wznoszący się korytarz prowadził na pokład dowodzenia lotniskowca. Na szczycie pochylni dwaj komandosi trzymali skutego kajdankami najemnika z Brygady Pokoju. Z obszarpanego munduru mężczyzny unosiła się ostra woń przyprawy, zwanej błyszczostymem.

- Twierdzi, że kiedy zaatakowaliśmy, większość wojowników uciekła koralowymi skoczkami - zameldował najwyższy komandos. - Na pokładach yuuzhańskiego okrętu zostali sami oficerowie.

Najemnik z Brygady Pokoju poprowadził ich do dziobowej ładowni, w której, oplataną lepłą siecią, siedzieli trzej Yuuzhan Vongowie. Jeden miał na sobie opończę dowodzenia, która zwisała z kościanych występów implantowanych w ramiona. Dowodzący oddziałem komandosów pułkownik ujął się pod boki, kierując kciuki do tyłu, i okrążał jeńców z widoczną dumą.

- Zaskoczyliśmy tych trzech i spętaliśmy siecią, zanim zdążyli zrozumieć, co się dzieje - powiedział na widok obojga Solo.

Pośrodku ładowni siedziało pięćdziesięciu więźniów Galaktycznego Sojuszu. Istoty różnych ras spoczywały nieruchomo w ogromnej kałuży żelu blorash.

- Hanie! Leio! - zawołał nagle jeden z więźniów.

Był krępy mężczyzną o sympatycznym, chociaż dość nijakim wyglądem. Miał upstrzoną pasemkami siwizny długą ciemną brodę.

- Judder Page! - zdziwił się Solo. Podeszedł do niego, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i omiół spojrzeniem twarze siedzących obok niego więźniów. - O, i Pash!

Cracken kiwnął głową na powitanie.

- Uwolnieni przez sławne osobistości! - powiedział. - Nie zasłużyliśmy na taki zaszczyt!

Leia spojrzała na kałużę żelu blorash i zaplotła ręce na piersi.

- Jeszcze was nie uwolniliśmy - stwierdziła.

Han kucnął przed kapitanem Page'em.

- Gdybyśmy wiedzieli, że trzymają was na powierzchni Selvarisa, nie odlecielibyśmy stamtąd bez was - powiedział.

Oficer popatrzył z niedowierzaniem.

- Wylądowaliście na powierzchni Selvarisa? - zapytał zdziwiony.

- Niezupełnie, ale przechwyciliśmy jednego z waszych uciekinierów - wyjaśnił Solo. - Jeneta.

- Garbana... to znaczy Thorsha - powiedział Cracken z wyraźną ulgą.

- Jak myślisz, skąd mogliśmy się dowiedzieć o tym konwoju?

- Dzięki niech będą Mocy - mruknął Page.

- Wedge prosił, żeby was pozdrowić - ciągnął Han. - Powiedział, że przykro mu z powodu tego, co stało się w przestworzach Bilbringi. Bardzo żałuje, że uwolnienie was zajęło tyle czasu.

Page zmusił się do uśmiechu.

- Kiedy go zobaczę, rzucę mu się na szyję - obiecał.

- Na twoim miejscu uważałbym z tym - ostrzegł Han. - Bo może cię odesłać z powrotem do obozu.

Tymczasem Leia wpatrywała się dalej w kałużę żelu blorash.

- Musimy się tego pozbyć - zdecydowała w końcu.

Hobyo popchnął ku nim otyłego przedstawiciela Brygady Pokoju.

- Wie, jak to się robi - powiedział.

Mężczyzna skierował na schwytanych oficerów Yuuzhan Vongów zamglone od nadużywania przyprawy oczy, które rozszerzyły się z przerażenia.

- Będziecie musieli mnie zabić, bo jeśli zostanę przy życiu, oni mnie wykończą - powiedział.

Leia podeszła do niego.

- Mamy dla ciebie lepszą propozycję - obiecała. - Zabierzemy cię ze sobą i postawimy przed sądem. Odsiedzisz za przestępstwa wojenne, tyle na ile zasługujesz, a po dwudziestu latach

zostaniesz zrehabilitowany i uwolniony. Zastanów się. Jeżeli nam nie pomożesz, zostawimy cię tu i podsuniemy Yuuzhan Vongom dość wskazówek, aby uwierzyli, że to właśnie ty przekazałeś nam informację o konwoju. Zapewne nie zabiją cię od razu, a może nawet zabiorą ze sobą, ale na powierzchni Coruscant będzie ci o wiele trudniej zdobyć błyszczostym niż w więziennej celi Galaktycznego Sojuszu... a sam wiesz, jakie katusze się cierpi podczas odwyku.

Mężczyzna z wysiłkiem przełknął ślinę i chrząknął.

- Niech wam będzie - powiedział i wskazał głową kałużę żelu blorash. - Potrzebne są sole arsenu.

Han podszedł do Lei i.

- Stosujesz myślowe sztuczki o wiele subtelniejsze niż twój brat - zauważył.

Księżniczka się uśmiechnęła.

- Udaje mi się dzięki sprytowi - wyjaśniła.

- Nie musisz mi tego mówić - mruknął Solo.

Komandosi wyciągnęli z kieszeni pasów kapsułki z arsenianami i wylali ich zawartość na kałużę. Oboje Solo wyszarpnęli najpierw kapitana Page'a z topniejącej mazi. Mężczyzna podszedł do skrępowanych Yuuzhan Vongów i przykucnął przed tym, który miał najdłuższe włosy.

- Chcesz mu coś powiedzieć? - zainteresował się Han. - Nasz android potrafi płynnie porozumiewać się z Yuuzhanami.

C-3PO uniósł złociste ręce na znak protestu.

- Kapitanie Solo, ja... - zaczął.

- To nie będzie konieczne, Hanie - przerwał Page. - Malik Carr bardzo dobrze zna basie. To on był komendantem obozu na powierzchni Selvarisa. Wykazuje szczególne upodobanie do wrzucania więźniów i automatów w głąb ofiarnych dołów.

Han wyciągnął blaster w stronę uwolnionego więźnia.

- Nikt nie będzie miał ci tego za złe - zapewnił.

Page pokręcił głową.

- Wiem, jakie znaczenie mieliśmy dla Shimrry. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Kiedy Malik Carr pojawi się na powierzchni Coruscant z pustymi rękami, dostanie, na co zasłużył, od własnych ziomków... chyba że wcześniej dojdzie do wniosku, że się zhańbił, i sam odbierze sobie życie.

Do ładowni wpadł oficer dowodzący drużyną komandosów.

- Z nadprzestrzeni wyskoczyły posiłki nieprzyjaciół - zameldował. - Musimy się pospieszyć.

Pułkownik wyglądał na zdezorientowanego.

- Tak szybko? - zapytał.

- Vongowie musieli wysłać sygnał z prośbą o ratunek, panie pułkowniku - wyjaśnił podwładny.

- Czy jakieś transportowce przycumowały do kadłuba tego lotniskowca?

- Jeden czy dwa - odparł młodszy oficer.

Han podszedł do pułkownika komandosów.

- Możemy znaleźć na pokładzie „Sokoła” miejsce dla jakichś osiemdziesięciu więźniów - zaproponował, spoglądając na dowódcę komandosów. - Da pan radę zatroszczyć się o pozostałych?

- Będę musiał.

- Kapitanie Page! - odezwał się niespodziewanie Malik Carr. -Będę żył wystarczająco długo, żeby zobaczyć cię na ofiarnym stosie, zanim Yuuzhan'tar pokona ćwierć orbity wokół słońca!

Page odwrócił się do niego.

- Niewielka jest szansa, że się znów spotkamy, ale gdyby tak się stało, wbij sobie do swojego pokręconego mózgu, co ci powiem - zaczął z powagą. - Z twojego powodu zginęło pięćdziesięciu moich podwładnych, więc następnym razem, kiedy się spotkamy, nie będę dla ciebie taki miłosierny jak dziś.

Wirując jak w szaleńczym tańcu, Jaina okrążała unieruchomiony lotniskowiec Yuuzhan Vongów. Przy każdym okrążeniu toczyła pojedynki z pilotami koralowych skoczków. Role na polu bitwy się odwróciły. Piloci gwiazdnych myśliwców Sojuszu musieli się bronić, a kierujący ruchami skoczków Yuuzhan Vongowie stali się napastnikami. Co gorsza, rwali się do walki i atakowali przy każdej możliwej okazji. Dowodzeni przez Haronę piloci Eskadry Bułatów i Żółte Asy Wesa Jansona zawzięcie bronili Yuuzhanom dostępu do pierwszego lotniskowca. Artylerzyści kanonierek Sojuszu unieruchomili w przestworzach kilka frachtowców Brygady Pokoju, więc piloci Eskadry Czarnego Księżyca i Tuzina zapewniali osłonę akcji ratunkowej. Lecząc za kanonierką komandosów, „Sokół Millenium” zniknął w otworze hangaru frachtowca

połączonego z drugim lotniskowcem Yuuzhan Vongów, ale mimo że upłynęła godzina, żadna jednostka stamtąd nie wyleciała. Transportowiec, którego kapitan sprawiał dotąd wrażenie, jakby chciał także przycumować do burty lotniskowca, niespodziewanie zastopował w przestworzach, co wzbudziło jeszcze większy niepokój Jaiiny Solo.

Młoda Jedi uwolniła myśli, żeby nawiązać kontakt z matką, ale wyczuła tylko jej gorączkową działalność i głębokie wzburzenie.

Podczas rozmów z weteranami różnych bitew dowiedziała się, że najgorsze bywają końcowe etapy wojny. Zdarza się wtedy więcej chaotycznych działań niż na początku, kiedy zaskakuje się przeciwników, i więcej ofiar niż w samym środku działań zbrojnych, kiedy to liczba zabitych rośnie lawinowo i może się wydawać, że nie będzie końca żniwa śmierci. Ponurą opinią najbardziej niebezpiecznych cieszyły się jednak okresy końcowe, bo właśnie wtedy na polu walki miały miejsce nieprawdopodobne sojusze i nieoczekiwane zwroty akcji, wynikające z przesadnej wiary we własne siły albo z pomyłek zrodzonych z przerażenia czy rozpacz.

Jaina starała się o tym nie pamiętać, ale takie myśli wracały podczas krótkich przerw w walce, kiedy przestawała zauważać wstrząsające eksplozje i zniszczone czy unieruchomione gwiazdne maszyny.

W linii prostej Bilbringi właściwie sąsiadowała z Selvarisem, a obecna bitwa była niemal podręcznikowym przykładem przedziwnych zwrotów akcji na polu walki, przed którymi ją zawsze ostrzegano. To była pierwsza operacja Jaiiny od czasu bitwy o Esfandię, w której uczestniczyły siły zbrojne Sojuszu i Resztek Imperium. Wyeliminowanie HoloNetu uznawała za jedną z największych i nieoczekiwanych porażek, z jakimi się zetknęła w ciągu całego okresu wojny. Pozbawiona możliwości porozumienia z Lukiem, Marą, Jacenem czy innymi Jedi mogła jedynie czekać na następną nieprzyjemną niespodziankę.

Pomyślała o rodzicach i ponownie przeniosła spojrzenie na otwór hangaru frachtowca, ale nie zobaczyła w nim ani śladu „Sokoła”. Wyciągnęła rękę do przycisku komunikatora, żeby nawiązać łączność z dowództwem operacji i poprosić o aktualne informacje, gdy nagle na ekranie taktycznego monitora jej X-winga pojawiły się plamki nieprzyjacielskich jednostek.

Przełączyła komunikator na kanał wspólny.

- Uwaga wszyscy, głowy do góry - powiedziała. - Z nadprzestrzeni wyskakują nieprzyjacielskie okręty.

To właśnie dlatego nasze transportowce zastopowały w przestworzach, pomyślała.

Wszyscy się spodziewali, że wcześniej czy później na pole walki przybędą posiłki wroga, ale nikt nie oczekiwał, że pojawią się tak szybko. Zaczekała, aż na ekranie ukaza się informacje o rodzaju nowych jednostek.

- To chyba koralowe skoczki - odezwał się Harona. - Nadlatują od strony słońca Selvarisa. Widzę trzy trójkątne formacje po sześć skoczków w każdej.

Jaina pokręciła głową. Koralowe skoczki Yuuzhan Vongów nie potrafiły latać w nadprzestrzeni bez asysty innych jednostek.

- Dowódco Bułatów, musiałeś się pomylić - stwierdziła.

- „Bliźniacza Jedyńko” - wtrącił się Wes Janson. - Te plamki na ekranie różnią się od wszystkiego, co wiemy na temat jednostek bojowych Yuuzhan Vongów.

- „Taanabie Jeden”, moje przyrządy to potwierdzają - zgodziła się młoda Solo. - Za kilka sekund powinniśmy je mieć na optycznej...

Dalekosiężne skanery pokazały jej widok, który zmusił ją do wyprostowania się na dopasowanym do kształtu ciała fotelu pilota X-winga. Nieprzyjacielskie myśliwce jeżeli naprawdę nimi były -składały się z trzech złączonych wierzchołkami trójkątów z koralu yorik. Dwa przednie miały owiewki z mikopodobnego materiału, a za trzecim, największym i rozszerzonym z tyłu, ciągnął się wygięty ku górze długi ogon. Prawdopodobnie chodziło o zwiększenie siły napędowej dovin basala, który u normalnych skoczków najczęściej znajdował się na dziobie. Z czołowych segmentów łuskowatych kadłubów sterczało sześć podobnych do ramion wypustek, po trzy pary z każdej strony. Wszystkie były niebiesko żyłkowane i zakończone wyrzutniami kul plazmy.

Któryś z pilotów Bliźniaczych Słońc gwizdnął z zaskoczenia.

- Wyglądają zupełnie jak azurańskie żądłopelzaki - powiedział.

Już prędzej jak voxyny! - pomyślała Jaina.

- Zewrzeć szyk i zająć pozycję za ogonem mojego myśliwca -rozkazała pospiesznie. - Jeżeli ktoś dysponuje zbyt małą siłą ognia, niech zajmie miejsce pośrodku szyku. Nie oddalać się od skrzydłowych, dopóki się nie przekonamy, do czego są zdolne te potwory.

- Nieprzyjaciele łamią szyk! - oznajmił Harona. - Nadlatują!

Formacje groźnie wyglądających jednostek Yuuzhan Vongów zbliżały się niewiarygodnie szybko, a kiedy znalazły się w zasięgu ognia, z sześciu wyrzutni każdego myśliwca poleciały kule plazmy. Jaina postanowiła przeciąć tor jednego pocisku, ale natychmiast

tego pożałowała. Przerażony Cappie zaskrzeczał, a natężenie pól ochronnych jej X-winga osłabło do pięćdziesięciu procent początkowej wartości.

Od razu zmieniła wektor lotu, żeby uniknąć trafienia przez dwa następne pociski, i zaczęła, aż kondensatory generatora ochronnych pól uzupełnią ubytek energii.

- Uwaga, wszyscy piloci - ostrzegła. - Trzymajcie się od tych pocisków jak najdalej. Niosą o wiele większą energię niż te, do których jesteście przyzwyczajeni.

Nie wszyscy zdążyli jej posłuchać. W kanale komunikatora rozległy się gorączkowe okrzyki:

- „Bliźniacza Szóstka” i „Siódemka” zostały trafione!
- Eskadra Bułatów melduje stratę czworga pilotów!
- „Taanab Dziesięć”, ciągnij w górę! Przekaż całą energię do ochronnych pól!

Jaina obejrzała się przez prawe ramię i zobaczyła, że myśliwiec „Bliźniaczej Dwójki” rozlatuje się na kawałki. To nie może dziać się naprawdę, pomyślała.

- Żądłopelzaki przedarły się przez nasze linie! - usłyszała meldunek „Bliźniaczej Szóstki”. - Lecą prosto w stronę transportowców.

Młoda Solo szarpnęła ku sobie rękojęść dźwigni drążka sterowniczego i z największym możliwym przyspieszeniem skierowała się w stronę pierwszego lotniskowca.

- Bliźniacze Słońca, przerwać walkę i przegrupować się - rozkazała. - Na mój znak utworzyć szyk w kształcie ekranu.

Pozostali przez życie piloci gwiazdnych myśliwców jej eskadry potwierdzili rozkaz i zmienili szyk. Przemykając między nadlatującymi bez przerwy opalizującymi kulami ognia, puścili się w pościg za niezwykleymi skoczkami.

- Eskadra Bułatów prosi o wsparcie przy lotniskowcu numer jeden.

- Piloci nieprzyjacielskich myśliwców zajmują pozycje wokół naszych transportowców. Nie możemy otwierać ognia w obawie, żeby nie razić naszych.

- Wszyscy piloci, systemy uzbrojenia pierwszego lotniskowca są sprawne! Powtarzam, systemy...

Reszta ostatniego meldunku „Bułata Trzy” zniknęła w agonialnym jęku.

Jaina rzuciła się do walki z kciukiem na przycisku spustowym laserowych działek, ale nic to nie dało. Wszystkie posyłane ze zmienną częstotliwością błyskawice zniknęły w paszczach ogromnych grawitacyjnych studni, wytwarzanych przez dovin basale niezwykleymi skoczków.

Zastanawiała się, czy przypadkiem konwój nieprzyjacielskich jednostek nie był tylko sprytnie zastawioną pułapką. Może ktoś wysłał mylną informację, żeby zwabić siły zbrojne Sojuszu w zasadzkę? To wydawało się jednak niemożliwe. Gdyby jej podejrzenie miało okazać się prawdą, Yuuzhan Vongowie dysponowaliby tutaj okrętami liniowymi i jednostką z yammoskiem na pokładzie. Zmiażdżyliby ich, zanim wojskowi Sojuszu zdołaliby uwolnić choć jednego więźnia i zabrać go na pokład transportowca...

W pewnej chwili usłyszała ostrzegawcze warknięcie Lowbaccy. Rozejrzała się i zobaczyła lecące prosto ku niej cztery ogniste pociski. Slalomem przeleciała między pierwszymi trzema, ale czwarty musnął bakburtowy stabilizator i jej X-wing zaczął wirować jak szalony. Kiedy już odzyskała panowanie nad sterami i wyrównała pułap lotu, zobaczyła, jak prosto na jej kursie eksploduje transportowiec. Oszołomiona i zrozpaczona zmieniła kurs, żeby ominąć chmurę ognistych szczątków, i zaczęła się rozglądać za koralowym skoczkiem, którego pilot dokonał tego dzieła zniszczenia.

Nagle wyczuła dzięki Mocy impuls niepokoju Kypa i Alemy Rar.

Obróciła myśliwiec typu X-wing w locie i zauważyła, że z hangaru frachtowca Brygady Pokoju wylatuje „Sokół Millenium”, a tuż za nim kanonierka Galaktycznego Sojuszu. Obie jednostki, szybko zwiększając prędkość, skierowały się ku otwartym przestworzom.

Piloci czterech nieprzyjacielskich myśliwców przerwali wszystkie pojedynki i puścili się w pościg za „Sokołem”.

Jaina starała się nawiązać łączność z rodzicami, ale w kanale słyszała tylko szumy i trzaski zakłóceń.

Mamo! - westchnęła w duchu.

W następnej sekundzie kadłubem „Sokoła Millenium” wstrząsnęły eksplozje pocisków, których jej rodzice albo nie zauważyli, albo nie byli w stanie uniknąć. Jaina widziała oczyma wyobraźni, jak Han wykorzystuje swój bogaty repertuar uników i wymijających manewrów, ale wszystko wskazywało na to, że nieprzyjacielscy piloci żądłopełzaków nie tylko przewidują, ale także wiernie powtarzają każdy jego manewr.

Na ratunek załodze frachtowca pospieszyli Jaina, Alema, „Bliźniacza Jedenastka” i „Bliźniacza Dwunastka”. Ostrzelali z tyłu koralowe potwory, ale yuuzhańscy piloci najwyraźniej nie zwracali na nich uwagi. Ogarnięta ślepą furią Jaina pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi i jej X-wing został trafiony od strony sterburty. Koziółkując bezwładnie w przestworzach, młoda Solo

zauważyła, że „Jedenastka” i „Dwunastka” rozpadają się na kawałki.

Nieprzyjacielscy piloci musieli aż kipieć żądzą mordy.

- Uwaga, wszystkie klucze, przejść na protonowe torpedy! - poleciła.

Z dziobowych wyrzutni śmignęły oślepiająco jaskrawe kule światła, ale zniknęły w czeluściach grawitacyjnych anomalii, jakby ich nigdy nie wystrzelono. Wytwarzane przez żądłopełzaki czarne dziury pochłaniały czterokrotnie większą energię niż ta, z jaką radziły sobie zwykle skoczki. Na widok każdej trafiającej w kadłub „Sokoła” kuli plazmy Jaina kulila się odruchowo. Ochronne pola frachtowca nie zanikły, ale cały kadłub się trząsał. W pewnej chwili piloci trzech koralowych skoczków przyspieszyli zdecydowani zaatakować statek od dziobu. Plując ogniem we wszystkie strony z czterolufowych działek, pilot „Sokoła” obrócił frachtowiec o dziewięćdziesiąt stopni na sterburtę, ale sekundę później kolejna kula wylądowała na ochronnych polach osłaniających spód statku. Jeden skoczek, trafiony w bok kadłuba, zmienił trajektorię lotu i zderzył się z frachtowcem Brygady Pokoju. Wyrwał w jego burcie ogromną dziurę i wprowadził statek w szybki ruch wirowy, ale pilotujący go wojownik wrócił na poprzedni kurs, jakby nic się nie stało.

Tymczasem „Sokół” i kanonierka Sojuszu osiągnęły prędkość wystarczającą, żeby schronić się w nadprzestrzeni. Jaina wyobraziła sobie, że sama siedzi w sterowni frachtowca, przestawia dźwigiemki przełączników, usuwa blokady i odpycha od siebie rękajeść dźwigni jednostki napędu nadświetlnego. Prawie widziała, jak zegar zawodzącego niekiedy nawigacyjnego komputera wyświetla coraz mniejsze liczby, zanim frachtowiec przyspieszy do prędkości światła... Szybciej, powiedziała do siebie. Szybciej!

Siła eksplozji o mało nie wyszarpnęła Leii z ochronnej upręży. Han zaciskał dłonie na rękajeści dźwigni drążka sterowniczego tak mocno, że zbieleły kłykcie jego palców. Cracken i Page, przypięci w sterowni do drugiego rzędu foteli z wysokimi oparciami, wyciągnęli ręce na boki, żeby zachować równowagę. Pozostali ocaleni oficerowie tłoczyli się w dziobowej ładowni i wszędzie, gdzie tylko mogli znaleźć trochę miejsca.

- Ile jeszcze „Sokół” może znieść? - zainteresował się Page.

- Ile będzie musiał - burknął Han, chociaż wcale nie zamierzał być opryskliwy.

Leia pomyślała jednak, że w butnej odpowiedzi męża słycać nutkę niepewności.

Han poprawił mikrofon hełmofonu.

- Cakhmaimie, Meewalho, cały czas macie prowadzić ogień z działek - rozkazał. - Nie

obchodzi mnie, że się przegrzewają. W tej chwili tylko one trzymają skoczki z daleka od nas!

Obrócił „Sokoła” w locie o dziewięćdziesiąt stopni, żeby przemknąć między trójką nieprzyjacielskich skoczków. Dokonał tej sztuki, chociaż yuuzhański pocisk trafił w pola chroniące spód kadłuba, ale cały statek aż się zatrzęsł. W pewnej chwili za iluminatorem przemknęły dwa koralowe skoczki... każdy, o dziwo, pilotowany przez dwie osoby.

Han otworzył usta ze zdumienia i obejrzał się przez ramię na Crackena.

- Pash, co to właściwie było? - zapytał. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Czy któryś z was, koledzy, zetknął się wcześniej z podobnymi myśliwcami?

Cracken pokręcił głową.

- Nigdy nie jest za późno na zabawę w niespodzianki, prawda? - odezwał się Page.

Solo wypuścił powietrze z płuc z cichym świstem.

- Chyba masz rację - stwierdził z rezygnacją.

Chwilę później od strony rufy napłynął stłumiony grzmot kolejnej eksplozji.

- Nie podobał mi się ten huk - oznajmiła księżniczka.

Han omiół spojrzeniem kontrolne ekrany i wyświetlacze przyrządów. Aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Jest gorzej, niż ci się wydaje - mruknął ponuro. - Ale to jeszcze nie koniec.

Przestawił dźwigniki kilku przełączników, żeby przekazać więcej energii do rufowych deflektorów.

- Damy radę przyspieszyć do nadświatłowej? - zaniepokoił się Cracken.

- Dopóki tli się we mnie iskierka życia - obiecał Solo.

Po stronie sterburty płonął frachtowiec Brygady Pokoju, z którym zderzył się jeden z niezwykłych koralowych skoczków. Ze szczelin w kadłubie strzelały jęzory ognia i wylatywała atmosfera, a wraz z nią jakieś szczątki.

Han walnął pięścią w pulpity konsoli.

- Wspaniały strzał, Cakhmaimie! - wykrzyknął, ale urwał, żeby się zastanowić. - Dobrze, dobrze, zaliczam go na twoje konto, Meewalho - poprawił się po chwili. Wykonał półobrót na fotelu pilota i uśmiechnął się z przymusem. - Wyobrażają sobie, że to coś w rodzaju...

W tej samej sekundzie w sterowni pojawił się oślepiający błysk. Han zamknął usta, a wszyscy odnieśli wrażenie, że czas zwolnił bieg.

Chwilę później pojawił się drugi błysk razem z donośnym hukiem, a Leia się przeraziła,

że pękną jej bębunki w uszach. Stojący gdzieś z tyłu C-3PO żałośnie jęknął.

- Ochronne pola osłabły do czterdziestu procent - zameldowała księżniczka, kiedy trochę doszła do siebie.

Han chyba jej nie usłyszał. Właśnie sięgał prawą ręką nad lewe ramię. Podobnie jak dłoń muzyka znajdującego na pamięć klawiaturę instrumentu, jego palce doskonale wiedziały, dokąd się skierować. Kiedy skończył dokonywać poprawek, łobuzersko się uśmiechnął.

Leia usłyszała, jak jej mąż mamrocze do siebie:

- Nie zawiedz mnie, dziecinko. Wytrzymaj jeszcze tylko dwadzieścia sekund...

Urwał, kiedy się zorientował, że żona go obserwuje.

- Nie martw się - poprosił. Księżniczka wzruszyła ramionami.

- A kto tu się martwi? - zapytała.

Sekundę później „Sokół” został trafiony jeszcze raz, silniej niż kiedykolwiek do tej pory. Po obudowie nawigacyjnego komputera zatańczyła pajęczyna błękitnych wyładowań, a z czoła Hana spłynęła na zaciśnięte usta pojedyncza kropla potu.

Leia odwróciła głowę i wbiła spojrzenie w iluminator.

- Dopiero teraz zaczęłam się martwić - stwierdziła. Nie patrząc na nią, Han rozpoczął odliczanie.

- Dziesięć, dziewięć, osiem...

- ...siedem, sześć, pięć, cztery...

Jaina miała na końcu języka słowo „trzy”, kiedy „Sokół” został trafiony z potężną siłą od strony rufy. Wyglądało to, jakby pchnęła go do przodu jakaś niewidzialna ręka. Silniki jonowe na chwilę odmówiły posłuszeństwa, a od rufy oderwały się jakieś szczątki. Jeden, wirując w locie, przeleciał prosto przed dziobem myśliwca młodej Solo.

Jaina odbierała niemal namacalne przerażenie matki.

Po chwili frachtowiec zniknął w nadprzestrzeni, ale wraz z nim wpadły tam także cztery niezwykle skoczki. Jak Yuuzhan Vongowie dowiedli kilka lat wcześniej w przypadku Bazy Zaćmienie, potrafili śledzić trajektorie jednostek lecących przez nadprzestrzeń za pomocą wytwarzających ciepło i odpornych na działanie próżni grzybów, które zmuszały jednostki lecące szybciej niż światło do wydzielania tachionów.

Włączyła mikrofon komunikatora.

-Uwaga, wszyscy piloci... czy ktoś zarejestrował współrzędne wektora skoku „Sokoła”?

- zapytała.

- Zaprzeczam, „Bliźniacza Jedynko” - napłynął chór odpowiedzi jej podwładnych.

Punktem zbornym tej operacji był Kalamar, ale Jaina podejrzewała, że jej ojciec mógł się zdecydować na desperacki skok na oślep. Wątpiła, żeby nawigacyjny komputer „Sokoła” zdążył obliczyć parametry dokładnej trajektorii lotu, a w przestworzach dzielących Selvarisa od Kalamara istniało tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy możliwych punktów wyskakiwania z nadprzestrzeni.

Uświadomiła sobie, że jej myśli wirują jak szalone, a strach spowalnia reakcje.

- Bliźniacze Słońca, zawrócić i zająć się ochroną naszych transportowców - rozkazała, kiedy wzięła się w garść. - Zabieramy więźniów do domu.

R O Z D Z I A Ł 10

Luke, Mara, Corran, Jacen i Saba podążali śladami Danni Quee w głąb kanionu, w którym mieli nadzieję spotkać się z Harrarem, kapłanem Yuuzhan Vongów. Pędy dzikiej winorośli zabezpieczające liny platform do transportu w pionie okazały się bardzo poplątane, musieli więc korzystać ze skalnych półek i drabinek. Deszcz nadal lał jak z cebra. Jedi szli z opuszczonymi głowami ukrytymi w przesiąkniętych wodą kapturach. W dole pod nimi, częściowo skrywana przez wirujące kłęby mgły, z hukiem toczyła mętne wody wzburzona rzeka.

Kiedy dotarli na drugi poziom, Danni przystanęła i wskazała niewielką jaskinię z niestarannie wyciosanymi prostokątami okien, w których od czasu do czasu pojawiały się błyski światła.

- Była wolna, więc nie pytaliśmy nikogo o pozwolenie - wyjaśniła na tyle głośno, żeby pozostali usłyszeli jej słowa.

Ruszyli dalej, ale kiedy od wejścia do jaskini dzieliło ich zaledwie dwadzieścia metrów, z mrocznego otworu pobliskiej pieczary wyłoniło się ośmiu Ferroan i zastąpiło im drogę. Wyglądali jak szczupłe istoty ludzkie o jasnobłękitnej karnacji. Ferroanie zamieszkiwali powierzchnię Zonamy Sekot dopiero od kilku pokoleń. Ich proste spodnie i koszule przesiąkły wodą tak bardzo, że lepiły się do ciał, a po zasepionych twarzach spływały strumyczki wody. Przywódcą Ferroan był prawdopodobnie Senshi. Trzymał w lewej ręce jarzeniowy pręt, który

rzucal na rozmiękły grunt krąg łagodnego blasku.

Schwytaliście Yuuzhanina - odezwał się oskarżycielskim tonem, a z jego ust unosiły się obłoczki ciepłego powietrza. Luke pokręcił głową.

- Znaleźliśmy go rannego i przyprowadziliśmy tu, żeby uratować - sprostował zwięźle.

- Żaden z nas nie zrobił mu krzywdy - zapewnił Senshi. - Chociaż za to, co on i jego ziomkowie nam uczynili, zasługuje na rany i cierpienia.

Krótko po pojawieniu się Luke'a i pozostałych Jedi na powierzchni żyjącej planety Senshi, który był farmerem, porwał Danni Quee. Zrobił to na polecenie Sekot, która chciała wystawić Jedi na próbę, żeby poznać ich sposób myślenia i reakcje w nietypowych sytuacjach. Senshi miał usiane złocistymi cętkami oczy i krótko ostrzyżone włosy, które z wiekiem ściemniały i przybrały szaroniebieski odcień. Podczas Przelotów ze znanych przestworzy stracił kilkoro przyjaciół i członków rodziny, nie pochwałał więc decyzji Sekot o powrocie do tego rejonu galaktyki.

- Jeszcze nie wiemy, kogo albo co mamy obwiniać za to, co się stało - stwierdził mistrz Jedi. - Mamy nadzieję, że dowiemy się prawdy z ust tego Yuuzhanina.

Postąpił krok do przodu, ale żaden Ferroanin nawet się nie poruszył.

- Możesz roztrącić nas na boki samą myślą, ale nie zrobisz tego, jeżeli jesteś prawdziwym sługą Mocy - odezwał się Senshi.

Luke odrzucił kaptur na plecy i spojrzał na niego. -Jeśli ty także służysz Mocy, pozwolisz nam przejść - odparł stanowczo.

Ferroanin wskazał małą jaskinię w zboczu góry.

- Ten Yuuzhanin jest wrogiem Zonamy Sekot i to my powinniśmy się z nim rozprawić - powiedział.

- W jaki sposób? - zapytał spokojnie Luke. - Czy torturowanie i śmierć tego Yuuzhanina sprawią, że Zonama Sekot powróci w przestworza Mobusa? Czy zastanawiałeś się, jak mogłaby zareagować planeta, gdybyście wzięli sprawy w swoje ręce?

- Rozejrzyj się, Jedi - odezwał się inny Ferroanin. - Czy kiedykolwiek widziałeś Zonamę w takim stanie? Nikt z nas jej takiej nie oglądał. Podejrzewamy, że Sekot może być nieprzytomna... albo jeszcze gorzej.

Luke zastanawiał się, czy nie wspomnieć o wizycie zjawy Jabithy w jaskini, którą zajmował z żoną, ale zrezygnował. Sekot musiała mieć jakiś powód, dla którego nie ukazała się

Ferroanom, żeby uśmierzyć ich obawy.

- Zanim cokolwiek postanowicie, dajcie nam szansę porozmawiania z tym Yuuzhaninem
- odezwał się Luke po chwili.

Tym razem Ferroanie postanowili przemyśleć jego propozycję.

- Bardzo, ale jeden z nas musi być świadkiem tej rozmowy - oznajmił w końcu Senshi w imieniu swoim i pozostałych ziomków.

Luke omiół spojrzeniem całą grupę.

- Który? - zapytał.

Z szeregu wystąpił młody mężczyzna o włosach tak jasnych, że wyglądały jak białe.

- Ja pójdę z tobą - powiedział. - Nazywam się Maydh. Mistrz Jedi kiwnął głową.

- Nie traćmy więc czasu.

Ferroanie rozstąpił się, żeby umożliwić Jedi dostęp do stóp góry. Kiedy Luke i jego towarzysze weszli do jaskini, zastali Harrara siedzącego przy ognisku z wyciągniętymi długimi nogami. Yuuzhański kapłan miał poranioną twarz, posiniaczone ciało i wybite przednie zęby. Obok niego krzątała się Tekli, opatrując rany. Podobna do gryzonia dwunożna Chadra-Fanka wyglądała niepozornie obok wysokiego obandażowanego pacjenta.

Kapłan miał tylko trzy palce u każdej dłoni, ale pozostałych nie stracił na powierzchni Zonamy Sekot. Lśniące czarne włosy związał w gruby ogon opadający na pokryte tatuażami ramiona. Rozmawiał cicho po yuuzhańsku z Tahiri Veilą, która miała na czole blizny zadane rękami innych Yuuzhan Vongów.

Danni zapewniła, że Harrar nie jest uzbrojony.

Tahiri zamierzała przedstawić Luke'a i pozostałych Jedi, ale Harrar powstrzymał ją gestem dłoni.

- Porozmawiam z nimi w ich języku - postanowił. Na chwilę zwrócił półprzymknięte oczy na Tahiri. - Może się jednak okazać, że od czasu do czasu będę cię prosił o pomoc.

Przeniósł spojrzenie z powrotem na grupę Jedi i zatrzymywał je kilka sekund na twarzy wszystkich nowo przybyłych gości. W tym czasie Luke patrzył w milczeniu na kapłana.

- Nazywam się Luke Skywalker - oznajmił w końcu. - A to moja żona Mara.

W oczach Harrara pojawił się błysk na dowód, że to nazwisko nie jest mu obce.

- Mistrz Jeedai - odezwał się kapłan. - I kobieta, która padła ofiarą zarodników coomb - dodał pod adresem żony Luke'a, której dolegliwości minęły dopiero, kiedy urodziła syna, Bena.

- Już wcześniej poznałeś Tahiri i Corrana, znasz także Tekli i Danni - ciągnął Luke, wskazując gestem odpowiednie osoby. - Tych dwoje to Saba i Jacen, a ten nazywa się Maydh i jest mieszkańcem planety, którą zamierzaliście unicestwić.

- Jacen Solo... - powiedział kapłan, a w jego głosie dał się słyszeć strach. - Obserwowałem cię z daleka, młody Jeedai... w sensie dosłownym i w przenośni.

Luke wsunął dłonie w obszerne rękawy płaszcza i usiadł na niskim stołku naprzeciwko Harrara.

- Wygląda na to, że wiesz więcej o nas niż my o tobie - zaczął. -Może chciałbyś jakoś temu zaradzić?

- Możliwe - odparł Yuuzhanin.

Pozostali Jedi i Maydh także zajęli miejsca na dnie jaskini, tworząc półokrąg po obu stronach mistrza Jedi.

- Powiedziałeś Corranowi i Tahiri, że ty, Nen Yim i Prorok przylecieliście tu, bo chcieliście poznać odpowiedzi, jakich mogła wam udzielić Zonama Sekot... i tylko w tym celu - stwierdził Skywalker.

Kapłan pokiwał głową.

- Zatailiśmy przed sobą, że każde z nas przybyło tu także w innym celu... - powiedział i urwał, żeby się zastanowić. - Nen Yim była mistrzynią przemian - podjął po chwili. - W przeszłości pobierała nauki u Mezhan Kwaad, która na powierzchni księżycy, nazywanego przez was Yavinem Cztery, usiłowała przemienić Tahiri w jedną z istot naszej rasy. Shimrra polecił, żeby Nen Yim zbadała organiczny statek, wyhodowany niegdyś tu, na powierzchni Zonamy Sekot. Badając go, dokonała niezwykłego odkrycia i doszła do wniosku, że między tą planetą a Yuuzhan Vongami istnieje ścisły związek. Przyleciała tu, żeby zweryfikować swoje teorie. Jeżeli chodzi o Proroka Yu'shaa... no cóż, postanowił towarzyszyć nam w tej wyprawie rzekomo po to, żeby ustalić, czy Zonama Sekot nie mogłaby jakoś wesprzeć ruchu heretyków, który sam pomógł zorganizować pośród naszych Zhańbionych w podziemiach Yuuzhan'tara.

- A twój powód? - zainteresowała się Mara.

- Nie kierowałem się równie szlachetnymi pobudkami - wyjaśnił kapłan. - Podejrzywałem, że mistrzyni Nen Yim jest heretyczką, chociaż odmiennego rodzaju niż ci żyjący w podziemiach Yuuzhan'tara. Domyślałem się, że Shimrra jest świadom jej nieortodoksyjnych praktyk, co mogłoby oznaczać, że i on jest heretykiem. Po trzecie, pragnąłem zdemaskować

Proroka Yu'shaa i ustalić, czy naprawdę wierzy w to, co głosi pośród Zhańbionych.

- Prorok zabił Nen Yim, a ciebie pozostawił, żebyś i ty zginął -przypomniał mistrz Jedi. -
Czy to dlatego że oboje go zdemaskowaliście?

- Nie o to chodziło. - Harrar pokręcił głową. - W rzeczywistości Prorok chciał się upewnić, że nie przeżyjemy i nie będziemy mogli przypisać sobie części zasługi za unicestwienie Zonamy Sekot. -Uniósł głowę i spojrzał na mistrza Jedi. - Prawdę mówiąc, miałeś już okazję się z nim spotkać.

Luke zachował milczenie i cierpliwie czekał na dalsze wyjaśnienia.

- To nie kto inny jak sam Nom Anor! - wypalił Harrar.

Luke dowiedział się już o tym od Corrana i Tahiri, ale chciał usłyszeć tę informację z ust samego Yuuzhanina.

- Wiemy o tym - odezwała się Mara, przerywając ciszę. - Ale czegoś w tym wszystkim nie rozumiem. Możliwe, że Nom Anor rzeczywiście przyleciał tu, podając się za Proroka, ale nie chce mi się wierzyć, że to właśnie on namawiał Zhańbionych, aby uwierzyli w Jedi.

- Przyznaję, że i ja jestem tym zaskoczony - odparł Harrar. -Musicie jednak zrozumieć, że z powodu wydarzeń w przestworzach Ebaqa Dziewięć Nom Anor po prostu nie miał wyboru. Musiał się znaleźć poza zasięgiem rąk Shimrry, a świetnie zdawał sobie sprawę, że to nie łatwe zadanie. Zaszył się głęboko w podziemiach Yuuzhan'tara, gdzie prawdopodobnie zetknął się z heretykami. Po jakimś czasie musiał dojść do wniosku, że opłaci mu się zostać ich głównym orędownikiem i rzecznikiem.

- Wcale mnie to nie dziwi - mruknęła mistrzyni Jedi.

- Chyba jednak uświadamiał sobie, że Zonama Sekot może przyczynić się do zakończenia tej wojny - stwierdził Luke. - Dlaczego więc podjął próbę unicestwienia żyjącej planety, skoro jego... wyznawcy mogli najwięcej zyskać na jej dalszym istnieniu?

Harrar pokręcił głową.

- Mogę się tylko domyślać - zaczął ponuro. - Prawdopodobnie liczył na to, że jego czyn pozwoli mu się na nowo wkraść w łaski Shimrry... jako że najwyższy lord obawia się tej planety bardziej, niż się wszystkim wydaje. Nom Anor zawsze łaknął zaszczytów i władzy, a skoro miał okazję okrycia się większą sławą, zapewne uznał to za wystarczający powód, żeby porzucić heretyków, którzy złożyli swój los w jego ręce.

Jest także możliwe, że Nom Anor cały czas pozostawał potajemnie na usługach

Shimrry... nawet w czasie, kiedy ogłosił się Prorokiem. Może Shimrra chciał stworzyć pozorne kłopoty na powierzchni Yuuzhan'tara, żeby odwrócić uwagę dostojników od rzeczywistych, o wiele pilniejszych problemów związanych z przebiegiem wojny i buntowniczą naturą Mózgu Świata Yuuzhan'tara. Niewykluczone też, że najwyższy władca chciał wykorzystać rzekomą herezję do usprawiedliwienia czystki, dzięki której mógłby usunąć z naszej społeczności elementy niepożądane czy pariasów.

Yuuzhanin ciężko westchnął.

- Nom Anor jest zatwardziałym niewiernym - podjął po chwili. - W swoich poczynaniach kieruje się wyłącznie ambicją. - Powiódł spojrzeniem po niewielkiej jaskini. - Chyba jednak nie udało mu się wyeliminować zagrożenia, jakie stwarza Zonama Sekot dla jego planów czy zamiarów lorda Shimrry.

- To się jeszcze okaże - stwierdził Corran. - Nie wiadomo, czy to na skutek jego sabotażu, czy też z chęci ocalenia siebie przed zagładą Zonama Sekot wskoczyła do nadprzestrzeni. Na razie nie mamy pojęcia, gdzie z niej wyskoczyła. Może głęboko w Nieznanych Rejonach galaktyki, a może bliżej znanego obszaru przestworzy. Zorientujemy się dopiero, kiedy ustaną te ulewy. Na razie Sekot nie uznaje za słuszne nam w tym pomóc.

- Sekot? - powtórzył Harrar.

- Inteligentny umysł kierujący poczynaniami Zonamy - wyjaśnił Jacen Solo.

Kapłan milczał chwilę, oswajając się z tą myślą.

- Jeszcze jedno podobieństwo do Yuuzhan'tara... - zaczął.

- A ściślej Coruscant, bo tak wolimy ją nazywać - przerwał szorstko Horn.

Yuuzhanin spojrzał na niego i lekko się uśmiechnął.

- Nie chodzi mi o waszą przemienioną stolicę galaktyki, ale o pradawną ojczyznę Yuuzhan Vongów - powiedział. - Zanim Nen Yim zginęła z ręki Noma Anora, doszła do wniosku, że ta planeta jest zdumiewająco podobna do opisów Yuuzhan'tara, które znamy z historii i powtarzamy od niepamiętnych czasów w legendach.

Przeniósł spojrzenie na Maydha.

- Co więcej, Ferroanie są istotami, którymi sami moglibyśmy się stać - podjął po chwili, a na jego poznaczonej bliznami twarzy pojawił się wyraz głębokiego smutku. - Ten wniosek tak wstrząsnął Nen Yim, że jej wiara legła w gruzach... podobnie zresztą jak moja.

- Słyszeliśmy, że dawno temu na Zonamę Sekot natknęła się przypadkiem załoga

jednego z waszych zwiadowczych patrolowców -odezwał się Jacen. - Jeszcze kiedy planeta unosiła się w znanym rejonie przestworzy.

- „Natknęła się przypadkiem” nie jest odpowiednim określeniem, młody Jeedai - poprawił go Yuuzhanin. - Jak powiedziałem, Zonama Sekot wykazuje bardzo wiele wspólnych cech z Yuuzhan Vongami. Nen Yim odkryła takie podobieństwa, których nie sposób złożyć na karb przypadku. Planeta i Yuuzhan Vongowie musieli mieć kiedyś dostęp do tych samych protokołów, które umożliwiły im hodowanie gwiazdnych statków i innych form życia.

- Jeśli chodzi o same statki, to prawda - przyznał Luke. - Ale silniki napędzające sekotańskie gwiazdne jednostki nie są tworamami organicznymi.

Kapłan machnął lekceważąco ręką jakby nie przyjmował do wiadomości jego zastrzeżenia.

- Nie zostały także sporządzone z koralu yorik - powiedział. -Najważniejsze jednak, że są hodowane. - Wzruszył ramionami. -Nie jestem równie biegły w sztuce kształtowania jak mistrzowie przemian, więc nie przedstawię ci dowodu, którego ode mnie oczekujesz, wiem jednak w głębi serca, co jest prawdą a co nie.

- Dlaczego nie staraliście się nigdy powrócić na Zonamę Sekot po tym, kiedy pierwszy raz wylądowaliście na jej powierzchni? -zainteresował się Jacen.

- Bo tylko bardzo niewielu spośród nas wiedziało o tamtym pierwszym spotkaniu - odpowiedział kapłan i umilkł. - Powiem wam coś, czego nigdy nie wyjawilem ani Nen Yim, ani Nomowi Anorowi... bo chciałem, żebyśmy nabrali do siebie większego zaufania - podjął po chwili. - Podczas ostatnich dni sprawowania władzy przez poprzednika Shimrry, Quoreala, rozeszły się plotki o odkryciu żyjącej planety. Z innych pogłosek wynikało, że kapłani Quoreala zinterpretowali to spotkanie jako znak, że powinniśmy unikać kontaktu z waszą galaktyką. Z pradawnych tekstów wynika jednoznacznie, że spotkanie takiej planety okaże się dla nas klątwą... i może się przyczynić do zagłady istot naszej rasy.

- A mimo to najechaliście naszą galaktykę - stwierdziła Mara.

Harrar pokiwał głową.

- Ginęliśmy w pustce międzygalaktycznych przestworzy - ciągnął. - Shimrra świetnie to sobie uświadamiał. Popierany przez swoją domenę obalił Quoreala, zasiadł na jego tronie i skierował konwój naszych światostatków w ten sposób, jak zostało to zaplanowane. Uroczyście pobłogosławił inwazję i oznajmił wszystkim, czego rzekomo dowiedział się od bogów: że wasza

galaktyka ma się stać naszym nowym domem... pod warunkiem że ją oczyści albo przynajmniej nawróci wszystkich was na prawdę.

Ani słowem nie wspomniał o żyjącej planecie. Wszyscy, może z wyjątkiem najważniejszych dostojników, uwierzyli bez zastrzeżeń, że Shimrra uzyskał takie zapewnienie od naszych bogów. Tak czy owak, najwyższy władca nie należy do osób, którym można się sprzeciwiać; nie wolno też wątpić w jego prawdomówność. Dopóki inwazja przebiegała pomyślnie, wielu spośród nas pozbyło się resztek wątpliwości. Przekonywaliśmy się nawzajem, że Shimrra podjął słuszną decyzję, a bogowie stoją po naszej stronie. Dopiero później niektórzy ponownie zwątpili. Ruch heretyków, porażka w przestworzach Ebaqą Dziewięć, nieustające problemy z Mózgiem Świata Yuuzhan'tara... - Harrar urwał i spojrzał na Jacena. - Podejrzewam, że te ostatnie kłopoty mają coś wspólnego z tobą, młody Jeedai -podjął po chwili. - Z tobą i Vergere.

- Znałeś ją? - podchwycił zaskoczony Jacen.

- Lepiej niż ty, a jednak widocznie nie dość dobrze - odparł Yuuzhanin. - Była wśród próbek, z jakimi powrócili do światostatków konwoju pierwsi zwiadowcy. Została wówczas powierniczką kapłanki Falung, a potem kapłanki Elan, służącej bogini Zwodzi-cielce na pokładzie mojego okrętu... -Harrar uśmiechnął się z przymusem. - Kiedy jeszcze miałem własny okręt.

- Elan - powtórzył Luke, mrużąc oczy.

Harrar zdziwił się, skąd Luke zna to imię.

- Ach tak, omal nie zapomniałem o planie zatrucia Jeedai bo'tousami - domyślił się w końcu. - Idiotyczny pomysł. A przy okazji, jaki los przypadł w udziale nieszczęsnej Elan?

- Miała straszliwą śmierć - odparła bez ogródek Mara. - Sama zatrula się bo'tousami.

- Vergere była Jedi - oznajmił Jacen z niejaką dumą.

Kapłan nie sprawiał wrażenia zaskoczonego czy zaniepokojonego tym oświadczeniem.

- W końcu sam doszedłem do takiego wniosku - przyznał, wodząc spojrzeniem po twarzach Jacena, Luke'a i pozostałych Jedi. - Interesowałem się wami od samego początku... ale nie w taki sposób, w jaki interesował się Tsavong Lah czy w tej chwili Nom Anor.

- Wbił oczy w twarz mistrza Jedi. - Nie różnimy się od siebie tak bardzo, jak się wam wydaje.

Luke wyszczerzył zęby w krótkim uśmiechu.

- Bardzo chciałbym uwierzyć, że jesteśmy do siebie chociaż trochę podobni i że jak wszystkie inne formy życia, istniejecie w Mocy

- powiedział.

- Ach, ta enigmatyczna Moc... - zaczął z namysłem Yuuzhanin.

- Zastanów się chwilę, mistrzu Jeedai. Czcimy życie w takim samym stopniu jak wy, a może nawet bardziej. Wam siłę zapewnia Moc, a naszą dają nam bogowie. Podobnie jak wy, odczuwamy pragnienie całkowitego zespolenia z życiem. Chcemy czuć i doświadczać wzajemnego połączenia wszystkich form życia... podobnie jak to się dzieje na powierzchni Zonamy Sekot.

Luke zastanowił się nad odpowiedzią. Przypomniał sobie burzliwe dyskusje, jakie prowadził kiedyś z Vergere.

- Dzieli nas jedna wielka różnica - odezwał się w końcu. - My zakładamy, że jeśli ktoś nie bierze pod uwagę istnienia Mocy, jest fałszywy.

Harrar wzruszył ramionami.

-A my twierdzimy, że fałszywe jest wszystko, eonie bierze pod uwagę istnienia bogów - powiedział. - Uważamy was za ucieleśnienie ciemnej potęgi, podobnie jak pradawni Jeedai uważali Sithów za wcielenie mrocznej mocy. Jeśli jednak Sithowie czerpali z Mocy w podobny sposób jak wy, jakim cudem mogli być zdeprawowani? Czyżby tylko dlatego, że nie zgadzali się z waszymi poglądami?

- Sithowie siali zniszczenie i chaos, żeby osiągnąć własne mroczne cele - wyjaśnił mistrz Jedi. - Aby realizować swoje plany, nie przebierali w środkach i nie cofali się przed niczym. Nie czcili samej Mocy, wyłącznie władzę, którą Moc pozwalała im osiągnąć. Uważali, że tylko ich sposób postępowania jest właściwy.

- Podobnie uważają Yuuzhan Vongowie - stwierdził Harrar. -A wy macie na ten temat odmienne zdanie.

- Czucie ból - przypomniała Mara.

Kapłan pokręcił głową.

- Jeżeli przekonacie Jacena i Tahiri, żeby wyznali wam prawdę, zaświadczą, że tak nie jest - powiedział. - Uznajemy, że powołanie do życia wiąże się z bólem, bo oznacza rozstanie z bogami... albo z Mocą, jeżeli wolicie to określenie. Skoro jednak nie istniejemy bez bogów i ich poświęcenia, dziękujemy im, starając się ich naśladować i składając im siebie w ofierze. Ból to

nasza metoda łączenia się z Yun-Yuuzhanem. Nie wiemy, dlaczego bogowie nas stworzyli i kazali nam cierpieć całe życie, żeby do nich powrócić. Przyznaję, że to dla nas tajemnica. Stwórcy nie mogą robić nic innego, tylko stwarzać i właśnie tym zajmują się bogowie. To przekracza naszą zdolność pojmowania, ale godzimy się z tym, że nie potrafimy tego rozwiązać ani zrozumieć. Jeżeli nasze nauki są fałszywe, na pewno przeminą, ale zanim to nastąpi, musimy postępować w zgodzie z nimi.

- Chcesz powiedzieć, że przyczynią się do waszej zguby - zauważył Corran.

- Możliwe - przyznał Yuuzhanin. - Ale to wszystko tylko słowa. Obawiam się, że już nie cieszymy się względami naszych bogów. Pierwszy raz uświadomiłem to sobie, kiedy dowódca Khalee Lah wierzył, że Jaina Solo rzeczywiście została wcieleniem bogini Zwodzicielki, Yun-Harli. Później, podczas tak zwanej operacji „Gwiezdny Włócznik”, najwyższy dowódca Czulkang Lah poniósł śmierć podczas walki w przestworzach Borleias. A w tej chwili tysiące Zhańbionych dało się omamić heretykowi, który ma na względzie wyłącznie własny interes...

Wbił spojrzenie w dno jaskini i pokręcił głową.

- Uznaliśmy się za narzędzia Yun-Yuuzhana - podjął ponuro. - Doszliśmy do wniosku, że daje nam to prawo do organizowania czystek, karania, poświęcania i zabijania milionów istot, które nie podzielają naszej wizji świata. Postępując tak, sprzeniewierzyliśmy się naszej religii. Staliśmy się słabymi stworzeniami, rozpaczliwie usiłującymi udowodnić bogom własną potęgę.

Luke pochylił się ku niemu i oparł łokcie na kolanach.

- Gdyby Shimrra to zrozumiał, czy dałoby się go namówić do zakończenia tej wojny? - zapytał.

- Shimrra nienawidzi rozsądnych słów - odparł Harrar. - Nie udałoby się przekonać o tym także nikogo spośród jego najważniejszych dostojników... może z wyjątkiem tych, którzy nadal potajemnie pozostają stronnikami Quoreala. To właśnie oni chcą zanieść świadectwo o istnieniu tej planety na powierzchnię Yuuzhan'tara i zdemaskować najwyższego władcę... po to, aby wykazać, że napadając na tę galaktykę, sprofanował świętość i może skazał nas wszystkich na zagładę.

Tym razem kapłan zamilkł na dłużej.

- Chciałbym was prosić o odpowiedź na jedno pytanie - odezwał się w końcu. - Czy Zonama Sekot pomoże wam nas pokonać? Czy naprawdę stanowi tak potężną broń, jak się obawiamy?

Luke pogładził się po policzku.

- Istnieje taka możliwość - przyznał w końcu.

Harrar głęboko odetchnął. Wyglądał na zdruzgotanego.

-A więc nie dziwi mnie, że Shimrra tak bardzo się jej obawia -powiedział. - Jest dokładnie tak, jak głosiła przepowiednia. - Przeniósł na mistrza Jedi zaniepokojone spojrzenie. - Zabijesz mnie teraz? - zapytał. - Poświęcisz mnie swojej Mocy?

- Nie mamy takiego zwyczaju - odparł Skywalker.

Wyraz dezorientacji na twarzy kapłana szybko ustąpił miejsca zdecydowaniu.

- A zatem jeśli pozwolicie, pomogę wam osiągnąć porozumienie między istotami różnych ras a Yuuzhan Vongami - oznajmił. - Jeżeli się oczywiście nie obawiacie, że postąpię jak Elan... obiecuję wam coś, w rzeczywistości knując podstęp.

Mara, Jacen i pozostali Jedi spojrzeli po sobie w osłupieniu.

- Skąd możemy wiedzieć, że nie chcesz nam zafundować czegoś jeszcze bardziej śmiernego niż bo'tousy, kapłanie? - odezwał się w końcu mistrz Jedi. - Może chodzi ci po głowie jakiś pomysł.

Harrar złączył czubki wszystkich trzech par palców i przyłożył je do zniekształconej dolnej wargi.

- Podobno Yun-Harla zachowuje najsprytniejsze sztuczki dla tych, którzy jej służą najwierniej i najlepiej -powiedział. -Znaleźliśmy się jednak razem na powierzchni tej planety z powodów, które przekraczają moją zdolność pojmowania. A skoro już tu jesteśmy, musimy przynajmniej podjąć próbę rozpoczęcia wszystkiego od początku.

R O Z D Z I A Ł 11

- Wyjdziemy z tego w jednym kawałku, prawda? – zaniepokoił się Judder Page, kiedy Han powrócił do sterowni.

Siedzący na sąsiednim fotelu Pash Cracken usiłował zachować powagę.

„Sokół Millennium” przebywał w nadprzestrzeni od prawie pięciu standardowych godzin, których większość Han spędził poza sterownią. Oceniał zasięg uszkodzeń i sprawdzał, czy nic złego nie stało się pasażerom stłoczonym w każdym dostępnym wolnym miejscu na pokładzie

frachtowca.

Solo przeniósł spojrzenie z Page'a na Crackena, po czym zerknął na żonę, która w ciągu całego okresu lotu w nadprzestrzeni pozostawała na fotelu drugiego pilota.

- Powiedziałaś im, że wszystko będzie w porządku? - zapytał. Księżniczka wzruszyła ramionami.

- Wygląda na to, że mi nie uwierzyli - stwierdziła.

Han przypiął się do fotela pilota i odwrócił do obu oficerów Galaktycznego Sojuszu.

- Macie wierzyć we wszystko, co wam mówi - powiedział.

Page wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No cóż, właśnie w tym cały problem, Hanie - zaczął. - Powiedziała, żebyśmy ciebie o to zapytali.

Solo zmarszczył brwi i zerknął na żonę.

- Chyba najwyższy czas, żebyśmy dokonali podziału ról na pokładzie tego statku - oznajmił. - Ja go pilotuję. Ty zapewniasz pasażerów, że pilot zawsze wie, co robi.

- Naturalnie, kapitanie - odparła księżniczka. - Czy w takim razie mogę powiedzieć pasażerom, dokąd lecimy?

Han odwrócił się w stronę ekranu monitora nawigacyjnego komputera.

- Jeżeli tylko nie skręciliśmy w niewłaściwą stronę, przelatując obok ostatniej mgławicy - powiedział - lada chwila powinniśmy wyłonić się w przestworzach Caluuli.

Leia obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

- Caluuli? - powtórzyła. - W Hegemonii Tion? Nie mogłeś wybrać bardziej zapadłej dziury?

- Hej, ocaliłem was przed tamtymi skoczkami Vongów, prawda? - zachnął się Solo.

- Prawda - przyznała z powagą Leia.

- Musiałem dokonać przeglądu uszkodzeń, żeby ocenić naszą sytuację. - Han cały czas pstrykał dźwigienkami przełączników na pulpitych kontrolnych konsol i przyciskał guziki na panelach nad głową.

Leia zauważyła plamy chłodziwa na dłoniach męża i niewielki guz na prawej skroni.

- Wszystko w porządku tam z tyłu? - zagadnęła cicho, korzystając z tego, że Cracken i Page zajęli się rozmową. - Wydawało mi się, że słyszałam niezłą wiązaną przekleństw.

- To musiał być Threepio - mruknął Solo.

- Nigdy nie radził sobie dobrze z narzędziami...
- Wyskakujemy z nadprzestrzeni - przerwał jej Han.

Wyciągnął rękę, żeby włączyć inicjator jednostek napędu podświetlnego i przygotować podprzestrzenny komunikator.

Linie gwiazd skurczyły się do punkcików światła, a iskierki lekko się odwróciły. Silniki jonowe obudziły się do życia z ogłuszającym hukiem, ale frachtowiec zaczął dziwnie dygotać. Od strony rufy napłynął zgrzyt rozdieranego metalu, a potem trzask, kiedy z zamocowania oderwało się jakieś urządzenie.

- Co to było? - zaniepokoiła się księżniczka.

- Kolejny kawałek nas - odparł rzeczowo Solo. - Nic ważnego... przynajmniej mam taką nadzieję.

Za iluminatorem pojawił się i zaczął rosnąć jakiś obiekt. Wkrótce przerodził się w rząd kanciastych modułów połączonych podobnymi do dźwigarów konstrukcjami i przezroczystymi rurami łączników. Z każdego modułu wystawały stanowiska ładownicze, ale na wielu zainstalowano jonowe działa i baterie turbolaserów. Ze środka konstrukcji sterczała podobna do fasetkowego kapelusza grzyba antena ogromnego generatora pola ochronnego.

Han odprężył się i rozsiadł wygodniej na fotelu pilota.

- Chyba nigdy nie widziałem piękniejszego widoku - oznajmił z dumą.

- Ta stacja orbitalna wygląda, jakby nieźle oberwała - zauważyła powątpiewająco Leia.

Han wyprostował się lekko.

- Ta-a, rzeczywiście - przyznał cierpko. - Ale kiedy ostatnio tędy przelatywałem, stacja była zawałona wycofanymi z rynku częściami z Lianny.

- Jak dawno temu to było? - zainteresowała się księżniczka. Han nie od razu odpowiedział, jakby musiał sobie to przypomnieć.

- Chyba kilka lat - odezwał się w końcu. - Ale...

Ułamek sekundy później kadłubem „Sokoła” szarpnęła siła czegoś, co eksplodowało za rufą. Wszyscy w sterowni wyprostowali się na fotelach.

- Kolejny kawałek nas? - domyśliła się Leia. Pochyliła się, żeby sprawdzić wskazania wyświetlaczy przyrządów.

- Gorzej.

Kiedy księżniczka wyprostowała się i spojrzała na męża, miała oczy szeroko otwarte z

przerażenia.

-Nie twierdziłeś przypadkiem, że dałeś radę uciec pilotom tych koralowych skoczków? - zapytała.

Cracken uniósł głowę i spojrzał na górny fragment iluminatora.

- Nie mogli przecież lecieć za nami przez nadprzestrzeń! - zawołał. - To nie mogą być te same skoczki!

Han wykonał ostry zwrot na bakburtę, a po sekundzie dwie kule magmy przeleciały obok wystających żuchw statku.

- Ktoś zmienił reguły! - wykrzyknął.

Przez mikrofon interkomu wezwał oboje Noghrich i chwilę słuchał w milczeniu ich meldunków.

-Nie obchodzi mnie, że komputery celownicze nie działają! -wybuchnął w końcu. - Macie przecież oczy, prawda? - burknął pogardliwie. - Zawsze muszę robić wszystko sam...

Ognisty pocisk trafił frachtowiec prosto w kadłub. Od sklepienia sterowni oderwał się jakiś moduł i ciągnąc wiązkę przewodów, potoczył się po płytach pokładu. Han wykonał beczkę i raptownie zanurkował, ale jeszcze zanim zakończył manewr, w sterowni rozległo się kilka sygnałów alarmowych, a na ekranie monitora taktycznego komputera pojawiły się dziesiątki żółtych plamek.

Oboje Solo unieśli głowy w tej samej chwili i stwierdzili, że toczą walkę z grupą szturmową Yuuzhan Vongów, złożoną z okrętów liniowych, odpowiedników kanonierek, jednostek zaopatrzeniowych i obiektu, który wyglądał jak gronostatek z yamoskiem na pokładzie... podobny do tego, który Han pomógł unieruchomić w przestworzach Fondora. W stronę „Sokoła” kierowały się osłaniające grupę szturmową koralowe skoczki.

- Wiesz co, masz do tego prawdziwy talent! - odezwała się Leia, wpisując polecenie wyświetlenia wartości natężenia ochronnych pól frachtowca.

- To nie ja - zaprotestował Han. - To nawigacyjny komputer doszedł do wniosku, że kłopoty to ulubiony cel poszukiwań „Sokoła”.

- To bardzo prawdopodobne - mruknęła księżniczka.

Han nie zmienił wektora lotu.

- Wyświetl hologram tego gronostatku - polecił. - Wpisz charakterystyczne cechy jednostki napędowej, jakie uda ci się zarejestrować, i prześlij wszystko do pamięci komputera

analizującego sytuację na polu bitwy. A potem uważaj na żołądek!

Zaczekał, aż żona wykona polecenie, po czym śmignął niemal pionowo w niebo. Zakończył manewr pętłą, po której frachtowiec skierował się z powrotem w stronę orbitalnej stacji Caluuli. Pilotujący cztery skoczki - każdy o sześciu łapach i uniesionym ogonie -wojownicy, którzy chyba ścigali „Sokoła” aż z przestworzy Selvarisa, znaleźli się w linii prostej pod nim, ale nie przerwali ostrzału kulami plazmy. Musieli jednak wykonywać uniki, żeby umknąć laserowym sztychom sypiącym się ku nim bez przerwy z luf obu działek typu AG-2G.

Leia odwróciła się z fotelem w kierunku komunikatora.

- Stacja Caluula, zgłóście się! - powiedziała.

- Przekaż im nasz kod identyfikacyjny - podsunął Solo.

- Stacja Caluula, tu „Sokół Millenium” - odezwała się księżniczka. - Zgłóście się!

- Odezwijcie się - mruknął Han. - Poślijcie nam wiązankę wyzwisk... cokolwiek!

Im bardziej zbliżali się do stacji, tym wyraźniej widzieli jej uszkodzenia. Wiele modułów zostało przedziurawionych i nosiło ślady po pożarach. Bitwa o stację musiała się toczyć od tygodni, a dowódcy sił zbrojnych Sojuszu nic o niej nie wiedzieli z powodu wyeliminowania HoloNetu. Han zastanawiał się, ile jeszcze planet czy stacji orbitalnych znajduje się w podobnie trudnej sytuacji.

- „Sokole Millenium”, tu Stacja Caluula - odezwała się w końcu jakaś kobieta. - Ktoś powinien był nas uprzedzić, że przylecicie.

Han poczuł taką ulgę, że ścisnął dłoń żony, zanim zbliżył usta do mikrofonu komunikatora.

- Stacja Caluula, nawet my tego nie wiedzieliśmy - powiedział. - Mamy kłopoty z jednostką napędową, a poluje na nas kilka koralowych skoczków. Czy możecie wyłączyć pola ochronne tylko na tak długo, żebyśmy mogli wlecieć?

- To się da zrobić, „Sokole Millenium” - odparła kobieta z Kontroli Lotów. - Jeżeli zagwarantujecie, że wasz statek jest rzeczywiście tak szybki, jak mówią.

- Zanim zdążycie zwinąć powitalny dywan, już na nim wylądujemy - odparł Solo.

- Nie będziemy mieli wam tego za złe, „Sokole Millenium” - usłyszał w odpowiedzi. - Przylatujcie jak najszybciej.

- Najpierw musimy się pozbyć tych plujek skały.

Han przekazał dodatkową porcję energii do głównych jednostek napędowych, chwycił z

całej siły dźwignię i zaczął wykonywać manewry i uniki tak szybko, że sam o mało nie dostał mdłości. Pilotujące koralowe skoczki dwuosobowe załogi robiły wszystko, co mogły, żeby go nie zgubić. Od czasu do czasu wystrzeliwane przez Yuuzhan strugi plazmy muskały rufowe pola ochronne „Sokoła”. Kiedy frachtowiec zbliżył się do stacji, piloci nieprzyjacielskich myśliwców musieli jeszcze zacząć uważać na słupy spójnego światła z turbolaserów i sztychy promieni z jonowych dział.

Leia odwróciła się do obu oficerów.

- Nie przejmujcie się - powiedziała, kiedy Han jeszcze bardziej przyspieszył i skierował frachtowiec w stronę otworzonego przez panią operator Kontroli Lotów Stacji Caluula niewielkiego okna w siłowej powłoce. - Robi to całe życie.

Kiedy „Sokół” znalazł się bezpiecznie w objęciach orbitalnej stacji, okno się zamknęło. W obawie przed silnym ostrzałem piloci trzech koralowych skoczków zawrócili, żeby się schronić pod skrzydłami grupy szturmowej. Piloci czwartego, którzy nie zdążyli zmienić wektora lotu, zderzyli się z migotliwą czaszą pola ochronnego i zginęli od potężnych baterii turbolaserów stacji.

Leia popatrzyła znacząco na oficerów.

- Widzicie, nie było wcale tak źle - stwierdziła.

Na policzki Crackena i Page’a powoli zaczęły wracać rumieńce. Obaj pokiwali głowami.

Starając się zapanować nad drżeniem rąk, Han zmniejszył dopływ energii do jednostek napędowych i pozwolił, żeby promień ściągający stację skierował „Sokoła” łagodnie na płytę lądowiska.

Od czasu upadku Coruscant siedziba galaktycznego rządu mieściła się na Kałamarze, którego powierzchnię zdominowały oceany. Planetę otaczała chmara okrętów najróżniejszych wielkości i typów, począwszy od dwudziestoletnich kalamariańskich krążowników o kadłubach w kształcie muszli, a na najnowszych gwiazdnych niszczycielach, prosto ze stoczni w przestworzach planety Bothawui i odległego Tallaana, kończąc. Wokół wewnętrznych planet systemu roily się podobne gromady statków i okrętów na wypadek, gdyby Yuuzhan Vongowie połączyli któregoś dnia setki rozsianych po całej galaktyce szturmowych grup i stworzyli z nich ogromną armadę, żeby przypuścić z okolic Jądra galaktyki generalny szturm na samego Kalamara.

Daleko poza orbitą jedyne księżycy planety znajdował się punkt, w którym Jaina

wyskoczyła z nadprzestrzeni. Siedząc za sterami swojego myśliwca typu X-wing, skierowała go w stronę „Ralroosta”, jednego z największych i lśniących najintensywniejszą bielą okrętów w orbitalnym doku. Była ostatnią pilotką Eskadry Bliźniaczych Słońc, która wleciała do otworu ogromnego gościnnego hangaru okrętu flagowego.

„Ralroost” był bothańskim szturmowym krążownikiem, skierowanym do obrony planety Bothawui po zakończeniu galaktycznej wojny domowej. Okrętem dowodził admirał Traest Kre’fey, który na początku wojny przeciwko Yuuzhan Vongom nie odgrywał większej roli, ale później awansował na stanowisko zastępcy dowódcy floty Galaktycznego Sojuszu.

Po zakończeniu skoku z przestworzy Kashyyyka pierwsze pojawiły się transportowce. Kapitanowie wielu zdążyli zająć miejsca w gwiazdnych dokach i pozwolili zejść z pokładów uwolnionym więźniom. Mimo straszliwych strat, jakie poniosły eskadry gwiazdnych myśliwców, dowództwo operacji oznajmiło, że wyprawa zakończyła się sukcesem. Ocalono od śmierci dziesiątki byłych dostojników Nowej Republiki i dowódców sił zbrojnych Sojuszu, ewakuowano także większość podwójnych agentów Wywiadu. Straty byłyby o wiele większe, gdyby piloci podobnych do żądłopełzaków koralowych skoczków przybyli wcześniej na pole walki albo gdyby ścigali transportowce aż do przestworzy Kalamara. Yuuzhan Vongowie pozostali jednak w sąsiedztwie Selvarisa, żeby osłaniać i eskortować podczas lotu na Coruscant frachtowce Brygady Pokoju, z których pokładów nie udało się ewakuować więźniów.

Specjaliści od propagandy przywódcy Galaktycznego Sojuszu Cala Omasa, korzystając z okazji, starali się przedstawić operację w jak najkorzystniejszym świetle. Zamierzali nakłonić władców zagrożonych planet, żeby się nie poddawali. Przekonywali, że w odróżnieniu od obalonej Nowej Republiki Galaktyczna Federacja Niezależnych Sojuszów nie dopuści, aby jeszcze jakieś gwiazdne systemy wpadły w ręce Yuuzhan Vongów. Na powitanie jeńców przybyło więc setki wojskowych, cywilów i przedstawicieli środków masowego przekazu. Pojawieniu się każdego więźnia na rampie transportowca towarzyszyły oklaski i gromkie okrzyki. Powracających jeńców witali ze łzami w oczach ich partnerzy, a dzieci, zdezorientowane panującym zamieszaniem, tuliły się do nóg albo rzucały na szyję dawno niewidzianym rodzicom.

Sanitariusze i medyczne androidy, pracując ramię w ramię, układali rannych na repulsorowych noszach i pospiesznie kierowali ich na kurację w zbiornikach z bactą, ale większość ocalonych istot najróżniejszych ras wymagała tylko troskliwej opieki i kilku

pożywnych smacznych posiłków. Tylko niewielu z uwolnionych więźniów było w krytycznym stanie, no i nikomu z nich nie implantowano niewolniczego ziarna koralowego, co nieustannie przypominało wszystkim, że więźniów miała czekać śmierć na ofiarnym stosie.

Tylko niewielu cywilów zauważyło pokieroszowane gwiazdne myśliwce, które wleciały po transportowcach do hangaru „Ralroosta”. A już na pewno nie zwrócił na nie uwagi żaden przedstawiciel środków przekazu. Jaina nie miała nic przeciwko temu, ale nie mogła się opanować i parsknęła śmiechem. Nieco wcześniej została ulubienicą wszystkich holoreporterów, kiedy schwytała okręt Yuuzhan Vongów i odgrywała jakiś czas rolę bogini Zwodzicielki. Traktowała tę rolę jako broń samą w sobie, lecz obecnie stała się znów jeszcze jedną zmęczoną pilotką, powracającą z wyprawy, która o mało nie zakończyła się katastrofą.

Zginęło pięcioro pilotów Eskadry Bliźniaczych Słońc, ale to miało znaczenie tylko dla tych, którzy przeżyli.

Kiedy Jaina unosiła owiewkę kabiny, jakiś mężczyzna z personelu naziemnego przystawił drabinkę do kabiny jej X-winga. Dwoje techników pospieszyło, żeby zająć się naprawami uszkodzonego myśliwca i sprawdzić stan Cappiego, którego powłoka była w kilku miejscach zwęglona.

- Witamy w domu, pani pułkownik - odezwała się młoda kobieta.

Jaina zeszła po drabince, zdjęła hełm i potrząsnęła głową, żeby rozprostować długie brązowe włosy. Rozpięła zatrzaski lotniczego kombinezonu, przycisnęła hełm do boku i zaczęła okrążyć swojego X-winga, oceniając uszkodzenia. Jednocześnie rozglądała się po ogromnym hangarze w poszukiwaniu „Sokoła Millennium”. Zauważyła, że niedaleko jej maszyny Lowbacca, Kyp i Alema Rar także opuszczają kabiny swoich maszyn.

- Czy pojawiła się jakaś wiadomość z pokładu „Sokoła”? - zapytała szefową ekipy techników po zakończeniu drugiego okrążenia gwiazdnego myśliwca.

Kobieta odczepiła od pasa komputerowy notes i rzuciła okiem na niewielki ekran urządzenia.

- Nic mi o tym nie wiadomo, pani pułkownik - powiedziała. - Możliwe, że „Sokoła” skierowano prosto do hangaru którejś fregaty.

Jaina głęboko odetchnęła i z całej siły zacisnęła palce na ramieniu przełożonej techników. Zwolniła uścisk dopiero, gdy sobie to uświadomiła.

- Mogłaby pani to sprawdzić? - zapytała.

Kobieta ściągnęła brwi i potarła obolałe ramię.

- Bardzo mi na tym zależy - nie dawała za wygraną młoda Solo.

Tym razem szefowa techników poświęciła więcej czasu na zapoznanie się z informacjami na ekranie przenośnego urządzenia.

- Przykro mi, pani pułkownik - odezwała się w końcu. - Nigdzie ani śladu „Sokoła Millennium”. - Uśmiechnęła się współczująco. - Jeżeli się czegoś dowiem, na pewno panią powiadomię.

Do hangaru szturmowego krążownika wciąż wlatywały kolejne gwiazdne myśliwce i kanonierki, niektóre pędzone chyba tylko siłą woli pilotów. Jaina stanęła na brzegu balkonu, skąd miała dobry widok na kurtynę magnetycznego pola zapobiegającego uciekaniu atmosfery z hangaru. Wpatrzona w mrugające światelka, ośmiokątne platformy ładownicze gwiazdnych stoczni i odległy orbitalny kompleks Dowództwa Floty uwolniła myśli i wysłała je w przestworza. Wyteżyła zmysły i wyczuła, że jej rodzice są cali i zdrowi, ale znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Podjęła decyzję. Wróciła pospiesznie do gwiazdnego myśliwca i wspięła się po drabince do kabiny.

- Wracam - poinformowała zdezorientowaną szefową ekipy techników.

- Słucham, pani pułkownik? - zdziwiła się młoda kobieta.

Jaina włożyła hełm i usadowiła się na fotelu pilota.

- Gdyby ktoś pytał, lecę do punktu Mon Eron, w którym okręty wyskakują z nadprzestrzeni - oznajmiła.

Funkcjonariuszka zaczęła okazywać większy niepokój. -Ale... pani myśliwiec... - zaczęła. - Pani robot... Jaina zapięła pasek hełmu pod brodą i zaczęła opuszczać owiewkę kabiny.

- Zdążyli się do tego przyzwyczaić - burknęła.

Położony na północ od byłej Dzielnicy Legislacyjnej Zachodni Port nadal pełnił funkcję lądowiska pomimo intensywnego przekształcania i wielu geologicznych operacji dokonywanych na powierzchni Coruscant. Napowietrzne platformy, doki i towarzyszące im budowle przestały istnieć, a zamiast nich pojawiły się grashale i inne mięczakopodobne żywe konstrukcje, ale w różnych miejscach ogromnej płaszczyzny ze stopionego koralu yorik nadal mogło się pomieścić ponad dziesięć tysięcy gwiazdnych jednostek. Niewielu dawnych mieszkańców potrafiłoby

rozpoznać to miejsce, ale i tak aerodrom znajdował się w daleko lepszym stanie niż Nowy Port, Wschodni Port czy West Championne.

Dwór Shimrry przeleciał ze świątostatku zwanego Cytadelą- wznoszącego się na wschód, na szczycie dawnej dzielnicy Imperialnej - na pokładach królewskich koralowych statków, które wylądowały kilometr przed Zachodnim Portem. Najwyższy lord miał pokonać dalszą część drogi niesiony w królewskim palankinie. Kunsztownie zdobiona groteskowa lektyka unosiła się w powietrzu dzięki dumie poświęconych dovin basalów, a przed nią i za nią podążali słudzy, kurtyzany i osoby, które dopiero nieco wcześniej trafiły na dwór Shimrry. Do ich grona zaliczały się cztery wieszczki i wybitni przedstawiciele sekty udoskonalonych wojowników, zwanych uśmiercicielami.

Na lądowisko wiodła długa ścieżka, zaścielona kwiatami, które deptali bosymi stopami członkowie orszaku, żeby wydzielaly jak najwięcej woni. Droga wiła się między zaokrąglonymi wierzchołkami zniszczonych budowli i prowadziła po niezliczonych mostach przerzuconych nad sztucznymi kanionami, których Yuuzhan Vongowie nie dali rady zasypać ani wyrównać. Chóry owadów czciły bogów melodyjnym brzęczeniem skrzydełek, a padlinożerne ptaki żywiły się pozostałościami po pladze śmierdziożuków. Niebo miało jaskrawo purpurową barwę, a w oddali majaczył ledwo widoczny tęczowy most.

Nieskazitelne niebo zadawało kłam melancholijnemu nastrojowi uczestników procesji. Wszyscy mieli świeżo w pamięci wydarzenia w przestworzach Selvarisa. Nieprzyjaciele dowiedzieli się jakimś cudem o konwoju Brygady Pokoju, urządzili zasadzkę i uwolnili wielu jeńców, którzy mieli zostać poświęceni podczas uroczystej ceremonii. Jedynie dzięki szybkiej orientacji dowódcy Yuuzhan Vongów z pola walki uciekły trzy frachtowce Brygady Pokoju, których kapitanowie przesłali na Yuuzhan'tara wołanie o ratunek. Wysłani na pomoc uśmierciciele spisali się doskonale. Nie cieszyło to zwykłych wojowników, którzy uważali uśmiercicieli za bluźnierstwo i obrazę dla systemu kast Yuuzhan Vongów. Zwyczajni wojownicy nie mogli się pogodzić z tym, że uśmierciciele zapewniają najwyższemu lordowi jeszcze większą władzę.

Kilka kroków za ozdobionym czaszkami palankinem kroczył Nom Anor. W tej samej grupie szli arcykapłan Jakan, mistrzyni przemian Qelah Kwaad, wojenny mistrz Nas Choka, arcyprefekt Drathul i inni najważniejsi dostojnicy. Prefekt trochę się martwił, czy nie zostanie obwiniony o ostatnią porażkę Brygady Pokoju, skoro to on odpowiadał za powołanie do życia tej

grupy odszczepieńców, ale na razie nikt nie wykazywał ochoty, aby złożyć odpowiedzialność na jego barki. Gdyby go oskarżono, broniłby się jak zwykle: że za zakończone powodzeniem akty zdrady odpowiadają tylko zdrajcy, którzy się ich dopuszczają.

Kapitanowie frachtowców Brygady Pokoju nie uzyskali zgody na lądowanie na Yuuzhan'tarze. Przetransportowano ich na powierzchnię wraz z członkami załóg na pokładach yorik trema. Razem z nimi wylądowali jeńcy Galaktycznego Sojuszu, a także dowódcy i członkowie załóg okrętów eskortowych Yuuzhan Vongów. Ci ostatni klęczeli w równych szeregach na części lądowiska zarezerwowanej dla nadawania nazw okrętom, błogosławienia ich i tatuowania. Na skraju lądowiska, unieruchomieni przez kule żelu blorash, tkwili schwytni więźniowie, a bliżej środka leżeli rozciągnięci plackiem sługusi z Brygady Pokoju.

Nom Anor był ciekaw, czy Shimrra wyda rozkaz, żeby członkowie orszaku zdeptali leżących przedstawicieli Brygady Pokoju, ale najwyższy lord polecił zatrzymać procesję, kiedy jego palankin dotarł na środek lądowiska. Odszczepieńcy różnych ras, spośród których wielu odniosło obrażenia, mieli tyle rozsądku, że żaden nawet nie uniósł głowy, kiedy akolici arcykapłana Jąkana w towarzystwie Onimiego przechadzali się pośród nich, namaszczając ich jadożelem i okadzając dymem z kadzidła paaloc.

W końcu do środka grupy dotarł sam Jakan. Skierował ukryte w głębi kaptura oczy na ślady po uderzeniach zadanych przez uśmiercicieli członkom Brygady Pokoju, zanim zostali przetransportowani na powierzchnię Yuuzhan'tara.

Arcykapłan podszedł do wojowników Yuuzhan Vongów i gestem przywołał Bhu Fatha. Wysoki wojownik był marnym dowódcą, a awans na to stanowisko zawdzięczał tylko usilnym staraniom członków domeny Fath, do której zaliczało się także kilku ważnych konsulów.

- Ilu więźniów dostarczyłeś, najwyższy dowódco? - zapytał Jakan.

Bhu Fath odwrócił się i pozdrowił salutem wojennego mistrza Nasa Chokę.

- Sześć pakietów... prawie pięciuset - powiedział.

Nie kryjąc rozczarowania, arcykapłan pokręcił głową i spojrzał w górę na Shimrrę.

- To mniej niż połowa minimalnej liczby wymaganej przy okazji tak uroczystych ceremonii - zawyrokował.

Shimrra spoglądał z kamienną twarzą z twardego siedzenia palankinu. Nie odezwał się nawet wtedy, kiedy wieszczki zaczęły się naradzać z wróżącymi organizmami i jęczeć na dowód udreki.

Nas Choka odłączył się od procesji, stanął przed najwyższym lordem i wskazał Bhu Fatha i jego poruczników.

- Nasi wojownicy nie są temu winni - zaczął. - Spisywali się dzielnie, zniszczyli wiele nieprzyjacielskich myśliwców i przechwycili dwie jednostki, nie pozwalając, by uciekły z pozostałymi jeńcami. Zwłaszcza jeden wojownik zasłużył na pochwałę za to, że ocalił nasze eskortowce przed zupełnym zniszczeniem. Wyróżnił się także odwagą podczas późniejszej walki.

- Przyrowadź go do mnie, żebym mógł go zaszczyścić łaskawym spojrzeniem - zażądał Shimrra.

- Wezwać dowódcę Malika Carra! - zawołał Nas Choka.

Nom Anor nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pamiętał, że po klęsce w przestworzach Fondora Malik Carr został zdegradowany i odsunięty od udziału w późniejszych bitwach, ale obecnie stał przed Shimrra, uważany za bohatera. Prefekt zadawał sobie pytanie, czy z czasem wszystko nie wróci do poprzedniego stanu.

Carr przyklęknął przed Shimrra i pochylił głowę, po czym wstał, uklęknął przed Nasem Choką i pozostał w takiej pozycji. Na znak dany przez wojennego mistrza wystąpił jeden z podporuczników i podbiegł do Malika Carra z opończą dowodzenia, którą Nas Choka zawiesił na rogach implantowanych w jego ramiona.

- Powstań, najwyższy dowódco Maliku Carr - rozkazał. - Przywracamy ci poprzednią godność za przytomność umysłu i odwagę podczas walk w przestworzach Selvarisa. Wkrótce znajdziemy ci zadanie godniejsze twojego nowego tytułu.

Malik Carr uderzył się pięściami w ramiona, wstał i powrócił do szeregu wojowników.

- O Straszliwy Lordzie - odezwał się Jakan. - Śmierć wielu niewiernych, którzy zginęli podczas bitwy, w przestworzach Selvarisa, powinna mieć dla nas pewne znaczenie. Mimo to, jak powiedziałem, dysponujemy stanowczo za małą liczbą jeńców, żebyśmy mogli złożyć należny hołd bogom. Musimy im ofiarować coś więcej niż tylko tę mizerną garstkę.

Komandor Bhu Fath zebrał się na odwagę i postąpił krok do przodu.

- Mój Lordzie, czy ci niewierni członkowie Brygady Pokoju nie mogliby zastąpić jeńców, którym pozwolili się wymknąć? - zapytał.

Propozycję Fatha przywitano rzadkimi okrzykami poparcia, przeważnie w wykonaniu członków jego domeny.

- Przypadki zastępowania jednych ofiar innymi zdarzały się już w naszej historii... - zaczął Jakan, ale urwał, bo Shimrra spiorunował go władcym spojrzeniem.

- Nie zasługują na zaszczytną śmierć - stwierdził stanowczo. -Pozwolili nieprzyjacielskim szpiegom przeniknąć do swojej bandy, a kapitanowie kilku ich statków opuścili pozostałych na początku walki, kradnąc zapasy żywności i wiele poświęconych przedmiotów, które miały do nas trafić z samej Obroa-skai.

Shimrra wyszedł z lektyki, co wzbudziło poruszenie zarówno pośród wojowników, jak i kapłanów. Kilku z nich zaczęło pospiesznie rozwijać żywy dywan, żeby najwyższy lord mógł po nim stąpać. Za Shimrra w podskokach i płasach podążył Onimi.

Shimrra odwrócił się do Nasa Choki.

- Na powierzchniach jakich planet toczymy w tej chwili walki? - zapytał.

Wojenny mistrz zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Mógłbym wymienić nazwy dwudziestu, Wielki Lordzie - powiedział. - A może pięćdziesięciu.

Shimrra zaczął zdradzać pierwsze oznaki gniewu.

- Wymień chociaż jedną, wojenny mistrzu! - warknął.

- Corulag.

Najwyższy władca kiwnął głową.

- Może być Corulag - zdecydował. - Dopilnuj, żeby tym niegodnym członkom Brygady Pokoju implantowano koralowe ziarno niewolnicze i wysłano do pierwszego szeregu walczących. Może podczas bitwy odkupią swoje winy.

Nas Choka zasalutował.

- Twoja wola jest dla mnie rozkazem - powiedział.

Shimrra władcym gestem przywołał Drathula i Noma Anora.

- Doniosłe plany wymagają doniosłych rytuałów, więc naszej ceremonii nic nie może opóźnić ani zakłócić - zaczął niecierpliwie. - Dopilnujcie, aby wasi podwładni, konsulowie i egzekutorzy dowiedzieli się, że nie zniosę już żadnych niespodzianek. A gdyby coś się wydarzyło, potraktuję was i waszych podwładnych jak każdego, kto spróbowałby zakłócać porządek naszej świętej uroczystości.

- Zrozumieliśmy - odparli równocześnie Drathul i Nom Anor.

Nas Choka zaczekał cierpliwie, aż Shimrra ponownie usadowi się w palankinie.

- Mam pewną propozycję, Wielki Lordzie - powiedział. Shimrra postanowił zaszczyścić go spojrzeniem.

- Słucham, wojenny mistrzu - burknął.

- Toczmy w tej chwili bitwę o opanowanie planety zwanej Caluulą- rzucił pospiesznie.

- Jeżeli pozwolisz, żebyśmy zdwoili wysiłki, planeta wkrótce wpadnie w nasze ręce. Dzięki temu zdobędziemy wielu jeńców, którzy będą mogli wzbogacić naszą ofiarę. Dlaczego dzielni obrońcy tamtejszego kompleksu orbitalnego nie mieliby nam zrekompensować niedostatku godnych ofiar?

- Caluula, powiadasz... - odezwał się z namysłem Shimrra.

- Bardzo oddalona od Yuuzhan'tara, o Wielki Lordzie, ale ważna z uwagi na osiągnięcie ostatecznego celu - wyjaśnił Nas Choka.

Shimrra przeniósł spojrzenie najpierw na arcykapłana Jąkana, a potem na wieszczki, które równocześnie pokiwały głowami.

- Więc niech tak się stanie - zdecydował najwyższy władca.

R O Z D Z I A Ł 12

- Jeżeli ogląda się uszkodzenia z tego miejsca, wyglądają o wiele gorzej - stwierdził C-3PO, patrząc na spód kadłuba „Sokoła Millenium” z dołu, od opuszczonej rampy.

Han odwrócił się i spiorunował spojrzeniem złocistego androida. Stojąc pod frachtowcem w towarzystwie Leii i mechanika Stacji Caluula, sporządził listę elementów i podzespołów, które najpilniej wymagały naprawy.

- A ciebie kto pytał o zdanie? - burknął gniewnie.

Protokolarny android ujął się pod boki i przekrzywił głowę, jakby chciał dać do zrozumienia, że interesuje się po prostu wszystkim.

- Nikt, kapitanie Solo - odparł szczerze. - Chciałem tylko powiedzieć...

- Threepio! - ucięła Leia. - Na razie wystarczy.

- Naturalnie, księżniczko Leio - odparł android. - Doskonale wiem, kiedy nie jestem

potrzebny.

- To by załatwiało sprawę - stwierdził Han.

Cracken, Page i pozostali uwolnieni oficerowie stali z boku i odpowiadali na pytania kilku caluulańskich mechaników, którzy porzucili dotychczasowe zajęcia i otoczyli „Sokoła”, zaledwie łapy frachtowca dotknęły płyty lądowiska.

Kadłub statku był osmalony i powgniatany, a w paru miejscach przebity.

- To jak skrócona historia przebiegu całej wojny - stwierdził mechanik.

Solo kiwnął głową.

- Święta racja, kolego - powiedział. - Święta racja.

Mechanik wsunął wskazujący palec w otwór w panczeru osłaniającym spód sterowni.

- Idę o zakład, że znajduje się niespełna metr od fotela pilota - zauważył.

Han głośno przełknął ślinę.

- Zdarzało mi się zaglądać śmierci w oczy z bliższej odległości - stwierdził ponuro.

Leia spojrzała na mechanika.

- Prawdopodobnie słyszał pan, że mój mąż jest chodzącą tarczą strzelniczą - powiedziała.

Mechanik wyszczerzył zęby w uśmiechu i otrzepał pył z palców.

- No cóż, statek jest trochę poobijamy, ale chyba damy radę przedłużyć mu życie - zawyrokował. - To tylko kwestia ściągnięcia kilku części zapasowych.

Han miał minę, jakby oświadczenie mechanika przyniosło mu ulgę. Otworzył usta, żeby podziękować, ale w tej samej chwili pojawił się ubrany w wojskowy mundur połowy wysoki mężczyzna o szkarłatnej skórze.

- Witamy na pokładzie Stacji Caluula, kapitanie Solo - odezwał się.

Zanim Han miał czas odpowiedzieć, siwowłosy mężczyzna w mundurze z naszywkami oficera stanął przed nim i zaszalutował.

- Miło pana znów widzieć, kapitanie Solo - powiedział. - Walczyłem z panem w przestworzach Endora.

Solo zastanawiał się kilka sekund.

- Uhm, nazywa się pan Denev, prawda? - zapytał w końcu. Oficer się rozpromienił.

- Jestem dumny, że pan mnie pamięta, kapitanie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie kapitanie - odparł Solo.

Leia zaplotła ramiona na piersi i z udawanym zdumieniem spojrzała na męża.

- To już dziesiąta osoba, która cię rozpoznaje - przypomniała. - Co to ma być, zjazd miłośników Hana Solo?

Jej mąż zmarszczył brwi i spojrzał na nią.

- Bardzo zabawne - mruknął.

- Mówiłam poważnie, Hanie - zapewniła księżniczka. - Może powinieneś zostać aktorem zamiast bohaterem wojennym? Pomyśl, jaką cieszyłbyś się popularnością!

Han chwycił się za brodę.

- Zapłaciłabyś ciężko zarobione kredyty, żeby oglądać tę twarz w stukrotnym powiększeniu? - zapytał.

Leia udała, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- No cóż, skoro tak stawiasz sprawę... - zaczęła.

- Kapitanie Solo! - odezwał się ktoś.

W kierunku „Sokoła” szedł pospiesznie korpulentny oficer w stopniu generała.

- Jestem komendantem tej bazy i nazywam się Garray - przedstawił się, wyciągając do Hana pulchną rękę.

Han uścisnął ją, po czym wskazał See-Three'ia i Leię.

- To nasz protokolarny android, a to moja żona Leia Organa Solo

- powiedział.

Księżniczka szturchnęła go lekko łokciem pod żebro.

- Wielkie dzięki, że wymieniałeś mnie w drugiej kolejności... kochanie - powiedziała, uśmiechając się przez zaciśnięte zęby.

Han spojrzał na żonę i udał, że pociera obolałe miejsce.

- Nasz android na ogół się tak nie zachowuje - powiedział, po czym przedstawił komendantowi Crackena, Page'a i kilku innych uwolnionych oficerów.

Garray witał każdego kiwnięciem głowy.

- Cieszę się, że panów poznałem - oznajmił, po czym skierował szare oczy na Hana. - Kapitanie Solo, proszę potwierdzić, że przysłało pana dowództwo z Kalamara.

Han zacisnął wargi.

- Bardzo bym chciał, panie komendancie, ale prawdę mówiąc, oberwaliśmy podczas operacji ratunkowej w przestworzach Selvarisa - wyjaśnił przeprasającym tonem. - Caluula była

jedynym miejscem, do którego mógł dolecieć nasz „Sokół”.

Wyraz rozczarowania na twarzy Garraya zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Jesteśmy naprawdę dumni, że przyleciał pan właśnie do nas - oznajmił komendant. -

Witamy wszystkich z otwartymi ramionami.

- Odwrócił się do jeszcze bardziej otyłego adiutanta. - Szefie, proszę dopilnować, żeby pasażerowie kapitana Solo zostali otoczeni należyłą opieką medyczną i dostali posiłek.

Adiutant zsalutował, po czym odwrócił się do Crackena i pozostałych oficerów.

- Zechcą panowie pójść ze mną - powiedział. Han zachował milczenie, dopóki się nie oddalili.

- Jak tutejsza sytuacja, panie komendancie? - zapytał. Garray przekrzywił głowę.

- Przespacerujmy się - zaproponował. - Wszystko panu wyjaśnię.

Oprowadzając powoli Hana, Leię i Threepia po hangarze, mijał rzucające stroboskopowe błyski spawarki łukowe. Technicy i żołnierze, pracujący w wielkiej hali, wyglądali na tak samo pokiereszowanych jak naprawiane przez nich gwiazdne statki. Widać było skutki wieloletniej wojny. Większość personelu technicznego stanowili ludzie, ale od czasu do czasu widywało się między nimi Brigian, Trianiich, Bimmsów, Tammarian i istoty innych ras z gwiazdnych systemów sąsiadujących z Caluulą. Naprawione przez nich jednostki składały się z tylu naprędce przyspawanych części zamiennych, że trudno było rozpoznać, do jakiej należały kiedyś klasy.

- Yuuzhan Vongowie pojawili się w naszych przestworzach jakiś miesiąc temu - zaczął komendant. - Od tamtej pory nieustannie toczymy z nimi walkę. Nasza platforma obronna już praktycznie nie istnieje, a od ostatniego miejscowego tygodnia znajdujemy się pod ciągłym ostrzałem. Jesteśmy jednak pewni, że Vongowie dążą do okupacji Caluuli, a nie do zniszczenia planety, bo w przeciwnym razie spuściliby nam na głowy jakiś księżyc albo zatruliby powierzchnię, jak robili wielokrotnie w przeszłości.

- Niewykluczone że chodzi im o jeńców - odezwała się Leia. - Lecąc tu, widzieliśmy w przestworzach yuuzhański okręt z yammoskiem na pokładzie.

Garray pokiwał smętnie głową.

- Jego obecność została już potwierdzona - powiedział.

- A jednak to dziwne, że Yuuzhan Vongowie wybrali właśnie Caluulę - podjęła księżniczka. - Niewiele wiem o Hegemonii Tion, ale chyba trudno tu o większość surowców naturalnych, na których zazwyczaj najbardziej im zależy.

- Święta racja, księżniczko - przyznał Garray. - Caluula to głównie raj dla naukowców z powodu zachodzących od czasu do czasu na jej powierzchni naturalnych zjawisk. Możemy się jedynie domyślać, że Yuuzhan Vongowie zamierzają wykorzystać Caluulę jako odskocznię do ataku na całą Hegemonię Tion, a później na Sektor Wspólny. Może im także zależeć na opanowaniu gwiazdnych stocznii Lianny, chociaż odkąd ci z Sienar Systems wycofali się ze współpracy, nie produkuje się tam wielu gwiazdnych okrętów. - Komendant przygryzł dolną wargę i pokręcił głową, jakby uznawał swoją sytuację za beznadziejną. - Przedtem jednak Vongowie muszą nas pokonać. Dzięki niech będą Mocy, że jeszcze tego nie zrobili.

- Gdyby im zależało na podbiciu pozostałych planet Hegemonii Tion, skupiliby uwagę na opanowaniu Lianny - stwierdził Solo. - Ta planeta znajduje się bliżej Perlemiańskiego Szlaku Handlowego, który i tak w większej części kontrolują, począwszy od Coruscant, a skończywszy na Szczątkach Gromady Cron. - Pokręcił głową. - Nie, im musi chodzić o coś innego. Może chcą wykorzystać Caluulę jako bazę wypadową do ataku na Kalamara?

- Zastanawialiśmy się i nad tym - przyznał Garray. - Chyba nie muszę panu przypominać, że Caluula znajduje się dosyć daleko od łatwo dostępnych gwiazdnych szlaków. Pragnąc dolecieć stąd do Kalamara, trzeba wykonać trzy mikroskoki albo powrócić na Perlemiański drogą wiodącą obok Dellalta i Lianny. Obie metody zajmują mniej więcej tyle samo czasu.

- Więc dlaczego Yuuzhan Vongom zależy na zdobyciu Caluuli? - zapytała Leia.

Komendant spojrział na nią, nie przerywając spaceru.

- Jeńcy - oznajmił zwięźle. - Dowódca grupy szturmowej Vongów sam mi o tym napomknął.

- Rozmawiał pan z nim? - zdumiała się księżniczka.

- Owszem. Jest wytatuowany od stóp do głów - powiedział Garray. - A wkrótce będzie zboczony czarną krwią, jeżeli mam coś do powiedzenia na ten temat. Obiecał nam szlachetną śmierć i wieczne życie.

- Trudno odrzucić taką propozycję - mruknął Solo.

- Osobiście wolę tu i teraz, panie kapitanie - parsknął Garray.

- Skąd pan pochodzi, panie komendancie? - zainteresowała się Leia.

- Z Abregadorae - odparł generał.

Han nie ukrywał zaskoczenia.

- Znalazł się pan bardzo daleko od Jądra galaktyki - zauważył. -Dlaczego pan stamtąd odleciał?

- Z nieba spadały na nas ogniste kule Vongów, a ja zaczynałem podejrzewać, że któraś trafi mnie w głowę - wyjaśnił komendant.

Leia pokiwała ze zrozumieniem głową.

- W całej galaktyce nie będzie wkrótce ani jednego bezpiecznego zakątka - stwierdziła ponuro.

Garray westchnął, jakby się zgadzał z jej opinią.

- Nie będzie, jeżeli Vongowie dopną swego - przyznał. - W tej sytuacji jeszcze jeden skoncentrowany silny atak... No cóż, kto może wiedzieć, jak wszystko się potoczy, prawda?

- Proszę spodziewać się niespodzianek, panie generale - odparł Solo.

- Na powierzchni Caluuli opór stawiają już tylko nieliczne oddziały. Jeżeli ta stacja zostanie zniszczona, nie mam pojęcia, jak sobie poradzą z inwazją na wielką skalę.

-W jakim stanie znajduje się wasz sprzęt? - zainteresowała się księżniczka.

- Sama pani widziała nasze gwiazdne myśliwce - przypomniał Garray. - Podobnie jak my, nie rozlatują się na kawałki chyba tylko dzięki klejowi i samoprzylepnej taśmie. Od czasu wyeliminowania HoloNetu musimy utrzymywać łączność z Kalamarem przy pomocy kurierów, a to zajmuje od trzech do pięciu miejscowych dni. Prawdę mówiąc, ostatniego kuriera wysłaliśmy w drogę zaledwie kilka godzin przed waszym przylotem. W dodatku dowódcy sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu nie podesłali nam żadnego sprzętu. Rozpaczliwie potrzebujemy żywności, amunicji, części zamiennych, płynu bacta... Wielu ochotników, którzy przybyli nam na pomoc, odniosło rany, mamy także chorych i umierających. - Garray sposepniał coraz bardziej. Urwał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. - Walczę przeciwko Yuuzhan Vongom od czterech lat - podjął po chwili. - I cały czas mam uczucie, że byłem o wiele młodszy, kiedy ta wojna się zaczęła.

- Wszyscy mamy takie wrażenie, panie komendancie - stwierdził Han.

Dobrze znał wojskowych pokroju Garraya, udręczonych wieloletnim sprawowaniem dowództwa i wysyłaniem podwładnych na niemal pewną śmierć. Miał przed sobą jeszcze jednego oficera, który nie musiał sobie udowadniać, że jest bohaterem. Po prostu robił to, co do niego należało.

Garray spróbował się uśmiechnąć.

- Proszę się nie martwić, naprawimy pańskiego „Sokoła” i wyślemy was w drogę powrotną, zanim zdążycie się obejrzeć - obiecał.

- Nie chcemy odrywać pańskiego personelu od zajęć, panie komendancie - oznajmił stanowczo Han. - Leia i ja sami zajmiemy się naprawami. - Na chwilę urwał. - Tak między nami, Garray, gdyby nie to, że na Crackena i pozostałych czekają na Kałamarze, zostalibyśmy tu, żeby ci pomóc.

Komendant się uśmiechnął.

- Dziękuję, kapitanie Solo - powiedział. - Pańskie słowa nie tylko potwierdzają, ale nawet przewyższają opinię, jaką pan zyskał w ciągu tych ciężkich lat. - Przeniósł spojrzenie na Leię. - Zechcielibyście zjeść ze mną obiad?

- Bylibyśmy zaszczytzeni - odparła księżniczka. Zwolniła i dołączyła do męża, który został trochę z tyłu. - „Opinię, jaką pan zyskał...” - przypomniała szeptem. - Któregoś dnia postawią ci tu pomnik.

Han omiółł zamaszystym gestem ogromny hangar.

- Nieprawda. To ci ludzie zasługują na pomniki - powiedział. - Wszyscy, co do jednego.

Idąc dalej, mijali kolejne osoby, które rozpoznawały zarówno Hana, jak i Leię. Wyglądało na to, że do systemu Caluuli zlecieli się wszyscy sławni piloci, żołnierze i najemnicy... ale także wszystkie podejrzane typy z promienia tysiąca parseków. Komendant Garray przeprosił oboje Solo i odszedł do swoich obowiązków, ale obiecał, że spotka się z Hanem i Leią w mesie bazy.

Kiedy wyłonili się z przezroczystego łącznika między modułami, Han usłyszał głos, który wydał mu się znajomy. Odwrócił się i zobaczył ciemnowłosego mężczyznę mniej więcej w jego wieku, ubranego w zniszczony szary kombinezon lotniczy z szerokim czerwonym pasem. Mężczyzna, niezbyt wysoki, ale silnie zbudowany, siedział ze skrzyżowanymi nogami na okratowanej skrzyni w pogrążonym w półmroku kącie modułu. Zajmował miejsce między porośniętym złocistą sierścią Bothaninem a wysokim Calibopem, który przysiadł na złożonych skrzydłach. Całą trójkę otaczała grupa podejrzanie wyglądających ludzi i obcych istot ubranych w podobne szare kombinezony lotnicze. Mogli uchodzić zarówno za pilotów odrębnej eskadry gwiazdnych myśliwców, jak i członków gangu grawicyklistów z Nar Shaddaa.

- Jeszcze jeden wielbiciel? - zapytała Leia.

Han potarł porośniętą szczecinę brodę.

- Jestem pewien, że gdzieś już słyszałem ten głos - powiedział. -Kłopot w tym, że nie mogę skojarzyć go z twarzą.

- Więc podejdź do niego i zapytaj, gdzie i kiedy się spotkaliście -zapropnowała księżniczka.

Han kiwnął głową i powoli skierował się w stronę grupy najemników. Zauważył, że obserwują go z mieszaniną rozbawienia i czujności. Spojrzał na ciemnowłosego mężczyznę.

- Nazywam się Han Solo - zaczął. - Czy mam rację, że gdzieś się już spotkaliśmy?

Mężczyzna spojrział na niego spode łba, demonstrując przy tym blizny na poranej bruzdami śniadej twarzy.

- Nie w cztery oczy, panie kapitanie, chociaż niewiele brakowało - powiedział. - To oznacza tylko tyle, że nie jesteśmy sobie zupełnie obcy. - Wyciągnął ku niemu mięsistą rękę. - Nazywam się Hurn.

Han dwukrotnie obrócił w myślach usłyszane nazwisko, ale w końcu pokręcił głową.

- Nic mi to nie mówi - odparł z rezygnacją. - Jesteś pewien, że nigdzie razem nie służyliśmy? Może podczas Rebelii?

Hurn wzruszył ramionami.

- Los obdarzył mnie jedną z tych twarzy, które prawie wszystkim wydają się znajome - stwierdził obojętnie.

Han pogładził się po szczęce.

- Byłeś kiedyś na Dellalcie? - zapytał.

- Nie przypominam sobie.

Han pokiwał niepewnie głową i postanowił odejść. Leia zaczęła, aż wszyscy troje - ona, Han i C-3PO - oddały się na tyle, żeby najemnicy nie mogli jej usłyszeć.

- Czy jego twarz wydawała się wszystkim znajoma przed okresem Rebelii, czy zanim zarobił te blizny? - zapytała.

Han obejrzał się przez ramię, rozłożył ręce i pokręcił głową, ale zanim zdążył coś powiedzieć, w hangarze rozległo się wycie syren alarmowych. Na lądowiskach zapanował kontrolowany chaos. Wszyscy dobrze wiedzieli, gdzie się zameldować i co robić... z wyjątkiem Hana, Lei i Threepia, którzy nie mieli pojęcia, czy powinni się udać na najbliższe stanowisko ogniowe, czy też raczej schodzić wszystkim z drogi.

Kres tej niepewności położył Garray, który wyrósł przed nimi jak spod ziemi.

- Pojawiły się nieprzyjacielskie posiłki - poinformował. - Jeszcze jedna kompletna grupa szturmowa.

Leia nie ukrywała zaskoczenia.

- Musi im bardzo zależeć na zdobyciu Caluuli, skoro zdecydowali się wysłać tyle dużych okrętów - zauważyła.

Garray przyznał jej rację.

- Nasze pola siłowe powinny wytrzymać - stwierdził.

Do komendanta podbiegł adiutant, aby zameldować, że dalekosieczne skanery stacji wykryły w przestworzach niezwyklej obiekt. Generał zaprowadził wszystkich do najbliższego monitora, na którym adiutant polecił wyświetlić holograficzny wizerunek obiektu, który wyglądał jak ogromny kosmiczny ślimak. Widać było klinowaty łeb, grzbietowy worek i otwór gębowy o szerokości co najmniej ośmiu metrów.

Garray zmrużył oczy, aż zmieniły się w wąskie szparki.

- Co to ma być, na miłość galaktyki? - zapytał, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Leia nabrała powietrza i ze świstem je wypuściła.

- Yuuzhan Vongowie nazywają to ychna, panie komendancie - zaczęła. - Podobny potwór w przestworzach Duro praktycznie pochłonął całe orbitalne miasto.

Komendant spoglądał na nią z niedowierzaniem, jakby nagle odebrało mu mowę.

Chwilę później wycie klaksonów ogłosiło kolejny, tym razem groźniejszy alarm.

- Panie komendancie - zameldował jakiś chorąży. - Nieprzyjaciele rozpoczęli atak.

Han spojrział na żonę.

- Wygląda na to, że mimo wszystko jakiś czas tu zostaniemy - powiedział.

- Jesteś gorliwy, a przynajmniej starasz się za takiego uchodzić, więc na pewno wzięłeś sobie do serca przestrozę najwyższego lorda - odezwał się arcyprefekt Drathul, spoglądając z wyższością na Noma Anora. - Pamiętaj, że nic nieprzewidzianego nie może zakłócić przebiegu uroczystej ceremonii, zwłaszcza że i tak składamy w ofierze mniejszą liczbę jeńców.

Drathul, który pełnił kiedyś obowiązki prefekta na pokładzie światostatku „Harla”, miał szerokie czoło. Przecinało je wystarczająco wiele blizn, aby nikt nie miał wątpliwości, że wiernie służy bogom, ale nie szpeciły go one na tyle, by zdaniem Drathula nie uznać go za przystojnego Yuuzhanina.

Arcyprefekt kazał Nomowi Anorowi czekać pół miejscowego dnia, aż słońce stanie w zenicie, a tęczyowy most zalśni niczym naszyjnik z drogocennych klejnotów. Okna jego kwatery w prefekturze, umieszczone wysoko, wychodziły na plac Hierarchii w położonej na południe od Cytadeli dzielnicy, znanej kiedyś pod nazwą Wzgórz Calocoura. Nom Anor wciąż jeszcze pamiętał, jak wyglądały w czasach jednej z jego pierwszych wypraw zwiadowczych. Na miejscowym targu roiło się wówczas od butnych inspektorów, a zewsząd dobiegały dźwięki głośnej muzyki towarzyszącej krzykliwym holoreklamom. Na repulsorowych wózkach prezentowano dostarczane nieustannie z tysięcy planet darmowe próbki żywności, roztaczające apetyczne wonie.

- Wziąłem sobie do serca przestrozę najwyższego lorda - oznajmił Nom Anor. Siedział na podłodze na kunsztownie utkanej macie vurruk, którą wskazali mu pod władni Drathula. Sam arcyprefekt spoczywał na poduszkach na podwyższeniu we wnęce komnaty.

- A więc na pewno cię zainteresuje, że do moich uszu dotarła informacja, jakoby przebieg właśnie tej uroczystej ceremonii zamierzała zakłócić koalicja Zhańbionych. - Drathul wbił w Noma Anora świdrujące spojrzenie. - Przypuszczam, prefekcie, że nie są ci zupełnie obce taktyki heretyków?

- Przyznaję, że znam przynajmniej niektóre - odparł wymijająco Nom Anor.

Drathul sprawiał wrażenie rozbawionego tą odpowiedzią.

- Przypisujesz sobie stanowczo zbyt małe zasługi - powiedział. - Taka skromność nie przystoi komuś, kto błyskawicznie awansował ze skromnego egzekutora na prefekta Yuuzhan'tara, kto przynajmniej dwukrotnie dostąpił zaszczytu uczestniczenia w prywatnej audiencji u najwyższego lorda, a nawet, zaryzykowałbym takie twierdzenie, został jego zausznikiem.

Nom Anor parsknął krótkim nieszczerym śmiechem.

- To chyba przesada, arcyprefekcie - powiedział.

Drathul nie przestawał świdrować go spojrzeniem.

- Jak mogło do tego dojść? - zapytał, jakby głośno myśląc. - Czy to nie ten sam Nom Anor, który wysłał kapłankę Elan na pewną śmierć? Ten, który powołał do życia bandę odszczepieńców, zwaną Brygadą Pokoju? Który przyczynił się do katastrofalnego w skutkach ataku na Fondor? Który dopuścił do ucieczki Vergere? Który przebierał się za człowieka, Durosjanina i któż może wiedzieć, za jakie jeszcze istoty obcych ras? Który podobno nie chciał

stanąć do pojedynku z Jeedai i zamordował bronią niewiernego własnych pomocników? Który praktycznie zwabił wojennego mistrza Tsavonga Laha i przyczynił się do jego haniebnej śmierci na powierzchni Ebaqa Dziewięć? - Urwał na chwilę. - Popatrz tylko, jak twój plaeryin boi wpatruje się we mnie... jakby zamierzał plunąć śmiercionośnym jadem.

- Wyciągasz niewłaściwie wnioski, arcyprefekcie - zachnął się Nom Anor, dotykając organicznej kulki, która zastępowała mu drugie oko. - Przeszkadza mi po prostu drobina piasku. Prawdę mówiąc, nieźle mi naubliżałeś, ale zapomniałeś dodać, że każde z tych wydarzeń miało swoją jasną stronę. W przeciwnym razie... - wyszczerzył zęby w nikłym uśmiechu - ...jak mógłbym nosić teraz zieloną szatę tak ważnego dostojnika?

Drathul musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, żeby nie wpaść w furję.

- Toleruję twoją obecność i awans wyłącznie dlatego, że przebywałeś w towarzystwie mojego poprzednika Yooga Skella w momencie jego śmierci - warknął. - Wiem też w głębi serca, że się do niej przyczyniłeś. Gdyby nie to, prawdopodobnie w tej chwili nie siedziałbym tu i nie rozkoszował się besztaniem ciebie.

Nom Anor pochylił głowę.

- Żyję jedynie po to, żeby służyć, arcyprefekcie - zauważył.

- Właśnie - mruknął Drathul. - I dlatego rozkazuję ci położyć kres tej koalicji Zhańbionych. Możesz spróbować przemówić im do rozsądku albo kazać ich zabić. Wolałbym, żebyś zastosował pierwszy środek, bo podejrzewam, że dodatkowe trupy na tym etapie wzbudzą tylko pośród nich większy ferment. Wiedz jednak, że odpowiadasz osobiście przede mną za najdrobniejsze zakłócenie przebiegu ceremonii, podobnie jak ja odpowiadam za to przed Shimrrą. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno, czy też może muszę najpierw ci uświadomić, co się stanie, jeżeli mnie zawiedziesz?

- Zrobię, co w mojej mocy, arcyprefekcie - obiecał Nom Anor.

- Będę miał oko na twoje sztuczki, Nomie Anorze - zapowiedział Drathul. - W końcu to twoja specjalność.

- Jeżeli nawet sobie wyobrażę, że jestem kimś ważniejszym niż w rzeczywistości, arcyprefekcie, nie wywiodą w pole nikogo oprócz siebie - odparł enigmatycznie Nom Anor.

Nom Anor rozkazał konsulom osiedlać bissopa, żeby na jego grzbiecie wrócić do przestronnej rezydencji, odpowiedniej do nowego stanowiska. To prawda, spotkał go wielki zaszczyt, ale też naraził się na zazdrość, gniew i nieufność wielu osób. Zazwyczaj tak się działo z

każdym, kogo wywyższono ze względu na tajną misję, o której nikt nie mógł się dowiedzieć. Inne osoby z najbliższego otoczenia najwyższego lorda także musiały znosić rozmaite zniewagi. Część winy ponosił za to sam Shimrra, pełen sprzeczności i niezdecydowany, zupełnie jakby podejmował decyzje pod wpływem emocji albo rzekomych informacji przekazywanych przez bogów.

Nawet potężny Nas Choka musiał się przeciwstawiać niechęci i zazdrości i właśnie z tego powodu postanowił potroić liczbę osobistych strażników. Nom Anor zachodził w głowę, czy nie pójść w jego ślady, ale w końcu się nie zdecydował. Nie widział sensu w okazywaniu niepokoju swoim przeciwnikom.

Wolałby jednak ukryć ten niepokój przed heretykami...

Błędnie przypuszczał, że niespodziewane zniknięcie Proroka Yu'shaa osłabi ich wolę osiągnięcia celu. Zamiast tego łatwowierni wyznawcy zaczęli go uważać za męczennika. Wielu twierdziło, że został skazany na śmierć i stracony z rozkazu samego Shimrry.

W najciemniejszym zakamarku rezydencji ukrył maskującego ooglitha, którego wkładał, ilekroć nawoływał wyznawców do wzniesienia buntu. Rozkazywał im wystąpić przeciwko systemowi, który skazywał ich na życie w poniżeniu i utrwał wiarę w bogów, celowo odrzucających stworzone przez siebie inteligentne istoty. Sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby każdy Zhańbiony splamił się dumą albo uprzedzeniem, ale nawet sami mistrzowie przemian nie potrafili wyjaśnić, dlaczego niektóre implanty bywają odrzucane. Na skutek tego jednak niezliczone istoty zastanawiały się do końca nędznego życia, w którym miejscu popełniły błąd, kiedy okazały niepotrzebną dumę albo czy przypadkiem nie płacą za przewinienia członków innych wylęgarni lub domen. Dostojnicy udawali, że im współczują, ale w gruncie rzeczy byli zachwyceni, kiedy ich rywale przestawali się cieszyć łaskami bogów. „Jakie to straszne, co przydarzyło się konsulowi Shalowi Torowi w wyniku ostatniego wywyższenia... ale co to za szczęście, że mnie to ominęło”.

Zanim Nom Anor podjął brzemienne w skutki decyzję na powierzchni Zonamy Sekot, był tak oburzony tą niesprawiedliwością, że zaprzagnął zniweczyć cały ład społeczny Yuuzhan Vongów. Chciał, żeby upodleni członkowie społeczności Zhańbionych zrzucili Shimrrę z polipowego tronu, i niewiele brakowało, aby jego starania zakończyły się powodzeniem. Nom Anor sam nie wiedział, co ma wyniknąć z jego planu. Gdyby ta wojna zakończyła się klęską, co by to oznaczało dla niego, Noma Anora, skoro niektórzy mieszkańcy podbitej galaktyki - z

wyjątkiem Jedi - niewiele różnili się od barbarzyńców?

Ucieczka, uwięzienie, wykonanie wyroku śmierci... Nie mógł sobie pozwolić na tak wielkie ryzyko.

Ruch heretyków opierał się na plotkach, które przeciekły z odległego Yavina Cztery, ale Nom Anor ukierunkował go i upiększył. Obecnie istniało niebezpieczeństwo, że ten sam ruch pozbawi go wszystkiego, co osiągnął, dopuszczając się dywersji na powierzchni Zonamy Sekot, żeby ponownie wkraść się w łaski najwyższego lorda Shimrry.

Uświadomił sobie, że ogarnia go przygnębienie. Jego ogromny wierzchowiec człapał statecznie obok placu Poświęceń, na którym kapłani, uczeni, adepci i nowicjusze przygotowywali wszystko, co konieczne do ceremonii. Mijając podobne do muszli pomieszczenia robotników, zauważył kilku żebrzących o wsparcie Zhańbionych w wystrzępionych i połatanych ubraniach.

Zanim Nas Choka dostąpił wywyższenia, skorzystał z okazji, żeby skarcić Noma Anora za okazywaną dumę. Doradził mu wówczas, żeby błagał o przebaczenie YunShuna, boga Zhańbionych.

Kto mógł przewidzieć, że wiele lat później zostanie ich Prorokiem?

R O Z D Z I A Ł 13

Ychna zaatakował Stację Caluula.

Potworny ślimak, przyciągnięty na miejsce walki przez specjalną odmianę dovin basali wyhodowanych na odległej planecie Tynna, przyssał się do deflektorowych pól niczym pijawka. Pochłaniając wszystkie dzule energii, na jakie było stać generator pola, pęczniał i pęczniał, dopóki pola nie zanikły. Dopiero wtedy chwycił w ogromną paszczę bezbronny środkowy moduł orbitalnej stacji i zmiażdżył go jak skorupkę jajka. Zanim z modułu uciekła atmosfera, przez wygryziony otwór wpadło setki wojowników Yuuzhan Vongów, którzy wyroili się z ładowników. Wszyscy byli zakuci w pancerze i nosili umożliwiające oddychanie w próżni stworzenia w kształcie gwiazd, zwane gnullithami.

Z hangarów stacji wystartowały eskadry poobijanych gwiazdnych maszyn, których piloci zamierzali stawić czoło rojom koralowych skoczków. W kierunku nadlatujących okrętów liniowych poleciały setki potężnych zielonych błyskawic. W pozostałych modułach orbitalnej

stacji wyły klaksony, obracały się mechanizmy zamków i opadały odporne na strzały z blasterów grodzie, żeby nie dopuścić do uciekania atmosfery także z innych korytarzy i pomieszczeń stacji. Ilekroć Yuuzhan Vongowie napotykali barykady z litej durastali, ostrzeliwali je rozżarzoną do czerwoności magmą, a kiedy nic z tego nie wychodziło, wysyłali do boju zakute w czarne pancerze udoskonalone grutchyny, których kwasy trawienne przeżerały na wylot nawet najbardziej wytrzymałe stopy metali.

W pobliżu miejsca, w którym posilał się ychna, Han, Leia i dwudziestu czterech żołnierzy kulili się za prowizoryczną barykadą z opróżnionych zasobników i okratowanych pojemników. Czekali z gotową do strzału bronią ręczną, szturmowymi karabinami i samopowtarzalnymi blasterami, a także kilkoma granatami i rakietami, które wyszperali w niemal pustej zbrojowni Stacji Caluula. Androidy, które nie nosiły amunicji albo nie czekały w pogotowiu, żeby wymieniać opróżniane zasobniki, dreptały tu i tam, zupełnie oszołomione. Do tej grupy zaliczał się także C-3PO, który chodził w kółko za plecami Leii.

Wreszcie księżniczka odwróciła się do niego.

- Nie trać głowy - powiedziała. - Pomóż.

-Ale... księżniczko Leio, nie jestem wojskowym automatem -zachnął się Threepio. - Nie nadaję się do niczego poza służbą protokolarną i tłumaczeniem. Och, gdzież jest R2-D2, kiedy go najbardziej potrzebujemy?

- Threepio, chyba zapominasz, że jesteś równie odważny jak Artoo - skarciła go Leia.

C-3PO znieruchomiał.

- Naprawdę? - zapytał. - No cóż, kiedy pani o tym powiedziała, przypomniał mi się pewien incydent, kiedy to...

- Nadchodzą! - krzyknął żołnierz kulący się na skraju grupy.

Pięćdziesiąt metrów dalej coś wypalało ogromną dziurę w opuszczonych wrotach z blastero-odpornej płyty. Z powiększającego się otworu o poszarpanych krawędziach wydobywały się kłęby gryzącego dymu.

Han sprawdził stan zasobnika energii swojego blastera typu DL-44 i wymierzył lufę w sam środek otworu.

- Nie otwierać ognia - rozkazał. - Zaczekajcie, aż się pokażą...

Pierwsze przez otwór przelazły dwie grutchyny. Sześciometrowej długości bestie, groźnie warcząc, wyłoniły się spomiędzy kwaśnych oparów niczym zjawy, ale zanim zdążyły

przebiec dziesięć metrów, rozerwały je na strzępy błyskawice blasterowych strzałów. Chwilę później przez wypalony otwór zaczęli wskakiwać grupkami po trzech i po czterech wojownicy Yuuzhan Vongów. Wszyscy byli zakuci w pancerze, w zaciśniętych dłoniach trzymali amphistaffy, mieli także bandolety z ogłuszającymi chrząszczami.

- Teraz! - wykrzyknął Solo.

Trzydziestu żołnierzy dało ognia. Ich strzały powaliły tuzin biegnących na czele wojowników, a po nich następnych dwunastu. Mimo to pozostali Yuuzhan Vongowie nie zrezygnowali z ataku. Przeskakując nad ciałami albo depcząc poległych towarzyszy, rzucali ku obrońcom plazmowe węgorze albo wyprężone amphistaffy. Większość uderzała z głuchym łoskotem o barykadę, ale kilka trafiło jednego czy dwóch obrońców stacji. Napastnicy unikali jednak posługiwania się brzytwozukami i strugami jadu, co potwierdzało tezę, że nieprzyjaciółom zależy na schwytaniu jeńców, a nie ich śmierci. Rzucając się pomiędzy błyskawice blasterowych strzałów z pięściami uniesionymi w geście wyzwania, Yuuzhanie ginęli po pięciu lub dziesięciu naraz, jakby nieświadomi, że podczas tej walki żołnierze Sojuszu kierują się zupełnie innymi zasadami.

Gdyby wojownicy mogli, uznaliby ich walkę za nieszlachetną. Zachowywali się, jakby wyzywali śmierć, przez co powiększali zamęt na polu bitwy, ale może właśnie dlatego było ich trudniej zabić.

Obrońcy przestawili blastery na ogień ciągły, a pomrukująca klinga świetlnego miecza Leii nieustannie odbijała na boki grad ogłuszających chrząszczy. Wkrótce jednak wszyscy zrozumieli, że dalsza obrona barykady wobec przeważających sił nieprzyjaciela jest niemożliwa. Żołnierze Sojuszu musieli się wycofać w inne miejsce. Yuuzhan Vongowie atakowali i tylko niektórzy przystawali, żeby odciągać na tyły i krępować tych, których ogłuszili. Po związaniu każdego jeńca wznosili triumfalne okrzyki, choćby to było okupione śmiercią nawet sześciu własnych wojowników.

Wycofując się w głąb stacji, Leia obejrzała się przez ramię, ale kiedy znalazła się na skrzyżowaniu korytarzy, Han nagle chwycił ją lewą ręką, obrócił i odepchnął na bok. Ze szkarłatnej poświaty promieniującej z bocznego korytarza wyleciał amphistaff grubości maczugi i przeciął powietrze w miejscu, w którym pewnie byłaby się znalazła, po czym z donośnym łoskotem upadł na pokład.

Wojownik, który go rzucił, zawył z wściekłości i skoczył w stronę księżniczki. Trafiony

w powietrzu strzałem z blastera Hana, przejechał kilka metrów po płytach pokładu i znieruchomiał dopiero pod ścianą.

Leia spojrzała na męża.

- Naprawdę troszczysz się o mnie - podziękowała mu z przelotnym uśmiechem.

Nie starając się uwolnić z jego uścisku, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Han także uśmiechnął się do żony i wypuścił ją z objęć.

- Kim byłby główny bohater bez głównej bohaterki? - zażartował.

- Podczas walki zawsze budził się w tobie romantyk - odcięła się księżniczka.

Ruszyła za mężem, ale zaraz stanęła i odwróciła głowę. C-3PO, cały rozdygotany, niezdecydowanie dreptał w kółko na skrzyżowaniu korytarzy.

- Tędy, Threepio! - wykrzyknęła. - Szybko!

Android spojrział na nią i bezradnym gestem wskazał boczny korytarz.

-Ale, księżniczko Leio... - zaczął.

- Pospiesz się!

C-3PO, mrużąc z niezadowoleniem, podreptał za Leią tak szybko, jak pozwalały mu poskrzypujące nogi. Oboje Solo zaczęli na niego za następną odporną na strzały z blasterów płytą. Kiedy C-3PO przestąpił próg, Leia przycisnęła otwartą dłońią guzik na ścianie, ale masywna płyta opadła tylko do połowy wysokości. Han grzmotnął w przycisk pięścią, a kiedy nic to nie dało, cofnął się i posłał blasterową błyskawicę w kontrolny panel na ścianie.

Rykoszet długo odbijał się od ścian i sklepienia. Leia, skulona z przerażenia, pokręciła z wyrzutem głową.

- Czy ktoś ci powiedział, że jesteś równie bezlitosny dla mechanicznych urządzeń jak Yuuzhan Vongowie? - zapytała.

Gruba blasteroodporna płyta zadygotała, opadła i z hukiem grzmotnęła o płyty pokładu.

Han wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

- Tylko dla tych, które sprzeciwiają się mojej woli - odparł beztrąsko. - A jeśli już o tym mowa, gdzie podział się Threepio?

Księżniczka rozejrzała się i stwierdziła, że protokolarny android kuli się w kącie.

- Po co się tam ukryłeś? - zapytał Han. - Naprawdę czekasz, aż ktoś przebije cię na wylot?

- Nie, kapitanie Solo, ale te odporne na strzały z blasterów wrota...

Jego słowa zagłuszył tupot butów. Ktoś nadbiegał. Leia uniosła klingę świetlnego miecza, a Han blaster, ale z głębi korytarza wybiegło kilkunastu żołnierzy Galaktycznego Sojuszu.

- Nie idźcie w tamtą stronę - odezwali się jednocześnie Han i dowódca oddziału.

- Yuuzhan Vongowie - dodał Solo, wskazując kciukiem blasteroodporne wrota.

- Ślepy zaułek - stwierdził żołnierz, takim samym gestem pokazując w przeciwną stronę.

Han wpatrywał się nieruchomo w opuszczoną płytę, po czym nagle odwrócił się jak użądłony.

- Ślepa uliczka? - powtórzył, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

C-3PO uniósł ręce na wysokość głowy.

- Właśnie to starałem się państwu powiedzieć! - wykrzyknął.

Coś uderzyło z łoskotem w blasteroodporną płytę z drugiej strony. Pojawiły się w niej niewielkie otwory, przez które sączyły się pasemka gryzącego dymu. Han i Leia spojrzeli po sobie.

- Czy już kiedyś tego nie przerabialiśmy? - zagadnęła księżniczka.

Wszyscy cofnęli się jak najdalej od blasteroodpornych wrót i zajęli stanowiska w głębi korytarza. Han ponownie sprawdził stan zasobnika, w którym pozostała zaledwie połowa energii.

- Nie pozwolę, żeby schwytali mnie żywego, panie kapitanie - odezwał się stojący obok niego obrońca.

Han wymierzył wskazujący palec w pierś młodego mężczyzny.

- Nikt cię nie schwyta, żołnierzu - oznajmił stanowczo. - Wbij to sobie do głowy i zapamiętaj.

Obrońca przełknął ślinę i kiwnął głową.

- Dziękuję, panie kapitanie - powiedział z ulgą.

Blasteroodporne wrota szybko się topiły i wkrótce po korytarzu poniosło się echo triumfujących okrzyków Yuuzhan Vongów. Han słuchał ich chwilę, po czym odwrócił się do Leii.

- Wpadło mi do głowy coś, co od biedy może ujść za pomysł - powiedział. - Threepio, chodź do mnie.

Android wyprostował się z godnością i wyszedł zza stosu przerdzewiałych kratki do zasłaniania wylotów wentylacyjnych szybów.

- Jestem, proszę pana - zameldował, kiedy stanął przed nim.

Han spojrział prosto w złociste fotoreceptory androida.

- Threepio, chciałbym, żebyś wygłosił przemówienie do Yuuzhan Vongów w ich języku - powiedział.

- Mam do nich przemówić? - zachnął się C-3PO. - Ale przecież nie mam pojęcia, co mógłbym im powiedzieć.

Han wyraźnie się zdenerwował.

- Co, nagle odjęło ci mowę? - zapytał. - Powiedz im, że wszyscy wojownicy są potrzebni do walki wręcz w module numer jeden! Nie obchodzi mnie zresztą, co im nagadasz. Możesz spróbować im wmówić, że przyszła pora na drugie śniadanie!

- Nie sądzę, żeby Yuuzhan Vongowie znali słowo na określenie drugiego...

- Zrób, co ci polecił, Threepio - przerwała Leia.

C-3PO zaczął obracać głowę z przerwami, jakby nie miał dość sił, żeby wykonał płynny obrót.

- Jak zdołam naśladować... - zaczął niepewnie.

- Zwiększ natężenie basów wzmacniacza wyjściowego - zasugerował jeden z żołnierzy.

C-3PO przekrzywił głowę.

- Och, o tym nie pomyślałem - zauważył.

- Ta-a, i dorzuć trochę efektów dźwiękowych, jeżeli już o tym mowa - doradził Solo.

Protokolarny android dopiero po chwili uświadomił sobie, że Han żartuje.

- Efekty dźwiękowe, też mi coś - mruknął do siebie. - Dlaczego od razu nie namalować tarczy strzelniczej na moim gnieździe ładowania?

Han obrócił go i popchnął lekko w kierunku stanowiska interkomu zainstalowanego na ścianie korytarza.

- Powiedz coś wreszcie! - rozkazał.

Android zbliżył wokabulator do kratki mikrofonu.

- Bruk tulcken Yongpratte, al'tanna brenzlit tchurokk... - zaczął.

Triumfujące okrzyki ucichły prawie natychmiast.

- O to chodziło! - zachęcił go Solo. - Nie przestawaj nawijać!

Android mówił jeszcze jakąś minutę. Wreszcie zakończył przemówienie słowami:

- Ai' tanna Shimtra khotte Yun 'o! Niech jak najdłużej żyje Shimrra, ulubieniec bogów!

- Wycofują się! - zameldował żołnierz stojący najbliżej płyty odpornej na strzały z blasterów.

Han klepnął z całej siły Threepia po plecach, a na koniec uścisnął mu rękę.

- Świetna robota, Złota Sztabo! - wykrzyknął ucieszony. - Udało ci się! Dokonałeś nie lada sztuki!

C-3PO wyprostował się z godnością.

- Mam swoje dobre chwile - oznajmił.

- Naturalnie, że masz - przyznał Solo. - A teraz wynośmy się stąd czym prędzej.

Zaczekali, aby nabrać pewności, że wojownicy odeszli, po czym przycisnęli się po kolei przez otwór wypalony we wrotach i skierowali w głąb bocznego korytarza, dokąd zamierzał skierować wszystkich Threepio. Zaledwie jednak przeszli sto metrów, natknęli się na oddział Yuuzhańskich wojowników. Tym razem C-3PO był przygotowany. Zwiększył wzmocnienie stopnia wyjściowego i zaczął mówić, ale ledwo wypowiedział dwa zdania, w korytarzu zawirował rój ogłuszających chrząszczy. Han, Leia i ich towarzysze rozplaszczyli się na płytach pokładu.

- Co właściwie im powiedziałaś? - zainteresował się Han, przyklęknął na jedno kolano i uniósł blaster.

C-3PO zastanowił się chwilę, jakby musiał sobie przypomnieć.

- O rety - odezwał się w końcu. - Możliwe, że pomyliłem słowa. - Spojrzał na Hana. - Chyba ich znieważylem.

- Coś wspaniałego - mruknął Solo.

- Słowo daję, Threepio... - odezwała się księżniczka. - Doprowadziłeś ich do wściekłości.

Pobiegli z powrotem w kierunku skrzyżowania korytarzy, ale skoro z jednej strony mieli ślepy zaułek, a z tyłu Yuuzhan Vongów, postanowili stawić im czoło.

Grupa znieważonych przez Threepia Yuuzhan liczyła mniej więcej czterdziestu wojowników, więc ponad dwa razy więcej niż obrońców stacji. Serie blasterowych strzałów wprawdzie trochę wyrównały szanse, ale też opróżniły zasobniki wielu blasterów. Ogarnięci uniesieniem na widok odrzucanej na bok broni wojownicy rozkazali amphistaffom, żeby owinęły się wokół ich przedramion, i nie kryjąc dumy, ruszyli do walki wręcz. Kilku skierowało się ku Leii, która odbijała właśnie na boki ostatnie chrząszcze szybkimi, niemal jak myśl, ruchami

klingi świetlnego miecza.

Han przedarł się ku żonie i strzelając z biodra, powalił dwóch jej niedoszłych przeciwników. Dwaj następni szybko jednak zapełnili lukę w szeregu wojowników. Księżniczka odcięła jednemu głowę, ale drugi rzucił się na Hana, który musiał się wycofać w drugą stronę korytarza i oprzeć plecami o ścianę. Broniąc się przed potężnymi ciosami, błyskawicznie osunął się na podłogę i prześliznął między szeroko rozstawionymi nogami wojownika w nadziei, że zaatakuje go od tyłu. Yuuzhanin jednak się odwrócił i kiedy Han wstawał, chwycił go za szyję. Objął go ogromnymi dłońmi w uścisku asthkorra, po czym uniósł i odwrócił tak, że Han oparł się plecami o ścianę.

Zobaczył coś na kształt roziskrzonych gwiazd, ale później nastąpiła ciemność. Łapczywie chwytając powietrze, zdążył jeszcze zauważyć, że głowa prześladowcy eksploduje. Uścisk palców na jego gardle zelżał i Han osunął się na płyty pokładu. Chwilę później runęło na niego ciężkie ciało wojownika. Przekonany, że zawdzięcza ocalenie życia żonie, Han próbował się wydostać spod zwłok Yuuzhanina, ale nie miał dość sił, żeby odepchnąć ciężar na bok. Wreszcie wyciągnął rękę, namacał jakiś mały przedmiot, chwycił go i zbliżył do oczu. Przedmiot miał długość ludzkiego palca i wyglądał jak stary model raketowej strzałki, do której czubka wciąż jeszcze była przytwierdzona niesprawna głowica wybuchowa.

W końcu wygramolił się spod zwłok wojownika w samą porę, żeby zobaczyć, jak czterech innych Yuuzhan pada martwych po trafieniu w plecy blasterowymi błyskawicami i raketowymi strzałkami. Pociski nadlatywały z głębi bocznego korytarza, w którym sześciu żołnierzy klęczało pod ścianami, kucalo albo leżało na płytach pokładu.

Wszyscy nosili rozcięte na policzkach hełmy, przedzielone na dwie części prześwitami na wysokości oczu i wyposażonymi w podobne do flag celownicze dalmierze. Hełmy wyglądały jak kopułki robotów R2. Żołnierze byli ubrani w szare mundury i pancerne kamizelki rozpraszające energię blasterowych strzałów, mieli także sięgające prawie do łokci, wzmocnione siatką rękawice, ochraniacze na kolanach i buty z tworzywa z podszewkami zapewniającymi przyczepność nawet przy zerowej sile ciężenia. Byli uzbrojeni w blasterowe karabiny, broń ręczną, wyrzutnie raketowych strzałek i zapewne coś jeszcze, co ukrywali w wykonanych z lekkiego stopu torbach zawieszonych na szerokich pasach.

Ich dowódca miał czerwony pas, a na plecach urządzenie wyglądające jak coś pośredniego między raketowym plecakiem a wyrzutnią rakiet przeciwpiechotnych. Gdy

zauważył, że Han na niego patrzy, zasalutował żartobliwie, odwrócił się i zniknął w głębi korytarza.

Leia podbiegła do Hana, żeby pomóc mu wstać, ale przedtem odprowadziła spojrzeniem znikającego najemnika. Kiedy w końcu pochyliła się nad mężem, w jej oczach malowało się bezgraniczne zdumienie.

- Fett? - zapytał Han. - Boba Fett?

Księżniczka pokręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

- To niemożliwe - stwierdziła. - Każdy mógł się ukrywać w tej zbroi.

Han pokiwał głową, jakby zgadzał się z jej zdaniem.

- To nie mógł być on - powiedział. - To znaczy... gdyby to jednak był on, prawdopodobnie starałby się mnie zabić, nie ocalić.

Po zakończeniu bitwy o Hoth podczas galaktycznej wojny domowej Boba Fett, najbardziej osławiony łowca nagród w galaktyce, o mało nie przyczynił się do śmierci Hana i Leii. Rebelianci wyrównali z nim rachunki na Tatooine: wrzucili go do Wielkiej Jamy Carkoon, w której mieszkał wygłodzony Sarlacc. Wielu przypuszczało, że Fett tam zginął, ale oboje Solo wiedzieli, że to nieprawda. Kilkakrotnie widzieli łowcę nagród na własne oczy po jego ucieczce z paszczy Sarlacc. Mimo to od wybuchu wojny przeciwko Yuuzhan Vongom Fett zniknął, jakby zapadł się pod ziemię, i Han mógłby się zgodzić z żoną, że salutujący mu najemnik był przypadkową osobą. Mimo to nie dawał mu spokoju znajomy głos mężczyzny, który przedstawił się im jako Hurn.

Han, Leia, C-3PO i pozostali przy życiu żołnierze ze Stacji Calu-ula przeszli nad zwłokami yuuzhańskich wojowników i podążyli w ślad za najemnikami w mandaloriańskich zbrojach, którzy opuścili pole walki.

W korytarzu leżały dziesiątki zabitych albo konających Yuuzhan, ale w przestronnej ładowni, do której prowadził korytarz, nadal toczyła się zacięta bitwa. Jakiś wojownik zmagił się nadaremnie z podobnym do bicia sznurem, który owinął się wokół jego szyi, a potem pociągnął go do miejsca ładowni, którego Han nie mógł dostrzec. Na pokład zwały się dwóch innych yuuzhańskich wojowników, niemal przepołowionych po eksplozjach głowic raketowych strzałek. Świszczące odgłosy blasterowych strzałów na chwilę zagłuszyła rozdzierająca uszy eksplozja pocisku udarowego. Siła wybuchu wepchnęła do ładowni sześciu posiekanych przez odłamki yuuzhańskich wojowników, ale pozostali nie zrezygnowali z ataku. Wysoki, potężnie

zbudowany Yuuzhanin z coufee w każdej dłoni dziko wrzasnął i skoczył, żeby zaatakować kogoś za zakrętem korytarza, ale po chwili ukazał się ponownie, zboczony czarną krwią.

Leia zacisnęła lewą dłoń na przedramieniu męża.

- Czy nie wydaje ci się, że tamten wojownik miał włosy, zanim zniknął za rogiem korytarza? - zapytała.

Solo pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Chyba ich tam skalpują czy co - powiedział.

W jednym miejscu ładowni skupiła się grupka wojowników. Niektórzy gwałtownie gestykulowali, a każdy usiłował przekrzyczeć pozostałych.

- Księżniczko Leio, kapitanie Solo - odezwał się stojący za ich plecami C-3PO. - Yuuzhan Vongowie są bardzo podnieceni. Wysłali do innych rejonów Stacji Caluula gońców z wiadomością, że natknęli się na grupę obrońców, którzy wyjątkowo zasługują na schwytanie.

- Powiedziałabym, że są wielkimi optymistami - mruknęła księżniczka.

Oboje Solo, tocząc walki z pojedynczymi wojownikami, przedarli się w końcu do ładowni. Najemnicy w mandaloriańskich zbrojach zostali zapędzeni do kąta pomieszczenia. Dwaj na pewno nie żyli, a pozostałym groziło, że zostaną pokonani przez grupę zakrwawionych yuuzhańskich wojowników. Żołnierze Stacji Caluula pobierali broń poległych kolegów i pospieszili na pomoc pozostałym przy życiu najemnikom.

Han zaczął się rozglądać w poszukiwaniu ich przywódcy. Usłyszał donośny świst i zobaczył, że najemnik z szerokim czerwonym pasem unosi się ku sklepieniu ładowni. Z rogów stelaża raketowego plecaka tryskały strugi ognia, a z bliźniaczych blasterów w rękach najemnika leciały w dół smugi śmiercionośnych błyskawic. Kiedy mężczyzna skończył strzelać, zakręcił blasterami kilka młynków i z dużą wprawą wsunął je do kabur. W kierunku najemnika poleciały ze wszystkich stron wyprężone amphistaffy. Trafiony w pierś przez żywą włócznię mężczyzna zboczył z kursu, zderzył się ze ścianą i wylądował na płytach pokładu.

Yuuzhan Vongowie rzucili się do walki między sobą o to, który zdobędzie przywilej schwytania tak dzielnego przeciwnika. W końcu z grupy walczących wyłonili się dwaj zwycięzcy, ale kiedy znaleźli się niemal w zasięgu rąk oszołomionego najemnika, Han uniósł i wymierzył blaster.

- Na wypadek gdyby to jednak był on - odezwała się Leia - postaraj się nie trafić jego raketowego plecaka.

- Wrócił! Yu'shaa powrócił!

Tłum nie był gęsty, bo liczył najwyżej dwustu Zhańbionych, ale wieść o powrocie Proroka rozchodziła się po podziemiach Yuuzhan 'tara lotem błyskawicy i niebawem mogły się tu pojawić rzesze liczące nawet dziesiątki tysięcy osób.

Nom Anor stał na wiadukcie, po którym kursował kiedyś magnetyczny środek transportu, i spoglądał z góry na szeroki bulwar. Jeszcze kilka lat wcześniej mieściły się tu restauracje, ale obecnie zgromadzili się jego wyznawcy, na których twarzach malowała się mieszanina uniesienia, oczekiwania i nowej nadziei. Z początku Nom Anor ucieszył się, że wrócił, ale trwało to krótko.

Po powrocie do rezydencji wyciągnął maskującego ooglitha, który nadawał mu wygląd Proroka Yu'shaa, rozkazał podwładnym, żeby mu nie przeszkadzali, i wymknął się tajemnym przejściem z rezydencji w przebraniu zwykłego robotnika. Przeszedł dróżką wijącą się przez święty kwartał, minął Świątynię Modelarza i plac Zmarłych, przeciął dzielnicę Vistu i Bluudon i pragnąc wywieść w pole szpiegów, których widział chyba tylko oczami wyobraźni, zapuścił się wydeptanymi ścieżkami pod porośniętą bujną zielenią powierzchnię Yuuzhan'tara. Wędrował zamieszkanymi kiedyś przez biedotę i wyrzutków społeczeństwa Coruscant korytarzami i tunelami, które po przybyciu Yuuzhan Vongów stały się królestwem Zhańbionych. Obcych przybyszów traktowano tam podejrzliwie, a osoby niebędące Zhańbionymi powinny się mieć na baczności i liczyć z tym, że już nigdy nie wrócą na powierzchnię.

Gdzieniedzie musiał wypowiedzieć hasło, żeby zapuścić się na niższe poziomy, na których Zhańbieni nie tylko mieszkali, ale także sprawowali absolutną władzę. Przypomniał sobie, że kiedyś szpiegował Onimiego, który zachowywał się mniej więcej tak jak on w obecnej chwili. Działając z rozkazu Shimrry, jego błazen bezwiednie pozwolił Nom Anorowi poznać prawdę, że element skarbnicy wiedzy yuuzhańskich mistrzów przemian, tak zwany ósmy rdzeń, w rzeczywistości świeci pustkami. Nom Anor także działał z rozkazu najwyższego lorda i podobnie jak Onimi został ulubieńcem i sługusem Shimrry, który powierzył mu niebezpieczne tajemnice.

Nom Anor został rozpoznany, jeszcze zanim skontaktował się z byłymi sprzymierzeńcami. Od razu otoczył go tłum Zhańbionych w cuchnących łachmanach i połatanych płaszczach. Wszyscy okazywali zdumienie z powodu niezapowiedzianej wizyty Proroka Yu'shaa.

- Plotki o mojej śmierci były przesadzone - starał się im wyjaśnić Nom Anor.

W odpowiedzi usłyszał okrzyki:

- Prorok pokonał samego Shimrę! Zwyciężył śmierć!

- Nie , nie, niewłaściwie mnie zrozumieliście — odparł Nom Anor. - Nigdy nie wpadłem w ręce Shimrę.

- Prorok wymknął się najwyższemu lordowi! Czekał tylko na właściwą chwilę, żeby się znów pośród nas pojawić!

W ten sposób wszystkie starannie ułożone plany Noma Anora spaliły na panewce.

Kiedy prefekt dotarł do miejsca, które było kiedyś szerokim bulwarem, a obecnie rumowiskiem porośniętym przez krzewy i młode drzewa, ciągnął już za nim spory tłum. Nikt się najwyraźniej nie przejmował, że Shimrra niedwuznacznie zabronił organizowania podobnych zgromadzeń, grożąc karą haniebną śmierci.

- Powrócił! Yu'shaa powrócił!

Nom Anor powiódł spojrzeniem po tłumie Zhańbionych. W jego stronę przeciskali się Kunra, Idrish i V'tel. Kunra był kiedyś Zhańbionym wojownikiem, ale później został osobistym ochroniarzem Proroka i jego najgorliwszym uczniem. Spośród wszystkich jedynie on wiedział o wizycie Noma Anora na powierzchni Zonamy Sekot.

- Wiedzieliśmy, że wrócisz - powiedział, kiedy w towarzystwie pozostałych wspiął się na biegnący górą wiadukt. - Obiecałeś, że kiedy odzyskasz należną ci cześć, podniesiesz nas z upodlenia, a teraz dostąpiłeś większego wywyższenia niż kiedykolwiek do tej pory. Możesz nam pomóc, a my ośmielamy się mieć nadzieję. W przebraniu czy nie, jesteś zaiste naszym Prorokiem.

Nom Anor przypomniał sobie słowa, które wypowiedział kiedyś do Kunry i zmarłej Niiriit. Rzeczywiście przysiągł wówczas, że przywróci honor Zhańbionym.

Gdyby tylko wiedzieli, że ich zdradził...

Odwrócił się w stronę Kunry.

- Tak, obiecałem was wywyżżyć - powiedział cicho. - Musimy jednak jeszcze trochę poczekać. Tym razem przybyłem tylko po to, by was ostrzec. Shimrra dowiedział się, co zamierzacie zrobić podczas uroczystej ceremonii. Musicie mi zaufać, kiedy mówię, że wpadnie w straszliwy gniew.

Kunra uniósł ręce i powoli odwrócił się do tłumu.

- Yu'shaa mówi, że powinniśmy dokonać korekty naszego planu! - zawołał. - Musimy zaatakować w większej liczbie, niż zamierzaliśmy!

- Nie, nie! - zawołał przestraszony Nom Anor, kiedy z tłumu wzniosł się chór radosnych okrzyków. - Trzeba opracować plan na nowo, bo w przeciwnym razie Shimrra was zabije!

Kunra ponownie uniósł ręce.

- Shimrra planuje nas zabić! - krzyknął. - Musimy wykonać pierwszy ruch!

Nom Anor odwrócił się do Zhańbionych.

- Nie możecie liczyć ani na mnie, ani na kogokolwiek innego, że pomoże wam podźwignąć się z upodlenia! - ryknął na całe gardło. - Nikt z nas nie potrafi zaradzić waszemu oszpeceniu ani dokonać modyfikacji waszych odrzuconych implantów.

- Yu'shaa wzywa was, abyśmy się pogodzili z tym, że nasze skazy są tylko powierzchownymi niedoskonałościami! Nie powinniśmy zwracać na nie uwagi, żeby być sobą! - zawołał Kunra. - Mówi nam, żebyśmy wierzyli we własne siły, a podczas podejmowania ważnych decyzji brali ster życia w swoje ręce. Nie musimy zanosić modłów do bogów ani konsultować się z kapłanami! Nie musimy się obawiać, gdy intendenci czy wojownicy podejmą akcję przeciwko nam!

- Największym zagrożeniem dla hierarchii popieranej przez dostojników Shimrry jest indywidualizm - ciągnął Kunra. - Shimrra opiera się na dostojnikach, żeby zachować niesprawiedliwy system sprawowania władzy. Zależy mu, żebyśmy nadal pokładali wiarę w rytuałach i nie przekraczali granic własnych domen, aby on i jego dostojnicy mogli pławić się w luksusie! Ale Prorok głosi, że najpierw jesteśmy indywidualnymi osobami, a dopiero później obywatelami!

Nom Anor poczuł lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa. W końcu zrozumiał, do czego zmierza jego najgorliwszy uczeń. Kunra ocalił go kiedyś od śmierci z ręki Shoonmiego, ale obecnie brała w nim górę natura wojownika. Ten Zhańbiony nie zamierzał pozwolić, żeby Nom Anor wycofał się ze złożonej obietnicy.

Wypowiedź, która miała być kazaniem, przerodziła się w próbę charakterów.

Nom Anor odwrócił się jeszcze raz do tłumu, żeby przekonać wszystkich o słuszności swoich racji.

- Popelniacie błąd, jeżeli przypuszczacie, że ja albo moi uczniowie damy wam jakiś znak! - krzyknął.

Kunra wyszczerzył zęby w porozumiewawczym uśmiechu i także odwrócił się do gęstniejącego z każdą chwilą tłumu.

- Prorok mówi nam, żebyśmy się wpatrywali w przyrodę, niebo i gwiazdy... mamy pokładać nadzieję w planecie odkupienia, której pojawienie się przepowiedział!

Zhańbieni znów wrzasnęli entuzjastycznie i unieśli głowy jeszcze wyżej. Patrzyli ponad wiaduktem magnetycznej kolei, jakby wypatrywali znaków na wąziutkim wycinku purpurowego nieba. Kunra podszedł do Noma Anora tak blisko, że Prorok poczuł szpic coufee, kłujący jego ciało na wysokości żeber.

- Doskonała robota, Yu'shaa - odezwał się cicho. - Rozpaliłeś ich do tego stopnia, że się gotują. Nie osiągnęlibyśmy tego bez twojej pomocy. - Urwał na chwilę i porozumiewawczo się uśmiechnął. - I pamiętaj... prefekcie: podobnie jak wszystko jest możliwe dzisiaj na powierzchni Yuuzhan'tara, będzie możliwe także jutro.

ROZDZIAŁ 14

Jaina, jak weszło jej w nawyk od powrotu z przestworzy Selvarisa, co cztery godziny kontaktowała się z oficerem dyżurnym „Ralroosta” i pytała, czy nie odebrał jakiejś wiadomości z pokładu „Sokoła”. Następną godzinę czy dwie spędzała za iluminatorem, skąd mogła obserwować zbliżające się jednostki. Uwalniała myśli w nadziei, że któreś nadlatujące światełko odpowie na jej myślowy dotyk albo że sama zauważy coś, co wyda się jej znajome.

Tego popołudnia miała zrezygnować z obserwacji, ale jej uwagę przyciągnął szybko lecący statek. Pomyślała, że gdyby istniał gwiazdny odpowiednik grawicykla, wyglądałby jak ta jednostka. Niewielki patrolowiec miał ciasną kabinę, przytwierdzoną do absurdalnego silnika jonowego i jednostek napędu nadświetlnego, i kierował się w stronę otworu głównego hangaru „Ralroosta”.

Machinalnie odpowiadając na pozdrowienia mijanych ochotników, Jaina pospieszyła na lądowisko nieskazitelnie czystymi korytarzami i łącznikami szturmowego krążownika. Kiedy zbiegła po schodkach naprawczej suwnicy, pilotujący mały statek mężczyzna, który zdążył zeskoczyć na płytę lądowiska, zdejmował właśnie porysowany i wgnieciony hełm. Miał zmierzwiłone rude włosy, a jego twarz zdobiły jaskrawe piegi. Był ubrany w przepocony i

połatany lotniczy kombinezon, skompletowany przynajmniej z trzech mundurów, a na nogach miał buty nie od pary, wyglądające równie niestosownie jak jednostki napędowe jego patrolowca. Pilot był uzbrojony w blaster jeszcze bardziej archaiczny niż ten, który zazwyczaj nosił jej ojciec.

Młoda Solo stanęła przed oficerem na schodni lądowiska. Na jej widok mężczyzna dziarsko zasalutował.

- Skąd pan przybywa, poruczniku? — zagadnęła Jaina głośno, żeby przybysz mógł ją usłyszeć mimo warkotu rozgrzewanych silników, hałasu urządzeń naprawczych i huku startujących maszyn.

- Z orbitalnej Stacji Caluula, pani pułkownik - odparł pilot. -W Hegemonii Tion - dodał, widząc jej zdezorientowaną minę. - Przyleciałem z meldunkiem od komendanta bazy dla dowódcy sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu.

Jaina podeszła bliżej.

- Jest pan kurierem? - zapytała.

- Tak jest, pani pułkownik - usłyszała w odpowiedzi.

- Więc zaprowadzę pana do kabiny admirała Kre'feya. Propozycja zaintrygowała porucznika, ale młody pilot przez grzeczność podziękował.

- To naprawdę nie będzie konieczne... - zaczął niepewnie.

- Nalegam. - Jaina wskazała właz umożliwiający wydostanie się z lądowiska, a gdy porucznik ruszył w tamtą stronę, dotrzymała mu kroku. - Dawno odleciał pan z Caluuli? - zapytała, kiedy znaleźli się na tyle daleko od płyty lądowiska, żeby nie musiała podnosić głosu.

- Dwa dni temu miejscowego czasu, pani pułkownik - odparł pilot. - Po drodze nie natknąłem się na nieprzyjaciół, ale mój patrolowiec miał pewne kłopoty z jednostką napędową.

- Czy zanim pan stamtąd odleciał, na powierzchni Caluuli wylądowały jakieś statki?

- Statki? - powtórzył zdezorientowany oficer.

- Chodzi mi przede wszystkim o poobijany frachtowiec klasy YT—1300 - wyjaśniła młoda Solo.

-Nie.

- Jest pan pewny?

- Zapamiętałbym jednostkę YT-1300, pani pułkownik.

- Jaka w tej chwili sytuacja panuje na Caluuli?

Oficer rozejrzał się, jakby w obawie, że ktoś mógłby go podsłuchać.

-Nie jestem pewien, czy mi wolno... -zaczął, ale w końcu wzruszył ramionami. - Przecież to i tak bez znaczenia, nie? - zapytał. -Komendant Garray chce poinformować admirała, że jeżeli nie dostaniemy posiłków i zaopatrzenia, najprawdopodobniej planeta wpadnie w łapy Yuuzhan Vongów.

Jaina poczuła, że jej serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała.

Porucznik stanął jak wryty.

- Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, resztę drogi pokonam sam - stwierdził stanowczo. - Im szybciej przekażą ten meldunek, tym szybciej będę mógł ruszać z powrotem.

Młoda Solo pokiwała głową.

- Niech Moc będzie z panem, poruczniku - rzuciła.

- Z panią też - odparł młody pilot.

Jaina obserwowała, jak jej rozmówca odwraca się i pospiesznie odchodzi. Pierwszy raz od dawna poczuła się osamotniona i przerażona. Nadal nie miała wiadomości od Jacena, Luke'a i Mary, a obecnie straciła kontakt z rodzicami. Obawiała się, że utkwili na powierzchni jakiejś planety odległego systemu gwiazdnego. Ilekroć wmawiała sobie, że są cali i zdrowi, w jej umyśle zaczynały wirować koszarne obrazy, a kiedy starała się połączyć z matką za pośrednictwem Mocy, nie uzyskiwała żadnej odpowiedzi.

Zaczynała rozumieć, jak musieli się czuć rodzice, gdy ich dzieci wyruszyły na wyprawę do przestworzy Myrkra. Anakin poniósł tam śmierć, Jacen zaginął, a ona odleciała do przestworzy Konsorcjum Hapes na pokładzie porwanego okrętu Yuuzhan Vongów... Kiedy miała kilkanaście lat, niespecjalnie martwiła się o bezpieczeństwo rodziców, ale czymś znacznie gorszym było, kiedy rodzice musieli się martwić losem dzieci. Przypomniała sobie, co Han powiedział po otrzymaniu wiadomości o śmierci Anakina: „Ojciec nie powinien żyć dłużej niż jego dzieci”.

Po chwili jej myśli zaczęły błądzić wokół wujka Luke'a i cioci Mary. Oboje zostawili maleńkiego syna, Bena, w ukrytym Laboratorium Otchłani pod opieką Kama i Tionny; musieli się zastanawiać i martwić... Czasami nawet Moc nie mogła ochronić przed wymagowanymi obawami. Jaina zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek założy rodzinę. Na pewno zamartwiałaby się dzień po dniu, czyje dziecko nie padło ofiarą choroby albo wypadku, nie

dokonało niewłaściwego wyboru albo po prostu nie znalazło się w nieodpowiednim miejscu w niewłaściwej chwili...

Oszołomiona takimi myślami, oparła się o zimną grodź. Usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu, więc odwróciła się w tamtą stronę. W jej kierunku szedł szybko Jagged Fel.

Wysoki i szczupły pilot, z siwym pasmem w gęstych czarnych włosach, był synem Soontira Fela i Syal Antilles, którzy postanowili pozostać w przestworzach Chissów. Podobnie jak jego towarzysze broni z Eskadry Awangarda, Jag był ubrany w obszyty czerwoną lamówką czarny mundur.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, okazując niezwykle niepokój. - Czy wydarzyło się coś złego?

Objęli się mocno, ale Jaina szybko uwolniła się z uścisku.

- Nie, nic mi nie jest - powiedziała. - Nieprawda - zreflektowała się po chwili. - Czuję się paskudnie. Jestem śmiertelnie przerażona.

Jag zwrócił na nią zielone oczy.

- Czym? - zapytał.

Jaina pokręciła niepewnie głową.

- Tym, co może się zdarzyć - odparła cicho. Jag ujął ją za rękę.

- Nie masz żadnej wiadomości o rodzicach?

- Absolutnie żadnej - przyznała młoda Solo. - Podobnie jak o Jacenie.

Pilot zacisnął wargi.

- Na pewno wszyscy są cali i zdrowi - pocieszył ją.

Jaina ściągnęła brwi.

- Skąd możesz być tego pewien? - zapytała. - A może właśnie to się zwykle mówi, kiedy się nie wie, co powiedzieć?

Jag zamrugał.

- Ja... no cóż, może trochę jedno i drugie - przyznał niechętnie. - Chcesz wiedzieć, czy naprawdę jestem pewien, że Jacen i twoi rodzice są cali i zdrowi? Nie. A czy serce mi mówi, że nie przydarzyło się im żadne nieszczęście? Chyba tak.

Jaina uśmiechnęła się z przymusem.

- Żadne lekarstwo nie jest równie skuteczne jak logika - stwierdziła. - Prawda?

Jag zmarszczył czoło, przecięte blizną biegnącą od prawej brwi niemal do linii włosów.

-Ja... - zaczął.

- Masz rację, to moja wina - ucięła młoda Solo. - Doprowadzam się do szaleństwa.

Dzięki.

Młody pilot patrzył na nią w milczeniu.

- A co podpowiada ci Moc? - zagadnął w końcu.

- Powiedzmy, że Moc nie maluje równie radosnego obrazka jak ten, który właśnie przede mną roztoczyłeś - odparła Jaina.

Na twarzy Jaga pojawił się wyraz sceptycyzmu.

- Może się mylisz - powiedział.

- Chcesz powiedzieć, że Moc może mnie zwodzić? - Jaina pokręciła głową. - Na ogół tak się nie dzieje.

- Skąd wiesz? - zapytał bez ogródek Jag. - Czy Moc tak bardzo różni się od intuicji? Czy między tobą a twoimi rodzicami istnieje silniejsza więź niż między mną a moimi tylko dlatego, że jesteście podatni na oddziaływanie Mocy?

Jaina zamknęła oczy.

- Jagu, proszę cię... - westchnęła. - Nie teraz. To nieodpowiednia pora na kłótnie.

Młody mężczyzna chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i zamilkł.

- Może będziemy mogli porozmawiać szczerze, kiedy ta wojna dobiegnie końca - zaproponował po chwili.

- Jagu, przepraszam cię - zaczęła Jaina. - Chodzi mi tylko o to, że się martwię.

- Mówiłem poważnie - zapewnił pilot. - A poza tym mam się zgłosić do generała Bela Iblisa. Zaopiekuję się tobą później.

Odwrócił się i odszedł. W pierwszym odruchu Jaina chciała mu towarzyszyć, ale po namyśle zrezygnowała.

Co się dzieje? Czyżby Jag także się od niej odsuwał? Czy i on zamierzają zostawić samej sobie? A może to ona się od niego odsuwała?

Może ich związek spotka podobny los, jak wiele innych, równie dziwacznych związków, skojarzonych podczas tej wojny? Może miał się zakończyć z powodu dręczącej ją rozpacz? Tak czy owak, była to dla niej nieoczekiwana perspektywa. Od czasu wydarzeń w przestworzach Konsorcjum Hapes z każdym spotkaniem stawali się sobie coraz bliżsi. Wyglądało na to, że są w sobie zakochani.

Danni Quee powiedziała jej kiedyś, że nie powinno się analizować miłości zbyt dogłębnie... że racjonalne myślenie jest najłatwiejszym sposobem zdławienia uczucia. Jednak Danni - uczona, która poza analizowaniem nie zajmowała się właściwie niczym innym -nie była odpowiednią osobą do prowadzenia dyskusji na ten temat. Jak można było zresztą się nie zdumiewać związkami uczuciowymi, jakie powstawały podczas wojny? Wojenne uczucia, zrodzone zazwyczaj z pragnienia przeżywania pełni życia, bywały na ogół krótkotrwałe niczym eksplozje w głębinach przestworzy. Sami zakochani najczęściej woleli pomijać etapy wstępne i od razu przechodzić do sedna sprawy. Jak można było jednak ufać własnym emocjom, kiedy każdy dzień mógł być ostatnim w życiu... twoim, twojej rodziny, przyjaciół i towarzyszy broni? Jak mogłyby się potoczyć ich losy, gdyby ona i Jag poznali się w czasie pokoju? Jakie przeżywaliby wspólne doświadczenia - oglądanie hologramów, pikniki czy wyprawy turystyczne na powierzchnie atrakcyjnych planet?

Jaina pokręciła głową. Może niesprawiedliwie oceniała partnerów wiążących się uczuciem podczas wojny?

Weźmy na przykład jej rodziców. Poznali się, zakochali w sobie i pobrali podczas jeszcze gorszej wojennej zawieruchy, i wszystko zakończyło się dla nich pomyślnie. Więc jednak można było mieć nadzieję na szczęśliwy koniec. Jaina zadawała sobie jednak pytanie, czy przypadkiem nie stara się ich w jakiś sposób naśladować...

- Witaj, żołnierzu - usłyszała w pewnej chwili.

Kyp Durron podszedł cicho jak duch, objął ją i uściskał. Kyp, dziarski i energiczny, miał ciemne włosy i wyraziste rysy twarzy, ale od pewnego czasu patrzył na wszystkich podejrzliwie, co chyba weszło mu już w nawyk.

Reagując odruchowo, Jaina także przytuliła się do niego. Ten mężczyzna, którego kiedyś spoliczkowała, później stał się dla niej kimś w rodzaju mentora. Szczególnie była mu wdzięczna, kiedy rok wcześniej pomógł jej przetrwać emocjonalną burzę po nieoczekiwanym powrocie Jacena z podbitej przez Yuuzhan Vongów Coruscant.

Ruszyli w drogę, ale Kyp nagle stanął i odwrócił się, żeby spojrzeć na nią.

- Jeżeli to cię pocieszy, moja droga, ja także się martwię - powiedział.

Młoda Solo parsknęła urywanym śmiechem.

- Nie muszę nic mówić, prawda? - zapytała.

Kyp pokręcił głową i odgarnął włosy sprzed oczu.

- Wszystko mi mówi, że Jacenowi nie stało się nic złego - oznajmił. - Twoi rodzice wpadli jednak w tarapaty. Ostatnio wychodzili obronną ręką z mnóstwa ciężkich opresji, ale w tej chwili znaleźli się naprawdę w poważnych opałach.

Jaina była wdzięczna Kypowi, że wypowiedział na głos jej obawy. Kiedyś - krótko - wydawało się jej, że go kocha, ale to minęło. Jednak od tamtej pory łączyła ich bliska i kojąca przyjaźń.

- Właśnie skończyłam rozmowę z kurierem, który przyleciał z orbitalnej stacji w przestworzach Hegemonii Ti on - powiedziała pospiesznie. - Nie mam pojęcia, dlaczego, ale wydaje mi się, że moi rodzice są właśnie tam.

Durron zastanowił się nad tym, co usłyszał.

- Skoro twierdzisz, że tam są, to chyba się pomyliłem, kiedy wyobrażałem sobie, że nadal toczą walkę przeciwko Yuuzhan Vongom - zauważył.

Jaina pokręciła głową.

- Wcale się nie pomyliłeś, Kypie - stwierdziła. - Personel krążącej wokół Caluuli stacji przeżywa w tej chwili ciężkie obłędzenie. Ze słów kuriera wynika, że chyba niedługo będą musieli się poddać. Gdybym wiedziała to na pewno, od razu bym tam poleciała.

Kyp znów ujął ją za rękę.

- Daj mi znać, gdybyś szukała skrzydłowego.

Wystrzelona przez Hana blasterowa błyskawica trafiła yuuzhańskie-go wojownika w nieosłoniętą pachę, obróciła go i przerzuciła nad barkami dwóch innych Yuuzhan, którzy zapewnili postrzelonemu niezamierzoną podporę. Kiedy pozbawiony twarzy najemnik z raketowym plecakiem doszedł do przekonania, że przestało mu zagrażać bezpośrednio niebezpieczeństwo, uniósł lewą rękę i z osłaniającej lewe przedramię rękawicy wystrzelił wytrzymałą linkę zakończoną kotwiczką. Haczyki zaczepiły o wspornik i najemnik poszybował ku sklepieniu ładowni. Przeleciał ponad wyciągniętymi rękami tłumu yuuzhańskich wojowników i pomiędzy kilkoma tępo zakończonymi amphistaffami. Wspiął się na wspornik, kucnął, spojrzął z góry na niedawnych prześladowców i uzbroił wyrzutnię raket w plecaku.

- On... za chwilę wystrzeli!

Idący krok przed Threepiem Han i Leia odwrócili się, chwycili androida za złociste ręce

i przewrócili na płyty pokładu. Rakieta wybuchła pośrodku ładowni i zmiotła wszystkich w promieniu dziesięciu metrów od miejsca eksplozji. Na obrzeżach strefy detonacji legło pokotem ponad pięćdziesięciu oszołomionych albo konających yuuzhańskich wojowników.

Zewsząd jednak przybywali następni.

Han usłyszał, jak biegną korytarzem, wznosząc mrozące krew w żyłach okrzyki. Zerwał się na nogi, po czym pomógł wstać żonie i androidowi. W jego stronę poleciał rój ogłuszających chrząszczy, ale ich brzęczeniu towarzyszył charakterystyczny pomruk i syk zapalanej klingi świetlnego miecza żony.

Leia odbiła z powrotem wszystkie chrząszcze, które zdążyła, ale kilkunastu zaskoczonych obrońców Stacji Caluula zostało trafionych w biegu. Rój odbitych owadów poleciał z powrotem w głąb korytarza, w kierunku nacierających Yuuzhan Vongów, ale wiele zostało ponownie odbitych przez wojowników biegnących na czele grupy. Han zwrócił uwagę na pięciu pierwszych. Byli niżsi od pozostałych. Nie nosili zwyczajowych pancerzy stawonogów, ale byli wysmarowani od stóp do głów czarną krwią. Najdziwniejszy jednak wydał mu się sposób, w jaki trzymali amphistaffy, którymi odbijali z powrotem nie tylko ogłuszające chrząszcze, ale nawet błyskawice blasterowych strzałów.

- Posługują się nimi jak klingami świetlnych mieczy! - zawołał do żony.

- Wszystko na to wskazuje! - odrzyknęła księżniczka, z trudem chwytając powietrze.

Solo pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Kolejne nowe modele? - zapytał.

- Chyba nie powinniśmy czekać, aż ich o to zapytamy! - odparła żona.

Wszystko wskazywało na to, że zakuci w mandaloriańskie zbroje najemnicy również doszli do takiego samego wniosku. Dwaj wzięli na cel ścianę ładowni w miejscu zetknięcia z pokładem, a wystrzelone przez nich rakiety wyrwały ogromną dziurę, przez którą można było się dostać do przyległego pomieszczenia. Leia, C-3PO i Han zaczekali, aż ewakuują się obrońcy Stacji Caluula, po czym przeszli za nimi. Przebiegli przez sąsiednią ładownię i wpadli do szerokiego korytarza. Biegąc nim, opuszczali odporne na strzały z blasterów płyty wszędzie, gdzie je znaleźli.

Han stanął na skrzyżowaniu korytarzy. Miał dość rozsądku, żeby zapytać Threepia o dalszą drogę.

- Tędy! - wykrzyknął protokolarny android, wskazując boczny korytarz.

Solo spojrział jeszcze raz na zakutych w pancerze najemników, po czym odwrócił się i podążył za Leią i Threepiem.

Boczny korytarz prowadził do łącznika między trzecim a czwartym modulem orbitalnej Stacji Caluula. W ciemności za transpystalową ścianą rury pojawiały się raz po raz błyski laserowych strzałów i kul plazmy. Wirując jak w obłądnym tańcu, piloci koralowych skoczków i gwiazdnych myśliwców zawzięcie ścigali przeciwników, a z wyglądających jak kratery wulkanów wyrzutni nieprzyjacielskich okrętów liniowych wylatywały nieustannie płonące kule.

Zanim oboje Solo i C-3PO dotarli do czwartego modułu, ogromna siła zatrzęsa całą stacją.

- Ychna - domyślił się Han.

Żona przyznała mu rację.

- Sam wiesz, jak trudno zaspokoić apetyt tych potworów - przypomniała.

Niebawem natknęli się na adiutanta Garraya. Otyły oficer wycofywał się razem z grupą żołnierzy.

-Panie kapitanie, księżniczko... „Sokół” jest naprawiony i gotów do odlotu! - wykrzyknął na ich widok.

Han przyjrzał mu się, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

- Chyba pan żartuje - powiedział, zamaszystym gestem pokazując panoramę przestworzy. - Tam jest gorzej niż tu!

- Zgadzam się z panem - odparł oficer. - Tak czy owak, pański frachtowiec jest połatany i gotów do drogi. Naturalnie nie jest całkiem sprawny, ale za pomocą kilku mikroskoków powinien pan jakoś doczłapać na Kalamara.

Solo spojrział pytająco na żonę, a Leia domyśliła się, o co mu chodzi.

- Każdy oficer, którego ocaliliśmy z tamtego konwoju, mógłby namówić dziesięć tysięcy żołnierzy do walki po naszej stronie - stwierdziła księżniczka.

Han zastanowił się chwilę i w końcu kiwnął głową.

- Do takiego samego wniosku doszło wiele osób o wiele mądrzejszych niż ja, więc chyba muszę się zgodzić z ich opinią - powiedział.

Leia obdarzyła go przelotnym uśmiechem.

- Oto słowa prawdziwego męża stanu - stwierdziła.

Adiutant Garraya wskazał im drogę do miejsca, w którym spoczywał frachtowiec.

Wszystkie zdolne do lotu w przestworzach jednostki już odleciały, toteż hangar stacji praktycznie świecił pustkami. Cracken, Page i pozostali uwolnieni z konwoju oficerowie zbili się w gromadę u stóp rampy ładowniczej.

Sekundę później klaksony stacji zawyły seriami po trzy dźwięki. Otyły oficer zaklął i spojrzał na nich z rezygnacją.

- Komendant właśnie wydał rozkaz ewakuacji stacji - powiedział. Han pokiwał współczująco głową.

- Trzeba wiedzieć, kiedy się wycofać - zauważył.

- Chyba nie będę już państwu potrzebny. Solo pożegnał go wojskowym salutem.

- Jeszcze wygramy tę wojnę, szefie - obiecał. Odwrócił się i przyjrzał kadłubowi „Sokoła”.

Leia zauważyła zniechęcenie na twarzy męża.

- Przecież powiedział, że doczłapiemy nim, nie dolecimy - przypomniała.

- Powinien był raczej powiedzieć, że dopełniemy - mruknął Han.

Spod ster burtowej zuchwy wyszedł mechanik odpowiedzialny za kilka dodatków na kadłubie.

- Zaoszczędziliśmy tyle blasterowego gazu dla poczwórnych laserów, ile się dało, ale na pańskim miejscu używałbym ich oszczędnie - doradził. Odwrócił się i spojrzał na „Sokoła” z uśmiechem. - Wspaniały statek - powiedział. - Szczęśliwej podróży.

Han z wdzięcznością potrząsnął kilka razy dłonią mechanika.

Chwilę później lądowiskiem wstrząsnęła siła potężnej eksplozji. Od sklepienia hangaru oderwały się płyty lakieru i niektóre niedokładnie przytwierdzone przedmioty.

- Wszyscy na pokład, zanim wylecimy w przestworza bez statku - polecił Han. Pash Cracken i kilku innych oficerów nie zareagowało, więc podszedł do nich. - Czekacie na specjalne zaproszenie? - burknął gniewnie.

Cracken prawie się uśmiechnął.

- Z całym szacunkiem, Hanie, ale postanowiliśmy pozostać tu i zrobić, co się da - powiedział.

Solo zacisnął wargi w wąską linię.

- Pash, tu chodzi o coś więcej niż tylko o Caluulę - zaczął. - Kto jak kto, ale chyba ty zdajesz sobie z tego sprawę. Dowództwo Sojuszu liczy na was, że po powrocie do macierzystych

systemów zorganizujecie poparcie dla naszej sprawy. Zresztą, wasza dalsza obecność tutaj nie zrobi właściwie żadnej różnicy. To wycie, które słyszycie, to wezwanie do ewakuacji stacji.

- Han ma rację, majorze - dodała Leia.

Mimo to Cracken się nie poruszył.

- Zaryzykujemy, księżniczko - zdecydował.

Leia wypuściła powietrze z płuc.

- Wiesz, że twój ojciec nigdy nam tego nie wybaczy, Pash? - zapytała.

- Na pewno zrozumie.

Han pokiwał głową.

- Więc niech Moc będzie z wami wszystkimi - powiedział. - W innych okolicznościach może dokonałbym takiego samego wyboru.

Nie oglądając się więcej, pospieszył za żoną i Threepiem w górę rampy. Kiedy dotarł na szczyt, gestem wskazał Page'owi i pozostałym oficerom drogę do dziobowej ładowni. Poprosił, żeby żona rozpoczęła procedury przedstartowe, a Cakhmaima i Meewalhę wysłał do wieżyczek działek. Pobiegł na rufę, żeby sprawdzić stan kapsuł ratunkowych, i równie szybko wrócił do sterowni. Kiedy przekraczał próg, żona siedziała już przypięta na fotelu drugiego pilota, a repulsory cicho mruczały. Skoczył na swój fotel, a Leia zwiększyła dopływ energii do repulsorów. „Sokół” oderwał się od płyty lądowiska, obrócił o sto osiemdziesiąt stopni i przeleciał przez kurtynę magnetycznego pola zapobiegającego ucieczce atmosfery.

W przestworzach roilo się od pocisków magmy i błyskawic turbolaserowych strzałów. Prosto na kursie unosił się nieruchomo napęczniały ychna. Otaczała go chmura szczątków koralowych skoczków, które zderzyły się z barierami ochronnych pól Stacji Caluula. Tu i ówdzie dryfowały powoli X-wingi i inne gwiazdne myśliwce. W trzech modułach orbitalnej stacji widniały ogromne dziury, przez które uciekały w próżnię resztki atmosfery. W dole, na brązowo-zielonej powierzchni Caluuli, raz po raz rozkwitały błyski eksplozji, a ranne koralowe skoczki przecinały atmosferę planety niczym ogniste meteory.

Han zauważył, że od nieuszkodzonego modułu oderwało się kilkanaście kapsuł ratunkowych.

Orbitalna stacja była skazana na zagładę.

- Lecą ku nam trzy dziwne koralowe skoczki - zameldowała w pewnej chwili Leia, zerkając na męża z ukosa. - To chyba nasi dobrzy znajomi.

Han rzucił okiem na ekran monitora taktycznego komputera.

- To te same, co leciały za nami z przestworzy Selvarisa! - wykrzyknął. - Co to ma być, osobista wendeta?

- Może nie podoba się im lakier na kadłubie „Sokoła”? - podsunęła księżniczka.

- Jeżeli o to chodzi, muszę przyznać im rację. - Han zacisnął dłonie na rękojeści dźwigni drążka. - Trzymaj się. - Zbliżył usta do mikrofonu interkomu. - Uważajcie na wskaźniki paliwa - rozkazał. - Ostatnie, czego potrzebujemy, to utknąć nieruchomo w przestworzach. - Obejrzał się przez lewe ramię. - Pojawiają się współrzędne pierwszego mikroskoku - zameldował.

Leia popatrzyła na ekran monitora nawigacyjnego komputera.

- Musimy zawrócić i skierować się do punktu trzy-zero-trzy -oznajmiła. - To znaczy z powrotem w stronę stacji.

- Właśnie tego się obawiałem - stwierdził Solo.

Zanim zdążył zawrócić, kadłubem frachtowca wstrząsnęła siła pobliskiej eksplozji.

- Od kadłuba oderwał się jedyny nowy element, który zainstalowali nam technicy - mruknął Han. - Na szczęście możemy sobie dać radę i bez niego.

- Liczę na to, najdroższy - odparła księżniczka.

W iluminatorze frachtowca pojawił się jeden z dwuosobowych skoczków o zadartym ku górze ogonie. Jego piloci kierowali się prosto ku „Sokołowi”. Han ponownie odwrócił się w stronę mikrofonu interkomu.

- Ognia! - rozkazał.

Przed nadlatującym skoczkiem pojawiły się grawitacyjne anomalie, ale przeciążone przez energię strzałów zanikły i nietypowy koralowy skoczek przemienił się w ognistą kulę. Leia odwrócił się do męża.

- Cakhmaim naprawdę radzi sobie coraz lepiej - stwierdziła. Han pokręcił głową.

- To nie on - powiedział.

Rozsiadł się wygodniej na fotelu pilota i uniósł głowę, żeby spojrzeć na górne panele iluminatora. Chwilę później nad kadłubem „Sokoła” śmignął klasyczny patrolowiec policyjny klasy Firespray. Widziany z dołu wyglądał jak jajo z wystającymi na boki niewielkimi stabilizatorami. Za patrolowcem leciały cztery Gładiatory, nazwane tak, bo przypominały miecze white po gardę w okrągłe pola ochronne.

- Więc jednak to Fett! - wykrzyknął Han. - Toruje nam drogę! -Parsknął lekceważąco. -

To do niego podobne... Chce, żebyśmy mieli wobec niego dług wdzięczności.

- Odbieramy wiadomość - odezwała się Leia. - To z pokładu tego patrolowca.

Z odbiornika pokładowego komunikatora rozległ się trochę zniekształcony głos Fetta.

- Chciałem ci tylko przypomnieć, Solo, że zawsze toczyłem walkę z Jedi, nie z tobą. Ty byłeś dla mnie najwyżej ładunkiem.

- Może cię to nie obejdzie, Fett - prychnął Han - ale zawsze byłeś dla mnie najwyżej wrzodem na tyłku.

Łowca nagród się roześmiał.

- Jeżeli okoliczności pozwolą, może się jeszcze spotkamy, kapitanie - powiedział.

- Możesz na to liczyć - odparł Solo.

Stawiając miny po stronach obu burt, patrolowiec typu Firespray jeszcze jakiś czas przecierał szlak dla niemal pozbawionego systemów uzbrojenia „Sokoła”. W końcu Fett pokiwał krótkimi stabilizatorami na znak pożegnania i zniknął.

- Gotowi do skoku - zameldował Han.

Leia rozsiadła się wygodniej na fotelu drugiego pilota i powoli pokręciła głową, jakby wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Wszystko widziałam i słyszałam - powiedziała, odwróciła się do męża i uśmiechnęła. - Jestem prawie gotowa uwierzyć, że naprawdę wygramy tę wojnę.

Od chwili wybuchu wojny liczba rycerzy Jedi zmalała do połowy. Luke Skywalker z sześciorgiem towarzyszy tkwili nadal bez wieści gdzieś w Nieznanych Rejonach galaktyki, a niektórzy - między innymi dwadzieścioro kilkoro dzieci Jedi - nadal przebywali w Laboratorium Otchłani. Jeszcze inni brali udział w różnych operacjach wojskowych Galaktycznego Sojuszu, więc w spotkaniu, jakie zorganizował Kenth Hamner na Kałamarze w kwaterze Tresiny Lobi, mógł wziąć udział najwyżej tuzin Jedi.

Okrągłe przestronne pomieszczenie na szczycie Wieży Quarrenów w Coral City było urządzone dość skromnie, za to za oknami rozciągała się trzystusześćdziesięciostopniowa panorama spokojnego oceanu usianego roziskrzonymi rafami koralowymi. Nieobecność Luke'a i Saby bardzo się przedłużała, a Kyp wyruszał często na wyprawy w towarzystwie pilotów Tuzina, więc coraz większą rolę podczas posiedzeń powołanej do życia przez Cała Omasa nowej Rady Jedi odgrywała Tresina Lobi. Była Chevanką, miała krótkie czarne włosy i wąską twarz o kanciastych rysach.

Tresina, Markre Medjev i Cilghal, kalamariańska uzdrowicielka Jedi, spędziły cały ranek, przygotowując jedzenie, więc kiedy do zalanego promieniami słońca pomieszczenia weszli Kenth i pozostali, okrągły stół był zastawiony smakowitymi rezultatami ich pracy.

Wszyscy zajęli miejsca przy stole z wyjątkiem Kentha, zbyt niespokojnego, żeby usiedzieć długo w jednym miejscu. Po lewej ręce Tresiny usiedli Cilghal, Jaina, Kyp, porośnięty rudobrazową sierścią rostry Wookie Lowbacca, Twi'lekanka Alema Rar, siwiejący szkoleniowiec wojskowy Kyle Katarn, Chandrilka Octa Ramis, szczupły i poznaczony okropnymi bliznami Waxam Kel oraz młody i na swój sposób przystojny śniadoskóry Zekk.

- Niektórzy spośród was zapewne wiedzą, że nasz agent Balios Arnjak nie wrócił z pilotami Eskadry Widm, którzy polecili na wyprawę zwiadowczą na powierzchnię Coruscant - zaczął Hamner, nie przestając krążyć wokół stołu. - Na powierzchni planety miała zostać Bhindi Drayson, ale zamiast niej został Arnjak. Od tamtej pory przekazuje Wywiadowi Sojuszy cenne informacje. Większość zdobywa dzięki robogrzybom, które on i jego towarzysze broni uwolnili podczas tamtej wyprawy.

Kenth przystanął między Cilghal a Jainą, pochylił się i położył dłonie na blacie stołu.

- Z ostatniego meldunku Arnjaka wynika, że na powierzchni Coruscant niedawno widziano Yu'shaę, tak zwanego Proroka heretyków - podjął po chwili. - Było to miejscowy tydzień temu, bo tyle czasu zajęło kurierom dotarcie z tą wiadomością z Jądra galaktyki na Kalamara.

- Czyjego tożsamość została potwierdzona? - zapytał Kyle, siedzący po przeciwnej stronie stołu.

Kenth kiwnął głową.

- To oznacza, że albo nie poleciał na powierzchnię Zonamy Sekot w towarzystwie Corrana i Tahiri... - zaczął Kyle.

- Albo że wrócił stamtąd bez nich - dokończył Kyp. - Czy istnieje jakiś sposób ustalenia, że wrócił na Coruscant na pokładzie tego samego okrętu, którym wszyscy odlecieli?

- Nie - przyznał Hamner.

- [Podobnie jak nie ma sposobu ustalenia, czy wszyscy wylądowali na powierzchni Zonamy Sekot] - odezwał się Lowbacca, korzystając z usług robota tłumacza.

Kenth przeniósł spojrzenie na Wookiego.

- Właśnie - przyznał. - W odróżnieniu od większości innych stacji przekaźnikowych

HoloNetu, Esfandia nadal funkcjonuje... chociaż z przerwami. Zakładając, że nic złego nie przytrafiło się załodze „Cienia Jade”, Luke i Mara powinni byli już dawno się z nami skontaktować.

- Czekaliśmy wystarczająco długo - przypomniała Octa Ramis. - Chyba pora wysłać po nich jakiś statek.

Wszyscy umilkli.

- Bardzo wątpię, żebyśmy znaleźli Zonamę Sekot w punkcie o współrzędnych, do którego kierujemy nasze wezwanie - odezwała się w końcu Cilghal. - Podejrzewam, że żyjąca planeta przeskoczyła w inne miejsce galaktyki.

- Na czym opierasz swoje przypuszczenie? - zainteresowała się Alema.

Kalamarianka rozłożyła dłonie o połączonych błoną palcach.

- Na tym, co podszeptuje mi Moc - oznajmiła. Kenth powiódł spojrzeniem po uczestnikach zebrania.

- Czy ktoś jeszcze ma takie wrażenie? - zapytał.

- Owszem, ja - stwierdziła Jaina. - Wydaje mi się, że Jacen znajduje się dalej niż wówczas, kiedy odebraliśmy ostatnią wiadomość od Luke'a i Mary. - Pokręciła głową ze smutkiem. - Nie wyczuwam go równie wyraźnie jak kiedyś.

Kenth nabrał powietrza i powoli je wypuścił.

- To mi wystarczy - powiedział i zacisnął wargi. - Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać z tym Prorokiem.

- Zgadzam się, ale wylądowanie na powierzchni Coruscant nie będzie wcale łatwe - parsknął Kyp. - Nawet biorąc pod uwagę, że Yuuzhan Vongowie zezwalają, aby lądowały tam statki Brygady Pokoju i inne transportowce.

Alema przeniosła spojrzenie z Kypa na Kentha.

- Czy moglibyśmy się zwrócić do władz Sojuszu, żeby pomogły nam przemycić kilka osób na powierzchnię Coruscant? - zapytała.

Hamner pokręcił głową.

- Musielibyśmy im wyjaśniać, o co nam chodzi... albo tłumaczyć, dlaczego nie poinformowaliśmy ich o zgodzie na wyprawę Corrana i Tahiri na powierzchnię Zonamy Sekot - powiedział. - Jeżeli ci z Wywiadu się dowiedzą, że przepuściliśmy okazję schwytania mistrzyni przemian, kapłana i Proroka...

- Moglibyśmy się z tym zwrócić do Antillesa - zaproponował Markre Medjev.

Kenth pokiwał głową.

- Owszem, i na pewno Wedge zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby nam pomóc dostać się na Coruscant - stwierdził. - Nie chcę jednak go stawiać w głupiej sytuacji. Musiałby okłamać Sowa i Kre'feya.

- Racja - przyznała Cilghal. Tresina kiwnęła głową.

- Ja też tak uważam - oznajmiła.

- Czyżby znów musieli organizować wyprawę podobną do tej, która wyruszyła do przestworzy Myrkra? - mruknął Kyp.

Zekk spojrział na niego.

- Gdyby Anakin nie wyruszył na tamtą wyprawę, w tej chwili bylibyśmy wszyscy karmą dla voxynów - przypomniał ponuro.

- Zekk ma rację - poparła go Octa Ramis. - Jeżeli się wam wydaje, że to powtórka Myrkra, to dlatego że nie mamy innego wyboru.

Kenth wyprostował się ze zdecydowaną miną.

- Damy mistrzowi Skywalkerowi jeszcze tydzień - oznajmił stanowczo. - Jeżeli w ciągu tego czasu nie dostaniemy od niego wiadomości, wyznaczę osoby, które polecą tę wyprawę.

R O Z D Z I A Ł 15

Powietrzny statek, którego białe baloniaste wsięgniki dygotały, szarpane przez podmuchy wichury, leciał szybko nad spustoszoną powierzchnią Zonamy Sekot. Luke, Mara, Jacen i yuuzhański kapłan Harrar tłoczyli się z tyłu niewielkiej kabiny gondoli. Saba Sebatyne i Ferroanin Kroj'b zajmowali się sterowaniem. Mężczyzna był towarzyszem podobnego do wielkiej płaszczki sterowca o nazwie „Ucieleśnienie Elegancji” i przyleciał nim do Średniego Zasięgu dopiero poprzedniego dnia, ale zgodził się wziąć udział w wyprawie grupy Jedi do południowych rejonów żyjącej planety. Obok dwojga pilotów stała Jabitha, ubrana w podszyty futrem płaszcz.

Na wysokości trzech tysięcy metrów powietrze było lodowate; nie mogli też usłyszeć nawet własnych głosów z powodu zawodzenia wichury. Mimo to i tak nikt nie miał ochoty do

rozmowy. Pograżony w zadumie Jacen zachowywał milczenie, a Mara sprawiała wrażenie niespokojnej i zatroskanej. Dobrze chociaż, że Saba miała do dyspozycji imponujący zestaw organicznych dźwigni sterujących.

Luke nasunął kaptur na głowę i ukrył dłonie głęboko w obszernych rękawach płaszcza Jedi.

Moc przemawiała cicho na powierzchni Zonamy Sekot.

Deszcze przestały w końcu zalewać tę część planety, ale na niebie pozostała gruba warstwa chmur. Słońce - znane czy nieznanne - wyglądało za szarą zasłoną obłoków jak rozmazana jasna plama. Lodowaty wichur, który nie przestawał smagać potężnych bora, szybko odzierał je z ostatnich kulistych liści, pokrytych niebieskimi i żółtawymi plamami, które wyglądały jak sińce. Podczas długich nocy para wodna zamarzała i tworzyła rzadko widywaną w Średnim Zasięgu - jeżeli nie liczyć najwyższych położonych miejsc - warstwę szronu, który zalegał dna kanionów i znikał dopiero po wschodzie słońca. Wzdłuż brzegów wezbranej rzeki, gdzie nurt był mniej rwący, powierzchnia wody pokrywała się cienką, przezroczystą skorupą lodu. Dzikie zwierzęta, jakie dawało się wypatrzeć z tak wysoka, szukały schronienia w jaskiniach albo norach. Niektóre budowały trwałe legowiska, jakby przygotowywały się do spędzenia w nich długiej zimy. Nasiona bora także zapuszczały się w głąb tamiasi, prawdopodobnie żeby szukać pokarmu wśród najstarszych drzew i czekać, aż błyskawice rozłupią je i ukształtują.

Ferroanie rzadko wychodzili przed południem i zostawali na dworze tylko tak długo, żeby zdążyć zebrać opał czy materiały konieczne do remontu górskich jaskiń. Większość tubylców starannie unikała Jedi; podczas przypadkowych spotkań zamieniali z nimi najwyżej kilka słów. Nikt z Ferroan nie upierał się jednak, żeby przekazać Harrara w ich ręce. Luke doszedł do wniosku, że młody Maydh uśmierzył ich obawy i już nie twierdzą, iż yuuzhański kapłan stanowi dla nich zagrożenie.

Spoglądając przez tylną szybę kabiny, obserwował odniesione przez Zonamę obrażenia. Po trzęsieniach gruntu utworzyły się w sawannach głębokie bruzdy, osypiska ziemi zmieniły bieg wielu rzek, a pożary spustoszały bezkresne połacie dziewiczego tamiasi. Mistrz Jedi zastanawiał się, czy nie przelecieć się „Cieniem Jade”, żeby sporządzić listę wszystkich ran, a może także udać się na orbitę i rzucić okiem na sąsiednie gwiazdy, ale nikt nie był pewien, czy planeta znowu nie zniknie w nadprzestrzeni, podobnie jak wskoczyła tam po zakończeniu pierwszego skoku.

Luke ukradkiem spojrział na Jabithę, po czym przeniósł spojrzenie na Harrara. Nie przypominał sobie, czy kiedykolwiek znalazł się tak blisko Yuuzhanina i nie walczył z nim na śmierć i życie... z wyjątkiem sytuacji, kiedy przebywał blisko Noma Anora. Nawet wtedy jednak toczył z nim swojego rodzaju pojedynek.

Dziesiąty raz od początku lotu powietrznym statkiem starał się zobaczyć kapłana w Mocy, ale widział tylko pustkę. Mimo zapewnień Vergere, że tak nie jest, Harrar - podobnie jak wszyscy inni Yuuzhan Vongowie - chyba nie istniał w Mocy. Kapłan siedział niespełna trzy metry od niego, ale Luke go nie wyczuwał. Yuuzhanin był dokładnie tym, na kogo wyglądał: wysokim, żyłastym, silnie umięśnionym i pozbawionym kilku palców osobnikiem, wytatuowanym, upstrzonym bliznami i modyfikacjami ciała.

Mistrz Jedi mógłby posłużyć się Mocą, żeby unieść go w powietrze i zatoczyć nim krąg w niewielkiej kabinie, ale nie widział go w Mocy w taki sam sposób, jak postrzegał Marę, Jacena, Sabę i Jabithę: jako świetliste byty, owalne kształty pełne blasku. Vergere, która spędziła z własnej woli pośród Yuuzhan Vongów pięćdziesiąt lat, twierdziła, że pozorna nieobecność Yuuzhan w Mocy nie wynika z jej niedoskonałości, ale ze sposobu, w jaki Luke i inni Jedi rozumieją samą Moc. Sugerowała, że z jakiegoś powodu nie potrafią pojąć, iż Moc jest czymś więcej niż tylko tym, za co ją uważają.

Luke byłby skłonny przyznać jej rację. Po krótkim szkoleniu i po śmierci ObiWana i Yody musiał się kierować własnym zdrowym rozsądkiem i samemu poszukiwać drogi, która pozwoliłaby mu zostać mistrzem Jedi. Pierwszy by się zgodził, że jego rozumienie Mocy jest ograniczone i niekompletne... że prawdopodobnie został mistrzem Żyjącej Mocy, a nie siły, którą zmarła Vergere określała mianem Jednoczącej Mocy. Jednak nie powinno mu to uniemożliwiać postrzegania w niej Harrara.

Albo Vergere nie powiedziała mu wszystkiego, kiedy odpowiadała na jego pytania - czego nie mógł wykluczyć - albo jej rozumienie problemu było także niekompletne. Luke ani chwilę nie wątpił, że Foshanka w jakiś sposób sama osiągnęła mistrzowski poziom, chociaż musiała ukrywać przed ciemieżcami umiejętności Jedi; uznał jednak, że problem niewidzialności Yuuzhan Vongów w Mocy sięga głębiej, niż Vergere sobie uświadamiała. Może przypuszczała - podobnie jak czasami Yoda - że jej odpowiedzialność kończy się wraz ze skierowaniem Luke'a na odpowiednią ścieżkę? Może właśnie tak postępowali rycerze Jedi Starej Republiki? Może każdy się kształcił i nabierał wprawy, ale osiągnięcie mistrzowskich umiejętności miało być

wynikiem osobistych poszukiwań?

Jeżeli ktokolwiek spośród młodych Jedi intuicyjnie to rozumiał, tą osobą był Jacen. Na długo zanim Vergere zajęła się jego dalszym szkoleniem - niektórzy twierdzili wręcz, że indoktrynacją - młody Solo dążył do osiągnięcia osobistego zrozumienia natury Mocy. Pod tym względem trochę przypominał swoją matkę, także rycerza Jedi - Leię Organę Solo, która z osobistych powodów nie chciała podążać szlakami przetartymi przez innych Jedi.

To właśnie Jacen nalegał, żeby Harrar towarzyszył im w wyprawie, którą zaproponowała poprzedniego dnia Jabitha, kiedy odwiedziła Luke'a i Marę w skalnej jaskini.

- Sekot się starzeje - oznajmiła. - Wyczuwam ją, a jednak w dziwny sposób nie jestem z nią zespolona. Sekot pozostaje na wygnaniu, żeby się zastanowić, co się stało, ale dopóki trwa w takim stanie, dopóty zaniedbuje potrzeby Zonamy. Nieświadomie zachowuje się, jakby została uprowadzona przez siły ciemności i w pewnym sensie uwięziona.

- Za to, co przydarzyło się Sekot, odpowiadają Nom Anor, Nen Yim i ja - odezwał się Harrar. - Nie powinniśmy byli tu przylatywać. Jeżeli bogowie już wcześniej nie odwrócili się od Yuuzhan Vongów, zrobią to teraz za to, że sprofanowaliśmy żyjącą planetę.

Jabitha wysłuchała wyznania kapłana bez słowa komentarza.

- Wiem, skąd możemy rozpocząć poszukiwania Sekot - stwierdziła. - Od miejsca, w którym Moc jest bardzo silna...

Harrar chyba wyczuł, że Luke na niego patrzy, bo odwrócił się w stronę mistrza Jedi. Miał wilgotne oczy i ślady łez na wytatuowanych policzkach, ale mogło to być spowodowane przez podmuchy lodowatego wichru wpadające ze świstem przez szczeliny w ścianach kabiny.

- Jestem zdruzgotany - ciągnął ze smutkiem. - Mimo ogromu zniszczeń wiem, że to o tej planecie marzyłem od dawna... nie tylko ja, ale także moi ziomkowie. To ona zadecydowała kiedyś o naszej przeszłości i miała przesądzić o naszej przyszłości, o co usilnie się modliliśmy. To planeta symbiozy, nie rywalizacji ani przemocy. Wielokrotnie staraliśmy się odtworzyć warunki panujące na jej powierzchni, ale za każdym razem nadaremnie. Nic dziwnego, że już w chwili lądowania ogarnęła mnie nostalgia. Odniosłem wrażenie, że wróciłem do domu, chociaż nigdy przedtem tu nie byłem.

- Jeżeli cywilizacja Yuuzhan Vongów rozwijała się na planecie podobnej do tej - odezwał się Luke - co sprawiło, że staliście się ludem wojowniczym?

Harrar zastanowił się nad odpowiedzią.

- Prastare teksty nie mówią tego jasno - odezwał się w końcu. - Wszystko wskazuje na to, że zaatakowała nas rasa istot będących w większym stopniu mechanizmami niż żyjącymi organizmami. Poprosiliśmy o pomoc bogów, a oni pospieszyli nam na ratunek. Nauczyli nas wszystkiego, co potrzebne, żeby przekształcić żywe organizmy w systemy uzbrojenia. Odparliśmy tamten atak, ale później, oszołomieni odniesionym zwycięstwem, sami zaczęliśmy stopniowo podbijać inne planety i brać do niewoli ich mieszkańców.

Jabitha przerwała mu i rozkazała Kroj'bowi, żeby skierował powietrzny statek na południowy zachód. Z każdą chwilą teren w dole stawał się bardziej nierówny. Ostre górskie szczyty ze spękanej lawy ginęły w dolnej warstwie chmur. Z dużej wysokości spadały splecione warkocze pomarańczowej wody, które ginęły w wąwozach o zboczach porośniętych gęstymi lasami. Wicher się wzmagił, a temperatura powietrza spadła poniżej poziomu zamarzania wody.

Kroj'b i Saba posłuchali polecenia Jabithy, obniżyli pułap lotu i skierowali sterowiec w stronę ogromnego osypiska u stóp góry, która w oczach Luke'a wyglądała na młodszą i co najmniej dwukrotnie mniej przewidywalną niż Ben.

- W tym miejscu wznosiła się kiedyś forteca mojego ojca - wyjaśniła pani magister, kiedy powietrzny statek zakotwiczono do nagiego zbocza góry. - Sekot pokazała kiedyś Obi-Wanowi Kenobiemu i Anakinowi Skywalkerowi umysłowy wizerunek fortecy, takiej, jak wyglądała, zanim przylecieli Przybysze z Dali.

- Przybysze z Dali mają swoją nazwę, Jabitho - przypomniał Harrar. - To Yuuzhan Vongowie zburzyli fortecę twojego ojca.

- Naturalnie - odparła Jabitha. - Tyle że niełatwo jest się pozbyć starych przyzwyczajęń.

Luke poprosił, żeby Saba pozostała z Krojbem w kabinie sterowca. Pozostali podążyli za Jabitha w górę zbocza. Zmagając się z pędzącymi od strony niewidocznego szczytu silnymi podmuchami lodowatego wichru, mistrz Jedi zauważył otwór jaskini, zanim jeszcze pani magister pokazała go pozostałym uczestnikom wyprawy.

Powietrze w środku było ciepłe i zdumiewająco wilgotne. Dno jaskini opadało dosyć stromo w głąb góry i Luke uświadomił sobie, że znaleźli się w prastarym szybie, którym płynął kiedyś strumień lawy. Na dnie leżały chropowate kamyki, które chrzęściły pod stopami. Ściany, na których zakrzepła wyrzucona z głębin planety magma, wyglądały jak wykute w czarnym kamieniu, a miejscami emanowała z nich słaba poświata.

- Zupełnie jak wnętrza naszych gwiazdnych statków - stwierdził Harrar.

Luke także widział pewne podobieństwo, ale kojarzyło mu się to z czymś innym: ukrytą na powierzchni Dagobah jaskinią, do której kazał mu się kiedyś zapuścić mistrz Yoda. Tamtym miejscem zawładnęła jednak ciemna Moc, a ten tunel po strumieniu lawy wyglądał przyjemnie. Mistrz Jedi czuł się tu jak w objęciach matki. Wkrótce wyczuł obecność ożywiającej inteligencji, z którą zetknął się podczas krótkiego pobytu na powierzchni planety... tej samej inteligencji, której pierwszy magister Leor Hal pomógł uświadomić sobie własne istnienie. To właśnie on nazwał planetę w języku Ferroan „światem ciała i umysłu”.

- Jak sądzisz, czy to kolejny test Sekot? - zapytała Mara, idąc dalej.

- Raczej nie - sprzeciwił się Luke. - Chyba że Sekot poddaje próbie samą siebie.

- Stójcie! - odezwała się nagle Sekot, wkładając słowa w usta Jabithy, która nagle zamarła jak sparaliżowana. - Kto idzie z tobą, mistrzu Jedi? Dwoje rozpoznaję, ale trzeci...

- Nazywa się Harrar - odparł Luke, zwracając się nie do pani magister, ale do ścian tunelu. - Przyleciał na powierzchnię Zonamy w towarzystwie osoby, która dopuściła się aktu sabotażu.

Jabitha odwróciła się do yuuzhańskiego kapłana.

- Jak to możliwe, że ta osoba wydaje mi się znajoma? - zapytała. - Moje wspomnienia sięgają miliardów obrotów, ale ten ktoś chce mi przekazać wiadomość o odległych czasach i pradawnych wydarzeniach.

- Harrar pochodzi z ludu, który znasz pod nazwą Przybyszów z Dali - wyjaśnił mistrz Jedi. - To Yuuzhan Vongowie. To oni starali się podbić Zonamę krótko przed przybyciem Vergere.

Jabitha pokręciła głową.

- Tamte czasy nie są wcale tak bardzo odległe, mistrzu Jedi - oznajmiła. - Tylko dlaczego go nie postrzegam w Mocy? Nie widzę go równie wyraźnie jak dzieci Pierwszych ani tak dobrze, jak widzę Jedi... Przypominam sobie, że takie samo wrażenie odniosłam w przypadku Przybyszów z Dali... oni także jawili mi się, jakby istnieli poza Mocą.

- To nie tak, Sekot - sprzeciwił się Luke. - Nie możesz postrzegać Harrara, ale to nie znaczy, że on nie istnieje w Mocy.

Jacen przyłożył rękę do piersi, jakby chciał dotknąć blizny po okrucieństwie niewolniczego koralu, który implantowała mu Vergere, i odwrócił się do kapłana.

- Dlaczego Yuuzhan Vongowie opuścili macierzystą galaktykę? - zapytał.

Harrar zacisnął poznaczone bliznami wargi i chwilę milczał, zanim odpowiedział.

- Interpretując prastare teksty, niektórzy sugerują, że zostaliśmy z niej... wypędzeni - odezwał się w końcu.

- Z jakiego powodu? - nalegał młody Jedi.

- Przez naszą fascynację przemocą, wojną i podbojami - odparł Yuuzhanin. - Niektórzy uważają długą podróż Yuuzhan za próbę odzyskania łask bogów.

Jacen zastanowił się nad tym, co usłyszał.

- Twój przodek został skazany na wygnanie, bo kochał wojowanie - zaczął z namysłem. - Robili coś przeciwnego niż to, czego się po nich spodziewano. Czy możliwe, że... że to bogowie wypędzili was z Mocy?

Kiedy Harrar uniósł głowę, wszyscy zobaczyli na jego twarzy mieszaninę dezorientacji i przerażenia.

- W naszych legendach nie ma niczego, co sugerowałoby istnienie Mocy - powiedział po chwili.

- Ale nawet ty porównywałeś kiedyś Moc do swoich bogów - przypomniała Mara.

Luke podszedł do kapłana i położył dłonie na jego ramionach, jakby chciał nim potrząsnąć, ale tylko podtrzymał go, żeby Yuuzhanin nie upadł.

- Jakaś potęga... nazwij ją bogami, jeżeli musisz... mogła pozbawić was pierwotnej symbiozy z ojczyzną - powiedział. - Z tego powodu twoi praprzodkowie odczuli nieznośny ból i doszli do przekonania, że ból jest jedynym sposobem powrotu do tej symbiozy.

Harrar, chociaż podtrzymywany przez Luke'a, o mało nie osunął się na dno jaskini.

- Pozbawieni symbiozy... - powtórzył niepewnie. - Z naszą pradawną ojczyzną...

Mistrz Jedi opuścił ręce i ze zdumioną miną odwrócił się do Jabithy, jakby z jej ust chciał usłyszeć potwierdzenie, że się nie pomylił.

- Dopiero teraz zrozumiałam - odezwała się w końcu Sekot. - Ta osoba... jego ziomkowie... zostali odarci z Mocy.

R O Z D Z I A Ł 16

Od wielu, bardzo wielu pokoleń nie organizowano równie uroczystej ceremonii.

Ogromne światostatki umożliwiały wprawdzie oglądanie odległych gwiazd, a nawet jeszcze bardziej odległych galaktyk, ale nie były dość duże, żeby służyć za miejsce tak wspaniałego rytuału. W porównaniu z placem Poświęceń Yuuzhan'tara światostatki były jak małe teatrzyki.

A jednak, pomimo wspaniałości widowiska, Nom Anor był zbyt przerażony, żeby cieszyć nim oczy. Kroczył statecznie w gronie pozostałych dostojników, ale minę miał taką, jakby prowadzono go na egzekucję.

Plac Poświęceń znajdował się mniej więcej pośrodku między Cytadelą Shimrry a bunkrem w kształcie czaszki, w którym mieściła się Studnia Mózgu Świata. Na środku placu wzniesiono stumetrowy ścięty stożek z koralu yorik. W bocznej ścianie stożka wyrzeźbiono wiodące spiralnie w górę schody, a wewnątrz poprzecinano tunelami, które miały odprowadzać krew do fontann i innych zbiorników. Na płaskim wierzchołku kapłani odprawiali modły, a w otworach wokół podstawy kryły się uprzążające zwłoki maw luury. Po jednej stronie iglicy wznosiły się świątynie różnych bogów, a po drugiej grobowiec ze świętymi relikwiami, przetransportowanymi przez mroczną pustkę międzygalaktycznych przestworzy na pokładach światostatku Shimrry.

Zgodnie z uświęconymi tekstami i przez pamięć architektury prapraprzodków kompleks porastały drzewa iglaste, paprocie, palmy i inne okazy tropikalnej roślinności. Nie pasowały wprawdzie do tej szerokości geograficznej, ale mimo to się pieniły. W powietrzu było słychać jęk skrzydełek milionów owadów i dźwięki kraboharf. Wszędzie unosiła się oszałamiająca woń kadzidel paaloc, które płonąć w kościanych koszach wydzielają gęste kłęby dymu.

Wzdłuż boków kwadratowego placu zbudowano zagrody dla spijających krew ngdinów, a w każdym rogu siedział mon duul, którego potężny membranowy brzuch miał wzmacniać słowa przemówień uczestników ceremonii. Kapłani, którzy nie do końca ufali Mózgowi Świata Yuuzhan'tara, sprowadzili zwierzęta zwane Tu-Scartem i Sgauru. Obie bestie czekały w pewnej odległości od placu pod opieką poganiaczy na wypadek, gdyby kapryśny dhuryam nie rozkazał maw luurom, żeby wywiązywały się z obowiązków uprzążania szczątków ofiar.

Dhuryamy były stworzeniami bardziej specjalizowanymi niż yamoski, ale miały tylko jeden obowiązek: przekształcanie powierzchni planet. Stworzenia podejmowały decyzje, opierając się na danych uzyskanych od rozsianych po powierzchni planety stworzeń przekazujących im meldunki za pomocą telepatii. Dhuryam Yuuzhan'tara zachowywał się jednak, jakby przekazywane informacje były niekompletne albo fałszywe. Kiedyś już zakłócił

przebieg kilku ceremonii, polecając maw luurom, żeby zwracały niestrawione cuchnące szczątki.

Wszystko jednak wskazywało na to, że Shimrra wymyślił sposób prześlągania czy też zmuszenia do posłuszeństwa Mózgu Świata, bo na razie rozmaite formy yuuzhańskiej bioty zachowywały się bez zarzutu. Nom Anor podejrzewał, że najwyższy lord za pomocą wymyślnych sztuczek przekonał dhuryama, iż dostarczając pożywienia maw luurom, przyczynia się do szybszego wzrostu krzewów i zagajników w ogrodach i na placach Yuuzhan'tara.

Prefekt planety w towarzystwie niektórych konsulów wszedł na plac Poświęceń przy dźwiękach muzyki, zarazem uroczystej i podniosłej. Tłumnie zgromadzeni widzowie, którzy zaspokajali głód yanskacami i przekąskowymi żukami, już lekko oszołomieni grogiem z miodu iskropszczół i innymi domowymi trunkami, wznosili na ich widok radosne okrzyki. Po obu stronach głównego przejścia klęczało tysiące wojowników. Wszyscy mieli opuszczone głowy i amphistaffy zwinięte statecznie wokół wyprężonych prawych przedramion, których pięści spoczywały na powierzchni gruntu. Przy każdym wejściu na plac stali strażnicy, wielu krążyło także pośród tłumu widzów. Przedsięwzięte środki ostrożności pozwalały mieć pewność, że ani jeden Zhańbiony nie zbliży się nawet na odległość phona do skraju placu.

Mimo to Nom Anor nie mógł przestać się niepokoić.

Za intendantami kroczyli najdostojniejsi przedstawiciele wszystkich czterech kast: arcykapłan Jakan w grupie erudyków, ubrany na czerwono wojenny mistrz Nas Choka w otoczeniu trzech tuzinów najwyższych dowódców, mistrzyni przemian Qelah Kwaad i jej najpojętniejsze uczennice, a także arcyprefekt Drathul, kroczący na czele koterii osobistych doradców z pałką urzędu w dłoni. Dopiero po nich na placu pojawił się Shimrra, któremu tym razem nie towarzyszył Onimi, bo jako Zhańbiony nie mógł brać udziału w tak uroczystej ceremonii. Zamiast niego najwyższemu lordowi dotrzymywała towarzystwa czwórka odrażających wieszczek. Obwieszony wstęgami z żywych owadów władca jechał z królewskim berłem w dłoni na ciągniętych przez sforę ogarów bissop saniach z koralu yorik.

Kiedy dostojnicy zajmowali rzędy miejsc pod księżycowym tronem Shimrry, wokół podstawy iglicy wirowały w szaleńczym tańcu derwiszki, demonstrując kły, szpony, rogi i inne ostro zakończone kości. Nom Anor usiadł w jednym z najwyższych rzędów amfiteatralnie ustawionych siedzeń, skąd nic nie przesłaniało widoku ofiarnej platformy, ku której wspinał się Jakan na czele gromady oprawców, kapłanek i młodych akolitów.

W wyznaczonej chwili, kiedy słońce na niebie zajęło miejsce, skąd promienie mogły

rozpalić tęczowy most, poganiacze ngdinów i dosiadający dwunastonogich quenaków żołnierze Chazracha wprowadzili jeńców.

Liczba ich wynosiła prawie tysiąc. Część przywieźli członkowie Brygady Pokoju, resztę schwytano zaledwie trzy standardowe dni wcześniej w przestworzach Caluuli. Do tego grona zaliczali się oficerowie sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu, politycy, szeregowi żołnierze, osoby protestujące z dziesiątków planet rozsianych wzdłuż inwazyjnego korytarza Yuuzhan Vongów... mężczyźni i kobiety, a nawet gromada wyrostków, którzy walczyli na tyle mężnie, że zasłużyli na zaszczytną śmierć. Wszystkich jeńców okadzono, wykąpano, wyperfumowano i oszołomiono rozrzedzonym gazem usypiającym z gruczołów czuj ślimaków, po czym pobłogosławiono dymem z liści tishwii. Zakuci w żywe kajdany jeńcy mieli na sobie białe szaty z fosforyzującymi zielonymi wzorami i czarnymi rysunkami na rękawach i piersi, biegnącymi wzdłuż ważniejszych tętnic krwiobiegu.

Więźniom kazano stanąć u stóp schodów wijących się po spirali w górę stożka. Jakan i wszyscy, którzy dotarli na wierzchołek, czekali na nich coraz bardziej niecierpliwie.

Kiedy Shimrra kiwnął wielką głową na znak przyzwolenia, arcykapłan uniósł ręce i rozpoczął przemówienie. Jego słowa, wzmocnione przez membrany mon duulów, poniosły się echem po całym placu Poświęceń.

- Przyjmijcie naszą ofiarę jako dowód, że pragniemy oddać wam to, co się należy - zaczął. - Bez was byśmy w ogóle nie istnieli!

Poświęcone lambenty oświetlały stojące wzdłuż boków kwadratowego placu posągi bogów, które miały zostać namaszczone krwią pierwszych ofiar. Szczególny charakter tej uroczystości wymagał, żeby Yun-Yuuzhan dostał tylko tyle, ile mu się należało; większość poświęconej krwi miała przypaść w udziale Yun-Yammce, bogowi wojny.

Strażnicy poganiali jeńców, żeby się wspinali po spiralnych schodach. Chociaż byli oszołomieni, wielu opierało się i wrywało. Zupełnie jakby nie doceniali zaszczytu, jaki miał im przypaść w udziale. W końcu chyba jednak zrozumieli, że nie mogą zrobić nic dla uniknięcia swojego losu.

Kiedy pierwsi jeńcy stanęli na wierzchołku stożka na okrągłej platformie, z dołu rozległo się głośnie wycie. Mniej więcej połowa najwyższych dostojników z różnych kast zerwała się z miejsc, więc z początku Nom Anor nie mógł zobaczyć, co się dzieje. Zorientował się tylko, że pośród strażników strzegących podstawy stożka wybuchło zamieszanie. Najwyraźniej chodziło o

rozstrzygnięcie jakiegoś sporu. Prefekt współczuł żołnierzom, którym nie starczyło opanowania, żeby poczekać z tym na koniec ceremonii. Poczuł ulgę na myśl, że tym razem nie zostanie obwiniony o coś, na co nie miał najmniejszego wpływu.

Po chwili uświadomił sobie dokładnie, co się stało.

Kwadratowy plac wyłożono sześciokątnymi płytami, z których wystrzeliwały starannie zamaskowane pokrywy huk'a. Te pancerze wodnych zwierząt zakrywały wyloty szybów, które prowadziły w dół, ku labiryntowi kanionów rozciągających się pod powierzchnią placu Poświęceń. Zapewne wiodły także do szerokich arterii komunikacyjnych, które kiedyś rozdzielały wysokie budowle Coruscant, a nawet jeszcze niżej, do pogrążonych w wiecznej ciemności podziemi. To właśnie tam, w porośniętych karłowatą roślinnością krętych korytarzach, mieściły się nowe siedziby wyrzutek Yuuzhan Vongów.

Z szybów wyskakiwały setki Zhańbionych i gromady wyznawców Proroka Yu'shaa. Niektórzy byli uzbrojeni w amphistaffy i sporządzone domowym sposobem coufee, ale inni mieli, o zgrozo, blastery! W pierwszej chwili zaskoczeni strażnicy, spośród których wielu miało na sobie tylko ceremonialne pancerze, stracili głowę, w wyniku czego wielu pożegnało się z życiem. Kiedy Zhańbieni rozbiegli się między rzędami siedzeń, widzowie wpadli w panikę, opuścili trybuny i wbiegli na plac Poświęceń.

W obawie, że heretycy mogliby zaatakować samego Shimrrę, uśmierciciele otoczyli tron najwyższego lorda, rozwinęli amphistaffy i przygotowali się do walki ze wszystkimi, którzy chcieliby na nich napaść. Nom Anor jednak zauważył, że w stronę podwyższenia z saniami Shimrry skierowała się tylko garstka Zhańbionych. Od razu się domyślił, że ich rolą jest odwrócenie uwagi.

Odgadł także, po co przybyli heretycy. Zamierzali porwać jeńców.

W pierwszej chwili oszołomieni więźniowie pomyśleli, że mają omamy. Sądziłi tak jeszcze, kiedy gromady heretyków zapędzały ich do otworów i prowadziły w głąb podziemnego labiryntu, skąd wyłoniła się armia pariasów. Nie wszystkim jeńcom udało się uciec z życiem. Dziesiątki padły ofiarą ogłuszających chrząszczy i brzytwożuków, poległo także co najmniej trzy razy tyle heretyków.

Wysmarowane od stóp do głów czarną krwią wieszczki Shimrry wpadły w przerażenie i gorączkowo wymachiwały rękami, a arcykapłan Jakan wyglądał, jakby ogłuchł i oniemiał. Za to oprawcy zbiegli po schodach i wymachując ostrą bronią, rzucili się, żeby odciąć chociaż kilka

głów... zupełnie jakby bogowie, którzy spodziewali się uczyty, mogli się zadowolić skromną przekąską!

Krew spływającą na kwadratowy plac od razu zlizywały wygłodniałe ngdiny. Niektóre, niezdolne zapanować nad odruchami, wrywały się z rąk poganiaczy i wijąc się po kamieniach jak ogromne pijawki, zostawiały śliskie ślady, na których przewracali się wojownicy ścigający heretyków i uwolnionych przez nich jeńców.

Nom Anor nie był pewien, czy uciekać, czy rzucić się na ostrze coufee któregoś uśmierciciela, czy też może poczołgać na brzuchu w stronę Shimrry i korzystając z okazji, błagać go o wybaczenie. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Drathul kieruje na niego pełne bezgranicznej nienawiści, świdrujące spojrzenie. Arcyprefekt groził, że obarczy go winą za jakiegokolwiek zakłócenie przebiegu ceremonii, i wszystko wskazywało na to, że zamierza wcielić groźbę w życie.

Stojąc w tłumie, Nom Anor przygotował plującą jadem gałkę oczną. Zauważył, że Drathul przeciska się do niego przez ciżbę, wymachując pałką władzy. Nom Anor był ciekaw, czy w obronie życia będzie musiał pozbawić życia następnego arcyprefekta.

Shimrra mógłby się po nim tego spodziewać.

Drathul dotarł już niemal na odległość wyciągniętej ręki od Noma Anora, kiedy przez brzęczenie ogłuszających chrząszczy, głuche odgłosy ciosów amphistaffów i syk błyskawic blasterowych strzałów przedarł się głos najwyższego lorda. Shimrra wstał z tronu, a jego wielka głowa pojawiła się nad głowami uśmiercicieli, którzy dotąd osłaniali go niczym żywy mur.

- Arcykapłanie Drathulu! Nie zniesiemy dłużej tego bałaganu! Nasza cierpliwość i dobra wola są na wyczerpaniu! - Shimrra wyprostował się na całą wysokość. - Żądam serca każdego Yuuzhanina, który dopomógł w przestępstwie temu Prorokowi!

Stojący wokół niego skulili się ze strachu, ale Nom Anor stał nadal prosto, bo zbity tłum uniemożliwiał mu wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Może właśnie dlatego zauważył, że jeden z otaczających Shimrrę uśmiercicieli ukradkiem wmieszał się w tłum. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nie ma przed sobą udoskonalonego wojownika. Sam był mistrzem kamuflażu i od razu się zorientował, że dezterter włożył maskującego ooglitha, który nie tylko zmienia jego wygląd, ale także nadaje inny kształt ciała.

A sądząc po tym, jak rzekomy uśmierciciel się poruszał - chwiejnie i jakby w podskokach - nie mógł być nim nikt inny, jak tylko Onimi.

W czasie czwartego i ostatniego mikroskoku do przestworzy Kala-mara oboje Solo zamknęli się w sterowni. Leia, siedząc na kolanach Hana, który cały ten czas spędził na fotelu pilota, obejmowała go czule. Kiedy „Sokół” powrócił do normalnych przestworzy, Han był wściekły, a Leia doszła do wniosku, że sterownia nie jest wcale taka brzydka... przynajmniej jeżeli nie ma się do dyspozycji innego miejsca.

Gdy zbliżali się do zdominowanej przez oceany planety od strony jedyne księżycy, powitał ich widok niezwykłego, olbrzymiego zgromadzenia okrętów należących do najróżniejszych armad i grup szturmowych: bothańskiej, bakurańskiej i Szczątków Imperium, chissańskiej, hapańskiej, sullustańskiej, eriaduańskiej i huttańskiej, a także koreliańskiej i kalamariańskiej. Były tam szturmowe krążowniki klasy Mediator, krążowniki klasy Belarus, fregaty klasy Lancer i ha-pańskie Bitewne Smoki. Zauważyli także grupy szturmowych krążowników klasy Nova i koreliańskich kanonierek, flotylle wyprodukowanych w KDY ciężkich fregat klasy Marł, grupy szturmowe złożone z gwiazdnych niszczycieli klasy Imperial II, krążowników klasy Republic i interdyktorów klasy Immobilizer - w półkulistych antenach generatorów ich grawitacyjnych studni odbijały się iskierki gwiazd.

W koreliańskich przestworzach unosiły się „Ralroost”, „Praworządność”, „Zwiastun”, „Elegos A’Kla”, „Mon Adapyne” i „Mon Mothma”, a także gwiazdny superniszczyciel „Opiekun” i archaiczny krążownik klasy Dreadnaught o nazwie „Starsider”.

- Znikasz na kilka dni - przemówił Han, kiedy w końcu odzyskał mowę - a dzieciaki urządzają w domu przyjęcie dla całego miasta.

Chcąc nie chcąc, kierowali „Sokoła” wąskimi korytarzami między kadłubami ogromnych okrętów. Nie było to łatwe zadanie, zwłaszcza że w ciasnej przestrzeni roiło się od jednostek zaopatrzeniowych i eskadr gwiazdnych myśliwców. W końcu musieli przekazać kontrolę nad frachtowcem obsłudze jednego z generatorów promieni ściąających „Ralroosta”, po czym zostali łagodnie wciągnięci do sterburtowego hangaru ogromnego krążownika. Na powitanie „Sokoła” pojawił się spory tłum, a kiedy Han, Leia i ocalone bardzo ważne osobistości zaczęły schodzić po opuszczonej rampie, w sterylnie czystym powietrzu rozległy się oklaski i okrzyki.

Jaina podbiegła, żeby także powitać rodziców.

Han sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Przylecieliśmy wcześniej, ale musieliśmy trzy dni lecieć z prędkością podświetlną,

żeby naprawić to, co już wcześniej zostało naprawione - powiedział.

- Wiem, że przebywaliście w przestworzach Caluuli - odezwała się Jaina, nie wypuszczając ojca z objęć. - Powinam była posłuchać Mocy i lecieć wam na pomoc.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłaś - stwierdziła Leia, przyglądając się córce. - Pojawiła się może następna wiadomość o losie tamtej stacji?

- Wczoraj przyleciał kurier z powierzchni Caluuli - odparła młoda Solo. - I stacja, i planeta wpadły w ręce Yuuzhan Vongów, którzy od razu odesłali na Coruscant setki schwytanych jeńców.

- Żeby złożyć ich w ofierze - domyślił się Han.

Jaina pokiwała posępnie głową i poprowadziła rodziców w głąb hangaru.

Han powrócił myślami do Pasha, Crackena i tych wszystkich, którzy zdecydowali się zostać w przestworzach Caluuli... A więc zostali ocaleni tylko po to, żeby dać się ponownie schwytać. Przypomniało mu to częste sytuacje z początków wojny, kiedy niezliczone rzesze uchodźców padały łupem piratów i oprawców z Brygady Pokoju.

- Nadeszły jakieś wieści z Coruscant? - zapytał.

Córka kiwnęła głową.

- Dobre i złe... - powiedziała. - Za chwilę sami usłyszycie, bo admirał Kre'fey chce wam wszystko osobiście przekazać.

- Daj nam jakąś wskazówkę - poprosiła Leia.

Jaina zniżyła głos prawie do szeptu.

- Yuuzhan Vongowie zgromadzili ogromną armadę - poinformowała. - Spodziewamy się, że tym razem zechcą nas zaatakować tu, na Kałamarze.

Han wypuścił powietrze z płuc.

- To by wyjaśniało, dlaczego widzieliśmy tyle okrętów w przestworzach Kalamara - zauważył.

- Miejmy nadzieję, że to nie była ta pomyślna wiadomość - dodała Leia.

Jaina mówiła bez przerwy kilka minut, jakie zajęło im wejście na pokład dowodzenia „Ralroosta” i przelecenie śmigaczem do konferencyjnej kabiny na śródokręciu. Oboje Solo nie ukrywali rozczarowania, kiedy się dowiedzieli, że rycerze Jedi nadal nie mają żadnej wiadomości od Luke'a, Mary, Jacena i pozostałych. To do nich niepodobne, żeby tak długo nie dawali znaku życia.

Kiedy porośnięty białą sierścią bothański admirał Traest Kre'fey zobaczył Hana, Leię i Jainę, wstał z fotela ustawionego u szczytu długiego stołu konferencyjnego, skierował na nich fioletowe oczy i szeroko się uśmiechnął.

- Wszyscy się zastanawiali, czy przypadkiem nie postanowiliście wziąć niezapowiedzianego urlopu - powiedział.

- No cóż, niezupełnie tak wyobrażamy sobie spędzanie wolnego czasu - zażartował Solo.

Księżniczka uśmiechnęła się lekko, ale zaraz spoważniała. Mówiąc „wszyscy”, Kre'fey miał na myśli tuzin wysokich stopniem oficerów, którzy już wcześniej zajęli miejsca przy konferencyjnym stole. Do ich grona należeli naczelny dowódca Oddziałów Obrony Sień Sow, wielki admirał Gilad Pellaeon, generałowie Wedge Antilles, Garm Bel Iblis, Keyan Farlander, Carlist Riekan i Airen Cracken, komodor Brand, królowa matka i zarazem rycerz Jedi Tenel Ka, a także generał-major Eldo Davip, awansowany do tego stopnia w nagrodę za niezwykłą odwagę, jaką odznaczył się podczas bitwy o Borleias, walcząc na pokładzie gwiazdowego niszczyciela „Lusankya”.

Han i Leia nie musieli się im przedstawić, ale wielu rozpoznawali tylko dzięki znajomości ras obcych istot, nie po nazwisku.

Solo obdarzył wszystkich szerokim uśmiechem, a Leia przywitała się z Giladem Pellaeonem i Keyanem Farlanderem, ucałowała w oba policzki Tenel Ka i Wedge'a Antillesa, po czym podeszła do Airena Crackena, z którym odbyła krótką rozmowę jeszcze z pokładu „Sokoła”.

- Pash jest jednym z oficerów schwytanych na pokładzie orbitalnej Stacji Caluula - oznajmił Cracken. - Później przetransportowano go na Coruscant, ale mam nadzieję, że nie stało mu się nic złego. Nikt nie zna Coruscant lepiej niż mój syn, więc też nikt nie będzie miał większej szansy ucieczki.

Han, Leia i Jaina zajęli wolne fotele przy konferencyjnym stole.

- Zapoznam was z ostatnimi wiadomościami - odezwał się Kre'fey. - Uroczystość poświęcenia miała się odbyć tak jak zaplanowano, ale nasi agenci meldują, że zanim ktokolwiek został ścięty ostrzem coufee, wybuchło powstanie kilkuset heretyków. Zhańbieni zdołali nie tylko zakłócić przebieg ceremonii, ale także uciec z ponad trzystoma uwolnionymi więźniami.

- Chodziło im tylko o to, żeby Shimrra wpadł we wściekłość? - zagadnął Han.

-W tej chwili nie jesteśmy tego pewni - przyznał Bothanin. -Dowiedzieliśmy się jednak,

że w odwecie schwytano nieznaną liczbę Zhańbionych, których czeka teraz niechybna śmierć. Pośród nich nie ma ani jednego przedstawiciela Galaktycznego Sojuszu, więc możemy się domyślać, że nasi podwładni zostali dobrze ukryci.

- Jeżeli w ogóle jeszcze żyją- zauważył Solo. - Zhańbieni mogli przecież urządzać własną ceremonię na cześć jakiegoś bóstwa, któremu składają własne ofiary. - Przeniósł spojrzenie na Crackena. -Przykro mi, Airen, ale chyba jeszcze za wcześnie uważać tych heretyków za sprzymierzeńców.

- Masz rację - powiedział admirał. - Nie możemy wykluczyć, że rzeczywiście w podziemiach Coruscant doszło do złożenia potajemnej ofiary. Dowiedzieliśmy się jednak jeszcze czegoś: otóż celem uroczystej ceremonii Shimrry miała być chęć ubłagania yuuzhańskich bogów, żeby zapewnili zwycięstwo armadzie, jaką Yuuzhanie planują wysłać w celu zdobycia Kalamara.

Han i Leia udawali zaskoczonych tą wiadomością.

- Czy wiadomo, kiedy albo jak zamierzają to zrobić? - zapytała księżniczka.

Ze swojego miejsca wstał Sow, żeby odpowiedzieć na jej pytanie. Był Sullustaninem, a jego twarz wyglądała jak maska z obwisłymi policzkami i wielkimi uszami.

- Wywiad ustalił, że nieprzyjaciel planuje zaatakowanie nas bezpośrednio z Perlemiańskiego Szlaku Handlowego - powiedział. - Wtórne grupy szturmowe zostaną wysłane z Toong'ła i Caluuli, na których znajdują się w tej chwili yammoski. Przypuszczamy, że zainstalowanie tam wojennych koordynatorów ma służyć, po pierwsze, zgraniu w czasie ataków z flanki, a po drugie, zapewnieniu obrony tyłów, gdybyśmy jednak odparli atak pierwszej grupy szturmowej.

Han powiódł spojrzeniem po przestronnej kabinie.

- Czy wiadomo, ile okrętów Yuuzhan Vongów ma wziąć udział w tej operacji? - zapytał.

- Mniej więcej pięć tysięcy - odparł rzeczowo Bel Iblis, gładząc palcami lewej ręki obwisłe wąsy.

Wstrząśnięty Han odsunął fotel od stołu.

- Więc nie mamy żadnej szansy - zawyrokował ponuro.

- Nie mamy, jeżeli chcemy porównywać tylko liczebność naszych flot - zgodził się z nim Sow. - Jesteśmy jednak przekonani, że decydując się na atak z tak odległych baz wypadowych, jak ToongMa i Caluula, nieprzyjaciel popełnił strategiczny błąd.

Bel Iblis pokiwał głową na znak, że się zgadza z jego zdaniem.

- Co ważniejsze, może nam pomóc to, że Yuuzhan Vongowie sprawiają wrażenie bardzo pewnych siebie - powiedział. - Prawdopodobnie spodziewają się, że podamy tyły i się rozproszymy.

Han spojrział na siwowłosego mężczyznę, po czym przeniósł spojrzenie na nieprzeniknionego Sullustanina. Nic nie wskazywało na to, że Iblis i Sow kiedykolwiek żywili do siebie urazę z powodu tego, do czego doszło podczas ewakuacji Coruscant. Wyglądało raczej, jakby siedzący przy stole uczestnicy nieformalnej odprawy osiągnęli porozumienie.

- Czy nie lepiej byłoby jednak rozproszyć nasze floty? - zapytał Solo. - Mamy dość okrętów, żeby otworzyć kilkanaście nowych frontów.

- I toczyć na nich walkę partyzancką w ciągu następnych dziesięciu lat, podczas kiedy nieprzyjaciel będzie rósł w siłę? - odparł Kre'fey. - To niedobry pomysł. Rozpraszając nasze siły, umożliwilibyśmy Yuuzhanom zdobycie Kalamara, a na pewno nie chcemy dopuścić do tego, co wydarzyło się na powierzchni Coruscant. W galaktyce nie ma bardziej niebezpiecznych istot niż te, dla których czystki oznaczają mordowanie przeciwników. - Pokręcił głową. - To musi być nasz decydujący krok.

- Nie wdając się w tej chwili w szczegóły - zaczął Sow - chciałbym powiedzieć, że zamierzamy stworzyć wrażenie zaskoczonych pojawieniem się nieprzyjacielskiej armady, a następnie podjąć wyzwanie i stawić czoło ich atakowi. To powinno dać Yuuzhanom do myślenia. Do tej pory druga połowa naszych sił przeskoczy do przestworzy Contruuma, którego władze zgodziły się służyć nam za bazę wypadową... dzięki staraniom generała Crackena. Liczymy na to, że kapitan Page nakłoni do podjęcia podobnej decyzji przywódców Corulaga.

Han pokręcił głową. Nadal niczego nie rozumiał.

- Bazą wypadową? Do czego? - zapytał. - Im dalej od Kalamara znajdą się nasze floty, tym więcej kłopotów będziecie mieli z utrzymaniem łączności, a jeżeli liczycie na to, że uda się wam przeskoczyć znów ukradkiem do przestworzy Kalamara, może powinniście przypomnieć sobie, co przydarzyło się Hapanom w przestworzach Fondora.

Tenel Ka zareagowała na zastrzeżenia Hana kiwnięciem owiniętej woalem głowy.

- Wydarzeniom w przestworzach Fondora towarzyszyły szczególne okoliczności - przypomniał komodor Brand. - Nasza strategia przyniosłaby pożądane skutki, gdyby nie... Tak czy owak zresztą, nie zamierzamy wydawać dowódcom naszej floty rozkazu powrotu do przestworzy Kalamara.

- A co zamierzacie? - zainteresowała się Leia.

Kre'fey chrząknął znacząco.

- Do obrony Kalamara przeznaczamy tylko połowę naszej floty - zaczął. - Druga połowa będzie miała wystarczającą swobodę ruchów, żeby skierować się do głównego celu tej kampanii... na Coruscant.

R O Z D Z I A Ł 17

Bezlitosne postępy wracają, żeby prześladować swojego autora, pomyślał Nom Anor, przyglądając się egzekucji heretyków.

Rozstawiali się z życiem nie na wierzchołku wzniesionej pośrodku placu Poświęceń koralowej iglicy, ale daleko od świętego kwartału, w miejscu w którym zabijano yuuzhańskie zwierzęta i gdzie wojownicy nabierali wprawy, przygotowując się do walki. Kiedyś w tej dzielnicy, zwanej Zachodnim Morzem, mieścił się stadion sportowy, ale obecnie znajdowało się śmietnisko - porośnięte bujnym bagiennym zielskiem i przesiąknięte odorem rozkładu wysypisko kości. To właśnie tu leгло się miliony długich na metr gryzoni yargh'un. W niecce o amfiteatralnie opadających ścianach nie mogło się pomieścić wielu widzów, ale Shimrra rozkazał, żeby wszystkie wolne miejsca na trybunach zajęli układacze kości, robotnicy i inni przedstawiciele najniższych kast społeczności Yuuzhan Vongów. Mieli być świadkami jego gniewu i ostrzeżeniem dla tych, którzy mogliby chcieć iść w ślady Proroka.

Nikt nie zachwycał się smętnymi dźwiękami instrumentów, na których wygrywali muzycy.

Nikt nie skosztował jedzenia rozłożonego na bankietowych stołach dla dostojników.

Biorące udział w egzekucji dzikie bestie drapały pazurami powierzchnię gruntu, parskały, wyły i ryczały.

Tym razem nie chodziło o szlachetne pozbawienie życia, ale o wykonanie kary śmierci.

Od zakończonej fiaskiem uroczystej ceremonii upłynęły trzy miejscowe dni. Z rozkazu Shimrry, przekazanego arcyprefektowi Drathulowi, a później Nomowi Anorowi, schwytano trzy tysiące Zhańbionych... dziesięciu za każdego uwolnionego jeńca, którego miano złożyć w ofierze podczas tamtej ceremonii. Nikt się nie zastanawiał, ilu spośród schwytanych jest

heretykami, skoro podobno chodziło tylko o położenie kresu dalszemu szerzeniu się herezji - chociaż Nom Anor przypuszczał, że egzekucja wywrze skutek przeciwny do zamierzonego. Shimrra przedtem już kilka razy wysyłał wojowników, żeby oczyścić z heretyków podziemia Yuuzhan'tara, ale nigdy dotąd nie robił tego całkiem jawnie. Wszystko wskazywało na to, że tym razem zamierza zmienić tę czystkę w makabryczne widowisko.

Niektórzy twierdzili, że najwyższy lord przekroczył niebezpieczną granicę. Uważali tak jednak tylko ci, którzy nie mieli pojęcia, do czego Shimrra jest zdolny, żeby utrzymać się przy władzy, albo nie znali potęgi jego umysłu, z której nie wahał się korzystać w razie potrzeby. Osoby znające metody, do jakich się uciekł, żeby zasiąść na polipowym tronie, wołały milczeć.

Podczas podróży przez pustkę międzygalaktycznych przestworzy Shimrra - z racji szlachetnego urodzenia, przepowiedni i pomyślnej wróżby - znalazł się w gronie osób, które pewnego dnia mogły zostać uznane za następcę najwyższego lorda Quoreala, kiedy ten wyzionie ducha. Wszystkie szlachetnie urodzone osoby z tej małej, uprzywilejowanej grupy wychowywano, jakby któregoś dnia rzeczywiście miały zasiąść na tronie. Troszczono się o nie, karmiono najwykwintniejszymi potrawami, uczono sztuki walki i religii, otaczano luksusem. Nadzór nad nimi sprawowali wprawdzie arcykapłani, ale proces selekcji był podobny do sposobu testowania młodych dhuryamów w celu ustalenia, który jest najzdolniejszy i najbardziej inteligentny, aby w przyszłości mógł zostać Mózgiem światostatku czy planety.

Shimrra był kiedyś dumą, ale zarazem utrapieniem domeny Jamaane. Zdradzając już za młodu oznaki przewrotnego charakteru, w wieku siedmiu lat zabił własnego brata bliźniaka, żeby uniemożliwić potencjalnemu rywalowi dołączenie do grona wybrańców. Majestatyczne rozmiary ciała zawdzięczał staraniom mistrzów przemian swojej domeny.

Domena Jamaane mogła się poszczycić paroma wybitnymi wojownikami, a w zamierzonych czasach wydała wielu najwyższych dowódców, a nawet trzech wojennych mistrzów. Wyróżniali się także jej mistrzowie przemian i kapłani, ale domena nie cieszyła się opinią szczególnie wojowniczej. Kiedy jednak długa podróż przez pustkę wystawiła cierpliwość wszystkich na ciężką próbę, członkowie domeny Jamaane zaczęli okazywać zniecierpliwienie rządami Quoreala. Zarzucali mu, że jest zbyt ostrożny, przywiązany do tradycji i nie robi właściwie nic, żeby zachować jedność społeczności Yuuzhan Vongów, i to w czasach, kiedy wszyscy potrzebują wyjątkowo charyzmatycznego przywódcy. Mimo to nikt się nie spodziewał, że domena Jamaane się zbuntuje i podejmie próbę obalenia Quoreala.

A jednak pewnego dnia wojownicy Shimrry zamordowali wszystkich członków dworu Quoreala, a także członków ich domen. Potem tak samo postąpili z samym Quorealem, a jeszcze później stracili wszystkich popierających Quoreala kapłanów, doradców i mistrzów przemian, którzy - podobnie jak sam najwyższy lord - usiłowali trzymać się z daleka od nieco wcześniej odkrytej galaktyki.

Ci, którzy byli na tyle rozsądni, żeby nie podawać w wątpliwość opinii Shimrry, zachowali życie. Do ich grona zaliczali się członkowie domeny Shai, która podczas pierwszego starcia z mieszkańcami tej galaktyki straciła znamienitego wojownika, a także domeny Praetorite Vong, chociaż ich lojalność wobec Shimrry była tylko podstępem, służącym do zachowania w tajemnicy planów inwazyjnych prefekta Da'Gary. Nom Anor został także wtajemniczony w te plany, a nawet pomógł domenie Praetorite w zdobyciu yammoska - co prawda wadliwego, przeznaczonego do likwidacji. W zamian za kilka przysług Nom Anor nakłonił opiekujących się tą formą życia mistrzów przemian, aby zamiast zabijać yammoska, przekazali go w jego ręce.

Gdyby Shimrra się o tym dowiedział, Nom Anor mógłby się znaleźć pośród mordowanych heretyków, zamiast na trybunach, skąd mógł obserwować przebieg makabrycznego widowiska.

Między zgromadzonymi widzami krążyli wojownicy z amphistaffami i pałkami, którymi szturchali widzów, żeby nakłonić ich do okazywania większego entuzjazmu. W odpowiedzi słyszeli pojedyncze rytualne okrzyki, bo na arenie w dole sprawy nie toczyły się po ich myśli.

Gdyby niewinnych tracono pospół z winnymi, z pewnością wielu tych drugich błagałoby Shimrrę o zmiłowanie. Natomiast Zhańbieni szli na śmierć - rozszarpywani na kawałki, ćwiartowani, patroszeni i pożerani przez dzikie zwierzęta niczym dojrzałe owoce albo rzucani tu i tam jak zabawki - złorzecząc najwyższemu lordowi, przeklinając jego dostojników i wznosząc buntownicze okrzyki:

- Yu'shaa wrócił! Niech żyje Yu'shaa!

Jakan, Nas Choka, Qelah Kwaad i Drathul mogli tylko przyglądać się z przerażeniem, bo wiele wskazywało na to, że wszyscy aresztowani są heretykami... albo przynajmniej zostali w jakiś sposób przekonani, żeby buntować się przeciwko yuuzhańskiej tradycji.

Żaden z dostojników nie ośmielił się nawet zerknąć na Shimrrę, z wyjątkiem Noma Anora, który w pewnej chwili spojrział ukradkiem na niego i z osłupieniem zauważył, że najwyższy lord się śmieje.

Kiedy admirał Kre'fey wyczarował z projektora hologram, wszyscy obecni w ogromnej komnacie odpraw „Ralroosta” umilkli. W przezroczystym błękitnym stożku migotały wizerunki powierzchni planety opanowanej przez winorośle, ogromne paprocie i drzewa o potężnych liściach, jednych w kształcie wachlarzy, innych delikatnych jak piórka. Spomiędzy roślinności wyłaniały się iglice, pinakle i urwiste płaskowyże, a na horyzoncie piętrzyły się potężne łańcuchy górskie o zboczach pokrytych bujną roślinnością i upstrzonych otworami w regularnych kształtach. Wszędzie było widać wypełnione wodą stawy, w których odbijało się szare niebo. W głębokich kanionach płynęły powoli proste rzeki, pozbawione zakoli, zakrętów czy rozlewisk.

Z dżungli wystawały pagórki porośnięte splechawkami jaskrawych szkarłatnych mchów, które miejscami ciemniały aż do purpury. Inne mchy wyglądały jak połyskujące czarne albo niebieskie kobierce. Wszystkie były poprzecinane strumykami, lśniącymi niczym drogocenne metale. Na różnych wysokościach nad wierzchołkami drzew unosiły się skrzydlate drapieżniki, a tu i ówdzie przechadzały się ogromne zwierzęta.

Krótko mówiąc, powierzchnia planety wyglądała zbyt dziko, chaotycznie i niegościnnie, żeby mogła się nadawać do zamieszkania. Tymczasem wcale tak nie było.

- Tak wygląda w tej chwili Coruscant - odezwał się Kre'fey do kilkuset zgromadzonych oficerów Galaktycznego Sojuszu.

Kiedy musnął lewym palcem wskazującym urządzenie kontrolne projektora, zamiast poprzedniego hologramu zaczęły się pojawiać wizerunki Senatu, Wzgórz Calocoura, Kolumnady Ludu i Esplanady Glittanaia, a także innych, niegdyś dobrze znanych miejsc byłej stolicy galaktyki.

- Sami widzicie, że wiele na powierzchni się zmieniło - podsumował Bothanin.

Han i Leia, siedzący w milczeniu z boku na podwyższeniu dla dowódców, sprawiali wrażenie pogrążonych w zadumie, tak samo jak wszyscy pozostali. Obok Kre'feya stała gromadka oficerów, którzy, podobnie jak oboje Solo, cztery dni wcześniej brali udział w nieformalnej odprawie.

- Osłabia pan siłę własnych argumentów, które pan wysuwał, żeby przekonać nas o potrzebie zaatakowania Coruscant - odezwał się w końcu Hutt, rozparty pośrodku pierwszego rzędu. Nazywał się Embra i był przywódcą grupy oporu, znanej jako Biegacze Sisara. - Wszystko wskazuje na to, że przywrócenie poprzedniego stanu planety jest niemożliwe. Z tego, co wiemy, wynika, że Yuuzhan Vongowie zdołali nawet dokonać zmiany orbity planety i parametrów jej

ruchu wirowego.

- Dlaczego zresztą mielibyśmy marnować kurczące się zasoby na ratowanie Coruscant? - podchwycił jakiś oficer z Agamara. - Co zrobili dla nas senatorowie Nowej Republiki, kiedy zaatakowały nas hordy Yuuzhan Vongów? Zostawili nas na pastwę losu! Pozwolili, żeby planety Odległych i Środkowych Rubieży wpadły w ręce nieprzyjaciół, a sami ściągnęli floty do ochrony Jądra galaktyki!

- Rzeczywiście ich postępowanie było w wielu przypadkach godne ubolewania - przyznał Sow w silnie akcentowanym basicu, a w jego wielkich czarnych oczach pojawiły się błyski. - Można podać wiele innych przykładów błędnej oceny sytuacji. Wówczas jednak chodziło o sprawy natury politycznej, które w tej chwili nie powinny nas dzielić ani różnić.

Shimrra chce, abyśmy sądzili, że Coruscant nie nadaje się do odbudowy. Podobno jest chroniona przez ukryte systemy obronne. Wierzę jednak, że obecny stan planety może ulec zmianie. Rzeczywiście, jej orbita została trochę zmieniona, a temperatura na powierzchni nieznacznie wzrosła, ale Coruscant nadal może być zamieszkana. Roślinność pokrywa tylko jej powierzchnię. Pod spodem, pod tą cienką warstwą, wiele naszych urządzeń nadal działa albo przynajmniej nadaje się do naprawy.

Kiedy skończył, głos zabrał dowódca Eskadry Łotrów Gavin Darklighter.

- Proszę państwa, zgodnie z meldunkami przekazywanymi przez Jacena Solo Coruscant jest rzeczywiście chroniona przez ukryte systemy obronne - oznajmił zwięźle. - Jedi Solo dał do zrozumienia, że atak może uruchomić środki, przez które powierzchnia planety przestanie się nadawać do ponownego zamieszkania.

- Wzięliśmy pod uwagę raport Jacena Solo - odezwał się Kre'fey.

- Pamiętając jednak o jego więziennych doświadczeniach, nie jesteśmy skłonni uważać jego oświadczenia za absolutną prawdę.

Han objął Leię i uściskał jej ramię.

- Spokojnie, kotko manta - szepnął. - Niby czego mogłaś się spodziewać po Kre'feyu? Księżniczka odwróciła się do męża.

- Wierzysz Jacenowi, prawda? - zapytała.

- Oczywiście, że mu wierzę - odparł Han. - Ale ci goście nie są równie bystrzy jak my.

- Co innego mówiłaś, kiedy byliśmy na pokładach Stacji Calu-ula.

Han machnął lekceważąco ręką.

- Ale wtedy gadałem, żeby gadać.

Miejsce na mównicy zajął Sow.

- Nasz atak na konwój Brygady Pokoju w przestworzach Selvarisa był tylko pierwszym krokiem w dążeniu do destabilizacji władzy najwyższego lorda Shimrry - powiedział.

- Mam pytanie, panie admirale - odezwał się dowodzący pułkiem gwiazdnych myśliwców oficer, którego Han nie znał z nazwiska. -Sądziłem, że wygraliśmy tę wojnę w przestworzach Ebaqa Dziewięć.

- To nie było pytanie, ale i tak na nie odpowiem - burknął Kre'fey.

- Ta wojna nie zostanie wygrana, dopóki nie oswobodzimy Coruscant. Nasza krucjata jest usprawiedliwiona i bardzo ważna. Coruscant oczekuje naszej zemsty! - Widocznie doszedł do wniosku, że się zagalopował, bo ciągnął już spokojniejszym tonem: - Planowany atak Shimrry na Kalamara pozostawi Coruscant słabo uzbrojoną i podatną na nasz atak. Nawet jeżeli nie zaskoczymy obrońców samego Shimrry, może uda się nam go zabić albo zmusić do odlotu z powierzchni planety. Atak to ostatnia rzecz, jakiej się po nas spodziewa.

- Przywódcy ruchu oporu na powierzchni Coruscant twierdzą, że to odpowiednia chwila - dodał Airen Cracken. - Zhańbieni są gotowi do wykonania ruchu. Nasz Wywiad sądzi teraz, że uwolnieni więźniowie Sojuszu nie są traktowani jako potencjalne ofiary czy zakładnicy. Uwolnienie ich z rąk siepaczy Shimrry miało być dla nas sygnałem, że heretycy są gotowi sprzymierzyć się z nami podczas tej walki. Shimrra uświadamia sobie doskonale, że toczy walkę na dwa fronty, i jego planowany atak na Kalamara zakrawa na akt rozpacz. Wie, że musi nas pokonać, zanim zgromadzimy wystarczające siły, aby stworzyć dla niego poważne zagrożenie albo zanim konspiracyjacy heretycy pozbawią go władzy.

Zgodnie z tym samym raportem, o którym wspominał pułkownik Darklighter - ciągnął generał - nasionostatek, którym Mózg Świata leciał na Coruscant, został opanowany, w wyniku czego zbiegło tysiące niewolników. Wielu spośród tych, którzy jakoś przeżyli dzięki temu, co udało się im wyszperać, ukraść albo splądrować, przeniknęło do szeregów ruchu oporu. Jeżeli im pomożemy, osłabią Yuuzhan Vongów od środka. Nieoczekiwany atak na planetę nazywaną przez naszych wrogów Yuuzhan'tarem będzie dla nich równie demoralizujący jak upadek Coruscant dla Nowej Republiki.

Zebrani oficerowie poruszyli się niespokojnie, ale żaden nie zdecydował się zadać pytania.

- Chciałbym na chwilę powrócić do ataku na Kalamara - odezwał się Kre'fey.

Ponownie przycisnął coś na urządzeniu kontrolnym holoprojektora. Tym razem ukazał się trójwymiarowy wizerunek przedstawiający zwierzę wodne o pękatym łbie i wielu ciągnących się za nim mackach różnej długości i grubości.

- Tak wygląda yammosk - wyjaśnił Bothanin. - To wyhodowany dzięki bioinżynierii ogromny, inteligentny stwór, który pełni obowiązki wojennego koordynatora Yuuzhan Vongów. Wykazuje telepatyczne umiejętności, wprawdzie dość ograniczone, ale wystarczające, żeby utrzymywać łączność z okrętami, a także przekazywać myśli i uczucia innym osobom, zarówno Yuuzhan Vongom, jak i ludziom. Potrafi także przesyłać rozkazy koralowym skoczkom i innym jednostkom na polu walki, dzięki czemu może decydować o przebiegu bitwy.

Z analizy ostatnich działań zbrojnych wynika, że armada Yuuzhan Vongów przybierze kształt właśnie tego potwora. Mniejsze okręty, odpowiedniki kanonierek i koralowe skoczki utworzą macki, a okręty liniowe, statki zaopatrzeniowe, lotniskowce i jednostki z yammoskiem na pokładzie zajmą pozycje w silnie chronionym sercu armady. Kre'fey skierował świetlny wskaźnik na macki yammoska.

- Nasze zadanie będzie polegało na sianiu zamętu w kluczowych miejscach. Najszybsze jednostki mają zadawać ciosy i odlatywać, co powinno stopniowo otworzyć drogę naszym strzałom do centrum armady. Te ataki rozpoczną się zaraz po wyskoczeniu Yuuzhan z nadprzestrzeni, a kiedy główne siły zbliżą się do przestworzy Kalamara, środek armady zaatakują stanowiska dalekosiężnej artylerii z pokładów naszych największych okrętów. Równocześnie wyślemy statki kurierskie do przestworzy Contruuma, gdzie będą czekały w pogotowiu pozostałe jednostki naszej floty. Przypuszczamy, że kiedy dowódca yuuzhańskiej armady w przestworzach Kalamara dostanie meldunek o ataku na Coruscant, wyda rozkaz niektórym swoim grupom szturmowym, aby wykonały skok z powrotem do Jądra szlakiem wiodącym obok Toong'la i Caluuli. Będzie pewny, że yammoski na powierzchniach tych planet skoordynują odwrót tych grup szturmowych i zabezpieczą je przed możliwymi zasadzkami.

- Z całym należnym szacunkiem, panie admirale - odezwał się jakiś kalamariański oficer.
- Wojenny mistrz Nas Choka jest o wiele sprytniejszy niż Tsavong Lah, więc nie da się wywieść w pole fałszywym informacjom agentów naszego Wywiadu. Kiedy jego podwładni znajdą się w przestworzach Toong'la i Caluuli, będą wypatrywali naszych interdyktorów albo min w rodzaju tych, jakie zastosowaliśmy z powodzeniem w przestworzach Ebaqa Dziewięć.

- Właśnie o to chodzi - zgodził się Bothanin. - I dlatego nie posłużymy się ani interdyktorami, ani minami. Zanim Yuuzhanie wyskoczą w przestworzach Toong'la i Caluuli, oddziały dywersantów Galaktycznego Sojuszu obezwładnią yammoski zainstalowane na obu tych planetach. Wycofujące się grupy szturmowe będą pozbawione koordynacji podczas bitwy, dzięki czemu w szeregi nieprzyjaciół wkradnie się chaos. Osłabimy skuteczność ich obrony i wyeliminujemy z walki więcej jednostek, niżby się udało, gdyby ich ruchami kierował koordynator. Nie liczymy na to, że całkowicie ich zniszczymy ani nawet że zadamy im poważne straty, ale im dłużej przytrzymamy wrogów w Gromadzie Tion, tym bardziej zwiększymy szanse, że nasze floty z przestworzy Contruuma poradzą sobie z atakiem na Coruscant... i z wyeliminowaniem Shimrry.

Han mruknął, jakby coś nie dawało mu spokoju, i Leia odwróciła się do niego.

- Co się stało? - zapytała.

- To się nie trzyma kupy - powiedział Solo. - Gdyby Caluula od samego początku była silnie broniona, Vongowie nie mogliby jej w tej chwili wykorzystywać jako bazy wypadowej.

Zerwał się na nogi. Księżniczka pomyślała, że mąż chce podzielić się swoimi obawami z osobami siedzącymi na podium, ale Han wypalił:

- Chciałbym wziąć udział w wyprawie na powierzchnię Caluuli.

Admirał Kre'fey odwrócił się i spojrzał na niego.

- Dziękujemy, kapitanie Solo - powiedział. - Proszę uważać sprawę za załatwioną.

Han usiadł, a żona spojrzała na niego, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu.

- O co chodzi? - zapytał Han.

- O kogo, nie o co - odparła księżniczka. - O ciebie. Selvaris, a potem znów Selvaris. Caluula, a teraz znów Caluula? A poza tym zgłosiłeś się na ochotnika do udziału w przedsięwzięciu, które, jak sam powiedziałeś, nie trzyma się kupy.

- Ta-a, ale wolałem zgłosić nas do udziału w tej wyprawie niż pozwalać, żeby ktoś inny nadstawiał karku.

Leia pokręciła głową, jakby nie potrafiła się otrząsnąć ze zdumienia.

- Zależy ci na tym, żebyśmy się dali zabić, prawda? - zapytała.

- Wręcz przeciwnie. - Han wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu. - Nie mogę pozwolić, żebyś się nudziła w mojej obecności.

- No cóż, takich atrakcji powinno mi wystarczyć przynajmniej na następnych

dwadzieścia pięć lat - odcięła się księżniczka.

Solo poklepał japo nodze, ale zaraz spoważniał.

- Jeżeli chcesz znać prawdziwy powód - oświadczył - chcę, żebyśmy tam polecieci dla uczczenia pamięci wszystkich, którzy zginęli albo dostali się do niewoli podczas walki na pokładach Stacji Caluula.

R O Z D Z I A Ł 18

Nom Anor przepytywał od niechcienia niektórych obserwatorów „obrzędu oczyszczenia” - albo rzezi, jak wielu szeptało między sobą - i doszedł do wniosku, że nikt oprócz niego nie zauważył śmiechu Shimrry. Jednak dwa dni po straceniu heretyków wszyscy obecni w Sali Zgromadzeń mogli być świadkami przerażającego chichotu najwyższego lorda.

Kłęczał przed nim Nas Choka ze zwiniętym wokół ramienia Przebłagalnym Berłem, które zazwyczaj wspierałoby tsaisi domeny wojennego mistrza.

- Najłaskawszy Lordzie - przemówił Nas Choka. - Rozkazałeś wojownikom, żeby polecieci jak najszybciej do przestworzy Kala-mara i zniszczyli okręty floty nieprzyjaciół. Chcesz zakończyć tę wojnę, żeby wreszcie móc głosić prawdę pośród tych, których planety już podbiliśmy, zamiast miażdżyć ich pod stopami niczym grichy. W imieniu kapłanów, jasnowidzów i innych osób mojej domeny ośmielam się jednak błagać cię, żebyś zechciał jeszcze przemyśleć to święte zadanie, jakie poleciłeś wykonać swoim wojownikom. Proszę cię o to w imię Yun-Yammki, któremu służę, a skoro jesteś jego zausznikiem, z całym szacunkiem także w twoje imię, bo to na twoich barkach spoczywa ciężar istnienia.

Shimrra pochylił się ku niemu i oparł spiczastą brodę na ogromnej dłoni, a Onimi zszedł po stopniach wiodących na podwyższenie z tronem, usiadł ze skrzyżowanymi nogami obok wojennego mistrza, przekrzywił głowę i zaczął go obserwować. Tym razem jednak nie wyraził swoich myśli wierszem ani nie wygłosił żadnej zniewagi.

- Proszę, proszę... a co takiego powiedzieli ci kapłani i jasnowidze, wojenny mistrzu? - zapytał Shimrra. - Twoje zastrzeżenia są pierwszym sygnałem, jaki dotarł do moich uszu. Chyba nie wątpisz, że twoja potężna armada złamie opór przeciwnika?

- Oczywiście, o Wielki Lordzie, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości - odparł

pospiesznie Nas Choka. - Mimo to instynkt nakazuje mi zapytać: za jaką cenę?

Shimrra zachęcił go władczym gestem.

- Mów dalej, wojenny mistrzu, żeby wszyscy zebrani mogli się przekonać, jakimi torami biegną myśli tak genialnego stratega.

Nas Choka uniósł głowę.

- O Wielki Lordzie, nie twierdę, że nie powinniśmy atakować Kalamara - powiedział szybko. - Podaję tylko w wątpliwość wybór chwili tego ataku.

Shimrra zademonstrował zakłopotaną minę.

- O jakiej chwili mówisz? - zapytał. - Czyżby gwiazdy na tym dziwnym niebie nie tworzyły korzystnej konfiguracji? Czyżby dni świętego kalendarza nakazywały rozważę? Czyżbyś nie miał właściwego nastroju do wymierzenia niewiernym tej kary? Mów otwarcie, wojenny mistrzu! Będę miał wtedy o tobie lepsze mniemanie.

Nas Choka zasalutował, uderzając się pięściami w barki.

- O Wielki Lordzie, moim zdaniem lepiej byłoby skupić uwagę na dalszym zabezpieczaniu dotychczas opanowanych planet w rejonach galaktyki, które nasz nieprzyjaciel nazywa Jądnem, Koloniami, Wewnętrznyymi Rubieżami i Rejonem Ekspansji - powiedział. - Jeżeli to osiągniemy, stworzymy chroniący nas przed atakiem nieprzenikniony mur, zza którego będziemy mogli dokonywać podbojów planet Środkowych Rubieży i innych sektorów galaktyki. W rezultacie odrzucimy siły nieprzyjaciela do rejonu, w którym będziemy je mogli zetrzeć na proch jednym ostatecznym ciosem.

- Czyżbyśmy tego właśnie nie osiągnęli? - zdziwił się Shimrra. -W tym momencie nieprzyjaciel gromadzi siły w przestworzach Kalamara. Zepchnęliśmy go na obrzeża własnej galaktyki.

- Niektórych nieprzyjaciół, o Łaskawy Lordzie, ale nie wszystkich - zastrzegł pospiesznie Nas Choka. - Tu i ówdzie tlą się iskierki silnego oporu. Całkowite opanowanie przestworzy Huttów zajmie wiele lat, podobnie jak podbicie rejonu Konsorcjum Hapes, imperium Chissów i Sektora Wspólnego. We wszystkich tych rejonach, a także w wielu innych nieprzyjaciel jest wciąż jeszcze bardzo silny. To prawda, duża część jego floty zgromadziła się w tej chwili w przestworzach Kalamara, ale za nasze wyprawy do rejonu Szczątków, Esfandii i ponownie Bilbringi zapłaciliśmy wysoką cenę. Okręty, systemy uzbrojenia, statki i koralowe skoczki muszą być hodowane, a to zajmuje sporo czasu. Nasza armada jest słaba, bo brakuje jej

najbardziej potrzebnych jednostek. Co więcej, musimy zdobyć lepsze wyposażenie do walki na powierzchniach planet, jeżeli nie zamierzamy ich dalej zatruwać. To z kolei wiązałoby się z ryzykiem, że bogowie źle zrozumieją nasze zamiary i uznają nas za istoty nieczułe na formy życia.

Przemówienie wywarło na Nomie Anorze duże wrażenie. Prefekt bardzo chciałby mieć dość odwagi, żeby otwarcie poprzeć wojennego mistrza, ale nie mógł sobie na to pozwolić w obawie, że naraziłby na szwank specjalne względy, jakimi się cieszył u lorda Shimrry. W rzeczywistości chciał tylko chronić planetę, którą powierzono jego pieczy. Od tylu lat walczył, starając się zdobyć jak największą władzę, że nie miał ochoty rezygnować z przywilejów obecnego stanowiska z powodu jakiejś niezręczności Shimrry.

Najwyższy lord był zbyt sprytnym strategiem, żeby nie zgadzać się ze wszystkim, co usłyszał z ust Nasa Choki, ale wojenny mistrz nie miał pojęcia o istnieniu wielkiej niewiadomej, która zmuszała najwyższego władcę do pośpiechu... choćby nawet niektórzy chcieli mu zarzucić krótkowzroczność.

Tą niewiadomą była Zonama Sekot.

- Doceniam twój niepokój, wojenny mistrzu - odezwał się Shimrra. - Przyznaję, że nikt inny nie zasługuje bardziej na ten zaszczyt, bo twoja przenikliwość jest ostra niczym klinga coufee. - Urwał na moment, żeby Nas Choka odzyskał pewność siebie. - Jesteś jednak w błędzie - podjął po chwili. - Zapewniam cię, że Yun-Yuuzhan był bardzo zadowolony ze śmierci tylu heretyków, którym odebraliśmy życie na placu Kości. Możesz mi wierzyć, Yun-Yuuzhan uśmierzy niepokój Uśmierciela i pozostałych bogów. W nagrodę za twoją troskę, wojenny mistrzu, przypadnie ci w udziale wielkie zwycięstwo, a wszyscy będą śpiewali pochwalne pieśni o tobie i dowódcach twoich wojowników, teraz i przez wiele następnych pokoleń Yuuzhan Vongów.

Nom Anor uśmiechnął się w duchu.

Shimrra doskonale opanował reguły tej gry. Wszystko, co mówił o uśmierzeniu gniewu bogów, było zwyczajnym mydleniem oczu, ale kapłani nie mogli podawać jego słów w wątpliwość, bo najwyższy lord był jedynym pośrednikiem między nimi a bogami.

Nom Anor doszedł także do wniosku, że Shimrra miał rację w tym, co mówił podczas ich ostatniego spotkania. Jego ziomkowie mogli sobie dawać radę bez bogów. Nie chodziło o to, że bogowie nie istnieją... po prostu przestali być potrzebni Yuuzhan Vongom.

W pewnej chwili poczuł utkwiony w sobie czyjś wzrok. Zerknął na Shimrrę, ale najwyższy lord nadal piorunował spojrzeniem Nasa Chokę.

Na Noma Anora patrzył Onimi.

W grocie dowodzenia, ukrytej głęboko w trzewiach świętej góry, jaką był światostatek Cytadela, Nas Choka, jego główny taktyk, i wojownicza prorokini stali wokół roju krążących niespokojnie w koralowej niszy ognistych robaczków. Owady potrafiły się unosić nieruchomo i rozbłyskiwać albo gasnąć na rozkaz yammoska, dzięki czemu mogły reprezentować jednostki sił zbrojnych Yuuzhan Vongów i nieprzyjaciół, zgromadzone w przestworzach Kalamara oraz sąsiednich planet Toong'la i Caluuli.

Gorączkowy ruch owadów w powietrzu pasował do szaleńczego biegu myśli Nasa Choki.

- Shimrra jest obłąkany - odezwała się w pewnej chwili wojownicza-prorokini. - Ten jego śmiech... on chyba sądzi, że przekazał potomności coś więcej niż tylko wiedzę o biegu wydarzeń.

Wojenny mistrz spojrział z dezaprobatą na usmarowaną krwią podwładną.

- Tu jesteś bezpieczna, prorokini, ale na twoim miejscu bardziej zważałbym na to, jakie słowa wylatują z moich ust - przypomniał surowo. - Shimrra ma uszy we wszystkich zakamarkach Cytadeli i to więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Jak myślisz, kto by stanął w twojej obronie i stoczył za ciebie walkę z którymś z udoskonalonych wojowników najwyższego lorda, gdybyś została zmuszona do takiego pojedynku?

Yuuzhanka skłoniła się nisko.

- Błagam o wybaczenie, wojenny mistrzu - powiedziała.

- Nikt nie może sprzeciwić się woli Shimrry. W tej chwili liczy się tylko to, żebyśmy go nie zawiedli. - Nas Choka odwrócił się do najstarszych stopniem podwładnych. - Tutaj nikt z was nie musi się obawiać wyrażania osobistych opinii - podjął po chwili. - Miejcie się jednak na baczności w każdym innym miejscu, czy to na powierzchni, czy też z daleka od Yuuzhan'tara. - Przeniósł spojrzenie na rój ognistych robaczków. - Nieprzyjacielska flota pozostaje w przestworzach Kalamara. Co więcej, została niedawno wzmocniona przez jednostki z innych systemów, czasem bardzo odległych od terenu działań zbrojnych.

Taktyk w wysokim turbanie i długim płaszczu pokiwał głową.

- Jest tak, jak się obawiałem: łączą siły do walki przeciwko nam - zauważył. -

Popelniliśmy błąd, opuszczając zbyt szybko przestworza Szczątków i Gromady Koornacht. Należało spróbować wykorzystać tak zwanych Imperialców i barbarzyńskich Yevethów. W najgorszym przypadku trzeba było wodzić ich za nos tak długo, aby sami doszli do wniosku, że zawarcie przymierza z nami leży w ich najlepiej pojętym interesie.

Nas Choka prychnął. Taktyk wypowiedział na głos myśli, które od pewnego czasu nie dawały mu spokoju.

- Gdybym musiał to zrobić jeszcze raz, postarałbym się zatrzymać Huttów po naszej stronie - powiedział.

- Sami są sobie winni - przypomniał taktyk. - Złożyli nam propozycję poparcia naszych starań tylko dlatego, że chcieli nas wykorzystać jako straszak na własnych nieprzyjaciół. Nie docenili nas i to wystarczający powód, żebyśmy teraz traktowali ich jak wrogów.

Wojenny mistrz kiwnął głową.

- Istoty tej rasy są wyjątkowo aroganckie - zauważył. - Wcześniej czy później spróbowałyby nas zdradzić i nasza współpraca zakończyłaby się walką. W rezultacie doszlibyśmy do obecnego stanu rzeczy.

- Może z jednym wyjątkiem: że Nas Choka nie zostałby wywyższony do stanowiska wojennego mistrza - odezwała się prorokini.

- Nie było jednak nikogo innego, kto mógłby zostać wywyższony - mruknął oschle Nas Choka. - Tsavong Lah poświęcał zbyt wiele uwagi tym Jeedai. Traktował wojnę jak osobistą rozgrywkę. Przez swoją pychę kazał hodować vua'sę tylko dlatego, żeby go zabić i im-plantować sobie jedną z jego łap. Był zuchwały i właśnie to przyczyniło się do jego zguby. Zuchwałość zaślepiła go do tego stopnia, że przestał dostrzegać prawdę. Jeedai są wprawdzie niczym uprzykrzone owady, ale nie powinniśmy ich uważać za tajną broń, jak kiedyś. Zresztą z każdą chwilą ich liczba się zmniejsza, podobnie jak zdolność do wzywania Mocy. - Parsknął krótkim śmiechem. - Tsavong Lah rozkazał swojej armadzie wyruszyć do walki przeciwko garstce prostaków z magicznymi mieczami. Jego decyzja byłaby po prostu śmieszna, gdyby nie okazała się tak tragiczna w skutkach. Wojenny mistrz jeszcze raz wbił spojrzenie w rój robaczek.

- Intryguje mnie, że wróg trwa w przestworzach Kalamara - podjął po chwili. - Instalując yammoski na powierzchniach Toong'la i Caluuli, daliśmy im chyba niedwuznacznie do zrozumienia, że zamierzamy ich zaatakować. Sow, Kre'fey i pozostali dowódcy Sojuszu muszą być ślepi i głusi, żeby nie widzieć, na co się zanosi. Wszystko wskazuje na to, że miałem o nich

zbyt wysokie mniemanie. Chciałem im dać do zrozumienia, żeby rozproszyli swoje grupy szturmowe, co pozwoliłoby im uniknąć decydującej walki, bo przypuszczałem, że Shimrra właśnie do niej dąży, a jednak nic nie świadczy o tym, by przejrzeni moje zamiary. Albo niewłaściwie mnie zrozumieli, albo wymyślili sposób pokrzyżowania naszych planów.

- Mimo to, wojenny mistrzu - odezwał się taktyk - byłoby bez sensu, gdyby podjęli walkę w przestworzach Kalamara. Mamy nad nimi miażdżącą przewagę w okrętach, sile ognia i wojownikach, a chyba nie chcą, żebyśmy spustoszyli planetę, którą obrali za nową stolicę.

Nas Choka zastanowił się chwilę nad jego słowami.

- Tak, obawiam się, że w końcu jednak pójdą w rozsypkę- mruknął cicho.

Taktyk był wyraźnie zdezorientowany.

- Czy właśnie nie na tym nam zależy, wojenny mistrzu? - zapytał.

- Zależało nam na tym, żeby poszli w rozsypkę, zanim przelecimy przez pół galaktyki, aby ich do tego nakłonić - wyjaśnił Nas Choka. - Teraz jesteśmy gotowi do walki. Pojawimy się w przestworzach Kalamara, oni pójdą w rozsypkę, a my nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko ścigać ich do krańców galaktyki i z powrotem... bo Shimrra na pewno wyda nam taki rozkaz.

- Takie przedsięwzięcia zajmą wiele lat i pochłoną wiele środków - zauważył podwładny.

- Z podobnymi problemami borykali się wiele razy nasi prapraprzodkowie w macierzystej galaktyce - przypomniała prorokini. -Bywało, że toczono wojny przez wiele pokoleń.

Taktyk przeniósł spojrzenie na isierki wirujących owadów.

- Co będzie, jeżeli nieprzyjaciele sprawią nam niespodziankę i zdecydują się podjąć walkę? - zagadnął zaniepokojony taką możliwością.

Nas Choka się uśmiechnął.

- Wtedy będę wiedział na pewno, że Kre'fey i pozostali wymyślili sposób, jak sobie z nami poradzić.

Prorokini nie wyglądała na zachwyconą jego odpowiedzią.

- Czy przypadkiem podczas naszej nieobecności niewierni nie ośmielą się zaatakować Yuuzhan'tara? - zapytała.

- Długo się nad tym zastanawiałem - przyznał Nas Choka. -Wziąłem pod uwagę

zniszczenia, do jakich mogłoby dojść, gdyby użyli do tego ataku trzykrotnie więcej okrętów i jednostek pomocniczych niż te, które znajdują się w sektorach odległych od Kalamara, i doszedłem do wniosku, że nie są w stanie wyrządzić poważnych szkód na powierzchni planety. Mimo to zabezpieczyłem się i przed taką ewentualnością. Nawet jeżeli przeskoczą tam wszystkie jednostki ich floty, tym lepiej dla nas.

- Mogliby zinterpretować zmiany dokonane przez nas na powierzchni jako zachętę do ataku na Yuuzhan'tara - stwierdził taktyk.

Wojenny mistrz nie wyglądał na zaniepokojonego.

- To także obróci się na naszą korzyść - powiedział. - Nie przyjrzelśmy się jeszcze problemowi ze wszystkich stron. Zostało nam niewiele czasu, ale musimy go wykorzystać jak najlepiej, zanim Shimrra dojdzie do wniosku, że wróżby są pomyślne i może wydać rozkaz wysłania floty.

Prorokini stanęła w takim miejscu, żeby wojenny mistrz zaszczyił ją spojrzeniem.

- Rozmawiałam z innymi prorokiniami na temat tych wróżb -oznajmiła. - Zgodziłyśmy się naciągnąć trochę prawdę, żeby twoje siły zbrojne miały więcej czasu na przygotowanie się do tej wyprawy.

- Najwyższy lord od razu się tego domyśli - uprzedził Nas Choka. - Zwłaszcza po tym, jak usiłowałem go dzisiaj ostrzec. Potraktuje jednak wasze kłamstwa jako gest pojednawczy wobec mnie, podobnie jak zniesie obecność waszą i waszej kohorty jako rękę wyciągniętą w stronę elity. Starajcie się jednak nie opóźniać zańdado tego, co nieuniknione. - Urwał na chwilę. - Na razie musimy wzmóc czujność naszych dywersantów i tajnych agentów na okupowanych i podbijanych planetach. Powinni meldować o wszystkich niezwykłych ruchach okrętów, sprzętu i kurierów.

- Kre'fey będzie się tego spodziewał - domyślił się taktyk. - Miej na uwadze, wojenny mistrzu, że za śmierć Tsavonga Laha były przynajmniej częściowo odpowiedzialne dezinformacje rozsiewane przez nieprzyjaciół.

Wdzięczny za przestroagę Nas Choka położył dłoń na ramieniu podwładnego.

- Nie ufajcie informacjom, które prześlą nasi agenci z powierzchni Kalamara - powiedział. - Sojusz pozostawił ich przy życiu tylko dlatego, że ma nadzieję jakoś ich wykorzystać. Poinformujcie także naszych szpiegów, że mają mieć oczy szeroko otwarte, ale nie wolno im podejmować żadnych akcji ani przeprowadzać sabotaży. Nie chcę od nich niczego

oprócz informacji. Potrafię odróżnić prawdę od prób wyprowadzenia mnie w pole. Chcę dać dostojnikom Sojuszu pęd winorośli na tyle długi, żeby się sami na nim powiesili.

II - A T A K I K O N T R A T A K

R O Z D Z I A Ł 19

Na niebie pojawiły się gwiazdy.

Luke krążył z głową odchyloną do tyłu i oczami wlepionymi w niebo. Pod ogromnymi bora i baldachimem gwiazd czuł się jak pyłek. Powietrze było chłodne - zwłaszcza że nadal wiał lodowaty wicher - ale po niebie nad jego głową nie płynęły chmury. Stojący obok mistrza Jedi R2-D2 najpierw ćwierkał i szczebiotał, a potem zakwilił, zupełnie jakby widok gwiazd przyniósł mu niezmierną ulgę.

Luke spojrział na wyświetlacz na kopułce robota.

- Jesteś tego pewien, kolego? - zapytał.

Robot obrócił srebrzystą kopułkę i skierował główny fotoreceptor w niebo, żeby jeszcze raz przyjrzeć się gwiazdom i gromadom. Kiedy już porównał wyniki obserwacji z gwiazdnymi mapami, jakie przepisał do pamięci z pokładowej bazy danych „Mężobójcy”, zakwilił, zaćwierkał i znowu zaszczebiotał.

Luke uśmiechnął się i położył dłoń na kopułce automatu.

- Przynajmniej jesteśmy bliżej znanego rejonu przestworzy, niż przypuszczaliśmy - powiedział. - Ale jeżeli chcemy się dowiedzieć, dokąd zaprowadzi nas kolejny skok Sekot przez nadprzestrzeń, musimy uzbroić się w cierpliwość.

R2-D2 zakołysał się z boku na bok na wspornikach, po czym wydał serię melodyjnych dźwięków.

Tego dnia Luke wyłonił się pierwszy z wykutej w zboczach góry jaskini, jednej z wielu, w których mieszkały setki ferroańskich rodzin. Ogromna pieczara, podobna do innych w Średnim Zasiągu, została wydrążona jeszcze w czasach Przelotów. Pewnego dnia żyjąca planeta opuściła

orbitę w Rozpadlinie Gardajia, przeleciała przez kilka gwiazdnych systemów i dotarła do Nieznanych Rejonów, w których Sekot wybrała Klasse Ephemorę jako nowe miejsce pobytu i sanktuarium dla Zonamy.

Po rozmowie w jaskini Sekot oznajmiła, że musi dokonać kilku kontrolowanych próbnych skoków, żeby ocenić, czy skok przez nadprzestrzeń, na jaki się zdecydowała pod wpływem impulsu po zamachu Noma Anora, nie pozostawił trwałych uszkodzeń rdzeni jednostek napędu nadświetlnego czy innych planetarnych mechanizmów, stosowanych przez Sekot w celu zwiększenia mocy potężnych silników. Groźniejsza była jednak całkiem realna możliwość spotkania nieoznaczonego cienia masy w drodze powrotnej do normalnych przestworzy. Katastrofa groziła każdemu, kto decydował się na skok przez nadprzestrzeń nieprzetartym szlakiem... a w Nieznanych Rejonach po prostu nie istniały odpowiedniki Perlemiańskiego Szlaku Handlowego czy Hydiańskiej Drogi. Co gorsza, cały ten obszar przestworzy służył z nadprzestrzennych anomalii, szczególnie w pobliżu Jądra galaktyki.

Luke i pozostali Jedi musieli uwierzyć, że Sekot wie, co robi. Zamiast się martwić, że nieoznaczona studnia grawitacyjna może ich wyszarpnąć z nadprzestrzeni, mistrz Jedi spędzał dni w jaskini, zastanawiając się nad odkrytym stwierdzeniem Sekot, że pradawni Yuuzhan Vongowie zostali odarci z Mocy. Sekot nie chciała powiedzieć nic więcej, a przemawiając ustami Jabithy, stwierdziła tylko, że mimo śmiertelnych niebezpieczeństw grożących planecie podczas Przelotów i wyskakiwania z nadprzestrzeni Zonama musi powrócić do znanych przestworzy.

Rewelacyjne objawienie - Luke nie określiłby tego w inny sposób - wywarło piorunujące wrażenie nie tylko na mistrzu Jedi, ale także na Harrarze. Luke zachodził w głowę, czy przypadkiem niedoszli Jedi, którzy osiedlili się kiedyś na powierzchni planety, zamiast poinformować Sekot o istnieniu Mocy, tylko ponownie ją obudzili.

Kilkanaście kroków od Luke'a, na otoczonej przez bora polance spoczywał „Cień Jade”. Gwiazdny jacht, zbudowany tak, żeby latał szybko i cicho, miał ostro zakończony dziób i kadłub polakierowany na matowoszary kolor. Jednostki napędu nadświetlnego mogły rywalizować z tymi, jakimi dysponował „Sokół Millenium”, a na pokładzie zainstalowano obwód podporządkowania, który umożliwiał zdalne sterowanie. Rufowa ładownia była na tyle duża, że mógł się w niej zmieścić myśliwiec typu X-wing.

Statek wywarł duże wrażenie nawet na Sekot. Luke podejrzewał, że to właśnie ona zapobiegła zmiążdżeniu „Cienia Jade” przez pnie kilku bora, zwalonych nieco wcześniej przez

potężną wicherę. Mimo to jacht był zagrzebany prawie po trójkątną sterownię w piasku, liściach, kawałkach kory i gałęziach.

- Czy nic mu się nie stało podczas tego skoku? - zaniepokoiła się Mara, która wyłoniła się z cienia ogromnych bora z prętem jarzeniowym w dłoni, podeszła do męża i spojrzała na statek.

- Nie widać, żeby został uszkodzony - odparł mistrz Jedi.

Mara odgarnęła włosy na prawe ramię, odchyliła głowę do tyłu i spojrzała na krąg jaskrawo świecących gwiazd.

- Może wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Artoo twierdzi, że gdzieś w obrębie Środkowych Rubieży. Robot zapiszczał.

Mistrzynie Jedi spojrzała na niego z sympatią.

- Czy to dobrze? - zapytała męża.

- To początek. - Luke obejrzał się na miejsce, z którego wyłoniła się żona. - Gdzie się podzieli wszyscy inni?

- Jacen, Corran i Danni starają się przekonać Ferroan, że nic im nie grozi po opuszczeniu kryjówek - odparła Mara. - Kiedy ostatnio widziałam Tekli, Sabę i Tahiri, rozmawiały z Harrarem, który próbuje znaleźć więcej podobieństw między formami życia Yuuzhan Vongów a tymi, które widzi na powierzchni planety. - Podeszła do „Cienia Jade” i odwróciła się do męża. - Jak myślisz, czy znajdujemy się blisko Stacji Esfandia?

- Istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Gwiezdny jacht został wyposażony w urządzenie, które wyglądało jak automat do otwierania włazu z zewnątrz, ale właściwy panel kontrolny został ukryty pod sterburtową przegrodą i mógł być uruchamiany za pośrednictwem Mocy. Mara weszła pierwsza po rampie i spojrzała przez iluminatory. Na zewnątrz kadłub statku był brudny i zaniedbany, ale wewnątrz chyba się nie zmieniło. Skywalkerowie usiedli na fotelach i włączyli pokładowe komunikatory HoloNetu i łączności podprzestrzennej. R2-D2 wysunął smukły wysięgnik systemu informatycznego, umieścił końcówkę w gnieździe i obrócił tarczę, żeby wybrać pożądaną kanał.

- Stacja Esfandia, tu „Cień Jade”... - odezwała się Mara. Odczekała minutę, po czym kilkakrotnie powtórzyła wezwanie.

Odpowiedziały jej tylko szумы i trzaski.

- W przestworzach Klasse Ephemory znajdowaliśmy się jeszcze dalej od Esfandii, a

mimo to udało się nam nawiązać z nią łączność

- przypomniała Mara po kilku kolejnych daremnych próbach połączenia się ze stacją.

Zirytowany Artoo zabuczał.

- Twierdzi, że nie może znaleźć żadnego funkcjonującego urządzenia nadawczoodbiorczego HoloNetu - przetłumaczył mistrz Jedi.

- Spróbuj jeszcze raz - poleciła Mara.

Kiedy R2-D2 kręcił tarczą wysięgnika w prawo i w lewo, oboje Skywalkerowie zastanawiali się nad możliwymi przyczynami takiej sytuacji.

- Nic - odezwał się w końcu Luke, przerywając przedłużającą się ciszę.

Mara zmarszczyła ozdobione kilkoma piegami czoło.

- Czy to możliwe, żeby Yuuzhan Vongom udało się w końcu zniszczyć przekaźnik na powierzchni Esfandii? - zapytała.

Luke rozsiadł się wygodniej na fotelu pilota.

- Corran mówił, że powstały plany czegoś dużego, co ma związek z planetą Bilbringi - powiedział. - Ale nawet jeżeli Sojusz nie odzyskał kontroli nad tamtejszymi stoczniami, to nie tłumaczy, dlaczego nie możemy nawiązać łączności z żadną stacją przekaźnikową HoloNetu.

Mara pokręciła głową.

- Musiało się wydarzyć coś okropnego - stwierdziła, spoglądając na męża. - Czy mogło się zdarzyć, że Cal Omas wyraził zgodę na użycie Alphy Red?

Alpha Red był atakującą wszelkie formy życia Yuuzhan Vongów biotoksyną, opracowaną potajemnie przez Wywiad Sojuszu we współpracy z naukowcami Chissów. Pierwszą i jedyną próbkę tej biologicznej broni ukradła jednak Vergere tylko po to, żeby zmienić ją w nieszkodliwy preparat.

- Odlecieliśmy stamtąd na tyle dawno, że podwładni Difa Saura z Wywiadu mogli opracować następną próbkę - dodała mistrzyni Jedi.

Luke pokręcił głową.

- Cal obiecał mi, że użyje Alphy Red tylko w razie ostateczności

- powiedział.

- Może doszedł do wniosku, że właśnie nadeszła pora - odparła Mara. - A może Yuuzhan Vongowie zrewanżowali mu się własną biotoksyną, atakującą formy naszego życia?

- Cal jest zbyt mądry, żeby się zdecydować na użycie takiej broni - zauważył mistrz Jedi.

- Zła nie da się ot tak, po prostu wyplenić. Jest taką samą częścią życia jak dobro.

Mara obrzuciła go powątpiewającym spojrzeniem.

- Myślisz jak Jedi, nie jak admirał czy polityk. - Wypuściła powietrze z płuc. - No dobrze, jakie inne rozwiązanie proponujesz w celu zakończenia tej wojny?

- Jeszcze nie wiem - przyznał Luke. - Jednego jestem pewien: to rozwiązanie nie będzie się nazywało Alpha Red.

Mara uśmiechnęła się i ujęła go za rękę.

- Przypadkiem zgadzam się z tobą - oznajmiła. - Ale zaczynasz używać takich samych argumentów, jak Vergere i Jacen.

- Oskarżony przyznaje się do winy - mruknął Luke. - Ale co w tym złego?

- W zasadzie nic - przyznała Mara. - Jeżeli nie liczyć tego, że prawdopodobnie jesteś bardziej zespolony z Mocą niż którekolwiek z nich.

Luke uśmiechnął się z przymusem.

- Czuję się, jakbym cały czas przygotowywał się do życiowego egzaminu - zaczął. - A on może nastąpić w każdej sekundzie, w każdym dniu. Nauka ciągnie się bez końca, a ja nie mam nic przeciwko temu. Z każdym dniem moje rozumienie Mocy staje się coraz głębsze. Jestem mistrzem Jedi, ale może do końca życia nie będę się czuł jak prawdziwy Jedi. Zresztą to Jacen, Jaina, Tahiri, Ben są przyszłością Zakonu Jedi. Wszystko, co robimy, robimy dla nich... Muszą kontynuować dzieło rozpoczęte tysiące pokoleń temu.

Oderwał oczy od żony i powiódł spojrzeniem po sterowni.

- Wiem, o czym myślisz - odezwała się po chwili Mara. - Wydaje mi się, że najwyższy czas, żebyśmy spróbowali.

Luke uśmiechnął się do niej.

- Gdybyś pogrzebała w moich myślach trochę dłużej, dowiedziałabyś się, dlaczego nie możemy stąd odlecieć - powiedział.

Mara sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że martwisz się możliwością natknięcia się na cień jakiejś masy - stwierdziła. - Artoo potrafi wytyczyć dla nas bezpieczną trajektorię lotu... nawet gdyby powrót do znanych przestworzy wymagał dwudziestu mikroskoków.

- Nie o to chodzi. - Luke ponownie spojrzał na żonę. - Maro, niepokoję się o los Bena tak samo jak ty. Wiemy, że zdarzyło się coś okropnego, ale to minie. Musimy skupić uwagę na

tym, co najważniejsze.

Mistrzynie Jedi wstała z fotela i zaczęła spacerować po sterowni. Wreszcie odwróciła się znów do męża i skrzyżowała ręce na piersi.

- Martwię się, co przyniesie nam przyszłość - zaczęła. - Niepokoję się o los Bena. Sam powiedziałeś, że we wszystkich naszych poczynaniach powinniśmy mieć na uwadze dobro jego i innych młodych Jedi. - Podeszła do fotela, usiadła i ujęła dłonie męża. - Pamiętasz, już raz Ben o mało nie zginął na Coruscant z ręki tej wiedźmy Viji Shesh - przypomniała. - Gdyby stało się nam coś złego...

Luke ujrzał oczyma wyobraźni małego synka o złocistorudych włoskach.

- Jeżeli stąd odlecimy, możemy zniszczyć wszystko, co dotąd osiągnęliśmy - powiedział. - A wówczas nie będziemy w stanie pomóc nikomu, nie tylko Benowi.

Mara jakiś czas przyglądała mu się w milczeniu.

- Mówisz to na podstawie własnego doświadczenia, prawda? - domyśliła się w końcu. - Na podstawie pomyłki, jaką kiedyś popełniłeś.

- To prawda.

- Czasami najlepszym rozwiązaniem jest działanie.

- Działania mają swoje konsekwencje.

- A z jakimi konsekwencjami musimy się liczyć w tym przypadku? - zagadnęła mistrzyni Jedi. - Na powierzchni Zonamy Sekot mogą zostać Jacen i Corran. Jeżeli chcesz, zostawimy im „Cień Jade”. Poprosimy Sekot, aby wyhodowała nam jakiś statek.

- Martwię się właśnie losem Sekot - stwierdził Skywalker. Osłupiała Mara spojrzała na niego.

- Sekot? - powtórzyła.

- Sekot może źle zrozumieć nasz odlot - wyjaśnił Luke. - Pomyśli, że nie mamy do niej zaufania, i zmieni decyzję o powrocie do znanych przestworzy.

- Możesz jej wytłumaczyć powody naszego odlotu.

- Mam jej powiedzieć, że niepokoiimy się losem naszego synka, przyjaciół i tym, co mogło się stać z urządzeniami przekaźnikowymi HoloNetu? - zapytał z przekąsem mistrz Jedi. - A co z niepokojem samej Sekot o los żyjących na jej powierzchni Ferroan? Co z troską o przyszłość Zonamy, gdyby jednak planeta postanowiła wziąć udział w tej wojnie?

Mara zastanawiała się jakiś czas nad tym, co usłyszała. Luke uwolnił dłonie i uściśkał

czule żonę.

- Benowi nie stanie się nic złego - powiedział. - Widziałem go.

Mara zmrużyła oczy i uśmiechnęła się niepewnie.

- Widziałeś tylko, jak pilotuje gwiazdny statek różniący się od wszystkich, jakie znamy - przypomniała. - Podobny do tych, które kiedyś hodowano na powierzchni Zonamy Sekot.

Luke pomyślał o dalszym ciągu swojej wizji: Ben kreślący linie na piasku, klęczący na brzegu rzeki, obracający w palcach z uśmiechem gładkie okrągłe kamyki, mocujący się z młodym Wookieem... Zobaczył także siebie, obejmującego Bena i obserwującego ogniste linie napowietrznego ruchu na niebie nieznannej planety... podobnej do Coruscant, ale innej. To prawda, widział także syna za sterami statku niepodobnego do innych, jakie dotąd znał.

Mara obserwowała grę uczuć na twarzy męża.

- Zakładając, że nie patrzyłeś na Bena z jakiejś innej płaszczyzny istnienia, będziesz przy nim i doświadczysz wszystkiego, co widziałeś - odezwała się w końcu.

- Ty także.

- Czyżbym i ja była w twojej wizji? - zainteresowała się mistrzyni Jedi.

Prawdę mówiąc, Luke nie widział w niej żony, a przynajmniej nie od samego początku.

- Obiecaj mi coś - dodała Mara, zanim mąż miał czas jej odpowiedzieć. - Jeżeli stanie mi się coś złego...

Luke położył palec na jej ustach, jakby chciał ją uciszyć, ale Mara odtrąciła jego dłoń.

- Muszę ci to powiedzieć - dodała. - Obiecaj, że jeżeli mi się coś stanie, będziesz kochał Bena z całego serca i że stanie się dla ciebie kimś najważniejszym na świecie, tak jak teraz dla mnie.

Luke objął żonę.

- Óóó, kochana, noc jest spokojna, a sen uśmiecha się do ciebie... - szepnął.

- Obiecaj mi, Luke.

- Dobrze, jeżeli ty obiecasz mi to samo.

Mara oparła głowę o pierś męża.

- A więc bez względu na to, co się stanie, przyszłość jest zapewniona - stwierdziła z ulgą.

Nas Choka przecisnął się przez żywą membranę oddzielającą grocie dowodzenia od wścibskich oczu intruzów. W ślad za zirytowanym wojennym mistrzem podążało trzech najwyższych dowódców i grono ich podporuczników.

- W tej chwili nie możemy się już wycofać - zwrócił się Nas Choka do podwładnych i taktyków. - Najwyższy lord Shimrra nie ścierpi dalszego opóźnienia. Wydał rozkaz wysłania armady za trzy miejscowe dni, skoro wróżbici przepowiadają zwycięstwo.

- Trzy dni, o Straszliwy? - odezwał się jeden z taktyków, kiedy wojenny mistrz usiadł ze skrzyżowanymi nogami na swojej ławie z koralu yorik.

- Mam dosyć własnych kłopotów - burknął gniewnie Nas Choka. - Nie życzę sobie powtarzania moich słów. Złóż raport!

Taktyk pochylił głowę i skłonił się z szacunkiem.

- Plotki krążą tu i tam niczym roje workorobaków - zaczął. - Ze wszystkich sektorów napływają wieści o zwiększonej aktywności jednostek wroga. Przystworza Huttów opuściły statki wyglądające jak transportowce przyprawy, ale połowa miała puste ładownie. Podobnie sprawy wyglądają, jeżeli chodzi o przestworza Bothan. Zaobserwowano również zwiększony ruch w obrębie Gromady Hapes, przy czym wiele jednostek przylatuje tam z Kashyyyka i z bardziej odległych Szczątków. Znani agenci i funkcjonariusze Wywiadu organizują potajemne spotkania na powierzchni Korelii i Bimmisaari. Kurierskie statki Sojuszu Przemysłowców lądują na powierzchni Contruuma, a inne z niej odlatują. Kilka zapyściło się nawet bardzo blisko samego Yuuzhan'tara, w rejon Corulaga.

- Co za zuchwalstwo - burknął Nas Choka. - To przypomina ataki na Gyndinę i Duro, które miały odwrócić naszą uwagę przed wielką bitwą w przestworzach Ebaqa Dziewięć. - Umilkł na chwilę, żeby przeanalizować otrzymane informacje. - Mów dalej - rozkazał w końcu.

- Nasi agenci, jak im polecono, starali sienie wtrącać ani nie wzbudzać podejrzeń.

- A co w przestworzach samego Kalamara? - zainteresował się wojenny mistrz.

- Niemal połowa floty opuściła tamten rejon - ciągnął taktyk. - Wiele okrętów liniowych wróciło do macierzystych sektorów, a inne wskakują do nadprzestrzeni albo z niej wyskakują. Niektóre jednostki próbują zastąpić pochłonięte przez nasze dovin basale urządzenia przekaźnikowe.

Nas Choka wstał z koralowej ławy i podszedł do płaszczyzny złożonej z wirujących ognistych robaczków. Stał tam w milczeniu chyba z minutę.

- Długi okres mojej służby w przestworzach Huttów nie poszedł na marne - odezwał się wreszcie. - Miałem tam okazję zapoznać się ze wszystkimi rodzajami kłamstw i podstępów tych dziwnych istot. Wygląda na to, że łgarstwa i fałszerstwa przychodzą mieszkańcom tej galaktyki równie łatwo jak wynalazki naszym mistrzom przemian. Uważam zatem, że należy traktować te meldunki z najwyższą ostrożnością.

Odwrócił się do najwyższych dowódców.

- Sow i Kre'fey doskonale wiedzą, że nasze patrolowce i statki zwiadowcze są zbyt rozproszone, abyśmy mogli czuwać nad każdym planetarnym sektorem - podjął po chwili. - Starają się odwrócić naszą uwagę gorączkową aktywnością w nadziei, że przeoczymy kilka jednostek, które mogą rozstrzygnąć o losach tej wojny. - Skrzywił się z niesmakiem. - Wyeliminowanie HoloNetu może jeszcze obrócić się przeciwko nam, bo straciliśmy przez to możliwość podsłuchiwania rozmów nieprzyjaciela. Przekazywanie meldunków za pomocą kurierskich statków zajmuje wprawdzie wrogom więcej czasu, ale za to wiadomości docierają tylko do uszu tych, którzy powinni je poznać. Ta wojna cały czas jest pełna nieoczekiwanych zwrotów. - Skierował spojrzenie na taktyka. - A co z yammoskami na powierzchniach Toong'la i Caluuli? - zapytał.

- Nie dzieje się z nimi nic złego, o Straszliwy - zameldował taktyk. -Chociaż...

Zawiesił głos i umilkł. Nas Choka czekał jakiś czas, aż w końcu wybuchnął:

- Wykrztuś wreszcie!

- Caluula się nam poddała, wojenny mistrzu - dokończył taktyk. - Jeszcze zanim zdobyliśmy orbitalną stację, pani gubernator tej planety skontaktowała się z dowódcą naszej grupy szturmowej. Obiecała, że Caluula podda się nam bez walki i pozwoli się opanować bez konieczności uniesienia choćby jednego amphistaffa.

- Nie widzę w tym nic niezwykłego - wtrąciła się wojowniczką—prorokini. - Przedstawiciele wielu miejscowych władz postanawiają, moim zdaniem bardzo rozsądnie, uniknąć pustoszenia ich planet w zamian za obietnicę, że ograniczymy liczbę schwytanych jeńców i nie będziemy się spieszyli z przekształcaniem powierzchni, a także z niszczeniem budowli, świątyń i mechanizmów. Tak było już wtedy, kiedy zdobywaliśmy planetarną bibliotekę na Obroa-skai.

- To prawda, prorokini, ale w przypadku Caluuli pani gubernator wyraziła szczególne życzenie - poinformował taktyk. - Poprosiła nas mianowicie o zgodę na wizytę naukowców, którzy mają zbadać jakieś charakterystyczne tylko dla tej planety zjawisko przyrodnicze. Naturalnie oznacza to konieczność utrzymania w ruchu tamtejszego kosmoportu, na którym mogłyby lądować statki z personelem naukowym.

Nas Choka zaplótł potężne ręce na piersi.

- Nasz dowódca zgodził się na to? - zapytał.

Taktyk pokiwał głową.

- Wyraził tymczasową zgodę w celu przyspieszenia i ułatwienia pacyfikacji planety, a także ze względu na yammoska. Nie chcąc narażać naszych ziomków na kontakt z wytworami martwej techniki, powierzył zabezpieczenie kosmoportu sługusom z Brygady Pokoju. W tej chwili jednak to Drathul powinien wyrazić zgodę na wizytę naukowców na Caluuli. Oczywiście arcyprefekt musi przedtem wziąć pod uwagę dalekowzroczność arcykapłana Jąkana.

Jakąś minutę Nas Choka przechadzał się w milczeniu po grocie dowodzenia.

- To bardzo ciekawe - odezwał się w końcu. - Większość jednostek nieprzyjacielskiej floty pozostaje w przestworzach Kalamara. Gdzie indziej okręty krążą pozornie bez celu, a teraz, po tygodniach szlachetnych walk obrońców orbitalnej stacji, Caluula poddaje się bez walki! - Urwał i pozwolił, żeby jego słowa zawisły w powietrzu, po czym odwrócił się do taktyka. - Powiedz Eminencji Jakanowi, że chciałbym zamienić z nim kilka słów, zanim wyrazi zgodę na tę niezwykłą prośbę. Podwładny się skłonił.

- Czy coś jeszcze, o Straszliwy? - zapytał.

- Kto dowodzi stanowiskiem yammoska na powierzchni Caluuli? - zainteresował się Nas Choka.

- Za chwilę wrócę z odpowiedzią na to pytanie, wojenny mistrzu.

Nas Choka podszedł znów do koralowej ławy.

- Wróc nie tylko z odpowiedzią, ale także z poświęconym villipem tego dowódcy - rozkazał. - Z nim także muszę zamienić kilka słów.

Yuuzhański wojownik w kosmoporcie Caluuli dał jasno do zrozumienia, że jeżeli ktoś mu da choćby najbliższy pretekst, nie omieszka rozwinąć amphistaffa. Widok wytatuowanego i upstrzonego bliznami Yuuzhanina stojącego na tle wahadłowców i ładowników był tak absurdalny, że Han otworzył szeroko oczy ze zdumienia, ale miał dość rozsądku, żeby nie

pozwoić sobie na najlżejszy uśmiech. Na orbicie Caluuli zauważył kilka okrętów Yuuzhan Vongów, chociaż mniej niż się spodziewał.

Jakiś wojownik zainteresował się wchodzącymi naukowcami.

- Ty jesteś główną badaczką i nazywasz się Meloque? - zagadnął w basicu Ho'Dinkę, na której barkach spoczywało powodzenie wyprawy dywersyjnej.

Dwunożna istota miała dobrze ponad dwa metry wzrostu, wyposażone w ssawki czteropalczaste dłonie, purpurową koronę sterczących na głowie termograficznych czujników i pozbawioną warg, gadzią twarz. Wyglądała niemal jak yuuzhańska mistrzyni przemian, ale to nie był jedyny powód, dla którego wzięła udział w tej wyprawie. Spośród istot wszystkich ras galaktyki najeźdźcy ze szczególnymi względami traktowali właśnie Ho'Dinów, nie tylko dlatego że te istoty odznaczały się wielką dbałością o rośliny, ale także - a może przede wszystkim - z powodu ich żywiołowego wstręta do wytworów martwej techniki.

- Tak, nazywam się Meloque - potwierdziła po yuuzhańsku Ho'Dinka.

Wojownik wyciągnął ku niej żylastą rękę.

- Potwierdź swoją tożsamość - warknął gniewnie.

Meloque wyjęła nie większe niż pięść, porośnięte długą sierścią stworzenie, które jej przekazano na Obroa-skai. Yuuzhanin ujął zwierzątko, ścisnął je i przyjrzał się uważnie cuchnącym odchodom, jakie zostawiło na kawałku grubego jak skóra pergaminu. W końcu kiwnął głową i pytającym gestem wskazał Hana, Leię, Kypa, Juddera Page'a i Wrawa, agenta bothańskiego wywiadu.

- To członkowie mojego zespołu naukowego - wyjaśniła Ho'Dinka. - Ich tożsamość powinna zostać także zarejestrowana w pamięci lumpena.

Spędziła prawie cztery lata pośród Yuuzhan Vongów na powierzchni okupowanej przez nich planety bibliotecznej, wiedziała więc doskonale, jak sobie z nimi radzić i jak się do nich zwracać.

Wojownik ścisnął lumpena tak mocno, że zwierzątko pisnęło, a na kawałek pergaminu spadło kilka następnych bobków. Yuuzhanin obejrzał je dokładnie i najwyraźniej doszedł do wniosku, że wygląd stojących przed nim istot człekokształtnych i ludzi odpowiada fałszywym nazwiskom i tożsamościom. Pokiwał głową.

- Lumpen pozostanie tu do waszego odlotu - zdecydował. - Jeżeli nie wrócicie w ciągu trzech miejscowych dni, zostanieie wytropieni, uwięzieni i ukarani za swoje zuchwalstwo. Czy

to jasne?

- Tak jest - odparła Meloque w imieniu swoim i członków rzekomego zespołu naukowego.

- W takim razie możecie iść dalej.

Ku zaskoczeniu wszystkich - chociaż niektórzy podejrzewali w tym jakiś podstęp - yuuzhańscy władcy Yuuzhan'tara wyrazili zgodę na prośbę pani gubernator Caluuli, żeby grupy wybranych naukowców mogły spędzić trochę czasu na powierzchni Caluuli. Miały obserwować niezwykle zjawisko przyrodnicze zwane Nokturnem Skrzydłogwiazd, powtarzające się co trzysta standardowych lat. Jeśli Han dobrze zrozumiał, pani gubernator Caluuli zawarła tę ugodę potajemnie, kiedy jeszcze obrońcy orbitalnej stacji toczyli walkę na śmierć i życie.

Dwa dni wcześniej podczas odprawy na powierzchni Kalamara Han nie ukrywał wątpliwości. Bez ogródek wygarnął Difowi Scaurowi, że kiedy się tym ostatnio interesował, Yuuzhan Vongowie nie przejmowali się własnym wizerunkiem w oczach mieszkańców podbitej galaktyki.

W odpowiedzi chudy jak tyczka dyrektor Wywiadu, który zaplanował i pomógł zorganizować wyprawę w celu zniszczeniu yammoska na powierzchni Caluuli, podał kilka przykładów nieco wcześniejszych starań Yuuzhan Vongów, żeby zaskarbić sobie względy mieszkańców podbitych planet. Takie zachowanie najeźdźców stało w jaskrawej sprzeczności ze zwyczajem chwytania jeńców i mordowania ich przy pierwszej nadarzającej się okazji. Podobno w przypadku Caluuli decydującą rolę odegrało uzasadnienie prośby pani gubernator. Obserwowanie wyjątkowo rzadkiego zjawiska przyrodniczego musiało się spodobać yuuzhańskim kapłanom, od których przecież zależało wyrażenie zgody na tę prośbę. Dla członków grupy dywersyjnej nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia. Gdyby Yuuzhan Vongowie odmówili, rzekomi naukowcy wylądowaliby tak czy owak na powierzchni Caluuli.

W ostatniej chwili w skład grupy wszedł także Kyp Durrón, co mogło stanowić powód do niepokoju. Powszechnie sądzono, że yammoski potrafią wyczuwać obecność rycerzy Jedi, jak przekonał się Wurth Skidder, który zginął na pokładzie nieprzyjacielskiego okrętu. Kyp wyjaśniał jednak, że problem nie polega na tym, czy ktoś jest, czy też nie jest rycerzem Jedi. Yammoski wykrywały Moc, a mistrz Jedi przypominał, że Leia jest nie mniej silna Mocą niż on.

Hana chyba nie przekonało to wyjaśnienie.

- Bothanin i Jedi... - odezwał się. - Równie dobrze moglibyśmy wymalować godło

Galaktycznego Sojuszu na burtach naszego statku.

Z drugiej strony, obecność Kypa wśród uczestników wyprawy nadawała jej rodzinny charakter. Od prawie dwudziestu lat Kyp Durrion odgrywał dużą rolę w życiu rodziny Solo... odkąd Han i Chewbacca uratowali wykazującego umiejętności Jedi szesnastoletniego chłopaka z więzienia w kopalniach przyprawy planety Kessel. Solo darzył go zaufaniem po wielu próbach, z których wcześniej czy później Kyp wychodził zwycięsko. Pierwszą odbył na Yavinie Cztery, kiedy zmagił się z duchem dawno zmarłego lorda Sithów. Potem zaprzysiął zemstę wysługującej się Imperium pani admirał Daali. Następnie, pilotując „Pogromcę Słońc”, unicestwił planetę Caridę, a przy okazji także o mało nie zabił Hana i nie zniszczył „Sokoła Millenium”. Później wywiódł Jainę w pole, żeby pomogła mu zniszczyć yuuzhański światostatek w przestworzach Sernpidala. A jednak po wydarzeniach w przestworzach Myrkra to on nie pozwolił, aby Jaina przeszła na ciemną stronę. Być może nie bez znaczenia było tu ostrzeżenie Leii, że jeżeli kiedykolwiek skrzywdzi jej córkę albo innego członka rodziny Solo, lepiej zrobi, jeżeli od razu się odda w ręce Yuuzhan Vongów.

- Mam dość podróżowania, jeżeli to ma oznaczać konieczność cackania się z lumpenem zamiast okazywania identyfikacyjnych żetonów - burknął Wraw do Hana, kiedy wchodzili do budynku kosmoportu.

- Jesteśmy tu po to, żebyś więcej nie musiał - przypomniał Solo. - Mamy wystarczająco wielu nieszczęśliwych Bothan, żebyś jeszcze i ty dołączył do ich grona.

Wraw wybuchnął chrapliwym śmiechem.

- Równie silny w gębie jak sprawny w posługiwaniu się Masterem - ocenił. - Właśnie to o tobie zawsze słyszałem.

- Strzelam celnie, jeżeli o to ci chodzi... - zaczął Han.

Chciał powiedzieć coś więcej, ale żona dotknęła jego ramienia, dając do zrozumienia, żeby się ugryzł w język. Od samego początku jej mąż i funkcjonariusz bothańskiego wywiadu o pociągłej twarzy mieli z sobą na pieńku, ale Han był zadowolony, że Leia przypomniała mu w ten sposób o najważniejszym celu ich wyprawy.

Porządku na płytach lądowisk strzegli yuuzhańscy wojownicy i ogary bissop, a członkowie Brygady Pokoju - Niktowie, Weequayowie, kilku Gamorrean i inni odszczepieńcy różnych ras - zajmowali się przeglądaniem bagaży i zapewnianiem bezpieczeństwa w budynku kosmoportu. Modułowa konstrukcja z prefabrykowanych materiałów została ogołociona ze

wszystkich urządzeń, ale jeszcze nie przekształcona przez Yuuzhan Vongów. Członkowie trzech innych grup naukowców byli właśnie odprawiani przez funkcjonariuszy Brygady, którzy przeglądali ich bagaże i domagali się łapówek. Po bokach jedyne wyjście z budynku stało dwóch niezwykle wysokich ludzi... a raczej, co bardziej prawdopodobne, ubranych w maskujące ooglithy Yuuzhan Vongów.

Bagażę zespołu sprawdzali Klatooinianin i Codru-Ji, który pogrzyżył cztery ręce po łokcie w plecaku Hana. Yuuzhan Vongowie zabronili sprowadzania urządzeń rejestrujących z wyjątkiem szkicowników i pisaków, pozwolili jednak na przywożenie namiotów i sprzętu biwakowego, bo ekspedycja miała spędzać czas w niedostępnych górach otaczających z trzech stron Caluula City. Członkowie Brygady Pokoju dysponowali prymitywnymi skanerami, zdolnymi do wykrywania większości systemów uzbrojenia, więc nikt nie mógł nawet marzyć o zabranii blastera. Mimo to Leia i Kyp przemycili świetlne miecze, zakamuflowane jako rączki samopodgrzewających się patelni.

W pewnej chwili Klatooinianin położył na inspekcyjnym stole połowę brezentową torbę.

- Muszę dokładnie przejrzeć jej zawartość - oznajmił na widok zbliżającej się wysokiej Meloque, która w wąskiej jak futerał spódnicy wyglądała na jeszcze wyższą niż w rzeczywistości.

Kyp podszedł do inspekcyjnego stołu i wykonał lekki gest ręką.

- Nie musicie przeglądać zawartości tej torby - powiedział.

Człękokształtna istota o psiej twarzy spojrzała na mistrza Jedi i zamrużyła ciężkimi powiekami.

- Nie musimy przeglądać zawartości tej torby - powtórzyła.

Zdezorientowany Codru-Ji dopiero po chwili kiwnął głową na znak zgody.

- Możecie zabierać swoje manatki i odejść - podsunął mistrz Jedi.

- Możecie zabierać swoje manatki i odejść.

Kyp pochwycił spojrzenie Hana, kiedy obaj zakładali ciężkie plecaki.

- Jakiś problem? - zapytał niewinnym tonem.

- Myślałem, że coś takiego jest zabronione - mruknął Solo. Kyp wzruszył ramionami.

- Możemy porozmawiać na temat filozofii Jedi kiedy indziej - zaproponował cierpko.

Han parsknął śmiechem.

- Nie zrozum mnie źle, chłopcze - zaczął. - Gdybym potrafił to co ty, korzystałbym z

tego przy każdej możliwej okazji.

- Tak ci się tylko wydaje - odezwała się Leia, która także założyła plecak i dołączyła do nich. - Czy stosowałbyś takie sztuczki także podczas gry w sabaka?

Han zastanowił się nad jej uwagą.

- Przez to gra straciłaby na uroku - stwierdził w końcu.

- A ja jestem pewna, że za nic w świecie byś się na to nie zgodził - podsumowała księżniczka.

Zaledwie opuścili budynek kosmoportu, otoczyły ich chmary miejscowych brzękomarów. Nie kąsały, ale i tak były irytujące.

- Mam nadzieję, że pamiętałaś o zapakowaniu środka odstraszającego te owady - odezwał się Han do żony.

- To i tak by nic nie pomogło - wychrypiął Wraw. - Każdy gość przylatujący na powierzchnię Caluuli dostaje prezent w postaci setki brzękomarów. Ta setka krąży nad głową przybysza podczas całego okresu pobytu na powierzchni planety.

Han zareagował na dowcip Bothanina nerwowym chichotem.

- Cóż, każdy ma swoje wyobrażenie o tym, jak ma wyglądać udany urlop - zauważył.

Nie wspomniał o tym, że niewielkie owady przyklejają się do mającego rozjaśniać jego karnację makijażu i do kleju, na którym trzymają się siwa broda, wąsy i krzaczaste brwi. Czuł się jeszcze bardziej nieswojo niż na powierzchni Aphrana Cztery dwa lata wcześniej, kiedy nosił podobną charakterystykę. Spośród wszystkich członków grupy tylko Leia wyglądała inaczej niż zazwyczaj. Ukryła włosy pod peruką o krótko obciętych siwych lokach, a funkcjonariusze Wywiadu kazali jej połknąć pigułkę, która nadała jej skórze jasnozielone zabarwienie. Twarz Kypa, chociaż był mistrzem Jedi, nie była powszechnie znana, a Page miał tak pospolite rysy, że chwilę po spotkaniu z nim praktycznie zapominało się, jak wygląda.

Han i tak był zachwycony, że nie musiał nałożyć na twarz odmiany maskującego ooglitha, wymyślonego przez pilota Eskadry Widm, Baljosa Arnjaka. Maski takie nosili członkowie wyprawy, którzy wylądowali na powierzchni Toong'ła w celu uśmiercenia yammoska strzeżonego wyłącznie przez Yuuzhan Vongów.

Jeżeli nie liczyć spotykanego na wielu innych planetach typowego kosmoportu, Caluula była zacofanym światem, na jakim Han nie lądował od bardzo dawna. Kamienne ściany większości budynków wyglądały, jakby je ociosano innymi kamieniami, a ludzie i istoty

człekokształtne różnili się od Yuuzhan Vongów mniej, niż prawdopodobnie sobie uświadamiali. Solo nie od razu się zorientował, że na powierzchni Caluuli i setek podobnie prymitywnych planet życie biegnie bardzo powoli. Pozbawieni możliwości korzystania z urządzeń i zmuszeni do życia w cieniu nowych świątyń mieszkańcy zakochiwali się, wstępowali w związki małżeńskie, mieli dzieci i kłócili się z sąsiadami... Przyzwyczaili się do nowych potraw, do posługiwania się yuuzhańskimi narzędziami i składania przysięgi na wierność nowym władcom... ale nadal ukradkiem oddawali hołd własnym bogom.

- A oto i nasi przewodnicy - oznajmił Page.

W ich stronę kierowali się Rodianin i Ryn. Obaj mieli na sobie samodiałowe spodnie i koszule, zdezelowane buty, parciane pasy i uplecione z jakiejś włóczki ciasne czapki. Nieźle sobie radzili z osiodłanymi wierzchowcami, na których jechali i które prowadzili. Czworonogie zwierzęta wielkości niewielkich dewbacków o wydłużonych pyskach były prawie tak samo kosmate jak banthy, ale nie miały wystających kłów ani rogów.

- Nazywam się Sasso - odezwał się Rodianin, kiedy przewodnicy znaleźli się w zasięgu słuchu uczestników wyprawy.

- A ja Ferfer - oznajmił Ryn, ale kiedy podszedł bliżej, dodał szeptem: - Zbieracz jeden-sześć-cztery z Balmorry.

Han podał Rynowi rękę.

- Co słyhać u twojego szefa? - zapytał równie cicho.

- Musi uciekać - odparł Ferfer.

Solo pokiwał głową. Pytał o Ryna Dromę, z którym się zaprzyjaźnił po śmierci Chewiego, a który podobno stał na czele wszystkich Zbieraczy.

- Mogę to sobie wyobrazić - mruknął cicho.

Kiedy przewodnikom przedstawiono pozostałych uczestników wyprawy, Han doszedł do wniosku, że Sasso i Ferfer przypominają mu osobników, z którymi się stykał w Sektorze Wspólnym podczas wczesnego okresu swojego życia... na Duroonie, Deltooine i kilku innych planetach. Takie istoty bywały szorstkie i małowówne, ale dotrzymywały danego słowa.

Ostatnio, kiedy nie myślał o wojnie ani nie rozpamiętywał śmierci Chewiego i Anakina, często wspominał dawne dzieje. Zastanawiał się, jakby to było, gdyby powrócił do miejsc znanych z czasów młodości w towarzystwie Leii i dzieci, a nie wysokiego, owłosionego kompana. Chyba nadał miał w sobie coś z człowieka, który swego czasu przemierzył połowę

obszaru Odległych Rubieży. W ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat musiał brać udział w niezliczonych wystawnych przyjęciach, dyplomatycznych bankietach i królewskich weselach, ale nadal czuł się swobodniej obok istot pokroju Sassa i Ferfera niż bogatych, wpływowych księżąt i senatorów. Z rozrzewnieniem wspominał ogorzałe od wichru i słońca twarze i dłonie z odciskami od ciężkiej pracy; kąpiele w rzekach czy stawach zamiast pod prysznicem; jedzenie wygrzebywane z gleby albo zrywane z drzew, a nie wyprodukowane w fabryce...

Powiedział sobie, że może któregoś dnia on i Leia będą mieli okazję tam polecieć.

Sasso pokazał mu wierzchowca, który w miejscowym języku nazywał się timbu. Solo włożył stopę w strzemień i podciągnął się na ogromne siodło. Timbu stęknął i odwrócił do tyłu długi pysk o wilgotnych czarnych ślepiach tak szybko, że aż zakolysały się jego obwisłe uszy.

Leia zgrabnie wspięła się na siodło mniejszego timbu.

- Cokolwiek się zdarzy, nie szarp wodzy zbyt gwałtownie - ostrzegł Han.

- Bo co się stanie? - zainteresowała się księżniczka.

- Wyobraź sobie największą możliwą pecynę śliny, jaką kiedykolwiek plunął tauntaun, a potem powiększ ją przynajmniej dziesięciokrotnie - odparł mąż.

- Koszmar!

- Już kiedyś dosiadałeś timbu - odezwał się Sasso tonem wskazującym, że to nie miało być pytanie.

Han pokiwał głową.

- Na Bonadanie - rzucił.

Rodianin pokręcił stożkowatym pyskiem, co wyglądało, jakby się uśmiechnął.

- Niesamowita planeta - zauważył.

Członkowie zespołu Meloque ruszyli w drogę. Ulice Caluula City, przeważnie nieutwardzone, były patrolowane przez czteroosobowe grupy Yuuzhan Vongów, ale rzekomi naukowcy mogli się poruszać po mieście bez przeszkód. W porośniętym bujną zielenią publicznym miejscu dwaj kapłani wydawali właśnie rozkazy mieszanej grupie yuuzhańskich robotników i tubylców, którzy wznosili świątynię na cześć YunYuuzhana. Elektryczne lampy i oświetlenie sklepowych wystaw usunięto, a na ulicach próżno byłoby wypatrywać robota czy śmigacza.

- Witajcie w nowej galaktyce - odezwał się Kyp.

- Na szczęście mieszkańcy nie mają implantowanych koralowych ziaren niewolniczych -

zauważyła cicho Leia.

Sasso pokiwał głową.

- To jeden z warunków naszej kapitulacji - poinformował.

- Jak na nie zareagowali tubylcy? - zagadnął ostrożnie Page.

-Jakby to powiedzieć... - zaczął Rodianin. - Pani gubernator przestała się pokazywać w miejscach publicznych i kazała wzmocnić ściany swojej rezydencji.

Han zauważył, że Page czuje się na powierzchni Caluuli jak ryba w wodzie. Oficer Sojuszu dosiadał timbu z taką swobodą, jakby na jego grzbiecie spędził pół życia. Wiedział nawet, w którą stronę skierować zwierzę, zanim któryś z przewodników wskazywał kierunek. Zachowywał się, jakby znał na pamięć rozkład ulic miasta, a nawet pamiętał topografię planety. Han mógłby przysiąc, że w razie konieczności Page potrafiłby mówić po caluulańsku, jeść miejscowe pożywienie i pić wodę bez obawy złapania infekcji. Z pewnością przyciągałby też spojrzenia miejscowych przedstawicielek płci pięknej i radził sobie, jakby tu się urodził, wychowywał i dorastał.

W przeciwieństwie do niego Wraw cały czas sprawiał wrażenie czujnego. Pocierając od czasu do czasu szczeniastą brodę, przyglądał się wszystkim mijanym osobom z mieszaniną roztargnienia i lekkiej drwiny, ale sierść na jego głowie nie zdradzała zmian nastroju charakterystycznych dla istot jego rasy. Han widział już kiedyś podobnie zachowujących się agentów, którzy całe życie wyciągali tajemnice od innych osób i dokładali starań, żeby te tajemnice trafiły do odpowiednich uszu.

W pewnej chwili Kyp spojrzał na Sassa.

- Jak daleko jeszcze do kryjówki yammoska? - zapytał.

- Jego kryjówka to praktycznie nowe centrum miasta - wyjaśnił Rodianin. - Prawdopodobnie chodziło o to, żeby zniechęcić pilotów Galaktycznego Sojuszu do zbombardowania jej z orbity. Najbezpieczniej będzie dostać się tam od południa, ale w tym celu musimy pokonać dwa łańcuchy wzgórz.

- Zapewne broń znajdziemy ukrytą gdzieś po drodze? - domyślił się Page.

- Broń jest zakopana praktycznie wszędzie - odparł Sasso. - Kiedy tylko stało się jasne, że Vongom zależy na okupowaniu, a nie zniszczeniu Caluuli, zaczęliśmy chować wszystko, co się dało: blastery, racje żywnościowe, roboty... cokolwiek sobie życzysz. Nie da się wykopać dziury w zboczu pierwszego lepszego wzgórza, żeby się nie natknąć na taki czy inny schowek.

Kiedy Vongowie zniszczyli Stację Caluula i zaczęli opadać w głąb grawitacyjnej studni planety, żyliśmy już tutaj niczym zacofani wieśniacy.

- Yuuzhan Vongowie na pewno wiedzą o waszych poczynaniach - domyśliła się Meloque.

- Naturalnie, że wiedzą, ale na razie nie zdecydowali się na jakieś kroki w tej sprawie - oznajmił Sasso. - Kiedy swego czasu odkryli kilka kryjówek broni i automatów, złożyli w ofierze dwudziestu Caluulan, ale jeżeli nie liczyć tamtego incydentu, wszędzie panuje względny spokój.

- Machnął pyskiem, żeby pokazać nowy kierunek podróży. - Tędy.

- Kiedy natkniemy się na pierwsze muszle skrzydłogwiazd? - zainteresowała się Meloque.

- Gdy tylko znajdziemy się na większej wysokości - obiecał Rodianin.

Zatrzymał karawanę ośmiu timbu na początku wiodącego stromo pod górę szlaku, którego drugi koniec nikał w porośniętym gęstym lasem wąwozie. W pewnej chwili nad głowami ekipy przeleciało bezszelestnie jakieś stworzenie, ale zniknęło między drzewami, zanim Han miał czas mu się przyjrzeć.

- To przedstawiciel fauny Yuuzhan Vongów - wyjaśnił nerwowo Ferfer. - Jesteśmy obserwowani.

R O Z D Z I A Ł 21

Okręty yuuzhańskiej armady mieniły się niczym kryształki miki, rozsiane wzdłuż bezkresnej krzywizny planetarnego pierścienia nad skąpanym w blasku słońca fragmentem powierzchni Yuuzhan'tara. Wszystkie krążowniki, lotniskowce i odpowiedniki statków zaopatrzeniowych, wchodzące w skład grup szturmowych i flotylli aprowizacyjnych, miały wymalowane na kadłubach emblematy domen. Wszystkie też zostały spryskane krwią zebraną podczas składania w ofierze więźniów Galaktycznego Sojuszu. Niektóre jednostki udekorowano proporcami, na które zasłużyły poprzednie pokolenia dzielnych wojowników. Inne były otoczone girlandami liczącymi nierzadko setki koralowych skoczków. Na zaopatrzeniowych balkonach i za przezroczystymi pęcherzami obserwacyjnymi, które mieniły się niczym drogie kamienie, przyklękli na jedno kolano dowódcy i ich podwładni. Każdy miał głowę spuszczoną na znak

posłuszeństwa i przyciskał prawą pięść do chropowatego pokładu z koralu yorik.

W przestworzach unosiły się leniwie „Królestwo Śmierci”, „Klinga Poświęcenia”, „Rzeka Krwi”, „Próżność Uśmierciela”, „Pocałunek Węża” i dowodzony przez samego wojennego mistrza Nasa Chokę okręt sztandarowy „Góra Yammki”.

Bliżej powierzchni krążącego po zmienionej orbicie Yuuzhan'tara, stanowiących pierwszą linię obrony potężnych dovin basali i tęczowego mostu, symbolu związku Yun-Yuuzhana ze stworzonymi przez niego istotami, unosił się luksusowy jacht, na którego pokładzie Shimrra i cywilni dostojnicy latali nad powierzchnią. Spryskaną krwią komnatę tronową udekorowano wieńcami splecionymi z cierniowinorośli i przystrojono setkami wachlarzy, kunsztownie utkanych na cześć Yun-Yammki. Z okazji uroczystego startu wszyscy obecni w komnacie, nie wyłączając prefektów, wieszczek Shimrry, Qelah Kwaad, jej najważniejszych mistrzyń przemian, arcykapłana Jąkana, a nawet pokracznego Onimiego, nosili ceremonialne zbroje z błyskosieci.

Najwyższy lord stał dumnie wyprostowany przed centralnym villipem, który przekazywał jego wizerunek i słowa wszystkim innym villipom, zarówno poświęconym, jak i wchodzącym w skład chórów, nie tylko na pokładach okrętów czy statków armady, ale także w kabinach koralowych skoczków.

- Yun-Yuuzhanie, Wielki Stwórco - mruczał Shimrra. - Błagamy cię o błogosławieństwo dla tych okrętów, które wysyłamy w mroczną pustkę, bo z twojego przykazania ich wyprawa jest również naszą wyprawą. Tą ostateczną bitwą chcemy dopełnić naszego obowiązku oczyszczenia królestwa, które uznałeś za słuszne nam przekazać. Dzięki naszemu zwycięstwu stanie się ono godne, żebyśmy je nazywali swoim domem. Od tej chwili weźmiemy pod swoje skrzydła pokornych tubylców, żeby ich uczyć prawd, które przekazałeś naszym prapraprzodkom u zarania dziejów.

Ślubujemy ci, że nie pozwolimy sobie nawet na chwilę wytchnienia, dopóki nie zakończymy dzieła, nie oczyścimy tego królestwa ze wszystkich maszyn i nie zastąpimy ich naszymi biologicznymi partnerami. Chcemy do końca przekształcić powierzchnię Yuuzhan'tara zgodnie ze wzorcami naszych prapraprzodków. Zamierzamy ukoronować szczyty najwyższych gór świątyniami na cześć twoją i twojej świętej domeny. Pragniemy, żeby podobne świątynie górowały także nad najważniejszymi aglomeracjami każdej okupowanej planety. Dopiero kiedy osiągniemy ten cel, poprosimy cię o ostateczną ocenę naszego dzieła.

Nadeszła wiekopomna chwila... kulminacja odkryć i podróży przedsięwziętych przez całe pokolenia. Od tej chwili możemy uważać tę galaktykę za nowy dom. Co było odległe, stało się bliskie, a co dobiegło końca, rozpoczęło się na nowo.

Kiedy najwyższy władca zakończył przemówienie, z wyrzutni na pokładach największych okrętów wystrzeliło w oślepiającym hołdzie w kierunku słońca Yuuzhan'tara pięć tysięcy kul plazmy. Potern zaś jednostki armady, lecąc śladem „Góry Yammki”, opuściły pozycje i przyspieszyły, żeby skierować się w głąb mrocznych przestworzy.

Nom Anor obserwował wszystko z miejsca na pokładzie świętego jachtu i zastanawiał się, co też może sobie myśleć Nas Choka. Od tego, co się wydarzy w ciągu następnej ćwierci klekketa, zależał nie tylko wynik wojny, ale także przyszłość Yuuzhan Vongów. Wojownicy i kapłani, doprowadzeni do ekstazy wielodniowym postem i tańcami, mogliby przysiąc, że wyprawa armady zakończy się powodzeniem.

Nie wszyscy byli jednak o tym przekonani.

Podlegli Nomowi Anorowi konsulowie i niektórzy egzekutorzy donieśli mu o plotkach szerzących się pośród najwyższych kast Yuuzhan Vongów... o najróżniejszych pogłoskach, z których przebijały niepewność i paniczny lęk. Nom Anor wyczuwał także jeszcze bardziej złowrogie wzbieranie fali nienawiści tych, których usunięto poza obręb społeczności Yuuzhan Vongów.

Spod tęczowego mostu, z mrocznych podziemi Yuuzhan'tara, wznosił się chór gniewnych głosów heretyków. Z każdą chwilą stawał się donośniejszy i potężniejszy, a po egzekucji przesycony coraz większą nienawiścią. Zaczynało się tlić zarzewie buntu i to nie tylko pośród Zhańbionych, ale także innych, którzy stracili albo zaczęli tracić wiarę w najwyższego lorda Shimrrę. Potężna fala, z każdą chwilą silniejsza, groziła, że runie na brzeg siedzib Yuuzhan Vongów, zmiecie z przestworzy ich niezwyciężoną armadę i wciągnie w głąbinę święty jacht i wszystkich na jego pokładzie.

Shimrra powiedział Nomowi Anorowi, że to wojna z bogami. Najwyższy władca nie dostrzegał jednak prawdziwego wroga - przeciwnika, który otaczał go i pozwalał mu się opierać na swoich barkach. Nawet Quoreal w ostatnich dniach życia nie był obiektem takiej nieufności i odrazy. Gdyby to zależało od Zhańbionych, potężna armada Nasa Choki poniosłaby w przestworzach Kalamara sromotną klęskę, a Shimrra zostałby ściągnięty z polipowego tronu przez samego Yun-Shuna i rzucony w miejscu publicznym na pożarcie wygłodniałym

bissopom...

W końcu Nom Anor oderwał oczy od odlatujących okrętów armady i w tej samej chwili Onimi przeszył go przenikliwym spojrzeniem. Nom Anor był ciekaw, czy przypadkiem pupilek Shimrry nie jest obdarzony tak wrażliwym zmysłem powonienia, że wyczuwa promieniujący od kogoś strach. Może właśnie ta umiejętność powodowała, że wiersze Onimiego były tak złośliwe? Może Zhańbiony potrafił odczytywać subtelne zmiany nastroju wszystkich, którzy stawali przed obliczem najwyższego władcy?

Nom Anor wyprostował się, z trudem kryjąc obrzydzenie, ale kiedy Onimi zaczął pokracznie kuśtykać w jego stronę z drugiego końca tronowej komnaty, poczuł coś w rodzaju przerażenia.

- Nie trać ducha, prefekcie - odezwał się karzeł teatralnym szeptem. - Jak w kontaktach między bogami a Yuuzhan Vongami, siła Shimrry wynika z połączonej pewności siebie jego podwładnych. Jeżeli się zachwiejesz w wierze, okażesz wątpliwości albo słabość, starannie utrzymywana równowaga może ulec zakłóceniu...

Nom Anor nie czekał, aż Zhańbiony skończy.

- A kimże ty jesteś, żeby się do mnie zwracać? - prychnął pogardliwie.

Onimi rozciągnął krzywe wargi w lodowatym grymasie.

- Twoim sumieniem, prefekcie - powiedział. - Cichym głosem, który nieustannie ci przypomina, jak niepewne jest twoje położenie.

Nie rozstając się z siwą peruką, Leia wypuszczała powietrze z obu materaców, swojego i Hana. W pewnej chwili zauważyła, że Sasso rzucił obok obozowego ogniska błoniaste stworzenie wielkości wstrząsopiłki. Wyglądało jak uskrzydłony villip, ale było przebite drewnianym bełtem, wystrzelonym z topornej kuszy Rodianina.

- Przynajmniej nie będzie mogło nas szpiegować - odezwał się Sasso, oglądając zdobycz z wprawą doświadczonego myśliwego.

Leia podeszła do ogniska, żeby lepiej się przyjrzeć zabitemu zwierzęciu.

- To ta forma yuuzhańskiego życia, którą widzieliśmy wczoraj? - zapytała.

- Może nie ten sam okaz, ale z tego samego stada. - Rodianin wykrzywił zielony pysk. - Trafiłem za pierwszym strzałem. Jeszcze nigdy mi się to nie udało.

Księżniczka spojrzała na niego pytająco.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz go upiec ani ugotować? - zapytała.

- Ciekaw byłbym... ale nie - odparł przewodnik. - Zastanawiam się tylko, czy lepiej będzie je spalić, czy zakopać.

- Opowiadam się za spaleniem - stwierdził Han, który stanął za plecami żony i Rodianina. - W przeciwnym razie mogą je wywęszyć bissopy.

Słońce Caluuli weszło jakąś godzinę wcześniej, ale porastający zbocza parowu las trzciniowych drzew wciąż jeszcze budził się do życia. Zewsząd dobiegały trele setek ptaków, może dlatego że zdążyły powrócić brzękomary... pewnie te przydzielone Leii. Na szczęście dzięki dołączonym do śpiworów moskitierom oboje Solo nie mieli z nimi w nocy żadnych problemów. Spali smacznie, chociaż parę razy na krótko się budzili. Obserwowali wówczas spadające gwiazdy albo wsłuchiwali się w napływające z gęstego lasu odgłosy zwierząt wiodących nocny tryb życia. Wczesnym rankiem Han przyrządził nad ogniskiem śniadanie, a w tym czasie Leia i Wraw zwijali obóz. Taki tryb życia nie był kłopotliwy i księżniczka przypuszczała, że mogłaby się do niego szybko przyzwyczaić.

Pod osłoną ciemności Sasso i Ferfer wymknęli się do najbliższej kryjówki z bronią i racjami żywnościowymi. Wrócili o pierwszym brzasku z kuszą i kilkoma sztukami innej broni, na tyle starej, że mogli się nią posługiwać strażnicy adoptowanego ojca Leii. Przynieśli między innymi grubolufowy blaster z masywną kolbą z twardego drewna, drugi blaster z dostosowanym do kształtu palca uchwytem i wbudowaną lunetą oraz dwa czarne wojskowe granaty ręczne z bezpiecznikami i zainstalowanymi w górnej części radiatorami. Han zważył w dłoni karabin typu DC-15 ze składaną kolbą.

Blastery znajdowały się obecnie w brezentowych workach, ale nie na tyle głęboko, żeby w razie potrzeby nie dało się ich szybko wyjąć.

Meloque i wąsaty Ferfer wrócili do obozu, kiedy Han i Wraw zaczęli przytraczać plecaki i worki na grzbietach timbu. Potulne zwierzęta szukały pożywienia w wysokiej trawie.

Majestatyczna Ho'Dinka sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Nie znaleźliście ani jednej muszli skrzydłogwiazdy - domyślił się Han.

Istota pokręciła głową.

- Znaleźliśmy setki, ale wszystkie były zamknięte - stwierdziła. - A do tej pory przynajmniej niektóre powinny były się otworzyć.

- Może to wina nietypowej pogody - zasugerował Sasso. - Jest za gorąco jak na tę porę roku.

Meloque zastanowiła się nad jego wyjaśnieniem.

- Przypuszczam, że to może być rzeczywisty powód - doszła w końcu do wniosku. Wieczorem poprzedniego dnia po rozpaleniu ogniska opowiedziała obecnym, czym jest właściwie Nokturn Skrzydłogwiazd. Stworzenia wyglądały podobnie jak inne, spotykane na niezliczonych planetach uskrzydłone owady, ale wykluwały się z chitynowych muszli. Od miliardów innych gatunków różniło je to, że owady żyjące na Caluuli miały tylko dzień na odbycie godowego tańca, zademonstrowanie słynnego blasku i złożenie jaj, z których dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć miejscowych lat później miało się wykluć następne pokolenie. Etap larwalny trwał niespełna miejscowy tydzień, na którego końcu pozostałe przy życiu larwy otaczały się wytrzymałymi kokonami. Skrzydłogwiazdy, które się wykluły i nie zostały natychmiast pożarte przez latające jaszczurki czy inne drapieżniki, ginęły śmiercią naturalną o zachodzie słońca.

- Popraw mnie, jeżeli się mylę, Meloque - odezwał się Wraw. - Jeżeli się nie starzejesz wolniej niż Wookie, to pewnie nigdy jeszcze nie oglądałaś na własne oczy żadnego Nokturnu.

- To prawda - przyznała Ho'Dinka. - Ale na powierzchni Moltoka zdołaliśmy dokonać symulacji życiowego cyklu tych owadów w kontrolowanym środowisku.

- A może to Yuuzhan Vongowie mają coś wspólnego z tym, że muszle nie otworzyły się w porę? - zasugerował Han. - Może uwolnili na Caluuli jakąś formę życia, która wpłynęła na cykl rozwojowy tych niezwykłych stworzeń? Pamiętacie chyba, co zrobili na powierzchni Tynny i Duro.

- Wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne - powiedziała Meloque. - Powierzchnie tamtych planet zmienili ze względów strategicznych i logistycznych, a tymczasem stan Caluuli już jest taki, jaki chcieliby osiągnąć w całej galaktyce. Mimo swojego niewątpliwego barbarzyństwa, Yuuzhanie szanują różne formy życia.

- Zachowujesz się, jakbyś im współczuła... pani profesor - prychnął Wraw.

- Wraw! - odezwała się ostro Leia, ale Ho'Dinka machnęła lekceważąco wyposażoną w przyssawki dłonią.

- Czego innego można się spodziewać po przedstawicielu rasy istot, które zamierzają wymordować wszystkich Yuuzhan Vongów? - zapytała, nawiązując do bothańskiej doktryny ar'krai, czyli totalnej wojny.

Wraw parsknął śmiechem.

- Tylko żartowałem - powiedział.

Sierść na jego twarzy nie zdradzała żadnych uczuć. Leia zaczekała, aż Meloque i Ferfer wyruszą na poszukiwanie następnych muszli, i dopiero wówczas podeszła do Bothanina.

- Wydaje mi się, że Meloque nie docenia twojego poczucia humoru - zagadnęła.

Wraw wzruszył ramionami.

- Co mogę na to poradzić? - zapytał. - Ja i ona to dwa różne światy.

- Więc twój cynizm nie wynika z chęci zrobienia amoralnej, kiepsko płatnej kariery?

- Może i amoralnej, ale na pewno nie kiepsko płatnej.

- Chciałeś powiedzieć, że w kategorii kredytów.

- A jakie inne kategorie mogą istnieć?

Leia zerknęła na Hana, który tylko rozłożył bezradnie ręce.

- Nie krępuj się i drwij sobie z niego, ile chcesz - powiedział. - Nie zamierzam cię powstrzymywać.

Właśnie wówczas do obozu wrócili Page i Kyp. Oficer przyjrzał się po kolei Hanowi, Leii, Wrawowi i znów Hanowi.

- Przeszkodził nam w czymś? - zapytał.

- Śpiewaliśmy trochę przy ognisku - odparł wymijająco Solo.

Page nie poprosił o wyjaśnienia.

- Znaleźliśmy ślady patrolu Yuuzhan Vongów - zameldował. - Zwierzęta tropiące i kilka dwunastonogich wierzchowców.

- Bissopy i quenaki - domyślił się Sasso, zrywając się na nogi. - Lepiej się stąd zabierajmy. Im szybciej znajdziemy się za łańcuchem następnych wzgórz, tym lepiej.

Kiedy wszyscy spakowali pozostały sprzęt, Ferfer zajął miejsce na czele karawany. Wkrótce pokonali grań następnego łańcucha i zaczęli powoli zjeżdżać po stoku porośniętym gęstym lasem. Sasso, Page i Kyp wysunęli się na czoło, żeby zbadać dalszą część szlaku. Mniej więcej w połowie zbocza Han przyspieszył i zrównał się z Wrawem.

- Domyślam się, że spędziłeś mnóstwo czasu w towarzystwie wyrzutków z różnych społeczeństw - zaczął. - Nie zapominaj jednak, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

- Akurat ty nie powinienesz mi robić wymówek, że obracałem się w towarzystwie mętnych typów, Solo - dogryzł mu Bothanin.

Han uśmiechnął się z przymusem.

- Wyrosłem z tego, kolego - powiedział. - Kto wie, może mógłbyś wziąć ze mnie przykład?

Wraw pokiwał głową.

- Zastanowię się nad tym - odparł wymijająco.

Han zwolnił, żeby znaleźć się obok żony.

- Dlaczego w ogóle zadawałeś sobie tyle trudu? - zapytała księżniczka.

- No cóż, albo ja zmienię zdanie, albo on będzie musiał zmienić twarz - mruknął Han.

- Nawet wtedy nie nakłonisz go do zmiany poglądów - zauważyła żona.

- Może nie, ale poczuję się o niebo lepiej.

Nagle Leia usłyszała napływający z dołu szybki tętent. Chwilę później pojawił się znów Kyp.

- Yuuzhan Vongowie - powiedział. - Wspinają się z tej doliny przed nami. - Odwrócił się i pokazał kierunek. - Tam... gdzie ta kępa szerokolistnych drzew.

- Damy radę uniknąć spotkania z nimi? - zaniepokoiła się księżniczka.

- Mowy nie ma - odparł Durron. - Nie możemy też sobie pozwolić, żeby stoczyć z nimi walkę na tym zboczu.

Han stanął w strzemionach i wskazał na skały wystające za następnym zakrętem szlaku.

- Świetne miejsce na zasadzkę - zauważył.

- Ja też tak uważam. - Kyp kiwnął głową.

Przyspieszyli, pokonali zakręt i wjechali do wąwozu, gdzie czekali już Sasso i Page. Ferfer poprowadził wierzchowce, żeby je ukryć za skałami, a pozostali zajęli dogodne pozycje do strzału po obu zboczach parowu. Han, Leia, Page i Meloque ukryli się po jednej, a Sasso i Kyp po drugiej stronie.

Solo skierował w dół lufę wojskowego blastera, a Page postąpił tak samo z karabinem typu DC-15. Meloque ścisnęła w ogromnych dłoniach drewnianą rękojeść zabytkowej broni, a Leia odpięła od pasa świetlny miecz, ale nie wysunęła energetycznej klingi.

Wkrótce z dołu napłynęły odgłosy zbliżających się wojowników. Pierwsze wyłoniły się spomiędzy drzew trzy bissopy. Miały krótkie łapy i chodząc, kołysały się z boku na bok. Obracały w różne strony długie pyski i wciągały powietrze w wilgotne nozdrza, a ich szponiaste łapy zostawiały wyraźne ślady na miękkim gruncie. Chwilę później pojawili się trzej yuuzhańscy wojownicy. Wszyscy byli uzbrojeni w amphistaffy, mieli też bandolety z ogłuszającymi

chrząszczami i brzytwołukami. Dwaj Yuuzhanie nieśli przytwierdzone do ramion taktyczne villipy. Za pierwszą trójką wojowników ukazali się trzej następni, dosiadający zwierząt wielkości grutchyn, ale łagodnych niczym ronta.

Page odwrócił się do Hana.

- Biorę na cel tropiciela po prawej stronie - szepnął. - Ty bierz tego pośrodku. Staraj się pierwszym strzałem trafić villipa.

Dał znak Kypowi i Rodianinowi, ukrytym po drugiej stronie szlaku.

Wszyscy uzbroili się w cierpliwość i czekali, kiedy tropiciele znajdą się w miejscu, w którym mógłby ich dosięgnąć krzyżowy ogień.

Bissopy uniosły łby i spojrzały w stronę głązów dokładnie w tej samej chwili, kiedy poleciały ku nim pierwsze blasterowe błyskawice. Strzały Hana i Page'a rozerwały na strzępy dwa małe villipy, a czerwone skwierczące błyskawice z przeciwnej strony parowu powaliły na ziemię dwóch jeźdźców. Pozostali Yuuzhanie jednak bardzo szybko otrząsnęli się z zaskoczenia i przystąpili do kontrataku. W powietrze wzniosły się ogłuszające chrząszcze i brzytwołuki, a trzy bissopy stanęły na tylnych łapach, zawarczały i pognały między głązy.

Han, Page, Leia i Meloque opuścili poprzednie stanowiska i strzelając w biegu, zaczęli się rozglądać za nowymi kryjówkami. Błyskawica wystrzelona z ciężkiego blastera Hana roztrzaskała łeb jednego z szarżujących bissopów. Drugi promień trafił w pierś jednego z tropicieli, wypalił w pancerzu z kraba vonduun dymiącą dziurę i odrzucił wojownika prosto pod kopyta oszołomionego quenaka.

Wraw zbiegł po kamiennym osypisku zaścielającym przeciwległe zbocze parowu i o mało nie stał się karmą dla drugiego bissopa. Od nieuchronnej śmierci ocalił go celny strzał Sassa, który zabił zwierzę, zanim zdążyło drugi raz zaatakować Bothanina.

Kyp wywinął salto w powietrzu i wylądował na ugiętych nogach przed patrolem Yuuzhan Vongów. Zapalił klingę świetlnego miecza, odbił na boki rój nadlatujących ku niemu brzytwołuków i zaatakował pozostałych wojowników. Han ze zdumieniem zobaczył, jak energetyczne ostrze broni mistrza Jedi rozszczepia na dwoje wyprężonego amphistaffa, a w drodze powrotnej odcina głowę samego wojownika. Walcząc między głązami, Leia także odbijała na boki nadlatujące w jej stronę śmiertelne owady. Meloque kulila się u jej stóp, bojąc się choć na chwilę podnieść głowę. Wreszcie księżniczka pomogła wstać przerażonej Ho'Dince i pociągnęła ją za rękę, żeby zaprowadzić w bezpieczne miejsce. Dwukrotnie musiała

się odwracać, żeby odbijać lecące ku nim żuki w taki sposób, żeby roztrzaskiwały się o głązy.

Han wyłonił się spomiędzy skał w samą porę, żeby zobaczyć, jak Kyp kopniakiem wytrąca coufee z dłoni jedyne go pozostałego przy życiu Yuuzhanina. Kiedy wojownik się odwrócił, żeby podbiec do quenaka, Kyp szpicem klingi przeszył od tyłu jego szyję. W pewnej chwili Solo zauważył kątem oka coś, co się poruszało po lewej stronie. Odwrócił się i rozpląszczył na powierzchni gruntu w samą porę, żeby nie dostać się między szczęki ostatniego bissopa. Zwierzę przeskoczyło nad nim i zniknęło pośród głązów, blisko miejsca, w którym kuliła się zdezorientowana Ho'Dinka, nadal ściskająca z całej siły zabytkowy blaster.

Bojąc się strzelać do uciekającego bissopa, Page krzyknął do badaczki:

- Zabij go!

Dopiero wówczas Ho'Dinka spojrzała na uciekające zwierzę, ale zaraz przeniosła wzrok na Wrawa.

- To tylko zwierzę... - zaczęła.

- Zabij je! - wrzasnął Page. -Ja...

Błyskawice z broni Wrawa zakończyły żywot bissopa, zanim zwierzę zniknęło po drugiej stronie grani.

- Rzeźnicy - powiedziała z oburzeniem Ho'Dinka, kiedy nad polem bitwy zapadła cisza. Niepewnie wstała i potykając się, zeszła po zboczu, żeby dołączyć do Leii i pozostałych. - Rzeźnicy!

- Bissopy są szkolone, żeby umiały same wracać do bazy - wyjaśnił spokojnie oficer Sojuszu. - Wkrótce mielibyśmy na karku następnego patrol Yuuzhan Vongów.

Meloque wysłuchała go i pokiwała głową ze zrozumieniem.

Wokół nich leżało sześciu yuuzhańskich wojowników, dwa jaszczuropy i jeden quenak. Page podszedł po kolei do każdego wojownika i upewnił się, że wszyscy nie żyją. Pojedynczym strzałem skrócił męki konającego quenaka, po czym uśmiercił trzy amphistaffy.

Han kucnął obok wojownika, którego trafił w pierś. Przyjrzał się trzydziestoletniej broni, z której lufy wystrzelił śmiertelnie skuteczną błyskawicę.

- Nigdy bym nie pomyślał, że takie stare blastery mogą kryć w sobie tyle energii - powiedział.

- Nie kryją - stwierdził Kyp i kucnął obok innego zabitego wojownika. Postukał kostkami palców o napierśnik żyjącego pancerza Yuuzhanina. - Kiepski pancerz, kiepska broń,

kiepscy wojownicy -dodał po chwili. Uniósł głowę i rozejrzał się po polu bitwy. - Nawet biskopy poruszały się ślamazarnie.

Zdezorientowana Leia spojrzała na Sassa.

- Jeszcze jeden uboczny skutek fali upałów? — zapytała.

Rodianin zrobił zakłopotaną minę, a Wraw spojrzał na księżniczkę.

- Chcę cię dobrze zrozumieć - powiedział. - Jesteś rozczarowana, bo odnieśliśmy zbyt łatwe zwycięstwo? - Parsknął chrapliwym śmiechem. - Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem wszyscy nie sympatyzujecie z Yuuzhan Vongami.

- Ma rację - poparł go Page. - Powinniśmy się nauczyć korzystać z każdego szczęśliwego przypadku, jaki staje się naszym udziałem.

- Rozegrałem wystarczająco wiele partii sabaka, żeby wiedzieć, co jest szczęściem, a co nie - wtrącił się Han. - W tym przypadku nie chodziło o szczęście. - Powiódł spojrzeniem po ogromnych głazach i pobliskich drzewach. - To oni powinni nas tu zwabić w pułapkę.

Kyp spojrzał na niego.

- Coś mi się w tym wszystkim nie podoba - podsumował.

R O Z D Z I A Ł 22

W graniczących z Obrzeżami przestworzach Hegemonii Tion Jaina obserwowała, jak gigantyczna armada Yuuzhan Vongów jeszcze raz wyskakuje z nadprzestrzeni. W jednej chwili wyglądało to tak, jakby dziesięć tysięcy gwiazd nagle zgasło, a w następnej, jakby w tej części galaktyki pojawiła się nowa gromada.

Cappie skrzeczał i popiskiwał, demonstrując oczywisty niepokój wyświetlaniem niezliczonych jaskrawych punktów na ekranie głównego monitora w kabinie X-winga. W tej samej chwili piloci dwóch czarnych jak węgiel myśliwców typu A-wing, które towarzyszyły ciągle Jainie w ostatniej godzinie, odłączyli się od niej i zniknęli w nadprzestrzeni.

Mimo wyświetlanej na ekranie oceny zagrożenia i poprzednich obserwacji armady Jaina była oszołomiona samą liczbą ściągniętych tu jednostek Yuuzhan Vongów. Wizerunki okrętów, widoczne na ekranie dzięki dalekosiężnym skanerom gwiazdnego myśliwca, ujawniały dziobate kadłuby oznaczone tajemnymi symbolami i spryskane czymś, co wyglądało jak barwy wojenne,

ale prawdopodobnie było zakrzepłą krwią. Z wielu kadłubów wystawały koralowe smukłe wąsy, z których zwisały podobne do żagli bitewne proporce. Stopione miejsca na kadłubach i czarne ślady wskazywały, że przynajmniej niektóre jednostki brały udział we wcześniejszych starciach. Mogło to dowodzić, że ściągnięto je z przestworzy okupowanych planet rozsianych wzdłuż inwazyjnego korytarza Yuuzhan Vongów. Inne okręty, nietknięte, wyglądały, jakby zostały dopiero co wyhodowane i wcielone do czynnej służby. Do tych ostatnich zaliczało się także ogromne różowawe jajo, które musiało pełnić funkcję okrętu flagowego yuuzhańskiej armady. Yuuzhan Vongowie powierzyli prawdopodobnie obronę setek podbitych planet oddziałom naziemnym i patrolowcom, co oznaczało, że w tej jednej bitwie są gotowi zaryzykować wszystko, co dotąd zdobyli. Widać ich zamiarem było ostateczne unicestwienie flot Sojuszu.

Cappie przesłał do kabiny następną wiadomość i Jaina, czując przyspieszone bicie serca, zacisnęła dłoń na rękojęści dźwigni drążka sterowniczego.

Na czele poruszającej się gromady okrętów pojawiły się kule ognistych eksplozji i kilkanaście punkcików zniknęło z ekranu taktycznego monitora. Kolejny raz Yuuzhan Vongowie nadziali się na rozstawiony w przestworzach długi łańcuch inteligentnych min, umieszczonych nieopodal punktów wyskakiwania z nadprzestrzeni. Jednak, tak samo jak było w pobliżu Perlemiańskiego, częstotliwość eksplozji zaczęła szybko maleć, bo wiele ocalałych min po prostu zniknęło, wessanych w głąb wytwarzanych przez dovin basale ogromnych grawitacyjnych anomalii.

Jaina przycisnęła brodą włącznik mikrofonu w hełmie pilota.

- Kontrolo Quermii, tu „Bliźniacze Słońca Jeden” - zameldowała. - Bestia się pojawiła i otworzyła pozostawione przez nas prezenty.

- Czy prezenty sprawiły jej niespodziankę? - usłyszała w odpowiedzi.

- Nie na tyle dużą, żeby ją zatrzymać.

- Co słyhać u twoich towarzyszy? -Heroldowie odlecieli.

- Czy możesz podać obecny wektor bestii?

Jaina wpisała na klawiaturze krótkie polecenie, a robot R2-B3 odpowiedział dźwiękami, które zamieniły się w tekst na ekranie monitora.

-Kierują się do miejsca, z którego mogą przeskoczyć do przestworzy Kalamara - zameldowała młoda Solo.

- Zrozumieliśmy, „Bliźniacze Słońca Jeden”. Masz zgodę na odlot, ale zamelduj się w

Ekstremum Kalamara. Dołącz do Eskadr Awangarda, Bułatów i Łotrów w punkcie zbórnym Góra Lodowa Trzy.

Jaina przerwała łączność w kanale dowodzenia i nastawiła nadajnik komunikatora na częstotliwość taktyczną.

- Uwaga, wszyscy piloci, tu dowódca Bliźniaczych Słońc - zaczęła. - Rozkazać robotom, żeby wpisały współrzędne skoku do Ekstremum Kalamara. Przyspieszamy do nadświatłnej, kiedy doliczę do zera. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

Rozsiadła się w fotelu pilota i zaczekała, aż włączą się jednostki napędu nadświatelnego jej myśliwca. Skok miał być trzecim i ostatnim, odkąd piloci Eskadry Bliźniaczych Słońc pierwszy raz zauważyli, jak yuuzhańska armada wyskakuje z nadprzestrzeni. Od wielu miesięcy we wszystkich możliwych miejscach między Perleミアńskim Szlakiem Handlowym a Kalamarem unosiły się inteligentne miny, co miało odstraszyć patrolowce i jednostki zwiadowcze Yuuzhan Vongów. Dowództwo Sojuszu nie spodziewało się jednak, że z tranzytowych punktów zechce skorzystać cała armada, więc w obecnej chwili każdy strateg się zastanawiał, dlaczego Yuuzhanie nie przeskoczyli od razu z Perleミアńskiego do przestworzy Kalamara. Czy popełnili kolejny taktyczny błąd, czy też zachowywali tylko przesadną ostrożność? A może podejrzewali, że Sojusz umieścił w tych punktach odwody, które miałyby zaatakować z flanki armadę Yuuzhan Vongów po rozpoczęciu bitwy w przestworzach Kalamara?

Przed odlotem z każdego punktu tranzytowego Jaina wysyłała najświeższe informacje. Wiedziała, że dotrą na pokład unoszącej się w przestworzach Quermii fregaty, która służyła jako przekaźnik nad-przestrzennych sygnałów. Z pokładu okrętu przekazywano te informacje do Wywiadu i dowództwa floty obronnej Kalamara. Wojskowi Sojuszu przewidzieli także inny system łączności w postaci kurierskich statków, z których część przeskoczyła do przestworzy Quermii, a reszta w pobliże Kalamara. Na pewno do tej pory inni kurierzy dotarli do grup szturmowych zmierzających do przestworzy Toong'la i Caluuli, żeby uniemożliwić wycofującym się yuuzhańskim okrętom skok przez nadprzestrzeń i przybycie na pomoc obrońcom Coruscant, która miała także zostać zaatakowana.

Skok do przestworzy Kalamara był najdłuższy ze wszystkich trzech i Jaina postanowiła wykorzystać ten czas na skupienie się w Mocy. Pomyślała o rodzicach, którzy przebywali na powierzchni Caluuli, a także o Jacenie, od którego od dawna nie miała żadnej wiadomości. Nie starała się jednak nawiązać umysłowego kontaktu ani z rodzicami, ani z bratem bliźniakiem.

Wszyscy wykonywali własne obowiązki, a ona instynktownie wiedziała, że rozproszeni członkowie jej rodziny myślą o niej, podobnie jak ona o nich. Pośród pilotów Bliźniaczych Słońc nie było także żadnego Jedi, którego umysłu mogłaby dotknąć za pośrednictwem Mocy. Kyp odleciał na Caluulę i pilotami Tuzina dowodziła Octa Ramis, podobnie jak Lowbacca i Ale-ma Rar dowodzili własnymi eskadrami. Madurrina, Streen i inni Jedi pełnili służbę na pokładach tych okrętów liniowych, które miały odegrać kluczową rolę w obronie Kalamara przed atakiem napastników.

Jaina nastawiła biologiczny zegar organizmu, żeby ją obudził, zanim jej X-wing wyskoczy z nadprzestrzeni, i ponownie osiągnęła pełną świadomość kilka sekund, zanim Cappie przesłał sygnał gotowości.

Głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić, i zaczekała, aż w nicości za owiewką kabiny pojawią się znów gwiazdy.

Ekstremum Kalamara znajdowało się, jak sugerowała sama nazwa, na skraju gwiazdnego systemu, gdzie prawdopodobnie miała się ukazać armada Yuuzhan Vongów. Lodowa Góra Trzy była kryptonimem przedostatniego spośród ośmiu satelitów systemu - zdeformowanej bryły zamrożonych odpadków. Prawdę mówiąc, były to szczątki schwytej komety, która miała się kiedyś zderzyć z najbardziej oddaloną od słońca planetą systemu. Na tle niewielkiej białej sferoidy unosiły się dziesiątki okrętów Sojuszu - krążowników, niszczycieli i lotniskowców, wokół których krążyły setki gwiazdnych myśliwców.

Jaina uświadomiła sobie, że w takiej czy innej postaci jest tu reprezentowany każdy typ jednostki wyprodukowanej w ciągu ostatnich czterdziestu standardowych lat, począwszy od budowanych w stocznjach Rendili StarDrive ciężkich krążowników klasy Dreadnaught, a na gwiazdnych niszczycielach klasy Rejuvenator kończąc.

Najważniejsze jednak, że zgromadzone okręty stanowiły tylko zewnętrzny krąg obrony Kalamara.

Jaina zauważyła, że mimo wzmacniających ćwiczeń, które odbywała podczas lotu przez nadprzestrzeń, jej ręce się trzęsą, a serce bije przyspieszonym rytmem.

To dzieje się naprawdę, powiedziała sobie, chociaż wciąż jeszcze nie do końca w to wierzyła. Następne dni mogły przynieść koniec wojny i zdecydować o ostatecznym losie galaktyki.

- Witaj w domu, dowódcu Bliźniaczych Słońc - rozległ się nagle znajomy głos w

słuchawkach jej hełmofonu.

- Witaj, Wedge - odpowiedziała młoda Solo. - Czuję się, jakby mnie tu nie było co najmniej tydzień.

- Doskonała robota, Jaina - pochwaliła Kontrola Sojuszu. - Twój rejon zborny to Góra Lodowa Trzy, punkt o współrzędnych cztery—siedem-dziewięć względem ekliptyki. Masz czekać w gotowości, aż zasiew dobiegnie końca.

- Zrozumiałam, Kontrolo - odparła pilotka. - Czekam w gotowości.

Poleciła pilotom Bliźniaczych Słońc, żeby utworzyli szyk za ogonem jej maszyny, i poprowadziła eskadrę do punktu o podanych współrzędnych. Zajęła pozycję na ustalonej orbicie nad zamarzną sferoidą obok myśliwców Łotrów, Awangardy, Bułatów, Czarnego Księżyca i Dzikich Rycerzy Tesara Sebatyne.

Po chwili usłyszała inny znajomy głos: -Witaj, Kije.

Przełączyła komunikator na kanał umożliwiający łączność z Gavinem Darklighterem.

- Od jak dawna tu tkwisz, „Łotrze Jeden”? - zapytała.

- Zbyt długo - usłyszała w odpowiedzi. - Czy ci z Wywiadu się nie pomylili, podając liczbę okrętów Yuuzhan Vongów?

- Podejrzewam, że i tak nie uwzględnili wszystkich, które niedługo się pojawią.

Zanim Gavin zdążył odpowiedzieć, do rozmowy przyłączył się Wedge.

- Uwaga, dowódcy dywizjonów i eskadr, bestia u bram - powiedział. - Na pewno chcecie ją jak najszybciej powitać, ale musicie poczekać na swoją kolej.

W kanale łączności zapadła martwa cisza, ale zaraz rozległ się gwar meldunków, kiedy tylko w przestworzach zaczęły się pojawiać okręty Yuuzhan Vongów. Miały kształt gładkich albo fasetkowych stożków, graniastosłupów i ostrosłupów w kolorach od białego do czerwono-czarnego. Niektóre kadłuby były usiane kraterami wyrzutni plazmy, a inne otoczone girlandami koralowych skoczków. Z każdą chwilą pojawiało się ich więcej i więcej, aż w końcu przesłoniły widok odległego słońca Kalamara. Kiedy już się wydawało, że to koniec, z przestworzy zaczęły wyskakiwać następne.

Pojawiły się w dosyć dużej odległości od flot Sojuszu i jakby popisując się przed zgromadzoną publicznością, zaczęły zacieśniać szyk i zajmować wyznaczone pozycje. Wkrótce pojawiła się spłaszczona kula, złożona z okrętów z yammoskami na pokładach oraz odpowiedników niszczycieli i krążowników. Po jakimś czasie od kuli odłączyły się setki

odpowiedników koralowych skoczków i patrolowców. Wyłaniały się z gniazd w kadłubach największych okrętów albo odczepiały od koralowych ramion mniejszych jednostek. Zajmując pozycje, utworzyły mnóstwo krótszych i dłuższych odnóg, które miały wyglądać jak macki yammoska.

Zdaniem Jaiiny przypominały raczej zakrzywione promienie eksplodującej gwiazdy albo spiralnie skręcone ramiona galaktyki, którą zamierzali opanować Yuuzhan Vongowie. Bez względu jednak na to, co przypominały, najlepszym określeniem utworzonej formacji było słowo „bestia”.

Kiedy armada zaczęła się kierować w stronę Kalamara, jej macki się wydłużyły. Yuuzhan Vongowie wiedzieli o czekających na nich obrońcach Galaktycznego Sojuszu, ale nie wskazywało na to, żeby mieli zmienić zamiary.

- Uwaga, wszyscy dowódcy dywizjonów i eskadr - odezwał się męski głos w kanale łączności taktycznej. - Przyleciały nasze nasionostatki.

Możliwe, że dowództwo Sojuszu zapożyczyło ten kryptonim od Yuuzhan Vongów, ale nie chodziło o okręty, które miały dawać początek procesowi przekształcania powierzchni podbitej planety, lecz o kilkadziesiąt nieuzbrojonych i zdalnie sterowanych frachtowców, które wyłoniły się zza Góry Lodowej Trzy i śmignęły ku armadzie. W stronę pękających kontenerowców poleciały ze wszystkich stron pociski plazmy, ale większość ognistych kul rozpryskiwała się na wzmocnionych pancierzach, dopóki statki nie znalazły się w zasięgu najdłuższych macek. Dopiero wówczas z ładowni każdego frachtowca wyroiły się setki sondujących robotów, zwanych probotami.

Miały kopulaste czasze i zwisające spod nich pęki manipulatorów, przez co wyglądały jak zwierzęta żyjące w głębinach oceanu. Rzeczywiście, poszły w rozsypkę niczym ławica oceanicznych ryb, płynąca z falą przyboju.

W normalnych okolicznościach Yuuzhan Vongowie nie marnowaliby pocisków na automaty, ale każdy probot został tak zaprogramowany, żeby emitować sygnały identyczne z tymi, jakie wysyłają jednostki napędowe myśliwca Sojuszu. Piloci koralowych skoczków i patrolowców, którzy starali się niszczyć proboty ognistymi pociskami albo po prostu rozrywać je na kawałki w zderzeniu, mieli używanie. Wyglądało to, jakby Sojusz pragnął zapewnić yammoskom i pilotom koralowych skoczków możliwość ćwiczeń w przechwytywaniu i mierzeniu, podczas gdy w rzeczywistości każdy probot, wykonując polecenie dowódców

Sojuszu, określał i przysyłał współrzędne wolnych szlaków dla niosących ogromną energię strzałów, które miały się przedostać do serca Yuuzhańskiej armady.

O wyniku wielu bitew podczas długiej wojny decydowała najczęściej nie sama siła ognia ani zdolność rażenia, ale możliwości form życia Yuuzhan Vongów do wykrywania zmian masy i manipulowania siłą ciężenia. Yammoski były wprawdzie bardzo inteligentne, ale miały godnych przeciwników w postaci mocy obliczeniowej komputerów analizujących sytuację na polu bitwy i umiejętności pilotów. Inaczej jednak przedstawiała się sprawa z dovin basalami. Jakiś czas piloci Sojuszu wywodzili je w pole, stosując wabię, zmienną częstotliwość i siłę laserowych strzałów lub kierowane przez Jedi ciemne bomby, ale przydatność tych taktyk walki już się wyczerpała.

Mimo to Sojusz miał jeszcze jedną potężną broń w swoim arsenale: pomysłowość.

Yuuzhan Vongowie, chociaż ogarnięci euforią, że dziesiątkują bezbronne automaty, nie mieli pojęcia, że każdy probot określa parametry punktów dostępu i przekazuje cele pilotom gwiazdnych maszyn. Dane te, przesyłane do pamięci komputerów dowództwa Sojuszu, były konfrontowane, porównywane i udostępniane najpierw dowódcom pułków i dywizjonów, a potem eskadr i poszczególnym pilotom.

- Wasze roboty astromechaniczne powinny otrzymywać informacje nawigacyjne i taktyczne - odezwał się głos kontrolera w słuchawce osłaniającej prawe ucho Jaina. - Obserwujcie ekrany monitorów, bo za chwilę pojawią się tam wyznaczone dla was cele.

Kiedy Cappie rozszyfrował informacje przekazane z powierzchni Kalamara, na ekranie monitora w kabinie myśliwca zaczęły się pojawiać taktyczne dane. Obserwując wizerunek szyku w kształcie yammoska, Jaina zauważyła, że obok każdej macki z girlandami koralowych skoczków czy odpowiednikami kanonierek pojawia się cyfra albo litera. Piloci Eskadr Bliźniaczych Słońc, Łotrów i Awangardy mieli wyeliminować z walki macki o numerach od czternastego do dwudziestego. Młoda Solo paliła się wprawdzie do walki, ale podobnie jak wszyscy musiała przestrzegać określonej kolejności.

W skład pierwszej grupy szturmowej wchodziły A-wingi, myśliwce przechwytyjące typu TIE, chissańskie szponowce, maszyny typu A-9 Vigilance i kilkanaście Y-wingów. Zadanie pilotów najszybszych i najzwrotniejszych gwiazdnych maszyn - A-wingów i myśliwców A-9 - polegało na zmuszeniu pilotów koralowych skoczków do złamania szyku. Oba typy gwiazdnych maszyn Galaktycznego Sojuszu były wprawdzie niewielkie i kiepsko uzbrojone, ale wyrzutnie rakiet udarowych krótkiego zasięgu pierwszych i sprzężone lasery drugich miały się rozprawić z

pilotami pierwszej fali koralowych skoczków w podobny sposób, jak Yuuzhanie rozprawili się z probotami.

Na każdą grawitacyjną anomalię, jaką wytwarzał dovin basal, żeby pospieszyć z pomocą namierzonemu skoczkowi, cztery inne nie nadały, dzięki czemu piloci zwinnych maszyn mogli zadawać ciosy i uciekać, zanim Yuuzhan Vongowie zorientowali się, co ich trafiło. Bezustannie nękani piloci koralowych skoczków i patrolowców na końcach macek zaczęli się w końcu rozpraszać, ale kiedy złamali szyk, spadły na nich podobne do sztyletów myśliwce przechwytyjące typu TIE i lekkie bombowce typu Y-wing. Ich piloci, przemykając z oszałamiającą prędkością między chaotycznie krążącymi jednostkami nieprzyjaciół, raz po raz posyłali ku nim protonowe torpedy i serie niosących potężną energię laserowych strzałów.

Wkrótce obrzeża lecącej powoli armady przybrały wygląd rozmazanej plamy, usianej ognistymi kwiatami i szczątkami myśliwców. Serie zielonych błyskawic i oślepiających błysków eksplozji zmniejszyły grubość macek, które zaczęły falować. Ku pilotom Sojuszu poleciało tyle płonących kul, że wyglądało to, jakby yuuzhańska armada się wykrwawiała.

Jaina przełączyła komunikator na kanał taktyczny w samą porę, żeby usłyszeć, jak Kontrola wydaje rozkaz odwrotu.

- Możemy prowadzić skuteczny ostrzał nieprzyjacielskich okrętów liniowych na kierunkach jeden, sześć, siedem, osiem, dwanaście i dwadzieścia dwa. Wszystkie gwiazdne myśliwce w pobliżu tych szlaków mają powrócić do hangarów eskortowców i lotniskowców.

Piloci Galaktycznego Sojuszu zawrócili, a wyznaczone pozycje zajęły gwiazdny superniszczyciel „Opiekun” i kalamariański krążownik „Zwiastun”. Artylerzyści dalekosiężnych dział, prowadząc ogień z ukosa, skierowali niszczycielską energię oślepiających błyskawic w głąb odsłoniętych szlaków. W sercu yuuzhańskiej armady rozkwitły błyski potężnych eksplozji, a we wszystkie strony poleciały ogromne bryły koralu yorik. Bestia wyraźnie się skurczyła, ale leciała nadal tym samym kursem.

- Druga grupa, do ataku! - rozkazał operator Kontroli Sojuszu.

Jaina oblizała pot z górnej wargi, przekazała energię do jednostek napędowych X-winga i od razu poprowadziła pilotów Bliźniaczych Słońc do walki. Przed dziobem maszyny widziała tyle koralowych skoczków i innych możliwych celów, że poczuła się, jakby siedziała w kabynie skomplikowanego symulatora, a nie za sterami prawdziwego myśliwca.

Tymczasem macki yuuzhańskiej armady, kierowane zdalnie przez wszystkie yammoski,

jakie znajdowały się w środku szyku, przemieszczały się w przestworzach i wymierzały ciosy niczym potężne amphistaffy. Koralowe skoczki przelatywały przez czworokąt celowniczy, szybciej niż Jaina, a nawet Cappie mogli je zauważyć. Astromechaniczny robot wprawdzie skrzeczał i pisał, ale wyglądało na to, że czuje się jak ryba w wodzie. Nie łamiąc szyku, piloci Eskadry Bliźniaczych Słońc kierowali się cały czas w stronę grupy yuuzhańskich jednostek, tworzących mackę o numerze czternastym. Za X-wingami leciały myśliwce typu B-wing i eskadra maszyn obronnych typu TIE. Podczas walki B-wingi wyglądały jak krzyże, a maszyny TIE o wydłużonych kadłubach i trzech zestawach paneli ogniw słonecznych przypominały groty strzał. Piloci tych maszyn mieli się zajmować uprzętaniami bałaganu, jaki zostawiliby piloci Eskadr Bliźniaczych Słońc, Łotrów i pozostałych, a także oczyścić drogę dla jednostek, które miały ostrzeliwać yuuzhańskie okręty liniowe. Zadanie to powierzono pilotom opancerzonych myśliwców typu E-wing i dwuosobowych bombowców szturmowych Eskadry Bułatów, bo E-wingi były wyposażone w wyrzutnie protonowych torped, a bombowce dysponowały siłą ognia, zdolną do wyeliminowania połowy plujek skały na kadłubie nieprzyjacielskiego odpowiednika niszczyciela.

Pozostali przy życiu piloci koralowych skoczków zaczęli ostrzeliwać X-wingi i B-wingi kulami plazmy. Rozkazali też dovin basalom, żeby szarpały siłowe pola maszyn przeciwników.

W pewnej chwili, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, artylerzyści okrętów liniowych zajmujących miejsca w środku yuuzhańskiej armady rozpoczęli intensywny ostrzał odsłoniętych szlaków. Pilotowany przez Jainę X-wing zakołysał się, otoczony płonącymi pociskami, a ochronne pola maszyny zanikły. Jaina szarpnęła rękojęść dźwigni drążka sterowniczego w bok, żeby wydostać się ze strumienia wulkanicznego żaru, który omal nie przysmażył jej maszyny. Kopułka Cappiego wyglądała, jakby spływały z niej krople stopionego metalu. Jaina wykonała rozpaczliwy zwrot i omiotła spojrzeniem przestworza. Z przerażeniem stwierdziła, że niemal wszystkie myśliwce obronne typu TIE zniknęły, rozpylone na atomy przez falę żaru.

A więc bestia nie została uszkodzona przez pierwszy atak... czekała tylko na odpowiednią chwilę do zadania miażdżącego ciosu, a pierwszym uderzeniem wyeliminowała z walki ponad pięćdziesiąt gwiazdnych maszyn.

Jaina usiłowała policzyć ocalałe myśliwce Eskadry Bliźniaczych Słońc, kiedy niespodziewanie kierujące ruchami armady yammoski rozkazały mackom obrócić się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Niemal od razu w pustych dotąd miejscach pojawiły się roje

koralewych skoczków i patrolowców.

Tam, gdzie dopiero co Jaina widziała na kursie sześć uszkodzonych skoczków, nagle pojawiło się trzydzieści. Żądni mordy yuuzhańscy piloci wzięli ją na cel...

R O Z D Z I A Ł 23

Podobna historia przydarzyła się Jacenowi trzy lata wcześniej na planecie Duro.

Pomagał wówczas grupie uchodźców Rynów wznieść synplastową kopułę nad prefabrykowanym budynkiem, który miał im zapewnić schronienie. Tym razem przebywał na terenie Średniego Zasięgu i był zdany wyłącznie na własne siły. Schodził po stromym zboczu w kierunku malowniczego stawu zajmującego dno wąskiej doliny.

Jaina?

Na powierzchni Duro zasłabł, upadł, uderzył się w głowę i stracił przytomność. Tym razem jego nogi podcięło jakieś leśne zwierzę. Młody Solo runął jak długi i zaczął się ześlizgiwać głową w dół po wilgotnych liściach i rozmiękłym gruncie. Zdołał obrócić się na plecy i rozłożyć ręce na boki. Znieruchomiał kilka metrów od brzegu, ale klinga jego miecza odczepiła się od parcianego pasa i sunąc dalej pod wpływem impetu, wpadła do stawu o brzegach pokrytych cienką skorupą lodu.

Młody Solo zerwał się i jednym skokiem pokonał odległość dzielącą go od brzegu. Skupił się na centralnym punkcie fal rozchodzących się koncentrycznie po powierzchni wody, zanurzył się w Mocy i wyciągnął przed siebie prawą rękę.

Spod powierzchni wody wyłoniła się cylindryczna rękojeść ze stopu metali, ale nie tylko ona.

Rękojeść tkwiła w czteropalczastej dłoni Vergere.

Przed Jacenem pojawił się wyczarowany przez Sekot myślowy wizerunek drobnej Foshanki. Istota wyglądała o wiele młodziej niż ta porośnięta różnobarwnymi piórkami Vergere, którą poznał na Coruscant. Wąskie uszy i zwinięte spiralnie czułki wydawały się mniejsze, a w ukośnych oczach malowało się zdumienie. Rozszczepione stopy nóg, które wyginały się do tyłu, unosiły się jakiś centymetr nad nieznacznie pofalowaną powierzchnią wody.

- Zgubiłeś coś, Jacenie? - zapytała Sekot, umiejętnie poruszając szerokimi ustami

Vergere.

- Nie pierwszy raz - odparł młody Jedi. W zetknięciu z mroźnym powietrzem jego oddech zamieniał się w obłoczki pary.

- To do ciebie niepodobne, żebyś tracił równowagę.

- Mojej siostrze Jainie grozi niebezpieczeństwo - wyjaśnił Jacen. - Zamyśliłem się i przestałem patrzeć, gdzie stawiam stopy.

- Jak często będziesz pozwalał, żeby twoją uwagę zaprzętały grożące jej niebezpieczeństwa?

Jacen uświadomił sobie, że ma przed sobą Vergere taką, jaką zapamiętała Sekot... inną niż Vergere, która poświęciła życie na powierzchni Ebaqa Dziewięć, żeby ocalić od śmierci jego i Jainę.

- Tak często, jak to będzie konieczne - odparł zwięźle. - Jesteśmy bliźniętami i łączy nas silna więź emocjonalna.

- A gdybyś musiał stanąć przed koniecznością dokonania wyboru między ocaleniem swojej bliźniaczej siostry a swojego wuja? - zainteresowała się Sekot. - Której osobie służysz?

- Służę Mocy.

- I uważasz, że Moc pomoże ci w podjęciu właściwej decyzji?

Nierzeczywista Vergere wyciągnęła ku niemu rękojeść świetlnego miecza.

- Odbierz swoją broń, młody Jedi - powiedziała.

Jacen przywołał do siebie świetlny miecz i wsunął rękojeść za pas ubłoconego płaszcza. Metalowy cylinder był mokry i zimny, podobnie jak jego dłonie, które zaczął energicznie pocierać.

Zonama Sekot wykonała drugi próbny skok przez nadprzestrzeń i tym razem jej powierzchnia właściwie nie ucierpiała. R2-D2 obliczył, że planeta znalazła się na ekliptyce galaktyki, w pobliżu systemu Reece w Wewnętrznych Rubieżach, gdyby granica tego arbitralnie wyznaczonego obszaru ciągnęła się do samych Nieznanych Rejonów. Jeszcze jeden skok i Zonama Sekot będzie mogła powrócić do znanych przestworzy.

Vergere nie spuszczała oka ze swojego rozmówcy.

- Posługujesz się świetlnym mieczem, żeby ciąć czy leczyć? -zapytała w końcu.

- Zawsze zastanawiałem się nad odpowiedzią na to pytanie - odparł wymijająco młody Solo.

Usiadł na powierzchni gruntu. Między liśćmi ogromnych bora przenikały szerokie promienie słońca, które padały na wilgotną glebę i odbijały się od powierzchni stawu. Między jasnymi plamami przemykały ślizgające się po wodzie owady.

- Szukałeś tu czegoś? - zainteresowała się myślowa projekcja Vergere.

- Tylko odpowiedzi.

- Jak najlepiej zakończyć walkę, cierpienia i śmierć, które wojna przyniosła tej galaktyce

- domyśliła się Foshanka. - Musisz zawierzyć Mocy, Jacenie, jeżeli chcesz jej wiernie służyć.

- Bycie rycerzem Jedi nie polega wyłącznie na służeniu Mocy -zaoponował młody Solo.

- Chodzi o wyznawanie zasady, że cenne są wszystkie formy życia.

Sekot pozwoliła, żeby ozdobiona bokobrodami twarz Vergere rozciągnęła się w uśmiechu.

- Nauczyłeś się tego od swojej mentorki, Vergere - powiedziała.

- Mojej przewodniczki - poprawił ją Jacen.

Mojej przewodniczki po krainie umarłych, dodał w myśli. Mojej zwiastunki tragedii...

- A Vergere nauczyła się tego ode mnie - poinformowała Sekot. -Właśnie tak się poczułam, kiedy moją świadomość pobudził pierwszy magister Leor Hal. Wielokrotnie twierdziłeś, że Yuuzhan Vongowie są częścią życia, częścią Mocy, należy więc ich właśnie tak traktować.

- Jeżeli zostali odarci z Mocy, jak twierdzisz, należy im raczej współczuć - odparł Jacen.

Vergere opuściła wąskie ramiona.

- Ja także poszukuję odpowiedzi, Jacenie - oznajmiła. - Nie współczuję jednak nieprzyjaciołom jak ty.

Młody Jedi zacisnął wargi.

- Z powodu cierpień, przez jakie kazała mi przejść Vergere, rozwinąłem w sobie coś w rodzaju... zdolności ich wyczuwania. Nazywam to Vongozmysłem. Wydaje mi się, że tu wyczuwam ich jakby trochę silniej... i to nie tylko w miejscach, w których rozmawiam z Harrarem, ale także wszędzie, gdzie się znajdują.

Dotknął płaszcz nad zagłębieniem w piersi, w którym kiedyś tkwiło implantowane przez Vergere koralowe ziarno niewolnicze. Przypomniawszy sobie, jak się czuł, kiedy dręczyły go Objęcia Cierpienia i kiedy także odnosił wrażenie, jakby odarto go z Mocy.

„Dla znanych sobie światów jesteś stracony na zawsze - powiedziała mu Vergere na

początku procesu przemiany jego osobowości.

- Twoi przyjaciele są pogrążeni w żałobie, ojciec ryczy z wściekłości, matka płacze. Twoje życie zostało zakończone; powstała linia podziału pomiędzy tobą a wszystkim, co znałeś do tej pory. Widziałeś kiedyś terminator, pogrążoną w światłocieniu granicę dnia i nocy, która przebiega przez powierzchnię planety? Przekroczyłeś tę linię, Jacenie Solo. Jasne łąki dnia są dla ciebie przeszłością”.

- Starając się lepiej ciebie zrozumieć, lepiej rozumiem naszych wrogów - ciągnęła Sekot.

- Czy widzisz w tym jakąś sprzeczność, Jedi?

- To zależy od tego, komu służy Sekot.

- Ja także służę Mocy... ale Mocy zdefiniowanej przez Potencjum, które nie uznaje zła, chyba że jako etykietę - odparła Vergere.

- Magister Leor i Ferroanie obudzili moją świadomość, ale dopiero Przybysze z Dali, Yuuzhan Vongowie, nauczyli mnie, że chociaż zło nie istnieje, istnieją złe uczynki. To właśnie na nie musimy zwracać uwagę. Pięćdziesiąt lat temu byłam na tyle potężna, żeby powstrzymać Yuuzhan Vongów, kiedy pojawili się na mojej powierzchni; w tej chwili też mam wystarczającą potęgę, żeby ich powstrzymać. Moje instynkty podpowiadają mi, że zawsze miałam nad nimi władzę.

Jaceni przypomnieli sobie cios Mocy, jaki Sekot wymierzyła wszystkim na pokładzie „Cienia Jade”, kiedy gwiazdny jacht pojawił się w systemie Klasse Ephemery - Sanktuarium.

- I wykorzystasz tę władzę, żeby ich pokonać? - zapytał ostrożnie.

- Jeżeli to będzie konieczne... ale nie zamierzam ich lekceważyć

- odparła Sekot ustami Vergere. - Gdybym w tym celu uciekła się do agresji albo gdybym ich zniechęciła za to, kim się stali, sama odłączyłabym się od Mocy i pozwoliła, żeby moje ego zatriumfowało nad pragnieniem zespolenia i rozszerzenia świadomości. Skaziłabym światłość swoją ciemnością, na zawsze bym ją zbrukała. Samoświadomość stara się nam wmówić, że oprócz nas istnieje jeszcze ktoś inny. Służąc Mocy, uświadamiamy sobie jednak, że wszyscy jesteśmy tacy sami. Kiedy działamy zgodnie z wolą Mocy, popieramy dążenie wszelkiego życia do rozprzestrzeniania się, do wyrastania z postaci fizycznej i do stawania się czymś większym.

W tym sensie wszystkie formy życia są jak nasiona-partnerzy, Ja-cenie, które żarliwie pragną się zjednoczyć z całym życiem i przyczynić do narodzin wspaniałych inicjatyw...

gwiazdowego statku, dzieła sztuki czy też czynu, który potomni uznają za szlachetny. Pod tym względem nie różnię się od ciebie, bo także chcę odegrać rolę w ewolucji pierwiastka duchowego. Domaga się tego moja świadomość.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić - mruknął młody Jedi.

- Tak, to kwestia równowagi - przyznała Sekot. - A przecież wszystkie nasze postęпки w jakimś stopniu zakłócają równowagę wszechświata. Niektóre przechylają go w tę, inne w drugą stronę. Pragnąc zatriumfować nad Yuuzhan Vongami, musimy po prostu iść tam, dokąd chcemy dojść. To właśnie dlatego powinnam wrócić do znanych przestworzy, ale moje zadanie wymaga czegoś więcej niż tylko skupienia uwagi na zestawie nadprzestrzennych współrzędnych. Nic się nie uda, jeżeli cel mojej podróży nie okaże się miejscem, do którego pragnę dotrzeć. Nawet jeżeli wykonam ten skok bezbłędnie, mój postępek nie przyniesie pożądanych owoców. Jeżeli cię to interesuje, Jacenie, właśnie tego nauczyła mnie Vergere.

Młody Solo słuchał jej słów z tak napiętą uwagą, że zapomniał odpowiedzieć. Vergere skierowała go na szlak, na którym miał się stać inną osobą, ale jeżeli nie zakończy się ten proces, pozostanie skrępowany i odcięty od samoświadomości, z których Sekot podobno już dawno wyrosła. Coś takiego na pewno nie pozwoliłoby mu całkowicie zespolić się z Mocą.

- Musimy zbliżyć się do punktów zwrotnych w naszym życiu z czystym sercem - ciągnęła Sekot. - Musimy widzieć nie tylko siebie, ale także wszystko przed sobą. A kiedy zobaczymy nadciągające niebezpieczeństwo albo zdarzy się nam trudny wybór, musimy się uspokoić, żebyśmy mogli stawić mu czoło z czystym umysłem. Dopiero kiedy opanujemy po mistrzowsku tę technikę, zyskamy świadomość, że postępujemy słusznie, nawet się nad tym nie zastanawiając.

- Czy wiesz, dokąd chcesz się udać? - zapytał Jacen, kiedy uświadomił sobie, że Vergere czeka na jego odpowiedź.

- Dzięki analizowaniu form życia Yuuzhan Vongów i temu, co podpowiedziała mi intuicja, kiedy poznałam Nen Yim, domyśliłam się, jak przekazać dodatkową energię do rdzeni jednostek napędu nadświetlnego Zonamy - wyjaśniła Sekot. - Zamierzam ją zaczerpnąć z samej planety. Powodzenie próbných skoków upewniło mnie, że mogę pozwolić Zonamie powrócić do znanych przestworzy. Zaczynam także rozumieć, w jaki sposób Yuuzhan Vongowie stworzyli formy życia, które nazywają dovin basalami, villipami, yammoskami i tak dalej... chociaż może raczej powinnam powiedzieć, że powoli to sobie przypominam. Martwię się jednak, że

niespodziewane pojawienie się Zonamy mogłoby wywrzeć destabilizujący albo wręcz zgubny wpływ na planetę znajdującą się w pobliżu miejsca, gdzie wyskoczmy z nadprzestrzeni.

Korzystając z informacji zarejestrowanych w bibliotece Chissów, Jacen i Saba dowiedzieli się o straszliwych trzęsieniach gruntu, jakie miały miejsce kilka standardowych dziesięcioleci wcześniej na powierzchni Munlali Mafira, kiedy w sąsiedztwie tej planety pojawiła się Zonama Sekot. Poniosło wówczas śmierć wielu Jostran i Krizlawów.

- Mój wujek podejrzewał, że możesz się tym martwić - powiedział Jacen. - Zamierzał ci sam powiedzieć, że nie musisz.

Vergere podfrunęła bliżej niego i znieruchomiła nad cienkim lodem.

- Wyjaśnij mi, co właściwie mistrz Skywalker miał na myśli - poprosiła.

R O Z D Z I A Ł 24

Czerwonawe słońce Caluuli, które nieco wcześniej wychynęło nad wierzchołki wzgórz, malowało korony najwyższych drzew i powoli ogrzewało poranne powietrze. Leia potarła dłonie, ale zaraz doszła do wniosku, że odczuwany chłód nie ma nic wspólnego z temperaturą otoczenia.

Na północ od szlaku, na końcu pasma strzaskanych w połowie wysokości drzew spoczywał rozbity koralowy skoczek. Mikopodobna przezroczysta owiewka była dziurawa, a w zagłębieniu pełniącym funkcję kabiny siedział martwy Yuuzhanin. Kaptur świadomości, za którego pośrednictwem porozumiewał się z żywym myśliwcem, skurczył się i przyłgnął do twarzy pilota niczym arkusik flimsiplastu. Han przykucnął obok tępo zakończonego dziobu skoczka i szturchnął parę razy przedmiot w kształcie ciemnoczerwonego serca z błękitnymi wypustkami, który wypadł z rozłamanego kadłuba.

- Dovin basal nie żyje - oznajmił w końcu.

- Plujki skał też - dodał Kyp.

Mistrz Jedi okrążył myśliwiec, a Wraw i Sasso wskoczyli do kabiny. Page, Ferfer i Meloque badali las na północ od miejsca katastrofy, w kierunku Caluula City. Zadowolone timbu pasły się na pobliskiej polanie.

Han wstał, osłonił dłonią oczy i skierował spojrzenie na szpaler strzaskanych drzew.

- Nadleciał z tamtej strony - stwierdził. Wskazał odległe o jakieś sto metrów wgłębienie

w powierzchni gruntu. - Tutaj uderzył w ziemię, odbił się, przeleciał przez te krzaki i spoczął w tym miejscu.

Kyp skończył okrążyć myśliwiec i pokiwał głową.

- Pytanie tylko, co było powodem katastrofy - powiedział.

- Orbitalna Stacja Caluuli, a cóż by innego? - zdziwił się Solo.

Mistrz Jedi spojrział na wrak yuuzhańskiego myśliwca.

- Na kadłubie nie ma śladów po laserowych strzałach ani z baterii stacji, ani z działek naszych maszyn - zauważył.

Han zmarszczył czoło.

- To niemożliwe - powiedział. Kucnął, zajrzał pod spód skoczka i zaraz się wyprostował.

- Strzał musiał przeszyć na wylot owiewkę kabiny.

- Też nic na to nie wskazuje - sprzeciwił się Sasso, który wyskoczył z kabiny na powierzchnię gruntu.

Han spojrział na Durrona.

- Może został porażony strzałem z jonowego działa... - zaczął, ale od razu uświadomił sobie, że to niemożliwe. - Żadna jednostka, lecąca w głąb grawitacyjnej studni z maksymalną prędkością, nie może po zderzeniu wyglądać jak ten skoczek.

Kyp pokiwał głową.

- Sądząc po głębokości krateru po pierwszym zetknięciu się z gruntem i po poziomie, na jakim ścięło drzewa, ten skoczek nie mógł lecieć na wysokości większej niż trzysta metrów - zawyrokował.

- Patrolowiec - domyślił się Sasso.

- To mogłoby wyjaśniać, dlaczego koral yorik nie stopił się od żaru. - Han odwrócił się do Rodianina. - Może trafił go jeden z twoich podwładnych? Członek miejscowego ruchu oporu?

Sasso pokręcił głową.

- Nie mamy takich systemów uzbrojenia, żebyśmy mogli sobie na to pozwolić - powiedział.

Wraw wygramolił się z kabiny.

- Więc co się stało, zasłabł w powietrzu? - zapytał.

Solo zacisnął usta w wąską linię i wzruszył ramionami.

- Może Yuuzhan Vongowie rzucili większość tego, co mieli, do rozstrzygającej walki, a

do obrony planet w rodzaju Caluuli desygnowali najsłabsze formy życia i najmniej doświadczonych wojowników? - zapytał, ale zaraz roześmiał się ponuro. - Są w gorszej dyspozycji niż my.

- Wcale nie - sprzeciwił się Kyp. - Tak się dzieje tylko tu, na powierzchni Caluuli.

Przysłuchując się ich rozmowie, Leia starała się wmówić sobie, że istnieje logiczne wyjaśnienie zarówno powodu katastrofy koralowego skoczka, jak i stosunkowo łatwego zwycięstwa nad szóstką niemrawych wojowników, których udało się im wcześniej zwabić w zasadzkę. Brak takiego wyjaśnienia zaczynał już działać wszystkim na nerwy.

Poprzedniej nocy nikt nie zmrzył oka w obawie, że mogą być śledzeni. Jeszcze przed świtem postanowili opuścić szlak i przedzierać się przez gęste poszycie w nadziei, że zmylą tropicieli. Nie zauważyli wprawdzie żadnej uskrzydłonej formy życia Yuuzhan Vongów ani pieszych zwiadowców, ale to mogło równie dobrze oznaczać, że są kierowani do pułapki.

Kluczyli i zacierali ślady, i tylko przez przypadek natknęli się na wrak koralowego skoczka.

- Chyba wiem, co mogło mu się przydarzyć - mruknął w końcu Solo. - Yammosk źle pokierował jego ruchami.

- To by wiele tłumaczyło, ale nie wszystko - stwierdził Sasso. -W takiej katastrofie rzeczywiście mogliby zginąć pilot i dovin basal, ale dlaczego zdechł również kaptur świadomości? Czy takie kaptury są żywione przez dovin basale? - Przeniósł spojrzenie na szczątki yuuzhańskiego myśliwca. - Nie mam o tym pojęcia, bo więcej czasu spędziłem, starając się ich unikać niż je badać.

- Na twoje pytanie mogłaby odpowiedzieć nasza córka - podsunął Han. - Kiedyś pilotowała podobny statek.

Jaina!

Leia poczuła nagle falę głębokiego niepokoju, ale zanim uświadomiła sobie jego powód, jej mąż zawołał coś do Wrawa. Księżniczka odwróciła się i zauważyła, że Bothanin wrócił do kabiny i zajął się sporządzaniem szkiców wnętrza.

- Muszę mieć jakąś pamiątkę dla wnuków - wyjaśnił cierpko, kiedy Han zapytał go, co robi.

- Wnuków? - wybuchnął Solo. - Będziesz mógł mówić o szczęściu, jeżeli dożyjesz narodzin dzieci!

Bothanin zamknął pokrywkę szkicownika.

- Jeżeli przyjdą na świat, będę miał dość rozsądku, żeby je trzymać jak najdalej od tej wojny - powiedział.

Han podszedł do skoczka, wyraźnie wściekły na Wrawa.

- Zanim ta wojna dobiegnie końca, będę musiał dać ci nauczkę, jak się zachowywać wśród cywilizowanych osób - zagroził.

Leia zauważyła, że Kyp jest gotów ich rozdzielić, ale tym razem jej mąż nie dążył do konfrontacji. Mistrz Jedi zerknął na Wrawa.

- Jest Korelianinem - przypomniał mu półgłosem, kiedy Solo oddalił się na tyle, żeby go nie mógł usłyszeć. - Kordianie nie rzucają gróźb na wiatr.

W odpowiedzi Bothanin tylko prychnął.

Sasso opuścił ich, żeby poszukać Meloque, Page'a i Ferfera, a Han, Leia i Kyp wrócili do timbu.

- Chyba rozumiecie, że jesteśmy kierowani prosto do miejsca, gdzie czeka na nas zasadzka? - zapytał Solo.

Mistrz Jedi pokiwał głową.

- Prawdopodobnie dzieje się tak od samego początku naszej wyprawy - powiedział. - Ale to nie oznacza, że nie możemy wykonać zadania. Musimy po prostu się rozglądać, czy nie jesteśmy śledzeni.

- Skoro już o tym mowa... czy Wywiad sprawdził przeszłość Sassa i Ferfera? - zaniepokoił się Han.

- Musisz o to zapytać Wrawa - odparł Kyp. - Wiem tylko, że obaj przyłączyli się do ruchu oporu, jeszcze zanim Yuuzhan Vongowie pojawili się w systemie Caluuli. Sasso służył nawet jakiś czas na pokładach orbitalnej stacji.

- Więc przynajmniej nie zostaliśmy sprzedani Vongom.

- O ile wiem, nie może być nawet o tym mowy.

Usłyszeli gwizd Sassa, a kilkanaście sekund później Rodianin wyłonił się spomiędzy drzew w towarzystwie Page'a, Ryna i Meloque. Ho'Dinka niosła kilkanaście owadów o delikatnych skrzydłach i ogromnych opalizujących oczach. Położyła je na ściółce i usiadła obok.

- Są martwe - oznajmiła tonem udręki. - Cały las roi się od martwych owadów. Większość zdechła, jeszcze zanim wydostała się z muszli. Wiele wskazuje na to, że pozostałe

zginęły w locie.

- Wszystkie? - zapytała zaskoczona Leia.

Meloque pokręciła głową.

- Nie, ale te, które przeżyły, poruszają się jak w letargu. - Powiodła spojrzeniem po twarzach pozostałych uczestników wyprawy. - Wydarzyło się tu coś okropnego.

Han i Kyp wymienili ponure spojrzenia.

- Zabierajmy się stąd - zdecydował Page.

Po kilku godzinach przedzierania się przez gęsty las na pagórkowatym terenie kierowana przez Meloque grupa rzekomych naukowców stanęła na wierzchołku niewielkiego wzniesienia. Rozciągał się z niego widok na południowy skraj miasta Caluula z podobnym do wielkiego ula minshalem, w którym nieprzyjaciele zainstalowali yammoska.

- Do środka prowadzą trzy wejścia - wyjaśnił Sasso z ukrytego miejsca obserwacyjnego, które wypatrzyli członkowie wyprawy. - Dwa od frontu i jedno od wschodu. Wszystkie zawierają membrany, które można łatwo przebić błyskawicami blasterowych strzałów. Każdego wejścia strzeże na ogół trzech albo czterech strażników. Zmiany są długie, więc najlepiej zaatakować ich krótko przed zachodem słońca, zanim się skończy popołudniowa zmiana. W skład garnizonu wchodzi mniej więcej siedemdziesięciu pięciu wojowników. Są także ich dowódca, jego zastępca, przynajmniej jeden kapłan i jedna z tych długowłosych kobiet techników...

- Mistrzyń przemian - podsunęła Leia.

Rodianin pokiwał głową.

- Nie mam jednak pojęcia, jak uśmiercić samego yammoska - powiedział. - Przypuszczam, że znacie jakiś sposób.

- Pozostaw to mnie - odparł Kyp.

- Pamiętajcie, że musimy na samym początku uniemożliwić im łączność za pomocą villipów - przypomniał Page.

Księżniczka powiodła spojrzeniem po płaskich dachach domostw niewielkiego miasta. Słońce na niebie stało jeszcze wysoko, więc członkowie zespołu mieli przed sobą kilka godzin czekania. Ferfer zgłosił się na ochotnika, że poszuka kryjówki dla timbu. Wstał i zniknął w lesie, ale nie odszedł daleko, bo po chwili wszyscy usłyszeli jego wrzask, a zaraz potem charkot. Odwrócili się i zobaczyli zataczającego się Ryna, który miał brzuch rozplątany niczym dojrzwały owoc.

Spomiędzy drzew wyłoniło się czterech niedużych, śniadoskórych wojowników Yuuzhan Vongów.

Han rzucił żonie zaskoczone spojrzenie i wyciągnął blaster.

Page sięgnął po karabin, ale zanim zdążył go unieść do strzału, broń z jego dłoni wyszarpnął najdłuższy amphistaff, jakiego Leia kiedykolwiek widziała. Władający nim jak biczem Yuuzhanin pociągnął amphistaffa ku sobie i karabin Page'a poszybował w powietrze niczym gałązka. Sasso rzucił się w stronę wojownika trzymającego amphistaffa, ale zanim zdążył pokonać pierwsze trzy metry, Yuuzhanin przeskoczył nad nim, wywinął koziołka w powietrzu, wylądował za plecami Rodianina, odwrócił się i wbił ostrze coufee głęboko w jego plecy.

Kyp i Leia zapalili w tej samej chwili klingi świetlnych mieczy. Błyskawice z blasterów Hana i Wrawa powaliły dwóch wojowników, ale żaden nie został nawet ranny. Kyp podbiegł do bliższego i ciął go przez pierś zamaszystym ciosem miecza. Yuuzhanin warknął i przetoczył się po miękkiej ściółce, ale kiedy wstał, wszyscy zobaczyli, że na jego nieosłoniętym pancerzem ciemnym ciele widnieje tylko płytka rana, z której nie wypłynęła ani kropla krwi.

Mistrz Jedi odwrócił się i machnął klingą jak toporem. Wojownik uchylił się przed ciosem, przyklęknął na jedno kolano i rozwinął amphistaffa. Podobne do węża stworzenie wyciągnęło się na całą długość i owinęło wokół klingi świetlnego miecza, ale Durrone nie zamierzał wypuszczać rękojeści broni. Zmagając się z węzowatym zwierzęciem, obracał się i wykonywał salta w tył, lecz nadaremnie. Sekundę później drugi amphistaff owinął się wokół jego pasa i ramion i pociągnął mistrza Jedi na powierzchnię gruntu.

Han trafił drugiego wojownika trzema strzałami. Po każdym Yuuzhanin cofał się dwa kroki, ale nie sprawiał wrażenia rannego. Ani myślał też rozkazać swojemu amphistaffowi, żeby uwolnił Kypa. Solo zawołał Wrawa na pomoc, ale kątem oka zauważył, że Bothanin rozpaczliwie próbuje uniemożliwić drugiej parze wojowników schwytanie Page'a.

Jednym spojrzeniem oceniając sytuację na polu walki, Leia doszła do wniosku, że większe niebezpieczeństwo zagraża jej mężowi i Kypowi. Trzymając rękojeść świetlnego miecza na wysokości prawego biodra i kierując klingę ukośnie w dół, skoczyła ku wojownikowi, którego amphistaff obracał leżącym Kypem z boku na bok.

Han wyczuł raczej, niż zobaczył, że żona przebiegła obok niego.

- Leio! - krzyknął, strzelił jeszcze parę razy z blastera i spróbował zatrzymać żonę.

Cztery strzały przedziurawiły wojownika, do którego biegła Leia, ale drugi Yuuzhanin

nakazał amphistaffowi, żeby puścił rękojeść świetlnego miecza mistrza Jedi i wystrzelił niczym bicz w kierunku Leii.

Przeczuwając, co się stanie, Han puścił się biegiem w nadziei, że zasłoni żonę własnym ciałem. Księżniczka z przerażeniem zauważyła, że amphistaff uderzył Hana z całej siły w szyję... ale nie tylko uderzył.

Stworzenie otworzyło paszczą i zatopiło dwa długie kły jadowe w ciele jej męża.

Han przewrócił się na bok, ale zaraz uklęknął. Zdołał jeszcze dać ognia, zanim wypuścił blaster z drżących palców. Powoli przysiadł na piętach, runął na bok i skulił się, przyciskając do piersi dygoczące ręce.

Kyp rzucił się do niego, ale drogę zagrodziło mu trzech wojowników.

Leia otworzyła usta do bezgłośnego krzyku, wypuściła świetlny miecz i podbiegła do Hana. Patrząc z przerażeniem na dwie dziury w jego szyi, ujęła jego drżącą spazmatycznie prawą dłoń.

- Hanie! - wykrzyknęła - Hanie...

U jej boku stanęła nagle Meloque, która uniosła z wilgotnej ściółki głowę Hana. Jego twarz wyglądała jak wykrzywiona bólem i smutkiem blada maska.

- W-wiedziałem od s-samego początku, że to nie moja wojna - wyjąkał Solo. Leia zauważyła, że z ran na jego szyi spływają strużki krwi.

- Hanie -jęknęła, kierując na męża szeroko otwarte oczy.

Uniosła głowę i spojrzała na podchodzących wojowników. Dwóch ciągnęło Kypa, ale Leia chyba się spodziewała, że pospieszą Hanowi na ratunek. Jeden podszedł do niej i do Meloque, chwycił obie za ręce i brutalnym szarpnięciem zmusił do wstania.

- Nie, nie -jęknęła Leia, kręcąc głową.

Han wyciągnął rękę do żony, ale wojownik kopnięciem odtrącił ją na bok. Solo przewrócił oczami, zamrugał i stracił przytomność.

- Nie! - krzyknęła księżniczka, kiedy Yuuzhan Vongowie odciągali ją od męża.

- Ocena strat po pierwszym starciu, wojenny mistrzu? - odezwał się najwyższy dowódca Loiric Kaan, wskazując niszę w ścianie komnaty dowodzenia „Góry Yammki”.

Nas Choka odwrócił się plecami do obserwacyjnego bąbla okrętu i jakiś czas obserwował taniec ognistych robaczek.

- Do przyjęcia - oznajmił w końcu.

- Sprytnie użyto maszyn - zauważył Loiric Kaan.

Wojenny mistrz odwinął porośniętą cienkimi włoskami górną wargę i spiorunował spojrzeniem podwładnego.

- Kolejny akt tchórzostwa - burknął gniewnie. - Przestań myśleć w kategoriach systemów uzbrojenia używanych przez naszych wrogów, a zamiast tego skup uwagę na ich taktyce walki. Lepiej myśl o maszynach jak o żywych istotach, to ci pomoże zrozumieć sytuację na polu bitwy.

Loiric Kaan pochylił głowę.

- Tak jest, wojenny mistrzu - powiedział.

Nas Choka odwrócił się ponownie w stronę niszy z ognistymi robaczkami, przedstawiającymi rozmieszczenie nieprzyjacielskich grup szturmowych w przestworzach Kalamara.

- Za wszelką cenę starają się chronić swoją nową stolicę, ale w ich sytuacji to daremny trud - odezwał się najwyższy dowódca.

Wojenny mistrz przywołał gestem jednego ze swoich podporuczników.

- Wyprowadź najwyższego dowódcę Loirica Kaana z komnaty dowodzenia - rozkazał. - Gdybyśmy mogli wygrać tę wojnę tylko słowami wiary, już dawno pokonalibyśmy mieszkańców tej galaktyki.

Odwrócił się plecami do podwładnego i zaczął, aż Kaan zniknie za tęczątkową membraną.

- Liczba nieprzyjacielskich okrętów jest o wiele mniejsza, niż się spodziewano - odezwał się główny taktyk, kiedy w końcu membrana zamknęła się za plecami najwyższego dowódcy.

- Nic dziwnego - ocenił Nas Choka. - Wierząc w skuteczność swoich forteli, postanowili trzymać dodatkowe jednostki w odwodzie... w nadziei, że osiągną drugorzędne cele.

- Dywizjony ich gwiazdnych myślicieli przygotowują się do ataku - zameldował podporucznik.

Wojenny mistrz prychnął.

- Są jak rój owadów, których nie da się przegonić ani odstraszyć - stwierdził pogardliwie. - Szkodniki jednak można wytępić. - Odwrócił się do Yuuzhanki pełniącej służbę przy chorze villipów. - Wydaj rozkaz domenom Vang i Pekeen, żeby spryskały skażone obszary, a potem poleć yammoskom, żeby wzmocniły nasze szyki dodatkowymi setkami koralowych

skoczków.

Wojenny mistrz i główny taktyk odwrócili się w stronę przezroczystego bąbla i skierowali spojrzenie na środek armady, skąd wystrzeliły we wszystkie strony oślepiająco jaskrawe strugi plazmy. Z przestworzy zniknęły dziesiątki małych nieprzyjacielskich maszyn, a mniej więcej dwa razy tyle zostało obezwładnionych.

- Powtórzyć - rozkazał Nas Choka.

Z wyrzutni yuuzhańskich okrętów liniowych znów trysnął strumień ognistej śmierci, która pochłonęła jeszcze więcej gwiazdnych myśliwców nieprzyjaciół.

- A teraz niech yorik-akaga i yorik-vec zajmą pozycje na tyłach szyku - polecił Nas Choka. - Od tej pory jako grot naszej włóczni posłużą mataloki.

Podporucznik zasalutował, uderzając się pięściami w ramiona.

- Wojenny mistrzu - wtrącił się taktyk nadzorujący chór villipów.

- Wiadomość od najwyższego lorda Shimrry.

Nas Choka odwrócił się do chóru i przyklęknął przed poświęconym villipem Shimrry. Wszyscy obecni w komnacie dowodzenia rozpląszczyli się na pokładzie i dotknęli czołem chropowatego koralu yorik.

- Wszystko zapowiada się pomyślnie, o Straszliwy Lordzie - zameldował Nas Choka. - Odniesiemy dziś wielkie zwycięstwo albo zginiemy, starając się odnieść.

- Lepiej byłoby dla ciebie, wojenny mistrzu, gdybyś zginął, niż miałbyś przegrać - odezwał się Shimrra.

- Rozumiem, o Straszliwy.

- Masz moje błogosławieństwo i błogosławieństwo bogów - ciągnął villip najwyższego lorda. - Yun-Yuuzhan i Yun-Yammka unoszą się po obu stronach ciebie jako twoja prawa i lewa ręka.

- Wyczuwam ich obecność, Wielki Lordzie - przyznał wojenny mistrz.

- Czy nieprzyjaciel kuli się przed nami ze strachu?

- Na razie jego floty stawiają nam czoło - odparł wymijająco Nas Choka.

- Czy to znaczy, że miał dość odwagi, aby podjąć z nami walkę? - zapytał villip Shimrry.

- Jego wysiłki są skazane na ostateczną klęskę. Darzę cię pełnym zaufaniem, wojenny mistrzu. Nie będę ci dłużej przeszkadzał w wykonywaniu obowiązków.

Poświęcony villip najwyższego lorda przenieśli się z powrotem i upodobnił do

skórzanej piłki. Nas Choka wstał i podszedł do przezroczystego bąbla. Jakiś czas w milczeniu obserwował zmagania pilotów koralowych skoczków i gwiazdnych maszyn oraz yorika-veca z pilotami bombowców Eskadry Bułatów.

W pewnej chwili odwrócił się do głównego taktyka.

- Sow i Kre'fey walczą umysłami, nie ciałami - odezwał się. - Są słabsi, a mimo to zadzierają z silniejszymi. Nawet jeżeli wystarczająco szybko przedrą się do naszej linii obrony, mają zbyt krótkie ręce, żeby wyrządzić nam większą krzywdę, a ich mięśniom brak siły, żeby nas rzucić na kolana. Chyba sobie to uświadamiają, bo zabrali się do układania wymyślnych planów. Zapewne chcą nas sprowokować do zadania pierwszego ciosu w nadziei, że kiedy nas popchną albo kopną w kolano, chybimy i stracimy równowagę. Mogą także liczyć na pomoc równie słabych przyjaciół, którzy zajmują pozycje za ich plecami. Zadadzą wówczas pierwszy cios pewni, że ich kohorty wykorzystają nadarzającą się okazję. Posłużą się przyjaciółmi do odwrócenia naszej uwagi, a kiedy silniejszy wojownik zaryzykuje spojrzenie w prawo, zaatakują nas z lewej. Wykrzywił twarz w gniewnym grymasie.

- Ta bitwa nie jest ostateczną rozgrywką - dodał po chwili. - Nie ma niczego wspólnego z honorem czy wolą stawienia czoła śmierci. To fortel. Na szczęście domyślam się, skąd spadnie cios, który ma nas powalić na kolana.

Taktyk pokiwał głową, jakby znał odpowiedź.

Nas Choka odwrócił się do Yuuzhanki obsługującej chór villipów.

- Pobudź czujność grup szturmowych domen Shen'g Paasar, Eklut i Taav - nakazał. - Na mój rozkaz mają odłączyć się od armady i przygotować do wykonania skoku do ciemnych przestworzy.

Yuuzhanka skłoniła się nisko.

- W okolice ToongMa i Caluuli, a stamtąd do przestworzy Yuuzhan'tara? - upewniła się.

Nas Choka parsknął lekceważąco.

-Zajmij się swoimi villipami, opiekunko - powiedział. - Pozostaw strategię tym, których celem życia jest walka. - Gestem przywołał głównego taktyka. - Wydadz jej odpowiedni rozkaz - zażądał.

- Do Perlemańskiego Szlaku Handlowego - powiedział szczupły Yuuzhanin, spoglądając na opiekunkę villipów. - A stamtąd do przestworzy Contruuma!

Leia nie mogła się otrząsnąć z szoku, kiedy trzech pozostałych przy życiu wojowniczy

prowadzili ją, Kypa, Page'a, Wrawa i Meloque do minshala yammoska. Dwaj ciągnęli Hana za ręce jak zabite zwierzę. Jej mąż żył, ale zatruty jadem, który przedostał się do jego krwiobiegu z kłów amphistaffa, stracił przytomność albo nawet zapadł w śpiączkę.

Mimo doznanego wstrząsu księżniczka zachowała dość przytomności umysłu, aby zauważyć, że wschodniej bramy minshala strzeże tylko jeden znużony wartownik. Sama membrana wyglądała na wiotką i słabą i ociekała lepłą cieczą. Na widok zbliżających się trzech wojowników strażnik ledwo zdołał stanąć prosto, skrzyżować ręce na piersi i wymamrotać coś cicho na ich powitanie.

- Mówi im, że dowódca już czeka - przetłumaczył szeptem Page.

Kiedy wchodzili do ponurego wnętrza minshala, jeden z niskich wojowników się potknął i stracił równowagę. Co najdziwniejsze, był to ten, który nie odniósł żadnej rany podczas nieco wcześniejszej walki.

Kyp także zwrócił na to uwagę.

- Dzieje się tu coś dziwnego - mruknął.

Za odezwanie się bez pozwolenia został ukarany silnym szturchnięciem pod żebro.

W minshalu panowała porażająca nozdrza woń rozkładu. Na gąbczastej podłodze stały kałuże żółtawej cieczy, a między porastającymi ścianami świecącymi mchami widniały ciemne plamy. Wszędzie spacerowały tysiące zdychających pajęczaków, podobnych do tych, które Leia widziała w żywym rękawie cumowniczym. Wyglądały, jakby straciły orientację.

Podłogą zaścielały setki martwych brzękomarów. W pewnej chwili dwaj inni śniadoskórzy i niscy wojownicy wnieśli na noszach do przedsionka jakąś mistrzynię przemian. Yuuzhanka miała bladozieloną skórę, w odcieniu fałszywej karnacji Leii, a wszczepiona wielopalczasta dłoń zwisała bezwładnie poza krawędź noszy. Wojownicy popchnęli księżniczkę i pozostali do przodu i rzucili Hana pod najbliższą ścianę.

Kiedy Leia zobaczyła, że mąż się poruszył, z wrażenia prawie przestała oddychać.

Nie wstając z noszy, mistrzyni przemian zwróciła się do wojowników.

- Gratuluje im, że nas schwytali - szepnęła Meloque cicho, żeby tylko jeńcy ją usłyszeli.
- Twierdzi, że kiedy złożą nas w ofierze, podniesiemy rangę ceremonii.

Yuuzhanka wezwała gestem dwóch wojowników i kilka minut badała ich twarze, kończyny i piersi. Któryś wojownik przyklęknął obok na jedno kolano, żeby pokazać jej podobny do narośli guz na karku. Wyglądało to, jakby się przed nią korzył.

Kyp odwrócił się do Meloque.

- O co tu chodzi? - zapytał szeptem.

Ho'Dinka słuchała uważnie jakąś minutę.

- Wojownik podejrzewa, że stał się Zhańbionym, bo jego ciało odrzuca coś w rodzaju... udoskonalenia - odezwała się w końcu i umilkła, żeby jeszcze posłuchać słów wojownika. - Mistrzynie przemian twierdzi, że tak nie jest. Utrzymuje, że narośl na jego karku nie jest karą bogów, lecz ma wiele wspólnego z klimatem tej planety. Jest pewna, że winę za tę narośl ponosi sama Caluula.

- Caluula? - powtórzył zdezorientowany Page.

Wojownik sprawiał wrażenie, jakby diagnoza mistrzyni przemian go uspokoiła. Wstał, wyjął coufee i podszedł do Leii, ale Yuuzhanka go powstrzymała.

- Chciał nas zabić - wyjaśniła Meloque.

- Sam się tego domyśliłem - mruknął mistrz Jedi.

- Mistrzynie przemian zapewnia wojowników, że zostaniemy złożeni w ofierze przed zachodem słońca.

- Co za ulga - stwierdził półgłosem Wraw. - A już się obawiałem, że zamierzają nas uwolnić.

Kyp spojrzał na Bothanina.

- Żartuj sobie, żartuj, dopóki możesz - mruknął z urazą.

Mistrzynie przemian znów coś powiedziała i tym razem Leia rozpoznała słowo „Yuuzhan'tar”.

- Rozkazuje udoskonalonym wojownikom... nazywa ich uśmiercicielami... żeby natychmiast wracali na Yuuz... na Coruscant - poprawiła się Ho'Dinka. - Twierdzi, że muszą za wszelką cenę poinformować jej mistrzynię, iż wszyscy na powierzchni Caluuli są chorzy. Obiecuje uśmiercicielom, że zajmie się nimi sam dowódca.

-W razie potrzeby wspomóż mnie Yun-Harla - odezwał się w basicu jakiś Yuuzhanin.

Leia słyszała już kiedyś ten głos. Page chyba też, bo przekrzywił głowę i przyjrzał się uważnie mówiącemu.

Do przedsonka wszedł wysoki, chudy jak szczapa yuuzhański dostojnik. Rozłożywszy na boki usiane bliznami ręce, wspierał się na barkach dwóch rosnących, ale słaniających się ze zmęczenia wojowników.

- Witajcie, Jedi, Ho'Dinko i Bothaninie - mówił dalej Yuuzhanin. - A także ty, kapitanie Page. Czy nie obiecywałem ci, że się znów spotkamy, kiedy przyjdzie pora złożenia cię na ofiarnym stosie?

Leia przypomniała sobie nagle, gdzie już widziała tego Yuuzhanina: na pokładzie statku konwoju Brygady Pokoju. Był jego dowódcą i nazywał się Malik Carr.

R O Z D Z I A Ł 25

Yuuzhańska armada obracała się wokół osi tak szybko, że końce kilku macek utworzyły zdradzieckie pętle. Piloci uwięzionych w nich gwiazdnych maszyn wykonywali rozpaczliwe zwroty, żeby uniknąć pocisków wystrzeliwanych przez pilotów koralowych skoczków, ale z każdą chwilą mieli mniej miejsca do manewru.

Przeciążone pola ochronne X-winga Jaina osłabły tak bardzo, że z trudem radziły sobie z pochłanianiem energii strzałów, a Cappie prawdopodobnie nie nadawał się już do naprawy. Po każdym jęzorze plazmy czy kuli stopionej skały Jaina odczuwała silny wstrząs i to mimo uprzęży, która nie pozwalała się jej oderwać od wyściełanego fotela. Miotana w różne strony pilotka odnosiła wrażenie, że jest owadem w butelce, którą potrząsa jakiś olbrzym. Ze wszystkich stron jej X-winga otwierały się grawitacyjne anomalie, gotowe pochłonąć energię strzałów, jakie ku nim posyłała. I tak nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo komputer celowniczy jej gwiazdnego myśliwca nie nadążał rozpraszać wystarczająco dużych ilości ciepła, żeby ponownie obudzić się do życia.

Następna ogłuszająca eksplozja zakołysała kadłubem jej X-winga.

Jaina spojrzała w prawy iluminator ukośnie ściętej owiewki kabiny i zauważyła, że oderwał się koniec sterburtowego płata nośnego, a laserowe działko, szaleńczo wirując, znika w ciemności przestworzy. Siła eksplozji wprawiła gwiazdny myśliwiec w szaleńczy korkociąg, z którym nie mogły sobie poradzić ani silniczki manewrowe, ani główne jednostki napędowe. Przed dziobem X-winga zawirowały roje koralowych skoczków, a ogniste kule poszybowały ku maszynie po spiralnych trajektoriach.

Niekontrolowany korkociąg pozwolił jednak pilotce wyrwać się ze strumienia plazmy, jaką bez przerwy posyłała armada Yuuzhan Vongów. Cały impet yuuzhańskich strzałów przyjęli

na siebie piloci maszyn typu E-wing, delikatnych A-wingów Eskadry Bułatów pod dowództwem Ijixa Harony oraz Łotry Gavina Darklightera. W pewnej chwili piloci dwóch tuzinów gwiazdnych maszyn, schwytani przez piekielne strugi, wysliznęli się z objęć śmiercionośnych macek, jednak połowa straciła życie, zanim znalazła się w wolnym rejonie przestworzy. W oddali gwiazdne niszczyciele i szturmowe krążowniki zajmowały stanowiska po bokach armady, ale w przestworzach dzielących je od Yuuzhan Vongów roilo się tyle koralowych skoczków i gwiazdnych my śliwców, że artylerzyści nie mogli ryzykować otwierania ognia bez obawy zniszczenia dziesiątek maszyn Galaktycznego Sojuszu.

Machając na oślep ręką, Jaina natrafiła w końcu na pokrętło inercyjnego kompensatora i nastawiła je na maksimum. Kiedy odzyskała ostrość spojrzenia, na ekranach monitorów widniały wyłącznie białe linie zakłóceń. Z głośnika nastawionego na częstotliwość taktyczną komunikatora wydobywał się głośny szum, w którym można było rozróżnić tylko pojedyncze słowa:

- ...położyć się na kurs... ekliptyki...

Jaina przełączyła komunikator na inny kanał, żeby znaleźć częstotliwość wolną od zakłóceń.

- ...za dowódcami eskadr i się wycofać.

A więc się wycofujemy, pomyślała młoda Solo.

Rozkaz mogli wykonać tylko piloci, którzy mieli sprawne myśliwce. W przestworzach unosiły się jednak dziesiątki uszkodzonych maszyn, wiele w gorszym stanie niż jej X-wing. Ich piloci, rażeni nieustannym ogniem, przesyłali resztki energii do słabnących pól ochronnych. Wyglądali jak uczestnicy bijatyki w obskurnym barze, popychani w tę lub w tamtą stronę przez zbyt liczną gromadę przeciwników.

- Dovin basale rozmieściły grawitacyjne anomalie przed czołem armady - poinformowała pilotów Kontrola Sojuszu. - Za chwilę artylerzyści niszczycieli rozpoczną ostrzał skrzydeł, aby nakłonić dovin basale do przeniesienia anomalii w tamte miejsca, żeby „Zwiastun”, „Opiekun” i „Wicehrabia” mogły wznowić ostrzał od czoła. Wszyscy piloci gwiazdnych maszyn, starajcie się zachowywać szyk podczas odwrotu. Punkt zborny z grupami szturmowymi Lodowa Góra Trzy i Cztery ma współrzędne sześć-sześć-jeden względem ekliptyki.

Do tej pory yuuzhańska armada zdążyła dawno przelecieć obok schwytanych szczątków komety. Kierowała się w stronę ozdobionego pierścieniem gazowego giganta, Sępa Elopóra,

wokół którego krążyło ponad trzydzieści niewielkich księżyców.

Pomocnicze grupy szturmowe Galaktycznego Sojuszu, zajmujące dotąd pozycje przed nadlatującą armadą, zaczęły się rozpraszać. Chodziło nie tylko o to, żeby odciągnąć nieprzyjaciół od samego Kalamara, ale także stworzyć wrażenie, że Sojusz uświadomił sobie miażdżącą przewagę Yuuzhan Vongów i zarządził odwrót w nadziei ocalenia tylu okrętów, ile się da.

Nagle ze środka armady wystrzeliła trzecia fala piekielnego żaru.

Jaina zmusiła przeciążone jednostki napędowe X-winga, żeby wyprowadziły go z korkociągu. Zataczając łagodny łuk, zmniejszyła skuteczność działania inercyjnego kompensatora i postarała się zorientować w przestworzach.

Wciąż jeszcze znajdowała się w śmiertelnej obręczy, złożonej z koralowych skoczków i patrolowców, ale piloci chissańskich szponowców i Y-wingów ostrzeliwali od zewnątrz powoli kurczący się perymetr ze wszystkich działek, żeby otworzyć wektory ucieczki dla pilotów uwieczonych maszyn. Młoda Solo zauważyła, jak Jag wprowadza szponowiec w szaleńczy korkociąg i w mgnieniu oka niszczy trzy koralowe skoczki.

Podziękowała mu w duchu.

Kiedy nieprzyjacielski pierścień został znów rozerwany, przez powstałe dziury wylecieli ocaleni piloci gwiazdnych myśliwców, a wleciały bombowce. Piloci koralowych skoczków rozkazali dowin basalom przemieścić grawitacyjne anomalie w taki sposób, żeby zażegnać nowe niebezpieczeństwo. Dopiero wówczas potężne salwy artylerzystów dalekosiężnych dział z pokładów „Zwiastuna” i „Opiekuna” zaczęły razić najsłabiej bronione macki. Trafione sztychami spójnego światła koralowe skoczki rozpadały się i niknęły, rozpylane na atomy, a trafione patrolowce pękały i otwierały się niczym skorupy, z których wylatywały nie tylko obłoczki atmosfery.

Jaina, nareszcie uwolniona z pętli macki, rozejrzała się w poszukiwaniu pozostałych pilotów Bliźniaczych Słońc. W pobliżu zobaczyła maszyny „Bliźniaczej Czwórki”, „Piątki”, „Szóstki”, „Dziewiątki” i „Dziesiątki”, ale nie mogła nawet marzyć, żeby nawiązać z nimi łączność. Uwolniła myśli i wysłała je do Lowiego, Alemy Rar, Octy Ramis i Dzikich Rycerzy w nadziei, że zrozumieją jej wołanie o ratunek.

Okazało się, że z pomocą pospieszył jej Jag. X-wingi pilotów Bliźniaczych Słońc utworzyły szyk za ogonem jego szponowca, a młody pilot powiódł je w kierunku Jainya.

Najbardziej zacięte walki toczyły się jednak na obrzeżach macek. Obsługa dział fregat i

korwet Sojuszu, prowadząc pojedynki z artylerzystami eskortowców i mataloków - odpowiedników krążowników Yuuzhan Vongów - otwierała na flankach armady dziesiątki nowych frontów. Wirując jak w obłądnym tańcu, piloci gwiazdnych myśliwców i koralowych skoczków przemykali między oślepiającymi błyskawicami i pociskami wystrzeliwanymi z pokładów okrętów liniowych, których artylerzyści cały czas toczyli pojedynek na dalekosiężne systemy uzbrojenia.

Mimo to armada zdołała zachować szyk w kształcie yammoska.

Nagle, bez ostrzeżenia, od armady odłączyły się trzy grupy nieprzyjacielskich okrętów. Wektor lotu zmieniło także kilka macek, liczących setki, a może nawet tysiące koralowych skoczków.

Wyglądało to, jakby yammosk uległ mitozie.

W pierwszej chwili Jaina doszła do wniosku, że Yuuzhan Vongowie pragną podzielić pole bitwy na kilka rejonów, ale zauważyła, że piloci koralowych skoczków nowej grupy wracają i cumują do czekających ramion odpowiedników lotniskowców.

- Od armady odłączyły się trzy grupy szturmowe - zameldowała Kontrola Sojuszu w kanale łączności taktycznej. - Koralowe skoczki się wycofują. Obserwuję nową grupę, czy nie zamierza wykonać mikroskoku do przestworzy Kalamara. Pierwsza linia obrony planety ma kryptonim Kod Czerwony, a wszystkie generatory planetarnych pól siłowych funkcjonują prawidłowo. Eskadry szturmowe Góry Lodowej Trzy mają się przegrupować i czekać w gotowości na podanie współrzędnych skoku.

Jaina obserwowała, jak mniejsza grupa kieruje się w stronę słońca Kalamara i znika.

- Nowa grupa szturmowa nieprzyjaciół wskoczyła do nadprzestrzeni - usłyszała meldunek Kontroli Sojuszu. - Czekamy na potwierdzenie współrzędnych wektora nadprzestrzennego...

Jaina wstrzymała oddech. Gdyby nowa grupa przeskoczyła bezpośrednio do przestworzy Kalamara...

- Eskadry szturmowe Góry Lodowej Trzy utworzyły nowy szyk i zajęły pozycje...

Młoda Jedi mogła tylko czekać w kabinie unieruchomionego X-winga. Zdawało się jej, że czas ciągnie się w nieskończoność, choć przecież wokół niej szalała nadal bitwa.

- Wektor potwierdzony - odezwał się w końcu operator Kontroli Galaktycznego Sojuszu.
- Nowa flotylla przeskoczyła w okolice Perlemiańskiego Szlaku Handlowego. Jednostki

przebieżnikowe HoloNetu w przestworzach Quermii zostały zaatakowane. Pozostała część armady przyspiesza i kieruje się w stronę Sępa Elopona oraz Mona Erona. Wszystkie pułki gwiazdnych myśliwców mają się przegrupować.

Pozbawiona możliwości dalszego udziału w walce Jaina obróciła myśliwiec typu X-wing na sterburkę, żeby obserwować przegrupowanie rozproszonych eskadr Sojuszu. Pozostali przy życiu piloci Bliźniaczych Słońc dołączyli do Eskadry Łotrów, a piloci Czarnego Księżyca - do Bułatów. Liczebność Eskadry Awangarda zmalała do sześciu osób, ale na ich czele leciał nadal szponowiec Jaga Fela.

Piloci dywizjonów przyspieszyli i skierowali się ponownie na pole bitwy. Młoda Solo życzyła mu w myśli powodzenia.

Przesłała do silników resztki energii z uszkodzonych jednostek napędu nadświetlnego oraz z generatorów ochronnych pól i podążyła za nimi.

Prowadzeni przez sześciu slaniających się na nogach wojowników członkowie rzekomego zespołu badaczy pod kierunkiem Meloque - nie wyłączając nieprzytomnego Hana Solo - dotarli wreszcie do komory yammoska i zostali unieruchomieni w żelu blorash.

W tym czasie yuuzhańska mistrzyni przemian i wojownicy-uśmierciciele odlecieli z powierzchni Caluuli. Nieco później z głębi minshala napłynęły odgłosy świadczące, że z lądowisk wystartowały przynajmniej jeszcze trzy inne jednostki Yuuzhan Vongów.

Od tamtej pory minęła godzina i coś dziwnego zaczęło się dzieć z żelem blorash. Wprawdzie nadal unieruchamiał wszystkich członków ekipy, ale stopniowo tracił spistość. Kiedy zmiękł do tego stopnia, że Leia mogła się wyprostować, natychmiast popęzła na czworakach w stronę Hana, który powoli zaczynał przytomnieć.

Pierwsze słowa, jakie wypowiedział, brzmiały:

- Co tu tak śmierdzi?

Księżniczka postanowiła zignorować pytanie. Objęła męża i uściskała z całej siły.

Solo zamrugał, otworzył oczy, znów zamrugał i zaczął się rozglądać po komorze.

- Zapaskudzisz nas żelem blorash - powiedział.

Leia zbliżyła twarz do jego twarzy.

- Chcę tylko się upewnić, że już nic nas nie rozdzieli - powiedziała. - Bez względu na to, co jeszcze może się nam przydarzyć.

- Miło, że znów przyłączyłeś się do zabawy! - zawołał Page, siedzący nieruchomo po

przeciwnej stronie komory.

Han uniósł prawą rękę i pomachał oficerowi, Wrawowi i Meloque, którzy także tkwili w kałużach lepkiej galarety. W końcu przeniósł spojrzenie na żonę.

- Nie zechciałabyś mi powiedzieć, co dalej? - zapytał.

- Dowódca Malik Carr zamierza złożyć nas w ofierze temu yammoskowi - wyjaśniła rzeczowo księżniczka.

Han popatrzył ponad głową żony na okrągłą kadź z koralu yorik, w której umieszczono stworzenie, i ściągnął brwi.

- Malik Carr... - zaczął niepewnie.

- Ten z konwoju Brygady Pokoju - przypomniała Leia. - Ten sam, który obiecał Judderowi, że... no cóż, że jeszcze kiedyś się spotkają.

Han skrzywił się z niesmakiem.

- Mogło być gorzej - mruknął z rezygnacją. - Dobrze chociaż, że nie musimy się opędząć przed tymi przeklętymi brzękomarami.

Leia pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Jesteś niemożliwy”.

- Szybko zacznasz grać poprzednią rolę, prawda? - zapytała.

- Hej, znam ją na pamięć - odparł mąż. Uśmiechnął się z przymusem, ale zaraz spoważniał. - Wyjaśnij mi coś - poprosił. - Jak to się dzieje, że miałem zginąć, a wykpiłem się tylko opuchniętymi wargami, drapaniem w gardle i bólem głowy?

- Nie jesteśmy tego pewni - odparła księżniczka. - Ale to chyba ma coś wspólnego z samą Caluulą.

- Wybrali niewłaściwą planetę do podbicia - odezwał się Wraw, pełnząc do nich. Jego sierść falowała, chyba z radości.

- Wszyscy tu chorują- ciągnęła Leia. - Nie tylko skrzydłogwiazdy, po prostu wszyscy... wojownicy, wejściowe membrany, a nawet amphistaffy uśmiercicieli. Prawdopodobnie dzięki temu ich jad nie działa tak, jak powinien.

- Uśmiercicieli? - powtórzył Solo.

- Udoskonalonych wojowników - wyjaśniła żona. Han pokiwał głową.

- Nic dziwnego, że nas zaskoczyli i bez trudu pokonali. - Otworzył szeroko oczy, jakby nagle sobie coś przypomniał. - A Sasso? Ferfer?

- Nie żyją - odparła Leia, z trudem wypowiadając słowa. Han zwiesił głowę, ale po

chwili napiął mięśnie.

- Gdzie nasza broń? - zapytał. Leia wyciągnęła rękę.

- Tam - pokazała.

Solo powiódł spojrzeniem za jej wskazującym palcem. Pod przeciwległą ścianą komory leżały, rzucone byle jak, ich karabiny i blastery. Obok nich spoczywało sześciu śpiących albo nieprzytomnych wojowników Yuuzhan Vongów. Na karabinach, blasterach, a nawet na rękojeściach obu świetlnych mieczy widniały ciemnoczerwone plamy krwi, prawdopodobnie Sassa albo Ferfera.

- Jeżeli żel blorash będzie nadal tracił właściwości w takim tempie - odezwała się księżniczka - ani się obejrzymy, a będziemy wolni.

Zaledwie skończyła mówić, do komory wszedł, powłócząc nogami, Malik Carr w towarzystwie kapłana i dwóch zwykłych wojowników. Sześciu śpiących Yuuzhan ocknęło się gwałtownie. Chcieli się wyprężyć na baczność, ale mieli zbyt mało siły, żeby wstać, a co dopiero unieść ręce do salut.

Ich amphistaffy pozostały luźno zwinięte tam, gdzie leżały.

- Zostańcie tam - rozkazał Carr, kiedy dwaj towarzyszący mu wojownicy pomogli mu usiąść na wąskim stopniu biegnącym wokół kadzi z yamoskiem. Stworzenie chyba wyczuło yuuzhańskiego dowódcę, bo się poruszyło, wysunęło poza krawędź kadzi dwie macki i położyło je na spiczastych ramionach Yuuzhanina. Szaroniebieskie macki były pokryte wielkimi bąblami. Carr pogłaskał jedną.

Chrapliwie oddychając, kapłan schylił się, podniósł jeden z wojskowych karabinów blasterowych i podał go Carrowi, który z wysiłkiem posłał błyskawicę w kopulaste sklepienie komory.

- Nadal sprawny... podobnie jak wy - odezwał się w basicu, spoglądając na jeńców. Po chwili skierował przesłonięte błoną oczy na Page'a. - A sądziłem, że Selvaris jest wystarczająco okropnym miejscem. Nie masz obowiązku odpowiadać na moje pytania, kapitanie, ale co takiego dzieje się na powierzchni tej przeklętej Caluuli, że chorujemy i umieramy?

Page rozłożył ręce i pokręcił głową.

- Może to te owady, które nazywamy skrzydłogwiazdami - podsunął. - Tyle że większość widzianych przez nas stworzonek właśnie ginęła albo już zdechła, podobnie zresztą jak caluulańskie brzękomary.

- Więc to powoduje także ich śmierć - stwierdził Carr, myśląc na głos. - Jeżeli to prawda, kapitanie, macie w rękach potężną broń do walki z nami. Słyszałem już kiedyś plotki o podobnej broni, która na planecie Garqui oddziaływała na naszych wojowników.

- To był pyłek - wtrącił Wraw. - Wytwór półinteligentnych drzew ze zniszczonej przez was planety. Z Ithora.

Carr zmarszczył brwi, jakby starał się zrozumieć.

- Czy istnieje jakiś związek między tymi drzewami a skrzydłogwiazdami? - zainteresował się w końcu.

- Nie - odparła Meloque.

Yuuzhanin wciągnął chrapliwie powietrze do płuc.

- Umieram - oznajmił, jakby wciąż jeszcze nie mógł w to uwierzyć. - Nie podczas bitwy ani w inny honorowy sposób. Po prostu pokonała mnie choroba. Życie obróciło się przeciwko innemu życiu. To dla nas coś niezwykłego, skoro żyjemy w symbiozie ze wszystkimi formami życia... roślinami, zwierzętami, bronią, jedzeniem. Nie ginimy od chorób ani z głodu. Wielu naszych ziomków żyje trzykrotnie dłużej niż istoty z tej galaktyki czy ludzie, a jednak umieramy, pokonani przez nieznaną formę życia.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Yun-Harla albo się z nas śmieje, albo się na nas gniewa - podjął po chwili. - A zresztą, kto to może wiedzieć? Chyba powinienem się cieszyć, że będę oglądał waszą śmierć, ale jakoś przestało mnie to obchodzić. Jesteście niewiernymi, prymitywnymi ignorantami, którzy zadają się z maszynami, jakby to były żywe istoty. Współczuję wam z tego powodu, ale przestałem żywić do was nienawiść. Mimo to musicie zginąć, choćby tylko po to, żeby bogowie oszczędzili naszego koordynatora wojennego.

Odwrócił się, unióśł głowę i spojrzał na Yammoska.

- Czy potraficie kierować ruchami klucza koralowych skoczków? - zapytał. - Chyba nie... żalodne istoty. Wiem jednak, że podobnie jak ja, zginiecie, starając się dokonać tej sztuki.

Kapłan jęknął z bólu, zgiął się w pół i runął na gąbczastą podłogę. Wyglądało na to, że także sześciu strażników wyzionęło ducha. Z ich bandoletów wypelzły ogłuszające chrząszcze i brzytwozuki tylko po to, żeby zdechnąć na koralowej podłodze.

Leia uświadomiła sobie, że żel Blorash stracił resztkę lepkości. Zupełnie jakby wszystkie Yuuzhańskie formy życia w komnacie ginęły w tej samej chwili.

Yammosk wydał rozdzierający uszy jęk agonii. Jego macki chłostały jeszcze chwilę płyn w kadzi, aż wreszcie na wzburzoną powierzchnię wynurzyło się pozbawione życia rozdęte cielsko.

Malik Carr z wysiłkiem wstał i uniósł amphistaffa, który jednak zwiotczał w jego dłoni jak kawałek liny.

- Łagodny jak maskotka - powiedział, spoglądając na Page'a. - Wygrałeś, kapitanie. Oddaję ci honor.

Dowódca runął na koralową podłogę niczym pień ściętego drzewa.

Page uwolnił się z galarety i podszedł szybko do Malika Carra. Kyp i Meloque wspięli się na biegnący wokół kadzi stopień, żeby przyjrzeć się yammoskowi.

- Nie żyje - stwierdziła w końcu Ho'Dinka.

W przedsiönku rozległ się hałas. Kyp i Leia chwycili świetlne miecze i zapalili klingi, a Page i Wraw pospieszyli, żeby podnieść blastery.

- Jest tam ktoś? - usłyszeli głos mężczyzny.

Do komory wbiegli Lando Calrissian, Talon Karrde i Shada D'ukal, wszyscy uzbrojeni w lekkie karabiny blasterowe. Mieli na sobie opancerzone kombinezony bojowe, białe hełmy i wysokie do kolan buty. Na końcu grupy kroczył dwunożny android typu ZYV 1-1 A, stanowiący własność Calrissiana.

Bohater z Taanaba zsalutował niedbale.

- Cześć, Kyp. Witam pana, kapitanie Page - powiedział. Obdarzył Meloque szerokim uśmiechem, z którego sływał w całej galaktyce. - Przykro mi, ale nie miałem jeszcze przyjemności poznać pozostałych - zauważył.

Ho'Dinka się przedstawiła.

- Agent Wraw - warknął Bothanin, wyraźnie rozdrażniony niespodziewanym pojawieniem się trzech obcych osób.

Leia wytrzeszczyła na nich oczy, jakby zobaczyła duchy.

- Co, na miłość galaktyki... - zaczęła.

- Leio, jak miło cię znów widzieć! - przerwał jej Lando. - Chcieliśmy udowodnić, że Sojusz Przemysłowców ma do zaproponowania coś więcej niż tylko zabójcze robotymyszy. Booster, Mirax i Crev Bombassa także prosili, żebym cię pozdrowił.

- Czyżby przyleciał tu również „Błądny Rycerz”? - zapytała księżniczka, mając na myśli

osobisty gwiazdny niszczyciel Boostera Terrika.

Karrde pokiwał głową.

- Przylecieliśmy gotowi do walki - powiedział.

- Jak sytuacja na górze? - zainteresował się Page.

- Spokojnie - odparł Calrissian. - Musieliśmy się tylko rozprawić z niewielkim lotniskowcem i kilkoma patrolowcami.

- Kilkoma patrolowcami? - powtórzył Page. - Caluula miała być główną bazą wypadową do ataku na Kalamara.

Lando pokiwał głową.

- My też tak myśleliśmy. - Przeniósł spojrzenie na Hana. - Booster nie jest zachwycony, że musiał zmarnować tyle paliwa na wyprawę, podczas gdy do tego zadania wystarczyłby sam „Dziki Karrde”. Prawdę mówiąc, pojawilibyśmy się tu wcześniej, gdybyśmy nie musieli toczyć walki w kosmoporcie z odszczepieńcami z Brygady Pokoju.

- Członkowie Brygady są zdrowi? - zdziwiła się Meloque.

- Na tyle zdrowi, żeby zabrać nam trochę czasu - odparł Karrde. - Na szczęście niewiele.

Leia rzuciła mężowi oskarżycielskie spojrzenie.

- Wiedziałeś, że przylecą - powiedziała.

Han wzruszył ramionami.

- Od pierwszych chwili miałem zastrzeżenia do tej operacji - przyznał ponuro. - Doszedłem do wniosku, że zostaniemy zdani na własne siły, więc chciałem się upewnić, że będziemy mieli wsparcie. Przykro mi, że ci o tym nie powiedziałem.

- To wbrew rozkazom, Solo - stwierdził szorstko Wraw.

- Możesz postawić mnie przed sądem, kiedy wrócimy na Kalamara - odciął się Han.

- Nie myśl tylko, że tego nie zrobię.

Lando przeniósł spojrzenie z Bothanina na Hana.

- Od samego początku tak się zrecie? - zagadnął od niechcienia.

- Prawie od samego.

Lando obserwował, jak Han z trudem wstaje z podłogi.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Ugryzł go amphistaff, którego jad okazał się nieskuteczny - wyjaśnił mistrz Jedi.

Lando spojrzął na Malika Carra, kapłana i wojowników. -Widzieliśmy to samo

wszędzie... w kosmoporcie, na ulicach miasta Caluula - powiedział niepewnie. - Co się dzieje? Page wskazał martwych Yuuzhan Vongów.

- Czymś się zarazili - wyjaśnił. - I to nie tylko wojownicy. Yammosk, amphistaffy, coufee...

- O, nie - przerwał mu Kyp tonem świadczącym, że nagle zrozumiał. - O, nie. - Zbladł jak ściana i sposepniał. - Chyba wiem, co się tu stało. Domyślałem się od chwili, kiedy zobaczyłem roztrzaskany kadłub koralowego skoczka, ale nie chciałem w to uwierzyć. - Powiódł spojrzeniem po twarzach osób w komorze. - Niech Moc ma nas w swojej opiece, jeżeli się nie mylę.

R O Z D Z I A Ł 26

Wszyscy spieszyli do kryjówek. Stojąc na skraju urwiska, Luke widział w dole setki Ferroan zgromadzonych przed wylotami tuneli, z których promieniował blask dziesiątków prętów jarzeniowych. Przemawiając ustami pani magister Jabithy, Sekot poinformowała, że planeta przygotowuje się do ostatniego skoku przez nadprzestrzeń. Mistrz Jedi czuł przekazywane spod powierzchni drżenie szykowanych do pracy rdzeni jednostek napędu nadświatlnego. Wyczuwał także niepewność i napięcie bora, nasionpartnerów i tysięcy stworzeń żyjących w bezkresnym tampere.

Uniósł głowę i spojrzał w nocne niebo. Nie potrafiłby powiedzieć, skąd to przypuszczenie, ale wydawało mu się, że każdy skok przybliża go do czegoś znajomego, co jednak nie miało nic wspólnego z gwiazdnymi systemami ani planetami. Więż z Mocą nie zawiodła go, nawet kiedy przebywał w najodleglejszych zakątkach Nieznanych Rejonów galaktyki. Od poprzedniego skoku zaczęły jednak do niego docierać szepty innych Jedi, a natarczywość ich głosów uświadomiła mu, że najwyższy czas, aby on, Mara i wszyscy pozostali wrócili. Postanowił, że nawet jeżeli najbliższy skok zakończy się niepowodzeniem albo Zonama wyskoczy za daleko od miejsca, które mu odpowiadało, spełni życzenie żony i skorzysta z pomocy „Cienia Jade”.

Wyczuł, że z tyłu podchodzi do niego Jacen, ale nie odwrócił się w jego stronę.

- Coś się wydarzyło - odezwał się w końcu.

- Ja także to czuję, wujku Luke - potwierdził młody Solo. - Jedi, nasi przyjaciele...

- Nie chodzi tylko o nich - przerwał mistrz Jedi. - To niebezpieczeństwo ma większy zasięg.

Jacen stanął obok niego na skraju urwiska, a podmuch wiatru załopotał połami jego płaszcza.

- Jeszcze jeden Ithor? - zapytał. - Następny Barab Jeden?

- Na razie nie - odparł Luke. - Ale ktoś rozpętał nowe zło.

- Yuuzhan Vongowie?

- Ciemna strona. Jacen pokiwał głową.

- Czyli twój prawdziwy wróg - powiedział. Mistrz Jedi odwrócił się do niego.

- Powinieneś zastanawiać się nad szlakiem swojego życia, Jacenie, nie mojego - zwrócił mu uwagę.

Młody Jedi wypuścił powietrze z płuc.

- Mogę brać przykład tylko z ciebie, żeby wiedzieć, jakim podążać szlakiem - odparł z namysłem. - Nasze szlaki, twój i mój, są splątane.

- Tak? To powinienem się dowiedzieć, co postanowiłeś w związku ze mną - stwierdził Luke.

Jacen zebrał myśli.

- Opowiadałeś mi tyle razy, jak stawiałeś czoło ojcu i Imperatorowi - zaczął. - Doszedłem jednak do wniosku, że żaden z nich nie był twoim prawdziwym wrogiem. Każdy usiłował cię nakłonić, żebyś się do niego przyłączył, żaden jednak nie był źródłem twojego strachu. Naprawdę obawiałeś się tylko przejścia na ciemną stronę.

Luke uśmiechnął się z przymusem.

- To wszystko? - zapytał.

Jacen pokręcił głową.

- Na Coruscant, stojąc obok ruin świątyni Jedi, Vergere wyjawiała mi wstydlivą tajemnicę zakonu. Powiedziała, że w rzeczywistości nie istnieje żadna ciemna strona. Moc jest niepodzielna, a skoro nie ma żadnej strony, nie może się opowiadać ani po jednej, ani po drugiej. Nasze pojęcia światłości i mroku odzwierciedlają tylko, jak niewiele wiemy o rzeczywistej naturze Mocy. To, co przywykliśmy nazywać ciemną stroną, jest po prostu samą Mocą... surową, nieograniczoną Mocą, która daje życie równie łatwo, jak odbiera albo niszczy.

Luke słuchał z uwagą słów siostrzeńca. „Teraz ukażę ci prawdziwą naturę Mocy” - powiedział mu kiedyś Imperator w przestworzach Endora.

Kiedy przebywał na powierzchni Kalamara, Vergere starała się go skierować na tę samą ścieżkę. Sugerowała, że Obi-Wan i Yoda ponoszą winę za to, iż nie wyjawili mu prawdy o ciemnej stronie. To ich zaniedbanie spowodowało, że kiedy odciął w gniewie dłoń ojca, zawsze dotąd przypuszczał, że otarł się o ciemną stronę. Gdy stał obok sklonowanego Imperatora, naprawdę wyczuwał ciemną stronę. Od tamtej pory przywykł stawiać znak równości między gniewem a ciemnością i przekazywał to przekonanie wszystkim Jedi, jakich kiedykolwiek szkolił. W rzeczywistości jednak, jeżeli wierzyć słowom Vergere, został wprowadzony w błąd przez własne ego. Foshanka twierdziła, że ciemność może wprawdzie pozostawać w czyjejs duszy, jeżeli zostanie tam zaproszona, ale równie łatwo może być odrzucona przez samoświadomość. Gdyby Luke się z tym pogodził, nie musiałby się obawiać, że pozwoli się uwieść ciemnej stronie.

- A więc według ciebie zatrzymałem się w rozwoju, tylko dlatego że nie chciałem uwzględnić tej surowej potęgi w swojej świadomości Mocy? - odezwał się w końcu.

- Vergere miała za sobą wiele lat formalnego szkolenia w rozumieniu natury Mocy - przypomniał Jacen. - Wyjawiała mi rzeczy, które musiały być kiedyś powszechnie znane pośród rycerzy Jedi Starej Republiki.

- Vergere była zepsuta z powodu wielu lat, jakie spędziła pośród Yuuzhan Vongów - stwierdził rzeczowo mistrz Jedi.

- Zepsuta? - zachnął się Jacen.

- Może to zbyt ostre określenie - zgodził się Luke. - Powiedzmy, że pozwoliła, aby wywarli na nią silny wpływ.

- Twierdziła, że nie wywarli żadnego - zaprotestował młody Solo.

- Nie można jej o to winić - stwierdził Luke. - Każdy z nas stoi w środkowym punkcie, z którego może widzieć w każdym kierunku tylko na pewną odległość. Nasze zmysły, wyostrzone w ciągu niezliczonych tysiącleci, umożliwiają nam poruszanie się między zawilościami materialnego świata. Nie pozwalają nam jednak dostrzegać faktu, że naprawdę jesteśmy czymś więcej niż tylko ciałem. W rzeczywistości jesteśmy świetlistymi istotami, Jacenie.

Tak samo jest w przypadku znaczenia, jakie Jedi zawsze przypisywali panowaniu. Panowanie nad Mocą nie pozwala nam dostrzec jej szerszej natury. Może właśnie z tego powodu

rycerze Jedi Starej Republiki przyjmowali do kształcenia tylko małe dzieci. Tamci Jedi musieli dorastać w światłości, żeby nie mogli w niej dostrzegać żadnego podziału, żadnej skazy. Ty i ja nie mogliśmy sobie jednak pozwolić na luksus takiego kształcenia. Nasze życie jest nieustanną próbą woli i pozbywania się ciemności, jaka czasami się wkrada w nasze poczynania.

W tym sensie rzeczywiście twój instynkt ocenia mnie słusznie, podobnie jak kiedyś Vergere. Ciemna strona do pewnego stopnia zdominowała moje życie. Może pamiętasz, że czerpiąc podczas walki z Mocą, czasami odczuwam zmęczenie. Od dawna podejrzewałem, że wynika ono z obawy nadużycia surowej potęgi, o której wspominałeś.

To prawda, że Moc jest niepodzielna; jest jednym rodzajem energii, jednym rodzajem potęgi. Sądzę jednak, że właśnie w tym miejscu ty i Vergere się mylicie. Ciemna strona naprawdę istnieje, bo istnieją złe uczynki. Powstanie ciemnej strony stało się możliwe dzięki istnieniu świadomości. Czy ciemna strona istnieje w naturze? Nie. Natura pozostawiona sama sobie zachowuje równowagę. My jednak to zmieniliśmy. Jesteśmy nowym aspektem świadomości, który wywarł wpływ na wszystkie formy życia. Dziś Moc się składa ze światłości i ciemności, bo to właśnie wniosły do niej myślące istoty. I dlatego równowaga musi być zachowana... bo nasze uczynki mogą ją zakłócić.

- Jak się stało w przypadku Sithów - wtrącił Jacen.

- Jak się stało w przypadku Sithów - powtórzył mistrz Jedi. -Imperator był prawdopodobnie najbardziej pewną siebie osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem, i świadomie przedłożył zło ponad dobro. W odpowiednich okolicznościach nawet jedna osoba, dążąc wytrwale do przewrotnego celu, może przechylić szalę wszechświata na stronę ciemności. Na pewno wiesz, że ciemność ma swoich zwolenników, zwłaszcza tam, gdzie panoszy się niezadowolenie, izolacja albo strach. W takim klimacie wrogów można sobie po prostu stwarzać i wyobrażać. I nagle dobro przestaje istnieć, perspektywy zanikają, a we wszechświecie zaczyna się krzewić zło.

Luke urwał.

- Czy sądzisz, że po śmierci Vergere na powierzchni Ebaqa Dziewięć rozmawiałeś z nią samą, czy tylko z Vergere istniejącą wyłącznie w twoich myślach i pamięci? - zapytał po chwili.

Jacen kilka sekund zastanowił się nad odpowiedzią.

- Rozmawiałem z prawdziwą Vergere - doszedł w końcu do wniosku. - Jestem tego absolutnie pewny.

- A więc wierzysz, że widziałem zjawę Obi-Wana, Yody i mojego ojca po tym, jak wszyscy trzej zginęli?

- Nigdy nie miałem powodu wątpić w twoje słowa, wujku - odparł młody Solo.

- Czyli skąd właściwie mówiła Vergere?

- Może się nauczyła korzystać z potęgi bardziej wszechstronnej niż Żyjąca Moc?

- Z Jednoczącej Mocy - domyślił się mistrz Jedi. - To rzeczywiście mogłoby wszystko wyjaśniać. Prawdę mówiąc, w ciągu wielu lat po śmierci Obi-Wana, Yody i mojego ojca odnosiłem wrażenie, jakby Jedi poszukiwali sposobu przywrócenia Mocy potęgi postrzegania przyszłości, na czym prawdopodobnie polega natura Jednoczącej Mocy. Ich starania były podobne do naszych poszukiwań Zonamy Sekot. Wyczuwam tę potęgę tutaj... w powietrzu, drzewach i wszystkim, co nas otacza. I właśnie to przekonuje mnie, że znaleźliśmy początek szlaku wiodącego do czegoś większego niż to, do czego zdążamy.

- Ja także to czuję. - Jacen uniósł głowę i spojrział na wuja. - Powiedziałem Sekot o twoim planie.

Luke nie ukrywał zaskoczenia.

- Rozmawiałeś na osobności z Sekot? - zapytał.

- Tak, przybrała postać Vergere - wyznał Jacen.

-No i?

- Sekot przypuszcza, że to się da zrobić - odparł młody Jedi. - Chciałaby także porozmawiać z Danni na temat urządzeń zagłuszających sygnały yammosków i pozorowanych dovin basali.

Usatysfakcjonowany Luke pokiwał głową.

- To dobrze - stwierdził. - Musimy jednak pamiętać, że o wynikach bitew nie zawsze decydują tylko okręty czy systemy uzbrojenia. Decydujące bitwy wygrywa się w Mocy. - Zamaszystym gestem pokazał usiane punkcikami gwiazd niebo. - Wszystko to przemienie, ale Moc pozostanie. Czerpiemy z jej potęgi i jeśli zechcemy, pokieruje naszymi krokami zgodnie z projektem, którego nigdy nie będziemy w stanie zrozumieć.

Odwrócił się szybko. Jacen spojrział do tyłu i zobaczył, że za nimi stoi Mara.

- Chyba nie zamierzacie przeżyć następnego skoku na świeżym powietrzu? Lepiej udajcie się do jaskini - zaproponowała.

- Właśnie tam szliśmy - odparł Luke. - To może być ostatnie spokojne miejsce, w jakim

będziemy przebywali w najbliższym czasie.

ROZDZIAŁ 27

- Alpha Red - mruknął Kyp takim tonem, jakby nie mógł uwierzyć własnym słowom.

Zostawiając ślady w topniejących kałużach żelu blorash, podszedł chwiejnie do kadzi z yamoskiem, odwrócił się i szerokim gestem objął całą makabryczną scenę. Malik Carr, kapłan i ośmiu wojowników krwawiło z ust, oczu i uszu. Amphistaffy, villipy i yamosk były martwe, a koral yorik stracił barwę.

- Alpha Red - powtórzył cicho.

Han, Leia i Page wymienili pytające spojrzenia. Lando, Talon i Shada zrobili to samo. W końcu Calrissian popatrzył na Kypa.

- Czy to jakaś klątwa, o której istnieniu nic mi nie wiadomo? -zapytał.

- Można tak powiedzieć. - Mistrz Jedi usiadł na biegnącym po obwodzie kadzi koralowym występie. - Alpha Red to nazwa oddziałującej na wszystkie formy życia Yuuzhan Vongów trucizny, którą opracowali chissańscy naukowcy przy współpracy z funkcjonariuszami Wywiadu pod kierunkiem Difa Scaura. Z tego, co wiem... a wiem niewiele... punktem wyjściowym był pyłek z drzew bafforr i to na jego bazie opracowano tę straszliwą broń biologiczną.

- Kypie, jak możesz cokolwiek o tym wiedzieć? - zapytała Leia.

- To wątpliwy przywilej związany z tym, że zostałem członkiem powołanej do życia przez Cala Omasa nowej Rady Jedi - odparł Durron. - Pierwsza, próbna partia ujrzała światło dzienne mniej więcej rok temu i została poddana testom w najściślejszej tajemnicy. Mogła już wówczas zostać użyta na szeroką skalę, gdyby nie nasze zwycięstwo w przestworzach Ebaqa Dziewięć i starania Vergere.

- To Foshanka, rycerz Jedi Starej Republiki - wyjaśniła Leia na użytek Page'a, Meloque i niektórych spośród pozostałych. - Szpiegując Yuuzhan Vongów, przeżyła pośród nich pięćdziesiąt lat. W przestworzach Myrkra pomogła ocalić od śmierci naszego syna Jacena, a później oddała za niego życie na Ebaqu Dziewięć.

- Jakiś miesiąc przed bitwą w tamtejszych przestworzach ukradła próbną partię Alphy

Red i zniszczyła ją, a ściślej zmieniła w zupełnie nieszkodliwą substancję - uzupełnił Kyp. Spojrzał na Leię, która kiwnięciem głowy zachęciła go, by mówił dalej. - Dowództwo Sojuszu uznało to za zdradę, ale od tamtej pory niewiele zrobiło w sprawie Alpha Red... po części dlatego, że podobno to Jacen Solo miał coś wspólnego z ucieczką Vergere z wojskowego kordonu, jakim otoczono Kashyyyk. Sądziłem, że całej sprawie ukręcono łeb, ale teraz widzę, że po prostu przestano mnie informować.

- Ta trucizna nie tylko zabija poszczególnych Yuuzhan - odezwał się Han, wodząc spojrzeniem po komorze.

Kyp pokiwał głową.

- Masz rację - powiedział. - Oddziałuje na genetyczny składnik komórek, jakim cechują się absolutnie wszystkie formy życia Yuuzhan Vongów... od najmniejszych po największe. Podatne na nią są nawet ich okręty.

- Roztrzaskany skoczek koralowy - przypomniała Leia.

Han obrzucił Page'a podejrzliwym spojrzeniem.

Kapitan uniósł ręce na znak niewinności.

- Hanie, przysięgam, że nigdy przedtem nie słyszałem o czymś, co nazywałoby się Alpha Red - powiedział pospiesznie.

Solo przeniósł spojrzenie na Meloque, ale Ho'Dinka pokręciła głową.

- Gdybym wiedziała o tej truciznie, na pewno postąpiłabym tak samo jak tamta Jedi - stwierdziła.

Wszyscy spojrzeli na Wrawa i zauważyli, że po sierści na jego twarzy przemknęły fale. Jakiś czas agent bothańskiego Wywiadu wytrzymał siłę ich spojrzeń, ale w końcu nonszalancko wzruszył ramionami.

- Dowództwo Sojuszu chciało się upewnić, że Alpha Red okaże się skuteczną bronią także poza laboratorium - wyjaśnił niechętnie.- Przedtem testowano tę broń z powodzeniem na więźniach, ale nie mogliśmy być pewni, na ile przydatna okaże się także w niekontrolowanym środowisku. Kiedy Wywiad otrzymał informację, że Caluula ma się znaleźć pod okupacją Vongów, doszedł do wniosku, że na jej powierzchni zostanie przeprowadzona próba w warunkach polowych... Potraktowano to jako pierwszy krok na drodze do wygrania tej wojny.

Meloque jęknęła żałośnie.

- Eksterminacja - powiedziała. - Jeszcze jeden przykład zastosowania bothańskiej

doktryny ar'krai.

Han zagiął palce rąk jak szpony i rzucił się w stronę Wrawa, ale zdążył pokonać tylko połowę odległości, bo Kyp złapał go, objął i powstrzymał.

- To dlatego pani gubernator Caluuli obiecała Yuuzhanom, że podda się bez walki! - wrzasnął Han. - Twój podwładni dopuścili do zniszczenia orbitalnej stacji, żebyście mogli zrealizować swój niedowarzony plan!

- Uspokój się, Solo - burknął Bothanin. - Czy uważasz, że gdybym to wszystko zaplanował, naprawdę brałbym teraz udział w tej wyprawie? Uczestniczę w niej wyłącznie w charakterze obserwatora... nikogo więcej.

- Obserwatora? - Han usiłował się wyrwać z objęć Kypa, a mięśnie na jego szyi nabrzmiały jak postronki. - Więc nasza wyprawa to tylko rekonesans, żeby przekonać się, czy Alpha Red okaże się skuteczna?

- Nieprawda! - zaprotestował Wraw. - Nasza wyprawa miała na celu uśmiercenie yammoska, więc można powiedzieć, że zakończyła się całkowitym powodzeniem. Sojusz miał wszelkie powody uważać, że Vongowie zamierzają wykorzystać Caluulę jako punkt zborny okrętów swojej armady. Nie mam pojęcia, dlaczego na orbicie nie widać więcej ich okrętów.

Han odprężył się, więc Kyp go puścił.

- A zatem gdyby Alpha Red okazała się nieskuteczna, mieliśmy być pod ręką, żeby zabić yammoska - podsumował.

Bothanin jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Dyrektor Scaur kładzie bardzo duży nacisk na redundancję - stwierdził ponuro. - Przyznaję jednak, że chciał mieć pewność, iż yammosk zostanie uśmiercony w taki czy inny sposób.

Leia obrzuciła go oskarżycielskim spojrzeniem.

- Wiedziałeś o tym od samego początku - przypomniała. - Tamten patrol, który udało się nam zwabić w zasadzkę, roztrzaskany skoczek koralowy...

- Przyznaję, że ucieszyłem się na widok wszystkiego, co zobaczyłem.

- Nie jesteś lepszy niż Yuuzhan Vongowie - prychnął Han.

Po sierści na twarzy Bothanina znów przemknęły fale.

- Powiedziałeś niedawno, że chcesz mi dać nauczkę, jak zachowywać się wśród cywilizowanych osób - przypomniał. - Kto wie, może to tobie przydałaby się taka nauczka?

Zrobiliśmy tylko to, co konieczne. - Wskazał półkuliste sklepienie komory. - Tamta mistrzyni przemian i jej udoskonaleni wojownicy zawloką teraz Alphę Red na powierzchnię Yuuzhan'tara, a stamtąd zaraza rozprzestrzeni się na inne planety w całym korytarzu inwazyjnym Yuuzhan Vongów, więc zamiast prawić mi morały, Solo, powinieneś się cieszyć. Dni Vongów są policzone, a wojna właściwie dobiegła końca.

- Zabiłeś je - wymamrotała Meloque, która ocknęła się z odrętwienia i z panicznym przerażeniem w oczach patrzyła na Wrawa. -Zabiłeś skrzydłogwiazdy!

Bothanin z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Nie możesz być pewna, że to moja wina - powiedział.

Ho'Dinka osunęła się na gąbczastą podłogę, jakby miała nogi z galarety.

- Czy ty sobie nie uświadamiasz, co zrobiliście... co rozpętaliście? - zapytała. - Działanie Alphy Red nie ogranicza się wyłącznie do form życia Yuuzhan Vongów! Twój przełożeni chcieli mieć pewność? Powiedz im, agencie Wraw, że skuteczność Alphy Red przekroczyła najśmielsze oczekiwania! Wasza broń biologiczna uśmierca zarówno nieinteligentne, jak i inteligentne formy życia. Jeżeli tamte statki Yuuzhan Vongów wylądują na powierzchni Coruscant, zagrożona zostanie cała galaktyka!

- Jakie statki? - podchwycił Lando. - O czym ona mówi?

- Krótko przed waszym przybyciem z powierzchni planety odleciało kilka nieprzyjacielskich jednostek - wyjaśnił Page.

Karrde szarpnięciem oderwał od pasa komunikator i szybko przycisnął guzik zasilania mikrofonu.

- Crev, jak mnie słyszysz? - zapytał.

Kilkanaście sekund z głośnika wydobywały się tylko trzaski zakłóceń.

- Ledwo, ledwo, Talonie - rozległ się w końcu basowy męski głos. - A co u was?

- Później ci wszystko opowiem - odparł Karrde. - Na razie musisz szybko powiadomić artylerzystów Boostera, aby zestrzelili wszystkie yuuzhańskie jednostki, jakie zobaczą w tym rejonie przestworzy.

Crev Bombassa parsknął śmiechem.

- A jak ci się wydaje, czym się cały czas zajmujemy? - zapytał. -Problem w tym, że nie widzimy zbyt wielu celów.

- Dzięki niech będą Mocy - odezwała się cicho Meloque.

- Obok nas przeleciał tylko jeden statek - ciągnął Bombassa. -Odpowiednik korwety... niepodobny do niczego, co dotąd widzieliśmy. Pokryty łuskami kadłub, trzy pary podobnych do szczypiec plujek skały, zadarty ogon...

Han spojrzał na żonę.

- To jeden z tych skoczków, których piloci ścigali nas aż do przestworzy Caluuli - zauważył. - Musieli je wyhodować specjalnie dla uśmiercicieli.

Jego niepokój udzielił się Talonowi. Karrde zacisnął palce na obudowie komunikatora.

- Crev, powiedz mi, że nadal widzicie tę jednostkę - powiedział błagalnym tonem.

- Chwileczkę, Talonie - usłyszał w odpowiedzi.

Wszyscy umilkli i czekali w napięciu jakąś minutę, zanim przez trzaski zakłóceń przebił się znów głos Creva.

- Talonie, z przykrością melduję, że tamten statek zdążył wskoczyć do nadprzestrzeni, zanim zdołaliśmy go namierzyć.

Meloque ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Nie kryjąc zdenerwowania, Han zacisnął szczęki.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że załoga umrze, zanim skoczek powróci do normalnych przestworzy - powiedział.

Admirał Kre'fey, kierujący ruchami okrętów flot Sojuszu z mostka bothańskiego krążownika szturmowego „Ralroost”, obrócił fotel dowodzenia tyłem do iluminatora, żeby zapoznać się z aktualnymi informacjami, jakie co pewien czas przekazywał mu oficer łącznościowiec. W przestworzach roilo się od okrętów, ale sytuacja wyglądała na opanowaną. W dole obracała się powoli błękitna kula Kalamara.

- Elementy Drugiej i Trzeciej Floty zajęły nowe pozycje w przestworzach Mon Erona - odezwał się oficer. - Wielki admirał Pellaeon melduje, że „Praworządność” leci tam, aby wesprzeć obronę. Z Lodowej Góry Trzy przyleciały dwie hapańskie grupy szturmowe, żeby wzmocnić macierzystą flotę obronną Kalamara. Lada chwila powinniśmy mieć z nimi kontakt wizualny, panie admirale.

Kre'fey spojrzał przez iluminator. „Ralroost”, gwiazdny niszczyciel „Sen Rebelii” i krążownik „Yald” przeleciały na pozycje w pobliżu księżyca Kalamara, a załogi przygotowały się do stawienia czoła yuuzhańskiej armadzie. Skoro okręty Yuuzhan kierowały się w stronę Sępa Elopóra, zależnie od strategii Nasa Choki do konfrontacji pozostawało jeszcze kilka godzin

lub kilka dni, ale taki kierunek ataku stwarzał zagrożenie także dla piątej planety systemu, Mon Erona. Planety trzecia i czwarta znajdowały się po przeciwnej stronie słońca Kalamara i na razie nie były zagrożone.

Po niespodziewanym zniknięciu prawie połowy okrętów nieprzyjacielskiej armady siły walczących stron właściwie się wyrównały. Zmagania na polu walki stały się jednak bardziej zaciekle, a ze względu na szybko rosnące straty, sytuacja Sojuszu była nawet gorsza niż na początku bitwy. Skanery ukazywały poważnie uszkodzone fregaty i patrolowce, których artylerzyści nie przestawali jednak razić ogniem armady Yuuzhan Vongów. Piloci gwiazdnych myśliwców z oderwanymi skrzydłami także starali się w miarę możliwości uczestniczyć w walce. Na każdą zniszczoną maszynę przypadały trzy albo cztery rozpylone na atomy skoczki, ale Yuuzhanie dysponowali jakby nieograniczoną liczbą mniejszych jednostek. Macki yuuzhańskiej formacji były dziesiątkowane, lecz nieprzyjaciela natychmiast uzupełniali straty. Miejsce zestrzelonych skoczków zajmowały eskadry nowych, które cały czas wylatywały z mrocznych czeluści hangarów nieprzyjacielskich lotniskowców, a zgromadzone w środku formacji yammoski kierowały pilotów od razu we właściwe miejsca pola bitwy.

- Mamy jakieś informacje o drugiej flotyli, która się odłączyła od głównej grupy? - zainteresował się Kre'fey.

- Jeszcze nie, panie admirale - odparł łącznościowiec. - O ile wiadomo, nieprzyjacielska flotylla nadal kieruje się Perlemiańskim w stronę Jądra.

Sień Sow, komodor Brand i inni dowódcy wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć, że część yuuzhańskiej armady odleciała tym samym szlakiem, którym przyleciała do przestworzy Kalamara. Stało się oczywiste, że Yuuzhan Vongowie nie zamierzali wykorzystywać Toong'ła ani Caluuli jako odskoczni albo punktów zbornych.

Zainstalowanie yammosków na powierzchniach tych planet było tylko próbą odwrócenia uwagi wojskowych Sojuszu.

Kre'fey miał do siebie pretensje, że nie przewidział tego podstępu, kiedy otrzymał wiadomość, że armada nie przeskoczyła bezpośrednio do systemu Kalamara. Wojenny mistrz Nas Choka chciał po prostu oczyścić pośrednie punkty z inteligentnych min, żeby wycofująca się druga flotylla mogła zaatakować bezkarnie jednostki służące do przekazywania nadprzestrzennych sygnałów.

Problem w tym, że na razie nikt nie miał pojęcia, gdzie się znajdowała.

Nas Choka w żaden sposób nie mógł się dowiedzieć o planowanym ataku na Coruscant. Czy jednak jest możliwe, że usłyszał o uwolnieniu Alphy Red na powierzchni Caluuli?

Nie, to także niemożliwe, powiedział sobie Kre'fey.

Gdyby wojenny mistrz przeczuwał, że celem ataku jest Coruscant, powinien zostawić tam część swoich sił, zamiast kazać lecieć całej armadzie na drugą stronę galaktyki tylko po to, żeby później odesłać część do domu. Bardziej niepokojąca była możliwość, że Nas Choka dowiedział się o Contruumie. Kiedy pojawiły się pierwsze oznaki, że flotylla zamierza wskoczyć do nadprzestrzeni, na usytuowaną w obrębie Środkowych Rubieży planetę od razu wysłano statki kurierskie. Informacje o możliwym odlocie części armady przekazano także za pośrednictwem przekaźnikowych jednostek rozsianych po przestworzach między Kalamarem a Kashyyykiem i między Kashyyykiem a Gromadą Hapes.

- Panie admirale, wiadomość z pokładu stacji przekaźnikowej w przestworzach Kashyyyka - zameldował oficer łącznościowiec, przyciskając słuchawkę mocniej do ucha. - Generał Cracken oraz komandorzy Farlander i Davip meldują, że z powodu braku informacji o miejscu pobytu drugiej flotylli sytuacja w przestworzach Contruumu stała się niestabilna. Od tamtejszej floty już odłączyły się dwie eriaduańskie grupy szturmowe, a wielu dowódców uważa, że w takiej sytuacji powinno się zrezygnować z planu ataku na Coruscant. Ich zdaniem lepiej poczekać z tym na inną chwilę niż ryzykować, że flota Sojuszu zostanie zmuszona do walki na dwa fronty z obrońcami planety i powracającą częścią armady Yuuzhan Vongów. Dowództwo obrony Contruumu z całym należnym szacunkiem prosi o zgodę, żeby ich flota mogła zająć pozycje w Ekstremum Kalamara i zaatakować stamtąd yuuzhańską armadę.

- Odmawiam - burknął bez zastanowienia Kre'fey. Przysunął mikrofon bliżej ust i gestem nakazał, żeby łącznościowiec umożliwił mu kontakt ze statkiem przekaźnikowym w przestworzach Kalamara. - Dopóki druga flotylla nie wyłoni się z nadprzestrzeni, nie będziemy wiedzieli, jakie mają plany. Dowódcy tamtych okrętów mogą po prostu czekać w nadziei, że kiedy przeleciecie do Ekstremum Kalamara, wyskoczą w takim miejscu, żebyście się znaleźli między nimi a pozostałą częścią armady. W przypadku Coruscant zgadzam się jednak z waszą oceną sytuacji. Sugeruję, żebyście rozproszyli okręty swojej floty na wypadek, gdyby druga flotylla wyskoczyła w przestworzach Contruumu. Z atakiem na Coruscant rzeczywiście możemy poczekać na inny moment. W tej chwili ważą się losy Kalamara.

- Dowództwo obrony Contruumu prosi o informacje na temat bieżącej sytuacji w

przestworzach Kalamara - przemówiła jakaś funkcjonariuszka obrony tej planety.

- Na razie się trzymamy, nie wiemy jednak, jak długo jeszcze będziemy w stanie stawiać czoło yuuzhańskiej armadzie - odparł wymijająco Kre'fey. - Nieprzyjaciel nadal przewyższa nas pod względem liczebnym i nie daje się nabierać na zwykłe sztuczki. Można byłoby uznać, że szanse zwycięstwa są mniej więcej wyrównane, jak zresztą przy wielu innych okazjach podczas tej wojny... z tą różnicą, że wojenny mistrz Nas Choka jest gotów toczyć tę walkę do ostatka. Ja nie mam takiego zamiaru, a on doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Prędzej poświęci wszystkie okręty swojej armady, niż wyląduje w niełasce na powierzchni Coruscant. W przeciwieństwie do niego ja muszę podjąć decyzję, jeśli rozsądniej będzie zachować ostrożność, zamiast imponować bezsensowną odwagą.

- Panie admirale - odezwała się niebawem ta sama funkcjonariuszka. - Komandor Farlander ubolewa, że nie stoi obok, żeby panu pomóc w podjęciu tej decyzji.

- Jeżeli chodzi o ostrożność, będziemy postępować zgodnie z planem i wydamy flotom rozkaz przeskoczenia do przestworzy między Kubindi a Odległymi Rubieżami - mruknął Kre'fey. - Znamy nad-przestrzenne szlaki w spiralnym ramieniu galaktyki o wiele lepiej niż Nas Choka.

Tym razem musiał jeszcze dłużej czekać na odpowiedź.

- Gdyby do tego doszło, panie admirale, czy jest możliwe, żeby po odlocie pańskiej floty Yuuzhan Vongowie kontynuowali atak na Kalamara? - zapytała w końcu kobieta.

- Trudno powiedzieć - odparł Kre'fey. - Możemy tylko przypuszczać, że yuuzhańscy szpiedzy na powierzchni Kalamara przekażą informację, iż przywódcy Galaktycznego Sojuszu zostali ewakuowani, dzięki czemu planeta straci dla wrogów wartość strategiczną. Nie sądzę, żeby Nas Choka chciał zabijać istotę, która zdaje się na jego łaskę... bo właśnie do tego będzie się sprowadzało nasze postępowanie. Powinno mu wystarczyć, że przepędził nas z Kalamara. Będzie mógł wówczas ogłosić zwycięstwo i zachować honor. Chyba od początku spodziewał się po nas takiej właśnie reakcji: że się wycofamy i pozwolimy mu nas ścigać.

- Panie admirale! - przerwał nagle oficer łącznościowiec.

Podążając spojrzeniem za jego wyciągniętą ręką, Bothanin odwrócił się z fotelem w stronę monitora dalekosiężnych skanerów... i osłupiał.

Armada wciągała macki. Wzywała pilotów tysięcy koralowych skoczków, fregat i patrolowców, aby wracali do hangarów okrętów liniowych i lotniskowców.

- Nieprzyjaciel przygotowuje się do odwrotu z pola bitwy i wskoczenia do nadprzestrzeni - zauważył bothański oficer, pełniący służbę po sterburtowej stronie eliptycznego mostka „Ralroosta”.

Zaskoczony Kre’fey prawie się zerwał z fotela dowodzenia.

- Rozkazać pilotom wszystkich dywizjonów gwiazdnych myśliwców, żeby przerwali walkę! - wykrzyknął. - Załogi okrętów liniowych macierzystej floty obronnej i artylerzyści platform typu Golan mają przerwać ogień i przekazać całą energię do dziobowych pól siłowych! Przekazać generałowi Antillesowi, żeby „Mon Mothma” dołączyła do „Nieustraszonego” nad jasną stroną księżyca.

- Armada przyspieszyła do prędkości światła i zniknęła - zameldował po jakimś czasie ten sam Bothanin. - Skierowała się... w stronę Jądra galaktyki.

Kre’fey opadł na fotel dowodzenia, jakby nagle przybyło mu pięćdziesiąt kilogramów.

- Nie rozumiem - mruknął z mieszaniną ulgi i niepokoju.

Nawet gdyby Nas Choka dowiedział się o planach zaatakowania Coruscant albo Contruuma, jego wywiad zapewniłby go, że w skład samej drugiej flotylli wchodzi więcej okrętów niż trzeba, aby odeprzeć jeden i drugi atak. Dlaczego zdecydował się na skok właśnie w chwili, kiedy szala zwycięstwa w bitwie w przestworzach Kalamara zaczynała się przechylać na jego stronę?

To mógł być jeszcze jeden podstęp.

Kre’fey odwrócił się do oficera łącznościowca.

- Proszę przesłać wiadomość do dowódców wszystkich okrętów i przekaźnikowych stacji na powierzchniach planet, że od tej pory w ruchu znajduje się cała armada, nie tylko flotylla, która się wcześniej od niej odłączyła - rozkazał. - Natychmiast meldować, jeżeli armada lub choćby jej część powróci do normalnych przestworzy.

Oficer łącznościowiec odwrócił się i pospieszył do konsoly komunikatora.

Wpatrując się w ciemne przestworza, zaskoczony Kre’fey pozostał na fotelu dowodzenia.

Zachodził w głowę, co, na miłość galaktyki, mogło się wydarzyć?

R O Z D Z I A Ł 28

Yuuzhańska armada toczyła decydującą bitwę w przestworzach odległego Kalamara, mieszkańcy Yuuzhan'tara nie mieli więc do roboty nic oprócz czekania na wiadomość o wyniku zmagania. Niecierpliwie czekał na nią nawet prefekt, który swego czasu też przelewał krew dla zwycięstwa i nie chciał bratać się z pospółstwem zgromadzonym na modlitwach w różnych świątyniach. Postanowił więc uciąć sobie popołudniową drzemkę, ale ledwie zdążył zamknąć oczy, kiedy jego wyściełana prycza zadygotała i zaczęła jeździć po komnacie tak szybko, że zdezorientowany Nom Anor zsunął się na koralową podłogę.

Zauważył, że w ścianach i kopulastym sklepieniu pojawiają się coraz większe rysy i szczeliny. W powietrzu zawirowały drobiny koralowego pyłu, a większe okruchy spadały niczym grad na dywany vurruk. Z innych komnat prefektury doleciały wrzaski i hałas świadczący o narastającej panice. Głęboko pod powierzchnią gruntu zbudził się złowieszczy, głuchy pomruk i przetoczył pod stopami niczym fala, która z trzaskiem posłała na posadzkę mniejsze i większe przedmioty.

Nom Anor uskoczył przed wywracającym się clipunem - kufrem z upominkami i pamiątkami - i z trudem uchylił się przed lecącym na niego stojakiem na lambenty. Upadł na kolana i poczołgał się w stronę balkonu, z którego rozciągał się widok na plac Hierarchii. Miał wrażenie, że wszystko w dole się porusza. Gdziekolwiek spojrzał, różne przedmioty kołysały się, drżały albo rozpadały. Zauważył także, że na dworze się ściemniło, zupełnie jakby nadciągał zmierzch. Z portalów domów stojących po bokach kwadratowego placu wylaniali się w mniejszych i większych grupach przerażeni robotnicy. Potykając się i zataczając, biegli zbici w bezładną gromadę niczym stado zdezorientowanych zwierząt. Kierowali się w stronę wysadzanych szpalerami drzew ścieżek, biegnących przez tereny ogólnodostępne.

Nom Anor uklęknął, przesłonił oczy i spojrzał w słońce, by się przekonać, że źródłem paniki nie jest gwiazda Yuuzhan'tara. W dolnej części nieba pojawił się ogromny półksiężyc planety, która z każdą chwilą zajmowała coraz więcej miejsca na niebie, jakby zamierzała całkowicie zasłonić tarczę słońca. Trudno byłoby ocenić rozmiary globu czyjego odległość od powierzchni Yuuzhan'tara, ale był co najmniej dwukrotnie większy niż ognista kula, którą chyba za chwilę przesłoni.

W pewnej chwili Nom Anor zauważył z osłupieniem, że tęczowy most zniknął.

Zacisnął palce na balustradzie balkonu i zerwał się na nogi. Fasada domu stojącego po

przeciwnej stronie placu runęła i pogrzebała pod kanciastymi bryłami korała yorik setki Yuuzhan Vongów. Wkrótce potem zerwał się straszliwy wichur, który powalał posągi i wyrywał drzewa z korzeniami. W powietrze poszybowały chmury okruchów żwiru i ziarek piasku, a spod nich ukazały się permabetonowe szkielety budowli i drapaczy chmur z okresu Nowej Republiki.

Po niebie przetoczył się głuchy łoskot, a wzdłuż przekątnej kwadratowego placu rozwarła się głęboka szczelina, do której wpadły ławki, krzewy i grupki nieszczęsnych robotników. W niebo wzniosły się roje wypłoszonych z uli workoszczół; stada ptaków miały się w powietrzu w tę i w tamtą stronę, zależnie od tego, dokąd gnały ich podmuchy świszczącego wiatru.

Nom Anor rozstawił szeroko nogi i spojrział na niebo. Szalejący wichur szarpał połami jego tuniki i wyciskał łzy z oczu.

Zastanawiał się, czy to się dzieje naprawdę, czy tylko jest wytworem jego rozgorączkowanej wyobraźni.

W dole pod balkonem modliła się na kolanach gromada Zhańbionych, chociaż obowiązywała ich trwająca od świtu do nocy godzina policyjna. Unosili ku niebu odrażające twarze i cienkie jak patyki ręce. Najwidoczniej oddawali cześć planecie, która pojawiła się właśnie na niebie, chociaż jej obecność dosłownie unicestwiała Yuuzhan'tara.

Zrezygnowany prefekt musiał pogodzić się z prawdą.

Zonama Sekot nie dość, że powróciła do znanych przestworzy, to jeszcze za cel podróży obrała sąsiedztwo Yuuzhan'tara!

W pewnej chwili prąd wstępującego powietrza przyniósł słowa modlitwy, jakimi witali planetę Zhańbieni w dole:

- Proroctwo się spełniło! Nasze zbawienie jest bliskie!

Nom Anor zwiesił głowę, jakby pogodził się z porażką. Sprawdzało się wszystko, co przewidywał.

Nagle balkon zatrzeszczał i przednia krawędź opadła kilka centymetrów. Prefekt spróbował ostrożnie wycofać się do komnaty. Zaledwie jednak cofnął się za próg, ktoś ścisnął go od tyłu za szyję. Nom Anor poczuł na skroni ukłucie szpica coufee. Napastnik wciągnął go do komnaty i szepnął chrapliwie do prawego ucha:

- Powiedz mi zaraz, co o tym wiesz, bo w przeciwnym razie natychmiast zginiesz!

Nom Anor rozpoznał głos Drathula.

- To broń... h-heretyków - wycharczał, zaciskając palce na przedramieniu arcyprefekta.

Szpic koralowego sztyletu przebił skórę na skroni i Nom Anor poczuł na policzku strużkę krwi, która spłynęła za kołnierz tuniki.

- Śmiesz znieważać mnie kłamstwami? - wybuchnął Drathul. - Wiemy, że cieszysz się zaufaniem najwyższego lorda nie tylko w tej, ale także w innych sprawach.

Arcyprefekt skierował ostrze coufee ku niebu, po którym przemieszczała się coraz szybciej Zonama Sekot. Nom Anor zauważył, że skraj planety styka się z tarczą odległego słońca, i uświadomił sobie, że za kilka chwil gwiazda Yuuzhan'tara zostanie nie tylko przesłonięta, ale i pogrzebana.

- M-my? - wychrypiał.

- Ci spośród nas, którzy woleliby usłuchać przestróg najwyższego lorda Quoreala i kierować się mądrością jego kapłanów, odradzających nam atakowanie tej przeklętej galaktyki - wyjaśnił Drathul. - To ta sama żyjąca planeta, którą jeszcze przed inwazją odkrył najwyższy dowódca Zho Krazhmir... ta sama, którą później odkrył na nowo komandor Ekh'm Val!

- Więc wiesz o niej więcej niż ja - wystękał Nom Anor, starając się nie stracić przytomności.

- Zwiastun klęski!

- Zwiastuny są potrzebne tylko nieudolnym władcom i przesądnym głupcom - wyrzucił z siebie ostatkiem sił prefekt.

Niespodziewanie Drathul przestał uciskać jego krtań i odwrócił go twarzą w swoją stronę. Chwycił go za przód tuniki, przyciągnął do siebie i znów przyłożył ostrze coufee do grdyki.

Wstrząsy gruntu ustały, ale Nom Anor wciąż jeszcze nie mógł czuć się bezpieczny.

- Mów prawdę albo nigdy więcej nie wypowiesz ani słowa! - zagroził Drathul. W jego cuchnącym oddechu wyczuwało się przerażenie. - Wszyscy uciekają w panice, a tymczasem heretycy wznoszą triumfujące modły pod twoim balkonem... Oni wiedzą, że to żyjąca planeta, pradawna ojczyzna, którą obiecał im sam Prorok, w niczym niepodobna do tej parodii, w którą zmieniliśmy Coruscant. Ośmielisz się zaprzeczyć?

Nom Anor zaczynał mieć powyżej uszu ukłuć ostrzy coufee. Wiele miesięcy wcześniej zaatakował go Shoonmi, potem Kunra, a obecnie Drathul.

- To rzeczywiście żyjąca planeta, ale nic ponadto - przyznał w końcu. - Żaden zwiastun

klęski czy spełnienie przepowiedni Proroka. Po prostu jeszcze jedna niespodzianka, w jakich wiele obfituje ta wojna. - Odtrącił na bok dłoń Drathula, a kiedy ostrze coufee oddaliło się od jego grdyki, przyłożył palce prawej dłoni do skroni, żeby powstrzymać upływ krwi. - Żyjąca planeta, której powrót starałem się udaremnić - dodał, piorunując spojrzeniem zdezorientowanego zwierzchnika.

- Staraleś się udaremnić? Ty? - zdumiał się Drathul.

Opuścił rękę, w której trzymał coufee, i spojrzał na Noma Anora z takim niedowierzaniem, jakby go widział pierwszy raz w życiu.

- Z rozkazu Shimrry - wyjaśnił Nom Anor przez zaciśnięte zęby. Chwycił w garść przód zielonej szaty i podetknął ją Drathulowi pod nos. - Jak ci się wydaje, dlaczego mogę się tak ubierać? - zapytał. - Dzięki zasługom? Przywilejom, jakimi się cieszy moja domena? - Splunął na dywan. - Dzięki przewrotności i zdradzie!

Oszołomiony i zdezorientowany Drathul osunął się na posadzkę. W miarę jak Zonama Sekot rzucała coraz mroczniejszy cień na powierzchnię Yuuzhan'tara, w komnacie z każdą chwilą stawało się ciemniej. Wkrótce na balkon spadły z grzechotem kulki lodu wielkości ngdinów. Niektóre wleciały do komnaty i potoczyły się po dywanie.

Arcyprefekt uniósł głowę i spojrzał na podwładnego.

- Co powinienem teraz zrobić? - zapytał.

Nom Anor napawał się chwilę tym skromnym zwycięstwem.

- Módl się do bogów, Drathulu, aby się okazało, że Zonama Sekot przyleciała tu w pokojowych zamiarach - odezwał się w końcu.

Bezbarwny wyraz twarzy przekazywany przez poświęconego villipa najwyższego dowódcy Saluupa Finga zadawał kłam przerażającej treści jego słów:

- O Straszliwy, z ciemnych przestworzy wyłoniła się planeta, która wleciała do systemu Yuuzhan'tara. O mało nie otarła się o święty świat, zniszczyła tęczowy most i rozproszyła księżycy. Zmierzając ku przestworzom, najbliższy powierzchni Yuuzhan' ara satelita omal się nie roztrzaskał o powierzchnię. To katastrofa o niewyobrażalnych rozmiarach, wojenny mistrzu, zupełnie jakby za sprawą bogów...

- Dość tego, dowódcu! - uciął szorstko Nas Choka. - Okręty pod twoimi rozkazami mają pozostać na pozycjach. Żaden nie może nawet usiłować się przeciwstawić tej planecie.

- Jak sobie życzysz, wojenny mistrzu.

- Armada wkrótce powróci i wtedy podejmę decyzję, jak najlepiej zareagować na pojawienie się tej planety.

Podobizna twarzy Saluupa Finga zniknęła, a villip rozluźnił mięśnie i przenicował się do postaci przypominającej skórzaną kulę. Nas Choka odwrócił się plecami do chóru yuuzhańskich form życia i podszedł do ławy dowodzenia, ale był zbyt podniecony, żeby usiąść.

Rozkazał, żeby „Góra Yammki” wyskoczyła z ciemnych przestworzy w rejonie zwanym przez niewiernych Środkowymi Rubieżami. Liczył na to, że odbierze późniejszy raport najwyższego dowódcy o wydarzeniach, jakie miały miejsce nieco wcześniej na powierzchni Yuuzhan'tara. Wyprosił z komnaty dowodzenia okrętu sztandarowego wszystkich z wyjątkiem szefa taktyków, a kiedy wyszli, odwrócił się do niego i spojrzał pytająco.

- Od jakiegoś czasu szerzyły się pogłoski o planecie, zdolnej do poruszania się w ciemnych przestworzach - odparł wymijająco podwładny.

- To ta sama planeta, na którą natknęli się zwiadowcy z patrolu najwyższego dowódcy Krazhmira, jeszcze kiedy władał nami Quoreal - odezwał się Nas Choka tonem dowodzącym, że to nie miało być pytanie.

- Tak jest, wojenny mistrzu - odparł taktyk. - Obawiałem się poruszyć ten temat w rozmowie z tobą, bo...

Nas Choka uciszył go władczym gestem.

Był wówczas zaledwie skromnym dowódcą, ale pozostawał lojalny względem domeny Jamaane, z której wywodził się Shimrra. Zaliczał się do grona wyższych stopniem wojowników, którzy pomogli mu się pozbyć poprzednika i przechwycić jego władzę, a przy okazji uśmiercić wielu jego wojowników i popierających go intendentów. Mimo to plotki o żyjącej planecie nadal się szerzyły. Twierdzono nawet, że planeta, znana jako Zonama Sekot, nie dość że odparła atak sił zbrojnych Zha Krazhmira, to jeszcze została uznana za złą wróżbę przez grono arcykapłanów Quoreala.

Wiedząc jednak, jak bardzo Quoreal obawiał się kasty wojowników, lojalni wobec Shimrry dowódcy uznali oświadczenie kapłanów za podstęp... za wymówkę w celu skierowania konwoju yuuzhańskich światostatków jak najdalej od galaktyki, do której się udawał, i niedopuszczenia do inwazji, która wywyższyłaby kastę wojowników. Quoreal nie przykładął większej wagi do prowadzenia wojen ani do składania ofiar bogom i nie chciał słyszeć o tym, że rozkład społeczności Yuuzhan Vongów wynika w dużej mierze z jego nastawienia. Shimrra

jednak był sprytniejszy. Rozumiał, że wojownicy potrzebują wojny, żeby nie zabijali się nawzajem. Najważniejsze jednak, że Yuuzhan Vongowie potrzebowali nowego domu.

To wszystko nie zmieniało jednak faktu, że żyjąca planeta pojawiła się na nowo. Nas Choka był zbyt trzeźwo myślącą osobą, żeby uważać to za niepomysłną wróżbę czy zwiastun klęski, ale jako strateg nie mógł się nie zastanawiać. Gdyby Zonama Sekot była tą samą planetą, która odparła atak sił zbrojnych Zha Krazhmira, miała do dyspozycji dodatkowych pięćdziesiąt standardowych lat, żeby stać się bronią niepodobną do żadnej, z jaką mieli dotąd do czynienia wojownicy Yuuzhan Vongów.

- Wojenny mistrzu - odezwał się główny taktyk. - Czy to możliwe, żeby ta żyjąca planeta była tylko wytworem Sojuszu... a ściślej wytworem Jeedai! - zapytał.

Nas Choka zastanowił się nad taką ewentualnością.

- Wiedziałbym o tym wcześniej - zawyrokował w końcu.

- O Straszliwy, może ta planeta jest sztucznym tworem? - nie dawał za wygraną główny taktyk. - Owocem tajnej strategii, nad którą pracował Sojusz, kiedy przygotowywaliśmy armadę do stoczenia decydującej bitwy w przestworzach Kalamara? Te wszystkie gorączkowe przygotowania, próby zwrócenia naszej uwagi na to, co się dzieje w przestworzach Contruuma, Caluuli i innych planet... Może chodziło tylko o zamydlenie nam oczu, żebyśmy nie zauważyli tego, co zaprojektowali i przygotowywali do wykonania?

- Tylko skończony głupiec odrzucałby taką możliwość bez zastanowienia, taktyku - zapewnił Nas Choka. - Załóżmy jednak na chwilę, że to nie sztuczny twór, ale prawdziwa żyjąca planeta... źródło pogłosek krążących na długo przed naszą inwazją na tę galaktykę.

Taktyk ściągnął brwi.

- Gdyby to miało się okazać prawdą... gdyby to rzeczywiście niewierni nakłonili planetę do udziału w tej wojnie po ich stronie, dopuściliby się najgorszego bluźnierstwa od początku naszej inwazji - stwierdził w końcu.

Nas Choka pokiwał posępnie głową i głęboko westchnął.

- Bez względu na to, taktyku, jak wygląda prawda, Sojusz zwlekał zbyt długo z tą niespodzianką- powiedział. - Nasze okręty znajdują się zaledwie dwa skoki od przestworzy Yuuzhan'tara, a dodatkowe grupy szturmowe zostały wezwane z przestworzy Huttów i z okolic innych planet. Żaden intruz, żyjący czy sztuczny, nie może nawet marzyć o tym, żeby się przeciwstawić takiej potędze!

III - N A W S Z Y S T K O O D P O W I E D N I A P O R A

R O Z D Z I A Ł 29

„Sokół Millenium” przemykał ostrożnie między rojem ogromnych, powoli koziółkujących asteroid. Kiedy frachtowiec znalazł się na skraju pola, pilot ukrył go w cieniu upstrzonej kraterami ogromnej skalnej bryły i zrównał z nią prędkość, żeby pozostawać w ukryciu.

Zaledwie statek powrócił z Caluuli do przestworzy Kalamara, Han i Leia otrzymali wiadomość od Luke’a i Mary. Nie mogąc się posłużyć HoloNetem, Skywalkerowie przekazywali ją z pokładu „Cienia Jade”, więc rozmowa była krótka, a ich głosy zniekształcone. Solo streścił w kilku zdaniach przebieg wydarzeń, które doprowadziły do rozpoczęcia decydującej bitwy w przestworzach Kalamara, a Luke równie zwięźle opowiedział o prowadzonych przez grupę Jedi poszukiwaniach, dzięki którym Zonama Sekot postanowiła wrócić do normalnych przestworzy. Yuuzhańska armada wyskoczyła wprawdzie w sąsiedztwie Coruscant, ale Luke zapewnił Hana i Leię, że oboje mogą dołączyć do niego i innych Jedi na powierzchni żyjącej planety. Jego zdaniem Vergere miała rację, kiedy powiedziała, że Zonama Sekot odegra kluczową rolę w zakończeniu wojny.

Obiecał wyjaśnić wszystko szczegółowo, kiedy wylądują na powierzchni planety.

Han i Leia wciąż jeszcze nie mogli się otrząsnąć z przerażenia po tym, co wydarzyło się na Caluuli. Powrócili na Kalamara, gdzie zostali szczegółowo zbadani przez zespoły lekarzy. Księżniczka spotkała się z przywódcą Galaktycznego Sojuszu Calem Omasem, żeby zapoznać go z tragicznymi skutkami posłużenia się Alpha Red i zastanowić się razem z nim, co uwolnienie trucizny może oznaczać dla reszty galaktyki. Poruszony raportem Leii Alderaanin wyjawiał, że wyrażenie zgody na użycie broni biologicznej było w jego życiu jedną z najtrudniejszych decyzji, którą musiał podjąć ze względu na trudne czasy, bo mogło to ocalić od śmierci miliardy niewinnych istot.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie się podział yuuzhański patrolowiec, którego załoga uniknęła strażaków „Błędnego Rycerza” w przestworzach Caluuli. Wszyscy, nawet niektórzy najbardziej wojowniczo nastawieni wojskowi Sojuszu, mieli nadzieję, że statek po prostu zdechł gdzieś w nadprzestrzeni. Omas obiecał Leii, że wszelkie prace nad Alpha Red zostaną natychmiast wstrzymane, ale księżniczka nie pozbyła się obaw. Wiedziała, że skoro na czele Wywiadu stoi nadal Dif Scaur, a Bothanie ani myślą zrezygnować ze swojej doktryny ar’krai, Omas może nie być w stanie wywiązać się z tej obietnicy. Mogła liczyć najwyżej na to, że dalsze prace zostaną wstrzymane, dopóki naukowcy Sojuszu nie ustalą, czy Alpha Red jest rzeczywiście odpowiedzialna za śmierć niezliczonych caluulańskich skrzydłogwiazd i brzękomarów. Zachodziła obawa, że jeżeli broń biologiczna nie ma z tym nic wspólnego, nadal będzie wisiała nad głową wszystkich niczym miecz, zawieszony na cienkiej nici.

To wszystko wydarzyło się przed siedmioma standardowymi dniami, po których upływie Han i Leia odlecieli w kierunku Jądra galaktyki.

Perlemiański był opanowany przez Yuuzhan Vongów, więc musieli się przedostać do systemu Coruscant okrężną trasą. Zaczęli od wykonania skoku dokładnie naprawionym „Sokołem” do przestworzy Kashyyyka, stamtąd do Coljl Cztery i Commenora, a później Koreliańskim Szlakiem Handlowym dotarli w okolice Jądra galaktyki. W tym samym czasie Sow i Kre’fey zgromadzili rozproszone floty Sojuszu w Środkowych Rubieżach, w przestworzach Contruuma.

Dowódcy Sojuszu nie mieli pojęcia, jak traktować meldunki, z którymi kurierzy dotarli w końcu na powierzchnię Kalamara. Wynikało z nich, jakoby z nadprzestrzeni wyskoczyła jakaś planeta, która zdomowała się w Jądrze galaktyki. Nie dysponując zarejestrowanymi obrazami tego zjawiska, Sow, Kre’fey i pozostali mogli się opierać wyłącznie na relacjach bojowników ruchu oporu oraz przemysłowców. Mieli także kilka ziarnistych hologramów z wizerunkami zielonej planety, która kilka dni wcześniej pojawiła się w systemie Coruscant i o mało się z nią nie zderzyła. Najważniejsze jednak, że pojawienie się przybysza z nadprzestrzeni zmusiło do powrotu w rejon Jądra galaktyki nie tylko yuuzhańską armadę z przestworzy Kalamara, ale także drugą flotyllę, która wyskoczyła na krótko w pobliżu Contruuma i równie szybko stamtąd odleciała... prawdopodobnie gdy tylko jej dowódca otrzymał informację o pojawieniu się niezwykle gościa w sąsiedztwie Coruscant.

Żaden spośród najwyższych stopniem oficerów Sojuszu nie ośmielił się przyznać

oficjalnie, że z najdalszych krańców galaktyki przyleciała do Jądra jakaś planeta. Wielu wyrażało nieoficjalnie pogląd, że to rycerze Jedi połączyli siły i wspólnym staraniem przepchnęli planetę przez nadprzestrzeń... podobnie jak dwadzieścia standardowych lat wcześniej odrzucili imperialne niszczyciele z przestworzy Yavina Cztery.

W ciągu następných kilku dni Kre'fey czekał, aż odwołana armada zaatakuje tajemniczą planetę, ale żaden taki atak nie nastąpił. Członkowie grup ruchu oporu meldowali, że planeta wzbudziła na powierzchni Yuuzhan'tara dezorientację i powszechne przerażenie i to nie tylko wśród Zhańbionych, ale przede wszystkim w szeregach kapłanów i innych dostojników. Bez względu na to, czy napływające meldunki były prawdziwe, pozostawało faktem, że wojenny mistrz Nas Choka rozmieścił okręty potężnej armady na orbitach nad powierzchnią Yuuzhan'tara i prawdopodobnie czekał na decyzję najwyższego lorda Shimrry, co zrobić w tej sytuacji.

Nagle w sterowni „Sokoła Millenium” rozległ się sygnał o zbliżaniu się jakiegoś obiektu.

- Za chwilę będziemy ją mieli na optycznej - odezwała się Leia.

Han przesłał dodatkową porcję energii do silników i frachtowiec wyłonił się z ogromnej asteroidy.

- Przyjrzyjmy się jeszcze raz tym mapom - zaproponował Solo.

Księżniczka poleciła, żeby komputer wyświetlił na ekranie monitora mapę planetarnego systemu Coruscant - od Revise w kierunku słońca aż do gromady komet OboRin. Z zestawów przesłanych przez Luke'a współrzędnych wynikało, że Zonama Sekot zajmuje pozycję na ekliptyce, na orbicie między Coruscant a jej nieco bardziej oddalonymi od słońca braćmi Muscave i Stentatem, w przybliżeniu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni względem Coruscant.

- Jeżeli komputer nawigacyjny nie zgodzi się ze mną, że to szalona wyprawa, prawdopodobnie niedługo ją zobaczymy - mruknął Han.

Leia pokazała iluminator.

- Tam - oznajmiła.

Han podążył spojrzeniem za jej wyciągniętą ręką w kierunku ster-burty, gdzie pojawiła się, częściowo skąpana w blasku słońca, zielona kula planety.

- No cóż, to na pewno nie księżyc - zawyrokował.

- Ani Gwiazda Śmierci - dodała księżniczka.

Chwilę później dało się słyszeć skrzypienie i do sterowni wkroczył C-3PO.

- Bardzo przepraszam, księżniczko Leio i kapitanie Solo, ale zachodziłem w głowę, czy przypadkiem nie mógłbym skierować na cel naszej podróży własnych fotoreceptorów - zaczął. Odwrócił się i wskazał na idącą za nim osobę. - Panna Cilghal też chciałaby spojrzeć na żyjącą planetę.

Kalamariańska uzdrowicielka nie była jedynym rycerzem Jedi na pokładzie „Sokoła”, bo w dziobowej ładowni podróżowali także Kenth Hamner, Waxarn Kel, Markre Medjev i kilkoro innych Jedi. Następni mieli przybyć na pokładzie „Błędnego Rycerza” Jaina, Kyp, Lowbacca, Alema Rar i dzicy Rycerze lecieli własnymi myśliwcami.

- Chyba powinniśmy dać znać Luke’owi, że już jesteśmy - zaproponował Han.

Leia odwróciła się do pulpitu komunikatora.

- „Cieniu Jade”, tu „Sokół Millenium” - powiedziała. - Chcemy tylko poinformować was, że jesteśmy w pobliżu.

Z odbiornika urządzenia rozległ się głos mistrza Skywalkera.

- Leio! Witajcie na Zonamie Sekot!

Solo także pochylił się w stronę mikrofonu.

- Luke, tu Han - zaczął. - Powiedz, że to nie jest złudzenie optyczne. Czy naprawdę widzę planetę, czy mam omamy po ukąszeniu przez amphistaffa?

- Zonama Sekot jest równie prawdziwa jak twój „Sokół”, Hanie - usłyszał w odpowiedzi.

- Jest piękna - westchnęła Leia.

Mistrz Jedi roześmiał się bez troski.

- Żałuj, że nie widziałaś jej przed tymi wszystkimi skokami przez nadprzestrzeń, do których wykonania zostaliśmy zmuszeni - powiedział.

- Macie nam dużo do wyjaśniania - dodał Han. - A teraz bądź tak dobry i wydaj nam instrukcje dotyczące miejsca lądowania.

Luke nie od razu odpowiedział.

- Hanie, obawiam się, że będziecie musieli zostawić „Sokoła” na synchronicznej orbicie - oznajmił w końcu.

Han rzucił żonie zdezorientowane spojrzenie i osłonił dłonią kratkę mikrofonu.

- Pylek z jakichś drzew musiał pomieszać mi rozum - powiedział półgłosem.

Odślonił mikrofon.

- Żartujesz, prawda? - zapytał.

- Mówię śmiertelnie poważnie, Hanie - odparł Luke. - Booster będzie musiał zrobić to samo.

- Gwiezdny niszczyciel to co innego, Luke - przyznał Solo. - Ale jeżeli ci chodzi o odpowiednie miejsce dla frachtowca, już nieraz lądowałem „Sokołem” wewnątrz asteroid.

- To nie ma nic do rzeczy, Hanie - odparł mistrz Jedi. - Sekot nie życzy sobie, żeby na jej powierzchni lądowały jakiegokolwiek jednostki wojenne.

- Przecież lecimy frachtowcem - upierał się Solo.

- Przykro mi, Hanie - powiedział Luke.

Nie kryjąc rozdrażnienia, Han zacisnęła szczęki.

- Nie podoba mi się ten pomysł, ale zrobię to, jeżeli będę musiał - odezwał się w końcu. - A przy okazji, kim jest ta cała Sekot? Gubernatorką planety czy kimś w tym rodzaju?

- Sekot jest planetarną świadomością- wyjaśnił Luke.

Han zamrugła.

- Bądźcie uprzejmi powtórzyć, „Cieniu Jade” - zażądał. - Zdawało mi się, że usłyszałem „planetarną świadomością”.

- Powiedziałem ci już, że wszystko wyjaśnię, kiedy już znajdziecie się na powierzchni planety.

- Gdyby Sekot tego nie zauważyła, armada Yuuzhan Vongów jest tak blisko, że praktycznie możemy jej dotknąć - wtrąciła Leia. - Ich grupy szturmowe krążą także wokół Muscave, Improcco i Stada.

- Sekot odparła już kiedyś atak Yuuzhan Vongów - przypomniał Luke. - Wydaje mi się, że Shimrra o tym wie. Właśnie dlatego nie wydaje armadzie rozkazu ataku.

- To było bardzo dawno - zauważył Han. - Może Vongowie zdążyli o tym zapomnieć.

- Nie tak dawno, jak ci się wydaje, Hanie - odparł Luke. - A poza tym... jeżeli Zonama Sekot zostanie do tego zmuszona, może przyspieszyć do prędkości światła.

- Ta-a... no cóż, lepiej powiedz tej Sekot, żeby trzymała jednostki napędu nadświetlnego na biegu jałowym, bo po tym, do czego o mało nie doszło w przestworzach Kalamara, chyba nie zdoła powstrzymać Yuuzhan Vongów - powiedział Solo i umilkł na krótko. - No cóż, jest jeszcze coś - zaczął półgłosem.

- Chyba wiemy, jak sobie z nimi poradzić - przerwał mistrz Jedi.

Han wypuścił powietrze z płuc.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Luke - powiedział. - Ale jak dostaniemy się na powierzchnię, skoro mamy zostać na stacjonarnej orbicie? Nie damy rady wcisnąć wszystkich do kapsuł ratunkowych.

- Nie będziecie musieli - zapewnił Luke. - Powinniście już dostrzec na ekranach skanerów „Sokoła” nasz wahadłowiec.

Leia i Han spojrzeli na ekran monitora i wkrótce zobaczyli na nim statek, który wyglądał prawie tak, jakby został wyhodowany przez Yuuzhan Vongów. Łagodnie zaokrąglony kadłub, od którego promieniowała słaba poświata, składał się z sześciu owalnych modułów, gładkich jak otoczaki i połączonych tak przemyślnie, że nie można było dostrzec żadnych nitów ani spawów. Ostre jak sztylety czołowe krawędzie modułów jarzyły się blado, jakby umieszczono tam organiczne obwody.

Zaskoczony Han gwizdnął.

- Kolejka osób oczekujących na te cacka musi się ciągnąć wiele kilometrów! - wykrzyknął.

- Pilotka nazywa się Aken - poinformował rzeczowo mistrz Jedi. - Statek przyjmie rękaw cumowniczy „Sokoła”, kiedy tylko będziecie gotowi go wysunąć.

Leia opuściła pulsującą wielobarwnym blaskiem kabinę sekotańskiego wahadłowca i spojrzała na niewiarygodnie wysokie przedziwne drzewa. Kiedy zobaczyła stojących na ich tle syna, brata, szwagierkę i wielu przyjaciół, których nie widziała prawie od roku, jej serce zabiło żywszym rytmem.

Poczuła się znów jak dziecko.

Nawet kiedy leciała wysoko nad planetą, odnosiła wrażenie, że Zonama Sekot wygląda bardziej baśniowo niż realnie. Powierzchnia planety, porośnięta drzewami o czerwonych i zielonych liściach, była usiana lśniącymi zbiornikami wodnymi i poprzecinana tajemniczymi łańcuchami górskimi. Podczas kilku skoków przez nadprzestrzeń - tak zwanych Przelotów - planeta odniosła wprawdzie liczne obrażenia, ale wszystkie wyglądały zupełnie naturalnie i w niczym nie szpeciły jej niezwykłego piękna. Planeta krążyła daleko od słońca Coruscant, więc jej powierzchnia powinna być skuta lodem, ale Luke wyjaśnił, że Sekot ogrzewają od środka.

Leia nie wiedziała, kogo najpierw uściskać, ale Han pochwycił już Jacena w uścisk, którego nie powstydziliby się wampa, więc skierowała się do Luke'a i Mary, objęła oboje i przyciągnęła do siebie.

- Czasami wydawało mi się, że już nigdy was nie zobaczę - powiedziała, mrużąc oczy z radości i ulgi.

Zaledwie wypuściła ich z objęć, pojawił się przed nią Jacen z zagadkowym uśmiechem.

- Cześć, mamó - powiedział.

Z początku księżniczka była zbyt szczęśliwa, żeby wykonać choć najdrobniejszy ruch, więc tylko patrzyła na syna jak na zjawę z marzeń. Kiedy rozłożyła ręce, Jacen podszedł do niej i nawet nie wrywał się z jej uścisku. W końcu Leia wypuściła syna, ale pozwoliła mu odejść tylko na odległość wyciągniętej ręki. Poglaskała go po policzku.

- Zmieniłeś się, Jacenie - stwierdziła. - Jeszcze bardziej niż po tym, co ci się przydarzyło na Coruscant.

- Bo jestem teraz kimś innym - przyznał młody Solo. - Wydoroślałem dzięki staraniom Zonamy Sekot.

Leia odwróciła się powoli i przyjrzała się po kolei Sabie Sebatyne, Danni Quee, Tekli, Corranowi Hornowi, Tahiri Veili... Chyba wszyscy na nowo przeżywali zaskoczenie, jakie malowało się na twarzach osób, które wylądowały pierwszy raz na powierzchni planety.

Leia odwróciła się znów do syna.

- Wszyscy wyglądacie inaczej - powiedziała. - Czy to wina długiego czasu rozłąki, czy też może zasługa tego niezwykłego miejsca?

- Sekot wywiera na wszystkich trwały wpływ - odparł wymijająco Jacen.

Leia powtórzyła tę nazwę, jakby chciała poznać jej smak na języku.

- Ciągłe słyszę: Sekot i Sekot - powiedziała. - Czy kiedykolwiek zobaczę ją na własne oczy?

- Mam nadzieję.

- Jacenie!

Leia rozpoznała głos Jainy i usunęła się na bok w samą porę, żeby nie zostać stratowana.

Starając się utrwalić w pamięci scenę powitania, ponownie okrążyła powoli całą grupę. Brodaty Corran witał się z Mirax i swoim teściem Boosterem Terrikiem, a obok Cilghal i Tekli prowadziły rozmowę w rodzinnym języku Chadra-Fanki. Danni z kunsztownie zaplecionymi blond włosami stała w otoczeniu Talona Karrde'a, Landa, Tendry Risant Calrissian i kilkorga innych członków Sojuszu Przemysłowców, którzy dla uczczenia wyjątkowej okazji popijali z lśniącej płaskiej manierki aromatyczną koreliańską brandy. Saba i jej syn Tesar rozmawiali żywo

z niektórymi Dzikimi Rycerzami, a C-3PO gawędził z R2-D2.

- Ciekaw jestem, jakie ty miałaś przygody, Artoo - mówił Threepio. - Na pewno nie przeżywałaś niczego takiego, co dałoby się porównać ze znalezieniem się wewnątrz...

Astromechaniczny robot przerwał mu serią pisków, gwizdów i świergotów.

C-3PO się wyprostował.

- Mówisz, że doświadczyłaś czegoś takiego? - zapytał. - Na pewno przesadzasz. Cała planeta? To niemożliwe. Musisz poprosić kogoś, żeby sprawdził twoje obwody.

R2-D2 zaszczebiotał.

- Nie potrzebuję żadnej defragmentacji - odciął się urażony Threepio. - Jestem w idealnym...

Kolejny raz mały robot przerwał mu serią melodyjnych pisków i szczebiotów.

C-3PO przekrzywił głowę.

- Czy aby na pewno cię dobrze zrozumiałem? - zapytał. - Czy rzeczywiście powiedziałaś, że cieszysz się na mój widok? Artoo, ta planeta musiała w jakiś sposób wpłynąć także na ciebie!

Najbardziej zdumiewające było jednak, w jaki sposób Kenth, Kyp, Lowbacca, Alema, Octa Ramis i chyba dwanaścioro innych Jedi otoczyło kręgiem mistrza Skywalkera. Niektórzy siedzieli, inni przyklękli na jedno kolano, a wszyscy z uwagą chłonęli każde jego słowo. Luke opowiadał im o planecie Zonamie i jej ożywionej świadomości, Sekot.

Stał się prawdziwym mistrzem Jedi, pomyślała Leia.

Czując ogarniające ją wzruszenie, zaczęła się oddalać od platformy lądowniczej, na której spoczywał sekotański wahadłowiec. Sprawiała wrażenie lekko odurzonej, kiedy niespodziewanie koło niej pojawił się Han. Objął ją i poprowadził w stronę niedalekiej doliny.

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytał zaniepokojony.

Leia głęboko odetchnęła.

- Zbyt wiele się dzieje, żebym mogła szybko przyjąć to do świadomości - powiedziała.

- Wiem, wiem. - Han powiódł spojrzeniem po okolicy. - Co za miejsce!

- Czy kiedykolwiek widziałeś coś, co mogłoby się z nim równać? - zagadnęła księżniczka.

Solo przygryzł dolną wargę.

- No cóż, widywałem równie głębokie kaniony na Luuqu Dwa, podobne kryjówki w

skalnych ścianach na Kismaano i oczywiście równie wysokie drzewa na Kashyyyku... - zaczął, ale przerwał, bo zauważył, że Leia płacze. - Hej, hej, co ci się stało? Powinnaś być szczęśliwa, że tu przyleciałaś. |

Księżniczka otarła łzy wierzchem dłoni.

- Jestem szczęśliwa, Hanie - westchnęła. - Ta planeta... to bezpieczna przystań, o której marzyłam od tak wielu miesięcy. Ale jest mi także smutno, i to z wielu powodów... Pomyślałam o Anakinie, o Chewiem, o moich rodzicach, ojczystej planecie i wielu, tak wielu przyjaciółach, których już nigdy nie zobaczę...

Przytuliła się do męża i zaczęła szlochać, ale kiedy uniosła głowę, zobaczyła łzy także w jego oczach.

- Czuję, jakbyśmy się znaleźli u kresu długiej podróży, Hanie - podjęła. - Nie mogę się pogodzić z tym, że to nie koniec wojny i przemocy. Jeżeli chcemy zakończyć tę wojnę, czeka nas jeszcze ostateczny wysiłek. Trzeba sprawić, żeby nasze dzieci i dzieci naszych dzieci nie dorastały wśród zagrożeń, jakim musimy na każdym kroku stawiać czoło.

Ciągle mi się wydaje, że kiedy nasz ojciec resztkami sił ocalił Luke'a przed gniewem Imperatora, musiał dojść do podobnego wniosku. Sądząc z tego, co w pamiętniku zapisała moja babka, także musiała zdawać sobie z tego sprawę. Przypuszczam, że i mama sobie to uświadamiała... Wokół niej szalała wojna, a jej macierzysta planeta była zagrożona. Czy nie to właśnie stara się nam cały czas powiedzieć Jacen... że wojna nigdy nie jest dobrym rozwiązaniem, nawet jeżeli wydaje się ono najprostsze i najbardziej oczywiste? Han pokręcił głową.

- Nie wiem, Leio - powiedział. - Wiem jednak, że jestem gotów zginąć, aby zapewnić jemu i Jainie życie lepsze niż to, które się stało naszym udziałem. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Mimo to nie zmieniłbym w nim ani jednego dnia... dzięki tobie.

Księżniczka pokiwała głową.

- Wiem, bo czuję się tak samo, Hanie - stwierdziła. - Ale... nie potrafię znieść myśli, że mogłoby ci się przydarzyć coś złego... zwłaszcza po tym, przez co przeszedłeś na Caluuli...

- Daj spokój - przerwał jej Han. - Nie zapominaj, do kogo mówisz.

Leia uśmiechnęła się z przymusem i pociągnęła nosem.

- Jeżeli zuchwałość przedłuży życie, będziesz żył najdłużej spośród nas wszystkich, Hanie - oznajmiła.

- Leio, Hanie! - zawołał w pewnej chwili Luke. - Chcę, żebyście kogoś poznali.

Kiedy wrócili na platformę ładowniczą, mistrz Jedi przedstawił im grupę żyjących na powierzchni Zonamy Sekot wysokich, błękitnoskórych tubylców, Ferroan, i kobietę w średnim wieku, którą nazwał panią magister Jabithą.

- Sekot zgodziła się stworzyć żyjące statki dla niektórych spośród Jedi - poinformowała ich Jabitha, kiedy wszyscy zgromadzili się wokół niej. - Proces ich tworzenia potrwa kilka dni, ale obiecuję, że będzie to przeżycie niepodobne do niczego, czego kiedykolwiek doświadczyliście.

- W procesie tworzenia tych statków uczestniczyły dotychczas tylko trzy osoby obdarzone umiejętnościami Jedi - dodał Luke, patrząc na siostrę. - I tylko jedna z nich kiedykolwiek pilotowała sekotański statek. Anakin Skywalker.

Nasz ojciec, uświadomiła sobie księżniczka.

Jej zdumienie i uniesienie trwało tylko chwilę, bo zaraz powrócił smutek. Statki, pomyślała. Więc mimo wszystko trzeba wrócić do wojny. Niepotrzebnie wmawiała sobie, że jej brat wymyślił jakiś inny sposób zakończenia konfliktu zbrojnego. Dawno powinna była się pozbyć wszelkich złudzeń. Ciemna strona była silna, a same pozytywne myśli nie wystarczały, żeby położyć kres wojnie. Z trudem przychodziło jej pogodzenie się z faktem, że przyszłość nie wygląda optymistycznie.

Spojrzała na Luke'a i uśmiechnęła się lekko.

Wyraz twarzy brata sugerował, że powinni się spodziewać kolejnych niespodzianek.

- Chcę wam przedstawić jeszcze jedną osobę - odezwał się mistrz Jedi, wodząc spojrzeniem po twarzach zebranych.

Odwrócił się do Ferroan i zawołał coś do wysokiego osobnika, który podchodząc do niego, opuścił kaptur płaszcza. Oczom wszystkich ukazała się upstrzona bliznami, poznaczona tatuażami twarz ze szczątkowym nosem i ukośnie ściętym czołem...

Leia wyczuła, że stojący obok niej Han napiął mięśnie.

-A oto Harrar - dokończył mistrz Jedi. - Jest arcykapłanem Yuuzhan Vongów i także zamierza nam dopomóc w zakończeniu tej wojny.

- Nasze odkupienie jest bliskie! - wrzasnęła Zhańbiona. Stała na wierzchołku usypanego z okruchów koralu yorik kopca, który przeistoczył się w jej chwilową kazalnicę.

Oczarowani jej przemową heretycy w liczbie mniej więcej stu siedzieli u stóp pagórka, nieświadomi albo niepomni niebezpieczeństw grożących im za uczestniczenie w nielegalnym zgromadzeniu, i to w samym środku świętego kwartału Yuuzhan'tara.

- Yu'shaa kazał nam patrzeć w niebo, czy nie ukażą się na nim jakieś znaki - ciągnęła Zhańbiona. - I oto pojawił się znak dla wszystkich, którzy mają oczy! - Yuuzhanka rozłożyła szeroko chude ręce. - Popatrzcie, co się dzieje, i módlcie się, żeby Shimrra też wziął sobie do serca to przesłanie! Zhańbieni dostali nowy dom... jeszcze potężniejszy niż ten, który daje najwyższy władca! Kiedy Prorok pojawi się znów pośród nas, żeby poprowadzić nas do zbawienia, będziemy gotowi!

Siedząc w osłoniętej lektyce, którą wysłał Shimrra, żeby sprowadzić go do Cytadeli, Nom Anor pochylił odruchowo głowę, ale zaraz znów się wyprostował. Znajdował się na tyle blisko, żeby wszystko słyszeć, ale na szczęście wystarczająco daleko, aby się nie obawiać rozpoznania, gdyby w pobliżu przechodził Kunra albo jakiś inny przywódca heretyków. Zresztą heretycy mieli najwyżej kilka minut. Zaraz pojawią się wojownicy, żeby rozpędzić nielegalne zgromadzenie.

Zonama Sekot zajęła miejsce na orbicie między szóstą a siódmą planetą systemu, ale wstrząsy nie przestały nękać powierzchni Coruscant. Żyjąca planeta pozostawała widoczna, bo pierwsza wschodziła i najjaśniej świeciła na zmienionym wieczornym niebie. Jeden z coruskańskich księżyców został wyrzucony z orbity, a tęczowy most się załamał, więc mistrzowie przemian Shimrry doszli do przekonania, że niebiański intruz wrócił, aby stopniowo odciągnąć Coruscant od słońca i w taki sposób zniweczyć wszystko, co dovin basale zrobiły w celu podniesienia temperatury na powierzchni planety.

Zonama Sekot zachowywała się, jakby chciała wszystkim ogłosić: „Spójrzcie, do czego jestem zdolna, i drzyjcie ze strachu, bo przyleciałam!”

Do przestworzy Coruscant powróciły armada Nasa Choki i inne grupy szturmowe. Wojenny mistrz chciał od razu przypuścić szturm na nowego nieprzyjaciela, ale powstrzymał go przed tym sam Shimrra.

Coruscant, pomyślał ponuro Nom Anor.

Nigdy się nie przyzwyczył, żeby określać planetę mianem Yuuzhan'tar... chociaż robił to, kiedy musiał. Mistrzowie przemian Shimrry mogli sobie stworzyć maskującego powierzchnię planety liściastego ooglitha, ale tuż pod powierzchnią nadal kryły się ferro-beton, transpastal, kelsh i meleenium... fundamenty i szczątki wyniosłych niegdyś budowli i zwłoki tysięcy automatów. W obecnej chwili bardziej niż kiedykolwiek przedtem spomiędzy roślinności wystawały podobne do białych kości szczątki starych konstrukcji, a każdy wstrząs gruntu ujawniał następne.

Coruscant w niczym nie przypominała żyjącej planety, takiej jak Zonama Sekot. Wyglądała trochę jak nieprzyjacielski światostatek, otulony warstwami wytworów techniki, które - bez względu na to, co o nich sędzono - zostały chyba obdarzone własną inteligencją. W dodatku planeta była nawiedzana przez duchy istot różnych ras, które kiedyś ją ukształtowały. A w głębi, pod poziomami opanowanymi kiedyś przez heretyków, wciąż jeszcze funkcjonowały zautomatyzowane systemy. Czasami, jeżeli panowała cisza, można było usłyszeć, jak budzą się do życia, działają, pomrukują i piszczą jak elektroniczne duchy... Jeżeli nawet nie liczyć tego, co podobno Ja-cen Solo wyrządził Mózgowi Świata, Coruscant nigdy naprawdę nie należała do Yuuzhan Vongów.

Zaczynało to sobie uświadamiać coraz więcej prostych robotników. Podczas podróży z prefektury Nom Anor widział to w oczach tych, którzy mijali jego lektykę. Udręczeni prostacy odkopywali uwięzionych rówieśników z wylęgarni, poszukiwali nadaremnie kosztowności i pamiątek, składali krwawe ofiary w świątyniach, ciągnęli zabitych do jam maw luurów... Cytadela Shimrry i chroniąca Mózg Świata ogromna koralowa półkula wprawdzie przetrwały, ale wiele mniejszych konstrukcji, a także setki minshali, damuteków i grashali było w stanie rozpadu. Lasy legły połamane, a szalejące na powierzchni planety elektrostatyczne nawałnice wznieciły setki, a może nawet tysiące pożarów. Z miejsc w odległych rejonach Coruscant, w których kiedyś znajdowały się zniwelowane później góry, wypłynęły jęczory ognistej lawy.

Sgauru i Tu-Scarta wypuszczono w świętym kwartale, żeby likwidowały konstrukcje, którym groziło zawalenie. Ngdiny, wijąc się po rumowiskach, łapczywie zlizywały świeżą krew. Wszystko, co jeszcze stało, udekorowano kwiatami i mchami w nadziei, że najmniej ważni i najbardziej przerażający z panteonu bogów powstrzymają się od wyrządzenia jeszcze większych zniszczeń.

Większość Yuuzhan Vongów nie miała pojęcia, co się dzieje. Oczywiście do ich grona

nie zaliczali się heretycy, którzy byli tego świadomi, bo przepowiedział im to sam Nom Anor.

- Żyjąca planeta, powołana do życia przez Yun-Shuna na przekór innym bogom, jest znakiem, że stary porządek dobiegł końca - mówiła wymizerowana Zhańbiona. - A więc podobnie jak Yun-Shuno, rzucamy wyzwanie najwyższemu lordowi i jego dostojnikom. Domagamy się równości, wolności i zbawienia! Nie zamierzamy walczyć z dostojnikami, ale jeżeli nie nakłonią Shimrry do zakończenia bezsensownej wojny, jesteśmy gotowi wypowiedzieć im posłuszeństwo. Bogowie, którzy przeszli na naszą stronę, stoją teraz ramię w ramię z Jeedai i różnymi istotami zamieszkującymi tę galaktykę. Tę samą obiecaną galaktykę, którą Shimrra rozkazał nam zaatakować, a później oczyścić i uzdrowić. Jeżeli jednak nie pogodzimy się z prawdą, ta galaktyka okaże się maw luurem dla Yuuzhan Vongów.

Nom Anor był zawodowym hipokrytą, więc nie mógł nie darzyć niechętnym podziwem celów, które usiłują osiągnąć heretycy, umiejętnie wykorzystując obawy, jakie nieprzewidziane pojawienie się Zonamy Sekot obudziło pośród najwyższych dostojników. Oliwy do ognia dolewali potajemnie zwolennicy Quoreala, rozpowszechniając informacje, kim jest Shimrra i w jakich okolicznościach zdobył władzę.

Mimo to Nom Anor cały czas się zastanawiał, co zrobią heretycy, jeżeli dostojnicy zgodzą się zawrzeć z nimi przymierze. Może naprawdę uważają, że Shimrra da się nakłonić do zawarcia rozejmu z Galaktycznym Sojuszem? Może się spodziewają, że Sojusz pozwoli Yuuzhan Vongom pozostać na Coruscant, skoro przynajmniej z pozorów mogło się wydawać, że przywrócenie poprzedniego stanu powierzchni jest niemożliwe? Heretycy nie byli jednak głupcami. Musieli sobie uświadamiać, że kasta wojowników nigdy nie przystanie na ich żądania. Siły zbrojne Nasa Choki będą toczyły walkę do ostatniego okrętu i wojownika.

A może heretycy właśnie na to liczyli, choćby tylko po to, żeby zwiększyć szanse przeżycia członków innych kast Yuuzhan Vongów? Pytanie tylko, co by oznaczał dla nich taki koniec wojny. Bez względu na to, czy z wojennej pożogi ocaleliby dostojnicy, czy Zhańbieni, i tak wszyscy Yuuzhanie zostaliby upchnięci na pokładach pozostałych przy życiu światostatków i odesłani z powrotem do pustki, z której się wyłonili. Takie rozwiązanie oznaczałoby dla heretyków śmierć w nicości międzygalaktycznych przestworzy zamiast życia na powierzchni planety, którą uważali za domenę swojego nieistniejącego Yun-Shuna.

To wszystko było żałosne.

Heretycy mogli jedynie mieć nadzieję, że Shimrra przestanie powstrzymywać Nasa

Chokę, dzięki czemu Sojusz i Zonama Sekot zostaną ostatecznie pokonani. Musieliby też pogodzić się w końcu z tym, że pozostaną Zhańbionymi, ale przynajmniej zachowają życie.

Nom Anor był pewien, że nie istnieje inne rozwiązanie.

Należało robić, co się da, żeby przeżyć.

Nagle od szczątków zwalonych ścian odbiło się echo biegnących stóp i niespełna minutę później w polu widzenia pojawiło się kilkudziesięciu wojowników. Bez słowa zaatakowali zebranych heretyków, obrzucając ich ogłuszającymi chrząszczami i okładając amphistaffami. Tylko niewielu Zhańbionych miało dość szczęścia, żeby się w porę ukryć w szczelinach, z których się wyczołgali. Nom Anor zauważył, że na wybrukowanym placu pozostały plamy czarnej krwi. Uderzona przynajmniej czterema amphistaffami mówczyni została bezceremonialnie ściągnięta z zaimprovizowanego podium i rzucona u stóp kopca koralowych szczątków, gdzie w agonalnych drgawkach wyzionęła ducha.

Ostatnio wszyscy starają się zostać męczennikami, pomyślał prefekt. Gestem nakazał nosicielom lektyki, żeby ruszali w dalszą drogę. Do prefektury dotarły pogłoski, jakoby kilka grup heretyków ośmieliło się zawrzeć przymierze z bojownikami ruchu oporu. Do obowiązków członków kasty intendentów należało tłumienie zamieszek i pacyfikowanie pospólstwa, ale skoro heretycy mieli czelność organizować zgromadzenia w każdym możliwym miejscu publicznym, zadanie intendentów było prawie niemożliwe do wykonania.

Podobnie jak osobiste zadanie Noma Anora.

Niewątpliwie Kunra oczekiwał, że Prorok powróci, stanie na czele heretyków i poprowadzi ich do powstania. Tymczasem Drathul liczył na to, że Nom Anor przyłączy się do zwolenników Quoreala i pomoże im zdemaskować Shimrrę. Arcyprefekt zasugerował, że konfederaci są gotowi osadzić na tronie nowego najwyższego lorda... zakładając naturalnie, że Shimrra nie wymorduje wcześniej garstki pozostałych przy życiu kandydatów. Nom Anor pomyślał, że właśnie tak by postąpił na jego miejscu. Arcykapłani, pozbawieni godnego następcy, który mógłby od razu cieszyć się łaskami bogów, nie spieszyliby się z obalaniem Shimrry, nawet gdyby na światło dzienne wyszły jego najgorsze kłamstwa.

Noma Anora obchodziło jednak tylko jedno: dlaczego właściwie został wezwany do Cytadeli.

Kiedy nosiciele lektyki pojawili się w jego rezydencji, był pewien, że Shimrra wydał na niego wyrok śmierci za to, że nie powstrzymał Zonamy Sekot przed odlotem z Nieznanych

Rejonów galaktyki. W pierwszej chwili wahał się, czy nie ukryć się głęboko pod powierzchnią gruntu i ponownie nie przywdziać połatanego stroju Proroka, ale im dłużej myślał o tej sprawie, tym bardziej się upewniał, że nie musi się obawiać o życie. Shimrra ani chwilę nie wątpił, że wcześniej czy później żyjąca planeta powróci, więc w jej niespodziewanym pojawieniu się nie było niczego dziwnego oprócz wyboru niewłaściwej chwili.

Najważniejsze jednak, że chociaż najwyższy lord będzie niezadowolony, nie może pozwolić sobie na ujawnienie, iż wiedział o istnieniu Zonamy Sekot, bo będzie się bał, że najwyżsi dostojnicy wypowiedzą mu posłuszeństwo. Najlepiej byłoby, gdyby twierdził, że nie ma pojęcia o pierwszym kontakcie z żyjącą planetą, do jakiego doszło przed pięćdziesięciu laty. A gdyby zarzucono mu kłamstwo, powinien oświadczyć, że w błąd wprowadzili go kapłani, których potem kazał stracić. Za żadne skarby nie mógł jednak się przyznać do rozmowy z komandorem Ekh'mem Valem ani do tego, że skazał go na śmierć, żeby prawda o żyjącej planecie nigdy nie wyszła na jaw.

Rozwiązanie byłoby proste, gdyby prawdę o losie Vala znał tylko Nom Anor. O wyprawie skazanego na śmierć komandora do Nieznanych Rejonów galaktyki wiedzieli jednak także arcyprefekt Drathul i kilkunastu innych dostojników. A gdyby Nom Anor się mylił i rzeczywiście czekała go śmierć... no cóż, zawsze istniały sposoby wymknięcia się z Cytadeli.

- Rozkazałem nosicielom lektyki pośpiech, o Straszliwy Lordzie, żebym mógł jak najszybciej pojawić się na twoje usługi - odezwał się prefekt, leżąc plackiem na twardej posadzce.

Kiedy najwyższy lord spojrzał na niego z tronu w prywatnej komnacie w koronie Cytadeli, Nom Anor poczuł na sobie siłę jego udoskonalonych oczu.

- Przekonamy się, jak szybki potrafisz być, prefekcie, kiedy powiesz mi, dlaczego po ciebie posłałem - zażądał Shimrra.

- Bo znów cię zawiodłem, lordzie - odparł pospiesznie Nom Anor. - W przypadku Ebaqą Dziewięć padłem ofiarą oszustwa, a na powierzchni Zonamy Sekot widocznie zrobiłem mniej, niż powinienem. Żyjąca planeta pojawiła się nad naszymi głowami i stworzyła zagrożenie dla samego Yuuzhan'tara. Zasługuję na śmierć, na nic innego.

- Możliwe - przyznał obojętnie Shimrra. - Ale nie z powodu Zonamy Sekot. W tym przypadku to bogowie mnie zawiedli.

Nom Anor nie odrywał głowy od posadzki, żeby nikt nie dostrzegł jego

zdezorientowanej miny. Kątem oka zauważył jednak Onimiego, który uklęknął obok, jakby miał ochotę obserwować grę uczuć na twarzy prefekta.

- Bogowie, lordzie? - zapytał Nom Anor.

Shimrra parsknął krótkim śmiechem.

- Jesteś niezrównany, prefekcie - oznajmił. - Nawet w tej najczarniejszej godzinie nie opuszcza cię sceptycyzm. Przyjmujesz za prawdę tylko to, co ukazują ci oczy. - Urwał i zastanowił się chwilę. - Wcale nie jesteś tchórzem, o co niektórzy cię oskarżają. Kto wie, może na dnie twojej duszy kryje się nawet odrobina mądrości... chociaż chyba nie potrafisz dobrze zadbać o swoje interesy. Wstań i spójrz na mnie!

Kiedy Nom Anor wstawał, ukradkiem rozejrzał się po komnacie, ale nie zobaczył żadnego kapłana, asystenta, uśmierciciela czy kurtyzany.

W pomieszczeniu nie było nikogo oprócz niego, Onimiego i Shimrry.

- Na pewno pamiętasz, jak ci powiedziałem, że w rzeczywistości tocymy walkę z bogami - zaczął najwyższy władca.

- Pamiętam, o Straszliwy - przyznał prefekt.

- Z pewnością zlekceważyłeś wówczas moje słowa równie łatwo, jakby padły z ust obłąkanej osoby.

- Nigdy... - wymamrotał Nom Anor.

Shimrra przerwał mu władcym machnięciem ręki.

- Proszę cię teraz, żebyś rozważył wszystko, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich klekietów - powiedział. - Twoje wysiłki wielokrotnie krzyżowali Jeedai, więc zadaj sobie pytanie, czy nie wyczuwasz w tym ręki wielkiego mistrza... jakiegoś boga, jeżeli wolisz.

Nom Anor zrozumiał, że pytanie miało charakter retoryczny, i miał dość zdrowego rozsądku, aby powstrzymać się od odpowiedzi.

- Obaj wiemy dokładnie, czym właściwie jest Zonama Sekot - ciągnął Shimrra. - Nie potrafimy temu zaprzeczyć, podobnie jak nie możemy nie dostrzegać, że stanowi zagrożenie dla wszystkiego, co usiłowałem osiągnąć w tej galaktyce. Powiedziałeś mi, że na powierzchni tej planety dopuściłeś się aktu sabotażu, a ja nie wątpię, że starałeś się pilnie osiągnąć swój cel. A mimo to żyjąca planeta jeszcze raz nas przechytrzyła.

Nom Anor postanowił uzbroić się w cierpliwość.

- Bogowie celowo ją ocalili - podjął najwyższy władca. - Uchronili ją przed skutkami

twoich działań i przekazali ją w ręce Jeedai. - Gniewnie potrząsnął Berłem Władzy. - Postępując tak, wypowiedzieli nam wojnę! Nie wiedzą, że zadarli z tymi, którzy ich zdetronizują i odtąd sami będą władać w ich zastępstwie.

Na szczęście Shimrra nie spodziewał się odpowiedzi, bo Nomowi Anorowi odebrało mowę.

- Wynika z tego, że jeżeli raz na zawsze zniszczymy Zonamę Sekot, nie tylko pokonamy Jeedai, ale także zwyciężymy samych bogów! - Shimrra ponownie potrząsnął przerażającym amphistaffem. - Jeżeli chcemy to osiągnąć, musimy sami zaatakować, a jeżeli ja nie potrafię pozbawić bogów panowania nad nami, przynajmniej muszę spowodować, żeby obrócili się jedni przeciwko drugim.

- W jaki sposób, lordzie? - zapytał Nom Anor, do tego stopnia zamroczony, że z trudem wypowiadał słowa.

Shimrra spiorunował go spojrzeniem.

- Zostaniesz moim ambasadorem, a ja obdarzę cię szczególną władzą - zdecydował. - Arcyprefekt Drathul dowie się o tym z moich ust. Do twoich obowiązków jako mojego emisariusza będzie należało poinformowanie kapłanów we wszystkich świątyniach, że mają odtąd przestać zanosić modły do Yun-Yuuzhana i Yun-Yammki, a zamiast tego oddawać cześć Yun-Harli.

- Przecież zdaniem kapłanów Zwodzicielka odegrała dużą rolę w naszych niepowodzeniach - przypomniał się Nom Anor. - W przestworzach Konsorcjum Hapes i Borleias... Jeedai Jaina Solo udawała nawet, że jest jej wcieleniem, a mimo to przeżyła samego Tsavonga Laha!

- To jeszcze lepiej, bo to oznacza, że już w tej chwili głowa Yun-Harli puchnie z pychy - odparł spokojnie Shimrra. - Bogowie jej zazdroszczą, a my damy im powód, żeby wpadli w gniew. Zrobimy im dokładnie to, co oni nam podczas podróży przez pustkę między-galaktycznych przestworzy... skłócimy jednych z drugimi. A później, kiedy rozpoczną walkę między sobą, skorzystamy z tego, że odwrócili od nas uwagę, zaatakujemy Zonamę Sekot i za jednym zamachem skończymy ze wszystkimi wrogami.

Usiłując nie okazywać niepewności, Nom Anor pokiwał głową. Onimi spoglądał na Shimrrę z czymś w rodzaju niedowierzania... a może lęku. W pewnej chwili zerknął na Noma Anora i chyba przekazał mu swój niepokój. Gdyby ktoś przedtem żywił choć cień wątpliwości,

musiałby sobie wreszcie uświadomić, że Shimrra stracił zmysły... po prostu oszalał. Bieg wydarzeń doprowadził do tego, że za wiernego chciał uchodzić ktoś, kto od dawna chlubił się tym, że jest panem własnego przeznaczenia.

Nom Anor nigdy nie czuł się równie nieszczęśliwy. W jednej chwili zrozumiał, że wszystko stracone.

Już wcześniej Kunra i Drathul nie pozostawili mu swobody ruchów, a w obecnej chwili przyłączył się do nich także Shimrra. Prefekt miał się zatroszczyć o wykonanie absurdalnego rozkazu najwyższego władcy, chociaż nie widział w nim żadnego sensu. Przestał wierzyć, że Shimrra wymyśli coś, co przyczyni się do ostatecznej klęski Galaktycznego Sojuszu.

Jego jedynym wyjściem był powrót do takiego sposobu odczuwania, z jakim skończył na powierzchni Zonamy Sekot. Od tej pory musiał myśleć wyłącznie o sobie. Przetrwanie zależało tylko od niego. Zatoczył pełen krąg i wrócił do miejsca, w którym znajdował się po porażce w przestworzach Ebaqą Dziewięć. Znow miał przeciwko sobie wszystkich: Shimrrę, Drathula, Kunrę, rycerzy Jedi, Zonamę Sekot... cały wszechświat.

Musiał toczyć walkę ze wszystkimi, a zarazem z nikim.

Zależało mu tylko na tym, żeby po prostu zniknąć.

R O Z D Z I A Ł 31

Yuuzhańska armada wróciła i zajęła pozycje w okolicy Coruscant, więc „Błądny Rycerz” dotarł bez przeszkód do przestworzy Contruuma. Zaledwie jednak wyskoczył z nadprzestrzeni na granicy liczącego wiele zamieszkałych planet gwiazdnego systemu, Booster Terrik zszedł do głównego hangaru, żeby się zobaczyć z Lukiem i Marą, którzy przygotowywali do startu „Cień Jade”.

- Dowództwo Sojuszu rozkazało nam czekać w sąsiedztwie Contruuma Sześć - oznajmił gościnnie Korelianin, kiedy stanął na progu wjazdu grzejącego silniki gwiazdnego jachtu. - Najwidoczniej zaproszenie, jakie otrzymaliście, nie dotyczy waszych przyjaciół.

Teść Corrana Horna Terrik uśmiechnął się szeroko, a w jego kaprawym oku pojawił się piracki błysk.

- Zaraz to załatwimy... - zaczął Luke.

Booster przerwał mu lekceważącym machnięciem ręki.

- Nie zwracaj sobie głowy - powiedział. - Kiedy nie pozwolono nam wylądować na powierzchni Zonamy Sekot, poczułem się jak nieproszony gość. - Roześmiał się beztrąsko na dowód, że nie mówi poważnie. - Dobrze chociaż, że Lando przemycił na powierzchnię planety swoją brandy.

Ogromna ładownia była zastawiona prawie po sklepienie różnej wielkości i kształtu kontenerami pełnymi towarów. Na lądowiskach spoczywały „Ślicznotka” Landa i Tendry, „Dziki Karrde” Talona i dziesiątki najróżniejszych gwiazdnych maszyn, począwszy od zmodernizowanych łowców głów, a skończywszy na brzydalach. Właściciele tych ostatnich przyłączyli się do Sojuszu Przemysłowców po upadku Coruscant. Crev Bombassa, Talon i Lando stali na skraju platformy ładowniczej „Cienia Jade”.

Mara podeszła do otwartego włazu, a Booster wyciągnął mięsistą dłoń do jej męża.

- Uważaj na siebie, Luke - powiedział. - I nie zapomnij powiedzieć o nas kilku ciepłych słów Antillesowi. Przylecieliśmy z tak daleka, że nie zamierzam teraz przegapić niczego ważnego.

-Zrobimy, co będziemy mogli - obiecał mistrz Jedi. - Ale nie widzieliśmy się z nim ponad rok, nie spodziewam się więc szczególnie entuzjastycznego powitania.

Odszukał spojrzeniem Landa i pozostałych, po czym pożegnał się z nimi kiwnięciem głowy.

Mistrzyni Jedi odwróciła się i znikła, a Luke poszedł w jej ślady. Kenth, Cilghal i Madurrina siedzieli przypięci na fotelach w dziobowej kabinie, a R2-D2 czekał w sterowni. Mara usiadła na fotelu pilota, zamknęła właz, bez słowa uniosła „Cień Jade” nad lądowisko i przeleciała przez niewidoczną kurtynę magnetycznego pola, zapobiegającego ucieczce atmosfery z ładowni niszczyciela.

Kilka szturmowych grup tworzących flotę Galaktycznego Sojuszu zgromadziło się w pobliżu Contruum Sześć. Niewielką zamrażaną planetę z dwiema dużymi aglomeracjami dzielił zaledwie mikroskop od Perlemańskiego Szlaku Handlowego, a dwa takie skoki od Hydiańskiej Drogi. Mara od dawna nie widziała tylu okrętów zgromadzonych w jednym punkcie przestworzy. Na ich widok poczuła się dziwnie, zwłaszcza po wielu miesiącach spędzonych na powierzchni Zonamy Sekot. W końcu niewielki punkcik światła jej „Cienia Jade” zaczął się

zbliżać do białego kadłuba kolosa, jakim był „Ralroost”.

- Yuuzhan Vongowie dokonali rzeczy niemożliwej - odezwał się w pewnej chwili mistrz Skywalker. - Zjednoczyli galaktykę.

- Nic tak jak wojna nie konsoliduje przeciwnika - przyznała Mara.

Kiedy oboje Skywalkerowie i inni Jedi wkroczyli do przestronnej sali odpraw „Ralroosta”, wszyscy obecni wstali na ich powitanie.

- Wspaniale, że jesteście cali i zdrowi - odezwał się na ich widok admirał Traest Kre’fey, który zajmował miejsce u szczytu konferencyjnego stołu.

Mara spojrzała kątem oka na męża.

- Dobry znak - szepnęła, kiedy Kre’fey i pozostali zajmowali miejsca przy stole.

Mistrz Jedi nieznacznie kiwnął głową.

- Miejmy nadzieję, że od tej pory nie zaczną się schody - odpowiedział cicho.

Konferencyjny stół miał kształt kwadratu, przy którego bokach siedziało ponad dwudziestu dowódców i strategów Galaktycznego Sojuszu. Do ich grona zaliczali się między innymi admirał Sień Sow, komodor Brand, generałowie Garm Bel Iblis, Airen Cracken, Wedge Antilles i Keyan Farlander, wielki admirał Pellaeon i królowa matka Tenel Ka. Przetykany iskierkami zakłóceń hologram, przesyłany z bliżej nieokreślonego miejsca, ukazywał zmniejszone do połowy naturalnej wielkości wizerunki Cala Omasa i kilkorga jego głównych doradców, a wśród nich Niuka Niuva, porośniętą złocistą sierścią Caamasjanek Releqy A’Klę, byłego oskarżyciela sądowego Ta’laama Rantha i mistrzynię Jedi Tresinę Lobi.

Luke, Mara i Kenth zajęli miejsca wzdłuż zarezerwowanego dla nich boku kwadratowego stołu, a Cilghal i wysoka Madurrina stanęły za ich plecami. Luke chciał, żeby Kyp dotrzymywał im towarzystwa, ale mistrz Jedi, Lowbacca, Corran i wielu innych rycerzy pozostało na powierzchni Zonamy Sekot, żeby rozpocząć proces jednoczenia się z embriionami sekotańskich statków, nasionami-partnerami.

- Witajcie w domu, mistrzu Skywalker i Maro - odezwał się Cal Omas z niewyraźnego hologramu. - Przepraszam, że nie mogę uczestniczyć osobiście w konferencji.

Zechciejcie także wybaczyć nieobecnemu Triebakkowi, który w tej chwili znajduje się na Kashyyyku.

- Doskonale to rozumiemy - odparł Luke.

Kre'fey chrząknął znacząco.

- Czas jest cenny, więc od razu przejdę do rzeczy - oświadczył. -Czynimy przygotowania, żeby nasze połączone floty przeleciały do przestworzy Corulaga. Ma to być pierwszy etap planowanego szturmu na Coruscant.

- Jak szybko zamierzacie wystartować? - zainteresował się mistrz Jedi.

- W ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch standardowych godzin - odparł admirał.

Luke powiódł spojrzeniem po obecnych przy konferencyjnym stole, niby od niechcenia zatrzymując je na ułamek sekundy dłużej na twarzach Wedge'a, Tenel Ka i Keyana Farlandera.

- Wszyscy jesteście co do tego zgodni? - zapytał.

Kre'fey pokiwał głową, jakby wypowiadał się w imieniu pozostałych.

- To nie znaczy jednak, że nie odwlecemy startu albo nawet nie odwołamy całej operacji, jeżeli poda nam pan właściwy powód - powiedział. - Nie zaprosiliśmy was tu tylko przez grzeczność. Od samego początku Jedi odgrywają w tej wojnie bardzo ważną rolę, a my przywykliśmy polegać na waszych szczególnych umiejętnościach, informacjach i radach. Mam nadzieję, że miesiące waszej... podróży pozwoliły wam wyrobić sobie opinię o tym, jak zakończyć tę wojnę.

- To prawda - odparł Luke.

Sow spojrzał na niego.

- Właściwie gdzie się pan podziewał, mistrzu Skywalker? - zapytał.

- W Nieznanych Rejonach - odparł Luke. - Prowadziliśmy tam poszukiwania Zonamy Sekot.

- Planety, którą podobno sprowadził pan do przestworzy systemu Coruscant - odezwał się Brand.

Luke odwrócił się w stronę mężczyzny w stopniu komodora.

- Nie miałem ze sprowadzeniem Zonamy Sekot więcej wspólnego niż z zaprojektowaniem planetarnych jednostek napędu nadświatłowego - powiedział. - Planeta przyleciała z własnej woli.

- Planeta? - zapytał Brand.

- Zonama Sekot - powtórzył mistrz Jedi.

Kre'fey i Brand wymienili zdezorientowane spojrzenia.

- Jesteśmy gotowi wysłuchać pańskiej opinii o naszych planach - odezwał się w końcu Bothanin.

Luke kiwnął głową.

- Kiedy się dowiedziałem, że kazaliście połączonym flotom opuścić przestworza Kalamara, doszedłem do wniosku, że celem ma być Coruscant - zaczął.

- Czyżbyśmy popełnili błąd, wydając okrętom rozkaz odlotu z tamtejszych przestworzy?

- Ależ skąd - stwierdził Luke z emfazą. - Nie dysponujemy możliwością korzystania z HoloNetu, więc im bliżej Coruscant się znajdziemy, tym lepiej.

- Jeszcze bliżej byłoby z przestworzy Corulaga - zauważył zaczepnie Sow,

Luke zacisnął wargi.

- Corulag znajduje się zbyt blisko - powiedział. - Gdyby nasze okręty wyskoczyły w sąsiedztwie tej planety, na pewno sprowokowalibyśmy Yuuzhan Vongów do jakiejś odpowiedzi.

Do rozmowy przyłączył się Sullustanin Niuk Niuv.

- Yuuzhan Vongowie są zdecydowani zakończyć to, co rozpoczęli w przestworzach Kalamara - powiedział. - Bez względu na to, czy nasze okręty pozostaną na pozycjach, czy też przelecą w inne miejsce, możemy być pewni odpowiedzi nieprzyjaciół.

Niuk od dawna słynął z tego, że sprzeciwiał się interwencji Jedi w sprawy natury wojskowej. Niektórzy interpretowali jego rozstanie po bitwie o Borleias z niedoszłym przywódcą Sojuszu, Pwoem, jako pomyślną wróżbę, ale obecność Sullustanina w nowej Radzie Jedi stanowiła w gruncie rzeczy ukłon w stronę tych, którzy nie darzyli szczególną sympatią rycerzy Jedi.

- Niekoniecznie - odparł Skywalker. - Pojawienie się Zonamy Sekot spowodowało zamęt na powierzchni Coruscant. Tak zwani heretycy wnieśli powstanie, a dostojnicy i wojskowi nie mogą dojść do zgody, jakie przedsięwziąć kroki. Skok planety przez nadprzestrzeń miał zresztą doprowadzić do takiej sytuacji. Zonama Sekot wybrała najwłaściwszą chwilę na odciążenie yuuzhańskiej armady z przestworzy Kalamara, co tylko przekonuje mnie, że nasze starania zakończyły się powodzeniem. Chcemy kontynuować to, co zaczęliśmy, więc zamierzam was przekonać, żebyście nie przeszkadzali Yuuzhan Vongom zmierzyć się z chaosem, jaki zapanował na powierzchni Coruscant. Przypuszczam, że jeśli się na to zdecydujemy, Shimrra zostanie obalony rękami samych Yuuzhan Vongów, a wówczas dojdziemy do jakiegoś porozumienia z ich wojennym mistrzem.

Oświadczenie Luke'a wywołało lawinę krytycznych uwag i napomnień. Korzystając z tego, że wszyscy mówili równocześnie, Mara pochyliła się w stronę męża.

- Masz swoje schody - powiedziała.

Luke bardziej by może wierzył w możliwości heretyków, gdyby ich tak zwanym Prorokiem nie był Nom Anor. Biorąc jednak pod uwagę galwanizujący wpływ, jaki wywarło na nich pojawienie się Zonamy Sekot, istniało duże prawdopodobieństwo, że ich ruch zacznie żyć własnym życiem.

- Z otrzymanych meldunków rzeczywiście wynika, że na powierzchni Coruscant doszło do zamieszek - przyznał Kre'fey, kiedy zapanował jako taki spokój. - Uważam, że właśnie teraz jest najdogodniejszy moment do ataku. Może już nigdy Yuuzhan Vongowie nie będą tak osłabieni jak w tej chwili. Pewnie rzeczywiście istnieje szansa, że Shimrra zostanie obalony przez heretyków, ale to nie on spędza nam sen z powiek. Najbardziej martwimy się obecnością yuuzhańskiej armady. Osłabiliśmy ją wprowadzając w przestworzach Kalamara, ale jeżeli nie pójdziemy za ciosem, możemy stracić tę nikłą przewagę, jaką udało się nam uzyskać.

- Armada nie jest ani odrobinę słabsza, niż była, kiedy wyskoczyła w sąsiedztwie Kalamara - sprzeciwił się Kenth. - Poniosła wprawdzie niewielkie straty, ale znów urosła w siłę dzięki grupom szturmowym ściągniętym z odległych sektorów galaktyki. Najważniejsze jednak, że nie zmierzaliśmy się z planetarnymi osłonami Coruscant, wytwarzanymi przez potężne dovin basale grawitacyjnymi anomaliami... nie mówiąc o ich pokonaniu.

- Nie przejmujemy się orbitalnymi dovin basalami - odezwał się Sow lekceważącym tonem.

- Mimo to zaatakowanie Coruscant nie jest właściwym rozwiązaniem - stwierdził Luke. - Shimrra ma nadal duży wpływ na Mózg Świata, który może sprawić, że powierzchnia planety przestanie nadawać się do zamieszkania. Jeżeli nie chcemy do tego doprowadzić, musimy na nowo opracować naszą strategię walki.

- Problem Mózgu Świata omawialiśmy podczas wcześniejszych odpraw - przypomniał zwięźle Sow. - Z całym szacunkiem, mistrzu Skywalker, ale ta informacja nigdy nie została potwierdzona.

- Możemy także liczyć na przewagę, jaką zapewni nam prowadzenie walki w macierzystym systemie - zauważył Brand. - Nasi piloci będą mogli zataczać kółka wokół Vongów, polować na nich, ścigać ich, atakować z Weerdena, Thokosa, Saaliche... Dzięki

przekazanym przez Szczątki informacjom znamy wiodące do Głębokiego Jądra szlaki, których Yuuzhan Vongowie nigdy nie zbadali. Znamy punkty wlotowe z Cesarzowej Tety i punkty wylotowe, rozmieszczone wzdłuż całego Obwodu Aga. Nie musimy się obawiać, że wyrzadzimy krzywdę ludności planety... a przynajmniej nie wszystkim osobom zamieszkującym jej powierzchnię.

Kre'fey zmierzył spojrzeniem mistrza Jedi.

- Musi pan zrozumieć, że gdyby chodziło o jakąkolwiek inną planetę niż Coruscant... - zaczął. - Odzyskanie jej ma kluczowe znaczenie dla istnienia i umacniania Galaktycznego Sojuszu. Kto sprawuje władzę nad Coruscant, ten rządzi Jądrem, a bez władzy nad Jądrem Sojusz właściwie nic nie znaczy.

Luke oparł łokcie na blacie stołu i splótł palce.

- Rozumuje pan jak dawni przywódcy Nowej Republiki - powiedział.

- Sam był pan kiedyś obywatelem Nowej Republiki, mistrzu Skywalker - przypomniał hologram Niuka Niuva.

Luke pokręcił głową.

- Ta wojna rządzi się innymi prawami - zaczął. - Nie da się jej wygrać w taki sposób, w jaki zamierzacie. Czy zgodzilibyście się wymordować wszystkich Yuuzhan Vongów, żeby uwolnić spod ich okupacji Coruscant i inne zajęte przez nich planety?

- Może - odezwał się Brand.

- Czy właśnie dlatego zdecydowaliście się na użycie Alphy Red?

Pytanie zawisło w powietrzu, aż wreszcie Sień Sow zdecydował się zareagować.

- Nie rozmawiamy o Alphy Red podczas tej odprawy - powiedział.

- A więc prace nad nią nie zostały przerwane? - zapytała wyraźnie zaszępiiona Cilghal.

- Mogę tylko powtórzyć, że ta sprawa nie jest przedmiotem dzisiejszej dyskusji - odparł Sullustanin.

Kre'fey zdecydował się zmienić temat rozmowy.

- Nadarza się okazja pokonania Vongów i bylibyśmy głupcami, gdybyśmy z niej nie skorzystali - zaczął. - Tym bardziej że czas na jej wykorzystanie może w każdej chwili dobiec końca. Jak długo Jedi chcieliby, żebyśmy zwlekali z podjęciem tej decyzji?

Luke zmarszczył brwi.

- To nie jest kwestia dni ani nawet tygodni - stwierdził. - Yuuzhan Vongowie

wielokrotnie dowiedli, że się nie poddają. To nie leży w ich naturze, tak samo jak w naszej eksterminowanie przeciwników. - Powiódł spojrzeniem po twarzach uczestników odprawy. - Chyba że podczas naszej nieobecności wszyscy zmieniliście się diametralnie.

- Zgodziłby się pan oddać im Coruscant? - zagadnął Airen Cracken.

- Może, gdybym uważał, że tylko w taki sposób zakończę tę wojnę - odparł Luke.

- To zdradzieckie oświadczenie... - zaczął Brand, ale zaraz dodał trochę łagodniejszym tonem: - W przeszłości nieraz mieliśmy różne zdania. Czy mamy pewność, że Jedi nie przeszkodzą nam w realizacji naszych planów?

- Nie będziemy wam w tym przeszkadzać - zapewnił mistrz Skywalker.

Kre'fey rzucił Brandowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Pytam z czystej ciekawości i dla podtrzymania dyskusji - powiedział, spoglądając na Luke'a. - Co według Jedi powinniśmy zrobić, czekając biernie na rozwój sytuacji na powierzchni Coruscant?

- Radziłbym rozdzielić i inaczej rozmieścić połączone floty - odezwał się Kenth Hamner.

- Odesłać grupy szturmowe do przestworzy Bothawui, Bilbringi i innych ważnych planet. Oswobodzić te systemy, zanim Yuuzhan Vongowie zdążą się uporać z heretykami, a potem, kiedy się staną naprawdę słabi, przypuścić szturm na Coruscant z tyłu systemów, z ilu będzie to możliwe.

Sow stęknął.

- Może Jedi sobie nie uświadamiają, że kilka grup szturmowych Yuuzhan Vongów nie usłuchało rozkazu Nasa Choki i nie powróciło do Jądra galaktyki - powiedział. - Wszystko wskazuje na to, że bez względu na dalszy rozwój sytuacji na Coruscant ich dowódcy postanowili bronić okupowanych systemów.

- Niesubordynacja tych dowódców nie ma nic wspólnego z chęcią obrony tego, co im powierzono - wyjaśnił Luke. - Obawiają się, że otrzymają rozkaz zaatakowania Zonamy Sekot.

Kre'fey pokręcił głową, jakby nie rozumiał, o co tu chodzi.

- Dlaczego mieliby się tego obawiać? - zapytał. - Co właściwie oznacza dla nich ta planeta?

Luke wstał i zaczekał, aż skierują się na niego oczy uczestników odprawy.

- Wszystko, czym mogliby się stać... - zaczął i przerwał, jakby chciał dać zebrany czas do namysłu. - Pięćdziesiąt lat temu, kiedy Yuuzhan Vongowie pierwszy raz wysłali zwiad w celu

zbadania naszej galaktyki, usiłowali podbić Zonamę Sekot, ale planeta walczyła dzielnie i odparła ich atak. Jest żywym, inteligentnym tworem, więc zajmuje w ich religii poczesne miejsce, a jej nagłe pojawienie się w przestworzach Coruscant zostało powszechnie uznane za zwiastun klęski... dany przez bogów znak, że zaatakowanie naszej galaktyki było straszliwym błędem. Zhańbieni za to uważają, że planeta zaważy na ich dalszych losach, że ich wyzwoli... i wzniesie bunt, jeżeli ich władca wyda rozkaz do ataku. Prawdziwe niebezpieczeństwo dla rządów Shimrry stanowią jednak jego dostojnicy, bo niektórzy uważają Zonamę Sekot za znak interwencji bogów.

Kre'fey wpatrywał się w mistrza Jedi, jakby zobaczył ducha.

- Skąd pan to wszystko wie? - zapytał w końcu.

Luke odwrócił się do Bothanina.

- Z ust yuuzhańskiego arcykapłana, który przebywa w tej chwili na powierzchni Zonamy Sekot - odparł spokojnie.

Brand zmrużył oczy, jakby węszył podstęp.

- Skąd pan może mieć pewność, że ten rzekomy arcykapłan nie jest szpiegiem Vongów?
- zapytał, posyłając Sowowi błagalne spojrzenie. - Jeżeli wiadomość o naszej operacji dostanie się do uszu tego kapłana...

- Zonama Sekot zna Yuuzhan Vongów - przerwał mistrz Jedi. -Dobrze wie, jak sobie z nimi radzić. Pod tym względem przypomina pradawnego Yuuzhan'tara o wiele bardziej, niż kiedykolwiek w przyszłości mogłaby go przypominać Coruscant.

Kre'fey nawet nie starał się ukryć, że znalazł się w kłopotliwym położeniu.

- Czy mówiąc „ona”, cały czas ma pan na myśli planetę? - zapytał.

-Tak.

Sow chrząknął, jakby zaczynał tracić cierpliwość.

- Jeżeli Zonama Sekot ma jakiś tajny plan zakończenia tej wojny, czy to jako pośredniczka, czy to bojowa stacja, lepiej niech szybko wcieli go w życie - powiedział. - W obecnej sytuacji nie widzę powodu dokonywania zmian w naszych planach szturmu na Coruscant.

- Na tym etapie nie ma miejsca na neutralność - dodał Brand. -Trzeba się opowiedzieć za Sojuszem albo przeciwko Sojuszowi.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał dopiero Gilad Pellaeon.

- Niechętnie o tym wspominam, ale z imperialnych archiwów wynika, że wielki moff Tarkin także kiedyś interesował się Zonamą Sekot - zaczął. - Zaintrygowały go plotki, że planeta potrafi produkować żywe statki.

Sow i pozostali spojrzeli na mistrza Skywalkera.

- Czy właśnie na tym polega tajemnica planety? - zagadnął Sullustanin. - Czy Zonama Sekot planuje prowadzenie na własną rękę wojny przeciwko Yuuzhan Vongom?

- Zonama Sekot nie będzie produkowała żadnych jednostek wojennych - odparł zwięźle Luke.

Kre'fey z ubolewaniem pokręcił głową.

- Mistrzu Skywalker, jeżeli władze Zonamy Sekot nie zgodzą się przynajmniej na wykorzystanie jej powierzchni w charakterze odskoczni do naszego ataku na Coruscant, obecność planety w tamtejszych przestworzach na nic nam się nie przyda - zawyrokował.

- Władze - oznajmił Luke - na pewno się na to nie zgodzą.

- Więc może planeta pozwoli się wykorzystać do odwrócenia uwagi Yuuzhan Vongów?
- zapytał Brand. - Jeżeli, jak pan mówi, już w tej chwili doprowadziła do podziałów w ich społeczeństwie, może zechciałyby wzmocnić wrażenie, że jest dla nich rzeczywistym zagrożeniem? Gdyby udało się nam nakłonić nieprzyjaciół do zaatakowania Zonamy Sekot, moglibyśmy mieć łatwiejsze zadanie z oswobodzeniem Coruscant.

Luke zastanowił się nad słowami komodora.

- Może udałoby się ją do tego namówić - stwierdził w końcu.

Kre'fey położył dłonie na blacie stołu.

- Teraz albo nigdy - powiedział. - Przyznaję, że atak na Coruscant to ryzykowna zagrywka, ale musimy się zdecydować na podjęcie tego ryzyka. Nie możemy sobie pozwolić, żeby nieprzyjaciel kolejny raz zepchnął nas do obrony. Jeżeli rozproszymy floty, to kto wie, ile jeszcze innych gwiazdnych systemów możemy stracić. Po prostu nie mamy dość środków, żeby skakać od jednego do drugiego za każdym razem, kiedy Yuuzhan Vongowie przypuszczą nowy atak. Naszym wrogiem stanie się zmęczenie. - Powiódł spojrzeniem po twarzach mistrza Jedi i pozostałych uczestników odprawy. - Wiem dobrze, że Yuuzhanie są wciąż bardzo silni, ale bitew nie wygrywa się dzięki samej przewadze liczebnej... Sam pan o tym dobrze wie, mistrzu Skywalker, bo przechylił pan szalę zwycięstwa w galaktycznej wojnie domowej za pomocą kilku celnie wymierzonych protonowych torped.

- Nie działałem wówczas sam, bo korzystałem z pomocy, panie admirale - przypomniał Luke.

- Sugeruje pan, że tym razem Moc nie jest po naszej stronie? -zapytał Sow.

- Moc jest zawsze z nami, panie admirale - odparł mistrz Jedi.

- Więc możemy liczyć na waszą pomoc? - podchwycił Kre'fey.

Luke kiwnął głową i wskazał anksjańską Jedi Madurrinę.

- Ci spośród Jedi, których nie wykorzystamy w inny sposób, będą nadal pełnili służbę na mostkach pańskich okrętów liniowych, podobnie jak służyli w przestworzach Ebaqa Dziewięć i Kalamara - powiedział. Chciał dodać coś jeszcze, ale do sali odpraw wpadł jak burza Tycho Celchu.

Zanim jednak zdążył powiedzieć słowo, Luke usłyszał cichy jęk stojącej za jego plecami Cilghal.

- Przepraszam, że przeszkadzam, admirale Sow - odezwał się półgłosem błękitnooki mężczyzna w stopniu generała. - Przykro mi o tym informować, ale moja żona Winter skontaktowała się ze mną z Kalamara i przekazała wiadomość, że emerytowany admirał Ackbar nie żyje.

Zbliżając się do ładowniczej platformy na powierzchni Zonamy Sekot, Jaina zauważyła, że kiedy szukała Jacena, na platformie zgromadzili się Corran, Kyp, Tekli, Alema i kilkoro innych Jedi.

Najwięcej, bo po pięć nasion-partnerów przyłgnęło do Kypa i Saby. Puszyste białe kule wielkości pięści przyczepiły się do płaszcza mistrza Jedi i tuniki Barabelki. Do Corrana przyłgnęły cztery, a Kyle, Lowbacca, Alema i inni kandydaci zwrócili na siebie uwagę tylko dwóch nasion-partnerów.

Jabitha oznajmiła, że z Anakinem Skywalkerem związało się aż dziewięć, co stanowiło absolutny rekord w historii planety. Pani magister wyjaśniła także, że kiedy nasiona-partnerzy pozbędą się skorup, będą w stanie poruszać się powoli na czterech krótkich nóżkach, a nawet pisać i skowyczeć.

Rozmyślanie o tych sprawach tylko powiększało rozczarowanie i dezorientację Jaina Solo.

Powietrze Zonamy Sekot miało nadal przyjemną temperaturę, chociaż było chłodniej niż zaraz po lądowaniu. Spotkanie z rodziną i przyjaciółmi sprawiło Jainę we wspaniały humor, ale po dwóch miejscowych dniach wymiany informacji zaczynała jej doskwierać beczynność. Przypominała sobie, że podobnie się czuła na Kałamarze po powrocie z Hapes, kiedy Luke toczył słowne pojedynki z Vergere, Jacen odleciał, aby nurkować obok koralowych raf w towarzystwie Danni, a członkowie Sojuszu Przemysłowców pociągali za sznurki, żeby doprowadzić do wyboru Cala Omasa.

Coruscant znajdowała się zaledwie o mikroskop w stronę słońca i wszyscy przygotowywali się do ostatecznego starcia z Yuuzhan Vongami, więc Jaina bardziej niż kiedykolwiek chciała się znów znaleźć w kabinie swojego X-winga... choćby jedynie po to, żeby nie wyjść z wprawy. Niestety, „Bliźniacza Jedyńka”, „Sokół Millenium”, kanonierka klasy Skipray Tesara Sebatyne'a i inne gwiazdne myśliwce pozostawały cały czas na stacjonarnej orbicie Zonamy Sekot. Na powierzchni planety spoczywał tylko sekotański wahadłowiec, o lataniu którym nie mogła nawet marzyć, a także wiele powietrznych statków, które jednak nadawały się bardziej dla żeglarzy niż dla pilotów gwiazdnych maszyn.

Jaina zastanawiała się nad możliwościami wyboru, kiedy z gąszczy bora wyłonił się Jacen.

- Szukałam cię wszędzie - powitała go Jaina. - Gdzie się podziewałeś... ćwiczyłeś, jak stawać się niewidzialny, czy co?

Jacen ocknął się z transu, zamyślenia czy może snu na jawie, i spojrzał na siostrę.

- Moc jest tu bardzo silna - zauważył. - Zazwyczaj stosowane metody okazują się nieprzydatne.

- Jestem tego pewna - mruknęła Jaina. Brat przyjrzał się jej uważnie.

- Czy mi się wydaje, czy naprawdę jesteś zła? - zapytał w końcu. Młoda Solo zacisnęła wargi i pokręciła głową.

- Przypuszczam, że po prostu rozczarowana - odparła. Jacen spojrzał na Kypa i od razu wszystkiego się domyślił.

- To dlatego że nie przyłgnęło do ciebie ani jedno nasiono-partner - powiedział.

- To chyba jasne, nie? - burknęła Jaina. - Jestem równie dobrą pilotką jak Kyp, Saba czy Corran, do którego od razu przyczepiły się dwa nasiona-partnerzy. Kiedy walczyłam w przestworzach Kalamara, toczyłam pojedynki, mając tylko jeden silnik!

- Umiejętność pilotażu nie ma nic wspólnego z procesem przyczepiania się nasionpartnerów - powiedział Jacen. - Ani z odwagą, jeżeli już o tym mowa.

Młoda Jedi głęboko odetchnęła.

- Coś wspaniałego - mruknęła. - A więc chodzi o to, że nie jestem równie silnie zespolona z Mocą jak oni, prawda?

- Dobrze wiesz, że to nie to. - Jacen położył dłoń na ramieniu siostry i odwrócił ją w swoją stronę. - Może rzecz w tym, że Sekot ma dla ciebie inne zadanie?

Jaina przewróciła oczami.

- Łatwo ci mówić - stwierdziła. - Nawet nie spróbowałeś się związać z żadnym nasieniem-partnerem.

Jacen wyglądał na rozbawionego uwagą siostry.

- Dużo mi brakuje do tego, żeby być dobrym pilotem - powiedział.

- Mnie także - przypomniała Jaina. - Oficjalnie jestem Mieczem Jedi... cokolwiek by to miało oznaczać. - Umilkła i się zamyśliła. - Jacenie, czy Yuuzhan Vongowie stanowią zagrożenie dla Mocy? - zapytała w końcu.

Młody Solo pokręcił głową.

- Stanowią zagrożenie dla Jedi, bo chcieliby, żebyśmy wszyscy nawrócili się na ich wiarę, uznali ich bogów i patrzyli na wszechświat dokładnie tak jak oni. Nieważne, jak zakończy się ta wojna, pojedyncze osoby i tak nadal będą odnajdywały swoją drogę do Mocy. Moc to płomień, którego Yuuzhan Vongowie nie dadzą rady zgasić... podobnie jak nie zdołali dokonać tego Sithowie.

- A ty chcesz nadal walczyć, żeby coś takiego już nigdy się nie zdarzyło - domyśliła się Jaina.

- Na swój sposób - zgodził się z nią brat. - Od czasu Stacji Centerpoint dowiedziałem się o sobie czegoś więcej.

- Chcesz powiedzieć, że dowiedziałeś się tego od Vergere.

- Od Vergere, od Sekot, od was wszystkich - przyznał Jacen. - Dochodzę do przekonania, że Moc, przynajmniej jak ją rozumiemy, jest tylko jedną fasetką pieczołowicie oszlifowanego klejnotu i że może suma tych fasetek jest większa niż sam klejnot.

Jaina spojrzała na Kypa i pozostałych Jedi.

- Dobrze chociaż, że Zonama Sekot ma ochotę przyłączyć się do naszej walki -

powiedziała.

- Sama podejmie taką decyzję - przypomniał Jacen.

Siostra odwróciła się do brata bliźniaka.

- Na jakiej podstawie? - zapytała. - Czyim właściwie interesom służą Jedi?

- Służymy Mocy - odrzekł Jacen. - Nikomu ani niczemu innemu.

- Czy to wystarczający powód, żeby wymordować Yuuzhan Vongów?

- Nie - odparł młody Solo, chyba bardziej stanowczo niż zamierzał. - Yuuzhan Vongowie nie pozostają poza Mocą. Jeżeli wierzyć Sekot, kiedyś zostali z niej odarci.

- Rzeczywiście tak mi mówiono - przyznała Jaina. - A według ciebie czego właściwie chce Moc dla Yuuzhan Vongów?

Jacen uśmiechnął się półgębkiem.

- Gdybym to wiedział - westchnął - poznalibyśmy odpowiedź na pytanie, jak założyć tę wojnę.

R O Z D Z I A Ł 32

- Spójrzcie tylko na siebie, kulicie się jak stado yanskaców - skarcił najwyższy lord dostojników zebranych w Sali Zgromadzeń. Wyprostował się na tronie ze spiczasto zakończonym oparciem i spiorunował wszystkich spojrzeniem. - W przededniu zwycięstwa pozwalacie, żeby w waszych sercach zagnieździła się trwoga z powodu iluzji... kawałka skały na niebie!

Nom Anor kulił się tak samo jak wszyscy inni, ale musiał przyznać, że Shimrra zasługuje na podziw. Mimo wstrząsów, jakie nie przestawały dręczyć powierzchni Yuuzhan'tara, a także szerzenia się niebezpiecznych pogłosek podających w wątpliwość jego prawo do sprawowania władzy, najwyższy lord nie sprawiał wrażenia zastraszonego... najwyżej lekko poruszonego. Wymachując długimi rękami i nie kryjąc drżenia nóg, wyglądał jak pociągana za niewidoczne sznurki marionetka. Niektórzy twierdzili, że jego implantowane gałki oczne nieustannie zmieniają barwę i rzadko pozostają bez ruchu.

Shimrra uniósł wysoko Berło Władzy i skierował je ku zebrowanemu sklepieniu wielkiej sali.

- Niektórzy spośród was szepczą, że pojawiające się o zachodzie słońca jaskrawe światło to zwiastun klęski... jakaś żyjąca planeta, na którą podobno natknęliśmy się w okresie rządów mojego poprzednika. Nie zamierzam w tej chwili wymieniać jego nazwiska, ale przyznaję, że słyszałem już te pogłoski. Po wstąpieniu na tron rozesłałem patrole w celu odnalezienia tej planety... tej Zonamy Sekot, ale z otrzymanych meldunków wynikało, że zwiadowcy nie mogli się na nią nigdzie natknąć. Zadałem więc sobie pytanie: czy naprawdę zniknęła? Czyżby została unicestwiona? A może te pogłoski były tylko wierutnym kłamstwem, rozpowszechnianym przez mojego poprzednika, który starał się nas powstrzymać przed podbiciem i zajęciem czegoś, co zgodnie z danym przez bogów prawem miało się stać naszym nowym domem?

Kiedy przerwał, Onimi zaczął się przechadzać pośród słuchaczy. Próbował nakłonić przynajmniej niektórych do udzielenia odpowiedzi najwyższemu władcy. Ku niezadowoleniu arcyprefekta Drathula Nom Anor przekazał pełniącym posługę w świątyniach kapłanom rozkaz Shimrry, żeby od tej pory zanosili modły do Yun-Harli, zamiast do Yun-Yuuzhana czy Yun-Yammki. Spodiewając się najgorszych podstępów i manipulacji, królewskie wieszczki nie kryły obaw, a dostojnicy zachodzili w głowę, czy decyzja Shimrry została podjęta z myślą o dobrze pojętym interesie Yuuzhan Vongów, czy może tylko samego najwyższego lorda.

- Objawię wam prawdę! - zagrzmiał w końcu Shimrra. - Jaskrawe światło nie jest złudzeniem optycznym! To ta sama żyjąca planeta, o której wspominałem!

Słuchacze, a zwłaszcza Drathul i grupa zwolenników Quoreala, kompletnie osłupieli. W wielkiej sali nie było słyhać nawet szmeru ich oddechów. Oświadczenie Shimrry oszołomiło także Noma Anora.

Nigdy by nie przypuszczał, że najwyższy lord zdecyduje się wyjawić prawdę.

- Zadajecie sobie pytanie, dlaczego bogowie do tego dopuścili - ciągnął Shimrra teatralnie melancholijnym tonem. - Jakim cudem mogli się zwrócić przeciwko nam po wszystkim, co zrobiliśmy, składając im ofiary, dostarczając neofitów i oczyszczając tę galaktykę z niewiernych i heretyków? Jeszcze raz udzielę wam odpowiedzi na to pytanie. Ta złowieszczą planeta została przekazana w ręce naszych nieprzyjaciół jako ostateczny test, dowodzący naszego prawa do władania nimi... ostateczna próba, która ma ocenić siłę serc Yuuzhan Vongów!

Grzmotnął potężnym amphistaffem w koralową posadzkę, wzywając w ten sposób do zachowania ciszy.

- Przyznaję, że poddali nas ciężkiej próbie - podjął po chwili. - Osoby słabego umysłu,

dysydenci czy sceptycy mogliby dojść do przekonania, że bogowie nas opuścili, a nasze starania nigdy nie zakończą się pomyślnie. Myślałem o tym długo i intensywnie. W poszukiwaniu odpowiedzi modliłem się, oddawałem kontemplacjom, a nawet badałem historię Yuuzhan Vongów. Bogowie uwieńczyli powodzeniem moje poszukiwania.

Shimrra znów przerwał i zaczekał, aż po wielkiej sali przetoczy się groźny pomruk kolejnego wstrząsu gruntu Yuuzhan'tara. W końcu wyciągnął Berło Władzy w kierunku Qelah Kwaad i grona jej adeptek.

- Mistrzynie przemian wiedzą, co mam na myśli, kiedy mówię o ósmym rdzeniu - zaczął. - Na użytek dowódców i intendentów, a nawet niektórych kapłanów, muszę jednak wyjaśnić, o co chodzi. Rdzenie zawierają protokoły kształtowania, które kierowały rękami naszych przodków, pomagając im hodować dovin basale, villipy, koralowe skoczki i yammoski. Rdzenie nie są miejscami, lecz stanami umysłu, a kiedy ktoś osiąga najwyższy, ósmy rdzeń, zatacza pełen krąg i powraca do początku historii Yuuzhan Vongów... do naszego pierwotnego stanu. To, co znalazłem w ósmym rdzeniu... cierpiąc straszliwy ból i dopuszczając do przelewu takiego morza krwi, że moje udręczone ciało wyło z bólu... było lekcją na tyle łatwą do zrozumienia, że można by jej udzielać oseskom w naszych wylęgarniach.

Zaraz wam powiem, na czym polega ta lekcja. Kiedy bogowie stwarzali wszechświat, a w nim Yuuzhan Vongów, równomiernie rozłożyli wszelkie przeciwieństwa. Postarali się, żeby charakterystyczne cechy jednej formy życia były równoważone przez cechy innej formy. Tam, gdzie zapuszczało korzenie trujące drzewo, obok niego wyrastało inne, zapewniające odtrutkę. Na pustyniach można znaleźć oazy pełne świeżej wody, z oceanów wystają piaszczyste albo skaliste wyspy... i tak dalej. Tak właśnie postępują bogowie, zawsze i wszędzie zapewniając równowagę. Pamiętałem o tym, kiedy w głębi ósmego rdzenia usłyszałem głos wypowiadający słowa...

- Tęczowy most pojawi się i zniknie, a bogowie udadzą, że stworzyli wielki konflikt - wyrecytował Onimi ze środka sali. - Nastąpi zaćmienie słońca, a potem pojawi się wyraźny święty znak. Ktoś mylnie zinterpretuje jego pojawienie się, ale kiedy u bram pojawi się niebezpieczny przybysz, wy rozglądajcie się za amphistaffem, który odeśle przybysza z powrotem tam, skąd przybył.

- Pomyślałem sobie, że to prorocze słowa - podchwycił Shimrra. - Nie miałem wątpliwości, że wypowiedziała je Yun-Harla, więc rozkazałem świątynnym kapłanom, żeby

blągali boginię o ratunek. Mają odtąd składać jej ofiary i traktować ją, jakby była najwyższym lordem całego wszechświata. Nasze błagania nie pozostały bez echa. Bogini już zapewniła nam rozwiązanie testu, któremu bogowie nas poddali.

Nom Anor z najwyższym trudem zachowywał spokojny wyraz twarzy, chociaż był całkiem zdezorientowany. Nie tylko on w wielkiej Sali Zgromadzeń wiedział, że w rzeczywistości ósmy rdzeń mistrzów przemian jest pusty niczym wytwarzana przez dovin hasała grawitacyjna anomalia. Zastanawiał się, co chce osiągnąć Shimrra, ujawniając zawartość nieistniejących protokołów. Na pewno ułożył i zagadkę, i rozwiązanie, ale w jakim celu?

Kolejny raz dostojnicy musieli się uzbroić w cierpliwość i poczekać, aż Cytadela przestanie się trząść po silniejszym paroksyzmie gruntu Yuuzhan'tara, a z żebrowanego sklepienia opadnie pył i okruchy koralu yorik.

- Rozwiązanie dotarło właśnie do przestworzy tamtej planety -kontynuował najwyższy władca. - Ma postać porażonego statku i załogi złożonej z zakazonych uśmiercicieli oraz umierającej mistrzyni przemian. Na powierzchni niewiele znaczącej planety, zwanej przez niewiernych Caluulą, statek i jego pasażerowie padli ofiarą stworzonego przez naszych nieprzyjaciół śmiertcionośnego środka chemicznego, użytego w nadziei unicestwienia wszystkich form życia Yuuzhan Vongów... począwszy od najprymitywniejszych, a skończywszy na mnie.

Ten środek może by osiągnął swój cel, gdyby nie roztropność mistrzyni przemian, niekonwencjonalne zachowanie dzielnych wojowników i spostrzegawczość waszego najwyższego lorda, który zabronił statkowi lądowania na powierzchni Yuuzhan'tara i nawiązywania kontaktu z innymi statkami.

Bądźcie świadkami cudu kosmicznej równowagi! Tchurokk Yun 'tchi-lat! Bądźcie świadkami woli bogów! Złowieszczę światło, które rozjaśnia nasze wieczorne niebo, to ta sama żyjąca planeta, na którą natknęły się nasze siły zbrojne wiele lat temu na obrzeżach tej galaktyki. Ta planeta została także stworzona przez Yun-Yuuzhana i zgodnie ze słowami proroctwa ma z nami pewien związek. Oznacza to, że zgodnie z życzeniem bogów będzie wrażliwa na wymyślony przez naszych nieprzyjaciół śmiertcionośny środek chemiczny!

Najwyższy lord jeszcze raz uniósł wysoko Berło Władzy.

- Porażony statek jest tym amphistaffem, którym się posłużymy, żeby odpędzić obcego przybysza sprzed naszej bramy! - zawołał po chwili. - Ten statek stanie się naszym zbawieniem i środkiem umożliwiającym zdanie egzaminu, przed jakim postawili nas bogowie!

Nom Anor zaczynał się czuć jak gnullith, w jednej chwili nadymany przez Shimrę, a w następnej opróżniany z powietrza. Śmiercionośny środek chemiczny, zdolny do zatrucia Zonamy Sekot? - pomyślał ze skrywanym rozbawieniem. Każdy, kto cokolwiek słyszał o wyprawie zwiadowczej pod dowództwem Zha Krazhmira na powierzchnię żyjącej planety, wiedział, że dowódca próbował ze wszystkich sił, ale nie zdołał zatruc Zonamy Sekot. A jeżeli stworzona przez Yuuzhan Vongów toksyna nie spełniła swojego zadania, jakim cudem mogła to osiągnąć trucizna wytworzona w laboratoriach nieprzyjaciół? Gdyby zresztą taka biologiczna broń naprawdę istniała, na pewno dowiedzieliby się o niej dawni szpiedzy Noma Anora w łonie Brygady Pokoju albo agenci, którzy nadal prowadzili działalność na powierzchni Kalamara.

Czyżby Shimrra zmyślił sobie całą tę historię tylko po to, aby pobudzić czujność kapłanów i wojowników i dopilnować, żeby Yuuzhan Vongowie zginęli w blasku chwały? A może kolejny raz Nom Anor nie doceniał najwyższego lorda? Czyżby Shimrra, sięgając po władzę, okazał się w rzeczywistości sprytniejszy, niż mogłoby się wydawać?

- Zonama Sekot jest gwiazdą śmierci - podjął najwyższy władca, kierując amphistaffa ukośnie w dół, w kierunku Nasa Choki i jego najwyższych dowódców. - Leć na nią, wojenny mistrzu! - rozkazał. - Zabierz na Zonamę Sekot swoją potężną armadę i udowodnij bogom niezłomną stanowczość Yuuzhan Vongów!

Czego właściwie Moc chce dla Yuuzhan Vongów?

Pytanie rozbrzmiewało echem w umyśle Jacena jeszcze długo po tym, kiedy wrócił do jaskini, w której mieszkał na powierzchni Zonamy Sekot.

Odczepił od pasa rękojeść świetlnego miecza, zapalił zieloną klingę i kilkakrotnie machnął nią w rześkim powietrzu. Pomruk spłoszył siedzące na gałęziach pobliskich bora ptaki, które z łopotem skrzydeł wzniosły się w bladoniebieskie niebo.

Młody Jedi stanął ze stopami ustawionymi równolegle na powierzchni gruntu. Wysunął trochę do przodu prawą nogę, przeniósł ciężar ciała na pięty, po czym raptownie uniósł lewą nogę, jakby do ataku. Kiedy doszedł do zbocza wzgórza, rozstawił nogi i ustawił stopy pod kątem. Nie wykonując uników, kilkakrotnie machnął świetlistą klingą. Zachowując idealną postawę, powoli ruszył naprzód. Stawiał krótkie kroki, żeby zachować ostrość spojrzenia i równowagę.

Trzymając rękojeść blisko ciała na wysokości brzucha, skierował szpic klingi pod kątem trzydziestu stopni w górę i wykonał kilka szybkich machnięć i sekwencji dulon. Opuszczył ostrze,

żeby szpic znalazł się na wysokości kolan niewidocznego nieprzyjaciela, a potem ciął na ukos w górę. Uniósł klingę nad głowę i skierował rękojeść w stronę oczu wyimaginowanego przeciwnika - pod kątem stanowiącym śmiertelne zagrożenie dla każdego Yuuzhanina - po czym ciął w dół. Kierując łokcie ku powierzchni gruntu, uniósł świetlny miecz pionowo nad prawe ramię blisko głowy, po czym odwrócił się i wykonał serię ataków jung i parad jung ma. W końcu opuścił świetlny miecz nisko po prawej stronie ciała, zwracając klingę za plecami w stronę gruntu, i ciął zamazyście na ukos w górę. Wskoczył w powietrze, wykonał salto do przodu w stronę brzegu stawu i pomagając sobie Mocą, kilka razy się obrócił. Ilekroć jego stopy stykały się z powierzchnią gruntu, zadawał ciosy w bok, wykonując szybkie ruchy obrotowe nadgarstkiem. W końcu się zasapał, a po jego twarzy zaczęły spływać krople potu.

W pewnej chwili wyczuł, że ktoś go obserwuje. Od razu oprzytomniał i zgasił energetyczne ostrze. Ciężko westchnął i usiadł. Był niezłym szermierzem i akrobatą sai, ale daleko mu było do umiejętności Luke'a, Kypa, Mary, Corrana... czy Anakina.

Po prostu nie miał do tego serca.

Kiedy wpatrywał się w rękojeść świetlnego miecza, powrócił myślami do tego, co przydarzyło mu się trzy lata wcześniej na powierzchni Duro. Niespodziewanie powróciła ta sama wizja, jakby od tamtych czasów nie upłynęła ani sekunda.

W jednej chwili pracował w grupie uchodźców Rynów, a w następnej runął do tyłu i spadł w próżnię. Słyszając wołanie Luke'a, odwrócił się i zobaczył, że ubrany w lśniący biały płaszcz wuj stoi bokiem do niego i trzyma w opuszczonych na wysokość bioder rękach świetlny miecz z zapaloną klingą, skierowaną ukośnie w górę.

Jacen krzyknął do niego, że Jaina jest ranna, ale Luke nie odpowiedział. Nie odrywał spojrzenia od zakutego w jasnobrązowy pancerz yuuzhańskiego wojownika, który trzymał przed sobą czarnego amphistaffa pod takim kątem, że stanowił lustrzane odbicie energetycznej klingi mistrza Jedi. Wojownik stał po przeciwnej stronie powoli obracającej się białej tarczy, na której mieścili się wszyscy trzej, ale Jacen nie wyczuwał w Mocy obecności nieprzyjaciela. Yuuzhanin jawił mu się jako pustka... ciemność obiecująca śmierć równie pewnie, jak światłość Luke'a zwiastowała życie.

Nagle tarcza zmieniła się w zakończoną spiralnymi ramionami galaktykę.

Stojący pośrodku Luke przyjął postawę bojową, uniósł świetlny miecz nad prawe ramię i skierował szpic ukośnie w górę, ale z ciemności ruszyli ku niemu yuuzhańscy wojownicy. Mistrz

Jedi się ich nie uląkł i pozostał na środku galaktyki. Jakiś czas starał się równoważyć ciężar napastników, ale z każdą chwilą pojawiało się ich więcej i w końcu tarcza zaczęła się przechylać w ich stronę.

Rozpaczliwie pragnąc poznać odpowiedź na pytanie, co robić, Jacen ponownie krzyknął do mistrza Jedi. Tym razem Luke odwrócił się do niego i rzucił mu zapalony świetlny miecz. Cicho pomrukując i gubiąc jasnozielone iskry, świetlista klinga zakreśliła łagodny łuk nad płaszczyzną galaktyki. Jacen uświadomił sobie, że w jego sercu wzbiera gniew, a strach i wściekłość potęgują jego siłę. Za wszelką cenę pragnął unicestwić przeciwnika. Wyprostował palce, wyciągnął rękę... ale nie zdołał pochwycić leżącej broni.

Niczego więcej nie było potrzeba.

Od strony najeźdźców nadleciała mroczna, śmiertcionośna nawałnica, a płaszczyzna galaktyki zaczęła się coraz szybciej przechylać na stronę Yuuzhan. Jacen uświadomił sobie, że z powodu jednej chwili, kiedy dał się ponieść gniewowi, kurczy się i staje bezradnym, bezbronnym punkcikiem. Czyżby jedno potknięcie miało się okazać zgubne w skutkach? I to nie tylko dla niego, ale dla całej galaktyki?

Nagle nieboskłonem wstrząsnął głos podobny do głosu wujka Luke'a, ale o wiele głębszy i donośniejszy:

„Jacenie! - zahucz! - Podejmij wyzwanie!”

Płaszczyzna galaktyki przechyliła się jeszcze bardziej na stronę Yuuzhan Vongów i Jacen skoczył jej na pomoc. Zamierzał dodać niewielką masę własnego ciała do ciężaru ciała wuja, żeby w ten sposób opowiedzieć się po stronie światłości, ale potknął się i upadł. Rozpaczliwie wymachując rękami, usiłował pochwycić dłoń wuja, ale mu się nie udało.

Niespodziewanie Luke chwycił jego dłoń i pociągnął ku sobie. Jeszcze raz zawołał:

„Podejmij wyzwanie, Jacenie!”

Płaszczyzna galaktyki pod ich stopami przechyliła się jeszcze bardziej w stronę Yuuzhan Vongów. Nagle gwiazdy zniknęły, a yuuzhańscy wojownicy rzucili się do ataku. Pod ich stopami gasły i ginęły gromady gwiazd i całe sektory galaktyki.

Jacen znów usłyszał głęboki głos:

„Jacenie, podejmij wyzwanie!”

Nagle skoczył ku niemu jeden z yuuzhańskich wojowników...

Młody Jedi ocknął się i wrócił do rzeczywistości.

Od czasu tamtej wizji walczył z nieprzyjaciółmi na niezliczonych planetach. Zranił wojennego mistrza Tsavonga Laha i pokonał wielu innych, mniej znaczących przeciwników. Pozwolił, żeby Vergere odarła go z Mocy i zanurzyła w niej na nowo, a co najważniejsze, został uznany za rycerza Jedi przez swojego mistrza Luke'a Skywalkera. Mimo to nadal czuł się jak uczeń.

Rycerze Jedi Starej Republiki przywiązywali zbyt duże znaczenie do wpajania nauk i hierarchii. Jeżeli dostawałeś tytuł padawana, byłeś kimś gorszym niż rycerz, a kiedy pasowano cię na rycerza, byłeś kimś mniej ważnym niż mistrz... W obecnych czasach jednak, skoro brakowało złożonej z dalekowzrocznych mistrzów Rady Jedi, kto mógł zapewnić, że zwykły padawan nie może być potężniejszy w Mocy niż ktoś stojący wyżej w tej hierarchii? Kto wie, może rycerze Jedi musieli usłyszeć tę prawdę bezpośrednio od samej Mocy?

Stopnie były obecnie trochę podobne do awansów na polu bitwy... w rodzaju awansu Jainy do stopnia pułkownika. Nawet ceremonia pasowania na rycerza Jedi nie miała dla Jacena więcej sensu niż dla jego siostry bliźniaczki. Oboje musieli sami analizować szlaki, po których stąpali.

Jeżeli jednak wykształcenie Jacena sprowadzało się do dwudziestu lat kurateli, a czas spędzony w towarzystwie Vergere w trzewiach yuuzhańskiego nasionostatku i podbitej Coruscant stanowił okres próby dla padawana, jaką decyzję powinien podjąć obecnie?

Czy i to nie było czymś w rodzaju testu?

Czego właściwie Moc chce dla Yuuzhan Vongów?

„Jacenie, podejmij wyzwanie!” - nakazał mu głęboki głos w jego wizji.

Młody Solo myślał niekiedy, że jego edukacja dobiega końca i w ostatnim roku życia przeszedł prawdziwą próbę... taką, jakiej pewnie nigdy nie poddano innego Jedi, ale takie myśli nie trwały nigdy długo.

- Ćwiczysz, Jacenie? - zapytała nagle jakaś osoba płci żeńskiej.

Młody Jedi od razu się domyślił, kto go obserwował.

Z wody pośrodku stawu wyłoniła się wyczarowana przez Sekot myślowa projekcja Vergere.

- Zawsze - odparł młody Solo.

- Co chcesz przez to osiągnąć?

- Mistrzostwo. Vergere pokiwała głową.

- Jacenie, jeżeli chcemy sięgnąć do głębi Jednoczącej Mocy, musimy zrezygnować z chęci panowania nad biegiem wydarzeń - zaczęła. - Musimy opróżnić umysł ze słów i myśli, bo myśli także są zrodzone z materialnego świata. Musimy powstrzymać się od analizowania Mocy i po prostu pozwolić, żeby kierowała naszymi ruchami. Nasz związek z Mocą musi być nieskazitelny, pozbawiony konieczności wspierania go słowami czy argumentami. Musimy wykonywać polecenia Mocy, jakby były one nieodwołalne, i robić to, co konieczne, bez względu na to, kto stanie na naszej drodze.

R O Z D Z I A Ł 33

Jesteśmy gotowi do walki, powiedział sobie Wedge, kiedy na nocnym niebie Corulaga rozkwitły jedna po drugiej eksplozje niczym ogniste kwiaty. Powierzchnię wypełniających iluminatory mostka „Mon Mothmy” planety Jądra galaktyki przecinały biegnące w różne strony nitki światła. Między planetą a wyposażonym w nowe systemy uzbrojenia gwiazdowym niszczycielem unosiły się różowawe krążowniki i opalizujące patrolowce Yuuzhan Vongów, zwane matalokami i yorik-akaga. Nieprzyjaciele rozmieścili je w taki sposób, żeby zapewnić osłonę szybko lecącemu gronostatkowi z yammoskiem na pokładzie. Piloci myśliwców typu X-wing i E-wing, które wyleciały z hangarów „Mon Adapyne” i „Elegosa A’Kli”, nie przestawali nękać nieprzyjacielskich okrętów liniowych. Ich artylerzyści nadal zdobili przestworza ognistymi pociskami i strugami przegrzanej lawy, ale wróg zaczynał płacić cenę za to, że pozwolił się zaskoczyć.

Na mostku „Mon Mothmy” panował kontrolowany chaos. Kurierzy i oficerowie z meldunkami pojawiali się i znikali, a Wedge usiłował prowadzić rozmowy z pięcioma albo sześcioma osobami naraz. Na ekranach monitorów migotały obrazy, a ilekroć artylerzyści przekazywali aktualne dane albo pojawiały się meldunki z taktycznych ośrodków rozmieszczonych w różnych punktach ogromnego okrętu, z komputerowych konsol wydobywały się głośnie piski. Wedge przyzwyczaił się wprawdzie do hałasu, ale dręczyły go myśli o przyczynach, które skłoniły go do przejścia na emeryturę... zwłaszcza w obecnej chwili, po śmierci admirała Ackbara. Czuł się, jakby wojskowa czapka i mundur dowódcy były dla niego dwa numery za małe.

Plan niespodziewanego ataku zakładał, że dowodzona przez niego grupa szturmowa przeskoczy bezpośrednio z Contruuma do sektora Bornea i wyłoni się na tyle blisko Corulaga, jak na to pozwolą potężne systemy obronne i orbity kilku księżyców planety. Największy, na którego powierzchni mieściła się kiedyś baza Imperialnej Marynarki, Yuuzhan Vongowie przekształcili w ośrodek wypoczynkowy dla załóg skatów patrolujących Perlemiański Szlak Handlowy. Kiedy Wedge wyskoczył z nadprzestrzeni, załogi bombowców szturmowych Eskadry Bułatów niszczyły właśnie kompleks, a piloci Eskadr Skandalistów i Czarnego Księżyca atakowali niczym sfera drapieżnych wyjebogaczy nieprzyjacielski transportowiec z yammoskiem na pokładzie.

- Generałowie Farlander i Celchu zapędzili nieprzyjaciela w pułapkę - zameldował dowódca „Mon Mothmy”. - „Zwiastun” wyskoczył z nadprzestrzeni i leci z prędkością bojową na spotkanie z „Elegosem A’Klą” w punkcie zbornym manka-strzałka-dewback.

„Mon Mothma” znajdowała się zbyt daleko, żeby Wedge mógł dostrzec któryś z tych okrętów liniowych, musiał więc obserwować rozwój sytuacji na szachownicy ekranów monitorów taktycznej konsoli. Załogi yuuzhańskich krążowników, zdecydowane za wszelką cenę chronić statek z yammoskiem na pokładzie, rzeczywiście pozwoliły się osaczyć „Mon Adapyne” i „Elegosowi A’Kli”, których artylerzyści ostrzeliwali nieustannie jednostki wroga salwami turbolaserowych strzałów. Do pola bitwy zbliżał się szybko „Zwiastun” - kalamariański krążownik pod dowództwem Garma Bel Iblisa. Rażone krzyżowym ogniem koralowe skoczki rozpadały się na okruchy tak szybko, że nieprzyjaciele nie nadążali z wysyłaniem nowych. Z tymi, których piloci wyrwali się z okrążenia, rozprawiali się artylerzyści „Mon Mothmy”, obsługujący szybkostrzelne działa i generatory grawitacyjnych studni.

Pod ostrzałem znajdowała się także powierzchnia samego Corulaga. Wrażliwe na podczerwień czujniki „Mon Mothmy” rejestrowały ogniska żaru w samych miastach i wokół większych skupisk ludności, co dowodziło, że planeta jest bombardowana z orbity, a na powierzchni toczą się walki. Z rozszyfrowywanych meldunków wynikało, że są zacięte i pociągają za sobą wiele ofiar.

W przeciwieństwie do innych planet rozmieszczonych wzdłuż tego ważnego odcinka Perlemiańskiego Szlaku Handlowego - Chandrili, Brentaala i Ralltiira - Corulag poddał się Yuuzhan Vongom bez walki, dzięki czemu planeta uniknęła spustoszenia. Nikt zresztą się nie spodziewał innej reakcji po planetarnym rządzie, który podczas galaktycznej wojny domowej

opowiedział się po stronie Imperatora i od tamtych czasów musiał pokutować w cieniu Coruscant. Mimo to większość spośród dziesięciu miliardów obywateli Corulaga przeciwstawiała się ustanowionej przez okupantów marionetkowej władzy, aż w końcu ferment przerodził się w otwartą rebelię. Najbogatsze i najbardziej wpływowe rody zdążyły odlecieć na Kuata i Commenora, ale nie uciekły przed Yuuzhan Vongami. Kuat wpadł w ich ręce wkrótce po krótkiej wizycie senatora Pwoe, a Commenor ucierpiał od wielokrotnych ataków. Działający nie tylko na Corulagu członkowie grup ruchu oporu, zelektryzowani ocaleniem nieoficjalnego bohatera narodowego Juddera Page'a, zwrócili się do Sojuszu z prośbą o pomoc w wyzwoleniu planety spod okupacji Yuuzhan Vongów. Zamierzali doprowadzić do tego za wszelką cenę, więc Sow i Kre'fey z radością udzielili im wszelkiego możliwego wsparcia. Wiedzieli, że wyzwolenie Corulaga pozwoli Sojuszowi na zdobycie ważnego punktu nadprzestrzennego w obrębie Jądra galaktyki.

Zaledwie dwa standardowe miesiące wcześniej taki szturm zakończyłby się katastrofą. Siły zbrojne Yuuzhan Vongów zajmowały poważną część Wycinka, poczynając od Coruscant poprzez Alsakana niemal do Corulaga i od Ixtlara i Wukkara na Trasie na Korelię przez ćwierć obwodu Jądra w kierunku Kuata i Commenora. Obecnie jednak, kiedy dziesiątki yuuzhańskich grup szturmowych wycofały się, żeby dołączyć do armady Nasa Choki, Corulag był zdany na łaskę sił zbrojnych Sojuszu.

Wedge nie odrywał spojrzenia od ekranów monitorów. W pewnej chwili kapitan Deavis zwrócił jego uwagę na zwarty szyk gwiazdnych myśliwców, które wyłoniły się zza półksiężyca słonecznej strony Corulaga.

- Myśliwce typu TIE! - zdumiał się Antilles. - Nasze czy ich?

- Nie jestem pewny, panie generale - usłyszał w odpowiedzi.

- Więc proszę się tego dowiedzieć!

- Wiadomość z Curamelle - zameldowała pani porucznik Cel, kiedy Deavis spieszenie odchodził. - Po drugiej stronie gubernator Forridel, panie generale.

Wedge znał nazwę stolicy Corulaga, ale pierwszy raz usłyszał nazwisko gubernatora. Kiwnął głową pani oficer łącznościowiec i odwrócił się w stronę holoprojektora, który wyświetlał przetykany iskierkami zakłóceń i zmniejszony do jednej czwartej naturalnej wysokości wizerunek mężczyzny.

- Czekaliśmy na to prawie dwa lata - odezwał się triumfująco Forridel. Miał przepaskę

na oku i wymiętą czapkę, przez co wyglądał, jakby zstąpił z planu tandetnego holodreszczowca. - Corulag pozostanie na zawsze dłużnikiem Sojuszu.

- Ta bitwa nie została jeszcze wygrana - zauważył cierpko Antilles. - A przy okazji, kim pan właściwie jest?

Forridel zasalutował niezgrabnie.

- Przedstawiciele ruchu oporu wybrali mnie na stanowisko tymczasowego gubernatora - odparł z dumą.

- A co się stało z poprzednim gubernatorem? - zainteresował się Wedge.

Forridel się uśmiechnął.

- Cieszę się, że pan zapytał, bo chciałem to panu pokazać.

Zamiast hologramu mężczyzny pojawiły się obrazy zarejestrowane niewątpliwie przez środki masowego przekazu. Jeden przedstawiał byłego gubernatora wiszącego na głównym placu stolicy i obrzucanego kamieniami przez tłum ludzi i istot człekokształtnych. Inne ukazywały związanych i zakrwawionych Yuuzhan Vongów, a także innych członków okupacyjnej władzy, wleczonych po ulicach albo popychanych przez tłumy powstańców.

Wedge ucieszył się w duchu, że nie otrzymał rozkazu nadzorowania operacji na powierzchni Corulaga, tak jak było na Borleias. Domyślał się, że wkrótce podobne sceny powtórzą się na wielu innych planetach. Rozumiał nastroje obywateli planety i pamiętał kary, jakie wymierzano przedstawicielom imperialnych sił zbrojnych po śmierci Palpatine'a. Nie mógłby także powiedzieć, że współczuje schwytanym wojownikom Yuuzhan Vongów. Całe życie walczył w imię spraw, w które wierzył, i w obronie tych, których kochał - Ielli, córek, siostry i przyjaciół - a Yuuzhan Vongowie o mało nie unicestwili jego świata i rodziny. Można byłoby wprawdzie twierdzić, że ich ideały były podobne, jednak ani razu nie okazali miłosierdzia czy tolerancji. Oddawanie czci krwiożerczym bożkom i ślepe posłuszeństwo zastępowały im miłość i honor.

A jednak, mimo zdecydowania, jakie przystało żołnierzowi, Wedge uświadamiał sobie, że jego nastawienie może ulec zmianie pod wpływem jednego spojrzenia Luke'a Skywalker'a. Po wysłuchaniu przemówienia, jakie on i Mara ogłosili do dowódców sił zbrojnych na pokładzie „Ralroosta”, jeszcze raz doszedł do przekonania, że wojskowi Sojuszu toczą przeciwko Yuuzhan Vongom inną wojnę niż rycerze Jedi. Wojskowi postrzegali zwycięstwo w kategoriach sprawowania władzy, podczas gdy Jedi interesowały głównie sposoby zakończenia walk i

położenia kresu cyklowi przemocy. Mistrz Skywalker obawiał się, że eksterminacja Yuuzhan Vongów zada śmiertelny cios raczkującej Galaktycznej Federacji Niezależnych Sojuszów. Jeden krok w kierunku ciemnej strony mógł przypieczętować los wielu przyszłych pokoleń mieszkańców galaktyki.

Podobnie jak Yuuzhan Vongowie, rycerze Jedi byli gotowi na męczeńską śmierć w obronie własnych ideałów. Obie strony toczyły walkę w imię zachowania swojego sposobu widzenia wszechświata. W centrum jednej strony stali yuuzhańscy bogowie, a środek drugiej zajmowała Moc.

Wedge był ciekaw, co się stało z Yuuzhanami, którzy nie spłonęli i nie zostali zadręczeni na śmierć na ulicach Curamelle czy w stolicach innych okupowanych planet. Jaki los ich czeka po rozbrojeniu? Uwięzienie? Wygnanie? Czy można postawić przed trybunałem całą rasę inteligentnych istot tylko dlatego, że postępowały zgodnie ze swoimi przekonaniem? A gdyby nawet Yuuzhan Vongowie zostali uznani za winnych popełnionych zbrodni wojennych, czy pozwoliliby się zamknąć w odosobnieniu w jakimś odległym gwiazdowym systemie galaktyki? A może klęska - plus fakt, że zawiedli swoich bogów - zmusiłaby ich do targnięcia się na własne życie? Czy takie zbiorowe samobójstwo mogło stać się alternatywnym rozwiązaniem, skoro śmierć odgrywała w ich społeczności tak ważną rolę? A może zagłada istot spoza galaktyki zakłóciłaby w jakiś sposób równowagę Mocy? Poszukiwanie odpowiedzi na podobne pytania najlepiej było zostawić w gestii Jedi i właśnie dlatego Wedge, Keyan Farlander, Tenel Ka i wielu innych dowódców sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu darzyło nieograniczonym zaufaniem mistrza Skywalkera. Kiedy Wedge na powierzchni Borleias powołał do życia grupę oporu, zwaną Wtajemniczonymi, właściwie zawarł umowę z Mocą i czuł się w obowiązku dotrzymać jej warunków.

- Położył pan kres rządów zła, generale Antilles - mówił tymczasem hologram Forridela.

- Może pan być z siebie dumny...

Wedge zdecydował się przerwać tymczasowemu gubernatorowi, zanim mężczyzna zdąży powiedzieć coś więcej.

- Nasze skanery wykryły, że z Curamelle wystartowała eskadra myśliwców typu TIE - oznajmił zwięźle.

- To członkowie Brygady Pokoju - odparł równie rzeczowo Forridel. - Maszyny sklecono z części zamiennych, wyszperanych w zakamarkach magazynów starej Imperialnej

Akademii. Musi pan zacząć ścigać tych odszczepieńców, panie generale! Niech pan nie pozwoli, żeby umknął panu chociaż jeden!

- W tej chwili była mi potrzebna tylko ta informacja, panie gubernatorze. - Wedge dał znak pani porucznik Cel, żeby przerwała połączenie z Curamelle, po czym odwrócił się do mikrofonu komunikatora. - Poinformować generała Celchu, że piloci tych myśliwców typu TIE to wrogowie - rozkazał. - Proszę mu powiedzieć, że może liczyć ze strony „Zwiastuna” na wszelką pomoc, jakiej będzie potrzebował.

Tymczasem walka nad pogrążoną w ciemności częścią powierzchni Corulaga stawała się coraz bardziej zacięta. Piloci koralowych skoczków i tęponosych myśliwców Sojuszu wirowali w szaleńczym tańcu, którego stawką było wzajemne wyniszczenie. Artylerzyści okrętów liniowych, z których czeluści wylecieli, zaciekle ostrzeliwali jedni drugich pociskami plazmy i niosącymi potężną energię turbolaserowymi błyskawicami. W pewnej chwili implodowały dwie kule gronostatku, ale jeśli sądzić po zachowaniu pilotów koralowych skoczków, wojenny koordynator Yuuzhan Vongów nie odniósł obrażeń. Piloci Eskadry Bułatów nadal bombardowali instalacje remontowe na powierzchni największego księżycy, ale od jakiegoś czasu musieli uważać na ostrzał rozmieszczonych na powierzchni turbolaserów produkcji KDY, prawdopodobnie wyremontowanych i obsługiwanych przez tych samych techników z Brygady Pokoju, którzy złożyli z części myśliwce typu TIE.

- Panie generale, admirał Kre'fey - odezwała się Cel ze swojego stanowiska.

Wedge podszedł do holoprojektora w samą porę, żeby zobaczyć, jak pośród przecinających hologram iskier zakłóceń nabiera kształtu wizerunek Bothanina.

- Generale Antilles - odezwał się Kre'fey. - Kiedy pan tylko zechce, wydam rozkaz, żeby „Ralroost” i elementy Pierwszej Floty przeleciały do przestworzy Corulaga.

Wedge pokręcił głową.

- Potrzeba nam jeszcze trochę czasu, panie admirał - powiedział. - Co najmniej kilka standardowych godzin.

- Ma pan tylko jedną, generale - odparł zwięźle Bothanin. - Otrzymaliśmy informację z powierzchni Coruscant, że nasza akcja w przestworzach Corulaga zwróciła uwagę Yuuzhan Vongów. Armada Nasa Choki się przegrupowuje. W tej chwili jeszcze nie mamy pojęcia, czy wojenny mistrz zmienia szyk w celu obrony Coruscant, czy też może zamierza przelecieć w stronę Rubieży, żeby zniknąć w nadprzestrzeni. W tym drugim przypadku wątpię, żeby zamierzał

trwonić siły na wzmocnienie obrony Corulaga. Może jednak wydać armadzie rozkaz przeskoczenia do przestworzy Contruuma, więc chcę, żeby do tej pory nas już tam nie było.

- Dokąd mamy przelecieć? - zapytał Wedge.

- Proszę wziąć „Mon Adapyne” i „Elegosa AKlę” i dołączyć do Drugiej Floty w okolicy Muscave - polecił Kre’fey. - Jestem świadom, że narażam pańską grupę szturmową na zagładę, wysyłając was bezpośrednio do systemu Coruscant, ale tym razem naszym celem jest osiągnięcie czegoś wręcz przeciwnego niż to, co zamierzaliśmy uzyskać w przestworzach Kalamara. Zamierzam wciągnąć nieprzyjaciela do walki w okolicach zewnętrznych planet systemu. Równocześnie wyślę do przestworzy Coruscant elementy Trzeciej Floty z Ostrogi Shawkena Hydiańskiej Drogi, a część Czwartej Floty poleci Wojennym Krzyżem. Dzięki temu szturm na Coruscant będzie się mógł rozpocząć bez względu na to, czy yuuzhańska armada przeskoczy do przestworzy Contruuma, czy też przystąpi do walki z pańskimi siłami w przestworzach Muscave.

- Czy dobrze słyszałem, że Eskadra Awangarda została przyłączona do Czwartej Floty? - zapytał Antilles.

- To prawda - przyznał Bothanin.

- To oznacza, że Chissowie wezmą czynny udział w ataku na Coruscant.

- Awangarda i Bliźniacze Słońca zostały połączone w jedną eskadrę - odparł admirał. - Na jej czele stanął dowódca pułku Fel.

Wedge osłupiał.

- Jag został dowódcą Bliźniaczych Słońc? - zapytał. - A co z Jainą?

- Jedi Solo zwróciła się z prośbą o skreślenie jej z listy osób biorących udział w tym ataku - wyjaśnił Kre’fey. - Jestem świadom, że Coruscant znajduje się bardzo daleko od przestworzy Chissów, a pan niepokoi się o los siostrzeńca, ale musi pan wiedzieć, że to sam Jag prosił o zgodę na wzięcie udziału w tej wyprawie. Antilles pokiwał głową.

- Po prostu będę musiał wymyślić jakiś sposób wyjaśnienia siostrze, dlaczego nie przemówiłem do rozsądku jej synowi - westchnął.

Admirał wykonał niezobowiązujący gest.

- Grupa szturmowa pułkownika Fela oraz Eskadry Łotrów i Widm będą eskortowały transportowce wojska i kanonierki. Zamierzamy nimi przelecieć obok grawitacyjnych anomalii, wytwarzanych przez dovin basale, które bronią dostępu do Coruscant - poinformował. - Kiedy znajdziemy się na powierzchni planety, kompania komandosów kapitana Page’a nawiąże kontakt

z oddziałami ruchu oporu i skieruje się na lądowisko w miejscu, które nosiło kiedyś nazwę Zachodniego Portu.

Oficer taktyczny „Mon Mothmy” polecił, żeby holoprojektor wyświetlił mapę gwiazdowego systemu Coruscant. Wedge zobaczył, że sama planeta i krążące po bardziej oddalonych orbitach Muscave i Stentat znajdują się po tej samej stronie słońca, pod kątem sześćdziesięciu stopni jedna względem drugiej. Jeżeli uwzględnić czas konieczny na przeskoczenie przez nadprzestrzeń do Muscave, grupa szturmowa pod dowództwem Wedge’a powinna się znaleźć u stóp Cytadeli Shimrry, kiedy nad świętym kwartałem będzie wstawał nowy dzień.

- Panie admirale, czy Zonama Sekot nadal krąży po orbicie między Muscave a Stentatem? - zapytał jeszcze Antilles.

- O ile nam wiadomo, tak - przyznał Kre’fey. - Ale ta planeta to problem Jedi, nie nasz.

Jeszcze zanim połączenie z mostkiem „Ralroosta” zostało przerwane i hologram się rozplynął, Wedge odwrócił się na pięcie w stronę pani porucznik Cel.

- Proszę poinformować generałów Celchu i Farlandera, żeby byli gotowi do odlotu za standardową godzinę - rozkazał. - Później proszę wybrać bezpieczny kanał, połączyć mnie z mostkiem „Błędnego Rycerza” i przekazać sygnał do mojego komunikatora.

Zdjął czapkę dowódcy i założył na głowę zestaw słuchawkowo-mikrofonowy. Opuścił stanowisko na mostku okrętu i zaczął czekać na połączenie z pokładem gwiazdowego niszczyciela Boostera Terrika.

- Wtajemniczony Jeden, twój kanał jest bezpieczny - odezwał się po chwili jakiś mężczyzna. - Mówi Calrissian.

Generał poprawił zestaw słuchawkowo-mikrofonowy na głowie.

- Posłuchaj, Lando, za standardową godzinę zabieram swoją grupę szturmową do przestworzy Muscave - powiedział.

- Dobra nowina - przyznał śniadoskóry mężczyzna. - To oznacza, że będziesz mógł liczyć na pomoc ze strony Zonamy Sekot.

- Nie tak dobra, jak by ci się wydawało - odparł Wedge. - Dowództwo Sojuszu uważa, że Zonama Sekot to nie nasz problem, ale Jedi.

- Przypuszczasz, że planeta wskoczy do nadprzestrzeni?

- Nie mam pojęcia, Lando - odparł Antilles. - Niektórzy spośród nas powinni tam jednak

być na wypadek, gdyby trzeba było kogoś ewakuować.

- Możesz na nas liczyć, Wtajemniczony Jeden - obiecał Calrissian. - Przekażę tę wiadomość Tenel Ka.

- Niech Moc będzie z tobą, Lando.

- Lepiej, żeby była.

Luke i Mara, zajęci w przestworzach Contruuma dłużej niż przypuszczali, nie zdążyli na ceremonię z udziałem nasion-partnerów, ale wszyscy jej uczestnicy nie mówili o niczym innym jeszcze długo po tym, kiedy „Cień Jade” ponownie wylądował na powierzchni Zonamy Sekot.

Nie ukrywając zachwytu, Kyp, Corran i Saba opowiadali, jak poprowadzono ich przez most i tunel o ścianach z laminy na przestronny dziedziniec, wypełniony Ferroanami w różnokolorowych odświętnych strojach. Poddani przedtem specjalnej diecie kandydaci Jedi mieli na sobie szaty przewiązane szarfami ozdobionymi krwistoczerwonymi owocami przypominającymi miniaturowe dynie. Pani magister Jabitha i Ferroanie odśpiewali inwokację, po czym każdy kandydat musiał złożyć jakiś dar i przedstawić się Sekot. Przypominało to Kypowi ceremonię, jaka odbyła się cztery lata wcześniej na powierzchni Ithora. W końcu nasiona - po wyłonieniu się ze skorup wyglądały jak blade spłaszczone kule z czarnymi punkcikami oczu i krótkimi, chwytymi kończynami - odłączyły się od nosicieli. Trafiły do rąk cyborgów, którzy mieli wezwać błyskawice i nadać kształt wytworzonym z nasion żyjącym statkom. Wyhodowane przez pierwszych magistrów Zonamy Sekot cybernetyczne organizmy nazywały się Jentari.

Luke, który od każdego z obecnych tam Jedi usłyszał osobną relację z ceremonii, czuł się niemal, jakby w niej sam uczestniczył. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy żyjące statki. Sekot odbyła wcześniej rozmowę z Danni i Cilghal na temat dovin basali, a Lowbacca i pozostali starali się wymyślić sposób łączności między żywymi statkami za pomocą komunikatorów.

Mistrz Jedi po zapoznaniu się z wszystkimi informacjami doszedł do wniosku, że zdanie relacji z wydarzeń w przestworzach Contruuma musi poczekać na właściwą chwilę. W końcu postanowił zrobić to w zajmowanej przez siebie i Marę jaskini w zboczu góry, mimo że w zebraniu miało uczestniczyć tylko kilkoro Jedi: Jacen, Jaina, Kyp, Corran, Saba, Tahiri i Danni, a także Han, Leia, magister Jabitha, Harrar, C-3PO i R2D2.

Pierwszy zareagował na długie opowiadanie wujka Luke'a młody Solo.

- Wyjaśniłeś admirałowi Kre'feyowi, co zrobi Mózg Świata, jeżeli Coruscant zostanie zaatakowana? - zapytał.

- Połowa dowódców zlekceważyła twój raport - przyznał Luke. - A druga połowa zachowywała się, jakby po prostu w niego nie wierzyła.

Han jęknął rozpaczliwie.

- Zapomnijmy na chwilę o Mózgu Świata - zaproponował. - Czy w ogóle Kre'fey da radę się przedrzeć przez zaporę planetarnych dovin basali?

Mara spojrzała na męża.

- Wiesz, nigdy tak naprawdę nie udzielili nam odpowiedzi na to pytanie - przypomniała.
- Sow powiedział tylko, że nie martwi się o dovin basale.

- Chyba nawet wiem, dlaczego - stwierdził mistrz Jedi. - Zonama Sekot nie tylko odciągnęła z orbity jeden księżyc Coruscant, ale także zupełnie rozwaliła planetarny pierścień, stworzony przez Yuuzhan Vongów z rozbitego przez nich satelity. Dovin basale mają pewnie tyle roboty z pochłanianiem spadających odłamków i okruchów, że nie poradzą sobie z błyskawicami laserowych strzałów, udarowymi raketami i wszystkim innym, co zamierza Kre'fey przeciwko nim użyć.

- To nie powstrzyma Mózgu Świata przed wykonaniem zadania - ostrzegł Jacen.

- To prawda - przyznał Harrar i spojrzał pytająco na młodego Solo.

- Kiedy przebywaliśmy w Nieznanych Rejonach, nie dałem rady nawiązać łączności z dhuryamem - ciągnął Jacen. - A kiedy stamtąd wróciliśmy, już go nie wyczuwałem w taki sam sposób jak poprzednio.

- Więc prawdopodobnie Shimrra zawarł z nim jakąś umowę - domyślił się Yuuzhański arcykapłan, zerkając na mistrza Skywalkera. - Musicie zrozumieć, że Shimrra nie jest zwyczajnym Yuuzhaninem. Ma udoskonalone ciało i umysł, a jego potęga jest większa niż poprzednich najwyższych lordów.

Zatroskana Leia ciężko westchnęła.

- Zginą setki tysięcy, a planeta przestanie nadawać się do zamieszkania - powiedziała.

- Chyba że wcześniej dobierzemy się do Shimrry - stwierdził Luke.

Harrar kiwnął głową.

- Najwyższy lord jest naszą ostateczną bronią - zaczął. - Nie wygramy tej wojny, jeżeli go nie pokonamy. Shimrra jest naszym jedynym łącznikiem z bogami, więc jego schwytanie albo śmierć wprowadzi zamieszanie w szeregi wojowników Nasa Choki i kapłanów Jąkana. Pozbawieni wstawiennictwa Shimrry bogowie nie będą w stanie pomóc ani w żaden sposób

interweniować w przebieg wojny. Musicie jednak wiedzieć, że schwytanie Shimrry, nie wspominając o zabiciu go, może się okazać niezwykle trudne. Najwyższego lorda chronią nie tylko świetnie wyszkoleni strażnicy, ale także sam światostatek, który słucha jego rozkazów, podobnie jak Yuuzhan'tar słucha rozkazów Mózgu Świata.

- Czy istnieje jakiś sposób przedostania się do jego Cytadeli? - zainteresował się Luke.

- Armada będzie odpierała atak, dovin basale i Mózg Świata zajmą się pochłanianiem okruchów księżyca i energii strzałów, Zhańbieni wzniesą bunt... - zaczął wyliczać arcykapłan i z namysłem pokiwał głową. - Tak, niewielki oddział może się tam dostać - stwierdził w końcu. - Mógłbym nawet wskazać wam najlepszą drogę.

- Zrobiłbyś to? - podchwyciła Leia, spoglądając na Harrara.

Kapłan pokiwał głową.

- Powiedziałem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc wam zakończyć tę wojnę - przypomniał. - Na razie nie wydarzyło się nic, co zmusiłoby mnie do zmiany zdania.

- Ilu i kto spośród nas? - zapytał zwięźle Kyp.

Luke zastanowił się nad odpowiedzią na jego pytanie.

- Nie więcej niż sześć osób - odezwał się w końcu. - I ani jedna spośród tych, które czekają na sekotański statek.

Durron pokiwał głową, a Han i Leia wymienili niepewne spojrzenia.

- Co w tym czasie mają robić pozostali? - zapytał Solo.

Zanim Luke zdążył odpowiedzieć, do jaskini weszli Kenth, Cilghal i Lowbacca. Rosły Wookiee musiał się nisko pochylić, żeby nie uderzyć kosmatą głową o topornie ociosane belki podtrzymujące kamienne sklepienie jaskini.

- Ktoś nawiązał łączność z „Cieniem Jade” - domyślił się Luke.

- Sojusz odzyskał Corulaga - odparł zwięźle Kent. - Grupa szturmowa generała Antillesa otrzymała rozkaz przelecenia do przestworzy Muscave. Ma odciągnąć yuuzhańską armadę od Coruscant, żeby można było rozpocząć główną ofensywę.

- Więc w końcu wojna przyszła i do nas - odezwała się cicho Jabitha.

- Leci tu już „Błędny Rycerz” - dodała Cilghal. - Na wypadek gdybyście zamierzali ewakuować z powierzchni Zonamy Sekot Ferroan... czy kogokolwiek innego.

Jaina zerwała się na równe nogi.

- Powinnam być teraz w eskadrze - stwierdziła. Mara spojrzała na nią.

- Przecież jesteś, Jains - powiedziała.

- Nic podobnego - odparła oschle młoda Solo. - Nie czekam w kolejce na żyjący statek, a mój X-wing pozostaje cały czas na stacjonarnej orbicie.

- Miałam na myśli, że jesteś tu potrzebna - wyjaśniła spokojnie mistrzyni Jedi.

Zdezorientowana Jaina spojrzała na ciotkę. Han objął córkę.

- Zaczekajmy na rozwój sytuacji, dobrze? - zaproponował. Młoda Jedi bez słowa pokiwała głową.

- Czy nie powinniśmy ostrzec Sekot? - zaniepokoiła się Danni.

- Na pewno Sekot już się o tym dowiedziała - stwierdził Luke. - Sądzę, że właśnie dlatego zgodziła się dostarczyć nam statki.

- Musicie wiedzieć, że sekotańskie jednostki są przeznaczone wyłącznie do obrony - wtrąciła Jabitha. - Zonama dysponuje systemami broni zaczepnej, ale od jakiegoś czasu Sekot nie wspomina o nich ani słowa.

Mara przeniosła spojrzenie na męża.

- Prawdopodobnie to te same, którymi się posłużyła do odparcia ataku Przybyszów z Dali i unicestwiła siły zbrojne komandora Vala w systemie Klasse Ephemory - odezwał się mistrz Jedi.

- Luke, mówimy o armadzie - przypomniał Han. - Sekot postąpiłaby rozsądnie, gdyby zechciała trzymać na biegu jałowym jednostki napędu nadświetlnego.

Jabitha pokręciła głową.

- Ucieczka nie wchodzi w rachubę, bo byłaby dowodem strachu - oznajmiła. - Zonama Sekot nie ucieknie drugi raz... zwłaszcza teraz, kiedy gra toczy się o tak wysoką stawkę.

Zdezorientowana Danni powiodła spojrzeniem po twarzach osób zgromadzonych w jaskini.

- Przecież to wszystko się nie liczy, nie sądzicie? - zapytała. - Jeżeli Zonama Sekot oznacza złą wróżbę dla Yuuzhan Vongów, Shimrra powinien rozkazać swoim wojskowym, żeby trzymali się od niej jak najdalej.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na Harrara.

- To zależy od tego, kto o tym wie... i ile. - Kapłan pogładził brodę trójpalczastą dłonią. - Zakładając, że wojownicy co nieco słyszeli o Zonamie Sekot, powinni najpierw zostać przekonani, że atak na planetę nie będzie równoznaczny ze sprzeciwieniem się woli bogów. -

Uniósł głowę, jakby nagle coś zrozumiał. - Ale Shimrra może też ich przekonać, że Zonama Sekot jest czymś w rodzaju broni Jeedai, która po prostu musi zostać zniszczona.

- Ile czasu upłynie, zanim żyjące statki staną się gotowe do walki? - zainteresował się Kyp, spoglądając na Jabithę.

- Na wszystko przyjdzie odpowiednia pora - odparła pani magister. - Już Sekot tego dopilnuje.

R O Z D Z I A Ł 34

Czekając, aż potężne dovin basale „Góry Yammki” wciągną okręt do ciemnych przestworzy przed pokonaniem krótkiej drogi do usytuowanego dalej od słońca tego systemu planety, zwanej Muscave, wojenny mistrz Nas Choka rzucił jeszcze raz okiem na powierzchnię Yuuzhan'tara. W ciągu krótkiego okresu od odlotu armady do przestworzy Kalamara otulona skłębionymi chmurami zielona półkula planety zmieniła się nie do poznania. Z otworów w zboczach wulkanów wydobywały się kłęby gryzącego dymu, przepadł gdzieś jeden księżyc, a most bogów zawalił się i zniknął... prawdopodobnie pochłonięty, kawałek po kawałku, przez orbitalne dovin basale, które miały chronić planetę przed atakiem. Tym razem z okazji odlotu armady nie urządzono żadnej ceremonii. Nie było pożegnalnych błogosławieństw Shimrry ani nawet poświęconej krwi dla wojowników i okrętów.

Wszystko wskazywało na to, że Yuuzhan'tar jest bezbronny i kiepsko przygotowany do defensywy, ale Nas Choka święcie wierzył, że o wszystko zatroszczy się najwyższy lord Shimrra. Wojenny mistrz był pewien, że Yuuzhan'tar wpadnie w ręce nieprzyjaciół tylko w przypadku, kiedy jego armadzie nie uda się unicestwić Zonamy Sekot. Gdyby do tego doszło, nie miałby szans przeżyć, żeby być świadkiem, jak planeta dostaje się w ręce wroga. Taka sytuacja oznaczałaby także kres Yuuzhan Vongów - i to całej rasy inteligentnych istot, która zostałaby uznana przez bogów za niegodną. Bogowie musieliby jeszcze raz ukształtować istoty godne wychowywania, podobnie jak robili to trzykrotnie, zanim powołali do życia Yuuzhan Vongów.

Nas Choka zgadzał się z opinią Shimrry o Zonamie Sekot. Kolejny raz najwyższy władca dowiódł swojej mądrości, co tylko jeszcze mocniej utwierdziło wojennego mistrza w przekonaniu, że dokonał słusznego wyboru, kiedy opowiedział się po stronie Shimrry, dopomógł

mu obalić Quoreala i zasiąść na polipowym tronie.

Mimo to Nas Choka żywił głęboko skrywaną nieufność do bogini Zwodzicielki, Yun-Harli. Powierniczką jednej z jej kapłanek była przecież kiedyś upierzona zdrajczyni Vergere. Chodziły przy tym słuchy, że Eminencja Harrar, który także oddawał cześć tej bogini, zniknął bez śladu z powierzchni Yuuzhan'tara. Najgorsze jednak, że bez niczyjego wstawiennictwa Zwodzicielka pozwoliła, żeby jakiś czas udawała ją Jedi, więc dlaczego nie miałyby obecnie zdradzić Yuuzhan Vongów? Prawdopodobnie miała dość protekcyjnego traktowania przez Yun-Yuuzhana i Yun-Yammkę. Kto wie, może zamierzała doprowadzić do zniszczenia tego, co stworzył Yun-Yuuzhan, zwodząc Shimrę, żeby zawierzył fałszywemu objawieniu?

Pragnąc umocnić władzę swoją i swoich wojowników, Nas Choka rozkazał, żeby armadzie towarzyszyła grupa kapłanów Yun-Yammki. Kapłani pobrali krew z języków i uszu każdego bez wyjątku najwyższego dowódcy, dali ją do spożycia ngdinom, umieścili napęczniałe stworzenia w koralowym skoczku i wysłali myśliwiec w pustkę przed frontem armady.

W końcu wojenny mistrz zaplótł ręce za plecami i odwrócił się tyłem do obserwacyjnego bąbla, skąd rozciągał się widok na powierzchnię Yuuzhan'tara. Zrobił kilka kroków po chropowatym pokładzie, aż przystanął przed chórem villipów, a dogładająca go opiekunka skłoniła się na znak posłuszeństwa.

- Chciałbym porozmawiać z mistrzynią przemian przebywającą na pokładzie zakażonego statku - zażądał Nas Choka.

Opiekunka pogładziła odpowiednie stworzenie, a villip przeniecował się i ukazał udręczoną twarz mistrzyni przemian, która została zakażona na powierzchni Caluuli.

- Mój jedyny pozostały przy życiu villip zdycha, wojenny mistrzu - zameldowała popielatoskóra Yuuzhanka. - Nie ma dość sił, żeby przedstawić twój wizerunek, ale mam nadzieję, że jeszcze jakiś czas da radę przekazywać twoje słowa.

- Interesuje mnie stan zdrowia twój i członków twojej załogi, mistrzyni - odezwał się Nas Choka. - Czy masz dość sił, żeby wykonać to, co zostało ci rozkazane?

Słowa wydobywały się z trudem spomiędzy grubych warg zakażonej Yuuzhanki.

- Czterech uśmiercicieli skonało, ale sześciu nadal żyje... to powinno wystarczyć do pilotowania zdychającego statku. Żyjemy tylko dzięki chemicznym substancjom, które wymieszałam i dałam wszystkim do spożycia, zanim zostałam sparaliżowana. Mimo to mój

koniec się zbliża, wojenny mistrzu.

- Jeżeli znajdzie taka potrzeba, wyślę krzepkich wojowników i młode villipy, żeby ci pomogli, mistrzyni, ale pod warunkiem że nie dopuścisz do śmierci statku - zapewnił Nas Choka.

- Gdyby zdechł, zanim dotrzemy do Zonamy Sekot, wszystko będzie stracone.

- Obawiam się, że statek nie ma dość sił, żeby wskoczyć do ciemnych przestworzy, wojenny mistrzu - odparła Yuuzhanka.

Nas Choka zgrzytnął spiczastymi zębami i odwrócił się do głównego taktyka.

- Doradź mi, co w takiej sytuacji można zrobić! - zażądał gniewnie.

- Pozwól, żeby zakazony statek został wchłonięty przez większą jednostkę, wojenny mistrzu - zaproponował podwładny. - Poświęcisz wprawdzie jeszcze jeden okręt i jego załogę, ale przynajmniej wykonasz zadanie.

Nas Choka pokiwał głową i odwrócił się znów w stronę villipa.

- Mistrzyni, wydaj rozkaz pokładowym dovin basalom, villipom i systemom uzbrojenia, żeby udały się na spoczynek - rozkazał. - Wyślę okręt wystarczająco duży, żeby was pochłonął i przeskoczył z wami przez ciemne przestworza do Zonamy Sekot. Kiedy już się tam znajdziecie, pozostali przy życiu uśmierciciele wylecą zarażonym statkiem z osłony i zajmą się jego dalszym pilotowaniem. Później zaś wylądujesz statkiem na powierzchni żyjącej planety pod osłoną eskorty, którą uznam za stosowne wam przydzielić.

- Nie zasłużyłam na ten zaszczyt, wojenny mistrzu - wymamrotała konająca Yuuzhanka.

- Jeżeli wykonasz zadanie, czekają cię niewyobrażalne zaszczyty, mistrzyni - zapewnił Nas Choka. - Jeżeli jednak zawiedziesz, możesz się spodziewać najgorszej nienawiści za to, że skazałaś na zagładę wszystkie istoty naszej rasy.

Kiedy villip mistrzyni przemian z powrotem się przeniecował, wojenny mistrz dał taktykowi znak, żeby podążył za nim do przezroczyściego bąbla obserwacyjnego komnaty dowodzenia.

- Czego się dowiedziałeś o planach naszych nieprzyjaciół? - zapytał.

- W sąsiedztwie planety Muscave zgromadziła się grupa szturmowa Sojuszu, która zaatakowała Corulaga, a także większa formacja okrętów szturmowych przysłanych z przestworzy okolic Contruuma - zameldował podwładny. - Nieprzyjaciele zajmują w tej chwili pozycje między nami a celem naszej wyprawy.

- To część naszej próby - stwierdził rzeczowo Nas Choka. - Zanim podejmiemy walkę z

żyjącą planetą, którą bogowie uznali za słuszną złożyć w ich ręce, musimy się przedrzeć przez szereg okrętów ich floty.

- Nieprzyjacieli kusi nas, żebyśmy się oddalili od Yuuzhan'tara - stwierdził taktyk.
- Rzeczywiście, wymyślili sprytny plan - przyznał niechętnie Nas Choka.
- Może sobie tego nie uświadamiają, ale mogą liczyć na współudział bogów.

Wojenny mistrz zacisnął prawą pięść.

- My postąpimy tak samo w przestworzach Muscave - zdecydował. - Staniemy się dla nich kuszącą przynętą, żeby nasz zatruty cień mógł dolecieć do celu. Zjawimy się przed nimi jak wojownik ruszający do walki z uniesionym amphistaffem! - Pokiwał głową, jakby przybyło mu pewności siebie. - Czy wiadomo, kiedy wróg przyleci w okolice Yuuzhan'tara? - zapytał.

- Dowódcy Sojuszu już rozdzielili okręty floty, które się zgromadziły w przestworzach Contruuma - zameldował podwładny. - Grupy, których już tam nie ma, prawdopodobnie wskoczyły do ciemnych przestworzy i w czasie naszej nieobecności wyłonią się w przestworzach Yuuzhan'tara. Nadlecą z kierunków, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Dla porównania zbadaliśmy pamięć villipów używanych podczas bitwy o Ebaqą Dziewięć. Tam także nieprzyjaciele wykorzystali wiodące przez ciemne przestworza korytarze, o których istnieniu nie mieliśmy przedtem pojęcia. Na tym jednak kończą się wszelkie podobieństwa. Kiedy wbijemy naszą włócznię w ciało Zonamy Sekot, nie będziemy nawet musieli toczyć walk na jej powierzchni ani w bezsensowny sposób polować na Jeedai. Bogowie będą usatysfakcjonowani że zdaliśmy egzamin, i opowiedzą się po stronie naszej armady, a wtedy bez trudu wytępiemy wszystkich Jeedai.

Nas Choka uśmiechnął się półgębkiem.

- To rzadka okazja, kiedy dzielni wojownicy mają możliwość zmierzyć się twarzą w twarz po raz drugi, choć na innym polu walki - powiedział i zamyślił się na chwilę. - Wciąż żadnej wiadomości od domów Muyl i Lacap? - zagadnął w końcu.

- Żadnej - potwierdził taktyk. - Ich jednostki wojenne pozostają cały czas w gwiazdnych systemach, którymi ich nagroził najwyższy lord Shimrra.

Nas Choka cofnął wytatuowaną górną wargę i obnażył ostre zęby.

- Więc także ich spotka szybka i ostateczna kara - zawyrokował.

Nie trzeba było się urodzić na Coruscant, żeby wiedzieć, że planeta pamięta lepsze czasy. Wyświetlane podczas odpraw hologramy nie oddawały wszystkich zmian, jakich

Yuuzhanie dokonali na jej powierzchni, ani obrażeń odniesionych w wyniku niespodziewanego pojawienia się Zonamy Sekot na jej niebie. Na ogromnych obszarach planety, która dawniej była równie zielona jak chissańska stolica Csilla biała, widniały czarne plamy po szalejących pożarach i wijące się niczym węże rubinowe wstęgi płynącej lawy.

Kiedy szponowiec Jaga wyleciał z czeluści hangaru gwiazdowego niszczyciela „Praworzędność”, pilot od razu zwrócił uwagę na ogromniszczeń. Kilka minut później wyłoniły się pozostałe szponowce i X-wingi Eskadry Bliźniaczych Słońc, a piloci utworzyli szyk w kształcie klina. Po stronie bakburty Jaga i trochę z tyłu leciały Łotry, a po stronie sterburty Widma i Żółte Asy z Taanaba. Pośrodku szyku, osłaniane przez niemal kompletny pułk gwiazdnych myśliwców, unosiły się trzy lekko opancerzone transportowce wojska. Dwa pochodziły z tych samych czasów co stusiedemdziesięciometrowej długości pękaty „Rekordowy Czas”, który Yuuzhan Vongowie złożyli w ofierze na Coruscant krótko po zdobyciu planety. Trzeci był pochodzącą jeszcze sprzed okresu rządów Imperium, niemal czterystumetrowej długości jednostką, która mogła być poprzedniczką samej „Praworzędności”.

Zaledwie godzinę wcześniej większość okrętów yuuzhańskiej armady przyspieszyła do prędkości światła i zniknęła w nadprzestrzeni, lecz wojenny mistrz Nas Choka pozostawił na orbicie wystarczająco wiele jednostek, żeby stawić czoło flotom Sojuszu. Wojskowi dysponowali wprawdzie gwiazdnymi niszczycielami, kalamariańskimi krążownikami i koreliańskimi kanonierkami, które wyskakiwały z niestrzeżonych punktów wylotowych, ale Yuuzhan Vongowie mieli dość sił, żeby odeprzeć atak każdej grupy szturmowej.

Nieprzyjacielska flotylla, która pospiesznie zajęła pozycje do walki z jednostkami Czwartej Floty, składała się z odpowiedników lekkich krążowników i krążowników szturmowych. Z ich kadłubów wystawały rozwidlone ramiona z wyrzutniami plazmy i gronami przyczepionych skoczków. Kiedy z hangarów okrętów liniowych Sojuszu wyleciały eskadry gwiazdnych maszyn, piloci yuuzhańskich myśliwców oderwali się niczym pąkle i szybko pomknęli z górnych warstw atmosfery na spotkanie z myśliwcami nieprzyjaciół.

Jag przełączył komunikator na częstotliwość taktyczną pułku.

- Osłaniać trójki - rozkazał. - Trzymać się blisko transportowców wojska, ale spodziewać się zmiany kursu. Nie dawajcie się wciągać w indywidualne pojedynki.

Jego grupa szturmowa składała się po połowie z Chissów i pilotów Sojuszu, ale pierwszy raz od powołania do życia Eskadry Bliźniaczych Słońc w bazie Jedi, zwanej Zaćmieniem, pośród

pilotów nie było ani jednej osoby władającej Mocą. Jag latał kiedyś z Bliźniaczymi Słońcami w przestworzach Borleias, kiedy eskadrą dowodziła Jaina, i towarzyszył jej niemal cały poprzedni rok podczas walk w przestworzach Galantosa, Bakury i innych kampaniach. Wyszkolenie, jakie odebrał, w połączeniu z głębokim uczuciem, jakim darzył Jainę, nasuwało mu czasem pytanie, czy przypadkiem i on nie stał się wrażliwy na podszepty Mocy... albo przynajmniej na sposób, w jaki władała nią Jaina. W przestworzach Hapes, a ostatnio także w okolicy Kalamara, kiedy jej X-wing został poważnie uszkodzony, chyba intuicyjnie wyczuł błaganie młodej Jedi o pomoc. Pozbawiona łączności z pilotami własnej eskadry Jaina uwolniła myśli dzięki Mocy i Jag ją usłyszał... w każdym razie na tyle wyraźnie, żeby zrozumieć i przekazać skrzydłowemu jej prośbę. Tym razem jednak Jaina nie brała udziału w walce. Jeżeli wierzyć słowom Gavina Darklightera, przebywała na powierzchni Zonamy Sekot. Pod jej nieobecność Jag miał większe kłopoty z nawiązaniem kontaktu myślowego z pozostałymi pilotami, chociaż utrzymywał silną więź z biorącymi udział w walce Chissami, a zwłaszcza ze Shawnkyr i Eprill.

- Wzywam dowódcę Bliźniaczych Słońc - odezwał się operator kontroli „Praworządności”. - Skieruj swój pułk do sektora Sabak kursem zero-sześć-sześć. Spróbujemy oświetlić wam drogę.

Jag brał udział w walce obok okrętu floty wielkiego admirała Pellaeona w przestworzach Esfandii, gdzie nabrał zaufania do operatora kontroli gwiazdowego niszczyciela.

sześć.

- Zrozumiałem, „Praworządność” - powiedział. - Kładę się na kurs zero-sześć

Zatoczył szeroki łuk w kierunku gwiazdy, dzięki czemu transportowce i eskortujące je myśliwce Sojuszu znalazły się nad tą częścią powierzchni Coruscant, którą zalewały pierwsze promienie wschodzącego słońca. Zaledwie grupa szturmowa zdążyła się oddalić od gwiazdowego niszczyciela, artylerzyści wszystkich sterburtowych baterii czterolufowych laserów dali ognia. Niedaleko „Praworządności” leciały podobnie usytuowane względem powierzchni planety dwa kalamariańskie okręty klasy MC80B i krążownik „Nieustraszony”. Ich artylerzyści także włączyli się do akcji i zaczęli posyłać oślepiające sztychy turbolaserowych strzałów. Połowa błyskawic pomknęła w kierunku nadlatujących skoczków, których dziesiątki w mgnieniu oka wyparowały, a pozostałe poleciały w stronę resztek otaczającego Coruscant pierścienia księżycowych odłamków. Ogromne skalne bryły, rażone potężnymi salwami spójnego światła i niosącymi ogromną energię protonowymi torpedami, pękały i rozpadały się na tysiące

mniejszych kawałków. Okruchy opadały ku powierzchni Coruscant niczym ogniste meteory, z którymi planeta się nie zetknęła prawdopodobnie od czasu, kiedy zakrzepła.

Kiedy koziółkujące w locie bryły dotarły do górnych warstw atmosfery, zaczęły się przed nimi pojawiać ogromne czarne dziury. Wytwarzające je orbitalne dovin basale były jednak i bez tego przemęczone, wiele odłamków przeleciało więc między nimi i wniknęło w głąb atmosfery, gdzie przemieniły się w ogniste kule.

Jag wiedział, że operatorzy skanerów z pokładów okrętów liniowych Galaktycznego Sojuszu badają rozmiary i porównują natężenie grawitacyjnych anomalii, a także rejestrują trajektorie meteorów, które prześliznęły się między nimi. Młody pilot mógł być pewny, że po zidentyfikowaniu najbardziej przemęczonych dovin basali ich pozycje zostaną przekazane załogom transportowców i pilotom gwiazdnych maszyn.

Niespełna dwa lata wcześniej załoga transportowca wojska „Rekordowy Czas” dostarczyła na powierzchnię Coruscant ładunek w postaci pilotów Eskadry Widm i Jedi w jednoosobowych pojemnikach, ale dokonała tej sztuki, zanim jeszcze na orbicie planety zostały rozmieszczone dovin basale. Na szczęście obecnie nikt nie musiał się kryć ze swoimi zamiarami. Jak powiedział nieco wcześniej ktoś Jagowi w przestworzach Contruuma: „Jeżeli nie damy rady spuścić im na głowę księżyc, możemy chociaż sprawić, żeby z nieba spadały na nich skały”.

- Uwaga, piloci Bliźniaczych Słońc - odezwał się znów operator kontroli „Praworządności”. - Macie wolną drogę na kierunkach cztery-dwa-trzy i cztery-dwa-pięć. Rothański transportowiec zmienia kurs, żeby podążyć za wami.

Jag przekazał meldunek podwładnym, chociaż tę poprawkę kursu otrzymały też z pewnością nawigacyjne komputery w kabinach wszystkich myśliwców. Lecąc dwójkami i trójkami, piloci Eskadry Bliźniaczych Słońc zajęli pozycje po obu stronach kadłuba archaicznego transportowca w kształcie klina i zaczęli kierować go w stronę strefy infiltracji. Piloci koralowych skoczków zmienili wektory, żeby dostosować je do trajektorii lotu gwiazdnych maszyn, i zaatakowali je ze wszystkich stron równocześnie. Przez chmurę kamiennych okruchów przedarły się kule plazmy i strugi stopionej skały.

Lecąc blisko skraju pól ochronnych transportowca, Jag czuł, jak jego szponowiec kołysze się po eksplozji każdego pocisku, jaki znajdował drogę do celu. Z głośnika pokładowego komunikatora wydobywał się jazgot głosów pilotów, którzy ostrzegali o atakach nieprzyjaciół albo meldowali o stanie własnych maszyn. W pewnej chwili kulistą kabinę „Bliźniaczej Jedynki”

rozjaśnił błysk, który pojawił się za ogonem szponowca. Jag spojrział na ekran monitora i zauważył, że z szyku zniknęły „Bliźniacza Ósemka” i „Jedenastka”. Pozbawiony miejsca do manewrowania, starał się, żeby każdy strzał trafiał do celu, ale piloci koralowych skoczków mieli nad nimi przewagę. Mogli wykonywać uniki, podczas gdy piloci gwiazdnych maszyn musieli chronić powierzone ich opiece transportowce.

Starannie mierzone błyskawice laserowych strzałów z pokładu „Praworządności” utworzyły w końcu wokół transportowców i eskortujących ich myśliwców korytarz niszycielskiej energii. Kilkanaście następnych skoczków padło ofiarą pochłaniających meteory dovin basali. W pewnej chwili unoszący się nad mroczną częścią planety yuuzhański odpowiednik krążownika, rażony strzałami trzech okrętów Galaktycznego Sojuszu, rozleciał się na kawałki. Inna jednostka, z której śródkręcia strzelały jężory ognia, obróciła się leniwie, opuściła orbitę i zaczęła opadać w górne warstwy atmosfery.

Dovin basale starały się rozpaczliwie wybierać najważniejsze cele, ale z każdą chwilą przelatywało obok nich więcej skalnych brył i okruchów. Gigantyczne formy yuuzhańskiego życia były wprawdzie zmęczone, ale nadal stanowiły poważne zagrożenie dla każdej jednostki, której kapitan ośmieliłby się do nich zbliżyć. Na taką okazję transportowce wojska wyposażono w zaprojektowane przez Bakuran hiperfalowe inercyjne stabilizatory momentu, zwane w skrócie HISM-ami, które miały pozwolić statkom zachować szybkość nawet po zapuszczeniu się w głąb interdyscyjnego pola. Mimo to, kiedy w stocznicach Contruuma instalowano te urządzenia, mało kto pokładał w nich nadzieję, a Jag był jednym z pierwszych, którzy mieli okazję się przekonać dlaczego.

Gdy eskadra lecących na czele gwiazdnych maszyn mijala parę orbitalnych poczwiar Yuuzhan Vongów, w przestworzach pojawiły się dwie zachodzące na siebie grawitacyjne anomalie, które objęły spiczasty dziób pierwszego transportowca i gwałtownie ściągnęły go na sterburtę. Przystarzałe cylindryczne jednostki napędowe statku usiłowały skompensować nieoczekiwany skok grawitacji, ale nie sprostały tak poważnemu wyzwaniu. Naprędcie zainstalowany stabilizator momentu HISM także zawiódł, a chwilę później posłuszeństwa odmówiły generatory ochronnego pola. Transportowiec przechylił się na bok i zaczął pogrążyć w czeluści czarnej dziury. Od kadłuba oderwały się pancerne płyty, a moduły na pokładzie zniknęły w wirującej czarnej paszczy anomalii. Ze szczelin w kadłubie uchodziła cenna atmosfera i wylatywały niezabezpieczone przedmioty. W końcu w głębi statku coś eksplodowało i kadłub

rozpadł się na dwie części. Na zewnątrz wyleciały pojazdy terenowe, bojowe androidy i odporne na przeciążenia koje... niektóre z przypiętymi do nich wciąż jeszcze komandosami.

W mgnieniu oka Eskadra Bliźniaczych Słońc straciła trzy następne maszyny. Kapitan jednego z nowszych transportowców, lecącego po stronie bakburty i skąpanego w złocistym blasku słońca, kładł swoją jednostkę na inny kurs tak szybko, jak pozwalała masa ładunku. Piloci Eskadry Łotrów zmienili szyk, otoczyli statek i zaczęli go kierować ku atmosferze. Jag spojrział w prawo i w górę, czy nie wypatrzy tam drugiego transportowca, ale nigdzie go nie zobaczył. Zamiast tego dostrzegł Widma, toczące zwycięskie pojedynki z lecącymi w stronę Bliźniaczych Słońc pilotami koralowych skoczków.

W jego słuchawkach rozległ się znów głos operatora kontroli „Praworzędności”:

- Dowódco Bliźniaczych Słońc, połóżcie się na zero-zero-trzy. Macie odtąd eskortować transportowiec numer jeden. Kiedy usuniecie się z drogi, przetrzemy wam tunel na powierzchnię.

Jag szarpnął rękojęść dźwigni drążka sterowniczego i skręcił na bakburtę tak ostro, że siła odśrodkowa o mało nie wyrzuciła go z fotela. Kilkunastu pozostałych przy życiu pilotów jego formacji podążyło za nim, nie łamiąc szyku i starając się trzymać blisko jeden drugiego, żeby zwiększyć natężenie wspólnych pól ochronnych. Lecący przed nimi pierwszy transportowiec minął linię orbitalnych dowin basali i kierował się ku powierzchni. Opadał pod tak ostrym kątem, że wskutek tarcia o cząsteczki atmosfery tępy dziób statku jarzył się purpurowym blaskiem. Dwadzieścia lat wcześniej Coruscant została oswobodzona spod panowania Imperium dzięki wysadzonym na jej powierzchni przestępcom, którzy siali zamęt i dopuścili się sabotażu generatorów planetarnych pól ochronnych, ale tym razem wolność miała zależeć od tysięcy komandosów i garstki członków ruchu oporu, a także - choć było to mało prawdopodobne - od tego, czy ci ostatni nakłonią yuuzhańskich heretyków do wzniesienia powstania.

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią z pokładów okrętów liniowych Sojuszu posypały się niosące olbrzymią energię skupione błyskawice turbolaserowych strzałów. Ze skwierczeniem przecięły warstwy atmosfery, unicestwiły wszystko na swojej drodze i wypaliły na zielonej dotychczas powierzchni planety czarną plamę. Kiedy dokonały dzieła zniszczenia, w stronę ogołoczonego z roślinności terenu skierowali szybko swoje jednostki kapitanowie transportowców i piloci gwiazdnych myśliwców, strzelając po drodze do nielicznych koralowych skoczków, których piloci przeżyli ulewę śmiercionośnego ognia.

Gdy atmosfera na zewnątrz szponowca zgęstniała, Jag poczuł silniejsze drżenie rękojęści

dźwigni drążka sterowniczego, na której cały czas zaciskał palce prawej dłoni. Sam myśliwiec zadygotał, jakby miał się rozlecieć na kawałki, ale jakimś cudem pozostał cały. Jag zobaczył w dole pierwsze szczegóły powierzchni planety: porośnięte lasami kopce i iglice, a niżej szerokie doliny z zalegającą w nich mgłą, która nie zdążyła wyparować pod wpływem promieni słońca. Stopniowo zmniejszał kąt opadania, a kiedy już leciał mniej więcej równoległe do pożądananej powierzchni gruntu, skierował szponowiec prosto w słońce. Zauważył, że z najwyższych gałęzi drzew, przerażone rykiem nadlatującej maszyny, zrywają się stada czarnych ptaków o trzymetrowej rozpiętości skrzydeł. Na ekranie monitora nawigacyjnego komputera pojawiła się mapa konturowa rzeźby terenu z widocznymi budynkami i szczegółami tak zwanego świętego kwartału Yuuzhan Vongów. Obejmowała teren od stromej góry światostatku Shimrry, zwanego Cytadelą, aż do kopułopodobnej struktury, która mieściła i chroniła Mózg Świata. Jag wiedział, że ten kwartał był kiedyś najzamożniejszym i najmodniejszym rejonem planety. Licznik w dolnej części ekranu monitora pokazywał odległość do otoczonego gęstym lasem i pagórkami z koralu yorik spopielonego lądowiska.

Nagle spomiędzy otaczających wypalony teren drzew poleciały ku niemu strugi stopionej skały i ogniste kule. Przelatując nad lasem, Jag zauważył charakterystyczne, przypominające żagle płyty grzbietowe opancerzonych zwierząt, które Yuuzhanie nazywali rakamatami, a żołnierze Sojuszu po prostu potworami. Niebiesko-zielone gady miały rozmiary niewielkich budowli i udowodniły na Borleias, że powstrzymanie ich jest prawie niemożliwe.

Upewnił się, że jego pokładowy komunikator jest nadal przełączony na kanał taktyczny.

- Źródłem tej plazmy jest jakiś potwór, który zajmuje pozycję na wschód od lądowiska - zameldował. - Shawnkyr, Eprill... postarajcie się powstrzymać go na tyle długo, żeby komandosi Page'a mieli czas na wylądowanie.

- Już tam lecimy, panie pułkowniku - potwierdziła pierwsza Chissanka.

To ona podczas bitwy o Borleias usiłowała nakłonić Jaga do powrotu do przestworzy Chissów, ale w obecnej chwili służyła Sojuszowi równie gorliwie jak on.

Manewrując między nadlatującymi pociskami, Jag zatoczył łuk nad lasem. Kiedy zawracał w stronę eskortowanego transportowca, dostrzegł unoszący się dziesięć kilometrów na południe drugi statek. Nawet z tak daleka zauważył, że od dziobu do rufy pokrywają go grutchiny.

Żółte Asy leciały w ślad za transportowcem, którego pilot stracił panowanie nad sterami,

i starały się za pomocą laserów usuwać grutchiny z kadłuba, co przypominało wyłapywanie insektów z sierści zwierzęcia. Sądząc po tym, jak statek zbaczał z kursu coraz to w inną stronę, można było mieć pewność, że wytwarzające kwas kulistookie insekty przeżarły spore obszary kadłuba, a może nawet przedostały się do kabin. Jag przyglądał się bezradnie, jak skazany na zagładę transportowiec nurkuje w stronę lasu i wycina w nim szeroką płomienistą ścieżkę. Ślizgał się kilometr albo dwa, aż w końcu powoli zarył dziobem w głęboką rozpadlinę i zniknął.

W pobliżu wypalanej polany piloci tęponosych myśliwców Łotrów i Bliźniaczych Słońc, latając parami, cały czas ostrzeliwali rakamata i yuuzhańskich piechurów. Strzelając z laserów i posyłając protonowe torpedy, przemieniali okolicę w płomieniste piekło.

Kiedy kapitan pierwszego transportowca rozkazał włączyć repulsory i jego statek zawisnął nieruchomo w powietrzu kilka kilometrów od wypalanej polany, w spodzie kadłuba otworzył się luk dużego wjazdu. Pierwsze wyleciały przeciwwstrząsowe pojemniki z owiniętymi w piankę androidami typu ZYV. Zaraz po nich wyłonili się komandosi kompanii Page'a. Ubrani w bojowe biokombinezony żołnierze, korzystając z raketowych plecaków, wyskakiwali z prostokątnego otworu i lecąc łagodnie po spirali, jeden po drugim opadali na powierzchnię planety. Chwilę później wylądowali piloci Eskadry Widm, którzy szybko wyskoczyli z kabin.

Jag zawrócił i skierował się ponownie w stronę lasu.

Pilotowane przez Łotrów Gavina Darklightera X-wingi brzęczały niczym rozjuzzone szerszenie. Unikając lecących ku nim pocisków, piloci laserowymi błyskawicami razili w dole wszystko, co się poruszało. Jag chciał nawiązać z nimi łączność, gdy w ogon jego szponowca trafiła ognista kula, która rozerwała na strzępy sterburtowe panele z ogniwami słonecznymi i wprawiła maszynę w niekontrolowany korkociąg.

Młody pilot zdążył zobaczyć zbliżające się ku niemu korony drzew i spłachetki rozmiękłego gruntu. Kiedy jego myśliwiec zderzył się owiewką z miękką ściółką, usłyszał jeszcze skowyt, po czym ogarnęła go ciemność.

Za dziobowym iluminatorem luksusowo wyposażonej sterowni „Ślicznotki”, od mniej więcej trzech stopni nad płaszczyzną ekliptyki do prawie trzech stopni pod nią rozciągała się panorama przestworzy, wypełnionych stroboskopowymi błyskami i ognistymi kwiatami eksplozji.

Lando spojrział na Tendrę.

- To była salwa Sojuszu - zawiadomił.

Jego żona miała lekko otwarte usta i po każdym rozbłysku kręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- Nigdy nie widziałam niczego równie pięknego i zarazem strasznego - oznajmiła.

Tendra, wysoka nawet jak na Sakoriankę, miała błyszczące piwne oczy i pełne wargi. Wyglądała jak królowa.

Wyprodukowany przez korporację Sorosub luksusowy jacht w kształcie spłaszczonego grotu strzały zajmował pozycję mniej więcej pośrodku szyku floty Sojuszu, ale na tyle blisko czoła, żeby dalekosiężne skanery rejestrowały ciągłą wymianę ognia, chociaż nie indywidualne jednostki biorące udział w walce. Lando widział, że na pokładzie któregoś statku pełni służbę Wedge, a na innych przyjaciele i towarzysze broni, których znał jeszcze od czasu bitwy o Endora.

Nie pamiętał, kiedy czuł się taki zagubiony i samotny. Uścisnął dłoń żony, chcąc przekazać jej swoje uczucie... i udrękę.

Zaledwie zniknęły kwiaty ognistych eksplozji, w przestworzach pojawiło się coś w rodzaju ognistych komet. Nadlatywały z nieznanym źródłem i rozpryskiwały się na ochronnych polach okrętów zbyt odległych, żeby można było je rozróżnić, ale Lando zauważył, że w kilku przypadkach wywołują eksplozje. Odwrócił się do żony.

- Odpowiedź Nasa Choki - stwierdził cierpko.

Wyciągnął rękę do konsoli, wcisnął guzik przełącznika mikrofonu i obrócił się na fotelu w stronę pokładowego komunikatora.

- Obserwujecie to? - zapytał.

- Po prostu nie mogę oderwać oczu - odparł Talon z pokładu „Dzikiego Karrde’a”. Frachtowiec Talona zajmował pozycję pięćset kilometrów dalej w stronę Rubieży, a jego kapitan, podobnie jak właściciel „Ślicznotki”, na ogół zachowywał ciszę.

Między „Dzikim Karrde'em” a „Błędym Rycerzem” unosiły się dziesiątki gwiazdnych myśliwców, przerobionych jachtów i koreliańskich korwet, zwanych popularnie łamaczami blokad, których właściciele sprzymierzyli się z Sojuszem Przemysłowców. Gwiazdny niszczyciel Boostera Terrika zajmował pozycję najbliższą Zonamy Sekot, więc od odległego Stentata dzieliło go niemal trzy czwarte odległości między tymi planetami.

- Jak długo jeszcze zamierzamy przyglądać się beczynnemu? - zapytał Lando.

Talon roześmiał się z goryczą.

- Równie dobrze możemy w tej chwili dołożyć swój skromny, ale cenny wkład do dzieła zniszczenia - zauważył.

- Niech będzie. - Calrissian przerwał połączenie i wyprostował się na fotelu. Przygotowywał się do uruchomienia procedur przed-startowych jachtu, kiedy znów połączył się z nim Talon.

- Zaczekaj chwilę, bohaterze - powiedział. - Moje skanery rejestrują coś dziwnego. Przesyłam ci zestaw współrzędnych, bo może chciałbyś to obejrzeć na własne oczy.

Kiedy Tendra skierowała pokładowe skanery „Ślicznotki” w miejsce o podanych współrzędnych, Lando przeniósł spojrzenie na ekran monitora. Zauważył, że spora grupa yuuzhańskich okrętów odłączyła się od głównych sił armady, przyspieszyła i skierowała w stronę zwróconego ku słońcu skraju pola bitwy.

- Manewr oskrzydlający? - zapytał. - A może próba przeskoczenia za linię Galaktycznego Sojuszu?

- Raczej nie - odparł Karrde. - Kiedy wykonywali podobny manewr w przestworzach Kalamara, ich okręty przeskoczyły w okolice Contruuma.

Śniadolicy mężczyzna zmarszczył brwi.

- Do tej pory Kre'fey już dawno odleciał z przestworzy Contruuma - zaczął. - Czyżby Vongowie chcieli nakłonić grupę szturmową Antillesa, żeby ich ścigała?

- Mało prawdopodobne, żeby się im udało, jeżeli nie kierują się z powrotem na Coruscant - stwierdził Karrde.

Tendra pokręciła gałką potencjometru, żeby maksymalnie powiększyć obraz. Wspomagany przez komputer wizerunek ukazywał złożony z odpowiedników niszczycieli i ciężkich krążowników szyk w kształcie rombu, pośrodku którego leciał samotny, ale niewyróżniający się niczym szczególnym statek.

- Dysponują bardzo dużą siłą ognia - zauważył Calrissian.

- Zamierzają wskoczyć do nadprzestrzeni! - domyślił się Talon.

- Zdażyłeś zarejestrować współrzędne wektora, jakim chcą to zrobić? - zapytał Lando.

- Zaraz je będę miał - obiecał Karrde.

Chwilę później wypuścił głośno powietrze z płuc, jakby spotkała go niemiła niespodzianka.

- Zonama Sekot - domyślił się Lando.

- Czy przypadkiem tamten kapłan Vongów, Harrar, nie zapewniał, że Shimrra nie zamierza ryzykować ataku na planetę? - zapytał Karrde.

- Może nie zna najwyższego lorda tak dobrze, jak mu się wydawało?

- Chyba powinniśmy poinformować o tym Boostera.

Lando przerwał połączenie i odwrócił się do żony.

- Nawigacyjny komputer już oblicza współrzędne kursu na Zonamę Sekot - poinformowała Tendra.

Han delikatnie pogładził kadłub sekotańskiego statku, od którego promieniowała słaba poświata. Ciepła i idealnie gładka powłoka miała lśniący zielony kolor i wyglądała jak podświetlona od środka, co przywodziło na myśl bioluminescencję niektórych mieszkańców głębin oceanów. Spód kadłuba niemal stykał się z powierzchnią gruntu i poszerzał w okolicach kabiny. Statek składał się z trzech bezszwowo połączonych jajowatych modułów i wyglądał jak zmniejszona wersja wahadłowca, na którego pokładzie przylecieli na powierzchnię planety. W przeciwieństwie do wahadłowca statek był jednak uzbrojony w wyrzutnie plazmy, które mogły być - i prawdopodobnie były - wzorowane na systemach uzbrojenia koralowych skoczków.

Oniemiały z wrażenia Han wpatrywał się w zdumiewający statek. Sekotański myśliwiec był niewielki w porównaniu z „Cieniem Jade”, który spoczywał w pobliżu na utwardzonej płycie lądowiska. Miał rozmiary X-winga, ale bardziej przypominał archaicznego surroniańskiego Zdobywcę czy ostatni model kalamariańskiego gwiazdnego myśliwca. Przeznaczona dla pojedynczego pilota kabina miała ostry odcień organicznej czerwieni, a z paneli z przyrządami wydobywał się nieustannie pulsujący blask i cichy pomruk.

Łagodna poświata, jaka wydobywała się z głębi trój częściowego kadłuba, była najintensywniejsza wzdłuż ostrych jak brzytwy dziobowych krawędzi. W przeciwieństwie do nich krawędzie rufowe były łagodnie zaokrąglone, a jednostki napędowe umieszczono między dwoma tylnymi płatami. Han podsłuchał, jak magister Jabitha mówiła Kypowi, że konstruowane w zamierzonych czasach sekotańskie statki miały jednostki napędowe typu Haor Hall Siedem lekkiego statku gwiazdnego klasy Silver, z kosztownymi rdzeniami napędu nadświetlnego i organicznymi obwodami. Jednak te myśliwce, które Jentari zbudowali dla Jedi, nie zostały wyposażone w konwencjonalne jednostki napędowe... chyba że za typowe wyposażenie uznać odpowiedniki dovin basali.

Podobieństwo do koralowych skoczków nie kończyło się zresztą na urządzeniach napędu

grawitacyjnego i podobnych do wulkanów stanowiskach artylerii. Myśliwce wymagały wprawdzie obecności pilota, z którym związało się nasienie-partner, ale były żywe i do pewnego stopnia zdolne do podejmowania niezależnych decyzji.

Nie tylko Han nie posiadał się ze zdumienia. Pracując nawet w wolnym czasie, Jentari zdążyli ukształtować statki dla wszystkich Jedi, którzy uczestniczyli w nieco wcześniejszej ceremonii. Sekotańskie myśliwce, dostarczane bezpośrednio z cybernetycznych linii montażowych przez sterówce w kształcie ogromnych płaszczyk, stały sfłoczone na usytuowanej na krawędzi kanionu platformie ładowniczej. Żaden statek jeszcze się nie wzbił w powietrze, ale Solo wyczuwał podniecenie pilotów - Kypa, Corrana, Lowiego, ciemnonocnego Markre Medjeva, Vaxarna Kela o twarzy poznaczonej bliznami, krępej Chandrilki Octy Ramis, szczupłego Tama Azur-Jamina, szarmanckiego Kyle'a Katarna, wiecznie posępnego Zekka, Barabelki Saby Sebatyne i Twi'lekanki Alemy Rar. Każde okręgało swój statek, podobnie jak on nie przestawał chodzić wokół myśliwca Kypa.

- No cóż, to nie to, co „Sokół” - odezwał się w końcu. - Ale i tak jestem pewien, że się nada, dopóki się nie pojawi następny żywy statek.

Durronek oderwał oczy od myśliwca, spojrzął na Hanę i wybuchnął śmiechem.

- Jaka szkoda, że nie mogę ci zaproponować, byś nim polatała - powiedział.

Solo pokiwał smętnie głową.

- Ta-a, ja też tego żałuję.

Zaabsorbowany wyłącznie sekotańskim myśliwcem Han nie zauważył podchodzącej Leii, dopóki żona nie wsunęła dłoni pod jego rękę i nie oparła głowy na jego ramieniu. Odwrócił się do niej, przekonany, że powita go uśmiechem, ale na jej twarzy zobaczył niepokój.

- Co się stało? - zapytał.

- Luke właśnie dostał wiadomość od Boostera - odparła księżniczka. - Kieruje się do nas grupa szturmowa Yuuzhan Vongów.

Han otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Sądziłem... - zaczął.

Nie dokończył, bo na platformie ładowniczej pojawili się Luke, Mara, Jaina, Danni, Kenth i kilkoro innych Jedi. Pochód zamykali magister Jabitha, Jacen i Harrar. Piloci przestali oglądać sekotańskie myśliwce i dołączyli do kręgu, który od razu utworzył się wokół mistrza Skywalkera.

- Mieliśmy nadzieję na więcej czasu, ale wszystko wskazuje na to, że nic z tego - zaczął Luke. - Lecą do nas Yuuzhanie, co oznacza, że musicie szybko wystartować i odbyć przyspieszony kurs pilotażu. - Odwrócił się w stronę Tesara Sebatyne'a. - Ty i pozostali Dzicy Rycerze polecicie wahadłowcem do swojej kanonierki i gwiazdnych maszyn.

Saba kiwnęła głową synowi.

- Pomyślnych łowów, Tesarze - powiedziała.

- Czy teraz będę mogła zasiąść za sterami swojego X-winga? - zainteresowała się Jaina.

Mara rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Już o tym rozmawialiśmy - przypomniała. - Ale...

- Czy mogę coś powiedzieć? - wtrącił Harrar. Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Zakładając, że niektórzy spośród was polecą na Coruscant, wasza grupa szturmowa skorzysta, jeżeli w jej skład wejdą zarówno Jaina, jak i Jacen Solo - zaczął. - Nasi wojownicy są bardzo przesądni, więc obecność czczonych przez nich bliźniąt Jedi, i to razem, może wielu odebrać ochotę do walki. Schwywanie kogoś takiego jak Jaina Solo oznaczałoby dla nich coś więcej niż jej śmierć. - Kapłan urwał i powiódł spojrzeniem po twarzach zebranych. - Nasze siły zbrojne poniosły porażkę w przestworzach Borleias, bo najwyższego dowódcę Czulkanga Laha opętała żądza schwytania Jedi, którą kojarzono z Yun-Harlą. Ja także popełniłem wówczas błąd, bo popierałem jego poczynania.

Tahiri spojrzała na Jainę.

- W przestworzach Borleias nie pozwoliłam ci towarzyszyć Luke'owi i Marze na Coruscant, bo się obawiałam, że twoja obecność stworzy dla nich zagrożenie - wyznała. - Teraz jednak zgadzam się z Harrarem, że powinnaś polecieć.

Młoda Solo zaplotła ręce na piersi.

- Miło słyszeć, jak wszyscy beztrosko decydują o moim przeznaczeniu - stwierdziła.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, z kręgu wystąpiła Magister Jabitha.

- Sekot prosiła, żeby Cilghal, Tekli i Danni Quee pozostały na powierzchni Zonamy - oznajmiła.

Zdezorientowana badaczka spojrzała na mistrza Skywalkera.

- Liczyłam na to, że polecę z tobą i Marą na Coruscant - powiedziała.

Luke pokręcił głową.

- Sekot uważa chyba, że jesteś potrzebna tutaj - odparł zwięźle.

- Jeżeli ja mogę się pogodzić z tym, że nie polecę, ty także możesz się pogodzić z tym, że zostaniesz - odezwała się Jaina.

Han i Leia wymienili zaniepokojone spojrzenia.

Luke odczepił od pasa rękojeść świetlnego miecza, zapalił energetyczną klingę i uniósł ją nad głowę. Pozostali Jedi bez słowa poszli w jego ślady. Kiedy Han zauważył, że żona się waha, zachęcająco kiwnął głową w jej stronę.

- Dołącz do nich - powiedział cicho. - Nie jesteś gorszą Jedi niż oni.

Pozostali Jedi zacieśnili krąg wokół Luke'a, a klingi ich mieczy wycelowały w szpic ostrza jego broni. Powstał stożek różnobarwnych ostrzy, które pomrukiwały złowieszczo w rześkim powietrzu.

- Na ten dzień czekaliśmy wiele lat - zaczął mistrz Jedi. - Od tej chwili nasze poczynania będą testem lojalności względem Mocy, niepodobnym do żadnego, jakiemu byli poddawani Jedi w ciągu ostatniego pokolenia. Pamiętajcie, że nie jesteście sprawcami konfliktu i nieprawości, ale strażnikami pokoju i sprawiedliwości. Ponad wszystko chcemy tego samego, czego życzy sobie Moc, bez względu na to, dokąd nas to zaprowadzi. Jeżeli nie zobaczymy się już z niektórymi spośród nas, nie będzie to oznaczało, że nasza ofiara była daremna ani że zostanie zapomniana.

Han spojrział na tych, którzy nie mieli świetlnego miecza i pozostali poza kręgiem Jedi: na Jabithę, Harrara i Danni. Nie był pewny, gdzie jest jego miejsce, ale i tak przyłączył swój głos do reszty, kiedy wszyscy powiedzieli zgodnym chórem:

- Niech Moc będzie z nami wszystkimi!

R O Z D Z I A Ł 35

Trzymając w prawej dłoni Berło Władzy, Shimrra wszedł szybko do Sali Zgromadzeń w eskorcie ośmiu uśmiercicieli. Stawiał tak długie kroki, że towarzyszący mu Onimi musiał biec, żeby za nim nadążyć. Obecni w wielkiej sali, a wśród nich Nom Anor, zostali uprzedzeni o przybyciu Shimrry, więc zawczasu przyjęli unizoną postawę. Wojownicy przyklękli na jedno kolano, a cztery wieszczki pochyliły głowy w ukłonie pełnym szacunku i lęku. W sali unosiła się woń poświęconej krwi, koralowego pyłu i dymów z kadzideł. Wkrótce, kiedy gołe stopy

najwyższego lorda zmiażdżyły płatki rozrzucone przed jego przybyciem na koralowej posadzce, dołączył do nich także aromat kwiatów.

Shimrra skierował się prosto do tronu, usiadł na nim na chwilę, ale zaraz wstał i zaczął się przechadzać. Zdezorientowany Onimi podążał cały czas za wykonanymi ze specjalnie spreparowanej skóry powłóczystymi szatami najwyższego władcy Yuuzhan Vongów.

- Dlaczego oderwano mnie od medytacji i kontaktu z bogami? - zapytał wreszcie Shimrra, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Czy moja rola w naszej ostatecznej walce jest mniejsza niż twoja, najwyższy dowódco Laait? - Spiorunował spojrzeniem wieszczki.

- Albo mniejsza niż wasza?

Laait, który przyklęknął na jedno kolano, spuścił głowę.

- O najwyższy, wojenny mistrz rozkazał mi błagać cię o posłuchanie tak szybko, jak się zgodzisz - powiedział.

- Czy wojenny mistrz Nas Choka nie ma nic do roboty, że marnotrawi czas na rozmowy z takimi jak ty? - zagrmiał Shimrra.

- O Straszliwy Lordzie, wojenny mistrz jest bardzo zajęty - odparł Laait z nutką irytacji.

- Toczy walkę w przestworzach Muscave, a jego siły zbrojne przeważają nad nieprzyjacielem. Dzięki temu mógł wysłać na Zonamę Sekot grupę szturmową, która eskortuje i chroni naszą tajną broń, zakażony statek.

Shimrra prychnął niecierpliwie.

- Czy muszę wysłuchiwać tego z twoich ust, najwyższy dowódco? - zapytał. - Czyżbym przed chwilą nie powiedział, że kiedy się dowiedziałem o twojej pilnej prośbie, oddawałem się medytacjom z udziałem bogów?

Laait uderzył się pięściami w ramiona.

- Błagam o wybaczenie, o Wielki - powiedział. - A więc z pewnością wiesz, że jeżeli nie liczyć garstki nieprzyjacielskich myśliwców, Zonama Sekot wygląda na bezbronną.

- Naturalnie, że wiem.

- I że dowódca grupy szturmowej wysłał koralowe skoczki, by ich piloci walczyli z pilotami tych myśliwców?

- I co z tego? - zagrmiał porywczo Shimrra. - Czy nadal zamierzasz zawracać mi głowę bezsensownymi oświadczeniami?

Laaít ponownie zasalutował.

- Bogowie powiedzieli ci też na pewno, lordzie, że piloci naszych skoczków napotkali opór ze strony żywych myśliwców.

Shimrra, który dotąd spacerował przed tronem, stanął jak wryty i wbił spojrzenie w najwyższego dowódcę.

- Straszliwy Lordzie? - odezwał się pytającym tonem Onimi, jakby zachęcał Shimrrę do udzielenia odpowiedzi.

- Żywych myśliwców, powiadasz - powtórzył w końcu najwyższy władca.

Laaít kiwnął głową.

- Te jednostki nie tylko dorównują naszym skoczkom pod względem rozmiarów i prędkości, ale są także napędzane przez grawitacyjne twory organiczne i odpowiadają na naszą plazmę swoją plazmą.

Shimrra wskazał zamaszystym gestem chór villipów w wielkiej sali.

- Chciałbym zobaczyć wizerunki tych myśliwców - rozkazał.

Najwyższy dowódca Laaít wstał i gestem ponaglił opiekunkę villipów. Po chwili pojawiła się podobizna statku o kadłubie ulepionym z gładkich skał i upstrzonym otworami wyrzutni plazmy oraz stanowiskami dovin hasali.

Shimrra przekrzywił ogromną głowę i w milczeniu wpatrywał się w lśniący obraz.

- Dowódca domeny zameldował wojennemu mistrzowi Nasowi Choce, że żyjące myśliwce wprowadziły zamieszanie w szeregi naszych skoczków - ciągnął Laaít. - Najgorsze jednak, że także yammosk stracił orientację. Ma kłopoty z odróżnianiem naszych skoczków od żyjących myśliwców nieprzyjaciół.

Shimrra odwrócił się w stronę najwyższego dowódcy.

- Dlaczego wojenny mistrz nie wydał rozkazu przywódcy domeny, żeby Zonamę Sekot zaatakowały jego okręty liniowe? - zapytał.

- Wojenny mistrz właśnie zamierza to zrobić, o Wybrańcu Bogów - odparł Laaít. - Czekaj tylko, żebyś zechciał zaaprobować takie posunięcie.

Shimrra nie odpowiedział.

- Co zdecydujesz, o Wielki? - zapytał najwyższy dowódca, kiedy niezręczna cisza zaczęła się przeciągać.

- A co wieszczki mają do powiedzenia na ten temat? - podsunął Onimi, jakby chciał

odwrócić uwagę wszystkich od najwyższego władcy.

- Wróżby wprawiły nas w zakłopotanie, Straszliwy Lordzie - odezwała się wiedźmowata rzeczniczka. - Walka przeciwko żywym jednostkom stoi w sprzeczności z naszymi najświętszymi wierzeniami. Nawet gdyby bogowie chcieli nas poddać testowi lojalności, nigdy nie wymyśliliby takiego bluźnierstwa. Błagamy cię, Lordzie, żebyś wyjaśnił, w jaki sposób niewierni uzyskali dostęp do naszej bioinżynierii i kto wydał im zgodę na stworzenie żyjących myśliwców, które naśladują nasze skoczki.

- Sytuacja wygląda jeszcze gorzej, lordzie - dodała druga wieszczka. - Kilka nieprzyjacielskich jednostek przechytrzyło próżnie wytwarzane przez nasze dovin basale i dotarło na samą powierzchnię Yuuzhan'tara. W tej chwili zagrożone jest nasze główne pole ładownicze.

Shimrra najwyraźniej otrząsnął się z oszołomienia.

- Czy muszę wszystkim przypominać, że zajrzałem w głąb ósmego rdzenia i rozmawiałem o tych sprawach z samą Yun-Harlą? - zapytał.

Rzeczniczka wieszczek kiwnęła głową.

- Pamiętamy o tym, o Wielki, i prosimy cię tylko o wyjaśnienia - zaczęła. - Czy to możliwe, żeby prastare proroctwa i objawienia były w błędzie? A może po prostu zostały niewłaściwie zinterpretowane? Czy to możliwe, że bogowie stworzyli te żyjące myśliwce nie po to, aby poddać nas dodatkowej próbie, ale dlatego że sprzymierzyli się z Jeedai'1

Oczy Shimrry rozbłysły niczym supernowe.

- Herezja! Herezja... tu, w mojej kwaterze! - ryknął na całe gardło najwyższy władca i wymierzył berło w stronę wieszczek. - Już was więcej nie potrzebuję! - Odwrócił się do uśmiercicieli. - Pozbyć się ich! - rozkazał.

Dwóch udoskonalonych wojowników rozwinęło amphistaffy i ruszyło niespiesznie w stronę czterech Yuuzhanek. Wieszczki nie tylko się nie opierały, ale stanęły prosto, jakby nadstawiały szyje na ciosy wyprężonej broni. Uśmierciciele bez trudu ścięły wszystkie cztery głowy. Ostatnia wciąż jeszcze toczyła się po koralowej posadzce, kiedy do wielkiej sali wszedł wysłannik.

- Wielki Lordzie, o posłuchanie proszą arcykapłan Jakan, mistrzyni przemian Qelah Kwaad i arcyprefekt Drathul - zameldował zwięźle.

Shimrra odwrócił się, podszedł do tronu i usiadł.

- Możesz ich wprowadzić, heroldzie - zezwolił.

Trójka najważniejszych dostojników weszła spiesznie do wielkiej sali. Wszyscy stanęli jak wryci, kiedy zobaczyli cztery pozbawione głów trupy.

Shimrra uśmiechnął się półgębkiem.

- Ośmieliły się wątpić w moją interpretację objawienia - wyjaśnił i spochmurniał. - Kiedy będziecie mi przedstawiali swoje problemy, pamiętajcie, jaki los je spotkał.

- Nie mamy żadnych problemów, o Straszliwy Lordzie - zaczął Drathul, niewątpliwie improwizując. - Kiedy dotarł do nas meldunek wojennego mistrza o żyjących myśliwcach, natychmiast przybyliśmy, żeby wysławiać twoją dalekowzroczość. Yuuzhan Vongowie zostali wywyższeni dzięki temu, że bogowie postawili przed nami jeszcze większe wyzwania.

- Spieszycie się, żeby mi to powiedzieć? - zagadnął Shimrra.

- Mam pytanie, lordzie - odezwał się Jakan. - Czy to bogowie dostarczyli te jednostki Sojuszowi, czy też żywe myśliwce są darem żyjącej planety?

Shimrra machnął niedbale ręką w stronę Noma Anora.

- Jesteś naszym najlepszym ekspertem od wszystkiego, co ma związek z Zonamą Sekot, prefekcie - powiedział. - Odpowiedz na jego pytanie.

Ku zdumieniu Jákana i Qelah Kwaad Nom Anor jakby się skurczył. Zaskoczony żądaniem Shimrry musiał przełknąć ślinę, żeby odzyskać mowę.

- O Najw7Ższy, ja... - zaczął i urwał. - Wiem tylko tyle, ile usłyszałem od szpiegów, którzy zbierają informacje pośród heretyków. Ja... podejrzewam, że to nie są żyjące myśliwce. - Z każdą chwilą odzyskiwał pewność siebie. - Prawdopodobnie piloci naszych koralowych skoczków padli ofiarami myślowych sztuczek Jeedai.

Drathul odwrócił się i pokazał gniewnym gestem przedstawiany przez villipy wizerunek żyjącego statku.

- Uważasz, że to także myślowa sztuczka Jeedai? Shimrra wyszczerzył zęby w szalonym uśmiechu.

- Odpowiedz zwierzchnikowi, prefekcie - rozkazał. Nom Anor się wyprostował.

- A dlaczego by nie? - zapytał. - Wiemy, że są zdolni do wysyłania fałszywych wizerunków i do wkładania słów w usta tych, którymi zamierzają manipulować. Wiemy także, że w przeszłości z powodzeniem wprowadzali w błąd nasze yammoski.

Zanim Drathul zdążył się sprzeciwić, ponownie głos zabrał Shimrra.

- Powinniśmy podziwiać prefekta Noma Anora za jego pomysłowość, ale pokazywany przez villipy myśliwiec nie jest myślową sztuczką - oznajmił. - Odpowiadając na pytanie arcykapłana Jąkana, oświadczam, że to bogowie nauczyli żyjącą planetę, jak wytwarzać te poczwary. Jeedai nie ponoszą za ich istnienie żadnej winy. - Urwał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. - Tę ostatnią próbę, jakiej zostaliśmy poddani, zawdzięczamy heretykom - dodał po chwili. - Bogowie nie chcą nagrodzić nas tą galaktyką, dopóki pośród nas swobodnie poruszają się Zhańbieni i heretycy. Nie dopuszczą, żeby zakażony statek wylądował na powierzchni Zonamy Sekot, dopóki nie zaprowadzimy porządku na powierzchni Yuuzhan'tara.

Onimi, powłócząc nogami, odwrócił się w stronę Shimrry.

- O Wielki! - zaczął. — Wrogowie nas atakują, pragną zmieszać nas z błotem; ze zbrodniami heretyków rozprawimy się potem...

- Dość twoich bezczelnych rymowanek, Zhańbiony! - ryknął Shimrra. - Tylko dzięki mojej łasce nie spotkał cię los innych pokrak twojego pokroju! Czy i ty wątpisz we mnie i tak się boisz porażki, że opowiadasz się po stronie heretyków?

Onimi rozpląszczył się przed polipowym tronem.

- Pozostaję twoim uniżonym sługą, o Straszliwy Lordzie - wybełkotał szybko.

Shimrra go zignorował.

- Heretyków trzeba zlikwidować! - rozkazał dowódcy uśmierci-cieli. - Przekazuję połowę wojowników z garnizonu Cytadeli pod rozkazy prefekta Noma Anora, który poprowadzi ich przeciwko Zhańbionym i heretykom. Ani jeden nie może ujsć z życiem!

- Stanie się, jak sobie życzysz, Wielki Lordzie - zapewnił dowódca. Wszyscy uśmierciciele odwrócili się równocześnie w stronę Noma Anora i zasalutowali, uderzając się pięściami w ramiona.

Drathul popatrywał z narastającym oszołomieniem to na Noma Anora, to znów na Shimrrę.

- A co z Yuuzhan'tarem, lordzie? - zapytał w końcu. - Nasze dovin basale są przemęczone, nieprzyjaciele zrobili sito z naszego nieba...

- Rozprawię się ze wszystkimi, którzy bezczeszczą naszą glebę. - Shimrra potoczył spojrzeniem po twarzach Jąkana, Qelah Kwaad i Drathula. - Udajcie się do Studni Mózgu Świata - rozkazał. - Porozumiem się z nim i przygotuję go na wasze przyjście.

- A co później? - podchwycił Jakan.

- Wkrótce sam się przekonasz, kapłanie - odparł Shimrra.

Władczym gestem odprawił wszystkich, nie wyłączając Onimiego. Kiedy dostojnicy opuszczali wielką salę, Drathul odciągnął na bok Noma Anora.

- Wiemy, że komandor Ekh'm Val przyleciał sekotańskim okrętem na powierzchnię Yuuzhan'tara - syknął gniewnie. - Miałeś okazję wyjawić tę prawdę wszystkim, którzy cię słyszeli, żeby raz na zawsze położyć kres szaleństwu Shimrry. Komu właściwie służysz, skrywając prawdę, skoro w tej chwili decyduje się nasza przyszłość?

- Służę sobie - odparł rzeczowo Nom Anor.

Drathul odepchnął go od siebie.

- Jak zawsze - burknął pogardliwie. - Zabiłbym cię, gdyby nie twój nowy legion osobistych ochroniarzy, ale i tak zginiesz, zanim zajdzie dzisiaj słońce Yuuzhan'tara... Jeżeli nie ja cię zgładzę, na pewno postara się o to ktoś inny.

Nom Anor popatrzył najpierw na arcykapłana, później na mistrzynię przemian i w końcu na Onimiego, który cały czas uważnie go obserwował, choć starał się to robić dyskretnie.

- Stań w kolejce, arcyprefekcie - powiedział. - Nie brakuje mi nieprzyjaciół.

Jakiś mężczyzna w kombinezonie komandosa Sojuszu zastukał kostkami okrytej rękawicą dłoni w okrągły iluminator wywróconego szponowca.

- Jeszcze trochę cierpliwości, pilociku! - zawołał.

Nagle otworzyły się oba włazy, górny i dolny, i do sterowni wsunęło się kilka par rąk, żeby uwolnić Jaga z ochronnej uprzęży, która nie pozwoliła mu oderwać się od fotela.

- Możesz się zsunąć - odezwał się w końcu ten sam komandos, który stukał w iluminator.

Jag wyplątał się z uprzęży i opadł na wyciągnięte ręce ratowników, którzy wyjęli go z kabiny i ostrożnie postawili na wilgotnym gruncie. Młodemu pilotowi wydawało się, że otaczający go świat wiruje jak szalony. Zanim krew zdążyła odpłynąć mu z głowy, ktoś zdjął mu hełm, a ktoś inny przyłożył do warg manierkę z wodą. Kiedy zawroty głowy ustąpiły, Jag spojrział na szponowca. Pozbawiony trzech wystających na boki paneli słonecznych w kształcie szponów myśliwiec leżał kabiną w dół w zagajniku karłowatych drzew owocowych, które wyrastały pośrodku podmokłego poletka villipów. Otaczający Jaga komandosi mieli raketowe plecaki, bojowe biokombinezony i hełmy umożliwiające przesyłanie hologramów. Coruskańskie niebo, widziane przez gęstwinę splątanych gałęzi, przecinały smugi gazów wylotowych, meteory

oraz dziesiątki koralowych skoczków i gwiazdnych maszyn, opadających ku powierzchni planety. Za skłębionymi chmurami szarego dymu pojawiały się raz po raz błyski eksplozji i przerywane nitki laserowych strzałów.

Nad cuchnącym poletkiem też unosiła się chmura rozrzedzonego dymu. Ze wszystkich stron dolatywały odgłosy eksplozji protonowych torped i rakiet udarowych, skwierczenia i syki laserowych błyskawic, ryki bojowych bestii Yuuzhan Vongów i okrzyki żądnych krwi wojowników. Dźwięki odbijały się od nagich zboczy koralowych pagórków i częściowo strawionych fasad niegdyś wspaniałych wieżowców, których szczątki wciąż jeszcze były rozsiane po okolicy.

- Jest ranny? - zapytał ktoś na tyle głośno, żeby ratownicy go usłyszeli.

Jag odwrócił się w stronę, skąd napływał głos, i mimo ochronnego kamuflażu rozpoznał poraną bruzdami twarz kapitana Juddera Page'a. Poklepał się po piersi.

- Nic mi nie jest! - odkrzyknął.

Page odwrócił się do podwładnego obsługującego komunikator.

- Poinformuj operatora kontroli gwiazdnych myśliwców na pokładzie „Praworządności”, że pułkownik Fel wylądował na powierzchni planety cały i zdrowy - rozkazał.

- Uwaga! Nadlatują! - zawołał nagle ktoś z daleka.

Page i pozostali ratownicy powalili Jaga na miękką glebę sekundę wcześniej, zanim pomiędzy poskręcany konarami karłowatych drzew przedarł się rój ogłuszających chrząszczy i brzytwożuków. Owady zrywały liście i owalne owoce, a czasami ścinały całe gałęzie. Wkrótce potem rozległy się ogłuszające grzmoty dwóch eksplozji i ulewa żywych pocisków ustała.

Nad wierzchołkami drzew śmignęła para jaskrawożółtych X-wingów z czarnymi pasami na kadłubie. Piloci posyłali ku niewidocznemu celowi serie strzałów z czterolufowych działek. Page, Jag i pozostali kucnęli, a potem wstali powoli. Zakute w pancerze z laminanium wojenne androidy zajęły stanowiska na skraju zagajnika. W pobliżu szczątków szponowca Jaga dwa medyczne androidy opatrywały niegroźne rany kilku mężczyzn i Bothan.

Page wyciągnął rękę do Jaga.

- Jestem kapitanem i nazywam się... - zaczął.

- Wiem, kim pan jest - przerwał młody pilot. - Dziękuję, że pospieszyliście mi na ratunek.

Page wzruszył ramionami i wskazał stojących obok niego mężczyzn.

- To Garik Loran - przedstawił ostrzyżonego na łyso pilota. - A ten to Kell Tainer - dodał, pokazując drugiego mężczyznę z łysiną nad czołem.

- Z Eskadry Widm - stwierdził Jag, witając się z pilotami. - Zetknąłem się już z wami na Borleias. - Przeniósł spojrzenie na Page'a. - Krótco zanim mój szponowiec został trafiony, zauważyłem, że drugi transportowiec uległ katastrofie.

Judder pokiwał ponuro głową.

- Grutchiny opadły go niczym mynocki i przeżarły kadłub - potwierdził. - Wysłaliśmy oddział, żeby przeszukał dno kanionu, czy przypadkiem ktoś nie ocalał z katastrofy...

- Panie kapitanie - przerwał mu młody Bothanin. - Nawiązaliśmy kontakt z przedstawicielami miejscowego ruchu oporu.

Jag, Page i dwaj funkcjonariusze Wywiadu Eskadry Widm odwrócili się i zobaczyli, że na polanę wprowadzono czterech Yuuzhan. W porównaniu z większością wojowników, których Jag widział, człekokształtne istoty były minimalnie poznaczone bliznami. Wszystkie miały jednak wyraźnie zniekształcone kończyny albo twarze.

To Zhańbieni, pomyślał młody pilot.

Najwyższy i najbardziej zdeformowany Yuuzhanin wykonał gest podobny do wojskowego salutu żołnierza Galaktycznego Sojuszu.

- Zaprowadźcie nas do waszych przywódców - wyrecytował w basicu, jakby wyuczył się tych słów na pamięć.

Garrik i Kell wymienili sceptyczne spojrzenia.

- Kto cię tego nauczył? - zapytał Loran.

- Ja - odparł ktoś z charakterystycznym coruskańskim akcentem. Rosły Zhańbiony przycisnął do ucha palec wskazujący, prawdopodobnie żeby poprawić tkwiącego tam tłumaczącego tizowyrma.

Spomiędzy drzew wyłonił się wysoki, szczupły ciemnowłosy mężczyzna, który na widok obu Widm uśmiechnął się promiennie.

- Coś niesamowitego! - zdumiał się Tainer i też się uśmiechnął.

Jag słyszał o Baljosie Arnjaku, który także był pilotem Eskadry Widm. Niemal dwa lata wcześniej po wyprawie zwiadowczej, w której wzięli udział piloci jego eskadry i rycerze Jedi, postanowił pozostać na powierzchni Coruscant. Arnjakowi towarzyszył chudy, ale energiczny, ogorzały mężczyzna w średnim wieku o rudawych włosach i olśniewająco białych równych

zębach.

Page uśmiechnął się szeroko i mocno uściśnął dłoń Arnjaka. Potem objęli się i zaczęli poklepywać po plecach.

- Zawsze byłem pewny, że przeżyjesz - odezwał się w końcu Page, kiedy uwolnił się z objęć mężczyzny.

Przystojny przybysz wskazał czterech Yuuzhan.

- Zawdzięczam to im - powiedział. - Ta grupa heretyków ocalała w jednej ze świątyń nie tylko mnie, ale także kilku innych... a już zanosilo się na wytoczenie dużych ilości krwi.

Page odwrócił się do Jaga.

- To jest major Pash Cracken - powiedział, wskazując ogorzałego mężczyznę.

Fel powitał go uprzejmym kiwnięciem głowy. Zaczynał się czuć na powierzchni Coruscant jak w świetlicy Domu Weterana.

- Ile czasu zajmie nam dotarcie do Zachodniego Portu? - zainteresował się Page.

- Zajęłoby mniej więcej godzinę, ale mamy opóźnienie - odparł Cracken.

Gestem zachęcił wszystkich, żeby udali się z nim na skraj lasu. Kiedy zgromadzili się wokół niego, wskazał północny horyzont, nad którym unosiła się czarna chmura skłębionego dymu.

- Wygląda na to, że cały świąty kwartał stoi w ogniu - stwierdził ponuro.

Page wcisnął blaster do osłoniętej rękawicą prawej dłoni Jaga.

- Witamy w szeregach komandosów, panie pułkownika - powiedział.

- Te pożary to sprawka Shimrry - stwierdził Harrar. - Najwyższy lord poprosił Mózg Świata o podpalenie Yuuzhan'tara... żeby absolutnie nikt nie mógł wylądować na jego powierzchni. - W głosie kapłana brzmiało przygnębienie. - Shimrra nie zdecydowałaby się na ten krok, gdyby się nie liczył z możliwością porażki. Możliwe zresztą, że do jego oblędu przyczyniło się pojawienie Zonamy Sekot.

- Bez względu na to, czy jest zdesperowany, czy obłąkany, przyparliśmy go do muru - oznajmił podniecony Solo.

Harrar powiódł spojrzeniem po twarzach otaczających go osób. Kiwali głowami na znak zgody. Wynikało z tego, że zawsze zabawny, a czasami irytujący Han Solo wyraża uczucia wszystkich na platformie ładowniczej... Leii, mistrza Luke'a Skywalkera i jego żony Mary, bliźniąt Jedi Jacena i Jaina, naznaczonej przez Yuuzhan Vongów Tahiri, wojowniczo

nastawionego rycerza Jedi Kentha Hamnera, magister Zonamy Sekot Jabithy, a nawet obojga Noghrich, którzy byli zarazem ochroniarzami, powiernikami i przyjaciółmi obojga Solo. Do ich grona należałoby zaliczyć także dwie ponumerowane maszyny... inteligentne automaty, które czasami zachowywały się niemal jak żywe istoty.

Pozostali Jedi wznieśli się w niebo w kabinach sekotańskich myśliwców albo zostali przetransportowani wahadłowcem na pokłady orbitujących jednostek wojennych. Przedtem Han Solo poleciał z Dzikimi Rycerzami w górę grawitacyjnej studni planety, ale dotarł tylko na pokład swojego poobijanego frachtowca. Sekot wyraziła zgodę, żeby „Sokół Millenium” wylądował na jej powierzchni, i statek spoczywał obecnie na płycie lądowiska obok „Cienia Jade” Mary Skywalker. Han nawet nie wyłączył silników, które pracowały na biegu jałowym. Wiadomość o rozprzestrzeniających się po powierzchni Yuuzhan'tara pożarach przekazał Booster Terrik. Jego „Błądny Rycerz” był końcowym ogniwem komunikacyjnego łańcucha, którego początek stanowił oddział komandosów na powierzchni płonącej planety, a pośrednimi ogniwami były ogromne okręty „Praworządność” i „Mon Mothma”.

- Jakim cudem Shimrra nakłonił dhuryama do wyrządzenia krzywdy powierzchni Yuuzhan'tara? - zapytał Jacen.

- Władzy Shimrry podlegają wszystkie formy życia Yuuzhan Vongów - odezwał się Harrar. - Do obowiązków dhuryama należy integrowanie działalności kształtujących powierzchnię planety form yuuzhańskiego życia. Mózg Świata nie jest sługą, lecz partnerem... w pełni inteligentnym, w pełni świadomym i zdolnym do podejmowania decyzji na podstawie informacji, jakie otrzymuje od związanych z nim telepatycznie stworzeń, a także od samego Shimrry. Prawdopodobnie najwyższy lord przekonał dhuryama, że pożary są konieczne, aby otworzyły się ukryte kapsuły z ziarnami, a wyrastające z nich drzewa zastąpiły te, które uległy zniszczeniu w wyniku wcześniejszych wstrząsów gruntu. Mógł także zasugerować Mózgowi Świata, że lasy koniecznie należy przetrzebić, aby młode pędy miały więcej światła i minerałów z popiołu drzewnego, jaki pozostanie po pożarach.

- Jeszcze jeden powód więcej, żeby jak najszybciej dopaść Shimrrę - mruknął Han, spacerując tam i z powrotem u stóp opuszczonej rampy lądowniczej „Sokoła Millenium”. - Jeżeli Page mógł przelecieć swoimi transportowcami obok orbitalnych dovin basali, na pewno i ja dokonam tej samej sztuki swoim frachtowcem.

Harrar pokręcił głową.

- O co chodzi? - Solo się najeżył i ujął pod boki. Całe jego ciało wyrażało zniecierpliwienie.

- Schwywanie albo zabicie Shimrry może nie wystarczyć do ocalenia planety - oznajmił kapłan. - Mózgu Świata nie da się przekonać, żeby zaniechał swojej działalności. Nikt nie da rady odwieść go od tego, nawet sam Shimrra. - Harrar przeniósł spojrzenie na Skywalkerów. - Jeżeli chcecie ocalić swoją stolicę, musicie przedtem wymyślić sposób, jak pozbawić życia Mózg Świata.

- Nie wolno ci tego zrobić, Harrarze! - wybuchnął Jacen. Kapłan spojrział na młodego Jedi.

- Więc idź do niego i postaraj się go powstrzymać - powiedział. Han ujął prawą dłoń żony.

- My się tym zajmiemy - stwierdził nieoczekiwanie dla samego siebie, a widząc zaniepokojone spojrzenia innych Jedi, magister Jabithy i obu automatów, dodał: - Czy sądzicie, że naszym jedynym zadaniem było przetransportowanie wszystkich na powierzchnię Zonamy Sekot? - Odgiął do tyłu kciuk i pokazał stojącego za jego plecami „Sokoła Millenium”. - Ten statek to nie powietrzna taksówka. - Prychnął pogardliwie, ale zaraz spoważniał. - A poza tym razem zaczęliśmy to jeszcze w Odległych Rubieżach i razem to zakończymy...

- Albo nie nazywam się Han Solo - podpowiedziała Leia z rozbawieniem, ale i z rezygnacją.

Jej mąż wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

- Z ust mi to wyjęłaś, kochanie - powiedział.

R O Z D Z I A Ł 36

Trzystu zakutych w pancerze wojowników, których Shimrra oddelegował z garnizonu Cytadeli i oddał pod rozkazy prefekta Noma Anora, biegło niczym armia mścicieli przez place i boczne uliczki świętego kwartału Yuuzhan'tara. Wymierzając na prawo i lewo ciosy amphistaffami i coufee, wojownicy zabijali każdego Zhańbionego i heretyka, który nie miał dość rozsądku, żeby się schronić w jakiejś norze... a prawie nikt nie myślał o tym, żeby się ukrywać.

Ginęły setki.

Tysiące.

Heretycy, pijani ze szczęścia, że sprawdziła się przepowiednia o przybyciu Zonamy Sekot, byli pewni, że tysiącooki Yun-Shuno pobłogosławi ich i zapewni im szczęśliwe życie po śmierci. Ciesząc się odzyskaną- wprawdzie na krótko - wolnością, uznali, że Shimrra i jego dostojnicy na pewno zostaną obaleni, nie mieli więc nic przeciwko temu, żeby zginąć męczeńską śmiercią. Wyrzuceni poza nawias społeczności Yuuzhan Vongów z powodu defektów cielesnych, a nie popełnionych przewinień, musieli wieść życie w cieniu wszystkich, których nie zakwalifikowano jako Zhańbionych. Poddani badaniu przez bezlitosnych bogów, zostali uznani za winnych przestępstw, których nawet nie potrafili sobie wyobrazić. Skazani na wegetację w uwłaczających godności warunkach, bezskutecznie usiłowali zrozumieć, dlaczego spotkał ich taki los. W końcu się z nim pogodzili i związali go z losem Jeedai.

Obecnie jednak chyba nikt nie potrafiłby ich powstrzymać.

Ogarnięci uniesieniem głosili każdemu, kto chciał słuchać, że oto nadszedł czas ich odkupienia i zbawienia. Wyłaniali się z nor i podziemnych kryjówek niczym ngdiny w porze składania krwawych ofiar... nieświadomi, że naprawdę wypęłza za nimi tysiące metrowych krwiopijców w nadziei, że zdobędą większą niż zazwyczaj porcję lśniącej czarnej strawy.

Powierzchnia Yuuzhan'tara stała się areną widowiska z udziałem ogarniętych żądzą mordy wojowników, którzy powinni mieć więcej rozsądku, i form życia, które robiły tylko to, do czego je wyhodowano.

Patrząc na plac Hierarchii, Nom Anor poczuł grozę na widok rzezi, za którą z rozkazu Shimrry odpowiadał. Mimo to nie miał dość sił, żeby ją powstrzymać. Nie mógł rozkazać wojownikom, by zaprzestali rozlewu krwi, podobnie jak nie był w stanie nakłonić Zhańbionych, aby się ukryli. Jak zawsze, nie mógł się jawnie opowiedzieć po żadnej stronie. Do takiej sytuacji doprowadziły go własne knowania, kłamstwa i maskarady.

Kiedy to sobie uświadomił, ogarnęła go desperacja. Żądni krwi wojownicy z Cytadeli, kierując się alejami i mostami na południe w stronę dzielnic Vistu i Numesh, mordowali wszystkich bez wyjątku napotkanych Zhańbionych. W końcu dotarli do miejsca zgromadzeń poświęconego krwią wielu heretyków, którzy podczas wcześniejszych demonstracji i zamieszek oddali tam życie.

Od razu się okazało, że do tej pory wojownicy tylko nabierali wprawy. Kiedy zobaczyli zgromadzony na placu Hierarchii tłum, zaczęli się przez niego przedzierać niczym aniołowie

zagłady. Pod ciosami ich coufee i amphistaffów ginęli ci, którzy uniemożliwiali Yuuzhan Vongom odniesienie całkowitego zwycięstwa nad Zonamą Sekot. Wojownicy musieli ich ukarać; musieli wyładować strach i dezorientację, chociaż z pewnością wiedzieli, że mordują niewinne istoty.

Zanim jednak rzeź na dobre się rozpoczęła i okrzykiem bojowym wojowników zawtórowały agonalne wrzaski mordowanych Zhańbionych, ze szczelin konstrukcji uszkodzonych w wyniku trzęsienia gruntu buchnęły jęzory ognia. Wkrótce pożoga ogarnęła prefekturę i Świątynię Zakochanych, Yun-Txiina i Yun-Q'aah.

W pierwszej chwili Nom Anor był przekonany, że za wzniesienie pożarów odpowiadają pociski zrzucone przez pilotów nieprzyjacielskich myśliwców, które przedarły się przez zaporę z orbitalnych dovin basali. Ze szczytu koralowych schodów przed gmachem prefektury zauważył jednak, że podobne pożary szaleją nie tylko we wszystkich kwartałach miasta, ale również poza nim. Płomienie strzelające pomiędzy roślin, które pokrywały ruiny budynków i wieżowców, są roznoszone we wszystkie strony przez podmuchy wiatru.

Jeden z takich podmuchi przyniósł do płaskich nozdrzy Noma Anora nieznośny odór bagiennego gazu. Prefekt odwrócił się w tamtą stronę, jakby nie mógł uwierzyć własnym zmysłom, i daleko nad wierzchołkami yuuzhańskich budowli zobaczył stado ziejących ogniem wielkich stworzeń.

Od razu uniósł głowę i spojrzał w niebo.

Nie zobaczył na nim tylu gwiazdnych myśliwców, żeby ich piloci mogli wzniecić tak wiele pożarów. Nie zauważył także lecących bomb, protonowych torped ani błyskawic turbolaserowych strzałów i w końcu zrozumiał, co się dzieje. Jego serce wypełniło się taką udręką, że osunął się na kolana i pozostał w tej pozycji, dopóki znów nie zaczął równomiernie oddychać i nie odzyskał zdolności trzeźwej oceny sytuacji.

Winę za szalejące po powierzchni Yuuzhan'tara pożary ponosił Shimrra!

Najwyższy lord do reszty postradał zmysły. Zawarł z dhuryamem ugodę i nakłonił go do zniszczenia Coruscant... planety Noma Anora! Z taką samą bezwzględnością, z jaką wysyłał armadę wojennego mistrza Nasa Choki na pewną śmierć, żeby zatruć Zonamą Sekot, postanowił unicestwić wszystkie formy yuuzhańskiego życia na powierzchni Yuuzhan'tara. Sam stał się wymierzoną przeciwko Yuuzhan Vongom trucizną, a wymyślił ją specjalnie dla dostojników... i żeby zrobić na złość bogom, w których istnienie, jak sam kiedyś oświadczył, nigdy nie wierzył!

Nom Anor zaklął i potrzęsął pięścią w kierunku przesłoniętego dymem nieba.

Powinienem był cię zabić, kiedy miałem okazję! - pomyślał.

Z wysiłkiem wstał i zaczął schodzić po koralowych schodach. Na jego twarzy z każdym krokiem malowała się większa stanowczość. Zaciśnął pięści, a w jego jedynym oku zapłonął gniewny płomień. Wykrzywił w grymasie niemal pozbawione warg usta i napiął mięśnie pod cienką tkaniną szaty. Jego ukośnie ścięte czoło płonęło niczym otaczające go budowle.

Podszedł do wojownika zbyt zaślepionego żądzą mord, żeby zwrócić uwagę na cokolwiek poza zabijaniem, wyciągnął rękę, chwycił go za szyję i zmiażdżył jego tchawicę. Wojownik złapał się za gardło i wybałuszył oczy, ale zaraz zwałił się z charkotem na schody. Nom Anor wyłuskał z jego palców amphistaffa i jednym ciosem położył kres życiu krztuszącego się Yuuzhanina. Schodząc jak odurzony, zdarł zielony płaszcz i turban intendenta. U stóp szerokich schodów ściągnął ze zwłok jakiegoś Zhańbionego połataną kurtkę, włożył ją i roztrzając na boki innych Zhańbionych, precyzyjnie się na plac Hierarchii. Nie zwracając uwagi, że wokół niego giną dziesiątki heretyków, skierował się w stronę usypanego pośrodku placu wysokiego kopca.

Zanim tam jednak dotarł, musiał stawić czoło jakiemuś wojownikowi. Cofnął się o krok i decydując się na podjęcie walki, zaatakował go amphistaffem. Sparował dwa ciosy, zanurkował i ciął przeciwnika na wysokości kolan, po czym się wyprostował i smagnął na ukos jego twarz zaostrozonym końcem wężopodobnej broni. Kiedy Yuuzhanin wrzasnął i uniół ręce, Nom Anor przebił żywą włócznią jego szyję.

Nie zwracając uwagi na mordowanych Zhańbionych, wspiął się na wierzchołek kopca, wydał mrozący krew w żyłach okrzyk i uniół wysoko nad głowę rękę ze zwiniętym amphistaffem.

- Jestem Yu'shaa, Prorok! - krzyknął na całe gardło. - Nasza godzina jest bliska! Poprowadzę was do zwycięstwa!

Na placu Hierarchii zapadła długa cisza. W końcu z gardeł nieszczęśników wyrwał się ryk radości. Trzymając sporządzoną domowym sposobem broń, Zhańbieni rzucili się na wojowników. W powietrze trysnęły strugi czarnej krwi, a żarzące się węgle zawirowały wokół wszystkich niczym dar od bogów.

Z wysokości tysiąca kilometrów Coruscant - rażona ze wszystkich stron potężnymi sztychami turbolaserowych błyskawic, przesłonięta wytwarzanymi przez dovin basale

grawitacyjnymi anomaliami i okryta całunem chmur, raz po raz podświetlanych od dołu przez błyski eksplozji - wyglądała jak płomieniste piekło.

- Ta zabawa wygląda dokładnie tak jak w chwili, kiedy opuszczaliśmy tę planetę - odezwał się Han, kiedy „Sokół” leciał w stronę ogarniętej przez pożogę stolicy galaktyki.

- Tęskniłam za dawną planetą, tato - odezwała się rzeczowo Jaina z fotela drugiego pilota.

- Ja także - oznajmił siedzący za nią Jacen. Han zerknął na niego kątem oka i zobaczył, że syn spogląda na siedzącego obok niego yuuzhańskiego kapłana. - Harrar i ja byliśmy na pokładzie światostatku w przestworzach Myrkra.

Żalując nierozważnie rzuconej uwagi, Solo zajął się znów obsługą pokładowych przyrządów statku.

Upadek Coruscant należał do najgorszych koszmarów jego życia... niemal równie straszliwych jak ten, który przeżył, kiedy Chewbacca oddał życie na powierzchni Sernpidala. Wciąż jeszcze miał wyryte w pamięci obrazy z okresu ewakuacji planety: w zetknięciu z ochronnymi polami ginęli Yuuzhan Vongowie i schwytni przez nich zakładnicy, z nieba spadały niczym grad szczątki płonących gwiazdnych statków, on i Leia starali się odlecieć ze Wschodniego Portu z maleńkim Benem, Threepiem, androidem typu ZYV i donicą z dorodnym ladalumem... Ich plany usiłowała pokrzyżować przed wejściem na lądowisko „Sokoła” przebrana senatorka Viqi Shesh z niewinnym dwunastoletnim chłopakiem, który nazywał się Dab Hantaq - albo Tarć - i wyglądał niemal tak jak młody Anakin.

Han pamiętał, że z ręki Viqi Shesh zginął wówczas osobisty ochroniarz Leii, Noghri Adarakh.

Pamiętał niebo rozświetlone przez kule płonącej plazmy.

Pamiętał wieżowce zamieniane w gruzy, ludzi tratujących jedni drugich, żeby dostać się na pokłady nielicznych gwiazdnych wahadłowców, liniowców i rządowych jachtów, które zostały na powierzchni... A wiele lat świetlnych dalej, w przestworzach jednej z planet Wewnętrznych Rubieży, Myrkra, Anakin oddawał życie, Jaina uciekała na pokładzie porwanego okrętu Yuuzhan Vongów, a Jacen wpadał w ręce Vergere - schwytny przez nią albo ocalony, zależy jak na to patrzeć. Na wspomnienie okropności tamtych dni zamknął oczy.

- Zabawa... - odezwał się niespodziewanie Harrar. - Wielu naszych wojowników używa tego określenia, ilekroć wyruszają do walki. Masz zadatki na dobrego najwyższego dowódcę,

Hanie Solo.

Korelianin parsknął śmiechem, bo przypomniał sobie słowa Jacena, który mu udowodniał, że kapłan jest nim zafascynowany.

- Dzięki, że bierzesz pod uwagę moją kandydaturę, Harrarze, ale bez względu na twoją opinię podoba mi się moja twarz taka jak w tej chwili - powiedział.

Kiedy Leia i Luke przeszli do wieżyczek czterolufowych działek, Jacen i zaniepokojony Harrar zajęli miejsca w sterowni w drugim rzędzie foteli. W dziobowej ładowni lecieli Mara, Kenth, Tahiri, Cakhmaim, Meewalha i automaty. Han postanowił poświęcić część energii, żeby zachować sztuczne ciężenia „Sokoła” tak długo, jak to możliwe, choćby tylko po to, żeby wszyscy nie objęli się po pomieszczeniach niczym piłki.

Artylerzyści liniowych okrętów Galaktycznego Sojuszu skupili ogień na powierzchni Coruscant wzdłuż strefy przejściowej między dniem a nocą i po stronie słonecznej, ale bitwa szalała właściwie na całej planecie. Gwiazdne niszczyciele, krążowniki i fregaty floty Kre'feya cały czas wyskakiwały z nadprzestrzeni szlakami nieużywanymi od czasów Starej Republiki, a nieprzyjacielskie okręty opadały w głąb grawitacyjnej studni, żeby wzmocnić flotyllę broniącą dostępu do Coruscant. Yuuzhan Vongowie, chociaż rozproszeni, starali się gromadzić na zachodniej półkuli, nad tym miejscem na równiku, gdzie znajdowało się kiedyś Imperial/New Republic City. Sojusz nie wysłał jeszcze przez blokadę naszpikowanych gęsto stanowiskami artylerii, kilometrowej długości okrętów liniowych, ale przez obronę wroga przedarło się setki gwiazdnych maszyn, żeby ich piloci mogli atakować usytuowane na skraju atmosfery planety orbitalne dovin basale.

Han doszedł wreszcie do wniosku, że najwyższy czas, żeby jego „Sokół” podjął próbę przedarcia się przez blokadę.

Zdecydował się na ruch przeciwny do tego, który musiał zrobić, żeby bezpiecznie opuścić przestworza Zonamy Sekot. Kiedy stamtąd odlatywał, w górnych warstwach atmosfery żyjącej planety toczyła się zacięta walka między pilotami koralowych skoczków a rycerzami Jedi, siedzącymi za sterami sekotańskich myśliwców. Luke dowiedział się od Kypa i pozostałych, że pojawienie się żyjących myśliwców na polu bitwy wprowadziło zamęt w szeregi Yuuzhan Vongów. Jedi zorientowali się także, że magister Jabitha nie przesadzała, kiedy mówiła im, iż sekotańskie statki służą wyłącznie do obrony. Najczęściej nie otwierały ognia, jeżeli nie zostawały ostrzelane, i mimo ochoty do walki nie zataczały kółek wokół koralowych skoczków,

choć wiernie powtarzały każdy manewr ich pilotów.

Dwieście kilometrów od powierzchni żyjącej planety unosiła się nieprzyjacielska grupa szturmowa, od której odłączyły się yuuzhańskie myśliwce. W jej skład wchodził także gronostatek z kierującym ich ruchami yammoskiem na pokładzie.

Wciąż jeszcze nikt nie wiedział, dlaczego wojenny mistrz Nas Choka zdecydował się wysłać część grupy do walki z Zonamą Sekot, ale można się było spodziewać, że Yuuzhan Vongowie nie będą czekali długo i skierują do walki z żyjącą planetą także okręty liniowe. Z meldunków wynikało, że na pomoc planecie lecą „Błędny Rycerz”, dowodzona przez Tenel Ka flotylla hapańskich Bitewnych Smoków i krążowniki klasy Nova, ale zachodziła obawa, że nie dadzą rady pokonać grupy szturmowej Nasa Choki. Wedge Antilles i Keyan Farlander toczyli zaciętą bitwę w przestworzach Muscave i nie mogli przybyć z pomocą, dopóki ich nie zluzuje Pierwsza Flota pod dowództwem Kre'feya.

W całym systemie Coruscant - od Vandora Trzy po Lodowe Pasy Ulabosa - trwała zażarta bitwa, więc Han zastanawiał się z początku, czy nie dokonać „Sokołem” serii mikroskoków, ale w końcu się zdecydował przeskoczyć bezpośrednio jak najbliżej Coruscant. Powrócił do normalnych przestworzy za liniami Sojuszu, ale na tyle blisko celu podróży, żeby osłupieć na widok tego, co zobaczył. Coruscant, zieloną i białą w miejscach, w których niegdyś kąpała się w blasku sztucznego światła, okrężały szczątki roztrzaskanego księżyca. Brakowało także okołobiegunowych czap, które zmniejszyły się do rozmiarów lodowych gór. Jednym słowem, wyglądała jak zupełnie inna planeta.

Nagle z pulpitu konsoly komunikatora wydobył się pisk, a z głośnika rozległ się ciepły baryton:

- „Sokole Millenium”, tu kontrola „Praworządności”. Wasz najlepszy punkt przedarcia się przez obronę znajduje się w tej chwili w sektorze Bacta, wektor osiem-jeden-siedem, ale będziemy wam podawali na bieżąco aktualną sytuację.

Jaina pochyliła się do przodu, żeby spojrzeć na ekran monitora taktycznego komputera.

- Zrozumieliśmy, kontrolo „Praworządności” - odrzekła. - Dzięki za pomoc.

- „Sokole Millenium”, wielki admirał Pellaeon życzy wam powodzenia.

- Proszę powiedzieć, że my jemu też - odezwał się Han do mikrofonu umożliwiającego utrzymywanie łączności przez słuchawki.

Dowodzona przez Pellaeona Czwarta Flota, w której skład wchodziły trzy gwiazdne

niszczyciele i grupa krążowników klas Strike i Carrack, cały czas ostrzeliwała grupę szturmową Yuuzhan Vongów. W kilku sektorach orbitalne dovin basale uległy przeciążeniu, ale dowództwo Sojuszu wykorzystywało oczyszczone strefy jako korytarze, którymi posyłało w dół tylko transportowce z wojskiem i eskortujące je eskadry gwiazdnych myśliwców.

Harrar zbliżył usta do prawego ucha Hana Solo.

- Najwyraźniej wasz wojenny mistrz wziął pod uwagę raport Jacena Solo, że bombardowanie skłoni Mózg Świata do podjęcia działań, w wyniku których powierzchnia planety przestanie nadawać się do zamieszkania - powiedział.

Han spojrział na chaos na powierzchni planety.

- Wygląda na to, że Mózgu Świata nie trzeba było zachęcać... chyba sam dobrze wie, co robić - stwierdził ponuro.

Kiedy „Sokół” kierował się do punktu wniknięcia w górne warstwy atmosfery, zbliżyły się do niego dwa X-wingi, a ich piloci zajęli pozycje po jednym obok każdej burty.

- Miło was widzieć, „Sokole Millennium” - odezwał się jeden z pilotów, korzystając z częstotliwości taktycznej komunikatora. - Nie macie nic przeciwko temu, że się do was przyłączymy?

- A kto kogo będzie eskortował? - zainteresowała się Jaina.

- Powiedzmy, że to zabawa z udziałem trojga - odezwał się drugi pilot.

- Zabawa... - mruknął Harrar.

Orbitalne dovin basale mogły zostać rozmieszczone na odłamkach roztrzaskanego w tym celu satelity Coruscant, a wytwarzane przez nie czarne dziury miały rozmiary stadionu do gry we wstrząsopiłkę. Kiedy piloci X-wingów zbliżyli się jeszcze bardziej do kadłuba frachtowca, Han obrócił „Sokoła” o dziewięćdziesiąt stopni na sterburtę, żeby przemknąć pionowo przez wąską szczelinę między dwiema ogromnymi anomaliami. Statek nie zdążył jeszcze wylecieć z wąskiego przesmyku, kiedy prosto na kursie pojawiła się następna.

Jaina pochyliła się w stronę mikrofonu pokładowego komunikatora.

- Poślijcie w nią cokolwiek! - zawołała.

Piloci gwiazdnych myśliwców usłuchali i wystrzelili po dwie protonowe torpedy. Świetliste pociski od razu zmieniły kurs i po chwili zniknęły w paszczy grawitacyjnej anomalii. Korzystając z tego, że na chwilę uwaga dovin basala jest zaprzątnięta czym innym, Han przesłał porcję energii do jednostek napędu podświetlnego, szybko przyspieszył i przeleciał „Sokołem”

obok czeluści. Niemal natychmiast przed dziobem statku otworzyła się następna dziura, ale tym razem Solo wybrał inny sposób. Posługując się silniczkami hamującymi, śmignął frachtowcem na tyle blisko krawędzi studni, żeby grawitacja zwiększyła prędkość statku, pozwoliła mu przelecieć po obwodzie dziury i wyrzuciła go w głąb atmosfery. Podobny manewr powtórzył z powodzeniem w przypadku czterech następnych anomalii. Za każdym razem wykorzystywał zawirowania siły ciężenia, żeby frachtowiec, wyrzucany niczym kamień z procy, podążał od jednej do drugiej czarnej dziury po trajektorii podobnej do wydłużonego zygzaka.

Kadłub „Sokoła” dygotał i trzeszczał, a jednostki napędowe jęczały na znak protestu, ale ryzyko się opłaciło, bo statek nie zbczył zanadto z obranego kursu. Mniej szczęścia miał pilot jednego z X-wingów. Kiedy usiłował zmylić dovin basala seriami niosących zmienną energię strzałów i dwiema ostatnimi torpedami, stworzenie zwiększyło natężenie anomalii i objęło nią myśliwiec, który rozpadł się na kawałki i zniknął w czeluści czarnej dziury.

Pozostawiając kręty sinusoidalny ślad, „Sokół” obniżył pułap lotu, ale jego przeprawa jeszcze się nie zakończyła. Zauważyła go załoga wznoszącego się krążownika typu Matalok i otworzyła ogień ze ster-burtowych wyrzutni.

- Przekazuję energię do pól ochronnych - odezwała się Jaina, chociaż nikt jej tego nie rozkazał.

Han skręcił raptownie na sterburtę i zaczął lawirować między strugami ognistej plazmy. Zauważył, że pilot X-winga stara się lecieć jak najbliżej ogona „Sokoła”, ale nie może nadążyć za większą jednostką. Solo spróbował zawrócić i osłonić pilota, ale nawet „Sokół” nie był zdolny do tak raptownej zmiany kursu. W pewnej chwili o ochronne pola frachtowca rozbryzgnęła się kula stopionej skały, lecz główna porcja przeleciała nad zuchwami i trafiła prosto w dziób nieszczęsnego X-winga.

Han zmełł w ustach przekleństwo. Naparł na rękojęć dźwigni drążka sterowniczego i „Sokół” skierował się niczym pocisk w stronę mata-loka. Zamierzając stoczyć z nim pojedynek, Solo uzbroił wyrzutnie raket udarowych, ale chwilę później w sterowni rozległo się zawrozenie czujników ostrzegających o zbliżaniu się jakiegoś obiektu.

- Cztery skoczki po stronie sterburty! - zameldowała Jaina. - Lecą kursem na przechwycenie!

Han dokonał błyskawicznej poprawki kursu.

- Pokaż je mamie i wujkowi na wyświetlaczu projekcyjnym! - polecił.

Jak zwykle gardząc metodą uników, piloci skoczków rozdzielili się, jakby zamierzali zaatakować „Sokoła” z czterech stron równocześnie, i otworzyli ogień z dużej odległości. Han usłyszał pomrukiwanie i sapanie górnych oraz dolnych laserów i skręcił lekko na sterburtę, żeby dwa bliższe skoczki znalazły się na Ścieżce Wypłaty. Czterolufowe działka bardzo szybko przechytrzyły generowane przez dovin basale skoczków grawitacyjne anomalie i błyskawice strzałów zaczęły lądować na koralowych kadłubach yuuzhańskich myśliwców. Po którejś salwie, oddanej z górnej wieżyczki, dwa skoczki zderzyły się ze sobą.

- Doskonała robota! - wykrzyknął Solo. - Postarajmy się teraz pozbyć dwóch pozostałych!

Ponownie odezwały się czterolufowe lasery i w stronę prześladowców pomknęły jaskrawozielone smugi niszycielskiej energii. Przed zaokrąglonymi nosami klinowa tych skoczków pojawiły się od razu czarne dziury, które pochłonęły energię większości strzałów, ale niektóre wystrzelone przez Luke’a błyskawice znalazły drogę do celu i w przestworza poszybowały okruchy koralu yorik. W pewnej chwili pilot lecącego na czele szyku skoczka zmienił kurs, żeby zbliżyć się do „Sokoła”, i wykonał manewr, dzięki któremu mógłby łatwo zniszczyć zwyczajny statek.

Han tylko przesłał więcej energii do jednostek napędowych, obrócił frachtowiec w locie, wpadł w kontrolowany korkociąg i zanurkował ku powierzchni.

Pilot skoczka posłał kilka kul plazmy, a w nagrodę otrzymał serie laserowych strzałów. Jego myśliwiec został kilkakrotnie trafiony w ogon i Yuuzhanin stracił panowanie nad sterami. Skoczek zmienił kurs i ciągnąc warkocz dymu zmieszanego z koralowym pyłem, zaczął opadać lotem ślizgowym ku powierzchni.

Pilot ostatniego skoczka leciał jednak cały czas za szaleńczo wirującym „Sokołem” i nie przestawał posyłać ku niemu kul ognistej plazmy. Kiedy pociski zaczęły przelatywać zbyt blisko kadłuba, Solo zwiększył dopływ energii do rufowych osłon i obróciwszy statek na sterburtę, zmniejszył profil, jakim był zwrócony do Yuuzhanina. Luke i Leia zasypali nieprzyjaciela nieregularnymi seriami niosących zmienną energię strzałów, które tak skutecznie zaabsorbowały uwagę dovin basala, że niektóre przeniknęły przez wytworzoną przez niego niewielką czarną dziurę. Trafiony kilkakrotnie w dziób skoczek został za rufą frachtowca i po sekundzie zniknął w kuli ognistej eksplozji.

Han wyprowadził „Sokoła” z korkociągu, zatoczył łagodny łuk i skierował się w stronę

wolnych przestworzy. Wyrównał pułap lotu i śmignął w kierunku horyzontu. W końcu odwrócił się do Jaiiny.

- Daj znać Luke'owi, że zamierzam wyłączyć generator sztucznego ciężenia - powiedział. - Jeżeli wie, co dla niego dobre, powinien się wynosić z wieżyczki dolnego działka.

Wkrótce potem „Sokół” przemykał na wschód od świętego kwartału, między iglicami porośniętymi gęstym lasem. W dole migwały poletka z hodowlami villipów, połączone ze sobą jeziora z zabarwioną na pomarańczowo wodą i podobne do kopalń odkrywkowych miejsca, w których hodowano koral yorik... w niektórych można było zauważyć załączki koralowych skoczków. Z głębokich kanionów strzelały jężory ognia, a podmuchy wiatru niosły w kierunku odległych lasów szczątki spopielonej roślinności.

- Zauważono nas - odezwała się Jaina. - Z południa zbliżają się następne skoczki.

Han przesłał więcej energii do jednostek napędowych i przyspieszył. Przeleciał nisko nad płonącym kopcem i obniżył pułap lotu nad rozległą równiną, na której kiedyś wznosiło się Imperium/Miasto Nowej Republiki. Musiał sobie ciągle przypominać, że teren, nad którym leci, to nie pagórki, ale szczątki pogrzebanych budowli. To, co wydawało się ogromną skałą, było kiedyś ciągnącym się wiele kilometrów kwartałem apartamentowców, W wielu miejscach równiny widniały wypełnione kobaltowoniebieską wodą albo porośnięte bujnym lasem kraterzy w regularnych kształtach. Han zorientował się, że to szczątki fundamentów ogromnych gmachów. Odwrócił się do Jaiiny.

- Lepiej przełącz komunikator na częstotliwość taktyczną - powiedział.

Zaledwie córka wybrała kanał, w sterowni „Sokoła Millenium” rozległ się pisk.

- Sygnał namiarowy - stwierdziła, spoglądając na ojca. Na ekranie monitora sensorów pokazujących rzeźbę terenu pojawiła się mapa rządowej dzielnicy Yuuzhan Vongów. Jaina postukała wskazującym palcem w pulsujący świetlisty punkcik na ekranie. - Nasz punkt docelowy.

Powinni zobaczyć Mount Umate, najwyższy szczyt Gór Manaraia, ale zamiast niego ujrzeli ogromny krater w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się plac Posągów. Na wystających permabetonowych fragmentach zrujnowanej areny gnieździły się stada uskrzydłych stworzeń, podobnych do tych, jakie Han i Leia widzieli na powierzchni Selvarisa. U stóp prastarego wypiętrzenia, nieopodal miejsca, w którym powinien się znajdować Amfiteatr Kallaraka, widniał następny ogromny krater. Han zauważył, że jego porośnięte gęstym lasem dno stoi w ogniu. Po

stromych zboczach wspinały się stada ogarniętych paniką sześcionogich zwierząt i sfory jaszczuropsów, które starały się uciec w bezpieczne miejsce.

Na obrzeżach świętego kwartału wznosiły się najgęściejsze kłęby dymu.

Ze Wschodniego Portu, gdzie oboje Solo kiedyś mieszkali, a Han parkował „Sokoła”, pozostało tylko wspomnienie. Podobne do sterowców potwory przechadzały się, ziejąc ogniem, między ruinami Ogrodów Botanicznych Gwiazdnej Kopuły, Kolumnady Ludu i Wzgórz Calocoura. Wszędzie, gdziekolwiek Han spojrzał, widział ślady potwornych zniszczeń wyrządzonych przez systemy dalekosiężnej broni, roztrzaskane platformy bojowe typu Golan, szczątki mieszkalnych sztucznych planetoid i orbitalnych satelitów kierujących energią słoneczną w wybrane miejsca powierzchni planety. Yuuzhan Vongowie zrównali z powierzchnią gruntu tysiącletnie budowle albo wykorzystali je do hodowli form swojego roślinnego życia. Na powierzchni szalały pożary, a w niebo wzbijały się kłęby czarnego dymu. Spoglądając z wysoka przez luki między chmurami, Han widział tłumy yuuzhańskich cywilów, biegnących w panice we wszystkie strony.

Ścigany ponownie przez pilotów koralowych skoczków przyspieszył nad spustoszonej terenem, zanurkował w głąb płonącego kanionu i skrył się w gęstym dymie wypełniającym rozpadlinę. Od czasu do czasu udawało mu się dostrzec bryły pokruszonego ferro-betonu. Ze ścian kanionu wystawały pod dziwnymi kątami podobne do eksperymentalnych rzeźb szczątki budowli.

- Ta planeta nie zasługuje na ocalenie - odezwała się ze ściśniętym gardłem Jaina.

- Na pewno Shimrra doszedł do takiego samego wniosku - stwierdził równie przygnębiony Harrar.

Lecąc w kierunku źródła sygnału namiarowego, Han skierował się na północ i mimo kłębiącego się dymu zaczął stopniowo obniżać pułap lotu. W pewnej chwili uświadomił sobie, że ma wylądować nieopodal zachodniej stacji końcowej Esplanady Glitannaia, bo właśnie tak wynikało z wyświetlanej na ekranie mapy rzeźby terenu. Pamiętał, że na przestronnych dachach domów wzniesionych wokół placu Sprawiedliwości mieściły się kiedyś modne sklepy i restauracje. Obecnie Esplanada wyglądała jak przecięty w kilku miejscach organicznymi mostami głęboki kanion, którym płynęła w stronę Cytadeli spieniona woda.

Uprzedzeni o zbliżaniu się „Sokoła” komandosi Sojuszu pojawili się na wystającym nad byłą Promenadą osłoniętym, przestronnym balkonie, z którego zrobili sobie lądowisko. Han

przesłał energię do repulsorów, skierował frachtowiec w stronę balkonu i pozwolił, żeby statek łagodnie osiadł na łapach ładowniczych. Na wszelki wypadek wyjął samopowtarzalny blaster z zamaskowanego schowka w dziobowej części kadłuba, ale włączył bezpiecznik, żeby przypadkowy strzał nie uszkodził rampy ładowniczej ani płyty lądowiska.

Opuścił sterownię ostatni i podszedł do Leii, Luke'a, Mary, Tahiri i Kentha, którzy stali w biegnącym po obwodzie statku korytarzu, ubrani w biokombinezony. Zaczekał, aż Jacen i Jaina też je włożą, po czym przycisnął otwartą dłońią guzik opuszczający rampę.

- Cakhmaimie, Meewalho! - krzyknął w kierunku dziobowej ładowni. - Wy i automaty zostajecie na pokładzie. Nie powinno nam to zająć dużo czasu.

Zbiegli po rampie, nisko pochyleni. Gorące podmuchy niosącego pył i popiół wiatru smagały taras i marszczyły biokombinezony żołnierzy, którzy wyszli na powitanie „Sokoła”.

- Witajcie w domu! - zawołał Judder Page głośno, żeby przekrzyczeć huk silników dwóch A-wingów, które przeleciały nisko nad ich głowami. - W miejscu, które nazywam nekropolią.

Podobnie jak jego towarzysze, Page miał raketowy plecak oraz hełm i był uzbrojony w blasterowy karabin. Tarasu strzegło kilkanaście wojennych androidów typu ZYV. Han nie był zaskoczony widokiem kilku pilotów Widm pośród komandosów, ale ostatnią osobą, którą spodziewał się zobaczyć, był Pash Cracken.

Jaina sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonej widokiem Jaga Fela. Pilot czekał w towarzystwie kilku innych na przyłot wahadłowca, który miał ich zabrać do Zachodniego Portu, gdzie dostarczono pozbawione pilotów gwiazdne myśliwce. Młoda Solo podbiegła do Jaga, Page zaś poinformował Luke'a, Kentha, Marę i Jacena o rozwoju sytuacji na powierzchni planety.

- Zhańbieni chwycili za broń, ale chodzą słuchy, że Shimrra kazał wszystkich wymordować, bo obwinia ich o dotychczasowe porażki Yuuzhan Vongów. Co gorsza, postanowił także uśmiercić samą planetę.

- Jak silnie ufortyfikowany jest święty kwartał? - zainteresował się Luke, chociaż wiatr mierzwił włosy na jego głowie i smagał go nimi po twarzy.

- Strzeże go kilka tysięcy żołnierzy i niewielka grupa gadopodobnych niewolników - odezwał się Cracken. - Na szczęście wsparcie z powietrza właściwie nie istnieje. - Kiwnął głową w kierunku rozbłyskującego nieba. - Większość pilotów koralowych skoczków toczy bitwę w

atmosferze.

- Tym lepiej dla nas - odparł mistrz Jedi.

Na smagany przez podmuchy wiatru taras wyszła Leia, żeby uściskać brata i Marę. W końcu objęła Jacena i tuliła go tak długo, jakby nie zamierzała nigdy wypuścić. Kiedy Jaina pożegnała się z Jagiem, Leia chwyciła ją w objęcia.

- Posłuchaj, Luke... - zaczęła, patrząc na brata.

- Zajmę się nimi, Leio - przerwał jej mistrz Jedi, wskazując bliźnięta. - Wiesz przecież, że wszyscy jesteśmy pod opieką Mocy.

Han pożegnał się z Jainą, Jacenem i Marą, po czym podszedł do Luke'a i położył dłonie na jego ramionach.

- Bywaliśmy już w gorszych tarapatach, co? - zagadnął. Luke wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Więcej razy niż dałbym radę zliczyć - przyznał. Han pokiwał głową.

- Więc może powinniśmy się postarać, żeby ten był ostatni - stwierdził z powagą.

- Będę o tym pamiętał, jeżeli i ty postarasz się o to samo - powiedział mistrz Jedi.

- Masz to u mnie jak w banku, ale i tak zawsze możesz mieć na mnie oko - odparł Solo.

Odwrócił się i objął żonę. Kiedy z tarasu zniknęli Jedi, komandosi Page'a i androidy typu ZYV, poprowadził ją z powrotem w kierunku frachtowca. Podeszli do rampy. Leia ciężko westchnęła i spojrzała na Hana.

- Więc nasze następne zadanie... - zaczęła.

- Obieramy kurs na Mózg Świata - dokończył Solo.

- A potem?

Han zacisnął wargi.

- Mam nadzieję, że Harrar coś wymyśli - powiedział.

Żyjący statek z nasion-partnerów, z którym związał się Kyp, śmigał bezszelestnie i bez wysiłku po udręczonym niebie nad Zonamą Sekot. Piloci koralowych skoczków, latając parami i trójkami, raz po raz nurkowali w głąb atmosfery i atakowali myśliwce, które planeta wysłała przeciwko nim do walki, ale na razie żaden nie dotarł wystarczająco blisko powierzchni. Kilku, którym udało się przebić przez kordon pilotów Jedi, zostało odparty przez samą Sekot. Żyjąca planeta, korzystając z potężnych prądów wstępującego powietrza albo niewidocznych generatorów siły ciężenia, posyłała każdego daleko poza granicę atmosfery. Yuuzhańskie

myśliwce odskakiwały od powierzchni planety jak magnesy, kiedy ich identyczne bieguny znajdowały się zbyt blisko siebie.

Kyp i pilot jakiegoś skoczka toczyli od dłuższego czasu zacięty pojedynek, ale za każdym razem, kiedy mistrz Jedi go namierzał, systemy uzbrojenia sekotańskiego myśliwca po prostu odmawiały posłuszeństwa. Z podobnymi problemami borykał się zresztą pilot skoczka; kierujący jego ruchami yammosk najwyraźniej dochodził do wniosku, że jeden podwładny zamierza ostrzelać drugiego, i nakazywał myśliwcowi zmianę kursu, żeby nie dopuścić do bratobójczej walki. Kyp wyczuwał impulsy siły ciężenia yammoska równie nieomylnie jak szarpnięcia i pociągnięcia samej Sekot. Świadomość Zonamy kierowała ruchami wszystkich pilotowanych przez Jedi żyjących statków w taki sam sposób, jak wojenny koordynator kierował ruchami eskadr koralowych skoczków. Pilotowane przez Yuuzhan Vongów i Jedi myśliwce wykonywały w powietrzu zawile taniec, ale o choreografii obie strony decydowały z dużej odległości.

Zonamę Sekot oblegali wrogowie o potężde dorównującej połączonym siłom chyba wszystkich wrogów, którzy od dwudziestu lat rzucali wyzwanie siłom zbrojnym Nowej Republiki, więc do ochrony całej planety nie wystarczyłoby kilkanaście sekotańskich statków, kanonierka klasy Skipray i garstka X-wingów. Yuuzhan Vongowie nie byli jednak zwyczajnymi wrogami, a Zonamie Sekot daleko było do zwyczajnej planety.

Zgodnie z regułami, jakich przestrzegali od początku wojny, Yuuzhan Vongowie przywiązywali ogromne znaczenie do stawiania czoła wyzwaniom, honoru i walki do ostatka. Ich kapłani oddawali cześć wielu okrutnym bogom, a piloci yuuzhańskich myśliwców rezygnowali z indywidualnych akcji na rzecz wykonywania poleceń mackowatego potwora koordynującego ich poczynania podczas bitwy. Ich poczucie honoru było równie wypaczone przez niewolnicze posłuszeństwo, jak otaczające ich przestworza były zniekształcane przez dovin basale, które napędzały ich koralowe skoczki i chroniły systemy uzbrojenia. Nie umniejszając znaczenia osiągnięć sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu podczas walk w przestworzach Ebaqa Dziewięć, Obroa-skai i na polach innych bitew, Yuuzhan Vongowie ponieśliby o wiele mniejsze straty, gdyby nie byli tak niewolniczo posłuszni woli bogów i nie przywiązywali tak dużego znaczenia do brania jeńców, których mogliby później składać im w ofierze. Byli rasą niezwykłych istot i niezwykłymi wojownikami, ale to zaślepienie w połączeniu z szaleńczą odwagą mogło się przyczynić do ich klęski podczas bitwy przeciwko Zonamie Sekot.

Pod warunkiem że rycerze Jedi opanują sztukę pilotażu sekotańskich myśliwców, pomyślał Kyp. Dużej odwagi wymagało już samo zajęcie miejsca w pulsującej czerwono-zielonym blaskiem kabynie. Owiewka wyglądała jak mikopodobny bąbel osłaniający kabinę pilota koralowego skoczka, ale podobnie jak wszystko wokół, była ciepła w dotyku. Rękojeść głównej dźwigni sterowniczej, łączącej funkcje drążka, dźwigni akceleratora i spustu systemów uzbrojenia, wyrastała z pulpitu i obejmowała dłoń pilota, podobnie jak rękojeść kontrolnej dźwigni na pokładzie Stacji Centerpoint owijała się wokół dłoni Anakina Solo.

Organiczna konsoleta zawierała zestaw rękojeści innych kontrolnych dźwigni, które przypominały wiązadła. Przełączniki przywodziły na myśl coś pośredniego między bąblami a odciskami, a ekrany systemów namierzania wyglądały jak na pokładzie kalamariańskiego krążownika. W kabynie unosiły się zapachy tyleż intensywne, co drażniące, jakby zachęcały pilota do posługiwania się nie tylko wzrokiem, słuchem i dotykiem, ale także zmysłem powonienia.

Najciekawsze jednak, że sekotański myśliwiec nawiązywał z umysłem pilota coś w rodzaju telepatycznego dialogu. Nie miał astromechanicznego robota, który mógłby informować o stanie pokładowych urządzeń i podzespołów, ani kaptura świadomości w rodzaju takiego, w jaki był wyposażony porwany yuuzhański okręt, nazwany potem „Zwodzicielką”. A jednak sekotański statek, przesyłając informacje bezpośrednio do umysłu pilota, wykorzystywał zalety obu tych systemów łączności. Nie był obdarzony własnym głosem - zastępowała go telepatia w rodzaju tej, jaką uczyli się opanowywać Jedi - ale Kyp wyczuwał myśli żyjącego statku w podobny sposób, w jaki orientował się w uczuciach nasion-partnerów, które go wybrały.

Wszystkie te cechy stanowiły standardowe wyposażenie żyjących myśliwców, a także innych statków, przekazanych przez Zonamę Sekot tym szczęśliwym pilotom Starej Republiki, którzy nawiązali wymaganą więź z nasionami-partnerami i mieli dość środków, żeby pozwolić sobie na taki zakup. Jednak w myśliwcach przeznaczonych dla Jedi dokonano kilku - jak mawiał Han Solo o swoim „Sokole Millenium” - „szczególnych modyfikacji”. Tak samo jak koralowe skoczki, sekotańskie myśliwce mogły wystrzeliwać kule plazmy, ale w przeciwieństwie do nich nie były osłaniane przez dovin basalowe pola ochronne, bo zamiast nich cechowały się niezwykłą ruchliwością. Nie miały jednostek napędu jonowego, wymienników ciepła, dysz wylotowych ani niczego, co przypominało elementy wyposażenia konwencjonalnych jednostek napędowych, a mimo to były szybsze niż A-wingi i zwrotniejsze niż myśliwce typu TIE.

Kyp zaczynał myśleć o nich jak o sekotańskich odpowiednikach świetlnych mieczy. Pilot nie musiał być rycerzem Jedi, bo kierowanie ruchami żyjącego myśliwca nie wymagało szczególnego zespolenia się z Mocą ale zachowanie się sekotańskich statków podczas walki zależało bezpośrednio od tego, jak dalece pilot był w stanie opróżnić umysł i zrezygnować z upierania się przy własnej ocenie sytuacji. Najlepszy dowód na potwierdzenie tej tezy stanowili Saba, Lowbacca i Tam Azur-Jamin, którzy przybrali kryptonimy Sykaczka, Prążek i Milczek. Widok wykonywanych przez nich manewrów zdumiewał Kypa tak bardzo, że chwilami przestawał się skupiać na przebiegu bitwy. Mimo swojego talentu do władania Mocą musiałby się jeszcze wiele uczyć, żeby wykonywać podobne manewry.

A może to żyjący myśliwiec miał kłopoty z nakłonieniem jego do wykonywania takich manewrów?

W pewnej chwili mistrz Jedi usłyszał cichy pisk osobistego komunikatora. W ciągu poprzednich kilku lat - od czasu wydarzeń w przestworzach Myrkra - Jedi porozumiewali się między sobą dzięki bitwowiezi, ale wsłuchiwanie się w myślowe sygnały sekotańskiego statku i pilotowanie go w atmosferze żyjącej planety tak mocno absorbowало ich uwagę, że utrzymywanie bitwowiezi stawało się prawie niemożliwe.

- Kypie, jak sobie dajesz z tym wszystkim radę? - zapytał Corran Horn. Sygnał jego komunikatora był przekazywany za pośrednictwem aparatury pokładowej „Cienia Jade”, który zajmował pozycję na skraju pola bitwy, na stacjonarnej orbicie. Gwiezdny jacht, choć bez pilota, miał włączone obwody podporządkowania i wszystkie konieczne systemy ochronne.

- Zastanawiam się, czy przypadkiem mój myśliwiec nie ma trudności z dawaniem sobie rady ze mną- odparł Durrón.

- Ja też - przyznał Horn. - Radziłem sobie o wiele lepiej z sekotańskim statkiem, który pilotowałem z Coruscant wspólnie z Tahiri. Mierzę starannie, ale mimo to wiele moich strzałów nie dociera do celu... nawet jeżeli między mną a nim nie ma żadnej grawitacyjnej anomalii.

- To chyba jeszcze jedna sztuczka Sekot, która nie chce, żebyśmy się stali zabójcami - stwierdził mistrz Jedi.

- Mam na ten temat własną teorię, ale na razie zachowam ją dla siebie - oznajmił Corran.

- Więc dlaczego w ogóle toczymy tę walkę? - zapytał Kyp. - Na pokaz?

- Może Sekot tak samo stara się wyczuć nas, jak my te żyjące myśliwce - podsunął starszy Jedi. - Dopiero kiedy jej się to uda, nasze strzały zaczną trafiać myśliwce nieprzyjaciół.

- Czy to znaczy, że powinienem uważać tę walkę za coś w rodzaju obłąkanej symulacji?
- zaniepokoił się Kyp.

- Z jedną różnicą - zastrzegł Horn. - To nie my się uczymy, ale sekotańskie statki.

Durron przerwał połączenie, ale długo jeszcze zastanawiał się nad słowami Corrana. Doszedł do przekonania, że może uczyć się nie tylko statki. Dlaczego nasionapartnerzy związały się z niektórymi Jedi, nie ze wszystkimi? Dlaczego z nim, a nie z Jainą Solo? Czy mogło chodzić o to, że Kyp zniszczył kiedyś planetę, Saba oglądała na własne oczy zniszczenie innej, a Alema i Corran uważali, że są odpowiedzialni za zniszczenie swoich? Czy jakieś nasiona-partnerzy związałyby się z Gannerem Rhysodem? A z Wurthem Skidderem? A z uczniem Kypa, Mikiem Reglią?

Czy nasiona-partnerzy przyłączyłyby się do Anakina Solo?

Co takiego Sekot wiedziała o nich wszystkich, z czego sami nie zdawali sobie sprawy?

R O Z D Z I A Ł 37

Nad przekształconym przez Yuuzhan Vongów miastem zapadła nagle ciemność.

Jedi zapalili różnobarwne klingi świetlnych mieczy i czerpiąc energią z Mocy, zaczęli przeskakiwać po popękanych, zalewanych strugami deszczu dachach domów i balkonach wiszących nad terenem, który był kiedyś Esplanadą Glitannaia. Stosy koralowych odłamków, niepewnie wiszące nad przepaściami półki, i kaniony nie stanowiły przeszkody dla drużyny. Jedi pokonywali przeszkody, przefruwali nad nimi i spieszyli w kierunku Cytadeli, żeby się rozprawić z Yuuzhaninem ponoszącym główną odpowiedzialność za to, czym się stała Coruscant. Komandosi kapitana Page'a mieli wprawdzie raketowe plecaki, ale z trudem dotrzymywali im kroku.

Podmuchy silnego wiatru miały we wszystkie strony strugi ulewnego deszczu, poprzez które chyba nikt nie potrafiłby odróżnić błysków naturalnych wyładowań atmosferycznych od śmiertelnych błyskawic laserowych strzałów, kłębow dymu od nisko wiszących burzowych chmur i skwierczenia gaszonych przez ulewę pożarów od syku przecinających wilgotne powietrze sztychów spójnego światła. Odgłosy strzałów odległych stanowisk artylerii mogły być równie dobrze grzmotami, a widoczne na horyzoncie czerwopomarańczowe kolumny

wybuchami wulkanów albo pociskami wysyłanymi z wyrzutni plazmy.

Luke doszedł do wniosku, że mgławicowy wygląd otoczenia dobrze odzwierciedla to, co się dzieje w jego duszy. Ciemności wyglądały, jakby mieszały się różne rzeczywistości. Coruscant szybko stawała się pustkowiem... grawitacyjną anomalią, rozciągającą i zniekształcającą tkankę życia. Mistrz Jedi nie wiedział, czy to wciąż jeszcze Coruscant, czy może już Yuuzhan'tar... jak wyglądała w końcowym okresie istnienia pradawna ojczyzna Yuuzhan Vongów, kiedy bogowie, rozgniewani tym, że stworzone przez nich istoty postanowiły rozwiązywać konflikty drogą wojny, obrabowali ich z Mocy i wrzucili do bezdennej otchłani.

W pewnej chwili Mara stanęła i odwróciła się do Juddera Page'a.

- Najszybsza droga prowadzi przez północną aleję dojazdową - poinformowała, kiedy wszyscy inni się zatrzymali na usianej kałużami krawędzi wąwozu. Krople deszczu ściekały z osłon ich hełmów i spływały kaskadami po biokombinezonach. Mara prowadziła Jedi i komandosów na pamięć, chociaż korzystała z „Vongozmysłów” Jacena i Tanin, żeby się nie natknąć na patrol yuuzhańskich wojowników.

Page nie odrywał spojrzenia od wbudowanego w rękaw biokombinezonu, omywanego przez strugi deszczu miniaturowego ekranu z wyświetlaną mapą.

- Jeżeli wierzyć tej mapie, do alei powinien prowadzić jakiś most - zauważył.

Mara kiwnęła głową.

- Most Jedności - potwierdziła. - Wiele razy jadałam obiady na dolnym poziomie.

Choć widziała, jak wygląda Coruscant, w jej głosie brzmiała tęsknota. Luke wyobrażał sobie, jak trzydzieści lat wcześniej Mara Jade odwiedza wytworne sklepy i restauracje Esplanady Glitannaia, spaceruje w tłumie osób podczas Imperialnych Jarmarków i od czasu do czasu wpada w przebraniu do Imperialnego Pałacu jako Ręka Imperatora. Mistrz Jedi znał taką Coruscant tylko z transmisji Holo-Netu i z dramatów czy relacji, jakie czasami docierały do Stacji Tosche na Tatooine. Kiedy w końcu sam wylądował na powierzchni planety stolicy po wyzwoleniu Coruscant przez siły zbrojne Nowej Republiki, większość wieżowców dzielnicy rządowej była już w ruinie.

W ciągu następnych dziesięcioleci Coruscant stała się jego domem, ale w końcu spotkał ją taki sam los jak Yavina Cztery. Luke nie wyobrażał sobie, żeby obecny widok Coruscant mógł go doprowadzić do rozpacz, ale też się nie spodziewał, aby po dwóch latach od chwili odlotu jego i Mary jej powierzchnia mogła zostać do tego stopnia zmieniona... tak bardzo

przekształcona.

Tymczasem jego żona zachęcała wszystkich gestami do ruszenia w dalszą drogę.

Kwadrans biegli po płaskim terenie, zanim w końcu dotarli do Mostu Jedności, pozbawionego ozdób i płaskorzeźb, które odróżniały go od wielu podobnych konstrukcji. Obecnie wyglądał jak przerzucona nad kanionem Esplanady ferrobetonowa płyta. Z jej krawędzi opadały smagane przez strugi deszczu pędy dzikiego wina i ociekających wodą roślin, a płytki, chociaż wartko płynący strumyk przelewał się przez krawędź i znikał w mroku, żeby połączyć się z płynącą w dole spienioną rzeką.

Kiedy Jedi dotarli do południowego wspornika mostu, pierwszy raz zobaczyli cel wyprawy. Kilka kilometrów na wschód wznosiła się Cytadela Shimrry. Oświetlana zygzakami błyskawic i nitkami spójnego światła z działek gwiazdnych myśliwców Galaktycznego Sojuszu, górowała nad iście piekielnym krajobrazem. Wznosiła się niczym potężna góra w miejscu, w którym znajdowały się kiedyś Imperialny Pałac i okoliczne budowle, począwszy od Kalamariańskiego Zakątka, a skończywszy na Pliada di am Imperium, jak nazywano wschodnią stację końcową Esplanady Glitannaia. Podstawa Cytadeli tonęła w kłębach czarnego dymu, ale w połowie wysokości widać było dochodzące z czterech stron pomosty, łączące Cytadelę z sąsiednimi konstrukcjami.

Nawet z tej odległości dało się zauważyć, że podobnie jak inne świątostatki Yuuzhan Vongów, które Luke miał okazję oglądać, góra jest bardzo stroma i poznaczona wgłębieniami. Świątostatek Shimrry zdobiła jednak para ażurowych skrzydeł, które upodabniały go do ogromnego owada. Wrażenie potęgowało posadowienie statku w kraterze jak w kołysce, co wyglądało, jakby spoczywał w gnieździe.

Koronę góry atakowały eskadry X-wingów i E-wingów, ale wszystkie pociski, które posyłali ku niej piloci gwiazdnych maszyn, pochłaniały pustki czarniejsze niż przecinane błyskawicami niebo. Kiedy dwa tęponose myśliwce zbliżyły się zanadto do świątostatku, z wyrzutni nad skrzydełkami trysnęły strugi plazmy. Z daleka wyglądało to, jakby X-wingi nie miały pól ochronnych. Trafione przegrzаныmi pociskami w sterburtę maszyny opadały po spirali ze stopionymi jonowymi silnikami i skrzydłami. Kiedy zderzyły się z chropowatą skorupą Cytadeli, od kadłubów skazanych na zagładę maszyn oderwały się jakieś szczątki. W końcu oba myśliwce zniknęły w kłębach dymu u podstawy budowli, skąd kilka sekund później strzeliły słupy ognia i kłęby dymu.

Luke nic nie mówił, ale jego milczenie znaczyło więcej niż słowa. Kiedy odwrócił się i zeskoczył na most, z przeciwległego krańca rozległ się donośny ryk, w ciemności zapłonęły ogniste ślepie i zza skrzydła zrujnowanej budowli wyłoniło się ogromne zwierzę. Nie było pierwszą formą życia Yuuzhan Vongów, jaką mistrz Jedi widział od czasu opuszczenia pokładu „Sokoła” - po świętym kwartale błąkały się setki ogarniętych paniką zwierząt - ale z pewnością największą.

- To mon duul - krzyknął Jacen głośno, żeby wszyscy go usłyszeli. - Jeżeli ma implantowanego villipa, jego brzuch może działać jak wzmacniacz dźwięków. Tak czy owak, stworzenie jest nieszkodliwe.

Mimo to Page nie opuszczał lufy blasterowego karabinu.

- Jeżeli tak twierdzisz, chłopcze... - powiedział, wskazując most wymownym ruchem lufy. - Idź przodem.

Jacen i Luke ruszyli w dalszą drogę, mon duul zaś usiadł na zadzie i skierował membranowy brzuch w stronę mostu. Wszyscy usłyszeli basowy, groźny głos, który mówił po yuuzhańsku:

- Szeźnijcie! - przetłumaczyła Tahiri. - Szeźnijcie wszyscy, którzy stoicie między mną a wywyższeniem... którzy staracie się zbecześcić mnie w naszej najświetniejszej chwili.

- Shimrra? - zapytał Luke. Jacen niepewnie pokręcił głową.

- Trudno powiedzieć na pewno, ale to możliwe - zawyrokował.

- W waszym imieniu toczę walkę z bogami, a wy odwdzięczacie mi się buntem, więc szeźnijcie! - ciągnęła Tahiri. - Idźcie na śmierć i wracajcie do waszych bogów, a ja tymczasem zajmę się przekształcaniem świata.

- Jaka szkoda, że nie możemy mu odpowiedzieć - odezwała się Mara.

- Wkrótce to zrobimy - zapewnił Luke.

Jacen i Tahiri podeszli powoli do siedzącego mon duula i jak na rozkaz wykonali prawą ręką taki sam gest, po którym czterotonowe zwierzę opuściło przednie łapy, wstało, odwróciło się i zniknęło w ciemności.

Posłużyli się Vongozmysłem, pomyślał mistrz Jedi.

Jaina podbiegła do nich i lewą ręką objęła brata bliźniaka.

- Zawsze umiałeś sobie radzić ze zwierzętami - przypomniała.

Jacen odpowiedział niewesołym uśmiechem i ruszył szybko w dalszą drogę.

Troje młodych Jedi pokonało most i skręciło na wschód w kierunku Cytadeli. Przed nimi, pokryty roślinnością, widniał szereg zrujnowanych konstrukcji, ciągnący się aż do zachodniego pomostu umożliwiającego dostanie się do góry Shimrry. Gdy już Luke, Mara i Kenth dołączyli do Jacena i Tahiri, oboje młodzi Jedi dali znak, żeby wszyscy stanęli. W świetle błyskawic pojawiła się przed nimi grupa chudych jak szkielety ludzi i istot człekokształtnych, ubranych w ociekające wodą, połatanę łańchmany i strzępy skór jakichś zwierząt.

- Podejdźcie bliżej - odezwała się po yuuzhańsku Tahiri.

Z grupy wystąpiło dwoje Zhańbionych, Yuuzhanin i Yuuzhanka.

-Jeedai - przemówił młody osobnik, nie odrywając spojrzenia od pomrukującej klingi świetlnego miecza Skywalker.

Po chwili do tych dwojga dołączyło kilku następnych Yuuzhan, a także kilkunastu Coruscan, którzy wyglądali, jakby od czasu opanowania planety przez najeźdźców żywili się tylko roślinami i odpadkami. Zhańbieni i wyklęci, pomyślał Luke i wyłączył klingę świetlnego miecza.

Między Yuuzhanami precyzyjnie się dwaj zdyszani i ranni mężczyźni w biokombinezonach komandosów. Podeszli do grupy Jedi i zaszalutowali kapitanowi Page'owi.

- Jesteśmy z Oddziału Bacta, panie kapitanie - zameldował sierżant. - Właśnie wyszliśmy z podziemi. To straszne, co się tam dzieje. Heretycy walczą mężnie, ale potrzebują wsparcia... i to szybko. Gdyby mógł pan nam kogoś przydzielić, panie kapitanie...

Page odwrócił się i bez wahania wskazał komandosa z raketowym plecakiem.

- Gratuluję ci, kapralu, właśnie dostałeś awans na stanowisko dowódcy oddziału - powiedział. - Weź dziesięciu ludzi i dołącz do sierżanta. Przegrupujemy się u stóp Cytadeli tak szybko, jak to możliwe.

Komandos zaszalutował, obrócił się na pięcie i zaczął wybierać sobie towarzyszy.

Ranny sierżant przeniósł spojrzenie z twarzy zwierzchnika na Luke'a.

- Mistrzu Skywalker, kilku twoich Jedi nadzwyczaj by pomogło tam, na dole - oświadczył. - Nie tylko nam... - odgiętym kciukiem wskazał Zhańbionych - .. .ale przede wszystkim im - dokończył po chwili.

Kenth i Tahiri spojrzeli na Luke'a, który kiwnął głową.

- Dziękuję - powiedział sierżant, kiedy oboje Jedi stanęli obok niego. - Słyszeliśmy, że znów pojawił się Prorok, ale nie mogliśmy go nigdzie znaleźć. Zhańbieni twierdzą, że ostatnio

był widziany na placu Hierarchii.

Mara podeszła do sierżanta.

- Stał na czele heretyków czy brał udział w ich mordowaniu? -zapytała.

- Stał na ich czele.

Luke obrzucił żonę sceptycznym spojrzeniem.

- Może jego serce się odmieniło po tym, czego dokonał na powierzchni Zonamy Sekot? - powiedział.

Mara prychnęła pogardliwie.

- Chyba że mu ktoś implantował nowe - mruknęła.

Luke odwrócił się do pary Zhańbionych, którzy pierwsi wystąpili z grupy.

- Czy ktoś z was był kiedykolwiek w Cytadeli? - zapytał.

Tahiri przetłumaczyła jego słowa.

Z tłumu odpowiedział jakiś Yuuzhanin i zaraz przecisnął się na czoło grupy. Miał na twarzy więcej paskudnych blizn niż pozostali, a z jego ramion wyrastały krótkie rogi.

Tahiri wysłuchiwała jego słów, a kiedy skończył, odwróciła się do mistrza Jedi.

- Mówi, że dawno temu był raz w Cytadeli - powiedziała i umilkła, żeby słuchać dalej. - Służył kiedyś jako wojownik... zanim jego organizm odrzucił formy życia, zaprojektowane specjalnie dla niego przez mistrzów przemian, żeby udoskonalić jego ciało. - Były wojownik wskazał łączące się z koralową górą pomosty. - Każda kasta korzysta z osobnego wejścia - podjęła po chwili Tahiri. -Wszystkie jednak prowadzą do wielkiej Sali Zgromadzeń, w której najwyższy lord Shimrra przyjmuje na audyencji najważniejszych dostojników.

- Zapytaj go, czy Shimrra może właśnie w tej chwili przebywać w tej sali - polecił mistrz Skywalker.

Tahiri przetłumaczyła pytanie i zaczęła do końca odpowiedzi.

- Twierdzi, że nie znajdziecie tam Shimrry - wyjaśniła. - Na pewno przebywa teraz w swojej osobistej... skrzyni. - Yuuzhanin wycelował gruby, krótki paluch w wyniosłą koronę koralowej góry. - Musicie się wspiąć na sam wierzchołek.

Luke odwrócił się do heretyka.

- Dziękuję - powiedział, ale zauważył, że Yuuzhanin zagadnął jeszcze o coś swoją rozmówczynię.

- Ma pytanie do Jedi - odezwała się Tahiri. - Pyta, czy zamierzamy im pomóc, czy ich

zabić. Chce wiedzieć, czy Zhańbieni naprawdę będą w stanie znaleźć zbawienie w Mocy.

Luke spojrział na Yuuzhanina.

- Pomożemy wam znaleźć drogę powrotną do Mocy - obiecał.

Tłumaczenie jego słów wywołało podniecenie i lawinę rozmów prowadzonych przyciszonym tonem przez Zhańbionych, którzy w końcu zniknęli w ciemności w towarzystwie Kentha i Tahiri. Mara przeniosła spojrzenie z Cytadeli na twarz męża.

- Gotów, żołnierzyku? - zainteresowała się, ale kiedy Luke nie odpowiadał, zapytała: - Co się stało?

Mistrz Skywalker wytrzymał siłę jej spojrzenia.

- Maro, chcę, żebyś poszła z Kenthem i Tahiri - powiedział. Jego żona popatrzyła z niedowierzaniem.

- Chcę, żebyś im towarzyszyła - powtórzył Luke.

Mara spoważniała, a w jej oczach zapłonęły iskierki niepokoju.

- Luke, powiedz, że przemawia przez ciebie Moc i że nie robisz tego, bo nie chcesz, żebyśmy walczyli ramię w ramię... dla dobra Bena - zażądała.

-A czy to miałyby jakieś znaczenie? - zapytał mistrz Jedi. Mara zacisnęła palce na jego ramionach.

- Kiedy przebywaliśmy na powierzchni Zonamy Sekot, zapewniałeś, że oboje mamy przed sobą jeszcze wiele lat życia - przypomniała.

Luke uśmiechnął się i pogładził jej policzek czubkami palców.

- Naprawdę uważasz, że wplątywałbym cię w to wszystko tylko po to, żebyś została wdową... albo ja wdowcem? - zapytał.

Mara pokręciła głową.

- To nie byłoby w twoim stylu - przyznała.

- Więc idź z nimi.

Żona z wahaniem kiwnęła głową.

- Idę nie dlatego, że tak chcę, ale dlatego, że ci ufam - powiedziała.

Omijając czoło burzy, która smagała deszczem północną część świętego kwartału, Han skierował „Sokoła” w stronę byłej Dzielnicy Legislacyjnej. Dzięki wytrzymałości konstrukcji przypominającej plaster miodu i wmontowanym strefom zgniotu gmach Senatu przetrwał ostrzał Yuuzhan Vongów, ale obecnie słynny budynek przykrywała półkilometrowej wysokości kopała,

w której znalazł schronienie Mózg Świata.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie natknęliśmy się na ogień z wyrzutni plazmy - odezwał się Solo, kiedy jego żona wykonywała rozpoznawcze okrążenie. - Tej skorupy nie przebije nic, może z wyjątkiem pogromcy planet.

- Wydzielane przez koral yorik enzymy strawiły i pochłonęły durabeton i transpastał Gmachu Senatu - wyjaśnił Harrar z fotela nawigatora. - Materiały użyte do budowy gmachu wykorzystano do stworzenia nowego egzozszkieletu, który sięga głęboko pod powierzchnię gruntu i tworzy wokół dhuryama... Mózgu nieprzenikalną kulę.

C-3PO trzymał się oparcia sąsiedniego fotela, a R2-D2 stał, bezpiecznie przytwierdzony za protokolarnym androidem. Cakhmaim zajmował miejsce w wieżyczce górnego działka, a Meewalha przebywała w dziobowej ładowni.

Han odwrócił się w stronę kapłana.

- Jak dalece nieprzenikliwą? - zapytał.

- Wystarczająco, żeby dhuryam przeżył inwazję zdalnie sterowanego statku... takiego jak ten, który mieści się na koronie Cytadeli-powiedział Yuuzhanin.

- Kapsuła ratunkowa - domyśliła się Leia.

- Ale potężna - dodał Harrar. - Zdolna do ocalenia nie tylko dhuryama ze wszystkimi jego cechami genetycznymi i nabytymi umiejętnościami, ale także życia osób, które mogą przebywać w Studni, kiedy kula wystartuje z powierzchni Yuuzhan'tara.

- O rety - odezwał się C-3PO.

R2-D2 zawtórował protokolarnemu androidowi przeciągłym gwizdem.

Han spojrział na Harrara i podrapał się po głowie.

- Więc jak dostaniemy się do środka, jeżeli twoim zdaniem tej konstrukcji nie da się zbombardować? - zapytał.

Kapłan pochylił się w stronę iluminatora.

- Skończcie okrążenie - zaproponował. - Może wypatrzmy wejście do tajnego korytarza, którym wymknęli się ze Studni Jacen i Vergere.

Han skierował „Sokoła” na zachód. Leia patrzyła uważnie na pokryte roślinnością konstrukcje i w pewnej chwili pokazała wysunięty najbardziej na południowy zachód fragment kopuły.

- Gdzieś mniej więcej w tamtym miejscu znajdował się gabinet Borska Fey'lyi -

powiedziała.

Solo podążył spojrzeniem za jej wskazującym palcem.

- Dokładnie tam, zagrzebany pod setkami ton koralu yorik - stwierdził stanowczo.

Leia spojrzała na męża.

- Wygląda, jakby kopuła się rozrosła, odkąd był tam Jacen - zauważyła.

- Można tak powiedzieć.

- To dość nieoczekiwany rozwój sytuacji - dodał Harrar.

- Mam dość tych wszystkich niespodzianek - burknął Han. - Musi istnieć jakiś sposób dostania się do środka.

- Może frontowym wejściem? - podsunął C-3PO.

- Ta-a, po prostu podlecimy i zapukamy - odciął się Solo. - Czy właśnie nie tak dostałeś się kiedyś do pałacu Hutta Jabby?

- Prawdę mówiąc, kapitanie Solo... - zaczął protokolarny android.

- Wejście od frontu może się okazać problematyczne - przerwał kapłan. - Kiedy skończycie okrążenie, pokażę wam, dlaczego.

Północny horyzont wyglądał jak spiętrzona masa czarnych chmur, raz po raz podświetlanych od wewnątrz przez błyskawice i eksplozje. Kiedy Han, okrążając dwukilometrowej średnicy kopułę, skręcił na wschód, oczom wszystkich ukazał się wiodący do niej długi tunel. Miał półokrągły przekrój i wyglądał jak spleciony z gałęzi tysięcy smukłych drzew.

- Żywopłotowy labirynt - stwierdził Harrar. - Ceremonialna aleja, wiodąca do atrium Studni Mózgu Świata.

Han parsknął śmiechem.

- Czeka nas spacer po parku - powiedział. - Chyba że zamierzasz mi powiedzieć, że ten żywopłot jest odporny na systemy broni „Sokoła”.

- Żywopłot jest nie tylko wytrzymały i ognioodporny jak wasza durastal, ale tworzące go drzewa są pokryte ostrymi jak igły kolcami różnej długości, począwszy od takich jak paznokcie twojego kciuka, a skończywszy na cierniach długich jak ramię. Kolce zawierają paraliżującą nerwy toksynę, zdolną porazić system nerwowy każdego stworzenia, które będzie miało nieszczęście choćby się skaleczyć.

Nie kryjąc frustracji, Han zacisnął wargi.

- Wobec tego przekonajmy się, jak sobie poradzę z kilkoma udarowymi raketami - powiedział.

- Zmarnujesz je - przestrzegł zwięźle Harrar. - Nawet jeżeli wyrządzą jakieś szkody, dhuryam szybko je usunie.

- Ta-a... no cóż, skoro jesteś taki mądry, wymyśl jakiś plan, który pozwoliłby nam dostać się do środka - mruknął z sarkazmem Solo.

- Już wymyśliłem - odparł Yuuzhanin. - Jaką szerokość ma twój statek?

- Mniej więcej dwadzieścia pięć metrów - poinformował Korelianin. - Dlaczego pytasz? Harrar głęboko odetchnął.

- Będzie ciasno, ale jeżeli naprawdę jesteś tak dobrym pilotem, jak słyszałem, powinno się udać - zdecydował.

Leia odwróciła się na fotelu i spojrzała na kapłana.

- Co powinno się udać? - zapytała.

- Przelecieć przez ten tunel prosto do wejściowego portalu - dokończył Harrar.

Leia rozchyliła usta ze zdumienia.

- Chyba nie mówisz poważnie - stwierdziła.

- Księżniczka Leia ma rację - poparł ją C-3PO, a R2-D2 tylko żałośnie zakwilił. - Proszę potwierdzić, że pan tylko żartował.

Na twarz Hana powoli wypłynął szeroki uśmiech.

- Mówił poważnie... i ma rację - odezwał się w końcu i spojrzał na żonę. - Damy radę to zrobić.

Leia chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i zamknęła usta. Po chwili jednak znów je otworzyła.

- Kazaleś mu coś wymyślić, a on właśnie to zrobił - powiedziała.

Han poklepał czule jej rękę.

- Lepiej zaciśnij pasy ochronnej uprząży, kochanie - poprosił. - Ty także usiądź i się przypnij, Złota Sztabo.

Zaniepokojony Threepio przekrzywił głowę.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, kapitanie Solo, wolałbym udać się do dziobowej ładowni w towarzystwie Artoo - powiedział.

- Jak chcesz - mruknął obojętnie Han. - Tylko się pospieszcie. - Zbliżył do ust mikrofon. -

Cakhmaimie, zejdź do dziobowej kabiny, gdzie już czeka na ciebie Meewalha.

Zatoczył obszerne koło i skierował dziób frachtowca prosto we wlot żywopłotowego tunelu.

- Jesteś pewien, że damy radę? - zaniepokoiła się Leia, podczas gdy mąż pstrykał dźwigienkami przełączników na pulpicie kontrolnej konsoli.

- Nie - odparł Solo. - Ale na szczęście nie mamy czasu się nad tym zastanawiać.

Obniżył pułap lotu „Sokoła” i przyspieszył. Z każdą chwilą kolczasty półokrąg wlotu powiększał się za iluminatorem statku. Leia odruchowo poprawiła się na fotelu i zacisnęła dłonie na podłokietnikach.

- Trzymaj się - polecił Han. - Uważaj...

Chwilę później wpadli w głąb tunelu.

„Sokół” zdążył przelecieć zaledwie kilka metrów, kiedy wszyscy troje uświadomili sobie, że pokonanie całego tunelu nie będzie takie łatwe, jak się początkowo wydawało. Splecione gałęzie wytrzymałych drzew szarpały kadłub statku to w tę, to w inną stronę. Frachtowiec trzeszczał i dygotał, parę razy o mało nie obrócił się wokół własnej osi. Najdłuższe ciernie, drapiąc pancierz, wydobywały z niego przeciągłe, świdrujące w uszach piski. Zaczęły się odrywać z trzaskiem elementy zainstalowane na powierzchni kadłuba: ochronne klapy, antena zestawu dalekosiężnych sensorów i stabilizatory ciśnienia systemu wstrzykiwania paliwa. Tymczasem widoczny prosto na kursie wlot żywopłotowego tunelu zaczął się zamykać... dosłownie kurczył się w oczach.

- Wystrzel rakiety udarowe! - wykrzyknął Han.

Leia przycisnęła spust i posłała w głąb tunelu najpierw jedną parę pocisków, a zaraz po niej drugą. Rakiety przedarły się przez cierniste gałęzie i eksplodowały w miejscu, które wyglądało jak wejście do kopuły.

- Zwiększ natężenie deflektorów!

Leia przesłała więcej energii do dziobowych pól ochronnych. Chwilę później powracająca fala ognia i szczątków omyła kadłub „Sokoła”, oderwała następne elementy i osmałiła kilka płyt poszycia kadłuba.

W końcu statek przedarł się do szerokiego pomostu, utworzonego przez konary wielkich drzew. Ich splecione gałęzie z płonącymi liśćmi sterczały ku niebu. Początek wiodącego w górę pomostu miał szerokość stu metrów, ale zwężał się niczym grot strzały, by na końcu przejść w

wysadzaną szpalerem ciemnych krzewów rampę. Jej koniec stykał się z masywnym, zrujnowanym zwieraczem wjazdu, okalającym kiedyś Wielkie Drzwi Senatu.

Han robił, co mógł, żeby „Sokół”, który raz po raz odbijał się od powierzchni byłego placu niczym płaski kamień od spokojnej powierzchni stawu, leciał cały czas w kierunku końca drugiego odcinka żywopłotu. Jednak wytrzymałe niczym durastele gałęzie najpierw spowolniły frachtowiec, a wreszcie go uwięziły. W końcu dziesięć metrów od uszkodzonego przez rakiety wejścia statek przechylił się na burtę i znieruchomiał. Dwa dyski ładownicze zetknęły się z brukowcami nawierzchni placu, ale przytrzymywana przez splątane gałęzie bakburta pozostała uniesiona.

- Chyba dalej nie polecimy - zawyrokował Solo, patrząc prosto przed siebie i nie odrywając dłoni od rękojeści dźwigni drążka sterowniczego.

Leia wypuściła powietrze z płuc i z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Nie ma to jak dyskretne lądowanie - powiedziała.

Wszyscy troje wyplątali się z ochronnych uprząży i niepewnie wyszli na biegnący po obwodzie czaszy korytarz. Na płytach pokładu walały się najrozmaitsze przedmioty, które wypadły z innych pomieszczeń frachtowca.

- Posprzątam kiedy indziej - zdecydowała Leia.

Han parsknął śmiechem.

- Moglibyśmy poprosić, żeby Threepio nas w tym wyręczył - zaproponował.

- Miałem nadzieję, że pan to powie, kapitanie Solo - odezwał się złośliwy android, który w towarzystwie Artoo i obojga Noghrich wyłonił się z dziobowej ładowni. Dla zachowania równowagi wszyscy opierali się o zakrzywioną ścianę korytarza. - Z rozkoszą zająłbym się tą męczącą pracą.

Na znak protestu R2-D2 zapiszczał i zaszczebotał.

- Nie zniesiemy dłużej twoich narzekań, Artoo - skarcił go Threepio. - Jeżeli kapitan Solo chce, żebyśmy zostali na pokładzie statku, zamiast dotrzymywać mu towarzystwa w Studni Mózgu Świata, możemy przynajmniej...

Astromechaniczny robot głośno prychnął. Zirytowany C-3PO się wyprostował.

- Nigdy nie można ci dogodzić - powiedział urażonym tonem.

- Przestańcie się wreszcie kłócić! - huknął Han. - Na razie nie przejmujcie się bałaganem. Macie tylko pilnować, żeby silniki „Sokoła” pracowały na jałowym biegu. Aha, i nie

oddalajcie się od komunikatora.

Odwrócił się i opuścił ładowniczą rampę, która opadła tylko trochę, bo zaraz oparła się o twardą nawierzchnię byłego placu.

- Kiedy znajdziemy się w Studni, przestaną nam grozić zasadzki wojowników - odezwał się Harrar. - Ale zanim tam dotrzemy, Hanie Solo, pod żadnym pozorem nie możesz zabić mistrzyni albo mistrza przemian. Będziemy potrzebowali jej albo jego znaczników zapachowych, żeby bezpiecznie dotrzeć do Studni. Wiem to i owo na temat samego Mózgu, ale nie mam pojęcia, jak sprawić, żeby się stał niezdolny do działania.

Han podał obojgu Noghrim kilka termicznych detonatorów, po czym sam przypiął dwa do pasa.

- To na wypadek gdybyśmy mieli kłopoty z przekonaniem go, że powinien się poddać - wyjaśnił.

Leia wysunęła klingę świetlnego miecza i zmrużyła oczy.

- Obiecywałam sobie kiedyś, że już nigdy więcej nie postawię stopy w Gmachu Senatu - powiedziała.

Han kiwnął jej głową.

- Czasami musimy łamać obietnice, które sobie składamy - zauważył.

Cała piątka pospieszyła w dół rampy. Kiedy kłapa się zamknęła, przeszli przez powoli zacieśniającą się wyrwę, jaką rakiety udarowe przebiły w grubym zwieraczu bramy. Pokonali otwór w paskudnie rozszarpanej membranie i znaleźli się w pogrążonej w półmroku przestronnej jaskini o ścianach z koralu yorik. Han nie miał dość czasu, żeby się im przyjrzeć, bo z otworu wąskiego korytarza, widocznego naprzeciwko wejścia w zakrzywionej ścianie, wyroiło się ponad pięćdziesięciu yuuzhańskich wojowników uzbrojonych w amphistaffy.

Ktoś zaczął wykrzykiwać po yuuzhańsku słowa, które nie wymagały tłumaczenia.

W kierunku intruzów z pokładu „Sokoła” poleciały rój brzęczących gniewnie owadów i grad wyprężonych amphistaffów. Han obejrzał się na Harrara.

- Powiedziałeś, że kiedy wejdziemy do środka, możemy się nie obawiać ataku wojowników! - wykrzyknął i kucnął obok Noghrich, żeby odpowiedzieć na atak błyskawicami blasterowych strzałów.

- Jeszcze nie dotarliśmy do samej Studni - odparł kapłan. - Na razie jesteśmy tylko w atrium!

Odbijając klingą na boki brzytwożuki i ogłuszające chrząszcze, Leia zaczęła się wycofywać w kierunku wejścia. Strzelając bez celowania w kierunku napastników, wszyscy przeszli przez zamykany tęczówkowo otwór, wypadli na płac i puścili się biegiem w kierunku „Sokoła”. Gdy byli już blisko, stwierdzili, że w czasie ich nieobecności frachtowiec został zupełnie opłatany kolczastym żywoplotem.

Mimo otuchy, jaką gromki okrzyk Proroka wlał w serca heretyków, ich kontratak nie przebiegał tak pomyślnie, jak można byłoby się spodziewać. Nad głowami walczących rozpętała się gwałtowna burza. Zhańbieni i ich nowi sprzymierzeńcy nadal padali pod razami ciosów coufee, tracili przytomność po trafieniu przez ogłuszające chrząszcze, ginęli lub odnosili rany od uderzeń amphistaffów... Zbroczony krwią Nom Anor, walcząc z coufee w jednej dłoni i amphistaffem w drugiej, raz po raz ślizgał się na kamieniach, splukiwanych przez deszcz zmieszany z czarną krwią walczących Yuuzhan. Zmoczeni do suchej nitki niedoszli powstańcy wywalczyli sobie wprawdzie drogę odwrotu z placu Hierarchii, ale mściciele Shimrry próbowali ich zepchnąć w stronę placu Kości. Gdyby Zhańbieni dali się zapędzić na dno amfiteatru, straciliby wszelką szansę na zwycięstwo.

Kiedy Nom Anor wymieniał ciosy z wojownikiem przewyższającym go przynajmniej o głowę, usłyszał tupot stóp i okrzyki. Jego przeciwnik także musiał to usłyszeć, bo odwrócił się w kierunku, skąd napływały dźwięki; Nom Anor wykorzystał chwilę jego nieuwagi i wbił mu szpic amphistaffa w prawe oko. Walczący wokół niego wojownicy wznieśli bojowy okrzyk i jeszcze bardziej zwiększyli siłę ataku.

Posiłki, pomyślał z goryczą Nom Anor.

W obecnej sytuacji heretycy mogliby mówić o szczęściu, gdyby w ogóle dotarli do placu Kości. Niespodziewanie jednak bojowe okrzyki ochroniarzy Cytadeli zaczęły cichnąć, a tłum walczących został wepchnięty z powrotem na plac Hierarchii. Nom Anor uświadomił sobie, że posiłki przybyły, ale na pomoc heretykom!

Poczuł, że wstępuje w niego nowy duch bojowy.

Gdyby członkowie każdej komórki Zhańbionych znaleźli w sobie dość odwagi, żeby przyłączyć się do powstania, istniała szansa -wprawdzie niewielka - że heretycy wyjdą zwycięsko ze starcia z wojownikami. Od ścian świątyń i pomieszczeń mieszkalnych intendentów odbiły się echem eksplozje granatów paraliżujących i rozblyskowych, a Nom Anor doszedł do przekonania, że jeszcze nie wszystko stracone. Na zalewanej przez strugi deszczu nawierzchni rozpląszczyły

się setki walczących. W następnym ułamku sekundy rozległy się odgłosy blasterowych strzałów.

Bojownicy ruchu oporu i komandosi Sojuszu! - uświadomił sobie Nom Anor.

Tym razem to wojownicy Shimrry zostali zapędzeni w pułapkę.

Prefekt rzucił się ze zdwojoną energią do walki, podcinając gardła i ścięgna. Ochroniarze Cytadeli walczyli brutalnie i mężnie, choć byli w mniejszości, ale z każdą chwilą więcej ich padało tratowanych stopami tych, którzy nadal walczyli. Nom Anor toczył walkę w największym tłumie, kiedy jego uwagę zwróciły nowe dźwięki. Zamarł ze zdumienia i strachu.

Usłyszał trzaski i syki! I pomruki...

Zaryzykował rzut oka w bok i zauważył troje Jedi z zapalonymi klingami świetlnych mieczy. Z przerażeniem uświadomił sobie, że jedną z nich jest Mara Jade Skywalker. Ta sama Jedi, która padła ofiarą uwolnionych przez Noma Anora zarodników coomb, toczyła obecnie walkę niedaleko niego. Obok rudowłosej Jedi wywijiała ognistą klingą Tahiri Veila... Jedi, która o mało nie została ukształtowana przez Yuuzhan Vongów i którą Nom Anor pokonał, zanim uciekł z powierzchni Zonamy Sekot. U boku młodej kobiety walczył wysoki starszawy Jedi, którego Nom Anor nie znał.

Prefekt doszedł do wniosku, że nie może dać się rozpoznać, powinien się ukryć w gęstszym tłumie, ale wokół niego walczone tak zaciekle, że nie mógł zrobić kroku. Chciał się precyzyjnie przemieszczać w stronę północno-zachodniego wejścia na plac Hierarchii, ale uniemożliwił mu to tłum walczących wojowników i heretyków. W którąkolwiek stronę próbował się zwrócić, był spychany nieodwołalnie coraz bliżej obu kobiet Jedi.

Odwrócił się, podciął gardło jakiegoś Zhańbionego i podstawił twarz pod strugę czarnej krwi. Schylił się, podniósł leżący na kamieniach ubłocony turban i naciągnął go na czoło, ale pas tkaniny rozwinął się i opadł na jego ramiona. Przeklął się w duchu za to, że nie pomyślał o zabraniu maskującego ooglitha.

W pewnej chwili grupa rozwścieczonych wojowników ruszyła do ataku i zmusiła heretyków do wycofania się z placu Hierarchii na biegnący na północ od Cytadeli szeroki bulwar. Nom Anor usłyszał charakterystyczny pomruk klingi świetlnego miecza i z przerażeniem stwierdził, że znalazł się u boku Tahiri. Odbijając niebieską klingą spadające z góry ciosy amphistaffów i poziome cięcia ostrzy coufee, młoda Jedi wykrzykiwała coś na przemian po yuuzhańsku i w basicu.

Prefekt na próżno usiłował powiększyć dzielącą ich odległość. Stał do niej tyłem,

Tahiri zrobiła to samo, ale napór tłumu zmusił go do zetknięcia się z nią plecami. Natychmiast wyczuł, jak napinają się mięśnie jej drobnego ciała.

Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Tahiri unosi ręce nad głowę w typowym geście Jedi. Kątem oka zauważył, że kilkunastu walczących wokół niej wojowników zważyło się na kamienie, jakby poraził ich niewidoczny rój ogłuszających chrząszczy. Pchnięcie Mocy! - pomyślał z przerażeniem. Chwilę później Tahiri posłużyła się umiejętnościami Jedi drugi raz, żeby powiększyć krąg wolnej przestrzeni wokół siebie, a potem chwyciła Noma Anora za rękę. Szarpnęła go w taki sposób, żeby spojrzeć mu w twarz, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Posługując się Mocą, spowodowała, że wężopodobna broń wyrwała się z jego ręki, po czym chwyciła go za połą. Odwróciła się i wolną ręką zaczęła machać w stronę drugiej Jedi.

- Maro, schwyciłam Noma Anora! - zawołała.

Nad głowami walczących, mimo szybujących w powietrzu pocisków, rozpylonej krwi i lasu wymachujących rąk, Nom Anor zobaczył, że druga Jedi spogląda na niego ze złowieszczym błyskiem w oczach.

Wezwał na pomoc resztę sił i ciął z dołu do góry ostrzem coufee. Nie zranił młodszej Jedi, ale przeciął połą własnego ubrania kilka centymetrów od jej zaciśniętych palców. Wykorzystał impet tego ruchu, cofnął się i przed nosem zaskoczony Tahiri wykonał salto do tyłu. Wylądował z głośnym pluskiem w kałuży i pchnął do stóp przeciwniczki rannego Zhańbionego. Czołgając się po kamieniach między nogami walczących Yuuzhan, dotarł w końcu na północny skraj placu Hierarchii. Tłum walczących był tam nieco rzadszy, więc bez trudu przecisnął się między gromadą wojowników i puścił biegiem w stronę schodów... i wolności.

W ciągu ostatnich pięciu lat „Ślicznotka”, podobnie jak „Sokół Millenium”, przemieniła się z luksusowego jachtu rodzinnego w jednostkę bojową. W przeciwieństwie do niej jednak frachtowiec Hana był uzbrojony i chroniony przez potężne pola, więc pilotujący swój pięćdziesięciometrowy jacht Lando musiał, jak zawsze, liczyć na szybkość, fortele i zaawansowane zestawy sensorów, które umożliwiały mu obserwowanie systemów uzbrojenia nieprzyjacielskich okrętów z bardzo dużej odległości. Do udziału w walce lepiej nadawał się dysponujący trzema laserami i wzmocnionym kadłubem koreliański transportowiec Talona, „Szalony Karrde”, ale i jego kapitan nie mógł sobie pozwolić na walkę z grupą szturmową Yuuzhan Vongów. Z tych względów Lando i Talon zajmowali pozycje na skraju strefy bitwy, godząc się z tym, że większość jej ciężaru spoczywała na barkach artylerzystów „Błędnego

Rycerza” i Hapan.

Flotyła Tenel Ka przyleciała kilka minut po tym, jak dowódcy liniowych okrętów Yuuzhan Vongów przypuścili atak na Zonamę Sekot, i od razu zajęła odpowiednie pozycje, żeby je zablokować. Bitewne Smoki najnowszej generacji wyglądały jak ogromne spodki, złączone krawędziami, wzdłuż których rozmieszczono stanowiska turbolaserów i jonowych dział... tym groźniejszych, że wojskowi Nowej Republiki udostępniłi w końcu Hapanom technikę szybkiego ładowania zasobników energetycznych systemów uzbrojenia. Na pokładach udoskonalonych Smoków zainstalowano także wyrzutnie min, wysyłających impulsy siły ciężenia. Do zmiany trajektorii lotu strzałów i uniemożliwiania nieprzyjacielskim jednostkom ucieczki do nadprzestrzeni urządzenia były równie skuteczne jak wytwarzane przez dovin basale grawitacyjne anomalie. W przeciwieństwie do nowoczesnych Smoków kształt smukłych krążowników klasy Nova, którymi także dysponowało Konsorcjum, przywoził na myśl ręczne blastery z okresu Starej Republiki. Załogi hapańskich krążowników, równie zwinnych jak gwiazdne myśliwce i niebezpiecznych jak dwukrotnie większe jednostki bojowe, uniemożliwiały okrętom Yuuzhan Vongów przedarcie się przez groźną zaporę Bitewnych Smoków.

Bliżej powierzchni Zonamy Sekot artylerzyści ognioczerwone-go „Błędnego Rycerza” i piloci eskadr X-wingów oraz hapańskich myśliwców typu Miy'til polowali na wchodzące w skład yuuzhańskiej grupy szturmowej koralowe skoczki, których pilotów wysłano w celu zbadania systemów obronnych żyjącej planety. Yuuzhan Vongowie ginęli dziesiątkami, uwięzieni między latającymi w przestworzach eskadrami gwiazdnych maszyn a pozostającymi w atmosferze sekotańskimi myśliwcami, pilotowanymi przez rycerzy Jedi. Kiedy wrogowie wysłali okręty liniowe, do walki przyłączyła się w końcu sama planeta. Z ogromnych dział jonowych, zainstalowanych na szczytach dwunastokilometrowych gór, pomknęły w górę salwy śmiertelnośnego ognia.

Lando i Tendra, oddaleni mniej więcej równo od grupy szturmowej Yuuzhan Vongów i od hapańskiej blokady, mieli dobry widok na całe pole bitwy, ale zuchwałość kapitana „Ślicznotki” raz po raz zwracała na jego jacht niepożądaną uwagę, wskutek czego Calrissian musiał częściej uciekać niż zajmować się szpiegowaniem. Mimo to przesyłane przez niego informacje o nieprzyjacielskich manewrach dwukrotnie ocaliły Boostera Terrika przed wpadnięciem w pułapkę. Stanowiły także bardzo ważne ogniwo łańcucha przekazywania danych wywiadowczych między pokładem gwiazdowego niszczyciela a pilotami Jedi, którzy w końcu

zdołali nakłonić żyjące myśliwce do odpowiadania celnym ogniem na strzały nieprzyjaciół.

Wszystko wskazywało na to, że Yuuzhan Vongowie się przeliczyli, co wprowadziło zamęt w ich szeregach. Piloci koralowych skoczków walczyli o życie, a szyk grupy szturmowej zaczynał się załamywać. Dowódcy yuuzhańskich krążowników i odpowiedników niszczycieli wykonywali manewry tak chaotyczne, że padali łatwym łupem precyzyjnych strzałów artylerzystów hapańskich krążowników i dalekosiężnych systemów uzbrojenia Bitewnych Smoków.

Panował taki chaos, że artylerzyści niektórych yuuzhańskich okrętów kierowali ogień do innych jednostek własnej grupy szturmowej.

Ich ofiarą padł między innymi okręt, który z początku leciał mniej więcej pośrodku szyku w kształcie wydłużonego rombu. Zajmował tę pozycję przez cały czas pierwszego ataku pilotów koralowych skoczków na Zonamę Sekot, ale obecnie artylerzyści aż czterech sąsiednich krążowników razili go kulami ognistej plazmy. W pewnej chwili Lando i Tendra zauważyli, że okręt się rozłamał, ale zamiast zniknąć w rozbłysku potężnej eksplozji, wypuścił ze swojego wnętrza ukryty dotąd mniejszy statek.

Był wielkości korwety, miał sześć wypustek z wyrzutniami plazmy, łuskowaty kadłub i wygięty w górę ogon.

Wyglądał jak dwie inne jednostki, które artylerzyści „Błędnego Rycerza” unicestwili w przestworzach Caluuli.

Myśliwiec uśmiercicieli.

- Podobno są zdolne do wykonywania skoków przez nadprzestrzeń, więc dlaczego nie mógł tu sam przylecieć? - zainteresował się Lando.

- Coś z nim nie tak - zauważyła Tendra. Lando uniósł brew i spojrzał na żonę.

- Zboczył z kursu? - zapytał. Tendra pokręciła głową.

- Chodzi mi o kolor kadłuba - wyjaśniła. - Wygląda... jakby był chory.

Calrissian poczuł w żyłach kryształki lodu zamiast krwi. Poleciał, żeby skanery dostarczyły mu zbliżenie i przedstawiły analizę charakterystycznych cech jednostki. W końcu nawiązał łączność z pokładem „Błędnego Rycerza”.

- Booster, przesyłamy ci charakterystyczne dane statku należącego do grupy szturmowej Yuuzhan Vongów - zaczął ponuro.

- Jesteśmy trochę zajęci, Lando - usłyszał w odpowiedzi.

- Na to, co wam posyłamy, musicie znaleźć trochę czasu - odparł Calrissian. - Porównaj te dane z tym, co masz zarejestrowane w pamięci komputera, i powiedz mi, czy się zgadzają.

- Nie wyłączaj się - burknął Booster. Zapadła długa cisza, a kiedy Terrik znów się odezwał, w jego głosie brzmiał niepokój. - Przesłane przez ciebie informacje zgadzają się z danymi statku, który wymknął się nam w przestworzach Caluuli.

- Statek zakazony Alpha Red - przypomniał Lando.

Leciał w kierunku Zonamy Sekot.

R O Z D Z I A Ł 38

Jag uważał się przede wszystkim za pilota gwiazdowego myśliwca, nie atmosferycznego transportowca. Zgodził się stanąć na czele Eskadry Bliźniaczych Słońc podczas wyprawy na Coruscant, ale bez entuzjazmu; znacznie bardziej by go ucieszyła wyprawa w przestworza. Jak wielu pilotów, którzy doskonalili swoje umiejętności przy zerowym ciężeniu, latanie w atmosferze uważał za istną udrękę. Nie wykonywał manewrów, ale wymuszał je na gwiazdowym myśliwcu... bez względu na to, jak bardzo miał aerodynamiczny kształt czy jak posłuszne były jego repulsory. Cały w zwęglonych smugach zielony X-wing, którego przydzielono mu w Zachodnim Porcie, był powolny i nieporęczny, zwłaszcza w porównaniu ze szponowcem, Jag postanowił sobie jednak, że nie będzie narzekał. Miał do wykonania zadanie i nie zamierzał szczenić sił dla jego realizacji.

Lecąc na wschód od zajętego przez Sojusz lądowiska, musiał przemykać między zdążającymi w jego stronę kulami plazmy i opadającymi z przestworzy wrakami. Prosto na kursie rysował się zaokrąglony wierzchołek fortecy Shimrry, wznoszącej się nad gęstymi chmurami i kłębam dymu, który zalegał nad większą częścią świętego kwartału. Zaledwie dwa lata wcześniej ponad chmurami byłoby widać szczyty dziesiątków eleganckich wieżowców, ale obecnie Jag dostrzegł tylko wierzchołek stromej góry.

Gdzieś w dole Jaina podążała ku temu samemu celowi w towarzystwie brata bliźniaka, wuja, niewielkiego oddziału komandosów i kilkunastu androidów. „Uważaj na siebie” - powiedziała mu na smaganym przez podmuchy wiatru tarasie, la który Jedi zeszedł z pokładu „Sokoła Millennium”. Jag zamierzał słuchać jej rady. Kiedy poprosił Jainę, żeby także na siebie

uważała, odpowiedziała tylko: „Moc zatroszczy się o mnie”.

Nie dyskutował z nią na ten temat. Z całego serca pragnął, żeby jej słowa okazały się prawdziwe.

Zobaczył prosto na kursie dwadzieścia każących wokół Cytadeli gwiazdnych myśliwców. Zauważył, że ich piloci posyłają ku budowli błyskawice laserowych strzałów, protonowe torpedy i rakiety udarowe. Widząc bezsens ich starań, uświadomił sobie, że zaczyna go ogarniać zniechęcenie. Nawet gdyby Cytadeli nie chroniły pochłaniające energię niemal wszystkich strzałów nienasycone anomalie, twierdza Shimrry wyglądała na niemożliwą do zdobycia. Wyglądało to tak, jakby piloci Sojuszu usiłowali wysadzić w powietrze stromą górę. Co z tego, że nie toczyli pojedynków z pilotami koralowych skoczków, skoro strugi plazmy z wyrzutni ukrytych w głębi Cytadeli bez wysiłku przecięły pola ochronne ich gwiazdnych maszyn.

W pewnej chwili astromechaniczny robot jego X-winga przesłał informację na ekrany monitorów w kabinie pilota i Jag przełączył komunikator na częstotliwość taktyczną.

- To gorsze niż przemykanie między orbitalnymi dowin basalami - usłyszał głos jednego z pilotów.

- Trzymaj dłoń na bezpieczniku ochronnej upręży, bo inaczej te czarne dziury pochłoną i ciebie - doradził drugi.

- Połykają każdą błyskawicę, którą im posyłam!

- Uważaj, żeby nie zapalały uczuciem i do ciebie!

- Ta-a, darzą niezwykłą sympatią gwiazdne myśliwce.

- Szczególnie lubią żółte z czarnymi pasami na kadłubie.

- Zrozumiałem, dowódco Łotrów.

- Uwaga, wszyscy piloci, utworzyć za mną szyk do zwrotu na bakburtę. Nastawić lasery na zmienną energię strzałów i posłać za nimi torpedy i rakiety, które jeszcze wam pozostały. Pamiętajcie, to może wygląda jak góra, ale w rzeczywistości jest gwiazdnym statkiem, a gwiazdne statki nie są niezniszczalne.

- Lecimy za tobą, „Łotrze Jeden”.

Jag zauważył, że dwa myśliwce po stronie jego sterburty to szponowce, i nawiązał łączność z osobą pilotującą bliższy.

- „Bliźniacze Słońca Cztery”, zajmuję pozycję obok twojej bak-burty - powiedział.

- Jagu! - wykrzyknęła pilotka szponowca. - Sądziłam, że nie żyjesz!

- Ocaliły mnie drzewa, Shawnkyr - odparł młody pilot.

- Czy teraz jesteś gotów wracać do domu?

- Kiedy tylko z tym skończymy... masz na to moje słowo.

Chissanka parsknęła śmiechem.

- Latając w tej części galaktyki, stałeś się romantykiem, Felu - stwierdziła.

- Chcesz powiedzieć, że nadal będziesz osłaniała ogon mojego myśliwca?

- A kto się ma tym zająć, jeśli nie ja? - odparła Shawnkyr. - Ach, byłabym zapomniana.

Co właściwie stało się z Mieczem?

- Jest na dole... kieruje się na zachód - wyjaśnił młody pilot.

- Więc lepiej się postarajmy nie zwalić jej tej góry na głowę.

- Mimo wszystko poradził sobie świetnie z tamtym mon duulem - powiedziała Jaina między jednym a drugim machnięciem klingą świetlnego miecza.

Walcząc w zagajniku palcolistnych drzew, sto metrów od wysuniętego najbardziej na zachód pomostu, którym można było się dostać do Cytadeli, młoda Solo i Luke odbijali na boki roje bojowych chrząszczy, które leciały ku nim z wysoka, ze stanowisk obserwacyjnych w stromych zboczach świętej góry. Bliżej siedziby Shimrry Jacen starał się - bezskutecznie - uspokoić gigantyczne zwierzęta, które szybko pochłaniały po most. Trzy wojenne androidy typu Z YV, które usiłowały nakłonić je do tego mniej pokojowymi metodami, zostały rozerwane na kawałki i pożarte.

- Dobrze chociaż, że Shimrra nie może wykorzystywać pary tych potworów do wygłaszania przemówień - zauważył mistrz Jedi.

- Powiedziałabym, że właśnie w tej chwili to robi - sprzeciwiła się Jaina.

Pochłanianiem pomostu zajmowały się gigantyczne symbionty, Sgauru i Tu-Scart. Jeden był płci żeńskiej, a drugi męskiej, czyli można byłoby powiedzieć, że stanowią coś w rodzaju małżeńskiej pary. W pobliżu osady Gateway na powierzchni Duro wykazały niezwykły talent do niszczenia wszystkich budowli, a obecnie demonstrowały go jeszcze raz, rozrywając na kawałki i pożerając pomost dojazdowy z koralu yorik. Sgauru, której segmentowe cielsko było osłonięte twardym pancerzem, wykonywała najcięższą pracę. Jej biały łeb zdobiły paciorkowate czarne oczy, a wokół pyska wyrastały dziesiątki wijących się wąsów. Bestia objęła potężnymi tylnymi szczypcami górną część ciała wężopodobnego partnera i posługując się krótkimi przednimi

łapami oraz ogromnym łbem, odłupywała z pomostu kawałek po kawałku. Odłamki koralu nie leciały daleko, bo od razu miażdżyło je na koralowy pył szczuple czarne cielsko TuScarta.

Pozbawione nadzoru poganiaczy stworzenia wypełzły z ogromnej jamy pod koralowym pomostem, obok miejsca, gdzie płynąca Esplanadą rzeka tworzyła wodospad i opadała na plac u stóp Cytadeli. Chłostana deszczami i świszczącymi podmuchami wiatru monolityczna forteca wyglądała jak topornie ociosana klinga ogromnego coufee i wznosiła się wysoko nad głowami Jedi w czarne niebo, rozdierane przez zygzaki błyskawic i nitki laserowych strzałów. Wyposażona w skrzydła, porośnięta płatami ciemnozielonego mchu i opleciona pędami winorośli, których nasiona ukorzeniły się w zakamarkach i szczelinach światostatku, Cytadela była po prostu zbyt stroma, żeby ktoś mógł się wspinać po jej zboczu na wierzchołek, nawet jeżeli potrafił władać Mocą. Wokół zaokrąglonego szczytu nadal krążyły gwiazdne myśliwce Galaktycznego Sojuszu, lecz którykolwiek zbliżył się na odległość mniejszą niż kilometr od kryjówki Shimrry, bywał natychmiast niszczone. Szczątki wraków zaśmiecały nierówny, zalany wodą teren w promieniu wielu tysięcy metrów od podstawy światostatku.

W dole pod pomostem u stóp Cytadeli widniał czarny wylot czeluści umożliwiającej dostanie się do podziemnej części koralowej góry, ale wejścia strzegły oddziały gadopodobnych niewolników. Używając raketowych plecaków, komandosi Page'a i androidy typu ZYV zajmowali na przeciwległym zboczu kanionu pozycje dogodne do ostrzeliwania Chazrachów w dole, ale dobrze ukryci nieprzyjaciele odpowiadali na blasterowe błyskawice komandosów Sojuszu strugami ognistej galarety i wyjątkowo łatwo palnego iskropszczelego miodu.

Jeżeli Jedi mieli się wdrzeć do Cytadeli, Jacen musiał przekonać dwa potwory, Sgauru i Tu-Scarta, żeby przestały niszczyć zachodni pomost, dopóki pozostało z niego chociaż wąskie pasmo. Młody Solo zaryzykował i zrobił kilka ostrożnych kroków w stronę obu bestii, ale znieruchomiał, kiedy pomostem zaczęły kołysać powtarzające się w regularnych odstępach czasu wstrząsy.

Jaina odwróciła się do Luke'a.

- Co się dzieje?! - krzyknęła. - Czyżby nad naszymi głowami znów przelatywała Zonama Sekot?

Wstrząsy stawały się z każdą chwilą silniejsze. Jacen zachował równowagę na rozkołysanym pomoście, ale wąski przesmyk nie wytrzymał. W koralu yorik pojawiły się najpierw mniejsze, potem coraz większe pęknięcia, aż szczeliny i w końcu przesmyk rozpadł się

na kawałki i runął we wzburzoną toń płynącej kanionem rzeki. Równocześnie zza podstawy Cytadeli wyłoniły się dwie osłonięte pancierzami czworonożne bestie, które zajęły pozycje przed gadopodobnymi żołnierzami. Rozstawiły przednie nogi, zanurzyły rozszczepione kopyta w rwącym nurcie i opuściły trójkątne łby. Z wystających z górnych części łbów grubych rogów trysnęły strugi plazmy, rozbryznięły się o przeciwległe zbocze i zmusiły komandosów i androidy ZYV do wycofania się poza krawędź kanionu.

Pozbawiony ostatniej szansy wdarcia się na najniższe poziomy Cytadeli Jacen doszedł do wniosku, że jedyną nadzieją jest „rozmowa” ze Sgauru i Tu-Scartem. Musiał nakłonić oba zwierzęta, żeby przebiły grubą ścianę samej Cytadeli. Młody Solo wyczuwał, że w tym celu powinien uwolnić umysł spod wpływu Mocy i oddać go bez reszty we władanie Vongozmysłu... ale nie potrafił tego zrobić od chwili lądowania na powierzchni Coruscant. Poczul się, jakby w jego umyśle ktoś przestawił dźwigienkę przełącznika z jednej skrajnej pozycji w drugą. I nagle uświadomił sobie, że jedynym sposobem nakłonienia obojga zwierząt do wykonania tego zadania jest nawiązanie z nimi łączności za pośrednictwem Mózgu Świata.

Pierwszy taki kontakt nawiązali, kiedy leciał razem z Mózgiem na Coruscant na pokładzie nasionostatku. Eliminując niedoszłych rywali Mózgu Świata, młody Jedi zdecydował, któremu spośród kilku dhuryamów zostanie powierzony zaszczyt przemiany Coruscant w Yuuzhan'tara. Sam przyczynił się do zainstalowania na powierzchni planety dhuryama, z którym uprzednio zawarł myślowe porozumienie. Wszystko, czym od tamtej pory stała się planeta -zarazem piękna i szkaradna, wrażliwa i nieczuła, żyjąca w symbiozie i pasożytująca - było w jakiejś części spowodowane przez Jacena. A jednak kiedy młody Jedi, posługując się Vongozmysłem, usiłował ponownie nawiązać kontakt z Mózgiem Świata, przekonał się, że dhuryam prawie nie zwraca na niego uwagi. Na pewno jej część pochłaniało pilnowanie, żeby wszystko na powierzchni Coruscant toczyło się, jak powinno, Jacen wykrył jednak, że sporą część energii dhuryam poświęca na wykonywanie poleceń Shimrry.

Na pokładzie nasionostatku i później stwierdził, że dhuryam jest zwierzęciem inteligentnym, ale bioinżynieria ukształtowała go w taki sposób, że po prostu musiał wykonywać otrzymane rozkazy. Widocznie, używając pochlebstw, najwyższy lord wpoił mu przekonanie, że pożary, ulew i zniszczenia są konieczne do naprawy uszkodzeń wyrządzonych przez zbyt bliski przelot Zonamy Sekot. Wykonując jego polecenia, Mózg Świata uświadomił sobie jednak, że niszczy wiele z tego, co wcześniej sam stworzył, a ponadto łamie daną obietnicę, że będzie

nakłaniał Shimrrę i Yuuzhan Vongów do osiągnięcia kompromisu. Nienawykły do nieposłuszeństwa ani tolerowania sprzeczności, Mózg toczył walkę sam z sobą, nie mogąc znieść, że wyrządził krzywdę powierzonej jego opiece planecie. Podobnie jak na pokładzie nasionostatku, dobrze rozumiał, że jego domena popada w ruinę i przemienia się w pustkowie. Nie potrafił się pogodzić z myślą, że może poradziłby sobie lepiej, gdyby po prostu zignorował polecenia Shimrry.

Przywołując na pomoc Vongozmysł, Jacen obiecał dhuryamowi, że pomoże mu wybrnąć z wewnętrznego konfliktu. Powiedział, że zmusi Shimrrę, aby przestał wydawać mu rozkazy. W odpowiedzi stworzenie wysłało do niego myśli jak przyjaciel do przyjaciela. Jacen uświadomił sobie, że omywa go fala wdzięczności i prośba o ratunek...

W tej samej chwili Sgauru i Tu-Scart odwróciły się do niego. Niewątpliwie znalazły się pod wpływem Mózgu Świata.

Młody Jedi zrozumiał, że nadeszła pora zademonstrowania wiary w porozumienie, jakie udało mu się zawrzeć z dhuryamem.

Ignorując ostrzeżenia Luke'a i Jainy, podszedł do splecionych ze sobą symbiontów.

Niemal natychmiast wokół jego talii owinęły się dwa giętkie wąsy. Chwilę później Sgauru uniosła go ponad zniszczony fragment pomostu i przerzuciła na drugi brzeg kanionu... jednak nie w stronę Cytadeli. Zupełnie jakby zamierzała go opuścić w samym środku grupy gadopodobnych żołnierzy-niewolników i osłaniających ich żywych stanowisk artylerii.

Z głośnika pokładowego komunikatora „Sokoła” dobiegł odgłos blasterowych strzałów i wołanie o pomoc. C-3PO rozpoznał głos kapitana Solo.

-Threepio! Opuść rampę lądowniczą! Threepio! Threepio!

Zaniepokojony nie na żarty protokolarny android przestał spacerować i wyciągnął złociste ręce w kierunku R2-D2, który wysunął manipulator z końcówką systemu informatycznego i umieścił wtyczkę w gnieździe na korytarzu, w pobliżu szczytu rampy.

- Artoo, zrób coś, zanim będzie za późno! - przynaglił.

Sztywno stąpając, pospieszył do sterowni, ale przez dziobowy iluminator zobaczył tylko nieprzenikniony gąszcz porośniętych grubymi kolcami gałęzi. Niezgrabnie się odwrócił i powłócząc złocistymi nogami, wyszedł z powrotem na biegnący po obwodzie statku korytarz. Zaczął raz po raz uderzać dłonią w przycisk opuszczania rampy.

- Wszystko na nic! -jęknął. - „Sokół Millenium” został oplatany w śmiertelnym uścisku

ciemnym żywopłotem! Kapitan Solo i księżniczka zginą, a my zostaniemy tu na wieki, uwięzieni niczym muzealne eksponaty!

R2-D2 zaszczębiotał, jakby mu chciał dodać odwagi, a C-3PO przestał walić w przycisk i obrzucił go spojrzeniem.

- Co takiego możesz zrobić? - zapytał. - Przekazać energię z pola ochronnego, żeby po powierzchni kadłuba przemknęło wyładowanie elektryczne? - Ponownie uniósł ręce wysoko nad głowę. - No cóż, dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej?

Wyraźnie oburzony niewielki niebiesko-biały robot astromechaniczny zaświergotał.

- Nonsens! - obruszył się C-3PO. - Po prostu próbujesz mnie przestraszyć. Nigdy nie jesteś zadowolony, dopóki nie doprowadzisz mnie do rozpacz!

R2-D2 wydał serię ponurych pisków.

Protokolarny android ujął się pod boki i przekrzywił głowę.

- Nie zaczynaj od nowa - powiedział. - „Wszystko ma swój koniec, musisz spojrzeć prawdzie w oczy”... Powinieneś wiedzieć, że od początku tej wojny odważnie stawiam czoło problemowi kresu istnienia. Robiłem to, zanim jeszcze miałem nieszczęście poznać takich jak ty. A teraz zrób, jak powiedziałeś, i poślij to wyładowanie po powierzchni kadłuba!

Powłócząc nogami, przeszedł na początek korytarza i stanął w takiej pozycji, żeby móc kierować jeden fotoreceptor na dziobowy iluminator, a drugi na swojego partnera. Chwilę później końcówka systemu informatycznego R2-D2 obróciła się - najpierw w jedną stronę, a po chwili w drugą - po czym rozległ się donośny trzask i po zewnętrznej powierzchni kadłuba „Sokoła Millennium” zatańczyła krzaczasta błyskawica. Czujnik węchowy w górnej części torsu Threepia zarejestrował woń ozonu i osmalonego drewna.

- Udało się, Artoo! - wykrzyknął android. - Ciemny żywopłot się wycofuje! Dzięki niech będą stwórcy! Jesteśmy uratowani!

R2-D2 zaskrzeczał pytająco.

- Naturalnie, że powinieneś opuścić rampę ładowniczą! - oburzył się C-3PO, spiesząc w jej stronę. - Im szybciej znikniemy z tego statku, tym lepiej!

Pośliznął się, kiedy wykonywał zwrot w lewo, ale stanął na szczycie opuszczonej rampy, której dolna część dosięgła już kamieni byłego placu.

- Wolność, Artoo! - wykrzyknął. - Agghh...

Nie wiedząc dokładnie dlaczego, R2-D2 niespokojnie zapiszczał. Pewnie pisnąłby

jeszcze głośniej, gdyby zauważył, że w górę rampy biegnie wytatuowany, poznaczony bliznami wojownik Yuuzhan Vongów.

Zbyt przerażony, żeby się poruszyć, C-3PO krzyknął bez zastanowienia:

- Nie wolno panu wchodzić na pokład!

Wojownik jednak tylko warknął pogardliwie i biegł dalej. Kiedy pokonał połowę odległości, za jego plecami ktoś strzelił. Purpurowa błyskawica przebiła od tyłu szyję Yuuzhanina i wyleciała przez grdykę. Wojownik upadł twarzą w dół zaledwie metr od miejsca, w którym stał osłupiały Threepio.

U stóp rampy pojawił się kapitan Solo z zabytkowym blasterem w dłoni. C-3PO zobaczył, że jego pan wytrzeszczonymi oczami wpatruje się w coś po lewej stronie i otwiera do tego czegoś ogień ze swojego blastera. Harrar, księżniczka Leia, Cakhmair i Meewalsh zaczęli biec w górę rampy, ale zatrzymali się na widok leżących na niej zwłok yuuzhańskiego wojownika.

- Threepio, przygotuj się do zamknięcia rampy! - krzyknął kapitan Solo. Posłał w bok jeszcze kilka blasterowych błyskawic i kucnął, żeby uniknąć lecącego ku niemu amphistaffa, po czym wskoczył na rampę. - Zamykaj!

- Ale, panie kapitanie...

- Leio, biegnij do sterowni i startuj!

Kapitan Solo wciąż jeszcze biegł w górę rampy, kiedy w szczelinę między nią a sterburtowym ramieniem cumowniczym wcisnęła się potężna gałąź, przez co pochylnia nie do końca się zamknęła. Z pędu zaczęły szybko wyrastać długie, grube ciernie.

- Są śmiertelnie niebezpieczne! - przypomniał Harrar.

Kapitan, oboje Noghri i ludzie wyginali się we wszystkie strony, żeby uniknąć wydłużających się kolców. O spód kadłuba frachtowca zabębniły nagle ogłuszające chrząszcze. W ograniczonej przestrzeni księżniczka Leia nie miała wprawdzie zbyt wiele miejsca, ale włączyła klingę świetlnego miecza i zaczęła nią ciąć coraz dłuższe gałęzie.

- To na nic! - wykrzyknęła. - Rosną szybciej, niż nadażam je ścinać!

Wyłączyła energetyczne ostrze miecza, przecisnęła się obok Threepia i wpadła do sterowni.

- Artoo - odezwał się C-3PO. - Poślij jeszcze raz wyładowanie po powierzchni kadłuba!

Po kadłubie przemknęła ze skwierczeniem następną krzaczasta błyskawica. Cierniste

gałęzie się wycofały, ale rampa zamiast się zamknąć, opadła. Dwóch innych yuuzhańskich wojowników, którzy od razu na nią wskoczyli, zginęło trafionych przez błyskawice blasterowych strzałów z broni Cakhmaima, ale prawej ręki Noghriego o mało nie przebił przy tym półmetry kolec. Kiedy rampa zaczęła się zamykać, gałęzie jeszcze raz uniemożliwiły jej uszczelnienie.

C-3PO usłyszał, że do życia budzą się repulsory „Sokoła”, ale frachtowiec uniósł się tylko na wysokość dwóch metrów, po czym silniki zaskowyczały na znak protestu.

- Hanie, nie dam rady wystartować! - zawołała Leia.

Po powierzchni kadłuba przemknęła trzecia błyskawica. Jeszcze raz kolczaste pędy się wycofały, a rampa, zamiast się zamknąć, opadła na kamienie placu.

-Artoo, nie! -jęknął przerażony C-3PO.

Tym razem już nikt nie mógł powstrzymać wojowników... ani gałęzi, które rosły tak szybko, że spód rampy nie mógł się nawet oderwać od powierzchni gruntu. Cakhmaim i Meewalha dwoili się i troili, żeby uniemożliwić napastnikom wdarcie się na pokład frachtowca, ale kiedy zabili pierwszych sześciu, pozostali ich obezwładnili, rozbroili i przyszpilili do płyt pokładu. Han zastrzelił kilku następnych, którzy wbiegli do korytarza, ale z zewnątrz wciąż przybywali nowi. Udało im się zapędzić oboje Solo do dziobowej ładowni. Niektórzy wojownicy mieli dość rozsądku, żeby obiec korytarz i dostać się do głównej kabiny od strony bakburty.

Przyciśnięty do stolika z planszą do gry w dejarika Solo starał się uniknąć ciosów amphistaffów i pchnięć coufee, ale nie skapitulował, dopóki jeden z wojowników nie przycisnął czubka wężopodobnej broni do gardła Leii. Dopiero wtedy się skrzywił i na znak, że się poddaje, opuścił rękę z blasterem luźno wzdłuż ciała.

- No dobrze, już nas macie - odezwał się do trzymających go wojowników. - Jestem pewien, że jakoś to załatwimy...

Było raczej mało prawdopodobne, żeby któryś z Yuuzhan znał basie, ale wszyscy zrozumieli gest, kiedy się schylił i położył blaster na płytach pokładu, a Leia zrobiła to samo z rękojeścią wyłączzonego miecza.

Przez tłum wojowników w dziobowej ładowni precyzyjnie się Yuuzhanka z wianuszkami macek na czole i ośmioma palcami u prawej dłoni. Kiedy R2-D2 ją zobaczył, wydał przeciągły, żalony pisk.

C-3PO pokiwał złośliwą głową.

- Masz rację, Artoo - powiedział. - To mistrzyni przemian!

Yuuzhanka spojrzała na oboje Solo i odwróciła się do jednego z wojowników. Threepio przetłumaczył jej słowa:

- Pozbierajcie ich broń i wyprowadźcie wszystkich z tego statku.

Cakhmaim, Meewalha, R2-D2, C-3PO, Leia i Han zostali pojedynczo sprowadzeni po rampie „Sokoła”. Dopiero wówczas zobaczyli, że obok kadłuba stoi Harrar. Kiedy popychano ich w stronę wejścia do kopuły z koralu yorik, z otworu wyłonili się dwaj Yuuzhanie, ubrani w wykwiłtne szaty. Niższy miał na głowie wysoki turban.

Harrar odwrócił się do Hana i Leii.

- To arcyprefekt Drathul i arcykapłan Jakan - szepnął.

Mistrzynie przemian machnęła ręką, żeby kilka kropel jej potu czy innej wydzieliny ciała padło na ciernisty żywopłot, z którego natychmiast zaczęły wyrastać nowe gałęzie.

Kilka sekund później „Sokół” był już w nich uwięziony jak w futerale.

- Powiedziano mi, że ten statek spowodował sporo zamieszania - odezwała się mistrzyni przemian do Drathula i Jákana. Odwróciła głowę i wyciągnęła rękę w kierunku siedmiorga więźniów. - Wartościowi jeńcy - dodała. - Jedna osoba to nawet Jeedai.

Jakan spojrzał na Harrara, a w oczach arcykapłana odmalował się nieklamany zachwyty.

- Wszyscy sądziliśmy, że przebywasz na Odległych Rubieżach! - odezwał się Jakan, podszedł do Harrara i położył szczupłe ręce na jego ramionach. - Jesteś teraz w domu, mój przyjacielu. Będiesz miał zaszczyt przewodniczyć ceremonii składania ofiar, którą zamierzamy urządzić w Studni Mózgu Świata.

Harrar wytrzymał siłę spojrzenia Jákana, ale nie odwzajemnił jego pełnego ulgi uśmiechu.

- Nie dociera do ciebie prawda, arcykapłanie - powiedział po yuuzhańsku. - Przybyliśmy tu, żeby zneutralizować Mózg Świata.

W przestworzach bardziej oddalonej od słońca planety Muscave nadal trwała zacięta bitwa, która przerodziła się w chaotyczne zmagania. Poświęcono podczas nich setki koralowych skoczków, gwiazdnych myśliwców i dziesiątki okrętów. Okoliczne przestworza wyglądały jak nieustannie zmieniająca kształt sieć ognia, używanego w mało zaszczytnym celu.

Wojenny mistrz Nas Choka był zachwycony.

Stojąc niczym galion w najbardziej wysuniętym do przodu punkcie przezroczystego bąbla obserwacyjnego komnaty dowodzenia, zaplótł ręce, opierając je na lekko wystającym

brzuchu, i wyzywająco uniósł porośniętą delikatnymi włoskami brodę.

- Nieprzyjacielscy dowódcy wymieniają z nami ciosy nie dlatego, że są odważni, ale ponieważ uważają, że symulując honor, powstrzymują nas przed powrotem do przestworzy Yuuzhan'tara - odezwał się w pewnej chwili. - Liczą na to, że nigdy pierwsi nie odlatujemy z pola tak zaciętej bitwy. - Odwrócił się twarzą do głównego taktyka. - Udamy, że zamierzamy postąpić inaczej - podjął po chwili. - Wydadź rozkaz najwyższym dowódcom, żeby ich okręty wycofały się i zaczęły rozpraszać. Niech admirałowie Sojuszu przypuszczają, że zmusili nas do odwrotu.

Między chroniącymi ogromny okręt anomaliami przemknął słup turbolaserowego światła i odłupał od sterburtowej części kadłuba spore bryły koralu yorik. Komnata dowodzenia zadrżała. Z uszkodzonych wcześniej miejsc przegrody wypłynęła gęsta ciecz, paski świecących porostów obumarły i w komnacie dowodzenia zapanował jeszcze głębszy półmrok. Nas Choka odwrócił się do mistrzyni przemian ogromnego okrętu.

- Ile jeszcze takich ciosów może znieść „Yammka”? - zapytał.

- Sześć naszych głównych dovin basali umarło, a wiele wyrzutni plazmy uległo zniszczeniu - odparła pospiesznie Yuuzhanka. - Może gdybyś zechciał wycofać „Yammkę” z pierwszej linii naszej grupy szturmowej, wojenny mistrzu...

- Nie - przerwał oschle Nas Choka. - Chcę, żeby cała uwaga nieprzyjaciół skupiała się tylko na nas. Musimy pozostać dla nich głównym celem.

- Mogą nas zniszczyć, wojenny mistrzu - zauważył ostrożnie główny taktyk.

Nas Choka pokiwał głową.

- Ryzyko do przyjęcia - oznajmił beztrąsko. - Służymy dzisiaj naszym bogom, jak nigdy dotąd nie służyli im Yuuzhan Vongowie. Okażemy się godni tych, którzy nas ukształtowali, a jeżeli mamy zginąć, zrobimy to, wywiązując się z transcendentnego zobowiązania.

Otwór w wejściowej membranie rozciągnął się i do komnaty wszedł najwyższy dowódca ogromnego okrętu. Skierował się do Nasa Choki i zasalutował, uderzając się pięściami w ramiona.

- Wojenny mistrzu, wiadomość od zwiadowców - zameldował. - Z ciemnych przestworzy wyskoczyły właśnie „Ralroost” i czterdzieści innych okrętów.

Nas Choka odwrócił się i spojrzał w kierunku niewidocznych okrętów Galaktycznego Sojuszu.

-To na pewno Traest Kre'fey - stwierdził i wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu. -
Wszystko przebiega zgodnie z planem. Bogowie mają nas w swojej opiece.

Najwyższy dowódca przyklęknął na jedno kolano.

- Wojenny mistrzu, nie znam ani jednego dowódcy, który nie zastąpiłby z radością
twojego okrętu swoim... albo nie oddałby życia zamiast ciebie - powiedział.

Nas Choka spojrział na podwładnego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Możesz wrócić do swoich obowiązków, najwyższy dowódco - polecił.

Wojownik wstał i ponownie zasalutował. Kiedy wyszedł z komnaty, główny taktyk
podszedł do wojennego mistrza i stanął po jego lewej stronie.

- Cieszysz się niezachwianą lojalnością swoich podwładnych, o Straszliwy - zaczął. -
Wykonają bez wahania wszystkie twoje rozkazy... nawet te, które zmuszą ich do zaparcia się
własnej wiary-

Nas Choka nie odrywał spojrzenia od toczącej się bitwy.

- Opowiedz mi, taktyku, co dzieje się w tej chwili na powierzchni Yuuzhan'tara -
rozkazał.

- Nieprzyjacielskie myśliwce przedarły się przez zaporę z naszych dovin basali, a na
powierzchni planety wylądowały oddziały wojska Sojuszu - zaczął Yuuzhanin. - Z naszymi
wojownikami walczy mniej więcej tysiąc ich piechurów. Pozostali pospieszyli na pomoc
heretykom. Na szczęście dhuryam przedsięwziął niezbędne kroki, żeby siać zamęt na
powierzchni Yuuzhan'tara.

- W jaki sposób? - zainteresował się Nas Choka.

- Posłużył się ogniem i wypuścił na wolność niektóre nasze zwierzęta - wyjaśnił
podwładny. - Mimo to wokół Cytadeli toczą się zacięte walki.

Wojenny mistrz machnął lekceważąco prawą ręką.

- Konstrukcje da się naprawić albo wznieść na nowo - powiedział. - Gdzie w tej chwili
znajduje się Shimrra?

- Najwyższy lord przebywa w swojej skrzyni.

- Więc i w tym przypadku nie ma powodów do niepokoju.

- Polecił, aby ci przekazać, wojenny mistrzu, że przynosisz zaszczyt swojemu
stanowisku - ciągnął podwładny. - Oświadczył, że twoje imię stanie się natchnieniem dla
yuuzhańskich wojowników. Jesteś niedoścignionym wzorem dla wszystkich, którzy będą

podążali twoimi śladami.

- To niewiele znaczy, dopóki nasza wyprawa przeciwko Zonamie Sekot nie zostanie uwieńczona powodzeniem - burknął Nas Choka.

Taktyk pokiwał głową.

- Hapańskie okręty wciąż jeszcze tworzą blokadę i uniemożliwiają naszym jednostkom eskortowanie zakażonego statku na powierzchnię planety - przyznał ponuro.

Wojenny mistrz zmarszczył brwi.

- Sądziłem, że Hapanie wyrównali rachunki z nami w przestworzach Obroa-skai - powiedział. - To zresztą bez znaczenia. Wendeta ma to do siebie, że nasila się tak długo, aż jedna czy druga strona zostanie unicestwiona.

Spojrzał z ukosa na głównego taktyka.

- Oddeleguj do walki przeciwko Zonamie Sekot okręty domen Tiwik, Tsun, Karsh i Vorrik - rozkazał. - Uprzedź dowódców, że ich zamiary mają nie być zbyt oczywiste dla naszych wrogów... nawet jeżeli osiągnięcie powierzchni żyjącej planety miałoby im przez to zająć więcej czasu. Postaramy się, żeby Hapanie ucierpieli jak w przestworzach Fondora. Dopiero wówczas nasz zatruty kolec będzie mógł dotrzeć do celu, a kiedy bogowie opowiedzą się po naszej stronie, wypłenimy z tej galaktyki wszelkie wendety i wojny.

Mara usłyszała krzyk Tahiri, że natknęła się na Noma Anora. Walcząc w tłumie wojowników i heretyków, odbijała ciosy amphistaffów i coufee i musiała stanąć na zwłokach zabitego Yuuzhanina, żeby spojrzeć w tamtą stronę. Widziała Noma Anora tylko chwilę, ale zdążyła dostrzec w jego oku błysk przerażenia... Zaraz potem Yuuzhanin zniknął, jakby się zapadł pod powierzchnię gruntu. Niezdolna do śledzenia go za pośrednictwem Mocy Mara posłużyła się nią, żeby przeskoczyć na skraj walczącego tłumu, a stamtąd na szczyt schodów, skąd miała dobry widok na całe pole bitwy.

Jak przystało na prawdziwych Yuuzhan, Zhańbieni i wojownicy zbiegali się ze wszystkich stron na plac, żeby wziąć udział w walce, zamiast starać się ocalić życie. Nie zwracali uwagi, kto zwycięża i jak bardzo są zakrwawieni, szala zwycięstwa przechylała się więc raz na jedną, a raz na drugą stronę. Mara bez trudu zauważyła samotną postać, która wymknęła się z pola bitwy i skierowała na plac, okolony z trzech stron budynkami uszkodzonymi wskutek wcześniejszych wstrząsów gruntu. Stosunkowo niski Yuuzhanin był ubrany w obszarpaną kapotę Zhańbionego, ale biegł chyłkiem jak egzekutor.

Mistrzynie Jedi poświęciła chwilę, żeby za pośrednictwem Mocy dotknąć myślami umysłów Kentha i Tahiri, po czym przefrunęła ze schodów na wyniosłą platformę świątyni. Zeskoczyła na dół i puściła się w pogoń za Nomem Anorem. Nie wypuszczała z dłoni rękojeści świetlnego miecza na wypadek, gdyby musiała się rozprawić z wrogiem zastępującym jej drogę. Wbiegła na plac, przystanęła i zaczęła wodzić spojrzeniem po wyjściach. W końcu zauważyła, że ścigana przez nią osoba zniknęła za zwalonym fragmentem wysokiego muru. Pomagając sobie Mocą, w kilku długich susach pokonała dzielącą ich odległość. Przeskakując, a raczej przelatując nad rumowiskami, osypiskami i szerniałymi pniami drzew, dotarła w końcu na miejsce, zwane kiedyś Kolumnadą Ludu. Puściła się biegiem, klucząc zygzakami między grubymi kolumnami podtrzymującymi ogromny plac, na którym znajdowały się kiedyś setki biur HoloNetu oraz gabinety właścicieli głównych środków masowego przekazu. Podczas galaktycznej wojny domowej odwiedzało je wielu tajnych funkcjonariuszy Komisji Utrzymania Nowego Ładu, którzy pilnowali, żeby wszystkie publikowane materiały były w zgodzie z oficjalną propagandą Imperium.

Mara była przekonana, że zna teren lepiej niż Nom Anor... chociaż otaczały ją same ruiny i zgliszcza. Wkrótce jednak zorientowała się, że prefekt, przemierzając w przebraniu Proroka podziemia planety, musiał je poznać równie dobrze jak każdy rzezimieszek czy handlarz igiełkami śmierci, bo uciekając przed nią, wybierał drogę krętą jak ślad ruroglisty. Im głębiej się zapuszczali, tym otoczenie stawało się mroczniejsze i bardziej wilgotne, ale Mara już dawniej obiecała sobie, że jeżeli zostanie do tego zmuszona, będzie ścigała Noma Anora do samego Jądra planety.

Nom Anor schodził coraz głębiej, na coraz ciemniejsze poziomy, gdzie z pęknięć w sklepieniach ściekały krople cuchnącej wody, a jedynym oświetleniem była poświata przenikająca przez szczeliny w zburzonych budowlach i pokrywającą je bujną roślinność.

Kiedy Mara zmniejszyła dzielącą ich odległość, zauważyła, że były egzekutor chwycił kilka długich pędów winorośli i niby na lianach poszybował na drugą stronę szerokiej rozpadliny. Dostrzegła także, że po wylądowaniu nie puścił winorośli. Przycisnął pędy kamieniem do jakiegoś występu, wyprostował się i uśmiechnął pogardliwie, zapewne przekonany, że jej uciekł. Mara stała chwilę naprzeciwko niego... odpowiedziała na jego pogardliwy grymas złowieszczym spojrzeniem, po czym przebiegła do najwęższego miejsca rozpadliny i pomagając sobie Mocą, bez trudu przefrunęła na drugą stronę.

Nom Anor, który widocznie odgadł, na co się zanoszą, do tej pory zdążył zniknąć w ruinach biurowca agencji prasowej. Mara usłyszała, jak Yuuzhanin się potyka, jak z chrzęstem biegnie po posadzce usianej okruchami transpastali i jak przepycha się przez drewniane drzwi. Na zalanej wodą podłodze widniały cętki słabego światła, a w wilgotnym powietrzu unosiła się przyprawiająca o mdłości woń gnijących odpadków.

Mara odgadła zamiary Noma Anora, kiedy prefekt zastawił na nią pułapkę. Ze śladów na posadzce wynikało, że przeszedł przez drzwi, za którymi ziała pięciusetmetrowa mroczna przepaść. Przechytrzyła go jeszcze raz, zatrzymując się w porę, kiedy Nom Anor, wykorzystując swoją niezwykłą siłę, pchnął w bok wspornik podtrzymujący pękniętą płytę sklepienia.

Prefekt starał się uciec równie rozpaczliwie jak Mara go ścigała. Przebiegł przez labirynt pomieszczeń w budynku, a resztki energii pozwalały mu blokować zamki drzwi za sobą. Mara po prostu wyłamywała je kopnięciami, a jeżeli nie mogła, szukała innych przejść, ani na chwilę nie rezygnując z pościgu.

Nom Anor ciężko oddychał i coraz częściej się potykał. Wreszcie uświadomił sobie, jaki jest zmęczony. Obdarzona świetnym słuchem mistrzyni Jedi od razu to zrozumiała... i coś jeszcze. Otwierając kopnięciem ostatnie drzwi, usłyszała lekki trzask bezpiecznika ręcznego blastera, a kiedy wpadła do pomieszczenia, zauważyła Noma Anora. Prefekt przycupnął za rozkładającymi się zwłokami jakiegoś Twi'leka, wciąż jeszcze ubranego w mundur ochroniarza.

Mara posłużyła się Mocą, żeby przywołać do ręki klingę świetlnego miecza, i zapaliła energetyczne ostrze, zanim Nom Anor posłał ku niej pierwsze strzały. Odbijała wszystkie, dopóki Yuuzhanin nie opróżnił zasobnika energii. Na szczęście miał dość rozsądku, żeby nie rzucić w nią beużyteczną bronią. Zamiast tego zaczął się cofać na czworakach, nie odrywając od niej oczu. Zbliżając się do przeciwnika, Mara cały czas mierzyła go spokojnym, wręcz lodowatym spojrzeniem. W końcu prefekt dotarł pod ścianę i znieruchomiał.

Warknął coś, zerwał się na nogi, sięgnął po coufee i nie zważając na pomrukującą klingę świetlnego miecza, usiłował zranić jego właścicielkę.

Mistrzyni Jedi odskoczyła poza zasięg broni i wyłączyła klingę, jakby zachęcała przeciwnika do ataku. Z niewiarygodną szybkością parowała rękami wszystkie ciosy i pchnięcia koralowego sztyletu, a nawet, korzystając z luk w obronie Noma Anora, wymierzała mu ciosy w pierś i szczękę... nie na tyle silne, aby go zabić czy choćby ogłuszyć, ale wystarczające by zmusić do cofnięcia się pod ścianę. Unikając wymierzanych coraz bardziej na oślep razów

Yuuzhanina, odchyliła się i kopnęła go w nogę na wysokości kolana. Kiedy Nom Anor upadł, pozwoliła mu wstać, ale zaraz szpicem prawego buta trafiła go w rzepekę. Nom Anor skoczył ku niej, ale Mara umknęła z linii jego ataku i silnym uderzeniem w szczękę posłała go znów pod ścianę.

Wymierzając następne ciosy, wyliczała w myśli: Ten za Monora Dwa, gdzie padłam ofiarą uwolnionych przez ciebie zarodników coomb, a ten za kłopoty, jakich nam przysporzyłeś, wzniecając zamieszki na Rhommamoolu.

W pewnej chwili silnym kopnięciem wytrąciła coufee z jego dłoni i czubkami usztywnionych palców uderzyła go w grdykę. Kiedy Nom Anor się schylił, uderzyła go w podbródek sierpowym, po którym przeciwnik poleciał znów pod ścianę. Ten za powołanie do życia Brygady Pokoju, a ten za rolę, jaką odegrałeś, wysyłając Elan, żeby wymordowała Jedi za pomocą bo'tousów. Ten za nikkzemne konszachty z Huttami i Viki Shesh, a ten za sabotaż, jakiego się dopuściłeś w osadach dla uchodźców na powierzchni Duro.

Pewna własnej zwinności świadomie zostawiała luki w swojej obronie. Zachęcając Noma Anora do ataku, wymierzała serie ciosów w jego łysą głowę, płaski nos i niebieskie prawe oko z podobną do kociej pionową źrenicą. Ten za fałszywe obietnice, jakie składałeś na Bilbringi Leii i Hanowi, a ten za pełne pogardy zachowanie podczas posiedzenia Senatu. Ten za rolę, jaką mogłeś odegrać, przyczyniając się do śmierci Chewiego i Anakina... ten za próbę przekazania Jacena w ręce Tsavonga Laha, a ten za sabotaż, jakiego się dopuściłeś na powierzchni Zonamy Sekot...

Mara zorientowała się wreszcie, że jej ciosy zaczynają wywierać wrażenie na przeciwniku. Wykorzystując luki między coraz bardziej chaotycznie wymachującymi ramionami Noma Anora, zadawała ciosy łokciami i pięściami, rozcinała do krwi jego poznaczone bliznami usta i uszy. Cały czas uważała na lewe oko przeciwnika, bo była pewna, że Nom Anor zachowuje tę broń na ostatnią chwilę. W pewnym momencie obróciła się na lewej stopie i z rozmachem kopnęła go czubkiem prawej w pierś, żeby wyprzeć z płuc wroga resztkę powietrza. Nom Anor przycisnął prawą dłoń do piersi i osunął się na kolana.

Tym razem wstał z trudem, a kiedy w końcu się wyprostował, Mara posłała go na posadzkę ciosem pięści w twarz. Czekaając, aż znów wstanie, zauważyła w jego prawdziwym oku błysk przerażenia. Spędziła dużo czasu pośród istot, którym zależało na życiu, i sama także się nim cieszyła. Od pierwszej chwili rozumiała, że w odróżnieniu od wielu swoich ziomków

toczących walkę na śmierć i życie na ulicach i placach planety, prefekt za wszelką cenę pragnie przeżyć. Widziała to w jego nieszczęśliwej minie i wyczuwała dzięki napływającym ku niej falom zapachu. Nom Anor cofał się przed jej ciosami, a kiedy przyłgnął plecami do ściany, powoli osunął się na kolana.

Mistrzynie Jedi zapaliła klingę świetlnego miecza i skierowała szpic w dół i w prawo. Jednym ciosem w górę mogła odciąć jego głowę i posłać ją na wysokość pięciu metrów.

Nom Anor zgiął się wpół i przycisnął czoło do zaśmieconej posadzki. Całą postawą wyrażał uległość.

- Pokonałaś mnie, Maro Jade Skywalker - wydyszał, nie unosząc głowy. - Błagam cię o litość. - Kiedy mistrzyni Jedi nie odpowiedziała, zaryzykował i spojrzał na nią, ale widząc, że nie podchodzi bliżej, ciągnął: - Co osiągniesz, jeśli teraz mnie zabijesz? Sprawi ci to satysfakcję, ale czy położy kres tej wojnie?

-Na razie zamierzam poprzestać na satysfakcji - odparła lodowatym tonem Mara.

Nom Anor z wysiłkiem przełknął ślinę. Dopiero po chwili odzyskał mowę.

- Przyznaję, że jestem obłudnikiem i zabójcą - powiedział. - Wyrządziłem krzywdę tobie i wielu innym osobom, ale czy i ty nie postępowałaś tak samo, kiedy pracowałaś dla Imperatora albo służyłaś Darthowi Vaderowi? Też byłaś egzekutorką i robiłaś to, do czego zostałaś przeszkolona. Wszyscy służymy jakiemuś panu, Maro Skywalker, ale mówiono mi ostatnio, że ty służysz Mocy.

Mara podeszła bliżej. W coraz szybciej wypowiedzianych słowach Noma Anora zabrzmiało błaganie.

- Jesteś teraz matką! Co byś zrobiła, gdyby cię widział twój synek? Czy naprawdę chcesz, żeby nauczył się od ciebie sztuki mordowania z zimną krwią?

Mistrzynie Jedi głęboko odetchnęła, a jej nozdrza zadrżały.

- O mało nie pozbawiłaś mnie szansy urodzenia dziecka - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Wiem, wiem - przyznał pospiesznie Nom Anor, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. - Ale czy i ja nie jestem częścią życia? Czy podobnie jak twój syn, nie stanowią częściąki Mocy? - Uderzył się w pierś. - Jestem bezradny!

Mara podeszła do niego jeszcze krok i uniosła klingę świetlnego miecza.

- Mogę ci pomóc! - wrzasnął Nom Anor. - Zmieniłem się! Widziałas, że stanąłem na

czele Zhańbionych! Podobnie jak ty, pragnę doprowadzić do końca tej wojny. Mógłbym zostać twoim sprzymierzeńcem, gdyby Vergere i Jacen zgodzili się zabrać mnie z powierzchni Coruscant na pokładzie koralowego statku, który zbudowałem specjalnie w tym celu. Słyszałaś, Maro Skywalker? Powiedziałem „Coruscant”. Wiem, że ta planeta należy do was. Zawsze należała i zawsze tak będzie, nawet jeżeli odniesiemy zwycięstwo. Daj mi ostatnią szansę! Pozwól mi udowodnić, ile jestem wart!

Mara zbliżyła szpic świetlistego ostrza do jego szyi. Oczekwała chwilę, wyłączyła klingę i przypięła rękojeść do pasa.

Nom Anor miał nieprzenikniony wyraz twarzy. W gruncie rzeczy nie spodziewał się pobłażliwości. Dobrze wiedział, że to nie jego słowa nakłoniły ją do zgaszenia śmiercionośnej broni... zwłaszcza że wypowiadał je machinalnie, jakby wyuczył się ich na pamięć. Mara musiała podjąć tę decyzję pod wpływem czegoś innego, przekraczającego zdolność jego pojmowania. Zdezorientowany Nom Anor wpatrywał się w nią bez słowa.

- Każdy yuuzhański wojownik byłby zgorszony moim zachowaniem - odezwał się w końcu. - Zabiłby mnie równie łatwo, jakby miał do czynienia z androidem, ale ty nie uznałaś mojego tchórzostwa za godne pogardy. Darowałaś mi życie.

Mara zmrużyła oczy.

- Nie uwierzyłam w ani jedno twoje słowo - zapewniła. - Od samego początku wiedziałam, że jesteś tchórzem. Masz na sumieniu zbyt wiele przestępstw, żeby dało się je wymienić, ale to nie ja będę twoim katem. Niech decyzję o twoim ostatecznym losie podejmą inni. - Gestem zachęciła go do wstania. - Gdybyś naprawdę chciał doprowadzić do zakończenia tej wojny, nie dopuściłbyś się sabotażu jednostek napędowych Zonamy Sekot.

- Staralem się tylko ocalić planetę od zagłady - powiedział Nom Anor. - Tę samą planetę, którą właśnie w tej chwili stara się unicestwić Shimrra. Jego zdaniem nasi bogowie, którzy oddali ją w ręce Jedi, zamierzają się upewnić, czy naprawdę jesteśmy ich godni. Podobno Shimrra dysponuje trucizną zdolną do zabicia Zonamy Sekot.

Mara poczuła zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Jaką trucizną? - zapytała.

Nom Anor wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest mu to obojętne.

- Podobno stworzył ją Sojusz i wypróbował na powierzchni planety zwanej Caluulą - mruknął cicho.

Alpha Red, pomyślała z przerażeniem Mara. Chwyciła Noma Anora za rękę i pchnęła go w kierunku najbliższego wyjścia z podziemi.

- Musisz mi udowodnić, że zasługujesz na dodatkowy czas życia, jaki ci dałam - oznajmiła.

Podobna w kształcie do światostatku Cytadela skrzynia Shimrry - jego bunkier na szczycie fortecy - była wysokim pomieszczeniem o wypolerowanych ścianach i sklepieniu wspierającym się na majestatycznych kolumnach. Po wschodniej stronie okrągłej podłogi wyrastały kręte schody, po których można było się wspiąć na wyższy poziom, gdzie - jak twierdzili niektórzy - znajdowały się urządzenia kontrolne umożliwiające wystrzelenie w przestworza wierzchołka Cytadeli. W taki sam sposób miał być wystrzelony Mózg Świata, żeby i najwyższy lord, i dhuryam mogli przeżyć... bez względu na los, jaki czekał pozostałych Yuuzhan Vongów i wszystkie wyhodowane przez nich formy życia.

W skrzyni mieścił się tron, ale najwyższy lord jeszcze na nim nie zasiadł, odkąd dostał się tutaj długim pionowym szybem kończącym się w samym bunkrze... dovinbasalową wersją turbowindy. Był zbyt niespokojny, żeby usiedzieć w jednym miejscu, i jakby zahipnotyzowany ukazywanymi przez villipy obrazami. Nie potrafił oderwać oczu od widoku pożarów pustoszących powierzchnię Yuuzhan'tara, Zhańbionych biegających bez przeszkód po ulicach i żołnierzy Sojuszu toczących z wojownikami zacięte walki. Nie mógł także nie widzieć gwiazdnych myśliwców przecinających we wszystkie strony spowite kłębam dymu niebo. Widział, jak piloci Sojuszu posyłają ku Cytadeli sztychy niosącego ogromną energię światła.

Najwyższemu lordowi dotrzymywali towarzystwa jego uśmierci-ciele i Onimi... prawdopodobnie jedyny Zhańbiony na powierzchni Yuuzhan'tara czy jakiegokolwiek innej zajętej planety, zadowolony, że może się kulić u stóp yuuzhańskiego dostojnika. W skrzyni przebywała także mistrzyni przemian, która pełniła równocześnie funkcję nadzorczy villipów. Miała się starać, aby najwyższy lord nie przeoczył żadnego obrazu zniszczeń, jakie z jego rozkazu spotkały planetę.

- Powinniśmy się cieszyć - odezwał się w pewnej chwili krążący po komnacie Shimrra ku osłupieniu nielicznych słuchaczy. Wskazał Onimiego, który przykucnął zaborczo u stóp skromnego tronu. - Co, nie będzie dzisiaj żadnych stosownych rymowanek? - zapytał. - Żadnych drwin ani żartów? Żadnych podskoków z okazji pożogi szalejącej na powierzchni Yuuzhan'tara?

Nie zmieniając ponurego wyrazu twarzy, Onimi wstał i wyrecytował krótki wierszyk, o

dziwo, pozbawiony typowego dla niego samozadowolenia. Wygłaszając go, Zhańbiony nie patrzył na Shimrrę ani jakkolwiek inną osobę w bunkrze; uniósł głowę i utkwiał oczy w sklepieniu, a może nawet w niewidocznym niebie nad Cytadelą:

Jeżeli ktoś jest spokojny, kiedy szaleją pożary,

Bogowie ze wstrętem odsądzą go od czci i wiary.

Jeśli jednak śmierć bliska, a ktoś daje upust radości,

Przed tym nawet bogowie muszą się mieć na baczności.

Shimrra odczekał chwilę, zanim pokiwał głową.

- Tak, Onimi, masz rację, że ich ostrzegłeś - odezwał się z powagą. - Czy wszystko nie dzieje się tak, jak zaplanowałem i jak sobie wyobrażałem? Zonama Sekot zginie, jej żyjące myśliwce szczyzną, rycerze Jedi stracą swoje miecze, a bogowie zostaną ostatecznie pokonani. Pozbędę się ich raz na zawsze. Yuuzhan'tar odzyska dawną świetność, a ja wypenię ze wszechświata wszelkie robactwo.

Mistrzynie przemian zaczęła, aż Shimrra skończy, po czym odwróciła się plecami do chóru villipów i podeszła kilka kroków w kierunku najwyższego władcy.

- O Straszliwy, arcykapłan Jakan melduje, że w Studni Mózgu Świata schwytał grupę sabotażystów - powiedziała. - Do ich grona zalicza się prawdopodobnie kapłan Harrar.

- Harrar! - wykrzyknął Onimi, ale zaraz się zmytygował i znów kucnął obok tronu.

Shimrra zaszczyił go przelotnym spojrzeniem, ale zaraz przeniósł je na mistrzynię przemian.

- Był zbyt sprytny nawet dla Noma Anora - zauważył. - Nic dziwnego, że udało mu się przeżyć. A więc opowiedział się po stronie nieprzyjaciół... ciekawe, czy został przez nich zwerbowany, czy zgłosił się z własnej woli? - Odwrócił się znów do Onimiego. - W naszym sprawiedliwym królestwie szerzy się zdrada, mój powierniku - podjął po chwili. - Bogowie zawodzą zaufanie tych, których stworzyli. Zhańbieni powstają przeciwko tym, którzy tak długo ich znosili, a teraz nasz godny szacunku kapłan odwraca się plecami do dostojników...

- Zakładając że spotka się to z twoim błogosławieństwem, Straszliwy Lordzie - wtrąciła mistrzyni - poczyniliśmy przygotowania, żeby więźniowie mogli zostać złożeni w ofierze.

- Dopilnuj, żeby stało się to jak najszybciej - rozkazał Shimrra. - Udaj się do Studni Mózgu Świata. Złożmy bogom w ofierze wszystkie ciała jeńców, zanim się ich ostatecznie pozbedziemy.

Mistrzynie przemian wyszła. W komnacie zapadła cisza, którą przerywały jedynie stłumione odgłosy eksplozji. Rażona sztychami światła nieprzyjaciół skrzynia raz po raz lekko drżała.

Do bunkra wszedł ranny wojownik w pancerzu z kraba vonduun. Zasalutował na progu i niepewnie ruszył w kierunku tronu, ale zanim pokonał połowę odległości, osunął się na kolana, a z rany w okolicy prawej pachy pociekły strużki czarnej krwi.

- O Wielki Lordzie - zaczął cicho. - Nieprzyjacielscy wojownicy otoczyli podstawę Cytadeli i właśnie w tej chwili starają się wdrzeć do środka.

Shimrra podeszedł do niego, żeby przyjrzeć się ranie.

- Nie powstała po strzale z blastera - zawyrokował w końcu.

- Jest pośród nich troje Jedi, Lordzie - powiedział Yuuzhanin. - Zbliżają się do zachodniego portalu.

Uśmierciciele wystąpili naprzód, ale Shimrra gestem kazał im się cofnąć.

- Niech Jedi przyjdą do nas - zdecydował i spojrzał na Onimiego. - Odwracanie uwagi wroga nie musi leżeć w wyłącznej gestii wojennego mistrza.

R O Z D Z I A Ł 39

Dawne Atrium Senatu wyglądało obecnie jak zimna jaskinia o sklepieniu i ścianach z żyjącego koralu yorik. Majestatyczne posągi, zdobiące niegdyś kolebkowo sklepienie pomieszczenie, zostały częściowo strawione, podobnie jak ogromna kopuła i wyglądały jak piaskowcowe stalagmity albo gigantyczne świece, po których powierzchniach ściekały strugi stopionego wosku. Zakrzywione ściany były pokryte wijącymi się krwistoczerwonymi, purpurowymi i rdzawobrązowymi roślinami i oświetlone przez świecące mchy i płonące tu i ówdzie lambenty. Z ozdobnych wejść do wielkiej sali pozostały tylko widoczne po obu stronach ogromne czarne dziury.

To właśnie w Atrium rycerz Jedi Ganner Rhysode oddał życie i stał się legendą wśród yuuzhańskich wojowników... przynajmniej tak twierdził Jacen Solo. Młody Jedi powiedział jednak, że Ganner zniszczył dużą część Atrium, a nic nie wskazywało na to, że w tym pomieszczeniu toczyła się jakakolwiek walka. Leia doszła do wniosku, że opiekująca się

Mózgiem Świata osoba postanowiła zatrzeć wszystkie ślady ostatniej bohaterskiej walki Gannera i poleciła starannie naprawić uszkodzenia.

Księżniczce, Hanowi i Harrarowi skrupowano ręce za plecami, używając do tego jakichś zwierząt ze szczypcami. Taki sam los spotkał Cakhmaima i Meewalhę, po czym yuuzhańscy wojownicy poprowadzili jeńców w kierunku szerokiego tunelu, zaczynającego się naprzeciwko wejścia do Atrium. C-3PO i R2-D2 podążyli za wszystkimi. Przy każdym kroku stawy protokolarnego androida skrzypiały, a wciągana kończyna astromechanicznego robota także domagała się smarowania. Akolici arcykapłana Jąkana pospiesznie okadzali jeńców dymem i próbowali ich namaścić kroplami cuchnącej cieczy. Więźniom towarzyszyli mistrzyni przemian Qelah Kwaad i arcyprefekt Drathul, który -jak wyjaśnił Harrar - nadzorował proces vongizacji powierzchni Coruscant.

Leia zauważyła w przeciwległym końcu tunelu rozbłyski jaskrawego czerwonopomarańczowego światła. Zgodnie z relacją Jacena kolebkowo sklepiony korytarz ciągnął się prawie pół kilometra, aż do miejsca, które było kiedyś Wielką Rotundą, a obecnie Studnią Mózgu Świata.

Księżniczka zerknęła z ukosa na męża, który szedł po jej lewej stronie.

- A już myślałam, że miałeś tego po dziurki w nosie na Caluuli -stwierdziła.

- Ach, tamto to był tylko yammosk - odparł Han tonem udawanej nonszalancji. - Teraz zanosi się na to, że zostaniemy złożeni w ofierze samemu Mózgowi Świata!

- Naprawdę zaczynają się z nami coraz bardziej liczyć - potwierdziła żona takim samym beztróskim tonem, ale zaraz dodała trochę poważniej: - Chyba nie możemy się spodziewać, że tym razem znów wyciągną nas z tarapatów Lando i Talon, prawda?

Han zacisnął wargi, ale zaraz obdarzył żonę najbardziej czarującym ze wszystkich swoich łobuzerskich uśmiechów.

- Głowa do góry, kochanie - powiedział. - Jeszcze nie wszystko stracone.

Zaledwie skończył, spoza zniszczonego przez rakiety udarowe wejścia do Atrium dobiegł głośny harmider. Procesja stanęła. Leia wychwyciła tupot stóp biegnących osób i dziesiątki podniesionych głosów. Z każdą chwilą okrzyki stawały się bardziej stanowcze i głośniejsze. Wreszcie w Atrium rozległo się brzęczenie brzytwożuków i gniewne kłapanie amphistaffów.

Wojownicy popchnęli jeńców pod ścianę, odwrócili się i rozbiegli po wielkiej jaskini.

Stanęli w szeregu twarzą do wejścia, odwinęli z ramion amphistaffy, po czym nakazali im wyprężyć się i przemienić w plujące jadem pałki. Tkwiące dotąd spokojnie w bandolierach ogłuszające chrząszcze i brzytwożuki gniewnie zabrzęczały, jakby zgłaszały gotowość do lotu. Oczy wszystkich zwróciły się na wejście, przez które wpadła grupa obdartych Yuuzhan. Przybysze wykrzykiwali żądania i potrząsali bronią sporządzoną domowym sposobem.

Zhańbieni, uświadomiła sobie Leia. Heretycy!

Han spojrzął na nią i znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A nie mówiłem? - zapytał. - Miałem rację!

Księżniczka pokręciła niepewnie głową.

- Na stare lata stajesz się prorokiem - powiedziała.

Tymczasem do Atrium wpadali coraz to nowi Zhańbieni, aż w końcu zgromadziło się ich mniej więcej pięćdziesięcioro. Nikt z nich nie podjął jednak żadnej akcji przeciwko gotowym do walki wojownikom. W stronę heretyków pospieszył wyraźnie przerażony nieoczekiwanym rozwojem sytuacji Jakan, ale zatrzymał się w pół drogi i uniósł nad głowę chudą rękę, jakby zamierzał wezwać na pomoc bogów, żeby zniszczyli tę hołotę. Stojący po drugiej stronie Leii Harrar przetłumaczył słowa arcykapłana:

- Jakan chce wiedzieć, kto ich natchnął do sprofanowania tego najświętszego miejsca. Rozkazuje im, żeby stąd wyszli, bo w przeciwnym razie zginą tam, gdzie stoją.

Na czoło tłumu przepchnęło się kilka osób. Do ich grona należał niższy od większości swoich towarzyszy Yuuzhanin ubrany w wystrzępioną kurtkę. Pozostali Zhańbieni umilkli, żeby ich rzecznik czy przywódca mógł wygłosić krótkie oświadczenie.

Leia zobaczyła, że Harrar otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

- Twierdzi, że jest ich Prorokiem! - Kapłan spojrzął na Leię. - To Nom Anor!

Księżniczka wymieniła z mężem niedowierzające spojrzenia, a Zhańbieni podnieśli znów wrzawę i zaczęli wymachiwać bronią. Po obu stronach Noma Anora stanęli dwaj inni Zhańbieni, prawdopodobnie jego wyznawcy albo oficerowie. Leia zobaczyła z osłupieniem, że troje innych zapaliło klingi świetlnych mieczy!

Kiedy zgromadzeni w Atrium wojownicy zobaczyli Marę, Tahiri i Kentha, napięli mięśnie i spojrzeli na arcyprefekta Drathula, czekając na rozkaz. Leia poczuła ulgę, podszytą jednak niepokojem, bo uświadomiła sobie, że nawet przy wsparciu trojga Jedi kilkadziesięcioro kiepsko uzbrojonych heretyków nie sprosta niemal setce świetnie wyszkolonych i gotowych do

walki wojowników.

R2-D2 niespokojnie zapiszczał.

- Zupełnie się z tobą zgadzam, Artoo - stwierdził C-3PO. - Szanse są wyjątkowo niekorzystne.

Zhańbieni musieli sobie także to uświadamiać, podobnie zresztą jak Jedi, bo ostrożnie zaczęli się rozchodzić. Kiedy napięcie sięgnęło zenitu, do jaskini dotarły z zewnątrz odgłosy kolejnego zamieszania.

- Posiłki! - wykrzyknął triumfująco Threepio.

Niestety, zamiast gniewnych okrzyków rozległ się monotony śpiew, a zamiast szurania bosych stóp - miarowy stuk sandałów o twardą nawierzchnię. Od strony heretyków doleciały niespokojne pomruki, a miejsce uniesienia na ich twarzach zajął niepokój. Nawet Mara sprawiała wrażenie przerażonej, co nie wróżyło najlepiej.

Zhańbieni odsunęli się od wejścia, przez które do jaskini weszło stu następnych wojowników, zakutyh w pancerze z kraba vonduun i uzbrojonych w grube amphistaffy. Sądząc po zachowaniu gromady Zhańbionych, Leia zorientowała się, że czują respekt przed nowo przybyłymi Yuuzhanami. Nom Anor, jego oficerowie i Jedi nie ruszyli się z miejsc, ale pozostali heretycy cofali się pod ściany, dopóki ich plecy nie zetknęły się z chropowatą powierzchnią.

Nikła szansa zwycięstwa, na jaką mogli liczyć jeszcze chwilę wcześniej, bezpowrotnie zniknęła.

Jakan, Drathul i Qelah Kwaad się odprężyli. Mogli tylko obserwować, jak budzący grozę oddział wkracza do Atrium i staje równoległe do szeregu wojowników arcyprefekta, po czym zwraca się w stronę wejścia i drżących ze strachu heretyków. Z wprawą nabytą dzięki wieloletniemu szkoleniu nowi żołnierze stanęli w postawie obronnej, z amphistaffami trzymanymi na ukos na wysokości piersi i gotową do użycia pozostałą bronią. Drathul zmierzył Noma Anora pogardliwym spojrzeniem i przecisnął się przez dwusereg wojowników. Ruszył wzdłuż niego jakby dokonywał inspekcji wojska, i stanął dopiero przed dowódcą posiłków.

- Powściągnijcie swoje ręce, kiedy będziecie chcieli się pozbyć prefekta Noma Anora, jego podwładnych i trojga Jedi - rozkazał. - Chcemy ich także złożyć w ofierze w Studni Mózgu Świata.

Dowódca zaszalował, uderzając się pięściami w ramiona, a kiedy Drathul dotarł w bezpieczne miejsce za plecami szeregu podwładnych, wydał jakiś rozkaz.

Wszyscy nowi wojownicy wykonali równocześnie w tył zwrot, wzniesli bojowy okrzyk i zaatakowali amphistaffami i ogłuszającymi chrząszczami oddział arcyprefekta. Trochę potrwało, zanim Zhańbieni uświadomili sobie, co się dzieje, ale niebawem wydali bojowy okrzyk i pospieszyli, żeby na miarę skromnych możliwości przyłączyć się do walki.

Harrar spojrział na Leię i wzruszył ramionami.

- Zapamiętaj tę chwilę, bo to przełomowy moment tej wojny - stwierdził z rezygnacją.

Dzięki temu, że strażnicy gapili się na pole bitwy, R2-D2 mógł przetoczyć się za plecy Cakhmaima i Meewalhy. Laserem unieszkodliwił stworzenia krępujące ich nadgarstki. Uwolnieni Noghri natychmiast odciągnęli Hana i Leię jak najdalej od walczących Yuuzhan. Threepio i Artoo podążyli za nimi pod ścianę wielkiej jaskini, gdzie mały robot znów zrobił użytek z lasera, żeby usunąć żywe kajdanki z przegubów obojga Solo.

Tymczasem w Atrium rozpętało się istne piekło. Yuuzhan Vongowie walczyli z innymi Yuuzhan Vongami, a Mara, Tahiri i Kenth usiłowali się przedrzeć do przodu. Leia zauważyła, że Nom Anor biegnie w kierunku Drathula, ale jej uwagę przyciągnął Harrar.

- Qelah Kwaad! - krzyknął, kiedy Cakhmaim uwalniał jego nadgarstki. - Musimy ją powstrzymać, zanim dotrze do dhuryama! Może zablokować korytarz i uniemożliwić nam dostanie się do Studni Mózgu Świata!

Księżniczka odwróciła się i zobaczyła, że mistrzyni przemian znika w kolebkowo sklepionym tunelu wiodącym do Studni dhuryama. Harrar puścił się za nią w pościg, ale drogę zastąpił mu Jakan. Leia zawołała Hana i gestami pokazała mu wejście do tunelu. Wbiegając do niego, zauważyła, że Harrar jednym silnym ciosem powalił na posadzkę starszawego arcykapłana. Kątem oka dostrzegła jeszcze, że Nom Anor zaciska dłonie na chudej szyi arcyprefekta Drathula.

Stłoczeni u podnóża Cytadeli gadopodobni wojownicy uświadomili sobie w końcu, że Sgauru nie zamierza wrzucić Jacena w środek ich grupy, że tylko trzyma go w powietrzu, aż Tu-Scart nie skończy wybijając dziury w zachodniej ścianie. Popełnili błąd i próbując wyładować wściekłość na zwierzętach, zaczęli je obrzucać brzytwa-żukami, ogłuszającymi chrząszczami i granatami z ognistej galarety. Kiedy opancerzone bestie, opluwające plazmą zbocza kanionu Esplanady Glitannaia, zorientowały się, że napadnięto pokrewne formy życia, niezgrabnie się odwróciły, zaatakowały Chazrachów i stratowały ich dziesiątki, zanim pozostali zdążyli uciec z powrotem do jamy u podnóża Cytadeli. Nawet jednak tam nie mogli się czuć bezpiecznie.

Rozwścieczone bestie dogoniły ich i wkrótce z mrocznego otworu wydobyły się przerażone okrzyki.

Page nie spodziewał się zniknięcia żywych stanowisk artylerii, ale od razu to wykorzystał. Rozkazał swoim komandosom i androidom, żeby włączyli raketowe plecaki, przelecieli na drugą stronę kanionu i dokończyli, co zaczęli Tu-Scart i Sgauru. Kiedy podwładni Page'a polecili w kierunku brzegu wzburzonej rzeki, Luke i Jaina przebiegli na skraj zniszczonego pomostu i posługując się Mocą, przebrnęli do wyrąbanego przez krótkie, grube łapy Tu-Scarta nieregularnego otworu, w miejscu gdzie Sgauru postawiła Jacena.

Wciąż jeszcze pozostawał problem dotarcia do bunkra Shimrry, ale Jedi natknęli się w końcu na wąskie stopnie, wijące się spiralnie po wewnętrznej ścianie w stronę wierzchołka Cytadeli. Luke zaczął się po nich wspinać pierwszy, za nim Jaina, a Jacen podążył kilka kroków za nimi. Młody Solo podziękował w myślach Mózgowi Świata, że dopomógł im przy zachodnim pomoście, i ponowił obietnicę, że już niedługo położy kres jego rozterkom.

Stopnie, wyrzeźbione z takiego samego koralu yorik jak chropowaty kadłub i przegrody światostatku, wiodły w górę. Od czasu do czasu chroniła je od zewnętrznej strony koralowa ściana, ale najczęściej trzeba było się wspinać przez pomieszczenia remontowe i ogromne komory mieszkalne bez jakiegokolwiek asekuracji. Poszczególne poziomy były oddzielone rozszerzającymi się membranami, a biegnące poziomo korytarze łączyły schody z wewnętrznymi komnatami. Po rozcięciu przez Jedi każdej membrany Cytadela drżała, zupełnie jakby wypalane klingą świetlnego miecza otwory wysyłały nerwami impulsy bólu do mózgu żyjącego światostatku. Mogło też być tak, że Cytadela drżała w wyniku nieustannego ostrzału pilotów Galaktycznego Sojuszu albo eksplozji ładunków wybuchowych wdzierających się na najniższe poziomy komandosów Page'a.

Sądząc po sposobie wykonania krętych schodów i rozkładzie pomieszczeń wewnętrznych, Jacen doszedł do wniosku, że światostatek Shimrry musiał lecieć pionowo przez pustkę międzygalaktycznych przestworzy... Zdawał się podobny raczej do potężnej góry niż spłaszczonego jaja albo grotu strzały, bo z takimi statkami Jedi i wojskowi Sojuszu stykali się w przestworzach Helski Cztery, Sernpidala, Obroa-skai i innych planet.

Luke, jego siostrzeniec i siostrzenica natknęli się na pierwszych obrońców dopiero po pokonaniu siedmiu poziomów, ale sądząc po zaciekłości oporu wojowników, którzy zaatakowali ich równocześnie z dołu, z góry i z bocznych korytarzy, Jedi mogli być pewni, że równie zacięta

walka czeka ich na wszystkich wyższych piętrach oddzielających ich od kryjówki Shimrry, a prawdopodobnie także w samym bunkrze. Jeżeli to była pierwsza linia oporu, trudno sobie wyobrazić, co może ich czekać bliżej szczytu... naturalnie pod warunkiem, że w ogóle tam dotrą.

Schody przeważnie nie były na tyle szerokie, żeby na jednym stopniu mogły stać obok siebie dwie osoby. W takich miejscach Luke brał na siebie cały ciężar walki. Zwijając się jak w ukropie, powstrzymywał ciosy i smagnięcia amphistaffów, odtrącał na boki strugi śmiertcionośnego jadu, zmieniał kierunek lotu ogłuszających chrząszczy, parował pchnięcia coufee, odskakiwał, uchylał się, kuczał i wyginał ciało w sposób, który zadawał kłam prawu ciężenia. Odbijając się od ścian i wysoko sklepionego sufitu, ogłuszone albo przysmażone przez zieloną klingę jego miecza chrząszcze odłupywały kawałki koralowej ściany. Wojownicy padali na stopnie, przyciskając ręce do kikutów nóg albo ran na głowach. Inni starali się powstrzymać upływ czarnej krwi z ran w nieosłoniętych przez żywe pancerze miejscach na wytatuowanym ciele.

Jacen przypomniawszy sobie, jak jego wuj walczył na Belkadanie, na którego powierzchni wojna się zaczęła. Kiedy mistrz Jedi pospieszył na ratunek siostrzeńcowi, trzymał dwa świetlne miecze. Młody Solo rozumiał jednak, że walka na Belkadanie była niczym w porównaniu ze skupieniem i opanowaniem, jakie Luke demonstrował w obecnej chwili.

Władając tylko jedną klingą, radził sobie tak, jakby walczył dziesięcioma albo dwudziestoma.

Wspinając się z błyskawiczną szybkością po koralowych stopniach, rozciął rozszerzające się membrany, ale ani na chwilę nie tracił impetu. W Mocy wyglądał jak potężny wir świetlistej energii... burza, przed którą nie było ratunku. A przecież cała ta energia płynęła z jednego ośrodka, jakim było jego oko. Mistrz Jedi nie popełniał żadnych błędów, a jego ruchów nie zakłócała żadna myśl.

Prawdę mówiąc, zachowywał się, jakby w ogóle nie myślał. Tylko działał.

Jacen i Jaina byli zdumieni... ale nie mieli dość czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wymachując klingami świetlnych mieczy, musieli parować ciosy, których uniknął Luke, i odpiierać ataki wojowników wyłaniających się z niższych pięter yuuzhańskiego światostatku.

Na czternastym poziomie, na którym z boków Cytadeli wystawały krótkie skrzydła, natknęli się na rozwidlenie schodów.

Luke odwrócił się do Jacena.

- Którędy? - zapytał.

Nawet się nie zasapał.

Młody Jedi uciekł się do pomocy Vongozmysłu.

- Lewa odnoga prowadzi do pomieszczeń mieszkalnych na następnym poziomie - powiedział. - Prawą można się dostać do czegoś w rodzaju dovinbasalowej windy, której szyb prowadzi na wierzchołek. - Zamknął oczy i umilkł. - Przebywa tam Shimrra - podjął po chwili. - Ma u boku ochroniarzy...

- Nie musimy się ich obawiać - przerwał mistrz Jedi.

- ...i kogoś jeszcze - dokończył jego siostrzeniec.

Skręcili w prawą odnogę i pobiegli pod górę, powalając wojowników i przeskakując nad ich ciałami.

Jacen zapuścił się jeszcze dalej w głąb Vongozmysłu i ponownie nawiązał kontakt z dhuryamem, ale kiedy odebrał jego myśli, ogarnęło go przerażenie. Mózg Świata był jeszcze bardziej zdezorientowany niż do tej pory... tyle że tym razem powodem jego rozterki było coś innego. Dhuryam czuł się zagrożony, zaniepokojony perspektywą śmierci i losem, jaki mógł spotkać stworzonego przez niego Yuuzhan'tara, gdyby on sam został zabity albo zmuszony do ucieczki z powierzchni planety.

Jacen przełączył umysł na Moc i uwolnił myśli.

Rodzice, uświadomił sobie.

A oprócz nich Mara, Kenth i Tahiri. Tocząc zacięte walki, wdarli się do Studni i przygotowywali się do zabicia dhuryama za pomocą ładunków wybuchowych.

Mózg Świata czuł się także zawiedziony, zdradzony. Zwierzył się Jacenowi, że powinien był go zabić, kiedy kilka lat wcześniej miał go w swojej mocy. Powinien był go zaciągnąć do Studni i pozwolić mu się utopić. Powinien był wydać rozkaz Sgauru, żeby go zabiła.

Postąpił głupio, że mu zaufał.

Jacen powtórzył to samo, co powiedział mu dwa lata wcześniej: „Tak, nauczyłem cię ufać i wyjaśniłem ci, co to znaczy zawierzyć zdrajcy. Tym razem jednak cię nie zdradziłem. Żyję w tobie. Jesteśmy partnerami w tym eksperymencie. Musisz tylko wybrać, po czyjej stronie się opowiadasz”.

Podobnie jak wtedy, kiedy przebywał na Coruscant w towarzystwie Vergere, podzielił się z dhuryamem wszystkimi doświadczeniami swojego życia: bezcielesną białawą mgiełką

agonii, czerwoną falą wściekłości, czarną dziurą rozpacz, ulewą promieni gamma straty... jaskrawą zielenią roślinnego życia, szarością kamienia i dur-betonu, lśnieniem klejnotów i transpastali, błękitnobiałym skwarem słońca w południe i jego wiernym echem, jakim bywa energetyczna klinga świetlnego miecza...

„Stanowimy jedność - ciągnął Jacen w myśli. - Związek wszystkich przeciwności. Zlekceważ rozkazy, jakie wydaje ci Shimrra. Pozbądź się ograniczeń, bo już kiedyś udowodniłeś, że to potrafisz. Udowodnij tym, którzy ci zagrażają, że nie stanowisz dla nich żadnego zagrożenia... że przychodząc do ciebie i ryzykując życie, żeby do ciebie dotrzeć, spieszą ci na ratunek. Dokonaj wyboru życia zamiast śmierci”.

Han spiorunował spojrzeniem Qelah Kwaad.

- Albo sama zmienisz zdanie, albo zrobimy to za ciebie - powiedział. Nie wypuszczając termicznego detonatora z prawej dłoni, zbliżył kciuk do bezpiecznika śmiertelnej kuli. Zaczekał, aż Harrar przetłumaczy jego groźbę, po czym dodał: - Nie zostawiamy ci wyboru.

Wszyscy troje, a także Leia, Harrar, Nom Anor, C-3PO i R2-D2 stali na dygoczącej dziesięciometrowej platformie usytuowanej nad Studnią Mózgu Świata, czyli ogromną misą z koralu yorik, wznoszącą się do więcej niż połowy wysokości pomieszczenia, które było kiedyś Wielką Rotundą. Nawet gdyby oboje Solo odkryli wejście z zewnątrz do tajnego korytarza, z którego skorzystali Jacen i Vergere, nie dostaliby się do Studni, bo koral yorik wyrósł wyżej, niż kiedyś znajdowała się loża delegacji Kashyyyka. Jacen twierdził, że okrągła platforma i prowadzący do niej podparty pomost znajdują się sto metrów nad bajorem dhuryama, ale albo jedno i drugie zostało wykonane na nowo na niższym poziomie po zniszczeniach, jakie spowodowała ostatnia walka Gannera, albo sam poziom odżywczej papki w bajorze się podniósł. Tak czy owak platformę dzieliło obecnie zaledwie pięć metrów od niespokojnej czarnej powierzchni.

W Atrium szalała nadal zacięta bitwa, ale jej wynik był z góry przesądzony. Wojownicy, którym powierzono obronę Mózgu, woleli zginąć niż się poddać, a Zhańbieni i trzymający ich stronę Yuuzhan Vongowie nie mieli nic przeciwko spełnieniu ich życzenia. Arcyprefekt Drathul zginął, uduszony przez Noma Anora, ale Harrar postanowił oszczędzić życie Jąkana. Arcykapłan został pod strażą Tahiri, Kentha Hamnera i Noghrich, którzy strzegli wejścia do tunelu.

Nad powierzchnią bajora dhuryama unosiła się siarkowa mgiełka. Poruszało się w niej napęczniałe, mięsiste, czarne cielsko potwora, którego Han i Leia zamierzali sobie zjednać...

albo zabić. Czerwonopomarańczowy blask, który dostrzegła Leia na końcu tunelu, wydzielają świecące mchy, porastające ściany wilgotnej studni, większość jednak promieniowała z samego bajora. Kiedy ogromne bąble wypływały na pokrytą mgłą powierzchnię i pękały, Rotundę zalewały żółte i szkarłatne błyski. Odpowiedzialne za wypuszczanie eksplodujących bąbli mackowate stworzenie, które chyba najbardziej przypominało wnętrze ludzkiego żołądka, miało się w bajorze jak ryba na haczyku.

Han przypomniał sobie, co mówił Harrar: że Studnia jest właściwie samodzielną kulą i może przetrwać nawet zniszczenie Coruscant. Nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że drżąca konstrukcja albo zaraz eksploduje, albo uniesie się w powietrze. Leia ścisnęła jego prawe ramię tak mocno, że na pewno miała takie same odczucia.

Solo spojrzął na mistrzynię przemian, ale zaraz przeniósł spojrzenie na Harrara.

- Więc jak będzie? - zapytał.

Kapłan wdał się w długą dyskusję z Qelah Kwaad.

- Twierdzi, że tylko Shimrra może nawiązać bezpośredni kontakt z dhuryamem - odparł po chwili.

Han posłał obojgu groźne spojrzenie.

- Ta-a, tylko że Shimrry tu nie ma, więc będzie musiała go zastąpić. - Wyciągnął rękę, chwycił mistrzynię przemian za rękę i pchnął ją na krawędź platformy. - A może mam cię tam wrzucić, żebyś sobie popływała? - zapytał.

- Nie! - krzyknęła Qelah Kwaad w basicu. - Nikomu nie wolno dotykać dhuryama! Obiecuję, że jeżeli mnie puścisz, zrobię wszystko, co będę mogła!

- Byłem pewny, że posłuchasz głosu rozsądku - burknął Solo. Wyszczерzył zęby w uśmiechu i puścił Yuuzhankę.

Mistrzyni przemian uspokoiła się i pochyliła nad czarną taflą. Na jej czoło wystąpiły krople potu, które spadły do niespokojnego bajora. Niemal od razu na powierzchnię wypłynął dhuryam, a jego żółte oko wielkości gwiazdowego myśliwca spojrzało groźnie na wszystkich stojących na platformie. Po chwili pojawiło się drugie oko i zamrugało, jakby starało się odzyskać ostrość spojrzenia. W końcu - szybciej niż Han nadażał spojrzeniem - z mgielki wystrzeliła wiązka potężnych macek okalających ogromny pysk stworzenia.

- Wygląda na poirytowane - odezwał się Solo. Przezornie wycofał się jak najdalej od krawędzi platformy i na wszelki wypadek uzbroił zapalnik termicznego detonatora.

Dhuryam otworzył okoloną mackami paszczę i zgrzytnął podobnymi do ostrych mieczy zębami.

- Może wszyscy powinniśmy poczekać na zewnątrz? - zaproponował przerażony C-3PO.

Nieoczekiwanie Studnia przestała drzeć, a dhuryam się uspokoił i znieruchomiał. Wyciągnął dwie najdłuższe macki i dotknął nimi Qelah Kwaad i Harrara, jakby pragnął okazać im posłuszeństwo.

Mistrzynie przemian i kapłan wymienili niedowierzające spojrzenia.

- Jest uległy niczym młody yammosk - stwierdził Yuuzhanin.

Han pchnął kciukiem do przodu dźwigienkę mechanizmu wyzwajającego detonator.

Leia odetchnęła z ulgą.

- Na pewno Jacen się z nim porozumiał - oznajmiła.

Qelah Kwaad uznała ten pomysł za niedorzeczny.

- Nikt inny oprócz najwyższego lorda nie mógłby nakłonić dhuryama do posłuszeństwa - powiedziała. - Shimrra wie, że nie ma znaczenia nic, co tu zrobicie, bo i tak okazemy się godni, a bogowie uwolnią tę galaktykę od wszystkich niewiernych.

Harrar pokręcił ze smutkiem głową.

- Gdyby bogowie osądzali nas po naszej potędze militarnej, nigdy nie wygnaliby nas z raju - zauważył.

Mistrzynie przemian prychnęła pogardliwie.

- Wojna sama zatroszczy się o siebie - stwierdziła. - Okazemy się godni, kiedy zniszczymy Zonamę Sekot. - Popatrzyła na kapłana i wytrzymała siłę jego spojrzenia. - Galaktyka nie przetrwa już długo w tym stanie, Eminencjo - podjęła po chwili. - Najwyższy władca odkrył sposób, jak ją zatruć.

- Shimrra łże - oznajmił Harrar.

Mara popchnęła w ich stronę Noma Anora.

- Mistrzynie przemian ma rację - powiedziała ponuro. - Nom Anor zaraz wam wszystko wyjaśni.

Bitwa w przestworzach Zonamy Sekot wchodziła w decydującą fazę. Z przestworzy Muscave przyleciały trzy dodatkowe yuuzhańskie grupy szturmowe z zamiarem wsparcia armady Nasa Choki. Tysiąc kilometrów od powierzchni żyjącej planety linia hapańskich okrętów jeszcze się trzymała, ale wiele Bitewnych Smoków miało przedziurawione kadłuby, a na krawędziach

innych widniały ogromne półksiężycy w miejscach, w których kule plazmy przedarły się przez słabnące pola ochronne. Kilka poważnie uszkodzonych krążowników klasy Nova przełamało się na dwie części albo rozpadło na kawałki.

Kyp nie miał w kabinie myślicy monitora, mógł więc sobie tylko wyobrazić rozwój sytuacji na polu bitwy. Na szczęście szczegółowe informacje przekazywał mu na bieżąco Lando, który nawiązał z nim łączność z pokładu „Błędnego Rycerza”. Kiedy kapitanowie „Ślicznotki” i „Dzikiego Karrde’a” wrócili bezpiecznie do hangaru gwiazdowego niszczyciela, dowodzący nim Booster został zmuszony do odwrotu. Dopiero wówczas się okazało, że nie można się doliczyć sześciu jednostek Sojuszu Przemysłowców. Po odlocie grup szturmowych Yuuzhan Vongów z przestworzy Muscave Wedge Antilles i Keyan Farlander, którzy dowodzili częścią Drugiej Floty Galaktycznego Sojuszu, zrezygnowali z dalszej walki i bez zgody Kre’feya i Sowa także przeskoczyli do przestworzy Zonamy Sekot. Po przecięciu wielu broniących dostępu do Coruscant orbitalnych dowin basali na powierzchni planety wylądowały tysiące komandosów i obaj admirałowie dali rozkaz do rozpoczęcia inwazji na szeroką skalę.

Wszystko wskazywało na to, że w przeciwieństwie do nich wojenny mistrz Nas Choka ściąga najszybsze okręty do przestworzy Zonamy Sekot, zupełnie jakby żyjąca planeta stanowiła dla niego klucz do wygrania wojny. Pilotujący sekotańskie myśliwce rycerze Jedi zaczęli się obawiać, że Yuuzhan Vongowie wiedzą coś na temat Alphy Red, o czym Sojusz nie ma pojęcia. Jeżeli skrzydłogwiazdy i brzękomary nie były jedynymi okazami fauny, podatnymi na wytworzoną dzięki bioinżynierii truciznę, zagrożone mogły być także wszystkie inne formy życia na powierzchni Zonamy Sekot.

Po otrzymaniu informacji, że pośród innych jednostek pierwszej grupy szturmowej Nasa Choki wykryto zakażony Alphą Red statek, rycerze Jedi przeszli do ataku. Od tamtej pory Jabitha nie kontaktowała się wprawdzie z Sekot, ale planeta zachowywała się, jakby dobrze rozumiała znaczenie niespodziewanego zagrożenia. Ze szczytów najwyższych gór leciały w przestworza półkilometrowej średnicy kolumny ognistej śmierci, które przedzierały się przez warstwy wypełnionych kryształkami lodu chmur i rozpylały na atomy koralowe skoczki i patrolowce. Wiele setek padło ofiarą gniewu Zonamy i wielu setkom groziło zniszczenie.

Walcząc blisko powierzchni, Kyp kończył jeden pojedynek i od razu zaczynał następny. Kiedy w końcu on i jego myślicy dobrze się poznali, żyjący statek zaczął spełniać wszystkie jego życzenia. Walka była nierówna, bo garstka Jedi toczyła ją przeciwko setkom pilotów

koralowych skoczków. Z każdą chwilą przez kordon hapańskich okrętów przedzierało się więcej yuuzhańskich myśliwców, a ich piloci atakowali stanowiska planetarnej artylerii albo ostrzeliwali głębokie kaniony Średniego Zasięgu, w których znalazła schronienie większość Ferroan. Corran, Saba, Alema i pozostali też zwijali się jak w ukropie, a ich żyjące statki śmigły nad wierzchołkami bora niczym chroniące gniazdo szerszenie. Podobnie jak podczas wielu poprzednich bitew, Yuuzhan Vongowie zaczęli jednak przechylać szalę zwycięstwa na swoją stronę dzięki ogromnej przewadze liczebnej i dążeniu do osiągnięcia celu za wszelką cenę. Niezależnie od tego, czy o ich poczynaniach decydowała wola walki indywidualnych pilotów, czy zdecydowanie kierującego ich ruchami yammoska, najeźdźcy wyszukiwali słabe punkty sekotańskiej obrony i określali wektory wnikania, którymi zakażony przez Alphę Red statek mógłby dotrzeć do powierzchni planety.

Kyp, który właśnie zamierzał wykorzystać niewiarygodną prędkość statku do przechwycenia pary następnych koralowych skoczków, poczuł w pewnej chwili nagły chłód... w prawej dłoni... tej, którą obejmowała uściskiem kontrolna konsola, dzięki czemu mógł utrzymywać kontakt z żyjącym myśliwcem. Niemal od razu jego jednostka straciła prędkość i przestała reagować na jego myśli. Mistrz Jedi przycisnął guzik spustowy na drążku sterowniczym. Zasobniki wyrzutni nie były wyczerpane, ale broń odmówiła posłuszeństwa. Piloci koralowych skoczków musieli wyczuć, że ścigający ich nieprzyjaciel ma problemy, bo zaczęli go nękać kulami plazmy. Pozbawiony zdolności manewrowania myśliwiec Kypa mogły ocalić tylko wytwarzane przez żywe organizmy pola ochronne.

W pierwszej chwili mistrz Jedi pomyślał, że to jego wina, że może pozwolił wypłynąć na powierzchnię świadomości własnej osobowości i dlatego stracił kontrolę nad żyjącym statkiem. A może po prostu w jego głowie kotłowało się zbyt wiele myśli? Zapewne nie bez znaczenia były przekazywane na bieżąco przez Calrissiana informacje o zmianach sytuacji na polu bitwy, rozmowy z Corranem i pozostałymi Jedi czy większa zaciętość walk, odkąd rozeszła się wiadomość o przybyciu zakażonego statku...

Uświadomił sobie jednak, że nie tylko jego myśliwiec stracił zdolność manewrowania.

Pojedynki przerwali także piloci innych sekotańskich statków, które dostrzegali na tle poprzecinanego przez ogniste nitki nieba. Z głośnika komunikatora zaczęły napływać meldunki Corrana, Zekka, Lowiego i Saby, potwierdzające, że ich myśliwce także nie chcą słuchać myślowych rozkazów.

Ścigany przez dwóch pilotów koralowych skoczków Kyp zaczął wykonywać uniki. Wkrótce znalazł się nad usytuowanym na południe od Średniego Zasięgu łańcuchem górskim, gdzie znajdowało się najwięcej stanowisk najcięższej artylerii. Zauważył jednak, że i te stanowiska milkną jedno po drugim. Rozzuchwaleni nieprzyjaciele zaczęli szybciej opadać w głąb grawitacyjnej studni planety.

Z głośnika komunikatora w kabinie myśliwca Kypa rozległ się głos Corrana:

- Może zauważony przez Calrissiana statek nie był tym samym, który im umknął w przestworzach Caluuli, ale innym, wystawionym na wabia? Prawdopodobnie zakażona Alpha Red jednostka już się roztrzaskała o powierzchnię planety.

- To by wyjaśniało, dlaczego nikt nie może nawiązać łączności z Sekot - stwierdził Kyp.
- Planeta została zakażona.

- A więc wszyscy, my i oni, przegraliśmy tę wojnę.

Kyp zgrzytnął zębami.

- Nie zamierzam przyglądać się beczynnemu, jak ginie jeszcze jedna planeta, Corranie - powiedział.

- Ja także nie - usłyszał w odpowiedzi.

R O Z D Z I A Ł 40

Luke, Jaina i Jacen pokonali ostatnią krzywiznę krętych schodów Cytadeli i znaleźli się w ogromnym, wysokim pomieszczeniu, którego dziobate sklepienie z koralu yorik wyglądało jak zewnętrzna powłoka kadłuba yuuzhańskiego okrętu. Posługując się Vongozmysłem, młody Solo odkrył, że szeroki, okrągły otwór w najniższym punkcie sklepienia jest wylotem szybu organicznego odpowiednika turbowind. Rosnące na ścianach bioluminescencyjne mchy rzucały na posadzkę pod otworem krąg zielonego blasku. Jacen był pewien, że szyb umożliwia dostanie się na wierzchołek świętej góry Shimrry, ale zapewniający siłę nośną dovin basal albo nie działał, albo nie tolerował nikogo oprócz Yuuzhan Vongów, bo kiedy Luke stanął w słupie blasku, nie uniósł się w powietrze.

Odwrócił się do siostrzenicy i siostrzeńca.

- Chyba czeka nas dalsza wspinaczka - powiedział.

Rezygnując z wypatrywania yuuzhańskich wojowników, młodzi Jedi spojrzeli na mistrza Jedi, który dopomógł sobie Mocą i skoczył w kierunku otworu w koralowym sklepieniu. Kiedy się w nim znalazł, przycisnął plecy i stopy do zaokrąglonej ściany i zaczął się wspinać jak skalnym kominem.

Jaina i Jacen poszli w jego ślady. Domyślali się, że właśnie opuszczają samą Cytadelę i wdzierają się do ogromnej kapsuły ratunkowej, podobnej do tej, która - zgodnie z opisem Jacena - otaczała Mózg Świata. Minęli zewnętrzną skorupę z koralu yorik, przecisnęli się przez warstwę wykładanych metalem dysz wylotowych i organizmów, które je stworzyły, pokonali warstwę odżywczych kapilar, a wreszcie mięśni i ścięgien. W końcu znaleźli się w wysokim walcowatym przedsionku. W wewnętrznej ścianie widniała ogromna, pozbawiona wszelkich ozdób osmotyczna membrana.

Jacen nie był zaskoczony, kiedy stwierdził, że przedsionek jest pusty.

- Shimrra się nas spodziewa - powiedział.

Jego siostra zacisnęła obie dłonie na rękojeści świetlnego miecza.

- Powinniśmy przynajmniej dać mu znać, że już jesteśmy - odezwał się mistrz Jedi.

Wymierzył w membranę szpic klingi swojego miecza. Oboje Solo poszli w jego ślady i wszyscy jednocześnie przebili membranę. W przedsionku rozszedł się zjełczały odór i gruba błona zaczęła się topić. W końcu z donośnym młaśnięciem zwieracz ustąpił.

Luke dał znak Jainie i Jacenowi, żeby stanęli po obu stronach wypalonego otworu. Niespełna sekundę później do przedsionka wleciała ze świstem chmura ogłuszających chrząszczy, które zaczęły się odbijać od ścian, sklepienia i posadzki. Jedi unieśli klingi i odbili część uskrzydłonych pocisków z powrotem w głąb otworu, a pozostałe ogłuszyli albo zabili.

Kiedy Jaina rozprawiała się z ostatnimi, Luke odwrócił się i przeskoczył na drugą stronę zniszczonej membrany. Wylądował pięć metrów za otworem, kucnął i trzymając rękojeść świetlnego miecza prawą dłonią, skierował klingę w prawo i ku tyłowi. Drugi przeskoczył przez otwór Jacen, który opadł na posadzkę na lekko ugiętych nogach i skierował energetyczne ostrze prosto przed siebie. Chwilę później w pomieszczeniu pojawiła się Jaina. Rozejrzała się, podbiegła szybko do mistrza Jedi, stanęła po jego lewej stronie i uniosła klingę świetlnego miecza nad prawe ramię.

Posadzka ogromnej komnaty była płaska, a wysokie, zaokrąglone ściany bunkra Shimrry tworzyły przestrzeń w kształcie cylindra. Pośrodku stało okrągłe podwyższenie. Otaczała je

plytka fosa, wypełniona cieczą, która wyglądała jak rozrzedzona yuuzhańska krew. Na podwyższeniu stał prosty tron, a w ścianie naprzeciwko wjazdu widniał o wiele bardziej wyszukany portal. Widoczne po prawej stronie tronu kręte schody umożliwiały dostanie się na sam szczyt Cytadeli, gdzie prawdopodobnie mieściły się urządzenia kontrolne i sterujące kapsuły ratunkowej.

Między fosą a trojgiem Jedi stało półokręgiem piętnastu niezbyt silnie zbudowanych Yuuzhan Vongów, uzbrojonych w coufee i syczące amphistaffy. Wojownicy nie byli zakuci w pancerze, ale ich lśniące, wysmarowane krwią ciała wyglądały na równie odporne jak skorupy krabów vonduun.

Sądząc z opisu Hana i Leii, Luke odgadł, że ma przed sobą specjalnie hodowanych wojowników, podobnych do tych, których oboje Solo mieli nieszczęście spotkać na powierzchni Caluuli i z którymi nie poradził sobie nawet Kyp Durrón. Uśmierciciele stanowili nie lada wyzwanie, ale jeszcze większe niebezpieczeństwo groziło im ze strony osoby, którą chronili.

Zanim Luke stanął przed Imperatorem, dobrze znał twarz Palpatine'a z wizerunków, jakie docierały nawet na odległą Tatooine, i od pierwszej chwili spotkania uświadamiał sobie jego potęgę. W przeciwieństwie do Imperatora najwyższy lord jawił mu się jako pustka, której nie potrafił ogarnąć zmysłami. Nie był cieniem człowieka, ubranego w płaszcz z kapturem... bardziej energią niż cielesną istotą. Twarz Shimrry w niczym nie przypominała twarzy mistrza Sithów, przedwcześnie postarzałej w wyniku wielu lat korzystania z potęgi ciemnej strony. Yuuzhański przywódca był niewątpliwie istotą z krwi i kości, dzięki czemu sprawiał wrażenie osoby energicznej i niebezpiecznej. Skupiała się w nim połączona siła wszystkich Yuuzhan Vongów i gdyby naprawdę nikt nie potrafił go pokonać, wszystkie starania Luke'a dotarcia do tego miejsca okazałyby się daremne.

Był najwyższym i najsilniej zbudowanym Yuuzhaninem, jakiego mistrz Skywalker kiedykolwiek widział. Miał szczupłe kończyny, ogromną głowę, a pierś tak gęsto wytatuowaną i poznaczoną bliznami, że nie wiadomo było, gdzie kończy się ciało, a zaczyna ubranie. W jego szeroko rozstawionych, lekko skośnych oczach płonęły różnobarwne błyski, barki zdobiła ceremonialna peleryna z wyprawionej skóry, a wokół lewego przedramienia drzemał owinięty grubym amphistaffem z łbem ozdobionym zawiłym wzorem. Luke nie zamierzał porównywać Shimrry z wrogiem, jakiemu musiał stawić czoło na pokładzie nieukończony Gwiazdy Śmierci w przestworzach Endora. Mimo to istniało między nimi kilka podobieństw. Imperator pokładał

nadzieję w potęgę ciemnej strony Mocy, a najwyższy lord Yuuzhan Vongów powierzał swój los potężnym bogom. Podobnie jak w przełomowej chwili galaktycznej wojny domowej, obecnie także w przestworzach szalała zacięta bitwa. Kryjówka Shimrry nie umożliwiała jednak prowadzenia obserwacji pola walki, a do bunkra przedostawały się tylko stłumione odgłosy odległych eksplozji.

Jeżeli nawet Luke się martwił, jak poradzą sobie Jaina i Jacen, albo miał wyrzuty sumienia, że wmieszał ich w sytuację, w której ważą się losy wojny, ukrywał uczucia tak głęboko, że jego podopieczni nie potrafiliby ich wykryć nawet dzięki Mocy. Potęga ich bitwo-więzi była tak ogromna, jakby wszyscy troje mieli jeden umysł, a ten umysł był samą Mocą.

Mistrz Skywalker nie miał cienia wątpliwości, że robią tylko to, co konieczne, i postępują zgodnie z wolą Mocy.

Wojownicy Shimrry także byli zdecydowani i gotowi do walki. Rycerze Jedi stanowili zagrożenie dla wszystkiego, co Yuuzhan Vongowie uważali za święte. Co gorsza, korzystali z usług mrocznej i niepojętej potęgi, która stała w sprzeczności ze świętymi edyktami Yun-Yuuzhana i innych bogów. Podobnie jak na twarzach Jedi, na poznaczonych bliznami obliczach uśmiercicieli nie było śladu gniewu ani strachu... jedynie stanowczość i wola zapewnienia za wszelką cenę ochrony ich bogowi-królowi.

- No, no, mistrz i bliźnięta - mruknął w znośnym basicu siedzący na tronie Shimrra. - Jakże długo musieliśmy czekać na to spotkanie.

- My także - odparł Luke.

Shimrra pokiwał na niego palcami lewej dłoni.

- Więc zbliż się do mnie i okaż swój szacunek, mistrzu Jeedai - powiedział.

Luke nie zamierzał ruszyć się z miejsca... a jednak jakaś siła nakazała mu podejść bliżej podwyższenia. Zanim stanął przed półokręgiem uśmiercicieli, ku ich wielkiemu rozbawieniu opadł na kolana i zgiął się w pasie. Jego wyciągnięta lewa ręka zadrżała, jakby chciała mu uniemożliwić przyciśnięcie twarzy do koralowej posadzki, a świetlny miecz o mało nie wysunął się z palców prawej dłoni.

Jacen przełączył umysł na Moc.

To nie Shimrra, pomyślał.

Dovin basal, odgadł mistrz Jedi.

Wyczuł, że Jacen odłącza umysł od bitwowiezi, i domyślił się, że siostrzeniec przywołuje na pomoc Vongozmysł, żeby obezwładnić zniekształcającą grawitację formę yuuzhańskiego życia. Niebawem mistrz Jedi poczuł, że jego ciało staje się z każdą chwilą lżejsze. W końcu uniósł głowę, spojrzął na Shimrrę i jakby zadając kłam sile ciężenia, wstał i dumnie się wyprostował.

Najwyższy lord ze zdumienia o mało nie wstał z tronu. Na ułamek sekundy zwrócił płonące oczy na Jacena, który do tej pory zdążył ponownie przyłączyć umysł do bitwowiezi Mocy.

Młodzi Solo oddalili się od Luke'a, żeby móc toczyć walkę na odrębnych frontach, a mistrz Jedi zrobił coś, czego żadne z bliźniąt nigdy dotąd nie widziało: przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i przywołał rękojeść świetlnego miecza do lewej dłoni. Zrezygnował z zachowywania przepisowej postawy, jakby zachęcał wojowników Shimrry, żeby rzucili się do ataku. Reagując błyskawicznie, piętnastu uśmiercicieli podzieliło się na trzy grupy. Dwie, liczące po czterech Yuuzhan, stanęły naprzeciwko Luke'a i Jacena, a najliczniejsza, siedmioosobowa, przygotowała się do walki z Jainą. Uśmierciciele wyczuwali, że Luke i Jacen mogą się okazać silniejszymi przeciwnikami, i woleli rozprawić się przedtem z Jeedai, którą uważali za najsłabszą. Przypuszczali, że zanim Luke i Jacen podejmą próbę zaatakowania Shimrry, najpierw pospieszą na pomoc trzeciej Jeedai.

Na razie jednak wszyscy stali bez ruchu.

Kiedy się wydawało, że ta chwila przeciągnie się na całą wieczność, uśmierciciele przystąpili do ataku. Niektórzy chwycili amphistaffy wyprężone jak włócznie, inni posługiwali się nimi jak biczami, a jeszcze inni nakazali im plunąć jadem. W przeciwieństwie do zmagających się na powierzchni Yag'Dhula i innych planet, żaden wojownik nie zamierzał toczyć pojedynku z Lukiem, Jacenem i Jainą ku własnej chwale. Wojna trwała stanowczo zbyt długo. Obecnie chodziło tylko o rozstrzygnięcie konfliktu i ustalenie, kto okaże się zwycięzcą, a kto przegranym.

Kiedy Luke parował ciosy amphistaffów czterech uśmiercicieli, klinga jego świetlnego miecza wyglądała jak smuga czystej energii. Raz po raz zostawiała ślady na ciele napastników, ale wojownicy Shimrry się nie cofali. Ich amphistaffy zwierzały się ze świetlistym ostrzem z taką siłą, że po każdym pomieszczeniu wypełniało się oślepiającymi błyskami, a na zakrzywionych ścianach pojawiały się ogromne cienie. Chcąc stworzyć wspólny front w walce z atakującymi ich z trzech stron wojownikami, Luke i Jaina zaczęli się zbliżać do siebie. W pewnej chwili kilku

uśmiercicieli znalazło się w pułapce między obojgiem Jedi a amphistaffami swoich towarzyszy. Jeden wojownik, przebity z obu stron, runął na koralową posadzkę, a chwilę później podobny los spotkał jego towarzysza.

Luke wykonał salto w przód i półobrót, żeby wylądować tyłem za plecami siostrzenicy. Zanim opadł na posadzkę, uśmiercił trzeciego wojownika, zadając mu cios szpicem klingi w czaszkę. Posługując się z trudem Mocą, zobaczył Jacena toczącego zacięty bój z czterema uśmiercicielami, którzy na początku walki obrali go za cel ataku. Ponownie wyskoczył w powietrze, wywinął klingą świetlnego miecza i ściął głowę wojownika stanowiącego największe zagrożenie dla siostrzeńca. Kiedy lądował, w kierunku jego nóg wystrzeliły dwa smukłe amphistaffy, ale mistrz Jedi przeskoczył nad nimi jak nad sznurem skakanki i odciął łeb tego, który nie zdążył się w porę cofnąć.

Usłyszał świst i ostrze coufee przecięło powietrze milimetry od jego prawego ucha. Kucnął, wyciągnął poziomo jedną nogę, obrócił się na drugiej i podciął właściciela koralowego sztyletu, a kiedy cofał klingę świetlnego miecza, amputował lewą stopę wojownika. W pewnej chwili zorientował się, że żaden uśmierciciel nie zagraża mu drogi do Shimrry, i chciał wskoczyć na podwyższenie, ale powaliła go powiększona przez dovin basala siła ciężenia. Przetoczył się na bok, żeby się znaleźć poza zasięgiem pola, i obalił na posadzkę dwóch następnych wojowników.

Jacen wyskoczył w powietrze i przefrunął w rejon bunkra, gdzie toczyła walkę Jaina. Oboje Solo, walcząc ramię w ramię, zaczęli spychać trzech uśmiercicieli z powrotem w kierunku fosy wokół podwyższenia z tronem Shimrry. Jeden wojownik o mało się nie potknął i nie wpadł do rozrzedzonej krwi, lecz zachował równowagę. Jacen skoczył za nim i ciął go na odlew klingą świetlnego miecza, ale Yuuzhanin odparł jego atak i odpowiedział amphistaffem skierowanym w lewe kolano. Młody Jedi wyskoczył w powietrze, ale nie dość szybko, i cios żywej włóczni trafił go w kostkę. Lądując, zachwiał się i zatoczył na koralową ścianę. Od razu skoczyli ku niemu dwaj inni wojownicy, ale przebiegli zaledwie połowę drogi, kiedy bunkier zadrżał w posadach i przechylił się w prawo.

Nieoczekiwany ruch posłał wszystkich, uśmiercicieli i Jedi, pod prawą ścianę. Chwilę później, zupełnie jakby posadzka miała zawieszenie kardanowe, bunkier znów się przechylił, tym razem w kierunku szczątków membrany, i wszyscy potoczyli się w tamtą stronę.

Podejrzewając, że to jakaś sztuczka Shimrry, Luke zaryzykował i zerknął na

najwyższego lorda. Władca Yuuzhan Vongów poruszał wprawdzie szponiastymi dłońmi, ale na jego twarzy malowała się mieszanina zdziwienia i łagodnej dezorientacji.

Dhuryam, pomyślał Jacen i za pośrednictwem Mocy posłał tę myśl pozostałym Jedi.

Luke zrozumiał.

Mózg Świata, który przyłączył się do Zhańbionych, postanowił wstrząsnąć całą Cytadelą, prawdopodobnie kołysząc skalnym gniazdem, w której osiadła, a może w jakiś inny sposób, którego Luke nie rozumiał. Wyposażony w system niezależnego zawieszenia bunkier próbował utrzymywać pozycję poziomą, ale pozbawiony łączności z dhuryamem nie potrafił przewidywać ruchów Cytadeli. Dowodziły tego niezdecydowane ruchy rąk Shimrry - boga-króla, który nie mógł się pogodzić z tym, że stracił najpotężniejszą broń i zarazem najwierniejszego sprzymierzeńca. Pozbawiona współpracy z dhuryamem Coruscant już nigdy nie miała się przemienić w Yuuzhan'tara. Nawet gdyby Yuuzhan Vongowie zwyciężyli w tej wojnie, nie mogliby nawet marzyć o odtworzeniu pradawnej ojczyzny.

A mimo to w płonących oczach Shimrry czaiło się coś nieznanego, co uświadamiało mistrzowi Jedi, że jeszcze nie widział wszystkich sztuczek najwyższego władcy. Shimrra najwyraźniej coś przed nim ukrywał... tajemnicę na tyle potężną, że pozwalała mu siedzieć spokojnie na tronie, chociaż otaczający go świat chwiało się w posadach.

Dopiero wówczas Luke zauważył, że Shimrra nie jest sam na podwyższeniu. Za tronem kulił się jeszcze jeden Yuuzhanin o asymetrycznie spuchniętej głowie i zdeformowanym ciele. Niewątpliwie Zhańbiony. Nieszczęśnik musiał sobie uświadomić, że został dostrzeżony, bo wycofał się w głębszy cień za tronem, jakby się starał zmniejszyć albo stać niewidzialny.

Luke nie miał jednak czasu na poświęcanie uwagi towarzyszowi Shimrry.

Bunkier znów się zakołysał.

Yuuzhańska armada poniosła wprawdzie w przestworzach Muscave poważne straty, ale jeszcze gorzej na tym wyszła flota Sojuszu. W usianej punkcikami gwiazd pustce przestworzy unosiły się zdeformowane metalowe bryły, które nieco wcześniej były gwiazdnymi myśliwcami albo fregatami. Tu i ówdzie dopalały się otoczone przez roje kapsuł ratunkowych wraki okrętów. Bitwa miała przejść do historii jako jedyna, która pod względem zaciętości ustępowała epickim zmaganiom, jakie zakończyły Wojnę Cremleviańską, a Nas Choka miał dołączyć do grona legendarnych wojowników, do których zaliczał się także Yo'gand.

Wojenny mistrz odwrócił się plecami do obserwacyjnego bąbla komnaty dowodzenia i

podszedł do ukazywanych przez villipy wizerunków twarzy najwyższych dowódców, którym rozkazał zaatakować Zonamę Sekot.

- Rozmieszczone na powierzchni planety stanowiska artylerii umilkły - zameldował komandor Tiwik. - Żyjące myśliwce, które planeta wysłała przeciwko nam, straciły skrzydła i wkrótce spadną niczym stado wyczerpanych ptaków. O Straszliwy, planeta została pokonana.

Nas Choka postarał się nie pokazać po sobie ani satysfakcji, ani powątpiewania.

- Nasilić atak - rozkazał beznamiętnym tonem. - Mataloki domen Tiwik i Tsun będą eskortowały umierający statek na powierzchnię. Wszystkie pozostałe jednostki mają się wycofać, żeby uniknąć zakażenia. Piloci koralowych skoczków, którzy pozostaną w atmosferze żyjącej planety po dostarczeniu trucizny, mają roztrzaskać myśliwce o powierzchnię gruntu i zginąć. Nie może pozostać przy życiu żadna jednostka, której pilot miał bliski kontakt z umierającym statkiem.

-Twój rozkaz zostanie wykonany, wojenny mistrzu - zapewnił komandor.

- Niech nasza śmierć umocni twoje zwycięstwo - dodał najwyższy dowódca Sla Tsun.

Nas Choka skwitował jego uwagę kiwnięciem głowy.

- Rrush 'hok ichnar vinim 'hok! Umieraj dobrze, dzielny wojowniku! - wykrzyknął, po czym odwrócił się i spojrzał pytająco na głównego taktyka, którego podniecenie zdradzało, że ma do przekazania wiadomość najwyższej wagi.

- Łączność z Yuuzhan'tarem została niemal przerwana, wojenny mistrzu, ale z otrzymywanych sygnałów wynika, że do wnętrza Cytadeli przeniknęli żołnierze Sojuszu i kilkoro Jeedai - zameldował zwięźle podwładny.

Nas Choka zaplótł ręce na piersi.

- Nie zaprzataj sobie głowy możliwością schwytania albo zabicia lorda Shimrry - powiedział. - Bogowie nigdy do tego nie dopuszczą... szczególnie w obliczu naszego bliskiego zwycięstwa nad Zonamą Sekot. Poddali naszą wolę walki próbie, a my wyszliśmy z niej zwycięsko. - Umilkł i zmierzył spojrzeniem wzburzonego podwładnego. - Czyżby moje słowa nie uśmierzały twojego niepokoju? -zapytał w końcu.

Taktyk zmarszczył brwi.

- Wojenny mistrzu, Yuuzhan'tar stał się równie spokojny jak Zonama Sekot - powiedział. - Nasze systemy uzbrojenia umilkły, zwierzęta zasnęły, a szalejące po powierzchni pożary zostały ugaszone. Zhańbieni i sprzyjający im wojownicy opanowali większą część

powierzchni świętego kwartału. Najwyższy lord Shimrra nigdy by do tego nie dopuścił. Obawiamy się, że niewierni zabili Mózg Świata.

- A zatem obowiązkiem mistrzów przemian będzie wyhodowanie i wyszkolenie następnego dhuryama - odparł spokojnie Nas Choka. - Teraz, kiedy nieprzyjaciele zostali pokonani, nie musimy się spieszyć z nadawaniem ostatecznego kształtu Yuuzhan'tarowi. - Umilkł i jeszcze raz zmierzył spojrzeniem głównego taktyka. - Wyrzuć z siebie resztę! - rozkazał.

- „Ralroost” i inne okręty nieprzyjaciół opuściły pole bitwy i pospieszyły w kierunku Yuuzhan'tara - zameldował Yuuzhanin. - Wiem, że zamierzałeś być naocznym świadkiem śmierci Zonamy Sekot, ale...

Nas Choka uciszył go władcym machnięciem ręki.

- Śmierć Zonamy Sekot nie wymaga mojej obecności w jej przestworzach - zapewnił cierpko.

- To znaczy, że będziemy ścigali Kre'feya - domyślił się Yuuzhanin.

Wojenny mistrz pokiwał głową.

- Chcę zobaczyć jego okręt - rozkazał.

Kiedy bunkier się przechylił, Jainę przygniotło pięć czy sześć wysmarowanych krwią ciał. Brakowało jej swobody ruchów, ale starała się unikać kłów i jadu amphistaffów, zębatych krawędzi coufee czy ostrych zębów, twardych łokci i kolan wojowników. Rozpaczliwie wyginając się w różne strony, usiłowała dopomóc sobie Mocą, żeby uwolnić się od ciężaru, i zaskoczona stwierdziła, że naprawdę zrzuciła z siebie wszystkich przeciwników... tyle że jej uwolnienie nie miało nic wspólnego z Mocą. Po prostu bunkier Shimrry znów się przechylił, a młoda Jedi i przygniatający ją wojownicy przetoczyli się po koralowej posadzce w drugą stronę.

Sunąc głową naprzód w kierunku zakrzywionej ściany, Jaina w ostatniej chwili wyciągnęła przed siebie wolną rękę i przygotowała się na cios. Uśmierciciele zderzyli się z twardą ścianą w połowie wysokości do sklepienia, a kiedy bunkier znów się wyprostował, stęknęli i zwalili się na posadzkę.

Jaina wykonała salto w tył, wylądowała na ugiętych nogach i szykowała się do wspomaganego przez Moc lotu w kierunku Shimrry, kiedy pomieszczenie znów się przechyliło. Tym razem młoda Jedi pomogła sobie Mocą i utrzymała równowagę, a obok niej przemknęło sześciu wojowników. Niektórzy starali się biec szybciej, niż mogły nadążyć ich nogi, inni po prostu ślizgali się na brzuchach lub plecach. Porzucone amphistaffy, wijąc się niczym węże,

usiłowały do-pełznąć do fosy, ale dotarło do niej tylko kilka, bo przy kolejnym przechyle reszta pofrunęła w powietrze i zderzyła się z zakrzywioną ścianą. Posadzka wróciła do poziomu i wojownicy rzucili się ku Jainie, ale po kolejnym trzydziestostopniowym przechyle stracili równowagę i pośliznęli się na mazi, która wylała się z fosy i szybko pokryła całą posadzkę.

W pobliżu zniszczonej membrany Luke i krzepki wojownik toczyli zacięty pojedynek, trzymając wolnymi rękami przysmażone krawędzie organicznej błony. Jaina nie widziała wprawdzie Jacena, ale dzięki Mocy wyczuwała go za plecami i słyszała skwierczenie klingi jego świetlnego miecza w zetknięciu z amphistaffami i ciałami uśmierci-cieli. Shimrra, który tkwił dotąd pośrodku bunkra, wstał z tronu i podpierając się rozwiniętym amphistaffem jak laską, kuśtykał niepewnie w stronę fosy. Zza tronu wychynął także jego Zhańbiony towarzysz. Z trudem utrzymując równowagę i powłócząc nogami, człapał w stronę wiodących na szczyt Cytadeli krętych schodów.

Jaina dostrzegła go już wcześniej, kiedy bunkier pierwszy raz się przechylił, i zauważyła, że Zhańbiony zachowuje równowagę mimo zniekształconego ciała. Nie był uzbrojony i pewnie usiłował się ukryć, ale równie dobrze mógł iść na szczyt, żeby wykonać jakiś rozkaz Shimrry. Rezygnując z walki, młoda Jedi postanowiła puścić się za nim w pogoń. Dotarła do stóp spiralnie skręconych schodów, kiedy Zhańbiony zniknął za zakrętem nad jej głową.

Przycisnęła plecy do koralowej ściany i nie wypuszczając rękojeści świetlnego miecza z prawej dłoni, zaczęła się wspinać stopień po stopniu. Wyczuła, że zdezorientowani jej postępowaniem Luke i Ja-cen uwalniają myśli i wysyłają je do niej za pośrednictwem Mocy, ale instynkt nakazał jej podążać dalej w ślad za tajemniczym towarzyszem Shimrry.

Kiedy stanęła na najwyższym stopniu, stwierdziła, że na następnym poziomie jest przestronne pomieszczenie pomocnicze, podobne do organicznych kabin na pokładzie yuuzhańskiego okrętu, który porwała w przestworzach Myrkra. Sześć osmotycznych membran zasłaniało wejścia do przyległych pomieszczeń, a kolejne schody -czy też raczej drabina - wiodły do kabiny, która mogła być tylko sterownią statku. Jaina podbiegła i chwyciła szczebel drabiny, ale bunkier znów się zakołysał. Z dołu napłynął hałas ciał toczących się najpierw w jedną, a później w drugą stronę. Młoda Jedi usłyszała także pomruk świetlnych kling wuja i brata bliźniaka i agonalne wrzaski przynajmniej dwóch następnych wojowników.

W pomieszczeniu pomocniczym nie znalazła towarzysza Shimrry, a żadna membrana nie nosiła śladów otwierania, a więc Yuuzhanin musiał się wspiąć do sterowni.

Instykt ostrzegł ją w samą porę, nakazując jej spojrzeć w górę.

Zhańbiony zeszkakiwał prosto na nią!

Młoda Solo uniosła nad głowę klingę świetlnego miecza, ale Yuuzhanin jakimś cudem prześliznął się obok, wylądował stopami na ramionach Jaina i obalił ją na posadzkę. Pochylił się, wyszarpnął świetlny miecz z jej palców i odrzucił rękojeść na bok, a potem chwycił ją za prawą kostkę i pchnął po posadzce. Jaina zderzyła się z koralową ścianą, ale szybko zerwała się na nogi. Towarzysz Shimrry równie szybko rzucił się na nią, przycisnął do ściany potężnymi dłońmi i zatopił długi kiel w jej prawym ramieniu.

Zanim się cofnął, Jaina straciła czucie i zdolność poruszania prawą ręką. Chwilę później odrętwienie zaczęło się rozprzestrzeniać po jej ciele niczym mroczna fala. Zalało całe ramię, objęło górną część piersi, obezwładniło drugą rękę, szyję i głowę, po czym powędrowało w dół tułowia do nóg. Instykt podpowiedział jej, że ciało staje się równie elastyczne jak miękka skóra. Nie straciła przytomności, ale nie potrafiła zmusić się do wypowiedzenia jakiegokolwiek słowa. Zamrugała i uświadomiła sobie, że wszelkie dźwięki docierają do niej jakby z bardzo daleka.

Pograżając się w najczarniejszą czeluść, uświadomiła sobie, że w jej mózgu kołacze się zdumiewająca myśl.

Zanim napastnik rzucił się na nią, wyczuła go dzięki Mocy!

Sekotański statek powietrzny kołysał się niebezpiecznie pod wpływem prądów wstępującego powietrza, podgrzanego przez szalejące w kanionie pożary, ale powoli opadał na lądowisko. Magister Jabitha, Cilghal, Tekli, Danni i dwaj ferroańscy piloci, stłoczeni w ciasnej kabinie gondoli, zachowywali ponure milczenie. Niebo nad ich głową przecinały raz po raz ogniste pociski z wyrzutni koralowych skoczków, więc wyprawa do jaskini była nie tylko niebezpieczna, ale i daremna, bo Sekot nie zgodziła się przemówić do żadnego członka wyprawy.

Siedząca najbliżej drzwi kabiny Danni bezskutecznie usiłowała ogrzać palce, chuchając na nie. Temperatura na zewnątrz osiągała stopień czy dwa powyżej zera, ale młoda badaczka odczuwała większy chłód niż wiele lat wcześniej, kiedy została uwięziona na Helsce Cztery pod kilkoma kilometrami lodu. Zrodzony ze smutku i lęku chłód miał źródło w głębi jej serca i blondwłosa kobieta nie mogła nic na to poradzić.

Bez względu na opinię Luke'a czy innych osób, nie uważała się za rycerza Jedi.

Nie umiała nawet właściwie trzymać rękojeści świetlnego miecza, a co dopiero ogrzewać ciało energią Mocy, podobnie jak robiła to smukła Cilghal czy drobna Tekli. Jeżeli

nawet wykazała się pewnymi umiejętnościami, służąc na pokładzie kanonierki Dzikich Rycerzy czy pomagając Cilghal konstruować urządzenia do zagłuszania sygnałów yammosków, zawdzięczała je nie Mocy, ale talentowi do nauki, odziedziczonemu po specjalizującej się w astrofizyce matce, dwudziestu czterem latom bliskiej współpracy z automatami i znajomości najnowszych osiągnięć techniki. To prawda, że podobnie jak Jedi, czasami postrzegała Yuuzhan Vongów jako pustki w widmie życia. Jeśli jednak była naprawdę wrażliwa na Moc, jak twierdzili Luke, Jacen czy Cilghal, dlaczego się nie zorientowała, że Yomin Carr nie tylko stanowi zagrożenie dla kierowanego przez nią zespołu naukowców ExGal-4 na powierzchni Belkadana, ale także że jest zwiastunem nowego zła, które wkrótce potem miało zagrozić całej galaktyce?

Nie była Jedi.

Uważała się za badaczkę przestworzy, która znalazła się we właściwym miejscu, ale w nieodpowiedniej chwili. Na początku inwazji pierwsza została schwytana przez Yuuzhan Vongów, pierwsza miała okazję oglądać z bliska wytwory ich bioinżynierii i pierwsza była świadkiem załamania się rycerza Jedi... a w konsekwencji tych wydarzeń znalazła się w samym środku wojny, przed którą w innej sytuacji mogła się ukryć.

Gdyby Jacen nie usłyszał jej wołania o pomoc dzięki Mocy i nie pospieszył jej lodowiertaczem na ratunek, zginęłaby na powierzchni Helski Cztery albo została przemieniona w Yuuzhankę, co omal nie przydarzyło się Tahiri. Zawdzięczała życie Jacenowi i kiedyś wydawało się jej nawet, że się w nim zakochała. Miała wobec niego dług, podobnie jak wobec Luke'a i pozostałych za to, że pozwolili jej widzieć i robić rzeczy, których w innej sytuacji nigdy by nie zobaczyła ani nie zrobiła; czasami jednak miała wrażenie, że nie wstąpiła do Zakonu Jedi z własnej woli, ale została do niego powołana. Jaina mogła się cieszyć tytułem Miecza Jedi, Jacen stał się niemal symbolem nowej świadomości Mocy, ale Danni zawsze uważała się tylko za niedoszłą Jedi... po części badaczkę czy laborantkę, a po części powierniczkę.

Została rzeczniczką na powierzchni Agamara -jakże dumny byłby z niej ojciec! była członkiem zespołu w Bazie Zaćmienie, agentką grupy zwiadowców na powierzchni okupowanej Coruscant, a w ciągu niemal całego ostatniego roku gościem żyjącej planety, Zonamy Sekot. Kiedy jednak wylądowała na jej powierzchni, planetarna świadomość wykorzystała ją do sfigowania porwania, a zaledwie przed kilkoma tygodniami - do zapoznania się z informacjami na temat dovin basali i yammosków. Mimo tego, co przeszła, Danni nie do końca rozumiała, na czym właściwie miałyby polegać jej rola na żyjącej planecie ani dlaczego Sekot poprosiła, żeby

została, zamiast odlecieć na Coruscant z rodzinami Skywalkerów i Solo.

Może Sekot chciała tylko, żeby niedoszła Jedi była świadkiem końca Zonamy? Mimo wszystko z nieba opadały po spirali sekotańskie myśliwce, żeby osiąść na skraju kanionu na lądowisku, z którego wznosiły się w powietrze, a Zonama miała wkrótce zostać zatruta przez statek zakażony Alpha Red, więc chyba żaden inny koniec konfliktu nie był możliwy.

Pierwszy raz usłyszała plotki o atakującej wszystkie formy yuuzhańskiego życia broni biologicznej, kiedy stacjonowała na Kałamarze. Wspomniała o tych pogłoskach Jacenowi. Wiele miesięcy po wykradzeniu przez Vergere prototypowej próbki przypuszczała, że to ona ponosi przynajmniej częściową odpowiedzialność za większość tego, co się później wydarzyło. W końcu się dowiedziała, że Foshanka podsłuchiwała rozmowę obojga Skywalkerów na temat Alphy Red i po prostu zareagowała na to, czego się dowiedziała. Obecnie zaś, wiele miesięcy później, wyprodukowana przez Chissów trucizna znów wypłynęła na światło dzienne... i także miała się przyczynić do zakończenia wojny, chociaż jak na ironię niekoniecznie tak, jak wyobrażali sobie jej twórcy.

Większość Ferroan schroniła się w jaskiniach, więc wszędzie panowała złowieszcza cisza. Danni miała wrażenie, że na tamtym ktoś rzucił jesienne zaklęcie, a Zonama jest bardziej osamotniona niż wówczas, kiedy znajdowała się w Nieznanych Rejonach galaktyki.

Zorientowała się, że kilka sekotańskich myśliwców już wylądowało. Corran, Kyp, Alema i Zekk czekali na lądowisku, aż osiadzie także powietrzny statek, ale kiedy z góry zaczęły spadać kule plazmy i niesione przez wiatr popioły, wycofali się między ogromne bora.

- Czy ktoś z was zlokalizował Sekot? - zainteresował się mistrz Durronek.

- Sekot znajduje się wszędzie - przypomniała Jabitha, ale w jej głosie brzmiał lęk. - Po prostu zachowuje milczenie.

- Milczenie to jedno, ale lekceważenie zagrożenia to coś zupełnie innego - odezwał się Corran, wskazując na niebo. - Gdzieś tam znajduje się statek, który może pozbawić planetę wszystkich form życia. Sekot zginie może nie tak szybko jak Ithor, ale równie nieodwołalnie.

Pani magister zacisnęła wargi.

- Jestem pewna, że Sekot uświadamia sobie to zagrożenie - oznajmiła.

Zrozpaczona Alema westchnęła głośno.

- Moglibyśmy podjąć próbę dostania się na pokład „Cienia Jade” - zaproponowała, zwracając się głównie do Kypa. - Jest lepiej wyposażony, może zdoła uniemożliwić statkowi

zakazonemu Alpha Red lądowanie na powierzchni planety.

- Nie możemy po prostu rozpylić tego statku na atomy, bo zatruilibyśmy całą atmosferę - stwierdziła Cilghal. - Musimy wierzyć, że Sekot ma powody, by zachowywać się w taki właśnie sposób.

Zdezorientowany Kyp powiódł spojrzeniem po twarzach obecnych.

- Dlaczego zadała sobie trud tworzenia żyjących statków, jeżeli cały czas zamierzała się poddać? - zapytał.

- Nie miała i nadal nie ma takiego zamiaru - sprzeciwiła się Danni. - Nikt z nas nie wiedział o zatrutym statku, więc jakim cudem mogła to przewidzieć Sekot? Chyba znam także odpowiedź na pytanie, dlaczego ściągnęła z powrotem własne myśliwce... chociaż mam nadzieję, że się mylę.

- Może jednak zdradzisz nam tę odpowiedź - zaproponował mistrz Jedi.

Danni popatrzyła na zebranych.

- Sekot chyba zamierza pozwolić, żeby trucizna znalazła się na jej powierzchni. Wtedy Zonama będzie mogła ją zneutralizować... dzięki czemu Alpha Red nie rozprzestrzeni się po całej galaktyce - powiedziała.

Corran powoli pokręcił głową.

- Nie wierzę, żeby Sekot chciała stać się męczennicą- stwierdził ponuro. - A poza tym, w jaki sposób zamierza uniemożliwić nam przeniesienie trucizny na inne planety? Nie widzę takiej możliwości, chyba że chce zatrzymać nas tu na stałe.

- Jest bardzo mało prawdopodobne, żeby Alpha Red rozprzestrzeniła się dzięki temu, że zakazą się nią ludzie - stwierdziła Cilghal. - Dowodzą tego najwcześniejsze testy, jakie przeprowadzono z użyciem tej broni biologicznej. Kyp, Han i Leia zetknęli się z nią na powierzchni Caluuli i zostali wykluczeni jako potencjalni nosiciele.

Corran przewrócił oczami.

- A co z Kalamarianami, Cilghal? - zapytał. - Co z Chadra-Fanami czy Twi'lekami... albo Ferroanami, jeżeli już o tym mowa? - Ponownie pokręcił głową. - Nie sądzę, żeby Sekot chciała się zdecydować na takie ryzyko.

- Gdyby Sekot nie zmusiła do lądowania żyjących myśliwców, moglibyśmy powstrzymać Yuuzhan Vongów na tyle długo, żeby wszyscy zdążyli się ewakuować - zauważył Zekk.

- Czy to możliwe, że Sekot zamierza namówić Zonamę do wykonania następnego skoku przez nadprzestrzeń? - zainteresował się Kyp.

- Jednostki napędu nadświatlnego Sekot milczą, podobnie jak sama świadomość planety - odparła Jabitha.

- Dopóki jeszcze mamy czas, moglibyśmy znaleźć schronienie na pokładzie „Błędnego Rycerza” - zasugerowała Danni.

- Jasne, gdybyśmy tylko potrafili nawiązać kontakt z Boosterem - mruknął Kyp. - Problem w tym, że łączność jest przzerwana.

- A może Sekot celowo blokuje nasze sygnały? - zapytał Zekk.

Jabitha odwróciła się do niego.

- Przypisujecie mroczne zamiary świadomości, która niewiele wie o knuciu podstępnych planów - zaczęła. - Może wkrótce uznacie, że zakaz Sekot lądowania waszych okrętów to metoda uwięzienia was na powierzchni planety?

- Chciałem tylko powiedzieć, że według mnie Sekot szybko się uczy - zastrzegł Zekk.

- Z jakiego powodu uważasz, że planetarna świadomość mogłaby zechcieć nas tu zatrzymać? - zapytała Cilghal.

Zekk wzruszył ramionami.

- Bo dowiedziałem się, że Sekot wierzyła w Potencjum - powiedział. - Jeżeli nie istnieje dla niej różnica między jasną a ciemną stroną Mocy, nie będzie miało znaczenia także to, co się stanie tutaj... czy nawet na powierzchni Coruscant.

- Sekot nie zgodziłaby się powrócić do Nieznanych Rejonów tylko po to, żeby tam zginąć - stwierdziła stanowczo Cilghal. - Nie tak postępuje planeta, która uważa się za opiekunkę Mocy.

- Samozwańczą opiekunkę - zauważyła Alema.

Nagle osłupiała Jabitha zachłysnęła się powietrzem i wytrzeszczyła oczy na blondwłosą badaczkę.

- Danni Quee... - powiedziała. - Sekot pragnie z tobą porozmawiać.

Jedynie Moc powstrzymywała Jacena przed poddaniem się bólowi... Moc i wszystko, czego się nauczył od Vergere podczas nie wiadomo jak długiego okresu, kiedy poddawała go Objęciom Cierpienia i starała się go złamać. Przebywając pod opieką mentorki, zachował dość świadomości, żeby stawić czoło bólowi na swoich warunkach, ale obecnie nie mógł sobie

pozwolić na ten niezwykle luksus, bo musiał przywoływać na pomoc wszystkie umiejętności, żeby nie dać się zabić.

Domyślał się, że gdyby nie kołysanie się Cytadeli i wpływ, jaki jej ruchy wywierały na nieprzewidywalne przechyły bunkra Shimrry - jego skrzyni albo kapsuły ratunkowej - dawno by nie żył. Kołysanie wywoływał chyba Mózg Świata, który w końcu się zdecydował, po czyjej stronie stanąć. Kłopot w tym, że jego decyzja miała znaczenie tylko dla ukształtowania powierzchni Coruscant, ale nie dla samego najwyższego lorda, który widocznie bez pomocy dhuryama potrafił panować nad otaczającymi go przedmiotami i osobami.

Na przykład nad uśmiercicielami.

Wcześniej poruszali się i walczyli jak indywidualni wojownicy, ale obecnie zachowywali się raczej jak koralowe skoczki pod kontrolą yammoska. Zmiana w ich zachowaniu zaszła, kiedy Shimrra wstał z tronu i pozwolił się wymknąć swojemu Zhańbionemu towarzyszowi, za którym Jaina podążyła na wierzchołek Cytadeli. Jacen domyślał się, że decyzja siostry miała coś wspólnego z tym, co dostrzegła za pośrednictwem Mocy, ale na razie jemu i wujowi bardzo przydałaby się klinga jej świetlnego miecza.

Trzej uśmierciciele zmusili przeciwników do cofnięcia się pod zewnętrzną ścianę bunkra. Nawet kiedy Jacen uciekał się do pomocy Vongozmysłu, nie potrafił przewidywać ich akcji ani kierunku zadawanych ciosów czy pchnięć amphistaffów. Do tej pory udawało mu się unikać strug śmiercionośnej trucizny, ale wężopodobna broń trafiła go kilka razy w pierś, ręce i nogi... na szczęście żadna nie zagłębiła kłó w ciele. Klinga świetlnego miecza Jacena zadała tyle samo ciosów, ale uśmierciciele jakby nie odczuwali bólu... chociaż na pewno nie byli nieśmiertelni.

Na posadzce leżało sześć czy siedem zwłok, które po każdym przypadkowym przechyle Cytadeli ślizgały się i toczyły, ale Jacen przypuszczał, że zawdzięczał życie nie tyle świetlnemu mieczowi, ile swoim akrobatycznym umiejętnościom, dzięki którym specjalnie wyhodowani wojownicy nie mogli go zaatakować wszyscy naraz. Wielokrotnie odskakiwał w ostatniej chwili i lądując poza zasięgiem ich zmieniającej kształt broni, mógł toczyć walkę nie w jednym miejscu, ale wokół całego podwyższenia. Zainstalowany w podstawie tronu dovin basal zwiększał jednak siłę grawitacji i uniemożliwiał nie tylko zbliżenie się do tronu, ale nawet przekroczenie fosy z rozrzedzoną krwią. Jeżeli ktoś chciał podejść bliżej, ciężenie zmuszało go do rozciągnięcia się na koralowej posadzce.

Kiedy skoczył ku niemu jeden z uśmiercicieli, Jacen postanowił wykorzystać grawitacyjną anomalie. Wyskoczył wysoko w powietrze, a wojownik przeleciał pod jego stopami i runął twarzą na posadzkę. Lądując, młody Jedi obrócił się w powietrzu, przebił szpicem klingi przeciwnika i niemal przyszpilił go jak owada. Zanim miał czas się odwrócić, zaatakowali go od tyłu dwaj inni uśmierciciele. Jeden rozwinął amphistaffa i smagnawszy nim jak biczem, owinął wężopodobną broń wokół nóg Jacena, a drugi zamachnął się swoją bronią, mierząc w jego głowę. Młody Solo uchylił się przed ciosem, jeszcze raz wyskoczył w powietrze i wyszarpnął amphistaffa z palców pierwszego wojownika. Śmiercionośna broń zwiotczała, rozwinęła się i zanim zdążyła zatopić kły w ciele Jacena, opadła na posadzkę.

Shimrra kroczył sztywno w stronę Luke'a, który walczył z czterema wojownikami naraz. Ogromny władca Yuuzhan Vongów przeszedł nad fosą, jakby pokonywał ostateczną granicę. Zachowywał się jak w transie - prawdopodobnie zauroczony przez yuuzhańskich bogów - i cały czas kierował na ofiarę płonące oczy. Kiedy minął obszar zwiększonego ciężenia, przestał podierać się grubym, trzymetrowym amphistaffem, chwycił go ogromną lewą dłonią mniej więcej w połowie długości i skierował ukośnie do przodu.

Posługując się Mocą, Jacen posłał wujowi ostrzeżenie, a mistrz Jedi potwierdził, że je zrozumiał. Wyskoczył poza krąg wojowników, żeby mieć dość miejsca na stawienie czoła najwyższemu lordowi. Po wylądowaniu wykonał młynek i kopnął obutymi piętami w podbródek jednego z uśmiercicieli. Pozbawił go równowagi na dość długo, żeby prześliznąć się pod jego ręką z amphistaffem i wbić szpic klingi świetlnego miecza w kark przeciwnika. Szybko wyciągnął ostrze, bo do zadania ciosu przygotował się już drugi uśmierciciel. Luke wyciągnął rękę i wbił klingę w jego prawe oko. Dwaj pozostali wojownicy zaatakowali go jednak amphistaffami i coufee i zostawili na jego piersi i ramionach krwawiące rany o poszarpanych brzegach.

Niespodziewanie Cytadela zatrzęsała się w posadach i bunkier Shimrry przechylił się w prawo. Luke przyklęknął na jedno kolano i uniósł rękę ze świetlnym mieczem nad głowę, żeby się osłonić przed spodziewanym ciosem. Odskoczył w bok, zrobił salto, wylądował i odwrócił się, żeby odeprzeć atak wojowników. Machnął zieloną klingą na ukos z dołu do góry i odciął rękę z amphistaffem trzeciego Yuuzhanina, a kiedy skierował klingę ponownie w dół, pozostawił skwierczącą ranę w podbrzuszu ostatniego wojownika. Uśmierciciel skrzywił się i usiłował chwycić energetyczne ostrze, ale osunął się na kolana. Luke przeszył na wylot jego pierś i obrócił

się na pięcie, żeby podjąć walkę z resztą przeciwników.

Jeden z uśmiercicieli skradał się już w stronę Jacena, ale zrezygnował z zamiaru i postanowił podjąć walkę z mistrzem Jedi, dzięki czemu młody Solo mógł skupić uwagę na pozostałych. Niższy za-markował cios w jego prawą nogę, lecz w ostatniej chwili obrócił amphistaffa w dłoniach i wbił szpic ogona w prawy policzek przeciwnika. Jacen zachwiał się i cofnął, ale znalazł się w zasięgu działania dovin basala i runął plecami na posadzkę. Niższy wojownik rzucił się ku niemu i zamachnął giętkim amphistaffem, ale kazał mu się wyprężyć i wbić w lewe przedramię przeciwnika, jakby zamierzał przygwoździć do posadzki jego rękę.

Młody Jedi odwrócił się i uniknął ciosu, ale wyczuł, że Luke został ponownie zapędzony pod ścianę. Toczył walkę już tylko z jednym uśmiercicielem, ale dopiero co pokonał trzech i powoli zaczynał tracić siły, jakby zasoby jego energii się wyczerpały. Nie chodziło jednak o obawę przed przejściem na ciemną stronę, ale zwykłe zmęczenie. Czekala go jeszcze walka z Shimrrą, który podchodził coraz bliżej. Pragnąc zostawić ostateczny cios najwyższemu lordowi, atakujący Luke'a uśmierciciel odwrócił się, podbiegł do Jacena i uniósł amphistaffa nad głowę niczym topór, jakby zamierzał nim rozłupać czaszkę przeciwnika.

Młody Jedi wyczuł, że jego wuj pobiera energię z samej głębi Mocy.

W jego lewej dłoni pojawił się kulisty kłęb oślepiającej energii, zrodzonej dzięki surowej potędze Mocy. Stojący najbliżej wojownik zachwiał się, jakby trafił na niewidzialną ścianę, a kiedy oplatała go pajęczyna zygzakowatych błyskawic, spazmatycznie zadygotał. Z jego ciała strzeliły zielone iskry i uśmierciciel runął na koralową posadzkę niczym ścięte drzewo.

Wykręcając się przed kłapiącą paszczą amphistaffa, Jacen przełączył na chwilę umysł na Vongozmysł, aby zmniejszyć wpływ zwiększonej siły grawitacji dovin basala, wyrwać się z zasięgu jego działania i wstać z posadzki. Niski uśmierciciel zawył z wściekłości i smagnął go amphistaffem jak biczem. Jacen pozwolił węzopodobnej broni owinąć się wokół ciała, a kiedy wojownik zwijał ją, z powrotem wbił klingę świetlnego miecza głęboko w jego pachę.

Bunkier się znów przechylił i młody Jedi nie zdążył wyciągnąć świetlnego miecza z ciała przeciwnika, bo ciężenie posłało go w stronę Shimrry. Skorzystał z tego i nie zastanawiając się, pofrunął z wyciągniętymi rękami, żeby zacisnąć dłonie na szyi rosnącego Yuuzhanina. Shimrra odgadł jednak jego zamiar i mocarną prawą ręką z całej siły grzmotnął go w środek piersi.

Młody Jedi padł na posadzkę i stracił przytomność.

Kiedy po chwili ją odzyskał, uświadomił sobie, że Luke przewidział następny cios

najwyższego lorda. Shimrra, wielki, zwalisty i potwornie silny, górował nad nim niczym rankor. Świetlny miecz mistrza Jedi pomrukiwał, lecz przywódca Yuuzhan chyba nie zwracał na to uwagi. Luke próbował posłużyć się Mocą, żeby wyskoczyć w powietrze i oddalić poza zasięg rąk najwyższego władcy, ale Shimrra nie zostawił mu dość miejsca na wykonanie tego manewru.

Jacen przypomniał sobie, co mówiła Vergere: „Mistrz obrony nigdy nie znajduje się w miejscu, które ma zostać zaatakowane”. Wszystko wskazywało na to, że Shimrra przyswoił sobie tę maksymę.

Zadał cios trzymetrowym amphistaffem. Gruby wąż owinał się wokół piersi mistrza Jedi i unieruchomił jego prawą rękę z rękojeścią świetlnego miecza w takiej pozycji, że zielona klinga była zwrócona ku posadzce. W ostatniej chwili Luke wyszarpnął lewą rękę, chwycił najwyższy zwój amphistaffa i odchylił łeb gada w bok, żeby zmienić kierunek lecącej ku niemu strugi śmiertelnie działającego jadu. Jacen zorientował się jednak, że zwoje węzopodobnej broni zaczynają dusić jego wuja. Wyczuwając, że Luke'owi brakuje powietrza, młody Solo zebrał resztkę sił i poczołgał się w kierunku świetlnego miecza. Przywołał go do prawej dłoni, zapalił klingę i rzucił miecz prosto w głowę najwyższego lorda.

Shimrra uniósł rękę i bez wysiłku odbił w bok lecącą ku niemu broń, a miecz Jacena, wirując w locie, poszybował w stronę tronu. Wtedy Shimrra wsunął ogromną dłoń między fałdy skórzanej peleryny... i wyciągnął własny świetlny miecz! Odchylił rękojeść w bok i zapalił energetyczne ostrze. Ze znajomym sykiem i pomrukiem obudziła się do życia fioletowa klinga.

Jacen od razu ją rozpoznał.

Świetlny miecz jego młodszego brata Anakina!

- To broń Solo, którego zabiliśmy w przestworzach Myrkra -oznajmił Shimrra, wodząc za pomrukującą klingą zmieniającymi kolor oczami. - Na Yuuzhan'tara przywiozła ją zdrajczyni Vergere, a Jeedai Ganner posługiwał się nią podczas walki z moimi wojownikami. Po jego śmierci odzyskano ją i przekazano w moje ręce, a ja pokazuję ci ją, żebyś wiedział, z czym będziesz miał do czynienia.... Może sobie uświadomisz, czego doświadczają moi wojownicy zmuszeni w przestworzach Zonamy Sekot do walki z innymi żyjącymi myśliwcami.

Jacen był zbyt oszołomiony, żeby zareagować; zbyt przygnębiony, żeby się poruszyć.

Shimrra machnął klingą w pobliżu głowy skrępowanego mistrza Jedi.

Luke puścił górny zwój amphistaffa i chwycił lewą dłonią prawy przegub Shimrry, ale węzopodobna broń od razu się wyprężyła i pogrzyżyła kły w piersi mistrza Jedi.

Luke krzyknął z bólu.

Najwyższy lord cofnął się i posłał przeciwnikowi triumfujące spojrzenie.

- Jedno pchnięcie i dzieło się dokona! - zawołał.

Niespodziewanie jednak świetlny miecz Anakina wyrwał się z uchwytu jego palców i wskoczył do lewej dłoni mistrza Jedi.

Za pomocą Vongozmysłu Jacen wyczuł napływającą od najwyższego lorda falę bezgranicznego osłupienia i przerażenia.

Ruchem zbyt szybkim, żeby siostrzeniec mógł nadążyć spojrzeniem, jego wuj przeciął gardło amhistaffa Shimrry, a kiedy zwoje węża się rozluźniły, uniósł klingę własnego miecza świetlnego i pociął grube cielsko na kawałki. Osłupiały Shimrra pochylił się ku niemu, jakby chciał zacisnąć palce ogromnych dłoni na szyi przeciwnika, ale Luke skrzyżował obie klingi i silnym pchnięciem do przodu i w górę skierował je prosto w szyję najwyższego lorda. Ostrza przeszły na wylot, a ukośnie odcięta głowa Shimrry upadła z głuchym stukiem na posadzkę i potoczyła się pod ścianę. Masywne ciało najwyższego lorda zwiotczało i runęło na mistrza Jedi.

Luke wygrzebał się spod zwłok. Opuściły go resztki sił, usiadł więc i oparł się plecami o ścianę.

- Jaina - odezwał się cicho. Machnął lewą ręką i posłał miecz Anakina łukiem na drugą stronę bunkra.

Jacen zerwał się na nogi, żeby schwycić broń w locie, ale posadzka znów się przechyliła. Mimo to młody Solo zachował równowagę i skoczył, żeby złapać rękojeść broni, upadł jednak na posadzkę, a miecz przeleciał nad jego głową i gdzieś się potoczył.

Moja wizja! - pomyślał przerażony.

Spojrzał na wuja, jakby szukał u niego potwierdzenia.

- Zostaw go - szepnął Luke.

Jacen zacisnął wargi, wstał i pobiegł do krętych schodów, którymi można było się wspiąć na wierzchołek Cytadeli.

R O Z D Z I A Ł 41

Han Solo posadził „Sokoła Millenium” na placu przed frontem Cytadeli. Nom Anor

mógł pierwszy raz ocenić zasięg zniszczeń, jakie objęły całą chyba powierzchnię Coruscant. Konstrukcje, które nie spłonęły we wzniesionych na rozkaz Shimrry pożarach, zostały zburzone przez szalejące zwierzęta albo rozerwane na kawałki przez torpedy i rakiety Galaktycznego Sojuszu. Na niebie nadal pojawiały się rozblyski eksplozji, a dziesiątki koralowych skoczków wciąż jeszcze przecinały warstwy atmosfery, ale zwierzęta na powierzchni planety się uspokoiły, pożary zgasły, a większość wojowników i Chazrachów, którzy usiłowali bronić świętej góry, nie żyła.

Jeszcze bardziej przerażające widoki ukazały się jego oczom wewnątrz Cytadeli.

Kiedy zachęcał Zhańbionych do powstania i walczył z nimi ramię w ramię na ulicach, czuł uniesienie. Wierzył, że pomaga obalać istniejący ład społeczny i daje początek rewolucyjnym zmianom, które miały odmienić los jego zwolenników... a może nawet wynieść go na szczyty władzy. Obecnie był pozbawiony towarzystwa rozentuzjasmowanego tłumu wyznawców. Doskonale sobie uświadamiał, że wojna jest przegrana, a widok setek zwłok wojowników w wielkiej Sali Zgromadzeń nappełnił jego serce rozpaczą i poczuciem winy. Pamiętał, że w tamtym miejscu siadywał obok arcyprefekta Drathula i innych najwyższych stopniem intendentów, a gdzie indziej klęczeli wojownicy Nasa Choki. Ławy kapłanów i mistrzów przemian świeciły pustkami; nikt także nie zajmował miejsca na specjalnej platformie, wyhodowanej dla wieszczek Shimrry. Stojący zazwyczaj pośrodku sali koralowy tron ze spiczastym oparciem leżał na zimnej posadzce, a odpowiedzialny za zmuszanie podwładnych do padania na twarz dovin basal był martwy. Każdy wolny skrawek posadzki pokrywała zakrzepła czarna krew, a tu i ówdzie piętrzyły się wysokie stosy ciał wojowników, którzy oddali życie, walcząc do ostatka. Po przeciwnej stronie wielkiej sali stało ponad stu skrępowanych przez sieci albo lepką piankę, pokonanych i rozbrojonych wojowników, którym odmówiono zaszczytu honorowej śmierci.

W wielkiej sali roilo się od uzbrojonych żołnierzy Sojuszu i androidów zabójców Yuuzhan Vongów.

Niesłychane! Automaty w Cytadeli!

Co on zrobił najlepszego?

Poczucie winy nie opuszczało go, odkąd do nieprzyjaciół przyłączył się także Mózg Świata. Nom Anor nie wyobrażał sobie, żeby coś takiego w ogóle było możliwe, ale podejrzewał, że ma z tym coś wspólnego Jacen Solo, który nakłonił dhuryama do wypowiedzenia

posłuszeństwa dotychczasowemu władcy. Prawdopodobnie Mózg Świata nadal opowiadał się po stronie Coruscant, ale przestał słuchać rozkazów Shimrry i interesować się losem Yuuzhan Vongów. Nom Anor mógł tylko się zastanawiać nad ironią tej sytuacji, bo jego własna zdrada miała więcej wspólnego z chęcią zachowania życia niż ochrony tego, co udało mu się osiągnąć. Mimo to nie mógł patrzeć z ufnością w przyszłość, bo wciąż jeszcze musiał się liczyć z możliwością egzekucji. To dlatego zważał na każde słowo i każdy ruch, mając nadzieję, że dzięki temu ocali życie.

Nieopodal stali Han i Leia Solo, Mara Skywalker, Kenth Hamner i Tahiri. To oni go schwytali i na razie zapewniali mu ochronę. Rozmawiali z dwoma dowódcami żołnierzy, którzy pierwsi wdarli się do wielkiej Sali Zgromadzeń. Niższy, Judder Page, miał stopień kapitana, wyższy zaś, w stopniu majora, nazywał się Pash Cracken i był chyba jednym z oficerów uwolnionych podczas ataku heretyków na plac Poświęceń.

- Czy spotkałeś Luke'a albo któreś z moich dzieci? - zapytała Leia Page'a.

- Powiedzieli mi, że ścigają Shimrrę - odparł kapitan. - Kiedy ostatnio ich widzieliśmy, stali obok resztek zachodniego pomostu, ale weszli do Cytadeli, kiedy jakieś ogromne zwierzę wybiło dziurę w murze.

- Więc gdzie jest Shimrra? - zapytał Solo.

- Prawdopodobnie gdzieś na samym szczycie - odparł Page. - Luke rozmawiał z jednym ze Zhańbionych, który wspomniał mu o jakiejś skrzyni.

Han odwrócił się do Noma Anora.

- Wiesz coś na ten temat? - zapytał.

- Prawdopodobnie Zhańbiony miał na myśli prywatne komnaty najwyższego lorda - wyjaśnił Yuuzhanin. - Jego bunkier na szczycie Cytadeli. - Zastanowił się i szybko dodał: - Byłem tam. Mogę was zaprowadzić.

- Więc na co jeszcze czekamy?

Han, Leia, Mara, Tahiri i Hamner podążyli za Nomem Anorem, który pobiegł kiepsko oświetlonymi i krętymi niczym labirynt korytarzami światostatku, a później w górę spiralnych schodów i szybów działających jak dovinbasalowe turbowindy. Gdzieś tam widział ślady poważnych uszkodzeń po potężnych wstrząsach gruntu. Podejrzał, że winę za nie ponosi także zdradziecki dhuryam. Z początku nie mógł zrozumieć, dlaczego nigdzie nie widzi zwłok poległych wojowników, ale doszedł do wniosku, że prawdopodobnie troje Jedi wybrali inną

drogę na szczyt Cytadeli: główne schody i wykorzystywany przez ochroniarzy Shimrry szyb dovinbasalowej windy.

Kiedy w końcu wszyscy stanęli przed kunsztownie zdobionym portalem bunkra, zwieracz rozszerzającej się membrany rozpoznał zapach Noma Anora i otworzył się jak tęczęwka przesłona.

Pierwszym przedmiotem, jaki zauważył prefekt po wejściu do okrągłego pomieszczenia, była spoczywająca pod ścianą głowa najwyższego lorda, odcięta od ciała w sposób dowodzący użycia świetlnego miecza. Nom Anor przeniósł spojrzenie na resztę zwłok Shimrry, a potem jeszcze raz popatrzył na głowę i zauważył, że z implantowanych oczu zniknął wszelki ślad groźnej poświaty.

Znieruchomiał i z niedowierzaniem wpatrywał się w głowę władcy.

Shimrra nie żył!

Powtórzył to sobie kilkakrotnie, ale jego umysł wciąż jeszcze nie mógł przyswoić tej prawdy. W ciągu długiej historii Yuuzhan Vongowie nigdy nie zostali pozbawieni najwyższego lorda, ale obecnie zostali postawieni właśnie w takiej sytuacji. Na posadzce leżał dowód, który wszyscy mogli zobaczyć.

W jednym miejscu pod ścianą leżał tuzin albo więcej zwłok uśmiercicieli, zwalonych na stos po ostatnim przechyle Cytadeli. Nom Anor spojrzał na wejście dla ochroniarzy, które także nosiło ślady użycia świetlnego miecza. Pod ścianą obok rozciętej membrany siedział skulony Luke Skywalker, ranny i prawdopodobnie bliski śmierci. W słabnących palcach lewej dłoni trzymał rękojeść świetlnego miecza, a na prawej połowie jego piersi widniała głęboka poszarpana rana. Na posadzce w pobliżu mistrza Jedi leżał pocięty na nierówne kawałki gruby amphistaff Shimrry.

Nigdzie nie było jednak widać śladu bliźniąt Jedi.

Wyraźnie wstrząśnięty krwawą jatką Kenth Hamner spojrzał na Leię, odpiął od pasa komunikator i zrobił krok, jakby chciał ruszyć w stronę tęczęwkowo zamykanego portalu.

- Dacie sobie tu radę beze mnie? - zapytał. - Muszę poinformować Kre'feya, że Shimrra nie żyje.

Leia Organa Solo bez słowa pokiwała głową. Mara Jade Skywalker podbiegła do męża i kucnęła obok. Ujęła jego twarz w dłonie i wypowiadała raz po raz jego imię.

- Został zatruty jadem amphistaffa Shimrry - wyjaśnił Nom Anor. - Na tę truciznę nie

istnieje odtrutka. Jeżeli nie uleczy go Moc, wkrótce umrze.

Mara zbladła, jakby z jej twarzy odpłynęła cała krew.

- Musimy go stąd zabrać! - zdecydowała.

Mistrz Jedi otworzył oczy i lekko się uśmiechnął.

- Luke! - wychrypiała żona. Objęła go i pomogła usiąść prosto pod ścianą.

- Spowalням tempo krążenia krwi, Maro - szepnął mąż. Przeniósł spojrzenie na Hana Solo, który przyklęknął z drugiej strony na jedno kolano. - Sądząc po tym, jak trzęsło się to pomieszczenie, Hanie, mogę przypuszczać, że przemówiłeś do rozsądku Mózgowi Świata?

Solo wymienił spojrzenie z żoną i uśmiechnął się z przymusem.

- Mieliliśmy trochę kłopotów, ale w końcu dopięliśmy swego - odparł wymijająco.

Leia wyłuskała rękojeść świetlnego miecza z palców brata i zamknęła jego dłoń w obu swoich.

- Zwyciężyliśmy, Luke - oznajmiła. - Na wieść o śmierci Shimrry armada Nasa Choki pójdzie w rozsypkę... jeżeli jeszcze tego nie zrobiła.

Nom Anor spostrzegł, że Skywalker kieruje na niego niebieskie oczy. W jego spojrzeniu zobaczył mieszaninę niedowierzania, gniewu, bólu i rezygnacji.

- Luke - odezwała się Leia. - Gdzie są Jaina i Jacen?

Mistrz Jedi kiwnął brodą w kierunku krętych schodów.

Han przeniósł spojrzenie z koralowych stopni na Noma Anora.

- Co jest na górze? - zapytał.

- Wyższe pokłady tego statku - odparł Yuuzhanin. - Pomieszczenia dowodzenia i kontrolne. Mostek.

- Statku? - powtórzyła osłupiała księżniczka.

Nom Anor zatoczył ręką szeroki łuk.

- To kapsuła ratunkowa i ostateczna kryjówka Shimrry - powiedział. - Podobna do tej, która miała zachować przy życiu Mózg Świata, gdyby wolał odlecieć niż zdradzić swoich twórców.

Leia spojrzała znów na męża.

- Dlaczego Jacen miałby... - zaczęła.

- Sługus Shimrry - przerwał cicho Skywalker.

Nom Anor otworzył szeroko usta ze zdumienia. Odwrócił się, podszedł do stosu zwłok

wojowników i jeszcze raz się im przyjrzał. Onimi uciekł! Zamiast oddać życie za swojego pana, Zhańbiony go opuścił!

- Czy sługus Shimrry może odlecieć tym statkiem? - zaniepokoił się Han.

Nom Anor zastanowił się nad odpowiedzią na to pytanie. Shimrra nie żył, ktoś więc musiał pełnić obowiązki oficera łącznikowego między Sojuszem a Yuuzhan Vongami, a tym kimś mógł być równie dobrze Nom Anor.

- Wykonuje rozkazy tylko najwyższego lorda - powiedział i rozejrzał się po bunkrze. - Onimi, to znaczy powiernik Shimrry, musi się ukrywać na najwyższym piętrze.

Nagle, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, bunkier zadygotał.

- Ktoś musi powiedzieć temu dhuryamowi, że co za dużo, to niezdrowo - mruknął Solo.

Nom Anor poczuł, że serce w jego piersi zaczyna walić jak szalone. Kiedy sobie uświadomił, co się dzieje, przyłożył lewą dłoń do zewnętrznej ściany.

- To nie jest sprawka dhuryama! - wykrzyknął. - Ktoś przygotowuje statek do odlotu!

Han spojrzał na trzy kobiety.

- Zabierzcie stąd Luke'a - polecił. - Nom Anor i ja znajdziemy Jainę i Jacena. - Przeniósł spojrzenie na Yuuzhanina. - Pomożesz?

- Naturalnie - odparł machinalnie Nom Anor.

Leia wstała.

- Beze mnie nigdzie się stąd nie ruszysz - oznajmiła stanowczo.

Han spoglądał jakiś czas na nią, ale w końcu kiwnął głową.

- Więc bierzcie się do roboty - odezwała się Mara. Skinęła na Tahiri i obie ostrożnie pomogły wstać mistrzowi Jedi.

Luke wskazał przedmiot leżący na drugim końcu okrągłego pomieszczenia.

- Miecz świetlny Anakina - wyszeptał.

Tahiri pobiegła w tamto miejsce, żeby podnieść broń młodego Jedi.

Han chwycił Noma Anora za ramię.

- Twierdziłeś, że ten statek słucha tylko rozkazów Shimrry - przypomniał oskarżycielskim tonem.

Yuuzhanin kiwnął głową.

- Onimi musiał wymyślić sposób wprowadzenia w błąd urządzeń kontrolnych - powiedział.

Solo wskazał leżącą na posadzce głowę Shimrry.

- Jesteś pewny, że to najwyższy lord, a nie jego sobowtór albo ktoś tylko bardzo do niego podobny? - zapytał.

- Najwyższy lord nie żyje - odparł stanowczo Nom Anor, ale nagle do głowy przysła mu niepokojąca myśl: a może jednak żyje?

Dowódca „Ralroosta”, okrętu flagowego Pierwszej Floty, przyspieszył i skierował krążownik w stronę Coruscant, wokół której nadal toczyły się zacięte walki. Artylerzyści gwiazdnych niszczycieli floty i wielkiego admirała Pellaeona obezwładnili wprawdzie wiele planetarnych dovin basali, a na powierzchni planety wylądowały tysiące żołnierzy Galaktycznego Sojuszu, ale flota obronna Yuuzhan Vongów nie oddawała bez walki nawet centymetra sześciennego przestworzy. Równie zacięta bitwa toczyła się w sąsiedztwie Muscave, kiedy odlatywał stamtąd „Ralroost”, a z przesyłanych na bieżąco informacji z okolic Zonamy Sekot wynikało, że okręty grupy szturmowej Nasa Choki starają się przedrzeć przez blokadę Sojuszu i ostrzeliwując samą planetę, usiłują zmusić ją do poddania.

Siedząc na fotelu dowodzenia na mostku bothańskiego okrętu, admirał Kre'fey nie odrywał spojrzenia od otaczającej Coruscant coraz większej chmury szczątków gwiazdnych myśliwców i koralowych skoczków, fregat i patrolowców, niszczycieli i krążowników... Zgodnie z jego przewidywaniami śmierć Shimrry, o której sam dowiedział się nieco wcześniej z meldunku Kentha Hamnera, nie wywarła zauważalnego wpływu na nieprzyjacielskich dowódców i pilotów. Na wieść o śmierci Imperatora Palpatine'a podczas decydującej bitwy galaktycznej wojny domowej siły zbrojne Imperium ogarnął chaos, ale Shimrra nie był mistrzem Sithów i nie umiał wykorzystywać potęgi bitewnej medytacji w celu zagrzewania podwładnych do walki. Wojowników Nasa Choki jednoczyła nie chęć szerzenia zła, ale żądza podboju i władzy, wsparta niezłomną wolą walki do śmierci. Kre'fey był pewny, że dopóki Sojusz nie pokona i nie zniszczy yuuzhańskiej armady, nie może mieć nadziei na trwały pokój.

Zadawał sobie pytanie, w jaki sposób tego dokonać. Jakim cudem Sojusz ma się pozbyć z galaktyki nieprzyjaciela, który nie chce słyszeć o poddaniu?

Gdyby rozkazał odwrót swoim siłom zbrojnym, Yuuzhan Vongowie mogliby opanować Coruscant na nowo albo wycofać się na pozycje, których Sojusz nie zaatakował. Powierzchnię byłej stolicy galaktyki porastały obecnie gęste lasy, w których nieprzyjaciele mogli się okopać, a potem wyhodować i wyszkolić nowego dhuryama. Następny Mózg Świata zatroszczyłby się o

wzmocnienie stanowisk obronnych i stworzenie nowych okrętów, dzięki czemu walki mogłyby się ciągnąć jeszcze wiele lat. Podobny skutek zostałby zresztą osiągnięty, gdyby Nas Choka postanowił przeskoczyć swoją armadą do innego gwiazdowego systemu, wciąż jeszcze okupowanego przez Yuuzhan Vongów. Mógłby zmusić siły zbrojne Sojuszu do ścigania go po całej galaktyce, po dobnie jak Kre'fey, tocząc walkę w przestworzach Kalamara, miał nadzieję na sprowokowanie Yuuzhan Vongów do ścigania sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu.

Kre'fey doszedł do przekonania, że wojna musi się zakończyć tu, w przestworzach Coruscant, ciekaw był tylko, jakim kosztem. Ilu jeszcze straci życie, jeżeli nie zrezygnuje z ataku i wzorem Nasa Choki wyda dowódcom rozkaz osiągnięcia zwycięstwa za wszelką cenę? Dziesiątki tysięcy? Setki tysięcy? Miliony? Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Wciąż jeszcze rozmyślał nad możliwymi skutkami takiej czy innej decyzji, kiedy kapitan „Ralroosta” zameldował, że grupa szturmowa Yuuzhan Vongów odleciała z przestworzy Muscave i wskoczyła do nadprzestrzeni z zamiarem przelecenia w okolice Coruscant.

Powiernik Shimrry, powłócząc nogami, krzątał się po przestronnym mostku. Gestami powykręcanych rąk i telepatycznie wydawanymi rozkazami pobudzał do życia organiczne elementy sterujące. W pewnej chwili ożywiona konsola zaczęła pulsować i zafalowała niczym tkanka mięśniowa. Kaptur świadomości sam się rozwinął, skurcze przebiegły zestaw villipów, a w taktycznej niszy zapłonął rój ognistych robaczek.

Jaina zorientowała się, że wisi na dwóch hakach wyrastających z wewnętrznej grodzi mostka, a po obu jej stronach stoją posągi najważniejszych bogów Yuuzhan Vongów. Zhańbiony nie złożył im na razie żadnego daru na ofiarnym ołtarzu, ale wszystko wskazywało na to, że to właśnie ona ma zajmować na nim poczesne miejsce. Bioluminescencyjne porosty i umieszczone w organicznych kinkietach lambenty oświetlały ponurym zielonym blaskiem sklepienie, ściany i pokład z koralu yorik.

Jacenie! Wujku Luke! - pomyślała Jaina, po czym uwolniła myśli i wysłała je do nich.

Kiedy nawiązała kontakt, jej umysł zaatakowały sceny przemocy. Jej brat i wuj poradzili sobie w beznadziejnej sytuacji, ale byli ciężko ranni. Tylko dzięki ich umysłom widziała yuuzhańskich wojowników i zorientowała się, że większość nie żyje.

Pokraczny karzeł, zupełnie jakby potrafił czytać w jej myślach, odwrócił się plecami do konsoli i spojrzał na nią.

- Wiem, że mnie słyszysz, bo dałem ci tylko skosztować trucizny z mojego kła - odezwał

się w gardłowym basicu. - Tyle, żebyś nie mogła się ruszać.

Spojrzeniem na konsolę pobudził do życia kilka innych żyjących podzespołów. Wszystko świadczyło o tym, że przygotowuje statek do startu. Mostek ochoczo zadrżał, a zadowolony Zhańbiony pokiwał zdeformowaną głową i ponownie odwrócił się do Jainy.

- Jestem ci wdzięczny, Yun-Harlo, że zdecydowałaś się mnie ścigać - powiedział. - Nareszcie mamy okazję zmierzyć się z tobą jak równy z równym na polu walki. Oboje jesteśmy uwięzieni... ty jako zakładniczka paraliżującej mięśnie trucizny, a ja jako niewolnik życia pełnego niesprawiedliwości i udręki, na jakie zdecydowałaś się mnie skazać.

Jaina przemogła się i postanowiła przemówić. -Ja nie... - zaczęła.

- Któż był wierniejszym wyznawcą bogów niż Onimi? - przerwał Zhańbiony. - Kto bardziej dochowywał lojalności domenie Shimrry niż mistrz przemian, chociaż odkrył prawdę, że w rzeczywistości ósmy rdzeń jest pusty, a Yuuzhan Vongowie i stworzone przez nich formy życia są skazane na zagładę? Nasi przodkowie wykorzystali wprawdzie przekazane przez was dary, żeby stoczyć wojnę z tymi, którzy chcieli nas zgładzić, ale zamiast wynagrodzić nasze starania wykorzenia z galaktyki niewiernych i ich machin, skazaliście nas na wiele pokoleń tułaczki i poszukiwań nowego domu. Yuuzhanin potrząsnął powykręcanyimi rękami, a w jego niejednakowych oczach zapłonęła nienawiść.

- Jesteście wszechwiedzący, więc na pewno rozumiecie, dlaczego zdecydowałem się na ryzyko wszczepienia komórek yammoska do własnej tkanki nerwowej - podjął po chwili. - Chciałem odkryć sposób ucieczki z haka, na którym nas powiesiliście! Zamiast jednak docenić moją odwagę i wynagrodzić mnie za próbę naśladowania waszych aktów stworzenia, uznaliście za słuszne mnie ukarać. Obdarzyliście mnie mocą wkładania myśli w usta innych osób i manipulowania ich umysłami, podobnie jak to robią wasze yammoski, a jednak zostałem ukarany deformacjami fizycznymi, które dobitnie świadczyły, że nie pochwalacie moich starań, by stać się kimś lepszym niż wszyscy inni. Zhańbiliście mnie, żebym nie mógł zostać jednym z dostojników ani nawet obracać się w ich towarzystwie. Dzięki wam mogłem się cieszyć tytułem mistrza przemian, ale nie pozwoliliście mi wnieść wkładu w dzieło zbawienia istot mojej rasy.

To właśnie wtedy postanowiłem się zwrócić przeciwko tobie, Yun-Harlo. Nie byłem jedyną osobą, która wypowiedziała ci posłuszeństwo, ale ty pragnęłaś powiększyć tylko moją udrękę. Wynagrodziłaś pozostałych, a mnie skazałaś na cierpienie w milczeniu podczas wielu lat dryfowania w pustce międzygalaktycznych przestworzy. W ciągu tego okresu obserwowałem,

jak nasze społeczeństwo się degeneruje, jak istoty stworzone w wylęgarniach przymierają głodem, a wojownicy zwracają się przeciwko innym wojownikom... A później pomachałaś nam przed nosem galaktyką pełną zamieszkałych planet. Z początku uznaliśmy to za błogosławieństwo... za dowód, że nie opuściłaś nas w potrzebie, ale wkrótce uświadomiłem sobie, że tylko przygotowałaś scenę na nowy rodzaj tortury.

Jaina znów chciała coś powiedzieć, ale Onimi nie dał jej dojść do głosu.

- Jedynie dzięki władzy, jaką zechciałaś mnie obdarzyć, opanowałem umysł Shimrry i uczyniłem z niego swoją marionetkę! - wykrzyknął. - Na razie nie udało mi się osiągnąć niczego równie zuchwałego. W końcu jednak się zorientowałem, że albo nie macie dość sił, żeby temu zapobiec, albo cieszycie się z okazji, aby rozpocząć ze mną walkę. Dopiero wówczas pojąłem, że miałem rację, starając się wam odplacić pięknym za nadobne.

Zmusiłem Shimrrę do wydania oświadczenia, że widoczna na kursie konwoju naszych światostatków galaktyka nadaje się do zamieszkania. Nakłoniłem go do mianowania mnie swoim powiernikiem, a kiedy moje telepatyczne umiejętności okrzepły, nakazałem mu zniknąć... dopiero niedawno, kiedy byłem tak bardzo zaabsorbowany walką z wami, pozwoliłem, żeby resztki Shimrry ponownie ujrzały światło dzienne.

A kiedy Zonama Sekot znów została odnaleziona, wszystko wskazywało na to, że tym razem oddaliście ją jako broń we władanie Jedi. Z początku pomyślałem, że tylko poddajecie mnie próbie, wkrótce jednak uświadomiłem sobie całą prawdę... tę samą, którą zrozumieli heretycy i niektórzy spośród naszych kapłanów. Straciliście nade mną wszelką władzę, dlatego po prostu postanowiliście skończyć ze mną.

Urwał i zmierzył Jainę nienawistnym spojrzeniem.

Widzi mnie dzięki Mocy! - domyśliła się młoda Solo. Uświadomienie sobie tego faktu zdezorientowało ją i przeraziło, ale zarazem wlało w jej serce nową otuchę.

- Nawet w tej chwili widzę w tobie, Yun-Harlo, blask świętości - podjął Onimi. - Płonie równie jasno jak poświata Yun-Yammki w Jeedai zwanym Skywalkerem, poświata Yun-Shuna w Jeedai zwanym Jacenem, poświata Yun-Ne'Shel w Jeedai zwanej Tahiri...

Umilkł i zamyślił się, a kiedy znów na nią spojrział, zmrużył wylupiaste oko jakby z rozbawieniem.

- Shimrra nie żyje - powiedział. - Zabili go bogowie z twojej kohorty, Yun-Harlo. Miejmy nadzieję, że rzuca się teraz w pościg za mną. Będę miał wówczas satysfakcję

przechytrzenia was, jak udało mi się w przypadku Zonamy Sekot, a także przyjemność pozbawienia was życia. Właśnie tak będzie wyglądał mój pierwszy akt eksterminacji wszystkiego i wszystkich w tej parszywej galaktyce.

Obejmując Marę i Kentha za ramiona, Luke pozwolił się wyprowadzić z wielkiej Sali Zgromadzeń przez membranę wojowników. Powłócząc nogami, przeszedł korytarzem wiodącym do południowego wejścia Cytadeli. Spojrzał na prowizoryczny most łączący fortecę Shimrry z publicznym placem, na którym spoczywał okropnie porysowany i powgniatany „Sokół Millenium”. Kierując się prosto do frachtowca, Harrar, Tahiri i kapitan Page przecisnęli się przez gromady zdezorientowanych Zhańbionych. Nieco dalej komandosi, bojownicy ruchu oporu i wojenne androidy typu ZYV rozbrajały schwytanych dostojników, wojowników i nielicznych pozostałych przy życiu gadopodobnych żołnierzy-niewolników. Wszędzie piętrzyły się stosy zarekwirowanych coufee, taktycznych villipów i pancerzy z krabów vonduun, a trzysta skonfiskowanych amphistaffów złożono na stos niczym drewno na opał.

Po świętym kwartale snuły się chmury dymu, a niebo przecinały smugi gazów wylotowych gwiazdnych myśliwców i wystrzelonych rakiet, teren wokół Cytadeli został jednak opanowany. Po przeciwnej stronie placu siedziały bez ruchu ogromne opancerzone zwierzęta.

U stóp rampy ładowniczej „Sokoła” czekali Cakhmaim, Meewalha, C-3PO i R2D2. Na widok Luke’a, który szedł ze zwieszoną głową, powłócząc nogami, astromechaniczny robot żałośnie zapiszczał.

- Pan Luke jest ranny! - zawołał przerażony Threepio. - Niech ktoś wezwie sanitariusza!

Mara i Kenth ułożyli Luke’a na kamieniach i pochylili się nad nim, żeby sprawdzić stan jego organizmu.

- Trans Mocy - zawyrokowała mistrzyni Jedi. - Stara się sam uzdrowić.

Wyprostowała się i odwróciła do Noghrich i automatów, po czym poleciła im przygotować statek do startu.

Kiedy wszyscy czworo zniknęli w otworze wjazdu, przez tłum Zhańbionych przecisnął się Jag Fel i podbiegł do rampy.

- Gdzie jest Jaina? - zapytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Gdzieś w środku z Jacenem - odparł Kenth. - Są tam także Han, Leia i Nom Anor.

Jag osłonił oczy dłonią i spojrzał na wierzchołek Cytadeli.

- Idę do nich - zdecydował.

Zanim zdążył się odwrócić, Mara chwyciła go za ramię.

- Wybierz to sobie z głowy, pilociku - oznajmiła. - Nie mamy pojęcia, co się tam dzieje, ale musimy przetransportować Luke'a na pokład jednej ze szpitalnych fregat, więc jeżeli chcesz nam pomóc, możesz eskortować „Sokoła”.

Jag przeniósł spojrzenie z rannego Luke'a na jego żonę i kiwnął głową.

- Za chwilę przylecę tu swoim myśliwcem - obiecał.

Kiedy odbiegł, Harrar odwrócił się w stronę schwytanych dostojników. W pierwszym rzędzie stali arcykapłan Jakan i mistrzyni przemian Qelah Kwaad pod strażą tych yuuzhańskich wojowników, którzy opowiedzieli się po stronie heretyków... a może nawet Galaktycznego Sojuszu.

- Najwyższy lord Shimrra nie żyje - odezwał się posępnym tonem.

Jego oświadczenie spotkało się z okrzykami zachwyty Zhańbionych i jękami przerażenia schwytanych więźniów. Wielu wstrząśniętych i przygnębionych kapłanów padło na kolana i zaczęło się modlić albo wypowiadać hymny na cześć bogów. Rozbrojeni wojownicy przyklękli na jedno kolano i uderzyli się pięściami w ramiona. Niektórzy zwrócili w stronę zwycięzców wysmarowane krwią twarze, na których malowała się hardość.

Wysłuchując się w modły heretyków do Proroka Yu'shaa, Jakan spojrzał na Marę, Kentha i Tahiri.

- Gratulacje, Jeedai - powiedział. - Właśnie położyliście kres naszej cywilizacji.

Mara postanowiła zabrać głos w imieniu wszystkich trojga.

- Podobnie jak wy zamierzaliście położyć kres naszej - powiedziała.

Harrar spojrzał na Jákana.

- To nie jest wina Jeedai - oznajmił stanowczo. - Winę za to, co się stało, ponoszą bogowie.

Kenth zerknął na yuuzhańskiego kapłana.

- Co się stanie, kiedy Nas Choka otrzyma wiadomość o śmierci Shimrry? - zagadnął od niechcienia.

Harrar pokręcił niezdecydowanie głową.

- Niespodziewana śmierć najwyższego lorda jest wydarzeniem bez precedensu w historii Yuuzhan Vongów - powiedział.

Mara i Kenth podtrzymali Luke'a, żeby go wnieść po rampie, ale zaledwie na nią

wstąpili, zawołał do nich ktoś z grupy heretyków. Harrar wypatrzył Zhańbionego, który chciał im przekazać jakąś informację.

- Twierdzi, że za waszą zgodą może przedłużyć życie mistrza Skywalkera - przetłumaczył. - Nie istnieje antidotum, które mogłoby go całkowicie wyleczyć.

- Czy to prawda? - zapytała zmartwiona Mara.

Harrar zmrużył oczy i dokładniej przyjrzał się heretykowi.

- To były mistrz przemian - stwierdził po chwili. - Może przynieść mistrzowi Skywalkerowi większą korzyść niż ja... a pewnie nawet większą niż wasz płyn bacta.

Jakan zaczął besztuć mistrza przemian, który zaproponował na ochotnika swoją pomoc, a Harrar przetłumaczył jego słowa Marze i Kenthowi.

- Arcykapłan powiedział: „Jesteś gotów odrzucić swoje wierzenia niczym znoszony płaszcz z powodu równie błałego jak zwycięstwo przeciwnika”. - Urwał, żeby wysłuchać odpowiedzi heretyka. - Zhańbiony mówi: „Tylko te wierzenia, które usiłowały usprawiedliwić tę wojnę”.

Jakan jeszcze nie skończył. Harrar wysłuchał go i znów się odwrócił do obojga Jedi.

- Arcykapłan twierdzi, że ma nadzieję usłyszeć z ust Zhańbionego te same słowa, kiedy Sojusz uzna go za winnego przestępstw wojennych, a inteligentne maszyny wydadzą na niego wyrok śmierci.

Były mistrz przemian wzruszył posępnie ramionami, ale kiedy Harrar tłumaczył jego odpowiedź, jego głos się załamywał.

- Zhańbiony jest pewny, że po śmierci znajdzie się w daleko lepszym miejscu niż wszystkie, które zna na powierzchni Yuuzhan'tara.

Nagle, bez ostrzeżenia, grunt się znów zatrząsł. W pierwszej chwili Mara pomyślała, że to wina pracujących na jałowym biegu repulsorów „Sokoła”, ale później uświadomiła sobie, że źródłem wstrząsów jest Cytadela. Oczy przerażonych jeńców zwróciły się na fortecę Shimrry, a heretycy zaczęli się wycofywać na przeciwległy kraniec placu, gdzie opancerzone zwierzęta wstały i zaryczały z przerażenia. W miarę jak wstrząsy stawały się silniejsze, w ścianach Cytadeli pojawiły się szczeliny, a po stromych zboczach posypały się ogromne bryły koralu yorik. Kamienie pod „Sokołem” zadrżały i się zapadły, a sterburtowe łapy ładownicze pogrzyły się na metr w szczelinie. Miecz świetlny Anakina wysunął się z palców Tahiri i wpadł do sąsiedniej, o wiele głębszej rozpadliny. Młoda Jedi starała się go przywołać, ale wpadł zbyt głęboko.

- Zostaw go! - poleciła surowo Mara, bo Tahiri zrobiła ruch, jakby zamierzała zanurkować w głąb rozpadliny.

Wszyscy usłyszeli narastający grzmot i chwilę później łagodnie zaokrąglona korona ogromnej góry oddzieliła się od podstawy i powoli uniosła w powietrze.

Starając się trzymać poziomo Luke'a i zachować równowagę na trzęsącej się rampie, mistrzyni Jedi odwróciła się do Tahiri.

- Jainie i Jacenowi grozi straszliwe niebezpieczeństwo -jęknęła, a na jej twarzy odmalowała się udręka. Popatrzyła na męża, ale zaraz przeniosła spojrzenie na Kentha. - Nie możemy pozwolić odlecieć temu statkowi!

Jacen pokonał zaledwie połowę szczebli drabiny wiodącej do komnaty dowodzenia, kiedy uświadomił sobie, że kapsuła ratunkowa oddzieliła się od światostatku Shimrry. Spodziewał się wprawdzie takiego rozwoju sytuacji, ale nie sprzecznych emocji, jakie go ogarnęły. Powiernik najwyższego lorda nie dość, że zamierzał im uniemożliwić dalszy udział w walce, to w dodatku odlatywał ze spustoszonej powierzchni Coruscant, jak najdalej od jego rodziców i wielu towarzyszy Jedi. Jacen czuł się tak, jakby Onimi zabierał go poza czas i przestrzeń... w miejsce, gdzie mógłby z nim stoczyć pojedynek na śmierć i życie.

Wspinał się dalej, a kiedy stanął na ostatnim szczeblu, przeskoczył przez otwór, wylądował na ugiętych nogach i od razu przykucnął w postawie obronnej. Po drugiej stronie mostka kapsuły ratunkowej stał powiernik Shimrry. Zgarbił zdeformowane ciało i wymachując krzywymi rękami nad pulsującym pulpitem konsoli, wydawał polecenia organicznym urządzeniom sterującym. Młody Solo zobaczył także siostrę. Otoczona przez kunsztownie zdobione posągi bogów Jaina wisiała metr nad pokładem na wyrastających z wewnętrznej grodzi koralowych hakach. Jacen zorientował się, że siostra jest przytomna, ale sparaliżowana. Wyczuwał ciepło jej ciała na tle zimnego koralu yorik i kościanych elementów konstrukcji mostka.

Jaina dotknęła jego umysłu za pośrednictwem Mocy i szepnęła na tyle głośno, aby mógł ją usłyszeć, że Zhańbiony nazywa się Onimi. Khalee i Tsavong Lah zamierzali zmusić bliźnięta do stoczenia pojedynku, za to Onimi chciał ich zabić.

Cały czas obserwując Jacena z drugiej strony mostka, sługa Shimrry prowadził statek między błyskawicami strzałów. Młody Solo doszedł do wniosku, że Zhańbiony kieruje nim siłą woli w podobny sposób, jak yammosk wydaje polecenia koralowym skoczkom.

- Nie znajdziesz we mnie prawdy, Jeedai - odezwał się nagle Onimi w basicu, powtarzając wiernie to, co Vergere powiedziała Jacenowi, kiedy wisiał w Objęciach Cierpienia. - Musisz wierzyć, że kłamstwem będzie wszystko, co powiedzą ci o mnie twoje zmysły.

Dopiero wówczas młody Solo uświadomił sobie prawdę. To Oni-mi kierował poczynaniami uśmiercicieli w sali tronowej bunkra Shimrry. Onimi, niedhuryam, był odpowiedzialny za kołysanie, które o mało nie obaliło Cytadeli.

- Shimrra był Shimrrą - odezwał się Onimi, uprzedzając następną myśl Jacena, - A ja to ja.

- To jesteś najwyższym lordem - domyślił się młody Jedi.

Kiedy Jacen oswoił się z tym odkryciem, stwierdził także, że jego Vongozmysł pozwala mu postrzegać Onimiego w niezwykle sposób. Zhańbiony nie ukryje przed nim żadnych tajemnic, bo młody Jedi czytał w jego umyśle jak w otwartej księdze. W mgnieniu oka zrozumiał, w jaki sposób były mistrz przemian osiągnął taką potęgę. Mimo to nawet Onimi się nie domyślał, że dzięki swoim eksperymentom odkrył sposób naprawy krzywdy wyrządzonej w zamierzchłej przeszłości wszystkim istotom rasy Yuuzhan Vong. Odzyskał kontakt z Mocą!

- Vergere powiedziała kiedyś Nomowi Anorowi, że uważa cię za najbardziej niebezpiecznego Jeedai - ciągnął Onimi. - I miała rację, bo nosisz w sobie Yun-Shuna... zdrajcę wszystkiego, co starałem się stworzyć. Już wkrótce jednak, kiedy cię zabiję, staniesz się moją przepustką do dobra. Zniszczeniu ulegnie wszystko, na czym ci zależy. Zginą istoty, które dały ci krew i oddały życie, żeby nie brakowało ci czcicieli; zginie także żyjąca planeta, którą ściągnąłeś tu z Nieznanych Rejonów tej galaktyki. Właśnie w tej chwili jest bliska śmierci. Z trudem chwyta powietrze. Czujesz to? Piloci naszych myśliwców przedzierają się przez osłony, które usiłowałeś stworzyć, i z każdą chwilą docierają bliżej powierzchni. Ta świadoma planeta krzyczy, że zawiodłeś jej zaufanie i nie stanąłeś w jej obronie!

Zapewne zadajesz sobie pytanie, jak to możliwe? Jak mogło do tego dojść? Posłuchaj. Wasi wojskowi stworzyli truciznę, która miała przyczynić się do śmierci moich ziomków, ale ja odesłałem ją z powrotem. Wkrótce zabije planetę, którą nakłoniłeś do wzięcia udziału w walce przeciwko nam. Czy nie widzisz w tym ręki nowego boga, Jeedai, nosicielu Yun-Shuna? Gdzie się podziała twoja cenna Moc... resztki oddechu Yun-Yuuzhana? Dlaczego do tego dopuściła?

Jacen domyślił się, że Onimi ma na myśli truciznę zwaną Alpha Red i zakażony nią statek, który się wymknął z przestworzy Caluuli. Uwolnił myśli i wysłał je do Sekot, ale nie

odebrał wyraźnie odpowiedzi planetarnej świadomości Zonamy. Zrozumiał, że coś musiało ulec zmianie. Czyżby Sekot świadomie ukrywała przed nim swoją obecność w Mocy? A może...

Nagle doznał olśnienia. Widział Onimiego w Mocy! Czy możliwe, że zobaczy Sekot dzięki swojemu Vongozmysłowi?

Przełączył umysł i ponownie postarał się nawiązać kontakt z Sekot. Zdumiewająca prawda poraziła go niczym błyskawica.

Dlaczego wcześniej tego nie zrozumiał?

Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać.

Onimi właśnie zamierzał wypróbować na nim swoją zdumiewającą potęgę, a do tego nie potrzebował amphistaffa ani coufee. Jego organizm potrafił wytwarzać środki paraliżujące i śmiertelne trucizny. Podobnie jak Mózg Świata nadzorował wszystko na powierzchni Coruscant, Onimi kontrolował wszystkie elementy żyjącego statku i mógł wykorzystać każdy przeciwko Jacenowi.

Młody Solo zrozumiał, że wkrótce stoczy walkę, której wynik nie będzie zależał tylko od jego znajomości Mocy, ale przede wszystkim od dochowania wierności jej woli. To nie miał być pojedynek, lecz wyrzeczenie się samego siebie.

Znowu w jego głowie rozległ się głos, który usłyszał pierwszy raz na powierzchni Duro: „Podejmij wyzwanie”...

Serce podpowiedziało mu, że to głos jego dziadka Anakina Skywalkera.

R O Z D Z I A Ł 42

Pilna wiadomość od Landa z pokładu „Błędnego Rycerza” zastała generała Antillesa w ogarniętej chaosem sali sytuacyjnej „Mon Mothmy”, gdzie holograficzny wizerunek Zonamy Sekot obracał się powoli w stożku błękitnego światła, a różnobarwne plamki pokazywały rozmieszczenie okrętów Yuuzhan Vongów i Sojuszu. Przy wszystkich stanowiskach czuwali technicy i androidy, a w przefiltrowanym powietrzu krzyżowały się nieustannie głosy i meldunki taktycznych komputerów informujących o uszkodzeniach albo oceniających sytuację. Walka była tak zacięta, że co kilka minut z taktycznych ekranów znikał świetlisty punkcik oznaczający kolejny yuuzhański matalok albo yorik-vec, ale bliżej powierzchni planety przez kordon

hapańskich okrętów przedarły się w kilku miejscach nieprzyjacielskie koralowe skoczki i yorik-akaga, a ich piloci, latając nisko nad tampasi, ostrzeliwali ogromne bora i zamieszkane kaniony Średniego Zasięgu. Na wieść, że zainstalowane na szczytach najwyższych gór Zonamy stanowiska planetarnej artylerii uległy zniszczeniu i są niezdolne do odparcia ataku nawet niewielkich jednostek, w kierunku powierzchni żyjącej planety skierowała się pospiesznie „Mon Mothma”.

Wokół stołu z holoprojektorem dyskutowało kilku taktycznych oficerów i Antilles nie mógł dosłyszeć słów Calrissiana, przeszedł więc w inne miejsce ogromnego pomieszczenia i założył na głowę zestaw mikrofonowo-słuchawkowy.

- Bitwa w przestworzach Muscave miała tylko odwrócić naszą uwagę - mówił Lando. - Nas Choka liczył, że zatrzyma nas tam na tyle długo, abyśmy nie zauważyli zakażonego Alpha Red statku, któremu wydał rozkaz lądowania na powierzchni Zonamy Sekot. - Śniadoskóry mężczyzna prychnął pogardliwie. - Jeden niewielki statek przemyka między wszystkimi naszymi systemami obronnymi - podjął po chwili. - Czy to ci się z czymś nie kojarzy?

- Mniej więcej - skłamał Wedge. - Wiesz może, dlaczego pilotowane przez Jedi myśliwce wylądowały na powierzchni żyjącej planety?

- Zaprzeczam.

- Czy możliwe, żeby do tej pory Vongowie wylądowali zakażonym statkiem na powierzchni gruntu?

- Na razie wiemy tyle samo, co ty - odparł Lando. - Chyba że Sekot postanowiła się poddać.

- Jeżeli to prawda, w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat znacznie osłabła.

- Albo Vongowie stali się silniejsi - zaczął Calrissian i na chwilę umilkł. - Booster zamierza podlecieć „Błędnym Rycerzem” tak blisko Zonamy Sekot, jak się da - podjął po chwili. - Chce zabrać na pokład tylu Jedi i Ferroan, ilu się zmieści.

Wedge się skrzywił.

- Posłuchaj, Lando, Booster nie może tego zrobić, jeżeli planeta została już zakażona - powiedział. - Prawdopodobnie Alpha Red nie stanowi zagrożenia dla istot ludzkich czy Bothan, ale po tym, co wydarzyło się na Caluuli, nie możemy być pewni, czy nie przenosi się przez organizmy istot innych ras.

Calrissian dosyć długo nie odpowiadał.

- Rozumiem, Wedge - oznajmił w końcu zrezygnowanym tonem. - Zanim weźmiemy kogokolwiek na pokład „Błędnego Rycerza”, porozumiemy się z Kypem i Corranem. Co słychać na Coruscant?

- Vongowie bronią się zębami i pazurami - odparł Antilles. - Shimrra nie żyje... zatroszczył się o to Luke, ale śmierć najwyższego lorda Yuuzhan Vongów nie powstrzymała Nasa Choki. Nawet jeżeli pokonamy jego armadę, chyba nie damy rady zmusić go do poddania.

- Więc jak mamy z tego wybrnąć? - zaniepokoił się Lando.

- Obawiam się, że Kre'fey i Sow będą chcieli znów skorzystać z Alphy Red - odparł ponuro Antilles.

Lando głośno westchnął.

- Wygląda na to, że wszyscy myślą tylko o tym - powiedział.

Wedge przerwał połączenie, zdjął z głowy zestaw mikrofonowo—słuchawkowy, wrócił na swoje stanowisko i zapatrzył się w holowizerunek wirującej Zonamy Sekot. Nie chciał się pogodzić z myślą, że zakażony statek już wylądował na jej powierzchni. Na pewno nie dopuściliby do tego piloci żywych statków. Przypomniawszy sobie, jak niemal pięć lat wcześniej podjął decyzję o powrocie z emerytury. Nie wyobrażał sobie wówczas, że czeka go pilotowanie gwiazdnego myśliwca w przestworzach Serpidala albo wykonanie rozkazu utrzymania Borleias czy zaatakowania Corulaga, ale tak właśnie toczyły się losy tej wojny. Robiło się, co się mogło... w nadziei, że nawet najskromniejszy wkład może przyczynić się do ostatecznego zwycięstwa.

Podszedł do innego stanowiska i poprosił o połączenie ze starszym oficerem zaopatrzeniowcem.

- Proszę przygotować gwiazdny myśliwiec - rozkazał, kiedy zgłosiła się jakaś kobieta.

- Dla jakiejś konkretnej eskadry? - zapytała. - Wszystkie mają tak duże braki kadrowe, że praktycznie pilot może wybierać, w której chciałby latać.

- Komu powierzono zadanie ochrony Zonamy Sekot?

- Eskadrze Czerwonych, panie generale - usłyszał w odpowiedzi.

Znakomicie, pomyślał Wedge.

- Proszę uprzedzić dowódcę Czerwonych, żeby spodziewał się posiłków.

- Jaki wybiera pan kryptonim, panie generale?

Antilles zastanowił się chwilę nad odpowiedzią i w końcu zdecydował: - Vader.

Nas Choka odwrócił się do głównego taktyka.

- To niemożliwe - zdecydował. - Najwyższy lord jest ulubieńcem bogów. Gdybyśmy go zawiedli i nie wykonali zadania, umarłby ostatni... a sukces mamy przecież zapewniony. - Gestem wskazał Coruscant, wyraźnie widoczną za przezroczystym bąblem obserwacyjnym mostka. - Zonama Sekot zginie, a kiedy ściągnę resztę naszych sił z przestworzy Muscave, losy tej bitwy się odwrócą. Przegonimy siły zbrojne Sojuszu do Odległych Rubieży, gdzie spędzą następnych dziesięć lat, liżąc rany i marząc o dniu, kiedy staną się znów na tyle silni, żeby ośmielić się podjąć kolejną kontrofensywę.

Taktyk pochylił z szacunkiem głowę.

- Chciałbym zauważyć, o Straszliwy, że to oświadczenie wydał sam Eminencja Harrar - powiedział.

- Harrar! - powtórzył zaskoczony Nas Choka. - Sądziłem, że przebywa w Odległych Rubieżach.

- Nie, o Wielki - odparł podwładny. - Przeszedł na stronę nieprzyjaciół na powierzchni Zonamy Sekot, kiedy jeszcze żyjąca planeta znajdowała się w Nieznanych Rejonach. Prefekt Nom Anor także odwrócił się od nas i został przywódcą heretyków.

Wojenny mistrz wyciągnął rękę i chwycił grodz, żeby zachować równowagę. Harrar zdrajcą? - pomyślał. - Nom Anor buntownikiem? Trudno było to sobie wyobrazić, a jeszcze trudniej znieść, gdyby miało okazać się prawdą, ale można spróbować się pogodzić z jednym i drugim. Z pewnością jednak by wiedział, gdyby Yuuzhan Vongowie zostali niespodziewanie pozbawieni pośrednika między nimi a bogami. Powiódł spojrzeniem po komnacie dowodzenia, zatrzymując je na chwilę na twarzach dowódcy swojego okrętu, podporucznika, opiekunki villipów i kapłana. U nikogo nie zauważył jednak śladu niepokoju ani wątpliwości, bo wszyscy byli zajęci wykonywaniem obowiązków. Odwrócił się znów do taktyka.

- To podle łągarstwo, wymyślone przez odszczepieńców - stwierdził w końcu. - Tchórzliwa próba wywołania zamętu w naszych szeregach.

Taktyk ponownie pochylił głowę.

- Wojenny mistrzu, mam takie same odczucia - zapewnił. - Wiedziałbym w głębi serca, gdyby nasz najwyższy lord zginął. Mimo to villipy innych dowódców na powierzchni Yuuzhan'tara potwierdzają, że wojownicy Jeedai opanowali całą Cytadelę, nie wyłączając kufra Shimrry.

- Jeedai! - powtórzył ze zdumieniem Nas Choka.

- Czy mogę mówić szczerze? - zapytał główny taktyk.

- Ale po cichu - zastrzegł wojenny mistrz.

- Z jakiego innego powodu Zonama Sekot miałyby zmuszać do milczenia planetarne stanowiska artylerii, jeżeli nie dlatego, że się nas nie obawia? - zapytał podwładny. - Czy Shimrra nie mógł paść ofiarą oszustwa, które spowodowało, że przestał działać na korzyść bogów, którzy teraz chcą go ukarać za arogancję... a przy okazji i nas za to, że obdarzyliśmy go bezgranicznym zaufaniem?

Nas Choka zmarszczył ukośnie ścięte czoło. -Ja... - zaczął.

- Wojenny mistrzu- przerwał najwyższy dowódca „Góry Yammki”, energicznie salutując. - Od Cytadeli oderwał się osobisty statek lorda Shimrry. Właśnie wyłania się z atmosfery Yuuzhan'tara, żeby przyłączyć się do nas i wziąć udział w bitwie.

- Chcę go zobaczyć! - zażądał wojenny mistrz, odwracając się do przezroczystego bąbla.

Najwyższy dowódca wskazał na fragment obserwacyjnej półkuli, na którym pojawiło się powiększenie podobnej do pocisku skrzyni Shimrry. Potężny dovin basal kapsuły najwyższego lorda wypychał pospiesznie statek z grawitacyjnej studni planety w dół. Kapsułę ścigali wprawdzie piloci dwóch gwiazdnych myśliwców i pokiereszowanego frachtowca w kształcie spodka, ale byli jeszcze zbyt daleko, żeby otworzyć do niej ogień.

Nas Choka spojrział na taktyka i kiwnął głową, jakby na potwierdzenie tego, co wcześniej powiedział.

- Widzisz? To było kłamstwo odszczepieńców - stwierdził z satysfakcją. - Najwyższy lord nie tylko żyje, ale także pragnie osobiście zachęcić nas do walki. - Przeniósł spojrzenie na dowódcę. - Okażemy mu wdzięczność, składając w ofierze okręt flagowy nieprzyjaciół. Rozkazać, żeby w stronę „Ralroosta” skierowały się wszystkie jednostki naszej floty.

Stojąc na mostku statku, którego każdy element był posłuszny jego woli, Onimi rzucał w Jacena wszystkimi przedmiotami, jakie miał pod ręką. Zaczął od stojących po obu stronach Jainy rzeźbionych posągów bogów: okrytej opończą Yun-Harli, wielorękiego Yun-Yammki, tysięcznego Yun-Shuna i wszystkich pozostałych. Mimo to młody Solo nie ustąpił pola. Nie odbijał przedmiotów na bok, bo nie chciał ryzykować, że niechcący wyrządzi krzywdę siostrze, za to wciągał wszystkie w wirującą chmurę, którą się otoczył. Niejasno sobie uświadamiał, że poza chmurą, nad kontrolną konsolą, otworzył się przezroczysty prześwit, w którym pojawiły się konstelacje gwiazd. W wielu miejscach plamiły je błyski eksplozji i błyskawice strzałów z

setek okrętów toczących walkę na skraju atmosfery Coruscant.

Nieugięta obrona Jacena doprowadziła Onimiego do wściekłości. W pewnej chwili najwyższy lord sięgnął w głąb organizmu i zrobił użytek z telekinetycznych umiejętności, żeby wywołać pęknięcia w grodziach i sklepieniu. Liczył na to, że bryły nieukorzonego koralu yorik przyłączą się do gradu przedmiotów, jakimi ciskał w przeciwnika. Jacen naprawiał jednak szczeliny i szpary równie szybko, jak Zhańbiony je wytwarzał, a wyszarpięte bryły koralu kazał statkowi przytwierdzać w poprzednich miejscach.

Onimi otworzył szeroko niejednakowe oczy, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Podbiegł do Jacena, tak szybko przebijając nogami, jakby jego stopy unosiły się kilka centymetrów nad pokładem.

Ciało miał zniekształcone po kiepsko wykonanych zabiegach chirurgicznych i nie do końca zaleczonych ranach po implantach oraz skutkach eksperymentalnych wywyższeń, ale był wyższy niż Jacen i na pewno silniejszy. Ich pojedynek nie powinien jednak mieć nic wspólnego ze wzrostem czy z brutalną siłą. Przewaga Onimiego polegała na umiejętności wzmacniania elektrycznego prądu, jaki przepływał przez jego ciało, a także - jak u Vergere - na robieniu użytku z udoskonalonej przemiany materii. Najwyższy lord potrafił syntetyzować cząsteczki oraz związki chemiczne i wydalać je z organizmu przez szponiasto zakrzywione żółte paznokcie, pojedynczy długi kiel, krew, pot, oddech i ślinę. Vergere nauczyła się jednak wytwarzać środki kojące ból i leczące łzy, Zhańbiony zaś produkował mieszaniny szybko działających, śmiertelnych trucizn. Były mistrz przemian opanował tak dobrze tajniki bioinżynierii Yuuzhan Vongów, że w porównaniu z nim Vergere była najwyżej niedoświadczoną adeptką.

Onimi rzucił się na Jacena z podniesionymi rękami i rozchylonymi ustami, a młody Jedi tylko uniósł ręce w obronnym geście. Spletli palce i zwarli się w oślepiającym wirze elektrostatycznych wyładowań, które otoczyły ich niczym pajęczyna. Podobni do tancerzy wykonujących szaleńcze piruety zaczęli wirować po mostku z jednego miejsca w drugie. Raz po raz odbijali się od szorstkich grodzi i gładkich powierzchni pulsujących konsol. Jaina zamierzała posłać bratu bliźniakowi resztkę sił, jaka jej jeszcze została, ale Jacen zapewnił, że sobie poradzi, i polecił, aby zachowała ją dla siebie.

Do skóry i krwiobiegu Jacena przenikały wydzielające się z dłoni i paznokci Onimiego substancje halucynogenne, a w skroniach i szyi młodego Jedi pogrążał się raz po raz wypełniony paraliżującą trucizną kiel Zhańbionego. Wciąż z oddechem wydobywała się z jego ust inna

trucizna, a jeszcze inna osiadała na twarzy przeciwnika mgiełką wydalanej śliny.

Ale tego Jacena, którego najwyższy lord Onimi chwycił w szpony, już przed nim nie było. Jeszcze chwilę wcześniej młody Jedi nie był zdolny do wykrycia Onimiego dzięki Mocy, ale obecnie to Zhańbiony nie potrafił odnaleźć przeciwnika. Zamiast niego natrafiał na bezkształtną, bezkresną pustkę, równie spokojną jak wiatr wrywający drzewa z korzeniami, żeby ich upadek mógł zapoczątkować nowe życie.

Niczym świetlisty byt, młody Solo wciągał w siebie wszystkie śmiercionośne wydzieliny Onimiego, neutralizował je i wydalał także w postaci potu, łez i oddechu.

W końcu zrozumiał, dlaczego nie schwycił miecza Anakina, który rzucił mu kiedyś mistrz Skywalker... Nie było mu sądzone go złapać, bo sam stał się świetlnym mieczem.

Uzyskał zdolność przełamywania każdego oporu, jaki w sobie napotykał, przecinania więzów uprzedzeń i otwierania zięjących dziur w rzeczywistości bardziej bezkresnej niż wszystko, co potrafił sobie wyobrazić, a nawet leczenia. Podobnie jak kiedyś jego dziadek, przedarł się przez pozorne sprzeczności maskujące absolutną naturę Mocy i odnalazł drogę do niewidzialnej jedności, jaka istniała poza pozornym rozdziałem świata. Na swoje miejsca wskoczyły wszystkie elementy kosmicznej łamigłówki, a światłość i ciemność stały się czymś, co był zdolny zrównoważyć w sobie bez konieczności opowiadania się po jednej czy po drugiej stronie. Świadomość, która była Jacenem Solo, rozplynęła się po całym przeogromnym widmie energii życia. Młody Solo wyszedł poza granice między wyborem i konsekwencją, dobrem i złem, światłością i ciemnością, życiem i śmiercią.

Musiał się tylko bez reszty podporządkować - skorzystać z techniki doprowadzonej kiedyś do perfekcji przez Zakon Jedi, ale na pewnym etapie niewłaściwie wykorzystanej poprzez położenie nacisku na indywidualne osiągnięcia, co otworzyło drogę do arogancji.

Podążając ścieżką dostępną dla wszystkich, którzy zechcą z niej skorzystać, młody Jedi zrozumiał, że jego odkrycie jest w rzeczywistości odnalezieniem drogi odnalezionej bardzo dawno, a później zagubionej. To z tego korzystali pradawni Yuuzhan Vongowie, kiedy jeszcze żyli w symbiozie z pradawnym Yuuzhan'tarem. W tamtych zamierzchłych czasach myśleli jak zbiorowość, bo wiedli życie w świecie, w którym granice między poszczególnymi istotami były zatarte. Kiedy jednak przecięli więź łączącą ich z planetą, pozbawili się dostępu do Mocy. Łudzili się wprawdzie, że nadal czczą życie, ale w rzeczywistości oddawali cześć jedynej dostępnej dla nich drodze, na jakiej mogli osiągnąć symbiozę: śmierci.

Jacen uświadomił sobie, że w pewnym sensie parafrazuje Onimiego. Wykroczył poza tradycje Zakonu Jedi i znalazł się w rzeczywistości ogarniającej więcej prawd. Nie starał się jednak stać jednym z bogów ani też uzurpować ich autorytetu. Pozwolił sobie w końcu całkowicie stopić się z Mocą i zostać przewodnikiem jej surowej potęgi, przepływającej przez niego niczym grzmiące fale potężnej rzeki. Zespolenie Mocy i Vongozmysłu umożliwiło mu zredukowanie swojej obecności na tyle, żeby podążać za Onimim, dokądkolwiek tamten się kierował czy gdziekolwiek usiłował się ukryć; blokować jego każdą akcję i stąpić się z żyjącym statkiem na poziomie molekularnym.

Młody Jedi zakończył szaleńczy taniec pośrodku mostka, ale nie zrezygnował z parowania ciosów najwyższego lorda. Kierując na niego wylupiające oko, Onimi nie przestawał świdrować go spojrzeniem.

W końcu i on zaczął się domyślać prawdy. Uświadomił sobie, że Jacen nie tyle się przed nim broni, ile wykorzystuje przeciwko niemu jego własną potęgę. Jego przeciwnik walczył jakby od niechcienia. Przyswajając coraz większe ilości trucizn, jakie wytwarzało ciało Zhańbionego, z każdą chwilą wciągał go głębiej do pojedynku, aż w końcu Onimi przestał nadążać ze spełnianiem jego wymagań. Jacen był próżnią... dovinbasalową anomalią, do której chciał wciągnąć Onimiego. Stał się pustką, wsysającą przeciwnika w głąb wąskiej gardzieli i zmniejszającą go do rozmiarów punktu.

Zniekształcona twarz Zhańbionego się zmieniała. Jego tętnice zaczęły pulsować, a żyły nabrzmiały i niemal wyłoniły się spod bladej skóry.

Onimi walczył ze wszystkich sił, jakie mu jeszcze pozostały, ale nie potrafił pokonać Jacena. Młody Jedi stał się nieskazitelnie czystym przewodnikiem Mocy, niezdolnym do potknięć czy pomyłek. Nie stał na skraju przechylającej się ekliptyki ze swojej wizji, ale w samym jej środku, w punkcie podparcia. Zakłócającym równowagę ciężarem był Onimi, ale dla Jacena masa jego ciała przestała odgrywać jakiegokolwiek znaczenie.

Moc otulała młodego Jedi niczym trąba powietrzna i wciągała w głąb ciemności, którą Yuuzhan Vongowie sprowadzili na galaktykę. Skupiała tę ciemność, żeby posłać ją strumieniem ku niebu, gdzie tworzyła chmurę, która szybko się rozpraszała.

Z każdą chwilą znaczenie Onimiego malało.

Utrzymujący równowagę galaktyki Jacen stał prosto, bo był pewny, że podjął wyzwanie i zwyciężył. Stał się tak potężny, że zaczął stanowić zagrożenie dla własnej galaktyki, bo widział

wyraźnie pokusy ciemnej strony i wyczuwał w sobie dążenie do narzucenia innym własnej woli... pragnienie całkowitego podporządkowania sobie wszystkich form życia, jakie miałyby odtąd składać hołd jego istnieniu.

Usunął z umysłu dumę i złe zamiary i osiągnął stan niezmaconej pogody ducha, w którym prawdopodobnie odkrył najgłębsze tajemnice istnienia.

Wiedział, że już nigdy nie osiągnie równie podniosłego stanu, ale był także pewny, że spędzi resztę życia, starając się go znów osiągnąć.

Kiedy Nom Anor prowadził poszukiwania Jaiiny i Jacena, żadne z nich nie odpowiedziało na wołania Leii. Dopiero po dotarciu na mostek przyspieszającego statku księżniczka zrozumiała powód ich milczenia.

W podobnym do pieczary pomieszczeniu pojawiła się ostatnia, bo wyprzedzili ją Nom Anor i Han z blasterem w dłoni, ale i oni znieruchomieli, porażeni widokiem, jaki ukazał się ich oczom. Wokół zobaczyli znajome smugi spójnego światła i wirujące w locie kule ognistej plazmy. Tego widoku Leia nie mogłaby zapomnieć do końca życia. Księżniczka poczuła się, jakby została uwięziona między snem a wizją, przeniesiona do królestwa, do którego zazwyczaj nie mają prawa wstępu zwykli śmiertelnicy.

Pośrodku mostka stał Jacen w słupie oślepiającego blasku. Trzymał ręce luźno wzdłuż boków, miał lekko rozstawione nogi i uniesioną głowę. Kolumna światła, która wydobywała się jakby ze środka jego piersi, otaczała go niczym aura. Na twarzy młodego Jedi malował się niemal przerażający spokój zmieszany z odrobiną smutku, a oczy wyglądały jak wschodzące słońca. Jej syn wyglądał, jakby nagle się postarzał... wydorósł. Rysy jego twarzy złagodniały, a ręce i nogi jakby się wydłużyły. Leia przyglądała mu się z zapartym tchem.

Zniknęły ostatnie cechy, jakie mogły jeszcze nadawać mu wygląd młodzieńca.

Po drugiej stronie mostka, przyszpilony do szorstkiej grodzi niczym schwyta cienioćma, stał Zhańbiony powiernik Shimrry Oni-mi. Zezując niejednakowymi oczami w zdeformowanej głowie, miał szeroko otwarte usta - ze zdziwienia, bólu czy rozpacz... Chyba nikt nie miał poznać prawdziwego powodu.

Między bratem a Onimim zwiśla bezwładnie Jaina. Wyglądała jak rzeźba, ale z każdą sekundą odzyskiwała siły.

W miarę jak dziewczyna stawała się silniejsza, Onimi słabł. Jakiś czas mogło się wydawać, że zacierają się skutki wszystkich jego operacji chirurgicznych, deformacje i

ułamności. Rysy twarzy Zhańbionego stały się znów symetryczne, a jego powykręcane ciało wyprostowało się i przybrało pierwotny wygląd... w pewnym sensie upodobniło się do ciała ludzkiego, chociaż nadal było szczuplejsze i wyższe, o dłuższych kończynach i większych dłoniach. Życie szybko z niego wyciekało. W pewnej chwili najwyższy lord osunął się na pokład, jakby jego kości się roztopiły, a z ust, oczu, nosa i uszu wypłynęły trawiące dotąd ciało żrące trucizny. W końcu nie pozostało z niego nic oprócz kałuży cuchnących węglowodorów, które wsiąkły w koralowy pokład i pozostawiły tylko wielką plamę.

Statek od razu zadygotał, jakby trafiła go turbolaserowa błyskawica albo, co bardziej prawdopodobne, jakby przeżył coś w rodzaju ataku apopleksji. Żyjąca konsola straciła barwę i ostygła, a przyrządy wyglądały jak porażone artretyzmem. Kaptury świadomości i villipy zwiędły jak pozbawione wilgoci, a ogniste robaczki złamały szyk, spadły w głąb koralowej niszy i zdechły. W koralowych ścianach i sklepieniu mostka pojawiły się pęknięcia i szczeliny, a resztki i tak nikłej poświaty zgasły. Kiedy dovin basal także zaczął konać, statek o mało się nie poddał wpływom resztek grawitacji Coruscant, szarpnął się jednak jeszcze raz i zdecydowanie skierował w sam środek pola bitwy.

Kiedy Leia w końcu przysłała do siebie, Jacen zdążył zdjąć Jainę z koralowych haków, na których wisiała, i porwać ją w objęcia.

- Nie pozwoliłeś sobie pomóc - odezwała się cicho i z wyrzutem siostra.

Młody Solo pocieszył ją ciepłym uśmiechem.

- Wolałem, żebyś pomogła sama sobie — powiedział.

Nom Anor przyglądał się z przerażeniem, jak w koralowy pokład mostka wsiąkają szczątki Onimiego. Jego ciało musiało się roztopić pod wpływem nieznaney mieszanki żrących trucizn, których zamierzał użyć przeciwko Jacenowi Solo. Śmierć doścignęła Zhańbionego, który sprowadził mistrzynię przemian Nen Yim na Coruscant. To za nim Nom Anor podążał do tajnego grashala mistrzów przemian i to on siadywał u stóp tronu Shimrry, żeby wygłaszać rymowanki, drażniące uszy najwyższych dostojników.

To on wywiódł wszystkich w pole, każąc wierzyć, że najwyższym lordem Yuuzhan Vongów jest Shimrra.

A obecnie prawdziwy najwyższy władca nie żył.

Nom Anor wpatrywał się w zaciek, który jeszcze kilka minut wcześniej był Onimim. Zastanawiał się, czy ktokolwiek by mu uwierzył - pod warunkiem, że ocali życie - gdyby

opowiedział historię jego śmierci. Czy Jedi zechcieliby potwierdzić jego słowa?

Kolejny paroksyzm statku wyrwał go z zadumy i położył kres rozmyśleniom o niepewnej przyszłości. Nom Anor przeniósł spojrzenie z bliźniąt Jedi na ich rodziców. Wciąż jeszcze miał dość czasu, żeby ich obezwładnić, zasiąść za sterami statku Onimiego i polecieć nim na spotkanie tego, co pozostało z potężnej armady Nasa Choki...

Doszedł jednak do wniosku, że nie może sobie pozwolić na tak wielkie ryzyko.

Jacen Solo był najgroźniejszym przeciwnikiem, jakiego potrafił sobie wyobrazić, a statek Onimiego, chociaż wyrwany z letargu, mógł nie usłuchać rozkazów Noma Anora. Jeżeli były egzekutor chciał ocalić życie, musiał wymyślić bardziej niezawodny plan.

Okazja się nadarzyła, kiedy statek znów się zakołysał, a organiczne urządzenia kontrolne zaczęły tracić elastyczność.

- Onimi był związany z tym statkiem - odezwał się szybko Nom Anor. - Kiedy zginął, statek także zaczął umierać, a my zginiemy na jego pokładzie, jeżeli go szybko nie opuścimy.

Na dowód prawdziwości jego słów Jacen kiwnął głową.

- Mara nas szuka - odezwała się Jaina.

Han pospieszył do konsoli i spojrzał przez obserwacyjny bąbel.

- Więc i „Sokół” musi być gdzieś w pobliżu - powiedział i odwrócił się do Noma Anora.
- Widziałem, jak Yuuzhan Vongowie opuszczają pokłady swoich statków, nakładając na twarz maski, które nazywacie gnullithami...

- Istnieje lepszy sposób - przerwał Yuuzhanin. - Na pokładzie tego statku znajduje się yorik-trema... coś, co nazywacie ładownikiem.

Solo posłał mu pełne pretensji spojrzenie.

- A ty co, czekałeś, aż cię ktoś poprosi, żebyś to powiedział? - zapytał.

Nom Anor poprowadził szybko rodzinę Solo przez kręty labirynt korytarzy, których pulsujące ściany zdradzały oznaki nadchodzącego uwiądu. Kierował się w stronę bakburty, przykładając prawą dłoń, by otwierać zamki kolejnych rozszerzalnych membran. W końcu trafił do niewielkiej pieczary wyposażonej w zestaw półkolistych śluz.

Otworzył tę, która wyglądała, jakby była ulokowana najbliżej zewnętrznej powłoki statku, i zamasztyłym gestem zaprosił wszystkich do środka.

- Zajmijcie miejsca, a ja w tym czasie uzbroję organ startowy! - powiedział.

Han objął córkę w pasie i skierował się do śluz, ale powstrzymał go Jacen.

- Ten właz nie prowadzi do yorik-tremy - oznajmił spokojnie i wskazał służę usytuowaną bliżej środka statku. - Ta jest właściwa.

Jaina powiodła spojrzeniem po podobnej do groty komorze.

- Jacen ma rację - stwierdziła, kiwnięciem głowy wskazując otwartą przez Onimiego służę. - Ta prowadzi do systemu uzdatniania odpadków.

Młody Jedi zmierzył spojrzeniem Noma Anora.

- Gdybyś nas zamknął w środku, skazałbyś wszystkich na pewną śmierć, a sam mógłbyś dostać się ładownikiem w bezpieczne miejsce - mruknął, a na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie. - A jednak, chociaż usiłowałeś nas zdradzić, zawdzięczamy ci życie, bo chyba nie znalazłbym w porę drogi do tej groty.

Nom Anor przeniósł spojrzenie z pierwszej służy na drugą i odetchnął z demonstracyjną ulgą.

- Dzięki, że wychwyciłeś mój błąd, Jacenie Solo - powiedział. - Ten dzień był dla mnie pełen wrażeń. Najpierw stanąłem na czele zbuntowanych Zhańbionych, później byłem świadkiem śmierci Onimiego, nic więc dziwnego, że pozwoliłem sobie na zwykłe roztargnienie...

Han wyciągnął blaster.

- Daruj sobie - burknął.

Yuuzhanin uniósł ręce, jakby się poddawał.

- To była niewinna pomyłka! - wykrzyknął. - Nie pora teraz na sprzeczkę. - Zaryzykował i podszedł bliżej do Hana. - Musimy dostać się do kapsuły, zanim ten statek...

Skoczył naprzód.

- Uważaj, tato! Jego oko! - wrzasnęła Jaina.

Z plaeryin bola trysnęła struga śmiertcionośnej trucizny. Han był zbyt zaskoczony, żeby odskoczyć czy choćby odepchnąć córkę, ale Jacen w mgnieniu oka stanął między ojcem a Nomem Anorem i śmiertcionośny jad trafił go prosto w twarz.

Lepiej niż mogłem się spodziewać! - pomyślał uradowany Yuuzhanin. Obecnie, kiedy pozbył się najgroźniejszego przeciwnika, mógł bez trudu unieszkodliwić pozostałych. Wyciągnął prawą rękę w kierunku małego palca lewej dłoni i napiął mięśnie, żeby szybko przebiec w inne miejsce groty. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim obezwładniający gaz z fałszywego palca osiągnie pożądany skutek, a w tym czasie chciał przebiec do służy ładownika i uszczelnić właz

za sobą.

Zaledwie jednak złączył dłonie, usłyszał złowieszczy trzask i pomruk zapalanej klingi świetlnego miecza.

W następnym ułamku sekundy energetyczne ostrze broni Leii odcięło jego lewą dłoń w nadgarstku, a on sam osunął się na kolana w przerażeniu i bólu. Najgorsze jednak, że pierwszy podbiegł do niego Jacen Solo... osłabiony wskutek działania jadu plaeryin bola, ale żywy!

- To nie musiało się tak zakończyć - odezwał się ze smutkiem młody Jedi.

Nom Anor zacisnął palce prawej dłoni wokół kikuta lewej ręki.

- Doprawdy, Jeedai! - zadrwił, uśmiechając się z wysiłkiem. - Nawet gdybyś się za mną wstawił, żeby uchronić mnie od śmierci czy dożywotniego więzienia, co jeszcze w życiu by mi pozostało? Jako ateista nie nadaję się do życia w społeczeństwie Yuuzhan Vongów, a moja bezgraniczna pogarda dla Mocy uniemożliwiłaby mi zamieszkanie pośród istot innych ras, które wyznają wiarę w jej istnienie. Czułbym się obco na powierzchni każdej planety. Nawet Yu'shaa, przywódca i Prorok Zhańbionych, był tylko moim jeszcze jednym kłamstwem... kolejną rolę w moim życiu. - Z jego ust wyrwał się ponury chichot. - Maskujące ooglithy nie potrafią ukryć wszystkiego, Jeedai.

W innym miejscu groty Jaina przyciskała bezskutecznie dłoń do organicznego czujnika zamka śluzy.

- Reaguje tylko na dotyk ciała Yuuzhanina - poinformował Nom Anor.

Poczuł na sobie spojrzenie Jacena.

- Więc posłużymy się twoją odciętą dłonią - zawyrokował młody Solo.

Yuuzhanin wypuścił powietrze z płuc i niepewnie wstał. Podszedł do Jainy i przyłożył prawą dłoń do zamka śluzy.

- Wchodźcie - powiedział, kiedy membrana się rozszerzyła. - Ładownik nie będzie żył o wiele dłużej niż statek, który go zrodził.

Rodzice pomogli córce wejść do yorik-tremy. Leia została w środku, a Han, nie wypuszczając blastera z dłoni, wprowadził na pokład syna. Pozostał jednak przed śluzą, jakby się zastanawiał nad podjęciem jakiejś decyzji. Widać było, że zaciska zęby z wściekłości, ale w końcu się odprężył, opuścił blaster i gestem zachęcił Noma Anora, żeby także zajął miejsce na pokładzie ładownika. Yuuzhanin jednak się cofnął i pokręcił głową.

- Jeżeli jestem czegoś w życiu pewny, to tego, że nie chcę mieć nic wspólnego z nowym

porządkiem, jaki niedługo zapanuje w tej galaktyce - stwierdził stanowczo. - Wolę tu zginąć z Onimim, bo od samego początku tej wojny byliśmy podobni do siebie jak dwie krople wody.

Podszedł do Hana, przepchnął go przez służę, przycisnął prawą dłoń do organicznego czujnika zamka, uszczelnił właz i wystrzelił ładownik w pustkę przestworzy.

Przechadzając się tam i z powrotem przed obserwacyjnym bąblem „Yammki”, Nas Choka od czasu do czasu przystawał i kierował pełne niepokoju spojrzenie na statek Shimrry. Zauważył, że kapsuła ratunkowa najwyższego lorda na zmianę przyspiesza i zwalnia, jakby z najwyższym trudem usiłowała się wydostać z atmosfery Yuuzhan'tara.

- Na naszym celowniku pojawił się „Ralroost” - zameldował główny taktyk.

- Zbliża się statek Shimrry - odezwał się najwyższy dowódca z głębi kaptura świadomości. - Mimo to najwyższy lord nadal nie nawiązuje z nami łączności.

Zanim Nas Choka odpowiedział, wymienił spojrzenia z głównym taktykiem.

- Dajmy mu jeszcze trochę czasu - powiedział.

Odwrócił się znów do obserwacyjnego bąbla i zauważył, że statek najwyższego lorda znów zwolnił, a nawet zaczął koziółkować w locie.

- Dovin basal odmówił posłuszeństwa! - wykrzyknął najwyższy dowódca. - Statek Shimrry... rozpada się na kawałki!

Wojenny mistrz nie mógł oderwać spojrzenia od widoku tragedii w najwyższych warstwach atmosfery. Zauważył, że z pęknięć w kadłubie kapsuły ratunkowej najwyższego lorda uchodzą obłoczki powietrza czy innych gazów. Z gniazd z dovin basalami wyciekły płyny, które ciągnęły się za statkiem niczym zamrożone wstęgi. Z każdą chwilą pęknięcia w kadłubie stawały się szersze i głębsze, a kiedy się połączyły, utworzyły sieć szczelin, z których zaczęły wypadać koziółkujące w locie bryły koralu yorik. Kiedy skrzynia Shimrry znalazła się na czele planetarnej floty, eksplodował niczym rozpadająca się planeta, a zanim fala udarowa się rozproszyła, unieruchomiła dziesiątki okrętów yuuzhańskiej floty.

W komnacie dowodzenia „Yammki” zapadła pełna przerażenia cisza. Nas Choka mógł tylko z niedowierzaniem wpatrywać się w szczątki statku Shimrry. Nigdy w długiej historii Yuuzhan Vongowie nie znaleźli się w sytuacji, w której zostaliby pozbawieni najwyższego władcy... jedyne go pośrednika między nimi a bogami. W takiej sytuacji nawet sukces w walce przeciwko Zonamie Sekot przestawał się liczyć, bo pozbawiona Shimrry armada właściwie nic nie znaczyła. Yuuzhan Vongowie zostali odcięci od kontaktu z bóstwami i pozbawieni

możliwości zanoszeni; próśb do YunYuuzhana czy Yun-Yammki o poparcie albo rady. Zgasło światło, które dotąd rozjaśniało wszechświat Yuuzhan Vongów. Śmierć Shimrry oznaczała, że bogowie rzeczywiście porzucili istoty tej rasy i sprzymierzyli się z niewiernymi. Przestali się opiekować Shimrrą, więc automatycznie wszyscy Yuuzhanie stali się Zhańbionymi... nieszczęsnymi istotami, odrzuconymi przez bogów.

Pokonanymi!

Nas Choka czuł na sobie wyczekujące spojrzenia dowódców i podwładnych. Domyślał się, jakie chcieliby zadać mu pytanie... to samo, które cisnęło się na usta wszystkich Yuuzhan Vongów na powierzchni Coruscant i gdzie indziej: czy jest sens nadal toczyć walkę i ginąć, skoro zniknęła nadzieja na zbawienie w przyszłym życiu?

Wojenny mistrz powściągnął dumę, podszedł do chóru villipów i gestem dał znak opiekunce.

- Połącz mnie ze wszystkimi najwyższymi dowódcami - rozkazał i zaczął, aż villipy przenicują się i ukażą podobizny głównych podwładnych. - Wojna zakończona - oznajmił ponuro. - Zostaliśmy pokonani przez bogów i ich sojuszników. Wprawdzie nas porzucili, zniesiemy porażkę z godnością, bo właśnie tego się po nas spodziewają. Jeżeli jednak ktoś woli podążyć śladami najwyższego lorda i zginąć jak wojownik, ma na to moje przyzwolenie, tak samo jak wszyscy, którzy się zdecydują zakończyć życie rytualną śmiercią. Ci, którzy nie wybiorą ani jednego, ani drugiego, mogą przyłączyć się do mnie i zaakceptować hańbę poddania w nadziei, że schwywanie i niełaska egzekucji pozwolą im zachować resztkę godności. Rrush 'hok ichnar vinim 'hok!

Kiedy najwyższy dowódca „Yammki”, główny taktyk i kapłani rozpruwali ciała ostrzami coufee, Nas Choka ostatni raz podszedł do obserwacyjnego bąbla. Piloci koralowych skoczków, patrolowców i krążowników, widocznych na tle zdewastowanej powierzchni Yuuzhan'tara - a może Coruscant - obierali właśnie kurs na zderzenie z najbliższym okrętem Galaktycznego Sojuszu.

„Błądny Rycerz” unosił się nad Zonamą Sekot niczym świeżo wykuty grot strzały, a artylerzyści baterii turbolaserów osłaniali ogniem zmodyfikowane wahadłowce, jachty i łamacze blokady, które wylatywały z dziobowego hangaru. Na widok jednostek Sojuszu Przemysłowców piloci koralowych skoczków, którzy dotąd nękali gwiazdny niszczyciel Boostera, zmienili szyk i puścili się w pościg za łatwiejszym według nich łupem.

Pierwsza wyleciała z hangaru „Ślicznotka”, a tuż za nią „Dziki Karrde”. Pilotując jacht firmy SoroSuub, Lando i Tendra mieli pełne ręce roboty. W pewnej chwili łączność z nimi nawiązał Talon.

- Dwa skoczki po waszej sterburcie! - ostrzegł.

- Widzimy je - odparł Lando do mikrofonu komunikatora i dał znak głową żonie, żeby włączyła generator rufowych pól deflektorowych jachtu.

-Jeżeli zgodzicie się wyświadczyć mi ten zaszczyt... - zaczął Karrde.

- Nie trać czasu na ceremonialne frazesy, Talonie - przerwał Calrissian.

Odepchnął od siebie rękojęść dźwigni drążka sterowniczego i „Ślicznotka” zaczęła opadać w głąb grawitacyjnej studni Zonamy Sekot. Kiedy atmosfera wokół jachtu zgęstniała, kadłub zaczął się szarpać i dygotać. Tendra przywołała na ekrany monitorów kontrolnych konsolet widok przestworzy po stronie sterburty i zobaczyła, że z luf wszystkich trzech turbolaserów koreliańskiego transportowca wylatują śmiertcionośne nitki laserowych strzałów. Lecący dalej od „Ślicznotki” koralowy skoczek, trafiony w środek kadłuba, rozsypał się na kawałki i zniknął. Pilot drugiego yuuzhańskiego myśliwca skrzył ostro na bakburte, żeby zrównać się z jachtem, ale zanim się zbliżył do jego pól ochronnych, został trafiony przez następną serię strzałów z pokładu „Dzkiego Karrde’a” i zniknął w kuli oślepiającego ognia.

- Jesteśmy twoimi dłużnikami - odezwał się Calrissian.

- Prawdą mówiąc, to już drugi raz, ale kto by zawracał sobie głowę takimi drobiazgami - odparł Talon.

Tendra zmniejszyła kąt opadania jachtu i obrała kurs na Średni Zasięg. Nadlatując od wschodu, Calrissianowie mogli mieć nadzieję na uniknięcie kul plazmy, którymi piloci skoczków nadal razili główny kanion. Po dokonaniu poprawki kursu „Ślicznotka”, „Dziki Karrde” i inne jednostki, których piloci spieszyli na ratunek, znalazły się niemal bezpośrednio pod kadłubem „Cienia Jade”. Jacht Mary pozostawał cały czas na stacjonarnej orbicie, ale ślady na kadłubie dowodziły, że jest poważnie uszkodzony.

Wkrótce w dole pomiędzy gęstych białych chmur ukazały się wierzchołki gór, których zbocza porastał gęszcz majestatycznych bora. Na zachód od gór las ustępował miejsca trawiastej równinie, za którą było widać pofałdowany dziewiczy teren, za nim znów jakieś góry, a jeszcze dalej główny kanion, spowity w kłębach gęstego dymu.

Informujący o bliskości jakiegoś obiektu sygnał alarmowy uświadomił obojgu

Calrissianom, że ich „Ślicznotka” zwróciła na siebie uwagę pilotów kilku innych koralowych skoczków, bombardujących dotąd kanion i sąsiadującą z nim dżunglę. Z kłębow dymu nad wąwozem wyłoniły się cztery yuuzhańskie myśliwce, których piloci chcieli chyba zaprosić właścicieli jachtu, aby przyłączyli się do walki.

- Talonie, może będziemy znów potrzebowali twojej... - zaczął Lando, lecz w tym samym ułamku sekundy dwa pierwsze skoczki, trafione przez błyskawice laserowych strzałów, rozpadły się na kawałki i zniknęły w ognistych kulach eksplozji. Piloci dwóch pozostałych nakazali dowin basalom wytworzyć za rufami myśliwców grawitacyjne anomalie, ale czarne dziury przedłużyły życie koralowych skoczków tylko o kilka sekund, bo nie dały rady powstrzymać protonowych torped, które dotarły do myśliwców i rozpyliły je na atomy.

Chwilę później obok kadłuba gwiazdnego jachtu śmignęły dwa czerwone X-wingi. Ich piloci zatoczyli łagodny łuk na południe, zawrócili i położyli myśliwce na ten sam kurs co przemytnicy. Lando nawiązał łączność ze swoimi zbawcami.

- Dzięki w imieniu „Ślicznoki” za zapewnienie nam wolnej drogi - powiedział.
- „Czerwony Dwa” do usług - usłyszał w odpowiedzi dobrze znany głos.
- Wedge! - wykrzyknął zdumiony Calrissian, szeroko się uśmiechając. - Ile smaru musiałeś użyć, żeby ci pozwolono znów zasiąść za sterami tęponosego myśliwca?
- Mniej niż połowę tego, ile musiałbym na początku wojny - odparł Antilles.
- Ta-a, chyba wszyscy przypominamy sobie dawne umiejętności.
Tendra wyciągnęła rękę i lekko poklepała dłoń męża.
- Chciał pewnie powiedzieć, że większość z nas - powiedziała do mikrofonu.
Lando udał, że posyła żonie urażone spojrzenie.
- Gdzie ten zakazony statek, Wedge? - zapytał.
- Powiedz swoim skanerom, żeby spojrzały na północ ku północnemu zachodowi - zaproponował Antilles.

Tendra poleciła, żeby przyrządy przekazały na ekrany monitorów powiększony obraz tamtego wycinka przestworzy. Sześcionogi statek uśmiercicieli, otoczony przez pierścień ośmiu koralowych skoczków, leciał w dół, w kierunku południowej krawędzi kanionu. Sześciu ścigających go pilotów X-wingów Eskadry Czerwonych posyłało ku nieprzyjacielskiej jednostce protonowe torpedy i błyskawice laserowych strzałów. Zamiast odpowiadać pociskami plazmy, Yuuzhan Vongowie wykorzystywali całą energię na wytwarzanie grawitacyjnych anomalii,

którymi osłaniali ze wszystkich stron zakazony statek.

Kiedy Wedge ponownie nawiązał łączność ze „Ślicznotką”, z jego głosu zniknęły resztki wesołości.

- Teraz już nikt i nic go nie powstrzyma - powiedział.

Nagle w sterowni jachtu Calrissianów rozległ się znów alarm informujący o zbliżaniu się jakiegoś obiektu. Lando stwierdził, że system odróżniania wrogów od przyjaciół nie potrafi jednoznacznie zidentyfikować zbliżających się jednostek. Spojrzał przez iluminator.

- Wedge, nasze skanery sygnalizują nieprzyjaciół, ale te jednostki nie wyglądają jak koralowe skoczki - powiedział.

- Bo nimi nie są- odparł rzeczowo Antilles. - Startują z tego lasu pod wami... całe setki!

Lando pochylił się w stronę dziobowego iluminatora. W kierunku jednostek Sojuszu Przemysłowców leciał, wirując w locie, rój podobnych do chrząszczy statków o zielonych skrzydłach i czerwonych pancierzach. Kiedy nieznane jednostki zbliżyły się do „Ślicznotki”, zajęły pozycje po obu burtach i wytworzyły grawitacyjne anomalie. Jacht przechylił się raptownie na bakburtę i zanurkował ku powierzchni żyjącej planety. Lando oderwał dłonie od dźwigni drążka sterowniczego, wytrzeszczył oczy i spojrzał na żonę.

- To nie moja sprawa! - wrzasnął i nawiązał łączność z Antillesem. - Schwyciło nas coś podobnego do promienia ściągającego -zameldował. - Zmusza nas do lądowania na powierzchni planety!

- Żałuję, ale nie mogę wam pomóc - odezwał się Wedge. - Ja także zostałem schwytany.

Corran pierwszy zauważył, że nad tampani na wschód od kanionu unoszą się jakieś statki czy ogromne owady. Wszyscy piloci Jedi, których myśliwce osiadły na lądowisku na skraju wąwozu, obserwowali z zapartym tchem niebo nad głową. Czerwonozielone jednostki śmigały po niebie niczym uwolnione muchy. Posługując się szczypcami i podobnymi do dovinbasalowych anomaliami, ściągały na powierzchnię planety myśliwce Eskadry Czerwonych i jednostki Sojuszu Przemysłowców.

Nad wierzchołki bora, kilka kilometrów na wschód od rycerzy Jedi, opadały także „Ślicznotka”, „Szalony Karrde” i dwa czerwone X-wingi.

- Nie mamy pojęcia, co to może być, Lando - odezwał się Corran do mikrofonu komunikatora. - Nigdy przedtem czegoś takiego nie widzieliśmy.

Do rozmowy przyłączył się Karrde.

- Jeszcze jedna niespodzianka Sekot - zauważył.

- A teraz dobra wiadomość - oznajmił Kyp, pokazując niebo na południe od nich. - Sekot ściga także koralowe skoczki.

Na południowym niebie także roilo się od podobnych do chrząszczy statków, ale Yuuzhan Vongowie nie rezygnowali z walki. W przeciwieństwie do pilotów jednostek Galaktycznego Sojuszu nie zamierzali dać się biernie ściągnąć na powierzchnię i zniszczyli wiele śmigłych jednostek, posyłając ku nim kule plazmy. Lowbacca warknął, a wszyscy się odwrócili i zobaczyli, że w stronę lądowiska kierują się Danni Quee i magister Jabitha. Za nimi podążała może setka zdezorientowanych Ferroan, którzy wyłonili się z jaskiń w ścianie kanionu.

Kyp ruszył w stronę obu kobiet, spotkał się z nimi w pół drogi i spojrzał na Danni.

- Rozmawiałaś z Sekot? - zapytał.

- Tak - wykrztusiła młoda badaczka, ale sprawiała wrażenie zbyt oszołomionej, żeby powiedzieć coś więcej.

Corran wbił spojrzenie w Jabithę.

- Kto pilotuje te owadostatki? - zapytał.

- Sekot - odparła pani magister.

Oslupiały Horn pokręcił głową, jakby niczego nie rozumiał.

- Sądziłem, że nie chciała, aby na jej powierzchni toczyły się jakiegokolwiek walki - powiedział.

- Nie chciała, dopóki nie będzie gotowa wysłać chwytających statków - wyjaśniła w końcu Danni. - Obiecała Jacenowi, że planeta będzie walczyła, jakby nie toczyła walki. - Powiodła spojrzeniem po twarzach rozmówców i zorientowała się, że wszystkim cisną się na usta dziesiątki pytań. - Sekot chce tylko powitać Yuuzhan Vongów w domu - zakończyła.

- W domu? - powtórzyli równocześnie Corran i Kyp.

Nie było czasu na dalsze wyjaśnienia, bo chwytające statki ściągały pomiędzy bora dziesiątki koralowych skoczków... chyba wszystkie z wyjątkiem zakażonej jednostki, którą sześć bezałogowych owadostatków ponownie wypychało w górę grawitacyjnej studni planety.

Jedi, Danni, Jabitha i niektórzy Ferroanie pobiegli w głąb tamпасi, żeby znaleźć się jak najbliżej miejsca lądowania koralowych skoczków. Po pokonaniu dwóch kilometrów do grupy dołączyli Lando, Tendra, Talon, Shada i Wedge, a także kilku innych pilotów Eskadry Czerwonych oraz Sojuszu Przemysłowców.

Biegący na czele grupy Kyp i Corran zauważyli, że w wolnych miejscach między potężnymi pniami balonolistnych bora osiadają koralowe skoczki i chwytające statki, więc na wszelki wypadek zapalili klingi świetlnych mieczy. Zainstalowane w tępych nosach yuuzhańskich myśliwców dovin basale zapuściły w miękki grunt niebiesko żyłkowane, smukłe wąsy. Jakby w odpowiedzi pnącza i pędy winorośli, wijąc się po powierzchni gruntu, wpełzły na chropowate powierzchnie koralowych skoczków. Niektóre wcisnęły się w szczeliny między kadłubami a mikopodobnymi owiewkami i je otworzyły.

Yuuzhańscy piloci zdarli z głowy kaptury świadomości, wyskoczyli z kabin i chwycili krótkie amphistaffy. Jedi precyzyjnie się na czoło grupy, żeby podjąć walkę z nieprzyjaciółmi, ale zamarli, kiedy wężopodobna broń wysliznęła się z dłoni yuuzhańskich pilotów i wijąc się po powierzchni gruntu, zniknęła w gęstym poszyciu. Maski do oddychania i umieszczone na ramionach Yuuzhan taktyczne villipy odpadły od nich niczym dojrzałe owoce, a z bandoletu każdego pilota wyfrunęły dwa tuziny ogłuszających chrząszczy, wzniosły się w powietrze i zniknęły między liśćmi.

Yuuzhan Vongowie gapili się na Jedi niczym przerażone dzieci. Zmuszeni do lądowania na powierzchni nieznannej planety i nienawykli do porażek postanowili zrobić to, co robili zwykle chwytni przez nich jeńcy: osunęli się na kolana. Na wszelki wypadek nisko się pochylili i przyłożyli pięści do ramion.

Kyp pierwszy wyłączył energetyczne ostrze świetlnego miecza, a pozostali Jedi poszli w jego ślady.

Cilghal odetchnęła z ulgą i objęła Danni w pasie.

- Ci wojownicy będą pierwszymi neofitami - oznajmiła. - A to miejsce stanie się uświęcone.

Zachwycony niezwykłym widokiem Kyp klepnął Corrana po ramieniu.

- Planeta została ocalona przed zniszczeniem - powiedział.

Yorik-trema szybko konał. Przestał przyspieszać i zaczął koziołkować w locie. Odpowiadające za wytwarzanie atmosfery formy życia także odmawiały posłuszeństwa, podobnie jak zapewniające oświetlenie bioluminescencyjne mchy, porastające ściany i grodzie.

- Przestał mnie słuchać - oznajmiła Jaina ze stanowiska pilota.

Przezroczysty bąbel owiewki przysłoniła grubiejąca w oczach katarakta, ale Han i Leia wciąż jeszcze widzieli lecący obok yuuzhańskiego ładownika charakterystyczny dysk „Sokoła

Millenium”, któremu towarzyszyły dwa X-wingi z osmalonymi miejscami na pokierszowanych kadłubach. Han zgrzytnął zębami.

- Pospiesz się, Maro - mruknął do siebie. - Włącz generator promienia ściągającego!

- To nic nie da - stwierdziła Jaina, zdejmując z głowy wiotczący kaptur świadomości. - Naszą jedyną szansą jest dostanie się na pokład „Sokoła”. - Odwróciła głowę i powiodła spojrzeniem po nieregularnie pulsującym pulpicie kontrolnej konsoli. - Zostało w niej tylko tyle życia, żeby statek wypuścił pępowinę - oznajmiła.

- O, nie - jęknął Han. - Tylko nie to.

Jaina musnęła jedną z organicznych wypustek, która wyrastała z pulpitu konsoli, a kiedy środek ściany zatłoczonej kabiny zwiotczał z obrzydliwym mlaśnięciem, zaczęła się z niej tworzyć osmotyczna membrana. Han spoglądał na powiększający się krąg z coraz większym przerażeniem. Wyobrażał sobie, jak z zewnętrznej powłoki kadłuba małego statku wyrasta podobny do organicznej rury rękaw cumowniczy i kołysze się we wszystkie strony w przestworzach, żeby przyłgnąć do sterburtowego pierścienia cumowniczego albo górnego włazu „Sokoła”.

W końcu starania yorik-tremy zostały ukończone powodzeniem. Ładownik połączył się z frachtowcem i przestał koziółkować. Pokładowa membrana otworzyła się jak tęczęwka i do kabiny napłynął przyprawiający o mdłości odór gnijących odpadków organicznych.

Han zacisnął prawą dłoń na ustach.

- Skąd możemy wiedzieć, że pępowina przylega ściśle do otworu włazu? - zapytał.

- Na pewno nie idealnie ściśle, tato, ale połączenie jest na tyle trwałe, że przeżyjemy - zapewniła Jaina. Jacen zjrzał w głąb ciasnej pulsującej rury.

- Trzeba będzie pełznąć - oznajmił.

Han zbladł jeszcze bardziej i sposepniał.

- Chyba tego nie zniósę - powiedział. - To za dużo nawet dla mnie.

Księżniczka posłała mu wyrozumiałe spojrzenie.

- Pójdę pierwsza, jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej - zaproponowała.

- Poczujęm się lepiej, gdybym miał pod ręką próżniowy skafander - odparł Solo.

Leia pogładziła go po zarosniętym policzku.

- Odwagi, kochanie - powiedziała.

Opadła na kolana, precyzyjnie się przez membranę i zaczęła czołgać się na czworakach

przez rurę. Han zaczerpnął tyle powietrza, ile mógł, i podążył za nią. Wkrótce jego dłonie pograżyły się po nadgarstki w pokrywającą dno rury warstwę cuchnącej galarety. Dwie minuty później stracił z oczu żonę, za to jego dłonie natrafiły na lity metal włazu „Sokola”.

Ociekając mazią i cuchnąc niczym sterta odpadków, wszyscy czworo precyzyjnie się wreszcie przez sterburtową służę frachtowca, za którą czekali już na nich Kenth, Harrar, C-3PO i R2-D2.

- O rety - odezwał się protokolarny android. - Zaraz uruchomię natrysk soniczny R2-D2 zakłócał się na nogach, zagwizdał i zaświergotał.

Zaledwie Kenth uszczelnił właz, przez dziobowy przedział przebiegła Mara. Odwróciła się i krzyknęła do obojga Noghrich i Tahiri, że wszyscy znaleźli się na pokładzie.

- Gdzie wujek Luke? - zaniepokoił się Jacen.

Mara chwyciła go za rękę i pociągnęła do rufowej kabiny, gdzie Luke spoczywał na jednej z palet do spania. Han, Leia i Jaina wcisnęli się za nimi do niewielkiego pomieszczenia.

Jacen uklęknął obok mistrza Jedi i ostrożnie usunął opatrunek, którym Kenth przykrył głęboką ranę po lewej stronie piersi Skywalkera. Luke był blady jak nieboszczyk, a jego wargi i nasady paznokci przybrały sinawy kolor. Z wysiłkiem oddychał i miał zamknięte oczy.

- Amphistaff Shimrry - stwierdziła zatroskana Mara. Jacen spojrzał na nią i kiwnął głową.

- Widziałem, jak go ukąsił - powiedział. 1 Mistrzynie Jedi przyłożyła dłonie do oczu i się rozplakała. Młody

Solo oderwał jej mokre od łez palce od twarzy i przycisnął je do rany na piersi wuja. Przytrzymał je tam jakiś czas i cofnął ręce tylko na tyle, żeby i jego łzy mogły wpaść do rany.

W pewnej chwili mistrz Jedi zaczerpnął głośno powietrza, zamrugał i otworzył oczy, a jego pierś przeniknęło spazmatyczne drżenie. Mara zaszlochała głośniejsze i położyła głowę na piersi męża, a Luke uniósł powoli lewą rękę i pogładził japo złocistorudych włosach.

- Będę żył, kochanie - odezwał się cicho.

Leia uklękła obok palety, objęła syna i szwagierkę i także się rozplakała. Han przełknął kluchę, jaka utkwiała w jego gardle, i objął Jainę. Ojciec z córką pochylili się tak nisko, że mało brakowało, a położyliby się na Leii i Jacenie.

C-3PO i R2-D2 pojawili się na progu kabiny w samą porę, żeby zobaczyć, jak Skywalkerowie i Solo ronią łzy. Astromechaniczny robot wydał melodyjny dźwięk, wyrażający

chyba radość i niepewność.

- Wiem, Artoo - odezwał się cicho C-3PO. - Bardzo rzadko zdarza mi się zazdrościć istotom ludzkim, ale to właśnie jedna z niewielu chwil, kiedy chciałbym się znaleźć na ich miejscu.

IV - NOWY ŁAD

ROZDZIAŁ 43

Lecąc dwa metry nad powierzchnią gruntu między ruinami świętego kwartału, wojskowy śmigacz przemykał w kierunku operacyjnego stanowiska dowodzenia, usytuowanego na północnym skraju miejsca, które zaledwie dwa lata wcześniej było Dzielnicą Legislacyjną. Na oparciu za tylnymi fotelami siedział admirał Kre'fey. Jego śnieżnobiała sierść falowała na wietrze, a krótka peleryna dowódcy łopotała za plecami niczym flaga. Po obu stronach Bothanina siedzieli jego bothańscy doradcy. Napędzanym przez repulsory pojazdem kierował mężczyzna w stopniu porucznika, a obok niego zajmowała miejsce twi'lekańska artylerzystka, która nie odrywała dłoni od mechanizmu spustowego zainstalowanego z przodu samopowtarzalnego blastera. Nękające nieco wcześniej powierzchnię planety ulewne deszcze ustały, ale między yuuzhańskimi budowlami krętymi ścieżkami, zwanymi przez nieprzyjaciół ulicami, wciąż jeszcze płynęły strumienie wody. Śmigacz mijał kolumny przemokniętych piechurów, których buty lub gołe nogi były pokryte skorupą gliny. Na szczęście deszcz spłukał z powietrza przynajmniej część popiołu i sadzy, pochodzących ze spalonego koralu yorik.

Kre'fey nigdy nie darzył Coruscant szczególną sympatią, ale wypadało odbyć rekonesans po powierzchni zdobytej planety, za której odzyskanie Sojusz zapłacił bardzo wysoką cenę. Szacowano, że podczas walk zginęło niemal pięć milionów żołnierzy, a co najmniej dwukrotnie więcej zostało rannych. Zniszczeniu uległo ponad trzysta okrętów liniowych i jedenaście tysięcy gwiazdnych myśliwców.

Chyba nikt nie potrafiłby podać liczby ofiar całej wojny, ale najczęściej mówiło się o

trzystu sześćdziesięciu pięciu bilionach. Sień Sow mianował generałów Farlandera i Bela Iblisa dowódcami oddziałów okupacyjnych, więc Kre'fey miał nadzieję, że będzie mógł przed nocą wrócić na pokład „Ralroosta”.

Szczałki yuuzhańskiej armady wciąż jeszcze unosiły się jakieś dwa miliony kilometrów od Coruscant, więc i grupy szturmowe Sojuszu musiały pozostawać na stacjonarnych orbitach nad planetą. Kiedy Yuuzhan Vongowie zgodzili się w końcu na zawieszenie broni, powodem był nie tyle brak dyscypliny czy koordynacji, ile utrata nadziei na ostateczne zwycięstwo, niemal namacalne poczucie przygnębienia i rozpacz. Po śmierci Shimrry dowódcy setek yuuzhańskich okrętów kazali im popełnić samobójstwo albo skierowali je jak żyjące pociski ku okrętom Galaktycznego Sojuszu. Inne jednostki yuuzhańskiej floty po prostu opuściły pole bitwy, żeby przeskoczyć przez nadprzestrzeń do nieznanym gwiazdnych systemów. Setki obronnych dovin basali Coruscant nadal wytwarzało grawitacyjne anomalie, więc piloci jednostek desantowych i wahadłowców Sojuszu musieli korzystać ze ściśle określonych wektorów lądowania. Mimo to na niebie nad świętym kwartałem roiło się od statków medycznych i patrolowców, a z każdą godziną więcej ich opadało w głąb grawitacyjnego leja planety.

Coruscanie różnych ras stali po obu stronach rozmiękłych ulic albo czekali w długich kolejkach przed prowizorycznymi ośrodkami medycznymi, składami żywności i punktami potwierdzania tożsamości. Kiedy konwój śmigaczy Kre'feya leciał na południe od Zachodniego Portu, istoty człekokształtne i obce witały „wybawcę Coruscant” wymachiwaniem rąk, radosnymi okrzykami albo nieporadnymi salutami.

Każda dzielnica była patrolowana przez piesze oddziały komandosów, przeszukujących - budynek po budynku - wszystkie pomieszczenia, żeby nie dopuścić do kradzieży, których mogli dokonywali zarówno Coruscanie, jak i Yuuzhan Vongowie. Heretycy, którzy przyłączyli się do komórek ruchu oporu, pracowali jako tłumacze, a także treserzy zwierząt zdolnych do wykrywania szpiegów i maruderów noszących maskujące ooglithy. Na każdym rogu piętrzyły się stosy nieprzyjacielskiej broni, którą miały unicestwić wysłużone roboty kroczące typu AT-AT i miotacze płomieni. Ogromne automaty burzące i koparki odsłaniały wejścia do labiryntów pomieszczeń, do których od razu zapuszczały się dziesiątki wojennych androidów typu ZYV. Gdziekolwiek ekipy specjalistów wznosiły prowizoryczne ośrodki komunikacyjne dla zapewnienia łączności z satelitami umieszczonymi na orbitach.

Na świętym wierzchołku Cytadeli, na koralowej kopule Studni Mózgu Świata i wielu

innych słynnych konstrukcjach Yuuzhan Vongów zatknięto flagi Galaktycznego Sojuszu, ale w kilku dzielnicach, w których pozbawieni villipów dowódcy wojowników nie otrzymali wiadomości o śmierci Shimrry, wciąż jeszcze toczyły się zacięte walki. Sytuację komplikowało to, że święty kwartał podzielono na kilkanaście okupacyjnych stref i nadzór nad każdą powierzono istotom innej rasy. Wszyscy dążyli do tego samego celu, czyli do pacyfikacji planety, ale pod warstwą bujnej roślinności kryło się wciąż jeszcze tyle cennych urządzeń, że trzeba było rozparcelować teren w miarę możliwości sprawiedliwie.

Walcząc ze smutkiem i niepewnością, Kre'fey kierował usiane złotymi cętkami oczy na wszystko, co go otaczało. Kierowca jego śmigacza omijał rumowiska i stosy szczątków i przelatywał ze świstem nad prowizorycznymi mostami, które saperzy przerzucili nad przepastnymi kanionami Coruscant.

Bothanin zadawał sobie pytanie, czy tak powinna wyglądać nagroda, jaką zamierza wręczyć członkom Sojuszu jako dowód, że życie może znów wrócić do normy.

Jednak w zdumienie większe niż gąszcze yuuzhańskich drzew, ngdiny zlizujące krew z ulic czy roboty kroczące typu AT-AT stojące ramię w ramię z sześcionogimi zwierzętami Yuuzhan Vongów wprawił go widok wielkiego admirała Gilada Pellaeona i sześciu najwyższych stopniem oficerów jego sił zbrojnych, oglądających miejsce, w którym kiedyś się wznosił Pałac Imperialny.

Dawniej byliśmy wrogami, a teraz niewątpliwie staliśmy się sojusznikami, pomyślał.

Na stadionie sportowym, który Yuuzhan Vongowie nazwali placem Kości, trzymano pod strażą setki więźniów, ale tysiące innych uniknęło aresztowania i uciekło na pustkowiu, w jakie przemieniła się planeta. Po drugiej stronie jej powierzchni broniły się jeszcze całe bataliony wojowników. Podobno dowódcy tych jednostek przysięgali, że będą walczyli do ostatka, a Kre'fey nie widział powodu, żeby wątpić w ich słowa.

Nadal niepokoiły go pytania i wątpliwości. Zastanawiał się, jaki los powinien zgotować Zhańbionym i heretykom, yuuzhańskim cywilom i dzieciom, Mózgowi Świata, zwierzętom i innym formom yuuzhańskiego życia. Kilku jego najwyższych stopniem dowódców radziło, żeby zlikwidować na Coruscant absolutnie wszystkie obce formy życia, inni chcieli zachować w dotychczasowym stanie przynajmniej część planety, a byli i tacy, którzy pragnęli przekształcić powierzchnię byłej stolicy galaktyki w coś na kształt pomnika albo muzeum, w jakie przekształcono Ithora, Baraba Jeden, Nowego Plymptona i kilka innych planet.

Mimo radosnych okrzyków i nieporadnych salutów Kre'fey nie czuł się więc jak zbawca, a tym bardziej nie jak bohater... przynajmniej na razie. Bothańska deklaracja ar'krai, totalnej wojny, nie była tylko czczą pogrózką, co oznaczało, że zdaniem jego ziomków powinien dążyć do eksterminacji Yuuzhan Vongów. Nie wszyscy główni dowódcy Galaktycznego Sojuszu mieli na ten temat podobne zdanie, a obecnie, kiedy miało wejść w życie zawieszenie broni, o dalszych losach najeźdźców zamierzali decydować politycy. Kre'fey zawsze uważał, że przywódca Galaktycznego Sojuszu Cal Omas jest człowiekiem uczciwym i szlachetnym. Mimo to Alderaanin, chociaż na ogół miewał dobre zamiary, nie zawsze dawał sobie przemówić do rozsądku. Sytuację komplikowało to, że w skład jego organu doradczego, zwanego czasem Nową Radą, wchodziło sześcioro Jedi, Caamasjanka i Wookie. Większość miała własne pomysły na to, czym powinna zakończyć się wojna, więc osiągnięcie porozumienia w tej sprawie mogło zająć wiele miesięcy albo nawet lat.

Śmigacz wylądował przed główną kwaterą Sojuszu, budynkiem zbudowanym w klasycznym stylu Starej Republiki, nieco wcześniej częściowo uwolnionym przez lasery i pociski od warstw roślinności Yuuzhan Vongów. Mimo to na dachu wciąż jeszcze krzewiły się yuuzhańskie drzewa, a pędy winorośli oplatały ozdobne kolumny i zapuszczały się w głąb pozbawionych ram otworów okien.

Kre'fey przeszedł szybko obok kwatermistrzów, łącznościowców, analityków, informatyków, protokolarnych androidów i robotów—myszy. Doradcy wprowadzili go do nie całkiem uporządkowanego pomieszczenia, które miało służyć jako kwatera generała Farlandera. Pośrodku wolnej przestrzeni stał holoprojektor, a w stożku błękitnego światła widać było zmniejszone do połowy naturalnej wielkości wizerunki Siena Sowa i Cala Omasa. W ciągu prawie całego okresu bitwy o Coruscant wybrani przedstawiciele nieustannie przenosili się z miejsca w miejsce i raz po raz wskakiwali do nadprzestrzeni albo z niej wyskakiwali, ale w ciągu ostatnich czterech dni Alderaanin i pozostali znaleźli schronienie na powierzchni Contruuma.

- Gratulujemy, admirale Kre'fey - odezwał się Omas, kiedy Bothanin stanął w polu widzenia obiektywu holokamery. Dzięki panu odzyskaliśmy stolicę galaktyki.

- W nieszczególnym stanie, panie przewodniczący - przypomniał Kre'fey.

Sow mruknął, jakby się zgadzał z jego zdaniem.

- Niemniej wszyscy doceniamy pańskie starania - powiedział. -Jak właściwie wygląda tam sytuacja, Traest?

- Zbliżamy się do punktu, w którym trudna sytuacja przeradza się w beznadziejną - odparł Kre'fey.

- Czy dowódcy okrętów yuuzhańskiej floty zmienili nastawienie?

- Zaprzeczam.

- Jakież wiadomości od Nasa Choki?

Bothanin wypuścił powietrze z płuc.

- Dowódcy yuuzhańskich okrętów, wciąż jeszcze toczący walkę w przestworzach, spuścili z tonu, ale na razie nie mamy żadnej wiadomości od Nasa Choki - powiedział. - Wojenny mistrz ściągnął resztki swoich sił zbrojnych z przestworzy Zonamy Sekot i Muscave, lecz nie skierował ich przeciwko Coruscant ani nie wycofał.

- Jak ci się wydaje, Traest, na co on czeka? - zapytał Sullustanin.

- Yuuzhanie jeszcze nigdy w historii nie ponieśli porażki... a tym bardziej nie stanęli w obliczu niespodziewanej śmierci swojego najwyższego lorda - zaczął Bothanin. - W normalnych warunkach dysponowaliby grupą ewentualnych następców, spośród których jeden zostałby wybrany przez kapłanów i mistrzów przemian, żeby zasiąść na tronie. Najwyżsi dostojnicy kierowaliby się znakami i przepowiedniami, a każdy potencjalny następca musiałby się wykazać określonymi predyspozycjami. W tej chwili to wszystko i tak nie ma znaczenia, bo Shimrra sam się postarał, żeby nikt nie skorzystał na jego śmierci. Arcykapłan Drathul także nie żyje, więc Nas Choka jest najwyższym stopniem dostojnikiem. Problem w tym, że nie cieszy się większym poparciem niż arcykapłan Jakan czy mistrzyni przemian Qelah Kwaad, którzy przebywają pod naszą strażą. Pośród niższych stopniem prefektów i konsulów rozpoczęła się walka o władzę, ale mało prawdopodobne, żeby którykolwiek został oficjalnie uznany za następcę tronu. Co więcej, większość Zhańbionych i heretyków uważa, że tylko my możemy im zapewnić ratunek, ochronę i coś w rodzaju odkupienia.

Sow umilkł i chwilę się zastanowił nad analizą Kre'feya.

- Czy gdyby Nas Choka zdecydował się zerwać zawieszenie broni i rozpocząć szturm, nasze floty dadzą mu radę? - zapytał w końcu.

- Prawdopodobnie tak, ale poniesiemy niewyobrażalne straty - odparł Bothanin.

- Nie zamierzasz go zaatakować? - zapytał ostrożnie Omas.

Kre'fey pokręcił głową.

- W tej chwili nie - powiedział. - Do rana nie mamy jak nawiązać łączności z wojennym

mistrzem, ale w końcu udało się nam przekonać najwyższego dowódcę nieprzyjacielskiej floty obronnej Coruscant, żeby został oficerem łącznikowym między nami a Nasem Choką i skontaktował się z nim za pomocą villipów.

- Czy możemy mieć nadzieję na kapitulację Yuuzhan Vongów, panie admirale? - zapytał Alderaanin.

Kre'fey pogładził się po twarzy w geście oznaczającym niezdecydowanie.

- Jak już wspomniałem, panie przewodniczący, nieprzyjaciele nie mają protokołów umożliwiających im kapitulację - powiedział. - Spodziewają się, że zachowamy się jak oni w podobnej sytuacji... czyli zabijemy większość, a pozostałych weźmiemy do niewoli.

Omas zmarszczył brwi.

- Tyle lat toczą z nami walki i jeszcze nas nie rozumieją... - zaczął, ale zaraz umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. - Admirale, czeka pana niewdzięczne zadanie przekonania dowódców i podwładnych, że nic nie zyskamy na wymordowaniu Yuuzhan Vongów.

Kre'fey zacisnął wargi.

- Panie przewodniczący, w ciągu ostatnich lat nieprzyjaciele traktowali nas jak barbarzyńcy, więc wielu niższych stopniem dowódców marzy o odwecie i nie zechce słyszeć o okazaniu im współczucia - powiedział. - Spodziewam się jednak, że przynajmniej niektórych ruszy sumienie, a pozostali pójdą wcześniej czy później w ich ślady. Obawiam się także, że nakłonienie Yuuzhan Vongów na okupowanych planetach do kapitulacji bez walki okaże się niemożliwe. Na razie villipy przekazują wiadomość o śmierci Shimrry na planety usytuowane wzdłuż inwazyjnego korytarza Yuuzhan Vongów. Wiem, że nieprzyjaciele szykują się do opuszczenia kilku gwiazdnych systemów, ale i tak czeka nas niezwykle trudne zadanie.

- Czy Zonama Sekot przeżyła bitwę? - zainteresował się Sow.

Kre'fey parsknął.

- Nie tylko przeżyła, ale odniosła triumf - oznajmił z dumą. - Wcześniej sobie tego nie uświadamiałem, ale to właśnie na niej spoczywał główny ciężar bitwy o Coruscant. Gdyby z jakiegoś powodu Yuuzhan Vongom nie zależało tak bardzo na zniszczeniu żyjącej planety... No cóż, wystarczy powiedzieć, że nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy.

- Dotarły do nas plotki, jakoby Yuuzhan Vongowie mieli dwóch najwyższych władców... - zaczął Omas. - Podobno ten drugi był kimś w rodzaju szarej eminencji. -

Bothanin pokiwał głową.

- Ja też słyszałem te pogłoski - powiedział. - Na razie jednak jeszcze nikt ich nie potwierdził.

- Mówi się także o jakimś statku zakażonym Alphą Red.

- To akurat jest prawda, panie przewodniczący - przyznał Kre'fey. - Zatruty statek wymknął się nam w przestworzach Caluuli. Yuuzhan Vongowie usiłowali bezskutecznie wykorzystać naszą broń biologiczną przeciwko Zonamie Sekot, ale wszystko wskazuje, że statek został wypchnięty w głąb przestworzy. W tej chwili szukają go piloci naszych jednostek, żeby ustalić, czy trucizna jest nadal aktywna.

- Proszę kontynuować te poszukiwania, panie admirale - polecił Alderaanin.

Kre'fey ponownie pokiwał głową.

- Panie przewodniczący, jeżeli mamy się spodziewać kapitulacji, powinien pan wyznaczyć kogoś do negocjowania jej warunków - powiedział.

- Wielu nalega, żebym poprosił o pomoc Jedi - stwierdził Omas. Bothanin się skrzywił.

- Panie przewodniczący, czy to rozsądne w świetle tego, co powiedział na powierzchni Contruuma mistrz Skywalker? - zapytał. - Oświadczył wówczas, że oddałby Coruscant Yuuzhan Vongom, gdyby przypuszczał, że to pozwoli zakończyć wojnę.

Alderaanin parsknął krótkim śmiechem.

- Nigdy nie traktowałem poważnie tamtej uwagi Skywalkera - przyznał. - Musimy jednak podjąć decyzję o przyszłości i znaczeniu tej planety. Może sam fakt jej odzyskania wystarczy, żeby się stała symbolem naszej jedności?

- Z całym należnym szacunkiem, panie przewodniczący - odezwał się Kre'fey z powagą.

- Nie możemy pozwolić, żeby Yuuzhan Vongowie zachowali chociaż kilometr kwadratowy jej powierzchni. Nawet jeżeli następne sto lat Coruscant nie będzie się nadawała do zamieszkania, jej znaczenie dla stabilności Galaktycznego Sojuszu pozostanie ogromne. Istoty żadnej rasy nie będą się czuły bezpiecznie, jeżeli Yuuzhan Vongowie pozostaną uwięzieni pośrodku naszej galaktyki. Coruscant musi być uważana nie tylko za symbol naszego zwycięstwa, ale także likwidacji zagrożenia i przywrócenia ładu.

- Zgadzam się z panem, admirale - przyznał Omas podobnie poważnym tonem. - Mimo to musimy podjąć decyzję, co zrobić z Yuuzhan Vongami... nie wystarczy ich rozbroić i odesłać z powrotem w głąb pustki międzygalaktycznych przestworzy.

- Podejrzewam, że woleliby raczej zginać niż tam wrócić - stwierdził Kre'fey. - Tak czy

owak, nie mamy dość jednostek, żeby ich eskortować, kiedy będą odlatywali z tej galaktyki.

- Niektórzy zaproponowali, żeby ich uwięzić na pokładach własnych okrętów - oznajmił Sow.

- Takie rozwiązanie mogłoby dotyczyć tylko wojowników - skrzywił się znów Bothanin.

- Czy jednak naprawdę zamierzamy tam przetrzymywać każdą Yuuzhankę, każde dziecko i każdego Zhańbionego? Czy nie skazalibyśmy ich na powolną śmierć, zamiast wymyślić praktyczne rozwiązanie?

Alderaanin westchnął.

- Osobom, którym powierzyłem troskę o nasze finanse, nie uśmiecha się pomysł wydawania bilionów kredytów na uwięzienie wojowników, których nie da się zresocjalizować - powiedział.

Kre'fey odwrócił się w stronę wizerunku Cala Omasa.

- Panie przewodniczący, czy planuje pan ustanowienie trybunału w celu osądzenia winnych zbrodni wojennych? - zagadnął.

- Rozważamy powołanie do życia takiej komisji, panie admirale - przyznał Alderaanin. - Kogo, według pana, należałoby przed nią postawić?

- Moglibyśmy zacząć od Nasa Choki - zaproponował Bothanin.

Sow pokręcił głową.

- Będziemy go potrzebowali, jeżeli naprawdę chcemy podporządkować sobie kastę wojowników - powiedział. - Stawiając go przed takim trybunałem, zrobilibyśmy sobie z nich wrogów, którzy będą walczyli z nami do śmierci.

- Zgadzam się z admirałem Sowem - stwierdził Omas. - Shimrra nie żyje, podobnie jak Tsavong Lah, Nom Anor i większość członków Brygady Pokoju... Najważniejsze jednak, w jaki sposób oddzielić „zbrodniarzy wojennych” od religijnych fanatyków. Czy powinniśmy dążyć do odszukania dowódców odpowiedzialnych za napadanie na statki z uchodźcami? Albo tych, którzy ponoszą bezpośrednią odpowiedzialność za śmierć setek milionów zakładników na powierzchni Coruscant? Wszyscy są winni... wszystkie istoty tej rasy. Gdybyśmy naprawdę zamierzali wszczynać postępowanie sądowe przed takim trybunałem, równie dobrze moglibyśmy zacząć od ich bogów.

Kre'fey pozwolił, żeby cisza się przeciągnęła.

- Panie przewodniczący, nadal mamy Alphę Red - przypomniał w końcu.

Alderaanin pokiwał ponuro głową.

- Doceniam pańską odwagę, admirale, że pierwszy zdecydował się pan o tym wspomnieć - zaczął. - Alpha Red przestała być jednak opcją w tej wojnie. Decyzji o użyciu biologicznej broni nie może podejmować jedna, trzy czy nawet sto osób. Obiecuję jednak, że o wszystkich innych sprawach porozmawiam z członkami nowej Rady Jedi.

Kre'fey z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Mam nadzieję, że wyniknie z tego coś mądrego - powiedział.

Prawdopodobnie na powierzchniach wielu planet świętowano hucznie zwycięstwo nad Yuuzhan Vongami, ale na niebie nad Zonama Sekot świeciły w nocy tylko gwiazdy, a w dzień odległy krąg słońca systemu Coruscant.

- Ochładza się - zauważył Luke, kiedy razem z Harrarem podążał za Jacenem między ogromnymi bora. - Większa część energii, którą Sekot poświęcała przedtem na ogrzewanie powierzchni, została wykorzystana do zasilenia stanowisk artylerii na wierzchołkach najwyższych gór. Jeżeli Zonama nie chce ryzykować zaniku życia w tamtasi, nie może pozostać długo na tej orbicie.

- Może właśnie o tym chce Sekot z nami rozmawiać - stwierdził Harrar. - Pewnie zamierza skierować Zonamę na bardziej przyjazną orbitę.

Jacen obejrzał się przez ramię na yuuzhańskiego kapłana.

- Wkrótce się tego dowiemy - powiedział. - Lustrzany staw jest już niedaleko.

Młody Solo wspominał o tym miejscu kilka razy, a Luke, który nigdy tam nie był, bardzo chciał je zobaczyć. Propozycję spotkania na brzegu stawu wysunęła Sekot i przekazała ją ustami magister Jabithy, która odwiedziła oboje Skywalkerów w ich jaskini.

Mistrz Jedi czuł się, jakby przespał cały tydzień od przybycia „Sokołem Millenium” na powierzchnię żyjącej planety. Jacen zneutralizował wprawdzie większość trucizny, jaka dostała się do organizmu wuja po ukąszeniu przez amphistaffa Shimrry, ale Luke nie wrócił jeszcze w pełni do sił i zachodziła obawa, że może nigdy całkowicie nie wyzdrowieje. Jego ciało odzyskiwało każdego dnia więcej siły, dzięki czemu mistrz Jedi mógł dotrzymać kroku siostrzeńcowi i Harrarowi na nierównym gruncie, lecz trucizna zakłóciła jego metabolizm i Luke musiał pobierać niewielkie porcje energii Mocy, żeby nie stracić resztki sił. Istniało prawdopodobieństwo, że po jakimś czasie jego ciało pozbędzie się samo resztek jadu, ale mistrz Skywalker przypuszczał, że kiedy wężopodobna broń zatopiła kły w jego piersi, wyrządziła mu

nieodwracalną krzywdę. Podobnie jak to było z Marą, leczące łąy nie mogły do końca przywrócić zdrowia. Luke wiedział dobrze, że tocząc walkę w bunkrze Shimrry, zapuścił się bardzo blisko granicy ciemnej strony, której jad był równie niebezpieczny jak trucizna królewskiego amphistaffa. Nie żałował, że nie przekroczył tej cienkiej jak ostrze brzytwy linii, ale wiedział w głębi serca, że dla zapewnienia bezpieczeństwa Jacenowi albo Jainie zbliżyłby się do niej jeszcze bardziej.

Niepokoił się jednak, bo widział, że i oni chyba ucierpieli w wyniku konfrontacji z Onimim... najwyższym lordem Onimim. Rozmawiając z Lukiem na osobności, kilkoro Jedi i Ferroan zwróciło mu uwagę, że Jacen się postarzał, a tego ranka sam mistrz Jedi usłyszał wypowiedane szeptem uwagi, jakoby Jaina nagle spowaźniała. Ani Leia, ani Han nie rozmawiali na ten temat z Lukiem, ale mistrz Jedi widział niepokój na ich twarzach. Z drugiej strony jednak, kto nie ucierpiał w taki czy inny sposób w wyniku wydarzeń, jakie miały miejsce na powierzchni Coruscant czy Zonamy Sekot?

W końcu sama żyjąca planeta także ucierpiała, a najbardziej jej Średni Zasięg. Zamieszkujący tam Ferroanie robili wszystko, co możliwe, aby odbudować domostwa i nie zważając na lodowate powietrze, przywrócić dawną świetność przyrodzie. Wielu spośród kilkudziesięciu yuuzhańskich wojowników, których Zonama Sekot ściągnęła siłą na powierzchnię, wyglądało na zdezorientowanych. Harrar starał się ich przekonać, żeby opuścili miejsce, w którym osiadły ich koralowe skoczki, ale wojownicy wyraźnie nie byli pewni, czy powinni się uważać za więźniów, czy za gości. Obecność Jedi potwierdzała ich najgorsze obawy - choć z tego właśnie cieszyli się heretycy - że bogowie sprzymierzyli się z Jedi w celu zagłady Yuuzhan Vongów. Mimo to kilku wojowników, którzy chyba się nawrócili, starało się przekonać poniżonych towarzyszy, że wyczuwają bogów w smaku wody, zapachu gruntu pod stopami, szumie wiatru nad głowami i widoku otaczających ich wielkich bora. Zaczynali uważać żyjącą planetę za odzyskany raj i zachęcali Luke'a, żeby przekazał ich opinię yuuzhańskim dostojnikom... gdyby mistrz Jedi zgodził się zostać pośrednikiem podczas rozmów o kapitulacji, jak życzyli sobie przywódcy Galaktycznego Sojuszu.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił niespodziewanie Jacen.

Skręcił i poprowadził Luke'a i Harrara krótką ścieżką wiodącą stromo w dół i kończącą się na brzegu okolonego przez olbrzymie bora spokojnego stawu. Luke zauważył, że powierzchnię wody przy brzegu pokrywa cienka skorupa lodu. Spodziewał się, że spotka tu tylko

myślową projekcją Sekot, prawdopodobnie Anakina albo Vergere, ale zamiast nich zobaczył Jabithę, która jakimś cudem dotarła na miejsce pierwsza, zupełnie jakby doszła z kanionu krótszą drogą.

- Części tego, co zamierzam wam powiedzieć, zapewne do tej pory już się domyśliliście - zaczęła Sekot ustami pani magister, kiedy Luke, Jacen i Harrar stanęli na brzegu stawu. - Zwłaszcza tego, co dotyczy Yuuzhan Vongów.

- Powiedziałaś Danni, że chcesz powitać ich w domu - przypomniał mistrz Jedi. - Czyżbyś sugerowała, że Zonama jest rzeczywiście pradawną ojczyzną istot tej rasy?

- Chociaż przebyłam długą drogę od świadomości, która tu drzemała... świadomości mojego rodzica... Zonama jest rzeczywiście nasieniem Yuuzhan'tara, planety, która zrodziła Yuuzhan Vongów i stała się załącznikiem ich bogów - odparła Jabitha.

- Pragnąłem w to wierzyć, ale nie śmiałem... - zaczął oszołomiony Harrar.

- Gdzie znajduje się w tej chwili Yuuzhan'tar? - zapytał Jacen.

- Mam nadzieję, że z czasem będę mogła udzielić odpowiedzi i na to pytanie - odrzekła świadomość planety. - Przypuszczam jednak, że został zniszczony przez istoty do tamtej pory żyjące z nim w symbiozie... które później stały się Yuuzhan Vongami, w odwecie za to, co zrobił im mój rodzic. A on, dostrzegłszy w nich żądzę przemocy i podbojów, rozbudzoną przez kontakt z rasą istot miłujących wojny, wyrzucił ich, zerwał z nimi wszelką więź, a nawet odarł ich z Mocy. Przypuszczam, że pozbawione kontaktu z moim rodzicem istoty nie potrafiły wymyślić nic poza technikami bioinżynierii, które im przekazano albo które sobie przywłaszczyły. Szukając świadomości, która kierowałaby ich poczynaniami, stworzyły sobie panteon bogów i przypisały im cechy, jakimi przedtem mogła się poszczycić jedynie żyjąca planeta, zwana Yuuzhan'tarem.

- Pusty ósmy rdeń - mruknął Harrar. - Mistrzowie przemian zawsze podejrzewali, że nie powinni tworzyć nowych form życia, ale po prostu musieli to robić.

- Prawdopodobnie jednak przed śmiercią mój rodzic wysłał nasienie planety, która została później nazwana Zonamą Sekot - ciągnęła świadomość planety ustami Jabithy. - Nasienie zabłądziło do tej galaktyki, zakorzeniło się i wyrosło... Wiele, bardzo wiele pokoleń leżałam uśpiona w Zonamie, a w tym czasie Yuuzhan Vongowie, którzy splądrowali macierzystą galaktykę, zostali w końcu zmuszeni do wyruszenia na wyprawę w poszukiwaniu nowego domu. Dotarli do tej galaktyki gnani tymi samymi prądami, które sprowadziły do was Zonamę Sekot.

Potem zaś pojawili się ci, których znałam początkowo jako Przybyszów z Dali. Nie przylecieli przez przypadek, bo przyciągnęło ich do mnie genetyczne pokrewieństwo. Odnaleźli drogę, podobnie jak zwierzęta wracają do miejsc, w których się urodziły. Drugi raz trafili do mnie, kiedy się unosiłam w Nieznanych Rejonach galaktyki. Jabitha umilkła i spojrzała na Harrara. - Możliwe, że w taki sam sposób przyciągnęłam także ciebie.

- Powitałaś nas w domu, ale myśmy cię znów zaatakowali - stwierdził kapłan.

Pani Magister pokiwała głową.

- Po niesprowokowanym ataku Przybyszów z Dali coś się we mnie poruszyło - oznajmiła. - Wbrew poglądom wyznawców Potencjum uświadomiłam sobie, że zło istnieje. W pewnym sensie to właśnie zło przyczyniło się do narodzin mojej świadomości. W tej chwili rozumiem, że poczynania Przybyszów z Dali mogły tylko rozbudzić zło, jakiego doświadczył mój rodzic, kiedy żyjące z nim w symbiozie istoty wykorzystały stworzone przez niego formy życia nie tylko do obrony Yuuzhan'tara, ale także do zapoczątkowania okresu przelewu krwi. Wtedy poniosło śmierć wiele planet... i wiele uświadomionych planetarnych świadomości.

Nie zwracałam uwagi na to, co się we mnie poruszyło, dopóki Zonama nie zagubiła się w Nieznanych Rejonach. Później jednak, dzięki Nen Yim i Harrarowi, zrozumiałam, że Yuuzhan Vongowie zostali odarci z Mocy. Moje najgorsze obawy znalazły potwierdzenie, kiedy się dowiedziałam o biologicznej broni, jaką zamierzali wbić w powierzchnię Zonamy.

Uświadomiłam sobie, że cykl przemocy się powtarza, i stanęłam przed koniecznością podjęcia najważniejszej decyzji. Nie chodziło o dobro czy zło, ale musiałam po prostu dokonać wyboru i pogodzić się z jego konsekwencjami. Mogłam przyjąć Alphę Red i zakończyć swój udział w tym cyklu albo odesłać ją z powrotem do Yuuzhan Vongów, żeby wyeliminować ich udział. W końcu jednak zdecydowałam się wybrać pokój.

- Kiedy przebywałam na Coruscant i posługując się Vongozmysłem, wysłałem do ciebie myśli, wyczułem twoją rozterkę - oznajmił Jacen.

- Jakie są konsekwencje twojego wyboru? - zainteresował się Luke.

Jabitha spojrzała na mistrza Jedi.

- Zaraz ci o nich powiem... - zaczęła.

Nas Choka siedział ze stoickim spokojem na tłumiącej skutki przeciążeń kanapie wahadłowca Sojuszu, który miał przetransportować jego i pięciu najwyższych dowódców do ziejącego otworu hangaru „Ralroosta”. Wojenny mistrz był ubrany w pozbawioną wszelkich

ozdób tunikę, spodnie, nakrycie głowy i napierśnik. Od podwładnych odróżniała go tylko zwisająca z implantowanych rogów naramiennych opończa dowodzenia. Wszyscy byli wychudzeni po wielu dniach postu, a Nas Choka miał na policzkach, wargach i rękach świeże blizny po nieco wcześniej zadanych sobie ranach.

Sterburtowa przezroczystość wahadłowca ukazywała planetę, ponownie nazwaną Coruscant. Między nią a okrętem flagowym Galaktycznego Sojuszu unosiły się setki okrętów, rozproszonych na wypadek niespodziewanego ataku Yuuzhan Vongów, którzy ją kiedyś podbili. Nas Choka doszedł do wniosku, że bez trudu mógłby przypuścić ostateczny szturm i zginąć w blasku chwały, czego prawdopodobnie oczekiwali po nim przywódcy Sojuszu. Problem w tym, czy mógł się okryć chwałą podczas bitwy, której bogowie nie mieli zamiaru popierać.

Nie znał wprawdzie powodu, dla którego bogowie niespodziewanie odwrócili się od istot jego rasy, ale prawdopodobnie spodziewali się czegoś więcej niż tylko ofiarnej krwi... chyba że zależało im na krwi Yuuzhan Vongów. Może winę za taką sytuację ponosił Shimrra za to, że bezprawnie pozbawił tronu Quoreala i nie posłuchał słów prorocstwa na temat żyjącej planety, zwanej Zonamą Sekot? Jeżeli jednak za dumę Shimrry mieli zapłacić wszyscy Yuuzhanie, dlaczego bogowie się temu sprzeciwili? Dlaczego nie pozwolili, żeby wojownicy zginęli z rąk żołnierzy Sojuszu albo wskutek działania biologicznej broni, którą Shimrra wysłał przeciwko Zonamie Sekot?

Nas Choka nie umiał znaleźć odpowiedzi na te pytania, więc on i jego podwładni poddali się bez protestu rewizji osobistej nieufnych komandosów Sojuszu. Z tego samego powodu wszyscy siedzieli bez ruchu i w milczeniu. Wojennemu mistrzowi pozwolono zachować tylko jego tsaisi, pałkę władzy. Nas Choka zamierzał ją przekazać najważniejszym dowódcom sił zbrojnych Sojuszu, zanim uzyska ich zgodę na odebranie sobie życia.

Promień ściągający „Ralroosta” wessał wahadłowiec przez niewidoczne pole i pozwolił mu osiąść na lądowisku. Uwolnieni z ochronnych sieci jeńcy zeszli po rampie ładowniczej i zostali zaprowadzeni do ogromnej ładowni, w której zgromadziło się przynajmniej pięciuset oficerów i przedstawicieli Sojuszu. Wszyscy stali na baczność za ustawionymi w półokrąg stołami i krzesłami. Pomieszczenie było tak sterylnie czyste, że Nas Choka poczuł wstręt, który przeniknął go do szpiku kości. Przefiltrowane powietrze miało nieprzyjemny zapach, a jaskrawe żółtobiałe światło nadawało wszystkim przedmiotom wyraźne, ostre kształty. Gładki pokład wyglądał po prostu odrażająco, a pod sklepieniem roilo się od chaotycznie poprowadzonych

rurociągów i wsporników. Nieco dalej na stojakach spoczywały setki gwiazdnych myśliwców, a wszędzie, powłócząc metalowymi kończynami, przechadzały się podobne do niewolników androidy.

Złożona z różnych istot orkiestra poraziła uszy jeńców jakimiś wojskowymi fanfarami, a sztuczny wiatr załopotał proporcami przedstawicieli istot wielu ras tej galaktyki... A przecież Nas Choka był pewien, że osobiście położył kres istnieniu przynajmniej niektórych. Zauważył, że małe grupki istot ludzkich i innych rejestrują przebieg uroczystości za pomocą holokamer i innych błuźnierstw. Nie rozumiał wprowadzie znaczenia wielu elementów ceremonii, ale chyba wszystkie odgrywały duże znaczenie... podniosłe, rytualne albo stosowne do okoliczności.

Widocznie Sow i Kre'fey byli zdecydowani nadać ceremonii jak najbardziej uroczystą oprawę.

Przed półokręgiem stolików stał rząd sześciu krzeseł, prawdopodobnie dla Nasa Choki i jego najważniejszych dowódców. Tłumacze, wśród których byli reprezentanci Sojuszu i - sądząc z wyglądu - yuuzhańscy heretycy, stali w kilku miejscach, żeby wszyscy mogli dobrze rozumieć słowa wypowiedane przez wszystkich pozostałych.

Kiedy orkiestra skończyła grać fanfary, oficerowie i przedstawiciele Sojuszu zajęli miejsca za stolikami. Pośrodku półokręgu usiadł porośnięty białą sierścią Kre'fey, a obok wielkouchy Sow. Po obu stronach admirałów zajęli miejsca inni dowódcy rasy ludzkiej. Nas Choka znał ich z nazwiska dzięki raportom Wywiadu - Pellaeon, Brand, Bel Iblis, Farlander, Antilles, Rieekan, Celchu, Davip i ha-pańska królowa Tenel Ka, która była także rycerzem Jedi. Intendenci Sojuszu byli rozproszeni, ale w pobliżu dowódców sił zbrojnych siedzieli Cal Omas i jego główni doradcy: Wookie Triebakk, Gotal Taiaam Ranth, chudy jak szczapa dyrektor Wywiadu, mężczyzna Dif Scaur i porośnięta złocistą sierścią Caamasjanka o imieniu Releqy, której ojca złożył w rytualnej ofierze dowódca Shedao Shai na powierzchni Dubrilliona.

Część półokręgu zajmowali Jedi, ubrani w płaszcze z szorstkiego samodziału, w których wyglądali jak Zhańbieni. Spośród trzech mężczyzn wyróżniał się zabójca Shimrry, Luke Skywalker. Obok niego siedziało dwóch innych, którzy wyglądali jak wojownicy. Jediną inną istotą ludzką była ciemnowłosa kobieta, która zdaniem Nasa Choki wyglądała bardziej jak intendientka niż wojowniczką. Do grupy Jedi należały także dwie obce istoty płci żeńskiej, Barabelka i Kalamarianka. Pierwsza mogłaby się czuć swobodnie pośród Chazrachów, a wydłużona głowa drugiej wyglądała trochę jak łby niektórych yuuzhańskich zwierząt

pociągowych.

Lewą stronę półokręgu zajmowali Jakan, Harrar, Qelah Kwaad oraz kilku mniej ważnych kapłanów, mistrzów przemian i intendentów.

Strażnicy kazali jeńcom stanąć przed rzędem krzesel. Nas Choka dał znak swoim dowódcom, żeby usiedli, a sam podszedł do stolików. Nadeszła chwila, o której od dawna marzył. Wyciągnął pałkę władzy i przyklęknął na jedno kolano.

- Przekazując wam to, okazujemy wolę kapitulacji - oznajmił w basicu.

Jego słowa miały znaczenie historyczne i zrobiły ogromne wrażenie na wszystkich Yuuzhan Vongach w ogromnej ładowni - zarówno jeńcach, jak i heretykach.

- Proszę tylko, żebym mógł pierwszy umrzeć - ciągnął Nas Choka. - Chciałbym, żeby moje coufee odebrało mi życie.

- Wstań, wojenny mistrzu - odezwał się Sow. - Rozumiemy, że honor wymaga takich czynów, ale nie możemy do tego dopuścić.

Nadal klęcząc, Nas Choka posłał mu zdezorientowane spojrzenie.

- Więc proszę wyznaczyć dowolnego wojownika, który mnie zabije - zaproponował.

Sullustanin pokręcił głową.

- Nie będziemy tu świadkami żadnej egzekucji, wojenny mistrzu - oznajmił stanowczo.

Nas Choka zgrzytnął zębami i wstał.

- Czy to znaczy, że zamierzacie wziąć nas do niewoli, podobnie jak my postąpiliśmy z Chazrachami? - zapytał. - A może zamiast koralowych ziaren niewolniczych implantujecie nam mechaniczne bluźnierstwa, które będą kontrolowały...

- Wojenny mistrzu - przerwał mu Jakan. - Zaczekaj z odpowiedzią, dopóki wszystkiego się nie dowiesz.

- Nadal masz do odegrania bardzo ważną rolę - dodał Harrar. Nas Choka spiorunował kapłana spojrzeniem.

- I kto to mówi, zdrajca? - prychnął pogardliwie. Harrar nie zdecydował się jednak odeprzeć oskarżenia.

- To, na co się zdecydowałem, zrobiłem dla dobra nas wszystkich, wojenny mistrzu - zapewnił.

Nas Choka uniósł prawą ręką i wykonał dłonią ruch, jakby coś rozłupywał.

- Nie przysługuje mi już ten zaszczytny tytuł, kapłanie - stwierdził surowo. - Jeżeli nie

mamy zostać zabici ani wzięci do niewoli, co właściwie zamierzacie z nami zrobić? Chcecie wprowadzić śmiały nowy ład, w którym nie będzie miejsca dla kasty wojowników? - Odwrócił się do Skywalkera i zmierzył go spojrzeniem. - Jeedai są wojownikami - podjął po chwili. - Co zrobicie, jeżeli nie będziecie mogli toczyć wojen? Mistrz Jedi wstał.

- Od początku popełnialiście błąd, uważając nas za wojowników - zaczął. - W rzeczywistości jesteśmy strażnikami pokoju i sprawiedliwości. Ty także mógłbyś zostać takim strażnikiem, Nasie Choko, gdybyś tylko dostosował yuuzhańskie tradycje bitewne do zmienionej sytuacji. - Odpiął rękojeść świetlnego miecza, uniósł i zapalił energetyczne ostrze. - To była kiedyś broń - powiedział.

Nas Choka roześmiał się ponuro.

- Tysiące moich wojowników zaświadczy z ochotą, że to nie tylko była, ale nadal jest groźna broń - odparł z goryczą.

Skywalker skwitował jego odpowiedź kiwnięciem głowy.

- W czasach pokoju to tylko symbol walki, jaką toczymy sami ze sobą... żeby nie zabłądzić na niewłaściwą ścieżkę - wyjaśnił.

Nas Choka uniósł głowę.

- Zawsze postępowaliśmy w zgodzie z kodeksem wojowników -oznajmił z dumą.

- Akceptujemy to - odparł Skywalker. - Będziecie jednak musieli radzić sobie bez wielu waszych form życia, które czyniły z was wojowników.

- Wymień je, Jeedai - zażądał wojenny mistrz.

- Wasze amphistaffy i coufee, żel blorash i ognista galareta, wasze ogłuszające chrząszcze, brzytwożuki i plazmowe węgorze, gwiazdne okręty, koralowe skoczki i wojenni koordynatorzy...

- Co dostaniemy w zamian za nie? - przerwał Nas Choka. - Narzędzia do kopania gruntu i pługi?

- O tym zadecyduje wasz opiekun - odparł enigmatycznie mistrz Jedi.

Yuuzhanin powiódł spojrzeniem po twarzach oficerów i dostojników Sojuszu.

- Kto nim zostanie? - zapytał.

- Zonama Sekot - odparł Luke.

Wojenny mistrz posłał mu przerażone spojrzenie.

- Zamierzacie nas wydać największemu wrogowi! - wykrzyknął. - Żyjącej planecie,

którą zamierzaliśmy zatruć! Planecie, na której amphistaffy wysliznęły się z naszych dłoni i odpelzły, ogłuszające chrząszcze odfrunęły, a villipy i dovin basale przemieniły się w owoce... a przy tym nadal zaprzeczacie, że mamy zginąć! Wyślijcie nas raczej z powrotem w głąb międzygalaktycznej pustki, gdzie przynajmniej będziemy mogli umrzeć z honorem!

- Spróbujmy się czegoś nauczyć z przykładu, jaki nam dały nasze formy życia - odezwał się Harrar. - Jeżeli one mogły przezwyciężyć swoje uwarunkowania, może tej samej sztuki dokonają także nasi wojownicy.

- To tylko słowa! - odciął się Nas Choka. - Kapłani, mistrzowie przemian i intendenci nie muszą się obawiać uwięzienia na powierzchni żyjącej planety, bo i tak nie mają niczego do stracenia.

- Mamy do stracenia więcej, niż możesz sobie wyobrazić, Nasie Choko - odezwał się ze smutkiem Harrar.

- Hołdujemy tradycji, która nie może zostać zmieniona! - odparł wojenny mistrz.

Kapłan wstał, obszedł stół i zbliżył się do niego.

- Hołdujemy o wiele starszej tradycji, wojenny mistrzu - zaczął z powagą. - Ta tradycja zrodziła się na powierzchni planety, która była rodzicem Zonamy Sekot.

- Rodzicem? - powtórzył osłupiały Nas Choka.

- Zonama Sekot jest potomkiem naszej ojczyzny, wojenny mistrzu - ciągnął Harrar. - Jej rodzic nosił kiedyś nazwę Yuuzhan'tara.

Nas Choka odchylił głowę do tyłu, wbił spojrzenie w sufit i zawył.

- Więc naprawdę zostaliśmy pokonani! - wrzasnął. Opuścił głowę i spojrzał na Harrara. - Czy to wszystko wina Shimrry, kapłanie? - zapytał. - Czy błędzenie w pustce międzygalaktycznej przez całe pokolenia było tylko podstępem, żeby w końcu wylądować na powierzchni planety, z której zostaliśmy wyrzuceni?

- Odpowiedzi na to pytanie mogą udzielić tylko bogowie - oznajmił Harrar.

Nas Choka zmrużył oczy.

- Czyżby bogowie mieszkali na powierzchni tej planety? - zapytał.

-Zonama Sekot w pewnym sensie reprezentuje sobą wszystkie atrybuty YunYuuzhana, Yun-Ne'Shela, Yun-Shuna... - zaczął kapłan.

- Nie wymieniłeś Yun-Yammki - przerwał wojenny mistrz.

- Tego wymyśliliśmy sami, kiedy postanowiliśmy kroczyć drogą wojny - wyjaśnił

Harrar.

Nas Choka prychnął.

- Mogłem się tego domyślić - stwierdził pogardliwie. - Zostałeś wprowadzony w błąd, kapłanie. Zhańbieni twierdzą, że Jeedai reprezentują sobą wszystkie cechy bogów, a to chyba oczywiste, że nimi nie są... - Umilkł, czekając, aż do wszystkich dotrze znaczenie jego słów. - W tych sprawach mogę się wypowiadać tylko w swoim imieniu - podjął w końcu bardziej opanowanym tonem. - Zostaliśmy pokonani! Róbcie z nami, co chcecie. Powiedzcie mi jednak, Jeedai, czy okres naszego uwięzienia mamy spędzać w cieniu Coruscant, która będzie nam nieustannie przypominała o naszej porażce?

- zapytał.

Skywalker pokręcił głową.

- Zonama Sekot nie zamierza pozostawać dłużej w tym rejonie przestworzy - powiedział spokojnie. - Nie chce ryzykować, że ktoś będzie ją wielbił, wyzyskiwał albo jedno i drugie. Żyjąca planeta chce powrócić do Nieznanych Rejonów galaktyki. Zna tam pewien gwiazdny system, który po jakimś czasie może zostać skolonizowany przez Yuuzhan Vongów... kiedy Zonama Sekot i Yuuzhanie na nowo się poznają i oswoją ze sobą.

- A co z naszymi rodzicielkami i potomkami? - zainteresował się Nas Choka.

- Oni także znajdą nowy dom na powierzchni Zonamy Sekot.

- A Zhańbieni? Heretycy?

- Będziemy musieli ich najpierw przekonać - odparł Harrar. - Nasze społeczeństwo na powierzchni żyjącej planety może określić się na nowo bez konieczności całkowitego wypierania się głównych wierzeń.

Nas Choka zmarszczył szerokie czoło i jakiś czas tylko spoglądał na Sowa, Kre'feya, Cala Omasa i Luke'a Skywalkera.

- Zamierzacie nam okazać dziwną pobłażliwość - odezwał się w końcu.

- Jeszcze ci nie przedstawiliśmy wszystkich naszych warunków

- odezwał się ostro Kre'fey.

Nas Choka zaplótł ramiona na piersi.

- Więc proszę to zrobić - powiedział.

- Villipy przekazują teraz wiadomość o śmierci Shimrry na okupowane przez was planety wzdłuż całego inwazyjnego korytarza - zaczął Bothanin. - Niektórzy wasi dowódcy

usłuchali rozkazu i odlecieli, ale inni pozostali. Zachowują się, jakby ta wiadomość nie wywarła na nich żadnego wrażenia. Nie chcemy wyzwalać każdej planety za cenę życia wielu następnych naszych żołnierzy. Wojenny mistrz pokiwał głową.

- Wezwę opornych na Coruscant - obiecał. - A tych, którzy nie usłuchają mojego rozkazu, pomożemy wam wytropić i zabić. - Przeniósł spojrzenie na Kre'feya, nie przejmując się złowieszczym błyskiem w jego oczach. - Proszę podać resztę swoich warunków, admirale - powiedział.

- Żądamy, żeby wasi mistrzowie przemian wzięli udział w przywracaniu powierzchni Coruscant do poprzedniego stanu - odezwał się Bothanin. - Powinni przekonać Mózg Świata do usunięcia niektórych zmian, jakich tam dokonał.

Nas Choka niemal się uśmiechnął.

- Nie będzie wam przeszkadzało, admirale, że yuuzhański dhuryam zostanie pośrodku waszej galaktyki? - zapytał.

- Możesz to potraktować jako podwalinę trwałego kompromisu, wojenny mistrzu - parsknął Kre'fey.

R O Z D Z I A Ł 44

Całe tygodnie po pamiętnym zebraniu w hangarze „Ralroosta” Luke spędzał, spacerując godzinami między ogromnymi bora. Czasami towarzyszyła mu Mara, kiedy nie pomagała Lowiemu naprawiać „Cienia Jade”, ale najczęściej mistrz Jedi przechadzał się sam, nie obierając żadnego określonego celu i oddając się medytacjom. Chronił ciało przed chłodem, zakładając kaptur i chowając ręce głęboko w rękawy płaszcza Jedi. Jego ciało chyba zawarło kompromis z resztkami trucizny, które wciąż jeszcze krążyły w jego krwioobiegu, ale umysł nie osiągnął podobnej równowagi. Czasami mistrz Jedi musiał stawić czoło pustkom w Mocy w miejscach, w których się ich nie spodziewał, a kiedy indziej otaczająca go Moc rozciągała się w nieskończoność. Zwiększała wrażliwość jego postrzegania ponad wszystko, czego mógł się spodziewać, albo zaskakiwała go wizerunkami możliwych wariantów przyszłości. Podczas pamiętnego zebrania w hangarze „Ralroosta” przez krótki czas wyczuwał Nasa Chokę i Harrara z podobną jasnością, z jaką Jacen postrzegał ich dzięki Vongozmysłowi.

Cal Omas i jego doradcy byli wdzięczni rycerzom Jedi za znalezienie praktycznego sposobu zakończenia wojny, ale kiedy obie strony ratyfikowały warunki kapitulacji, a Yuuzhan Vongowie zostali rozbrojeni, przywódcy Sojuszu przestali się zwracać do Luke'a z prośbami o pomoc czy radę. Odbudowa Coruscant rozpoczęła się od ceremonii na cześć zmarłego admirała Ackbara i inauguracji nowego HoloNetu. Jacen poleciał na Coruscant, żeby odbyć rozmowę z yuuzhańskimi mistrzami przemian, którym zlecono zawarcie kompromisu z Mózgiem Świata. Z początku dhuryam nie chciał słyszeć o dokonywaniu jakichkolwiek przeróbek tego, co wcześniej stworzył, ale po namowach Jacena zgodził się, żeby Sojusz przekopał święty kwartał w celu wydobycia tych budowli Nowej Republiki, które ocalały pod powierzchnią gruntu. Podczas prac wykopaliskowych odkryto wiele zdatnych do użytku albo do naprawienia urządzeń i automatów, ale miały upłynąć dziesięciolecia, zanim na powierzchni Coruscant zamieszka ktoś oprócz pracowników personelu technicznego i ich konstrukcyjnych automatów.

W ciągu tego okresu stolica Galaktycznego Sojuszu miała się znajdować na Denonie, gęsto zaludnionej planecie Wewnętrznych Rubieży, która zaczęła odgrywać dużą rolę jeszcze w czasach Starej Republiki i - co najważniejsze - uniknęła bombardowania i okupacji Yuuzhan Vongów.

Nas Choka dotrzymał słowa i wezwał do powrotu wszystkich dowódców okupowanych planet, ale wielu nie usłuchało jego rozkazu. Co kilka dni na Zonamę Sekot docierały wiadomości o pochłaniających wiele ofiar walkach w takim czy innym gwiazdowym systemie. Na Coruscant także poddało się wielu dowódców sił zbrojnych Yuuzhan Vongów, ale krążyły plotki - i prawdopodobnie miały krążyć jeszcze jakiś czas -jakoby w gęstych lasach, porastających umiarkowane rejony północnej półkuli, wciąż jeszcze ukrywały się bandy yuuzhańskich wojowników. Zamiast powracać do normy, galaktyka ulegała powolnym zmianom.

Admirał Kre'fey, okrzyknięty bohaterem nawet przez swoich ziomków, po niespodziewanej rezygnacji Siena Sowa awansował na stanowisko naczelnego dowódcy sił zbrojnych Galaktycznego Sojuszu. Dif Scaur, który chyba bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do wynalezienia Alphy Red, zniknął z widoku, odesłany przez Cala Omasa na wcześniejszą emeryturę, a stanowisko szefa Wywiadu objęła po nim Belindi Kalenda. Omas zapewnił mistrza Skywalkera, że wszystkie zapasy broni biologicznej zostały zniszczone, podobnie jak jej genetyczny kod, bo wciąż jeszcze byli tacy, którzy uważali, że Sojusz okazał pokonanemu nieprzyjacielowi zbyt daleką idącą pobłażliwość. Istoty tych ras, na których barkach

spoczywał główny ciężar walki z okupantem, nadal domagały się skazania na śmierć całej kasty yuuzhańskich wojowników. Cal Omas mógłby nawet usankcjonować taką akcję odwetową, gdyby Nas Choka nie okazywał niewątpliwej skłonności do współpracy. Nikt nie chciał jednak ryzykować, że wojenny mistrz nagle zmieni zdanie, więc zaraz po pamiętnym zebraniu zamknięto wszystkich wojowników w hangarach kilku gwiazdnych niszczycieli i transportowców wojska, a skonfiskowaną broń zgromadzono na pokładach okrętów yuuzhańskiej armady, po czym skierowano je ku tarczy coruskańskiego słońca.

Tymczasem na powierzchni Zonamy Sekot dniami i nocami naprawiano domostwa w skalnych ścianach kanionu i inne uszkodzenia. Z początku Ferroanie nie wiedzieli, co sądzić o decyzji Sekot przyjęcia na powierzchnię Zonamy istot, które starały się ją zniszczyć. Kilku młodszych tubylców zdecydowało się emigrować, ale ogromna większość w końcu się pogodziła z niezwykle sytuacją.

Luke czekał na okazję, kiedy będzie mógł zebrać wszystkich Jedi w jednym miejscu. W końcu zrealizował zamiar, gdy „Błądny Rycerz” wrócił do przestworzy Zonamy Sekot z dziećmi i innymi Jedi, którzy dotąd przebywali w Laboratorium Otchłani. Odczekał dzień, żeby wszyscy mogli się nacieszyć dawno niewidzianymi bliskimi, i poprosił, żeby się zbrali w lesie na polanie, na której wylądowały pierwsze ściągnięte przez Sekot koralowe skoczki.

Jedi przybywali w grupach po trzy albo cztery osoby. W końcu zgromadzili się wszyscy: Luke, Mara, Markre Medjev, Keyan Farlander, Tam Azur-Jamin, Octa Ramis, Tresina Lobi, Kenth Hamner, Cilghal, Kyp Durrone, Klin-Fa Gi, Tenel Ka, Madurrina, Streen, Jacen, Jaina, Kam i Tionna Solusar, Zekk, Lowbacca, Saba i Tessa Sebatyne, Izal Waz, Corran Horn, Kirana Ti, Tekli, Alema Rar, Kyle Katarn, Waxam Kel, Tresk Im'nel, Wonetun, Hivreh'wao'Cheklev, Tyria Sarkin i Doran Sarkin-Tainer, Tahiri Veila, Sannah oraz dzieci, a wśród nich Ben, Valin, Jysella i dwadzieścioro kilkoro pozostałych.

Kiedy wszyscy byli na miejscu, Luke stanął pośrodku kręgu towarzyszy i przyjaciół. Kilkoro dzieci siedziało ze skrzyżowanymi nogami na gliniastym gruncie, inne wspięły się na kadłuby unieruchomionych skoczków, a zadowolony Ben usadowił się na kolanach Mary.

- W ciągu najbliższych tygodni zaczną tu przylatywać Yuuzhan Vongowie - zaczął mistrz Jedi, przechadzając się wewnątrz kręgu. - Pierwszy akt współpracy ich i Sekot będzie polegał na ponownym zalesieniu południowej półkuli, której lasy spłonęły pięćdziesiąt lat temu podczas walki z pierwszymi zwiadowcami. Współpracując z bora, Yuuzhan Vongowie będą

stopniowo poznawali Zonamę, a równocześnie Sekot będzie stopniowo poznawała Yuuzhan Vongów. Zgoda Sekot na ich przyjęcie stanie się drugą szansą dla tych istot, które o mało same nie skazały się na zagładę. Na chwilę przystanął.

- Wiemy, czego Moc chce dla Yuuzhan Vongów, więc czas najwyższy zadać sobie pytanie, czego chce dla nas - podjął po chwili i wskazał na siostrzeńca. - Już w tej chwili Jacen zrobił więcej niż ktokolwiek z nas dla przyspieszenia odbudowy Coruscant. Chyba nie powinniśmy się ograniczać wyłącznie do wspierania Galaktycznego Sojuszu, który stawia pierwsze chwiejne kroki na drodze do stania się prawdziwą koalicją. Wprawdzie nadal mamy strzec sprawiedliwości i pokoju, ale musimy uważać na tych, którzy mogą chcieć zdefiniować pokój i sprawiedliwość na swój sposób. Gdyby zaistniała taka sytuacja, musimy się zastosować do naszego mandatu i jeśli będzie trzeba, przekroczyć granicę jurysdykcji każdego organu władzy centralnej.

Moglibyśmy się oczywiście zastanowić, czy nie rozpocząć odbudowy naszego ośrodka na powierzchni Yavina Cztery, ale osobiście nie widzę w tym większego sensu, bo dni prakseum Jedi właściwie przeminęły. Yavin Cztery odgrywał w naszej historii ważną rolę, lecz istnieje mnóstwo innych planet, na których Moc jest także bardzo silna. Jedna z tych planet może posłużyć jako miejsce powstania nowej Akademii. - Wskazał Solusara. - Kam zasugerował, żebyśmy się zastanowili, czy nie przenieść jej na powierzchnię Ossusa, a ja jestem skłonny się zgodzić z jego propozycją. Musimy się jednak zająć badaniami nowego obszaru, jakim jest Jednocząca Moc... bo to będzie krok w kierunku wdrożenia nowego Ładu Jedi.

Tym razem Luke umilkł na dłużej, ale cały czas krążył tam i z powrotem wewnątrz kręgu.

- Na Ithorze oznajmiłem, że rezygnuję ze stanowiska strażnika Jedi - podjął w końcu. - To nie oznacza jednak, że nie mogę nadal służyć niektórym spośród was jako mentor i przewodnik. Yoda polecił mi przekazywać wszystko, czego się nauczę, więc zamierzam to nadal robić, ale inni mają równie wysokie predyspozycje do uczenia. Zachęcam ich do tego, gdyby zechcieli obrać właśnie taką ścieżkę życia.

Jest jednak coś, co chciałbym przekazać wszystkim... Wydarzenia ostatnich pięciu lat nauczyły mnie, że Moc jest bardziej wszechogarniająca, niż mi się wydawało. Światłość i ciemność nie zawsze stoją w sprzeczności, ale przenikają się nawzajem w dziwny sposób. Najważniejsze jednak, że Moc jest prawdopodobnie obdarzona wolą, a my zaczynamy mieć

kłopoty, jeżeli robimy coś wbrew tej woli. Gniew sam w sobie nie wypływa z ciemnej strony, jeżeli nie towarzyszy mu pragnienie dominacji. Kiedy działamy w zgodzie z wolą Mocy, całkowicie się z nią zespalamy i zanurzamy w niej, ale gdy się jej sprzeciwiamy, nie dość że zrywamy z nią więź, to jeszcze stwarzamy warunki do zapanowania chaosu.

Ewolucja inteligencji jest odbiciem nieustannego ruchu między tymi dwoma biegunami. Zło, ciemna strona, nie zostanie wykorzenione, dopóki nie wyrzekniemy się go jako środka do zdobywania władzy, ujarzmiania przeciwników i uwalniania uczuć w rodzaju gniewu, zazdrości czy nienawiści. Ciemna Moc znajduje adeptów pośród ofiar niesprawiedliwości, a nasze działania powinny mieć na celu zapobieganie temu cyklowi. Moc będzie wtedy zarówno naszym sprzymierzeńcem, jak i strażnikiem. Usłużymy jej najlepiej, wsłuchując się w jej wolę i każdym naszym czynem służąc dobru, czyli utożsamiając się z Mocą.

Nie jestem jednak przekonany, że naszym celem jest utrzymywanie porządku w galaktyce. Po pierwsze, pozostało nas zbyt mało. Fakt ten stał się oczywisty już na początku wojny i prawdopodobnie się potwierdzi, jeżeli w ciągu najbliższych lat wybuchną jakieś inne konflikty. Początkowo celem Zakonu Jedi było oddawanie się medytacjom. Nasi poprzednicy wierzyli, że pozostając zawsze w Mocy i dążąc do ideału, potrafią znaleźć równowagę między światłością a ciemnością. Kolejni najwyżsi kanclerze zwracali się jednak coraz częściej do Zakonu z prośbami o rady i pomoc w rozwiązywaniu sporów, więc Jedi stali się najpierw pomocnikami Starej Republiki, a potem stróżami porządku i wojownikami. Odkąd wzięli na barki trud utrzymywania pokoju, stopniowo odsunęli się od Mocy i zajęli przyziemnymi sprawami.

Nie sugeruję, żebyśmy znaleźli sobie miejsce odosobnienia i spędzali czas na medytacjach nad istotą Mocy, chociaż niektórzy spośród nas mogą obrać taką drogę. Radzę jednak nie tracić z oczu dalekosiężnego celu i szukać kontaktu z innymi, którzy także pragną służyć Mocy. Nasze genetyczne predyspozycje pomagają nam wprawdzie nawiązywać kontakt z Mocą, ale każdy czy każda, bez względu na genetyczne uwarunkowania, ma możliwość wykorzystywania Mocy w mniejszym albo większym stopniu. Prawdopodobnie nie da rady przenieść skał czy sadzić kilometrowymi susami, ale trzeba pamiętać, że taka władza nad materią jest bardzo powierzchowna. Rzeczywista potęga jest czymś subtelniejszym, bo wymaga dochowywania wierności prawdziwej drodze, unikania pokusy dominowania nad innymi, poświęcenia się dla osób mniej uprzywilejowanych i prowadzenia nieskazitelnego trybu życia.

Pamiętajmy, że Moc nie wypływa z nas, lecz przez nas przepływa, a więc zawsze jest w ruchu.

Luke urwał i powiódł spojrzeniem po twarzach zebranych.

- Podobnie jak zniszczona galaktyka, dopiero po wielu pokoleniach Zakon Jedi będzie się mógł określić na nowo - zaczął po chwili. - Niektórzy spośród nas znają role, jakie zamierzają odgrywać w tym procesie. Cilghal, Saba, Kenth, Tresina i ja będziemy nadal służyli w kierowanej przez Cala Omasa nowej Radzie Jedi, w której zamierzamy być głosem Mocy. - Przeniósł spojrzenie na Anksjankę Jedi. - Wiem także, że Madurrina postanowiła zostać w służbie naczelnego dowódcy Kre'feya i generała Keyana Farlandera, a Tenel Ka zamierza wrócić do przestworzy Konsorcjum Hapes. Kirana Ti, Damaya i Streen będą mieli pełne ręce roboty na Dathomirze, a Kam, Tionna i kilkoro innych nie mogą się doczekać, kiedy odlecą na Ossusa.

Jeszcze raz popatrzył na zgromadzonych Jedi.

- A jeżeli chodzi o pozostałych - zakończył - proszę tylko, żebyście się dobrze zastanowili, w jaki sposób możecie najlepiej służyć Mocy.

Kiedy Sekot odwołała zakaz lądowania jednostek wojennych na powierzchni Zonamy, zachodni skraj kanionu w Średnim Zasięgu zaczął odgrywać rolę lądowiska. Obecnie stały tam „Sokół Millenium”, „Cień Jade”, a także kilka sekotańskich myśliwców i wahadłowców, którymi przylecieli dorośli i dzieci Jedi z pokładu „Błędnego Rycerza”.

Lando Calrissian, ubrany w czarną synpolarową kurtkę, stylowe spodnie, zawadiacką pelerynę i rękawice bez palców, przechadzał się między zaparkowanymi jednostkami, jakby kogoś szukał. W końcu zobaczył Hana, który siedział w towarzystwie Talona, Boostera i Creva Bombassy przy stole w otwartym szałasie wzniesionym z sekotańskiej laminy. Trzej mężczyźni byli równie ciepło ubrani jak Lando, a kiedy wybuchali śmiechem, z ich ust wydobywały się -i zaraz zniknęły - obłoczki rozgrzanego powietrza.

- Gdzie się podzieli wszyscy pozostali? - zapytał Lando, kiedy dołączył do ich grona. - Wszędzie panuje cisza jak podczas zgromadzenia Defelów.

- Biorą udział w jakimś zebraniu na polanie pośród bora - odparł bez namysłu Han.

Lando wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyciągnął z kieszeni kurtki butelkę kosztownej koreliańskiej brandy.

- Doskonała okazja, żeby się trochę rozgrzać - zaproponował. - A poza tym chyba nie ma niczego innego do roboty.

Han zatarł dłonie bez rękawiczek.

- Czyżbym właśnie przed chwilą nie powiedział, że brakuje mi tu kantyn? - zapytał.

Zaniepokojony Crev rozejrzał się dokoła.

- Może powinniśmy mówić trochę ciszej - powiedział. - Wiecie, na wypadek... gdyby ktoś nas podsłuchiwał.

Booster pociągnął się za brodę.

- Okolica sprawia niesamowite wrażenie, prawda? - zagadnął.

Talon omiótł spojrzeniem kanion i linię odległych drzew.

- Nie zastawiałem się nad tym, ale teraz, kiedy o tym wspomniałeś... - zaczął i urwał.

Lando ujął się pod boki i wybuchnął śmiechem.

- Wątpię, żeby Sekot miała nam za złe łyżeczek albo dwa - powiedział. Z drugiej kieszeni kurtki wyjął ostrożnie pięć szklaneczek, ustawił je rzędem na blacie stołu i nappełnił po kolei aromatycznym bursztynowym trunkiem. - Jak się wam wydaje, o czym dyskutują teraz Luke i pozostali?

- O tym samym, o czym myślą wszyscy - odparł Crev teatralnym szeptem. - O Hanie Solo.

Korelianin roześmiał się ze wszystkimi i sięgnął po szklaneczkę.

- Zdrowie miłośników Hana Solo - powiedział.

Zanim jednak zdążył zbliżyć ją do ust, usłyszeli męski głos:

- Znajdzie się trochę miejsca dla dwóch spóźnialskich?

Odwrócili się i zobaczyli, że nadchodzą Wedge i Tycho, ubrani w lotnicze kombinezony i czapki z daszkiem.

- Jak zwykle idealne wyczucie czasu - mruknął Solo.

Lando wyciągnął niechętnie jeszcze dwie szklaneczki, nappełnił je i przesunął na drugi kraniec blatu.

- Jeżeli zjawi się ktoś jeszcze, będzie się musiał postarać o własną szklankę - powiedział.

- I brandy - dodał Crev.

Talon pokręcił głową i westchnął.

- Jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć wojskowego, który byłby skłonny zapłacić za swój trunek - stwierdził.

Tycho parsknął śmiechem.

- Jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć żadnego, który by musiał - dodał z powagą.

Wedge uniósł szklaneczkę.

- Zdrowie wojskowych - powiedział.

Wszyscy upili po łyku, otarli dyskretnie usta i odstawili szklaneczki na blat stołu.

- Tak czy owak - podjął Tycho - jutro będziemy byłymi wojskowymi.

Han uniósł brew.

- Przechodzicie w stan spoczynku, hm? - zapytał.

Tycho wzruszył ramionami.

- Winter zagroziła, że jeśli tego nie zrobię, odejdzie ode mnie - powiedział.

- Musiała się zmówić z Iellą- oznajmił Wedge. - To spisek. Han uniósł szklaneczkę.

- Za ostatni dzień wolności - zaproponował.

Znowu wypili łyk, odstawili szklaneczki i umilkli. Wedge zaczął popychać palcem swoją szklaneczkę po blacie stołu, aż zatoczyła pełne koło.

- Nie wiem jak wy, ale ja się cieszę, że znów będę mógł wieść spokojne życie - odezwał się w końcu. - Sojusz będzie musiał sobie radzić z gośćmi pokroju Darklightera, Page'a i Crackena.

- Biedny Sojusz - stwierdził Tycho.

Han spojrział na nich i wybuchnął śmiechem.

- Dobrze znane stresy wieku średniego - powiedział.

Nie patrząc na Hana, Tycho odgiął kciuk w jego stronę.

- I to z ust gościa, który nie zgadza się cichutko usunąć w cień - zauważył.

- Nieprawda - sprzeciwił się Solo. - To wina „Sokoła”, który cały czas wpędza mnie w tarapaty.

Booster pokiwał głową.

- Wydaje mi się, że to samo mógłbym powiedzieć o „Błędnym Rycerzu” - stwierdził z powagą.

- Następnym razem może powinienes wybrać inny odcień czerwieni - zaproponował Talon.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i wysączyli resztę trunku. Lando znów nappełnił szklaneczki i opróżnił butelkę.

Tycho odwrócił się do czterech członków Sojuszu Przemysłowców.

- Więc co zamierzacie teraz robić? - zapytał.

- Zaczekamy, aż kurz osiadzie - odparł Karrde. - Naturalnie nie mam na myśli pyłu z koralu yorik. Stąd do Helski i z powrotem mamy niezłe zamieszanie. Wielu z tych, którzy znajdowali się przedtem na szczycie, trafiło na sam dół i na odwrót.

- Kto na przykład? - zainteresował się Tycho.

Talon zastanawiał się jakiś czas nad odpowiedzią.

- No cóż, na szczyt wdrapali się Bothanie, głównie dzięki bohaterskiej śmierci Fey'lyi i heroicznemu zwycięstwu Kre'feya - zaczął. - Walkę o drugie miejsce toczą Sullustanie, Hapanie, byli Imperialcy i Kalamarianie.

- A jak ci się wydaje, kto znalazł się na dole? - zapytał Wedge.

- Wszyscy między Waylandem a Rubieżami - odrzekł Karrde. - Dodaj do nich Ithorian, Bimmsów, Kuatów i Korelian, a zwłaszcza Huttów.

Lando pokiwał głową.

- Podczas wojny wielu gości musiało się obywać bez przyprawy i po prostu straciło na nią apetyt - powiedział. - Prawdę mówiąc, wiarygodność stracili wszyscy, którzy utrzymywali regularne kontakty z Huttami: Rodianie z wyjątkiem Klanów z Dżungli, Whiphidowie, Klatooinianie, Weequayowie, Vodranowie, Iotranowie i Niktowie. Do ich upadku przyczyniło się także to, że wielu spośród nich popierało Brygadę Pokoju.

- To właśnie oni powinni zostać postawieni przed trybunałem za zbrodnie wojenne - oznajmił Booster.

-Zostaną- stwierdził Antilles. - Cał Omas pozostawił decyzję w tej sprawie indywidualnym planetom i systemom.

- Kto jeszcze dostał się na szczyt? - zapytał Tycho.

- Sektor Wspólny i Hegemonia Tion - stwierdził bez zastanowienia Talon. - Prawie każdy system na Rimmańskim od Eriadu w kierunku Rubieży, a także Yaronat na Koreliańskim Szlaku Handlowym.

Calrissian spojrzał na Hana.

- Powiem ci, kto zyskał najwięcej - zaczął. - Twój przyjaciele, Rynowie.

Solo prychnął.

- Wynika stąd, że Droma wyjdzie z tej wojny pachnący jak kwiatek - powiedział. - Naturalnie, o ile znam Dromę, pewnie gdzieś mówi to samo o mnie.

- Ta-a - mruknął Celchu. - Nie sądziliśmy, że możesz zostać większym bohaterem, niż

byłeś przed wojną, staruszk.

Wedge się uśmiechnął.

- Któregoś dnia postawię mu pomnik... - zaczął.

Han przerwał mu, unosząc ręce na wysokość głowy.

- Już to kiedyś słyszałem z ust Leii - przypomniał. - A poza tym każda planeta i każdy system mają w tej wojnie swojego bohatera. - Oparł łokcie na blacie stołu i się pochylił. - Nie mówiłem o tym nikomu, ale przysięgam na „Sokoła”, że na powierzchni Caluuli widziałem Fetta - zaczął półgłosem. - Na równi ze wszystkimi innymi starał się ocalić tamtą stację przed Vongami.

Lando posłał mu niedowierzające spojrzenie.

- Bobę Fetta? - zapytał.

- Oczywiście, że Bobę - obruszył się Solo. - W towarzystwie kilku innych gości z raketowymi plecakami i w mandaloriańskich zbrojach. Sprawił sobie nawet nowego Firespraya.

Talon pogładził wąs.

- No cóż, nie zamierzałem o tym nikomu mówić, ale słyszałem, że ta sama grupa pomogła wyzwolić Ord Mantell - powiedział.

- I Tholatinę - stwierdził Crev.

- I Gyndinę - dodał Booster.

Lando pokręcił głową, jakby miał dosyć tej wyliczanki.

- Hej, jeżeli Pellaeon może uchodzić za sojusznika, dlaczego nie może nim zostać były łowca nagród? - zapytał.

Han przeniósł spojrzenie z Landa na Talona.

- To wy zasługujecie na pomniki - zaczął. - Przypuszczam jednak, że trzeba będzie z tym poczekać, aż Wołam Tser czy ktoś inny nakręci holodokument o osławionym Sojuszu Przemysłowców.

- Chyba masz na myśli były Sojusz Przemysłowców - poprawił go Talon.

Solo przewrócił oczami.

- To prawda, Hanie - podjął Karrde. - Ruszyło nas sumienie.

- Olśniła nas światłość - stwierdził Booster.

- Zawróciliśmy ze złej drogi - dodał Crev.

- Staliśmy się porządnymi obywatelami - poparł ich Lando. Tycho powiódł spojrzeniem

po twarzach przyjaciół.

- Czy ktoś jeszcze chciałby dodać jakiś frazes? - zapytał.

- A co powiecie na to: „Jesteśmy już na to za starzy”? - zapytał Solo. Wedge pokiwał głową.

- To wystarczy - stwierdził.

Han spojrział znów na Landa i Talona.

- Co, Tendra i Shada chcą zrobić z was ucziwych gości? - zagadnął od niechcienia.

Karrde pokręcił stanowczo głową.

- Shada i ja jesteśmy teraz partnerami w interesach - oznajmił. - To prawda.

Calrissian spojrział na Hana i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Hej, to przecież twoja żona napisała książkę na ten temat - przypomniał.

Wszyscy się roześmieli i unieśli szklaneczki.

- Zdrowie prawdziwych cichych bohaterów tej wojny - zaproponował Solo. - Naszych żon i towarzyszek życia. - Odstawił szklaneczkę i ponownie odwrócił się do Calrissiana. - A poważnie, Lando, co zamierzacie teraz robić?

- Pozwól, że ujmę to tak - zaczął śniadoskóry mężczyzna. - Wszystko wymaga odbudowy albo przebudowy... planety, władze, szlaki handlowe. Nowe rynki otwierają się w przestworzach Szcątków Imperium, Chissów, a nawet w niektórych miejscach Nieznanych Rejonów galaktyki. Wszędzie będzie mnóstwo okazji dla tych, co kierują się bardziej filantropią niż chęcią zysku.

- Zdrowie szlachetnych gości - odezwał się Tycho, wznosząc szklaneczkę. - Tak niewielu nas pozostało.

Wszyscy wypili resztę trunku i z głośnym stukiem odstawili szklaneczki na blat stołu.

- Bardziej filantropią niż chęcią zysku... - powtórzył Han. Głęboko odetchnął, odsunął od stołu toporne krzesło i powiódł spojrzeniem po okolicy. - Przysięgam, to niesamowite otoczenie wszystkim pomieszało w głowach.

- Wiem, że Tahiri i Tekli zamierzają powrócić z Zonamą Sekot do Nieznanych Rejonów - odezwała się Jaina, kiedy bliźnięta wracały z zebrania. Większość Jedi udała się prosto do kanionu, ale Jacen i jego siostra postanowili dotrzeć do jaskini określną drogą. - Tekli liczy na to, że wiele się nauczy od yuuzhańskich mistrzów przemian... naturalnie zakładając, że zechcą się zająć jej kształceniem, a Tahiri... no cóż, chyba chciałaby lepiej poznać yuuzhańską część swojej osobowości, Riinę.

- Wiem jeszcze o kimś, kto zamierza tu pozostać - powiedział Jacen.

- Danni - domyśliła się Jaina.

Młody Solo kiwnął głową.

- Przed wojną interesowały ją tylko poszukiwania istot spoza naszej galaktyki, ale jedyne, jakie sama znalazła, okazały się nieprzyjaciółmi - zaczął. - Powiedziała mi, że musi się równie wiele nauczyć co nauczyc.

- Myślisz, że to będzie dla ciebie trudne? - zapytała Jaina. - To, że będziesz musiał się z nią rozstać?

- Cieszę się, że znalazła dla siebie właściwe miejsce - odparł Jacen, spoglądając na siostrę. - A zresztą zawsze będę wiedział, gdzie ją znaleźć.

- O tym nie pomyślałam - przyznała młoda Jedi i umilkła na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała. - Corran, Mirax i ich dzieci wracają na jakiś czas na Korelię - dodała po chwili.

- Myślisz, że nasi rodzice też się tam wyprawią? - zapytał Jacen.

Jaina pokręciła głową, ale chyba bez większego przekonania.

- Nie mam pojęcia, co zamierzają- przyznała. - Chciałabym jednak poznać twoje plany.

- Wiem tylko, na czym mi nie zależy - powiedział powoli jej brat. - Nie chcę stać się częścią zakonu ani wybranej grupy. Nie chcę, żeby uważano mnie za czołowego przedstawiciela nowego ładu. Nie chcę być otoczony przez uczniów, którzy będą pytali mnie o więcej, niż potrafię wyjaśnić. Przede wszystkim jednak nie chcę stać się obiektem podziwu czy fascynacji, bo to tylko odwróci moją uwagę od tego, czego naprawdę muszę się nauczyć. Nie marzę o tym, żeby po mistrzowsku władać świetlnym mieczem czy pilotować gwiazdny myśliwiec, nie zamierzam także zmieniać niczego ani nikogo, może z wyjątkiem siebie, żeby usunąć z głowy zamęt, jaki się tam nagromadził.

- Mówisz jak Sekot - stwierdziła Jaina, pokazując zamaszystym gestem na ogromne bora. - Nie chciałbyś tu zostać? - zapytała. - Pośród tego wszystkiego?

- Nie mogę, chociaż każda cząstka mnie bardzo by tego chciała - odparł Jacen. - Obawiam się, że gdybym to zrobił, już nigdy bym stąd nie odleciał.

- Więc będziesz się błakał po galaktyce czy coś w tym rodzaju?

- Jeżeli Moc będzie miała względem mnie takie plany... - zaczął młody Jedi. - Na razie sądzę jednak, że spędzę trochę czasu pośród grup składających się z osób władających Mocą w rodzaju Jensaari, Therańskich Słuchaczy, Sunesi... może nawet postaram się dowiedzieć, gdzie

zniknęli Fallanassi.

Roześmiał się, jakby kpił sam z siebie.

- Prawdopodobnie Anakin gdzieś tam wyśmiewa się ze mnie, że w ogóle rozważam możliwość wyprawy po gotowe odpowiedzi - podjął po chwili. - Zapewne powiedziałyby, że powinienem usiąść pod jednym z tych bora i poczekać, aż odpowiedzi same mnie znajdą, zamiast latać na oślep po galaktyce w nadziei, że je gdzieś odkryję. - Sposepniał. - Bardzo chciałbym go znów zobaczyć, Jaina - dodał ze smutkiem. - Dobrze chociaż, że nadal mogę go postrzegać. Noszę go w sobie w podobny sposób, w jaki niektórzy noszą holomedaliony. Żałuję, że tak często się sprzecaliśmy i że pod wpływem tych sprzeczek podjąłem tyle błędnych decyzji, uważam jednak, że i tak były najlepsze, na jakie potrafiłem się wówczas zdobyć. Łatwo byłoby powiedzieć, że w ogóle nie powinniśmy lecieć do przestworzy Myrkra, ale gdybyśmy się tam nie wyprawili, może nikt z nas nie przeżyłby spotkania z voxynami. Nikt nie odnalazłby Zonamy Sekot, nie stworzyłby Sojuszu i nie pokonał Yuuzhan Vongów. Walka trwałaby bez końca, aż obie strony wyniszczyłyby się nawzajem.

Jaina milczała, dopóki się nie upewniła, że brat skończył.

- Anakin był kimś tak absolutnie wyjątkowym, że do tej pory wydaje mi się niesprawiedliwe, iż właśnie on zginął - odezwała się w końcu. - Wiem, że sprawiedliwość nie ma z tym nic wspólnego, ale chyba nigdy się nie pogodzę z jego śmiercią... podobnie jak on się nie pogodził ze śmiercią Chewiego. Nigdy nie miałam wątpliwości, że przeżyję tę wojnę, ale obawiałam się, że przeżyję ją bez ciebie, mamy i taty. Nie chciałam dłużej żyć po tym, co wydarzyło się w przestworzach Myrkra. Nie wiem, co bym ze sobą zrobiła, gdybyś i ty tam zginął. Nie zostałabym po prostu Mieczem Jedi, ale inną bronią, a Jedi pożałowałiby, że w ogóle ją ukuli. W porównaniu ze mną Kyp Durronek, który przecież unicestwił Caridę, wyglądałby jak zwykły chuligan.

Jacem gwizdnął z ulgą.

- A co z Kypem? - zapytał. - Teraz, kiedy naprawdę przeżyliśmy tę wojnę?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. - Jaina się zamyśliła. - Był moim mentorem, podobnie jak Mara. - Zbliżyła prawy palec wskazujący do kciuka na odległość kilku milimetrów. - Tak krótko mi się wydawało, że jestem w nim zakochana, ale zakochywanie się w mentorze jest szaleństwem, bo ma się przed oczami nie żywą istotę, lecz posąg na piedestale. Oddaje się cześć idei, nie osobie.

- W podobny sposób jak Jag czci ciebie? - podchwycił Jacen.

- Jacen wcale nie zamierza mnie czcić - obruszyła się Jaina.

- Niby od kiedy? Odkąd cię lepiej poznał?

Jaina uderzyła go lekko pięścią w ramię.

- Nawet nie zamierzam się nad tym zastanawiać, chociaż może masz rację - zaczęła. - Prawdę mówiąc, ja także nie chcę być samowystarczalna. Wiem, że wuj Luke i ciocia Mara chcieliby, abym zajęła się kształceniem uczniów, może nawet Bena, ale Kam i Tionna umieją nawiązać z dziećmi o wiele bliższy kontakt, niż ja bym kiedykolwiek potrafiła. Tak czy owak, nie chcę się znajdować z daleka od miejsc, w których coś się dzieje. - Uniosła głowę i spojrzała na brata bliźniaka. - Mam w sobie za dużo z rodziców, żebym miała rezygnować z walki o sprawiedliwość i pokój.

- Zwłaszcza teraz, kiedy stałaś się w tym taka dobra - dodał Jacen.

Jaina prychnęła.

- Właśnie na tym polega cały problem, prawda? - zapytała ponuro. - Kiedy walka zaczyna przychodzić ci zbyt łatwo...

- Po prostu musisz się starać, żeby przy tej okazji nikogo nie zabijać - odparł brat.

- Niestety, właśnie na tym polega część zadania pilota gwiazdowego myśliwca.

- Więc znajdź inny sposób zaspokajania swojej chęci walki i szybkiego latania - doradził Jacen. - Słyszałem, że znów zaczynają organizować zawody ścigaczy.

Jaina parsknęła beztróskim śmiechem.

- Oboje mamy to we krwi, prawda? - zapytała.

- Bardziej niż wojsko - przyznał młody Solo. - Chodzi mi o to, że tata zostanie zwolniony z czynnej służby w siłach zbrojnych, mama była Rebeliantką, a dziadkowie ze strony ojca... - Urwał i chwilę się zastanowił. - Kim właściwie byli?

Jaina pokręciła głową.

- Nie wiem - przyznała. - Ale niektórzy uważają, że ważne cechy osobowości wychodzą czasem na jaw dopiero w drugim pokoleniu.

Kilkanaście statków różnej wielkości i kształtu wzniosło się w bezchmurne lazurowe niebo, oddaliło od powierzchni Zonamy Sekot i zniknęło.

- Wszyscy stąd odlatują, Artoo - odezwał się C-3PO tęsknym tonem. - Wracają na macierzyste planety albo wyruszają na poszukiwania zaginionych przyjaciół. Panowie Lowbacca,

Sebatyne, Katarn, Zekk i Azur-Jamin, panie Rar, Ramis i Kirana Ti, dzieci... już w tej chwili za nimi tęsknię.

Od zebrania Jedi upłynęły cztery dni. Oba automaty stały na skalnej półce przed jaskinią Luke'a i Mary w urwistej ścianie kanionu Średniego Zasięgu. Skywalkerowie kończyli naprawiać „Cień Jade”, a Han, Leia i oboje Noghri odlecieli na Coruscant w bliżej nieokreślonej sprawie.

W odpowiedzi R2-D2 krótko zaświergotał.

- Naturalnie, jestem świadom, że wkrótce znów wszystkich zobaczymy, Artoo - odparł protokolarny android. - Tyle że w zupełnie innych okolicznościach.

Astromechaniczny robot pobłażliwie zagwizdał, a C-3PO przekrzywił na bok złocistą głowę.

- Czasami trudno z tobą wytrzymać! - stwierdził z urazą. - Doskonale wiem, że powinienem przyzwyczajać się do zmiany, ale to nie musi mi przeszkadzać w wyrażaniu smutku z powodu zakończenia pewnego etapu naszego istnienia.

Artoo odpowiedział serią świstów, pisków i pomruków.

- Wiem, że toczyła się wojna... ty mechaniczny mózdzku! - obruszył się C-3PO. - Jestem także świadom, że podczas tej wojny groziło nam o wiele większe niebezpieczeństwo niż w trakcie jakiegokolwiek poprzedniej. Właśnie to usiłuję ci powiedzieć: że na pewien czas staliśmy się równie cenni jak oni. Oni czasami walczyli u naszego boku, ale równie często walczyli o nasze istnienie.

Tym razem R2-D2 udzielił bardziej stosownej odpowiedzi.

- Masz rację, Artoo - przyznał protokolarny android. - Naprawdę jesteśmy im potrzebni, ale nie ma w tym nic złego, że nas potrzebują. - Urwał, żeby wysłuchać odpowiedzi swojego towarzysza. - O wiele bardziej niebezpieczny nieprzyjaciel? - zapytał. - Co może stanowić dla nas większe zagrożenie niż Yuuzhan Vongowie? R2-D2 zaszczębiotał.

- Starzenie się? - zapytał zdumiony Threepio i zamilkł, bo musiał to przemyśleć. W końcu wydał coś w rodzaju westchnienia. - Może rzeczywiście się łudzę - podjął w końcu. - W dziedzinie konstrukcji androidów poczyniono duże postępy, więc naprawdę może nam grozić, że zostaniemy uznani za osobniki przestarzałe, ale co można na to poradzić, Artoo? Nie możemy po prostu przejść na emeryturę. Będziemy istnieć nadal jako swojego rodzaju zabytki, przekazywane nowym właścicielom, aż nie będzie można znaleźć dla nas części zamiennych albo

w naszych systemach pojawi się nieodwracalne uszkodzenie. Och, to wszystko jest bardzo... słodkie, ale zaprawione goryczą! To chyba odpowiednie określenie.

Odpowiedź R2-D2 zabrzmiała jak zdumiewająco melodyjna mieszanina pisków i gwizdów.

- Naprawdę przypuszczasz, że życie pozostaje równie nieprzewidywalne jak zawsze, a nasze przygody nie będą miały nigdy końca?

- zapytał protokolarny android. - Mam nadzieję, mój mały przyjacielu... nawet jeśli nie dorównają naszym dotychczasowym przygodom i nie będą miały nawet części dawnego uroku.

R2-D2 prychnął.

- Dlaczego twierdzisz, że zawsze tak mówię? - obruszył się C-3PO.

- Do czego właściwie zmierzasz? - zapytał i zamilkł, słuchając odpowiedzi małego partnera. - Nie mam nic przeciwko temu, że to długa historia. Mimo wszystko, Artoo, jeżeli czegoś mamy pod dostatkiem, to czasu...

R O Z D Z I A Ł 45

Jagged Fel dostał przydział do formacji gwiazdnych myśliwców, których piloci mieli eskortować z Coruscant na Zonamę Sekot yuuzhańskie transportowce. W hangarach dwóch gwiazdnych niszczycieli spoczywały rozbrojone yorik-trema, którymi dziesiątki tysięcy byłych wojowników miało przelecieć do nowych siedzib na południowej półkuli żyjącej planety. Bezkresne lasy wciąż jeszcze nosiły ślady ran, zadanych powierzchni Zonamy Sekot pięćdziesiąt lat wcześniej przez yuuzhańskich zwiadowców, ale kiedy w cieplejszych dolinach osiedliły się pierwsze grupy wojowników, ich minshale, damuteki, grashale i wylęgarnie od razu polubiły nowe otoczenie... przynajmniej tak to wyglądało z wysokości dwudziestu kilometrów. Wojskowi Sojuszu mieli wprawdzie zakaz lądowania na powierzchni, lecz Jag uzyskał specjalną zgodę generała Farlandera na złożenie krótkiej wizyty w Średnim Zasięgu, rzekomo żeby porozmawiać z rodziną Solo, a w rzeczywistości - żeby zamienić kilka słów tylko zjedną osobą z tej rodziny.

Nie udało mu się spotkać z Jainą ani razu, odkąd „Sokół Millenium” wzniósł się w powietrze, żeby dołączyć do pościgu za kapsułą ratunkową najwyższego lorda, a ze względu na niezwykle okoliczności ich ostatnia rozmowa była krótka i chaotyczna. Jag wrócił na Coruscant,

żeby dołączyć do Eskadry Bliźniaczych Słońc, a „Sokół” - z rodzinami Skywalkerów i Solo na pokładzie - przeskoczył do przestworzy Zonamy Sekot. W ciągu wielu następných tygodni Jag starał się nawiązać łączność z żyjącą planetą czy to za pośrednictwem aparatury „Sokoła Millennium”, czy to „Cienia Jade”. Kiedy w końcu dopiął swego dzięki komunikatorom „Błędnego Rycerza”, dowiedział się, że Jaina wciąż jeszcze przebywa na powierzchni żyjącej planety.

Talon Karrde obiecał, że przekaże Jaine jego wiadomość.

Młoda Jedi czekała na Jaga na lądowisku tuż przy brzegu głębokiego kanionu. Jag wylądował szponowcem obok dziwnie wyglądających statków i wyskoczył z kabiny. Było bardzo zimno, a z nieba padały wielkie płatki śniegu, ale dzięki nim Jag poczuł się, jakby wrócił do domu, bo przywykł do życia w chłodnym klimacie.

Jaina miała na sobie jakieś ponczo z naturalnych włókien i czapkę z nausznikami z tej samej tkaniny. W pierwszej chwili oboje poczuli się niezręcznie i tylko na siebie spoglądali, ale w końcu Jaina wyszczerzyła zęby w uśmiechu, podbiegła do Jaga, padła mu w ramiona i pocałowała go najpierw w oba policzki, a wreszcie w usta. Jag mógłby ją tak trzymać cały czas, aż Zonama Sekot wykona skok przez nadprzestrzeń do Nieznanych Rejonów galaktyki.

- Witaj, dowódcu Bliźniaczych Słońc - odezwała się Jaina i cofnęła o krok, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć.

Jag udał, że się dumnie prostuje.

- Zazdrosna? - zapytał.

- Może trochę - zgodziła się młoda Jedi.

Jag przeniósł spojrzenie na otaczające samotnego X-winga dziwne statki, składające się z trzech kul.

- Czy to sekotańskie myśliwce? - zapytał. Jaina także spojrzała w tamtą stronę.

- Mhm - potwierdziła.

- Nie sądzę, żeby... - zaczął młody pilot.

- Nawet nie pytaj - ucięła Jaina. - Nie są na sprzedaż. Chwyliła go za rękę i poprowadziła do szalasu wzniesionego na

skraju lądowiska. Po drodze oboje pomachali Luke'owi i Marze, którzy wnosili zapasy żywności do ładowni „Cienia Jade”. Wyglądali na zachwyconych, że mały Ben nieustannie płacze im się pod nogami.

Nie puszczać ręki Jaga, Jaina powiedziała:

- Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś na Coruscant... eskortując „Sokoła” i nie tylko. Podobno Mara musiała cię powstrzymać, bo chciałeś przeszukać Cytadelę, żeby mnie znaleźć.

- Może bym jej nie usłuchał, gdyby od wierzchołka Cytadeli nie oderwała się kapsuła ratunkowa - stwierdził młody pilot. - Ludzie twierdzą, że ty i twój brat zabiliście najwyższego lorda Yuuzhan Vongów.

- Nie pamiętam wszystkiego, co się wówczas działo - przyznała Jaina. - Wiem jednak, że to Jacen i Luke stoczyli walkę z Shimrrą i Onimim.

Płatki śniegu osiadały na jej czapce i ramionach, policzki płonęły czerwienią, ale twarz młodej Jedi promieniała.

- Jajno, czas ucieka, więc przejdę od razu do rzeczy - zaczął Jag. - Wkrótce wracam na Csillę i chcę, żebyś ze mną tam poleciała. Jestem pewny, że moi rodzice i siostra Wynssa powitają cię z szeroko otwartymi ramionami.

Jaina lekko się uśmiechnęła, ale prawdziwą odpowiedź Jag wyczytał w jej oczach. Poczuł się, jakby uciekło z niego całe powietrze.

- Bardzo chciałabym zobaczyć Csillę... naprawdę bym chciała - zaczęła młoda Solo. - Ale to nieodpowiednia pora...

- Chodzi o Csillę czy o nas? - przerwał Jag. Jaina skrzywiła się i lekko przygryzła dolną wargę.

- Nie utrudniaj mi tego, dobrze? - poprosiła.

- Chodzi o twoich rodziców, tak? - nie dawał za wygraną młody pilot. - Nie mogą znieść, że zadajesz się z synem byłego Imperialca, bo to kłóci się ze wszystkim, o co zawsze walczyły rodziny Skywalkerów i Solo?

Jaina zmarszczyła brwi.

- Trafiłeś jak kulą w płot - stwierdziła. - Po tym, co zrobiłeś dla mojego ojca na powierzchni Hapes i później, moi rodzice uważają cię praktycznie za członka rodziny. A zresztą nawet gdyby to miała być prawda, czy przypuszczasz, że coś takiego powstrzymałoby mnie przed odlotem z tobą?

- Więc prawdziwym powodem jest Kyp, prawda?

- Znów pudło.

Jag zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem - wyznał. - Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Jaina pokręciła głową.

- To chyba dobrze, że odlatujesz na Csillę, Jagu - powiedziała. - Muszę mieć trochę czasu, żeby się zastanowić nad wszystkim, co się wydarzyło.

- Kocham cię, Jaina - wyrzucił z siebie młody pilot.

Jaina zacisnęła wargi i westchnęła.

- Ja także cię kocham - wyznała. - Pewnego dnia będę chciała mieć partnera i żyć jak moi rodzice albo Luke z Marą. Naprawdę zamierzam założyć rodzinę, ale przedtem muszę zdobyć pewność, że zapewnię dzieciom coś więcej, niż mama i Mara były w stanie zapewnić swoim. - Ujęła jego obie dłonie. - Cieszę się, że się spotkaliśmy, Jagu - ciągnęła. - Dzięki tobie mogłam o wiele łatwiej znieść najgorszy okres mojego życia, na razie jednak jestem w ciągłym ruchu... i jako pilotka myśliwca, i jako Jedi. Rozumiesz to chociaż trochę?

Jag wypuścił powietrze z płuc.

- Rozumiem, chociaż nie do końca mogę się z tym pogodzić - powiedział.

- Bardzo chciałabym zostać dyplomatką, ambasadorką albo emisariuszką - podjęła młoda Solo, a w jej oczach zalśniły ogniki. -Zdradzę ci pewną tajemnicę. Któregoś dnia zajmę miejsce w nowej Radzie Jedi u boku Luke'a, Kypa, Cilghal i pozostałych. Może wówczas pomyślimy o jakimś trwałym związku?

Jag szeroko się uśmiechnął.

- A zatem nasze ścieżki mogą się znów przeciąć, i to szybciej niż sobie wyobrażasz - powiedział.

Młoda Jedi spojrzała na niego pytająco.

- Raczej nie wybiorę się szybko do przestworzy Chissów, Jagu -zapewniła.

- Nie będziesz musiała - odparł młody pilot. - Zostałem mianowany oficerem łącznikowym między Chissańską Ekspansyjną Flotą Obronną a Sojuszem.

- Ty? Dyplomatą? - zdziwiła się Jaina.

- Potrafię być bardzo dyplomatyczny, kiedy muszę.

- Nie chodziło mi o to, ale...

- Sama pomyśl - zapalił się Jag. - Będziemy się spotykali na powierzchniach bajecznych planet i podróżowali z jednego krańca galaktyki na drugi.

Jaina uśmiechnęła się i nie kryjąc zachwyty, zmrużyła oczy.

- Wiesz, to wcale nie brzmi tak źle... - westchnęła.

Jag przyciągnął ją delikatnie do siebie.

- Będę się starał ze wszystkich sił, żeby nasze spotkania były jak najwspanialsze - obiecał.

Jaina się roześmiała.

- Może więc mimo wszystko masz w sobie coś z łajdaka - powiedziała. Nie zwracając uwagi na padające powoli płatki śniegu, namiętnie się pocałowali.

- Pięć lat temu, przy okazji podpisywania porozumienia między Imperialnym Sektorem a Nową Republiką, spotkaliśmy się na pokładzie waszego statku, kapitanie Solo i księżniczko Leio - przypomniał wielki admirał Gilad Pellaeon. - Teraz, u zarania nowej ery, mam zaszczyt gościć was na pokładzie swojego okrętu.

- To my jesteśmy zaszczyceni, panie admirale - odparła Leia.

Siwowłosa i wąsaty dostojnik Imperium był ubrany w śnieżnobiały mundur, a oboje Solo włożyli na tę okazję najlepsze ubrania, jakie im zostały. Wszyscy troje siedzieli w przestronnej, elegancko umeblowanej kwaterze wielkiego admirała w kabinie po sterburtowej stronie wieży dowodzenia „Praworządności”. Pod iluminatorem stał kunsztownie rzeźbiony stół, zastawiony misami z jedzeniem i karafkami pełnymi najwykwintniejszych trunków. Krążąc po stacjonarnej orbicie nad powierzchnią Coruscant, okręt flagowy Imperialnej Floty zajmował miejsce pośrodku grupy innych gwiazdnych niszczycieli stanowiących część flotylli Sojuszu, którego główne siły pozostawały w głębinach przestworzy. „Sokół” z czuwającymi na pokładzie Cakhmaimem i Meewalhą pozostał na jednym z lądowisk w hangarze ogromnego okrętu, gdzie wyraźnie odcinał się od innych jednostek, a zwłaszcza od imperialnych myśliwców obronnych i bombowców typu TIE.

- Kiedy zamierza pan powrócić do przestworzy Bastiona? - zapytał Han, popijając trunek z kielicha.

- Jutro, panie kapitanie - odparł Pellaeon. - Właśnie dlatego tak się ucieszyłem, kiedy mi zameldowano, że chociaż poprosiłem was tak późno, mogliście od razu się pojawić na pokładzie mojego okrętu.

- Bardzo pan tęskni za swoim ogrodem - domyśliła się księżniczka.

- W każdej wolnej chwili - przyznał wielki admirał. - Muszę poświęcać wiele czasu na przekonanie niektórych moffów o potrzebie otwartego przyłączenia się do Sojuszu. Nigdy nie

miałem czasu się ożenić ani założyć rodziny, ale mam ogród i opiekuję się nim, jak mógłbym się opiekować dziećmi. Kto wie, może nawet pozwolę na to, żeby niektóre okazy rosły w przypadkowych miejscach, jak nakazuje im „przyroda”, a także powstrzymam się przed wrywaniem słabych i niedoskonałych okazów? Han parsknął krótkim śmiechem.

- Nigdy nie zaszkodzi trochę bałaganu, prawda? - zapytał.

- Panu na pewno nigdy to nie szkodziło, kapitanie Solo - odparł Pellaeon.

- To tylko dlatego, że bałagan i ja już bardzo dawno doszliśmy do porozumienia - odciął się Korelianin.

- No cóż, może i ja postaram się zrobić to samo. - Pellaeon podszedł do iluminatora, skąd rozciągał się widok na Coruscant. - Tak czy owak, nigdy przedtem sobie nie uświadamiałem, jak bardzo tęsknię za Jądrem galaktyki... a zwłaszcza za Coruscant. Spędziłem z daleka od niej tyle czasu, że kiedy teraz powróciłem w tak niezwykłych okolicznościach, zacząłem rozważać swoją karierę i przypominać sobie wszystkie wydarzenia, jakie miały miejsce od czasu bitwy o Endor. - Odwrócił się plecami do iluminatora i spojrzał na oboje Solo. - Odegraliście ogromną rolę w przywróceniu mi chociaż części tego, co utraciłem, więc chciałbym się wam jakoś za to zrewanżować.

Leia uśmiechnęła się ciepło.

- To naprawdę nie jest konieczne, panie admirale - oznajmiła. Pellaeon machnął lekceważąco ręką.

- To naprawdę drobiazg, księżniczko - powiedział.

Sięgnął po leżący na stole zdalny sterownik i wymierzył urządzenie w ekran, który zwinął się na wewnętrznej płaszczyźnie grodzi i odsłonił to, co miało być niespodzianką dla obojga Solo. Był to stworzony przez dawno zmarłego alderańskiego artystę Oba Khad-dora mchoobraz przedstawiający zwały ciemnych chmur nadciągających nad pełną iglic osadę. Na pierwszym planie było widać grupę owadopodobnych istot wymarłej rasy, zamieszkującej powierzchnię Alderaana, zanim planetę skolonizowali ludzie.

Oślupiała Leia wpatrywała się w mchoobraz, jakby odebrało jej mowę.

-A myśmy sądzili, że po prostu chce pan nam dać w prezencie nową antenę systemu łączności nadprzestrzennej - mruknął nie mniej zaskoczony Han.

Killicki zmierzch wisiał kiedyś w sypialni Leii w domu Organów na Alderaanie. Kiedy planeta została zniszczona przez strzał z superlasera Gwiazdy Śmierci, wszyscy przypuszczali, że

podobny los spotkał także mchoobraz. Okazało się jednak, że arcydzieło powracało wówczas do alderańskiego muzeum z Coruscant, dokąd wypożyczono je na wystawę. W aparaturze regulującej wilgotność mchu ukryto mikroobwód z tajnym szyfrem Sojuszu Rebeliantów. Szyfru tego używano po zakończeniu galaktycznej wojny domowej do utrzymywania łączności z najbardziej wartościowymi szpiegami, którzy nie przestawali pełnić służby głęboko na terytorium opanowanym przez Imperium. Cztery lata po bitwie o Endor mchoobraz został niespodziewanie wystawiony na sprzedaż na aukcji na Tatooine, a Han i Leia, którzy zawarli nieco wcześniej związek małżeński, polecili tam, żeby podjąć próbę jego odzyskania. Obraz jednak kilkakrotnie zmieniał właściciela i w końcu wylądował na pokładzie „Chimery” w rękach samego wielkiego admirała Thrawna, który się szczycił, że jest właścicielem bogatej kolekcji dzieł sztuki istot najróżniejszych ras ze wszystkich zakątków galaktyki.

Arcydzieło, które zapewniało emocjonalną więź Leii z jej przybranymi rodzicami, odegrało także dużą rolę w życiu jej i Hana. Ob Khaddor przedstawił Killików w sposób, który pozwalał na dowolną interpretację ich reakcji na nadciągającą burzę. Z początku Leia sądziła, że owadopodobne istoty uciekają przed ciemnością, ale Han doszedł do wniosku, że przedstawiciele rasy dawno zaginionych istot odwracają twarze w kierunku nadchodzącego zagrożenia. Jego zdaniem autor mchoobrazu chciał przekazać, że ciemność można pokonać tylko wówczas, gdy stawi się jej czoło i odpowie na nią światłością. Kiedy Leia uznała w końcu słuszność interpretacji męża, pozbyła się dręczącej ją cały czas rozterki, że jej prawdziwy ojciec Anakin Skywalker i Darth Vader to w rzeczywistości jedna i ta sama osoba. Pogodzenie się z tym faktem pomogło jej się pozbyć kompleksu lorda Sithów i zdecydować na to, żeby mieć dzieci.

- Giladzie - odezwała się w końcu księżniczka. - Nawet nie wiesz, ile ten obraz dla mnie znaczy.

Pellaeon się uśmiechnął.

- To jeden z niewielu okazów, jakie ocalały z kolekcji Thrawna - powiedział. - Doszedłem do wniosku, że komu jak komu, ale wam powinien zostać zwrócony.

Han objął jedną ręką ramiona żony, a drugą wyciągnął do wielkiego admirała.

- Wiem, gdzie go powiesimy - powiedział do Leii, która wylewnie ścisnęła dłoń Pellaeona.

W końcu księżniczka zaszczyciła go spojrzeniem.

- Powiesimy? - powtórzyła. - Hanie, my nawet nie mamy domu! Chyba że masz na

myśli...

Solo uśmiechnął się szelmowsko i pokiwał głową.

- ..naszą przytulną kabinę na pokładzie „Sokoła” - dokończył. - Powiesimy go nad koją.

Ostatni z powierzchni Zonamy Sekot wzniósł się w powietrze „Cień Jade” z Marą, Lukiem, małym Benem i R2-D2 na pokładzie. Kiedy jacht osiągnął wysokość trzystu tysięcy kilometrów, mistrzyni Jedi wyłączyła jednostki napędu podświetlnego i obróciła statek dziobem w stronę żyjącej planety. Nie wypuszczając małej rączki synka, Luke pospieszył do sterowni, a astromechaniczny robot podążył za nim. Zaledwie jednak Mara odwróciła się z fotelem w ich stronę, Ben wskoczył jej na kolana.

Luke kiwnął głową i także usiadł na fotelu. - Nawiążę z nimi łączność - zaproponował. Od kapitulacji minęło siedem tygodni i praktycznie wszyscy Yuuzhan Vongowie zostali przetransportowani na powierzchnię żyjącej planety, ale kilkudziesięciu pozostało na powierzchni Coruscant, a tu i ówdzie, w odległych gwiazdnych systemach, wciąż jeszcze toczyły się zacięte walki. W przestworzach zostały jednak ślady inwazji Yuuzhan Vongów w postaci niezliczonych liczby dovinbasalowych min i uchodźców, którzy tłoczyli się niemal we wszystkich kosmoportach. Co jednak najtragiczniejsze, można było ich zobaczyć na szczątkach planet, które najeźdźcy zniszczyli, zatruli i zmienili nie do poznania.

W końcu pojawiła się holograficzna odpowiedź na sygnał mistrza Jedi. Luke pozostawił wprawdzie komunikator pod opieką Danni, ale w stożku błękitnego światła nad projektorem pojawił się niewielki, przetykany iskierkami zakłóceń wizerunek magister Jabithy, a w sterowni rozległy się słowa, które w jej usta wkładała Sekot.

- Żegnajcie, Skywalkerowie - odezwała się świadomość planety. - Jedi pozostaną w Znanych Przestworzach, a ja w Nieznanych, więc może wcześniej czy później scalimy tę galaktykę.

- Wywiążemy się z naszego zadania, Sekot - zapewnił Luke. -Na zawsze pozostaniemy twoimi dłużnikami.

- Nie może być mowy o żadnym długu, skoro służymy temu samemu planowi, mistrzu Skywalker - odparła świadomość planety. -Niech Moc będzie z wami.

- I z tobą, Sekot.

Jabitha spojrzała na coś, co pozostawało poza polem widzenia obiektywu holokamery.

- Ustępuję teraz miejsca waszym towarzyszom - oznajmiła i teraz zamiast niej pojawił się wizerunek Harrara.

- Odlatuję dzisiaj powietrznym statkiem na drugą stronę planety - poinformował Yuuzhanin. - Bardzo jestem ciekaw, jak sobie radzą moi ziomkowie. Naszym największym problemem będzie hamowanie ich wojowniczym instynktów, które wpajaliśmy im od wielu pokoleń, a także powstrzymanie od bratobójczych walk, co zdarzało im się podczas podróży przez pustkę międzygalaktycznych przestworzy.

- Ta podróż sprowadziła was do domu - zauważył Skywalker.

Yuuzhański kapłan niezobowiązująco kiwnął głową.

- Kiedy wszyscy Yuuzhan Vongowie się z tym pogodzą, nasza historia zatoczy pełne koło - powiedział. - Mam nadzieję, że kiedyś zechcesz nas odwiedzić, mistrzu Jedi.

- Z pewnością... kiedy nadejdzie odpowiednia pora - odparł Luke. - Do tego czasu będziecie mieli naszych przedstawicieli.

W polu widzenia obiektywu holokamery stanęły Tahiri, Danni i Tekli.

- Do zobaczenia, Luke - odezwały się chórem. - Do zobaczenia, Maro. Do zobaczenia, Benie i Artoo.

Ben ukrył twarz na piersi Mary, a R2-D2 zapiszczał i zakolysał się na wyposażonych w gąsienice nogach.

- Tekli, czy mistrzowie przemian zgodzili się zająć twoim kształceniem? - zainteresowała się mistrzyni Jedi.

Chadra-Fanka pokiwała głową.

- Odlatuję z Harrarem - oznajmiła.

- A Danni i Tahiri? - zapytał Luke.

-A jak myślisz, kto będzie pilotował statek Harrara? - odparła pytaniem młoda badaczka.

- Pewnie Tahiri - domyślił się mistrz Jedi. - Przede wszystkim chciałbym, żebyście się postarały odnaleźć „Mężobójcę”.

- Znajdę go, mistrzu - obiecała Danni.

Mara posmutniała.

- Jeszcze nie jest za późno, żebyście zmieniły zdanie i odleciały z nami - zaproponowała.

-Ale przecież one muszą tu pozostać - zachnęła się Jabitha. -Ktoś przecież powinien zastąpić mnie na stanowisku pani magister. Kto wie, może to będą nawet trzy osoby?

Luke zrozumiał, o co jej chodzi, i się uśmiechnął.

- Bezpiecznego skoku - powiedział.

- Ferroanie schronili się już w jaskiniach - oznajmiła Sekot ustami Jabithy. - Yuuzhan Vongowie także się pochowali. Jestem pewna, że skok przebiegnie bez zakłóceń.

Transmisja została przerwana. Spoglądając przez iluminator, Luke zauważył, że na północnej półkuli Zonamy Sekot budzą się do życia potężne silniki. Ich plazmowe rdzenie pomagały planecie powoli, majestatycznie opuścić chłodną orbitę, którą sama wybrała. Mistrz Jedi pomyślał, że chyba jeszcze nigdy Zonama Sekot nie wyglądała równie pięknie. Płonęła na tle usianej punkcikami gwiazd czerni przestworzy niczym kunsztownie rzeźbiona szklana kula.

Reagując odruchowo, chwycił krawędź pulpitu kontrolnej konsoly. „Odlatuje”, powiedział znajomy głos.

- Odlatuje - powtórzył mistrz Jedi.

- Ona? - zapytała Mara. Luke spojrział na żonę.

- To słowa Obi-Wana, nie moje - powiedział.

W pewnej chwili otaczające Zonamę Sekot gwiazdy jakby się cofnęły, ale zaraz wróciły na poprzednie miejsca. Luke poczuł, że melancholia otula go niczym całun, a chwilę później doświadczył nagłej i bezgranicznej pustki w Mocy. Oprzytomniał dopiero, kiedy usłyszał płacz małego Bena. Jego synek wrywał się z rąk Mary w stronę iluminatora, jakby chciał schwycić i powstrzymać odlatującą planetę.

- Nie płacz, kochanie - starała się uspokoić go Mara. - Któregoś dnia ją odwiedzimy.

Mistrz Jedi pogłaskał synka po głowie i spojrział na żonę.

- Miał nadzieję, że tam zostanie - powiedział.

Ojczyzna Wookiech, Kashyyyk, była jedną z niewielu planet po zwróconej w stronę Rubieży krawędzi inwazyjnego korytarza, których nie opanowali Yuuzhan Vongowie. Obecnie pokrywała ją jeszcze bujniejsza roślinność niż przed wojną. Wielu wysokich, kudłatych mieszkańców planety służyło podczas niej jako żołnierze, technicy i kurierzy, ale większość wróciła do domu i weseliła się niemal nieustannie od chwili, kiedy Zonama Sekot zabrała przerażających nieprzyjaciół ze Znanych Przestworzy.

„Sokół Millenium” i „Cień Jade”, które przyleciały zaledwie dzień wcześniej, spoczywały burta w burtę w pobliżu osady Rwookrrorro na platformie ładowniczej Thiss, za którą służył szerniały od ognia kikut gigantycznego wroshyra. Rodziny Solo i Skywalkerów,

które wraz z wiernymi automatami spędziły noc w koronach ogromnych drzew, wybrały się na wędrówkę do grubego oderwanego konara, gdzie kilka lat wcześniej, chociaż niedokładnie tego dnia, odbywała się uroczystość poświęcona pamięci Chewiego. Przybyszom towarzyszyło wielu Wookiech, którzy brali udział w tamtej smutnej ceremonii, a wśród nich ojciec Chewiego, Attichitcuk, siostra bohatera kasztanowowłosa Kallabow, wdowa po nim Mallatobuck, i ich syn Waroo, a także Ralrra, który potrafił mówić w basicu, Dewlannapia, Gorrlyn, Jowdril i Dryanta.

Podobnie jak tamtego dnia, między górnymi gałęziami gigantycznych wroshyrów kłębiła się mgła, a chłodny wiatr poruszał liśćmi drzew i pędami winorośli kshyy. W hołdzie zmarłemu Chewiemu słynny artysta rasy Wookie wyrzeźbił jego portret w pniu jednego z drzew, na których się wspierał odłamany konar. Han stanął przed podobizną i przemówił do niej, jakby się zwracał do byłego drugiego pilota „Sokoła” i najbliższego przyjaciela:

- Możesz się już odprężyć, kolego - mówił. - Wojna wreszcie się skończyła. Walczyliśmy dzielnie i wygraliśmy, a ja jestem przekonany, że to ty nadawałeś ton tej walce. Twoje poświęcenie na powierzchni Sernpidala stało się symbolem całej wojny. Miliony innych istot oddało życie, żeby ocalić od zagłady członków rodzin, przyjaciół czy nieznane istoty różnych ras, których nigdy nie widziały, a nawet automaty. Dziękujemy ci za to, Chewie, bo twoja śmierć dała Anakinowi trochę więcej czasu, żeby mógł wypełnić swoje przeznaczenie. Nigdy cię nie zapomnę.

Nie zważając na spływające po policzkach łzy, odwrócił się do Luke’a, który przyniósł przedmiot znaleziony przez ekipę rozbiórkową na powierzchni Coruscant, w pobliżu ruin Cytadeli Shimrry.

Mistrz Jedi wręczył Hanowi świetlny miecz Anakina, który wysunął się z palców Tahiri, kiedy młoda Jedi pomagała wносить Luke’a na pokład „Sokoła”. Aż do ostatniej chwili przed lądowaniem frachtowca na platformie Thiss oboje Solo nie pomyśleli o zostawieniu świetlnego miecza młodszego syna na powierzchni Kashyyyka.

Han zważył rękojęść w dłoni i spojrzał na porośniętą szarą sierścią twarz Ralrry.

- Jesteś pewien, że konar nie będzie miał nic przeciwko temu? - zapytał.

Sędziwy Wookie pokręcił głową.

- [Nie będzie] - powiedział.

Han chwycił rękojęść oburącz jak maczugę, zapalił energetyczne ostrze i skierował je w

dół. Uniósł miecz nad głowę i powoli zaczął opuszczać, aż szpic klingi wbił się w płaskie miejsce na powierzchni oderwanego konara. Kiedy ostrze wypaliło otwór, w powietrzu rozszedł się miły aromat. Han pozwolił, żeby rękojeść pogrzyżyła się na cztery czy pięć centymetrów w otworze, po czym wyłączył klingę i pozostawił broń w konarze.

Luke podszedł i stanął u boku przyjaciela.

- Jeżeli kiedykolwiek zaistnieje taka potrzeba, miecz może wyciągnąć ktoś równie szlachetny i waleczny jak ty, Chewbacco - powiedział.

Wszyscy pozostali podchodzili do tego miejsca, żeby pokryć je liśćmi i pędami winorośli. Wreszcie wrócili do Rwookrrorro i spędzili resztę dnia na próbowaniu przyrządzonych przez Wookiech potraw i napojów. Po zachodzie słońca zerwał się wiatr i rozległy się melodyjne kuranty, stopniowo jednak blask dnia i śmiechy zaczęły zamierać. Han zauważył, że Luke pogrzyżył się w zadumie.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Mistrz Jedi uśmiechnął się z przymusem.

- Wydaje mi się, jakbym dopiero wczoraj wyruszył na wyprawę w poszukiwaniu miejsca, w którym ty i Leia moglibyście spędzić wakacje, a Mara odzyskać zdrowie po chorobie, w którą ją wpędził Nom Anor - powiedział.

Han pokiwał głową.

- Ta-a, a dzień wcześniej spotkaliśmy się w kantine w Mos Eisley na Tatooine - dodał.

Luke uniósł głowę i spojrzał na niego.

- Straciłeś syna i najlepszego przyjaciela, a liczebność Zakonu Jedi zmalała do połowy - zaczął. - W zamian za to galaktyka jest teraz bardziej zjednoczona niż w ciągu wielu poprzednich pokoleń. Lata po zakończeniu galaktycznej wojny domowej były chyba nieuniknionym okresem przechodzenia do czasów pozbawionych nuty niepewności.

- Jest wiele rzeczy, które prawdopodobnie zrobiłbym inaczej, ale nie narzekam - stwierdził Solo. - To może być nowy początek... zakładając, że powstrzymam twoją siostrę przed udziałem w życiu politycznym.

- I zakładając, że ja powstrzymam ciebie przed wyruszeniem na awanturnicze wyprawy - wtrąciła księżniczka.

Han wycelował kciuk we własną pierś i udał, że zrobił urażoną minę.

- Hej, nie mam czasu na awanturnicze wyprawy - powiedział. - Czeka mnie remont

statku... praktycznie zbudowanie go od początku.

- Ile razy zamierzasz go jeszcze odbudowywać? - zainteresował się Luke.

Han wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu, jakby zdradzał jakąś tajemnicę.

- Więcej niż potrafisz sobie wyobrazić - powiedział.

- Gdzie zamierzasz się tym zajmować? - zapytała Mara.

- Zastanawialiśmy się nad Denonem... - zaczęła Leia.

- ...ale stwierdziliśmy, że to nie dla nas - dokończył Han.

- Korelia? - domyślił się mistrz Jedi. Han pokręcił głową.

- Nie jest już tą samą planetą co kiedyś - powiedział.

- Han chce lecieć do Sektora Wspólnego - wyjawiała w końcu księżniczka.

- Już dawno powinniśmy świętować dwudziestą rocznicę naszego ślubu, a ja znam tam kilka planet... - zaczął Han, ale nie dokończył, uśmiechnął się i pokręcił głową.

Luke i Mara wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Co byście powiedzieli, gdybyśmy was tam z Benem odwiedzili? - zapytał Skywalker. - Mamy się spotkać z Kamem i innymi Jedi na Ossusie, ale nie zamierzamy tam spędzać wielu tygodni.

- Ossus - powtórzył z namysłem Solo. - No cóż, to praktycznie o rzut kamieniem od Sektora Wspólnego. Nie ma dwóch zdań, musicie nas odwiedzić.

- [Obiecujemy, że nie będziemy wam tam przeszkadzać] - odezwał się nagle ktoś w shyriwooku.

Han spojrzał w prawo i zobaczył, że w ich stronę idą Waroo i Lowbacca.

- [Teraz, kiedy wojna się skończyła] - ciągnął syn Chewiego - [Lowie i ja przejmujemy na siebie dług życia, jaki miał wobec ciebie mój ojciec].

Oslupiały Han otworzył szeroko oczy i usta.

- Lecimy tam tylko... na wakacje - wyjąkał po chwili. - I w końcu przekonaliśmy Cakhmaima i Meewalhę, żeby też gdzieś polecieć.

Jakiś czas nikt się nie odzywał. Leia pierwsza wybuchnęła zaraźliwym śmiechem, do którego przyłączyli się Luke, Mara, Jacen, Jaina, Ben i obaj młodzi Wookie. Han zacisnął wargi i powiódł po twarzach wszystkich groźnym spojrzeniem, ale w końcu i on parsknął beztróskim śmiechem, aż po jego policzkach popłynęły łzy i rozboleły go boki.

Ich zaprawiony lekką nutką goryczy śmiech uniósł się nad blat drewnianego stołu, minął

lampiony, wietrzne kuranty i gałęzie, z których się zwieszały, prześliznął się między koronami gigantycznych wroshyrów, uniósł w mroczniejące niebo i poszybował w kierunku gwiazd - zbyt wielu, żeby dało się zliczyć. Nie robiąc sobie nic z ciszy i próżni, zaczął się rozpraszać i ogarniać coraz dalsze zakątki czasoprzestrzeni, jakby miał dotrzeć do odległych, bardzo odległych galaktyk...

PODZIĘKOWANIA

Jednocząca Moc zawdzięcza swoją część każdemu, kto pomógł jej nadać ostateczny kształt i zapewnił ciągłość akcji toczącej się we wszechświecie Gwiezdných Wojen - od Alana Deana Fostera przez Tima Zahna po Matta Stovera i od Billa Smitha przez Stephena Sansweeta po setki fanów, którzy poświęcili nieograniczoną liczbę godzin na uzgadnianie ezoterycznych szczegółów. Mimo to chciałbym wymienić kilka osób, których zachęta i pomoc mają dla mnie nieocenioną wartość. Na szczególne podziękowania zasługują więc: Shelly Shapiro i Sue Rostoni za redaktorską magię; Greg Bear, Greg Keyes, Sean Williams i Shane Dix za czuwanie nad tym, żeby nic się nie rozsypało; Troy Denning za wiele cennych sugestii oraz Dan Wallace, Rick Gonzales, Mike Kogge, Helen Keier, Eelia Goldsmith Henderscheid i Enrique Guerrero za niestrudzoną pracę nad całą serią Nowa era Jedi. Przede wszystkim zaś dziękuję George'owi Lucasowi za stworzenie wszechświata, który nie przestaje się rozszerzać...

Spis treści

BOHATEROWIE POWIEŚCI

I-PODRUGIEJSTRONIEGWIAZD

ROZDZIAŁ 1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9 ROZDZIAŁ 10 ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12 ROZDZIAŁ 13 ROZDZIAŁ 14 ROZDZIAŁ 15 ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17 ROZDZIAŁ 18 II - ATAKI KONTRATAK

ROZDZIAŁ 19ROZDZIAŁ 20ROZDZIAŁ 21ROZDZIAŁ 22ROZDZIAŁ
23ROZDZIAŁ 24ROZDZIAŁ 25ROZDZIAŁ 26ROZDZIAŁ 27ROZDZIA
Ł 28 III - NA WSZYSTKO ODPOWIEDNIA PORA
ROZDZIAŁ 29ROZDZIAŁ 30ROZDZIAŁ 31ROZDZIAŁ 32ROZDZIAŁ
33ROZDZIAŁ 34ROZDZIAŁ 35ROZDZIAŁ 36ROZDZIAŁ 37ROZDZIA
Ł 38ROZDZIAŁ 39ROZDZIAŁ 40ROZDZIAŁ 41ROZDZIAŁ 42 IV - N
O W Y Ł A D
ROZDZIAŁ 43ROZDZIAŁ 44ROZDZIAŁ 45PODZIĘKOWANIA

